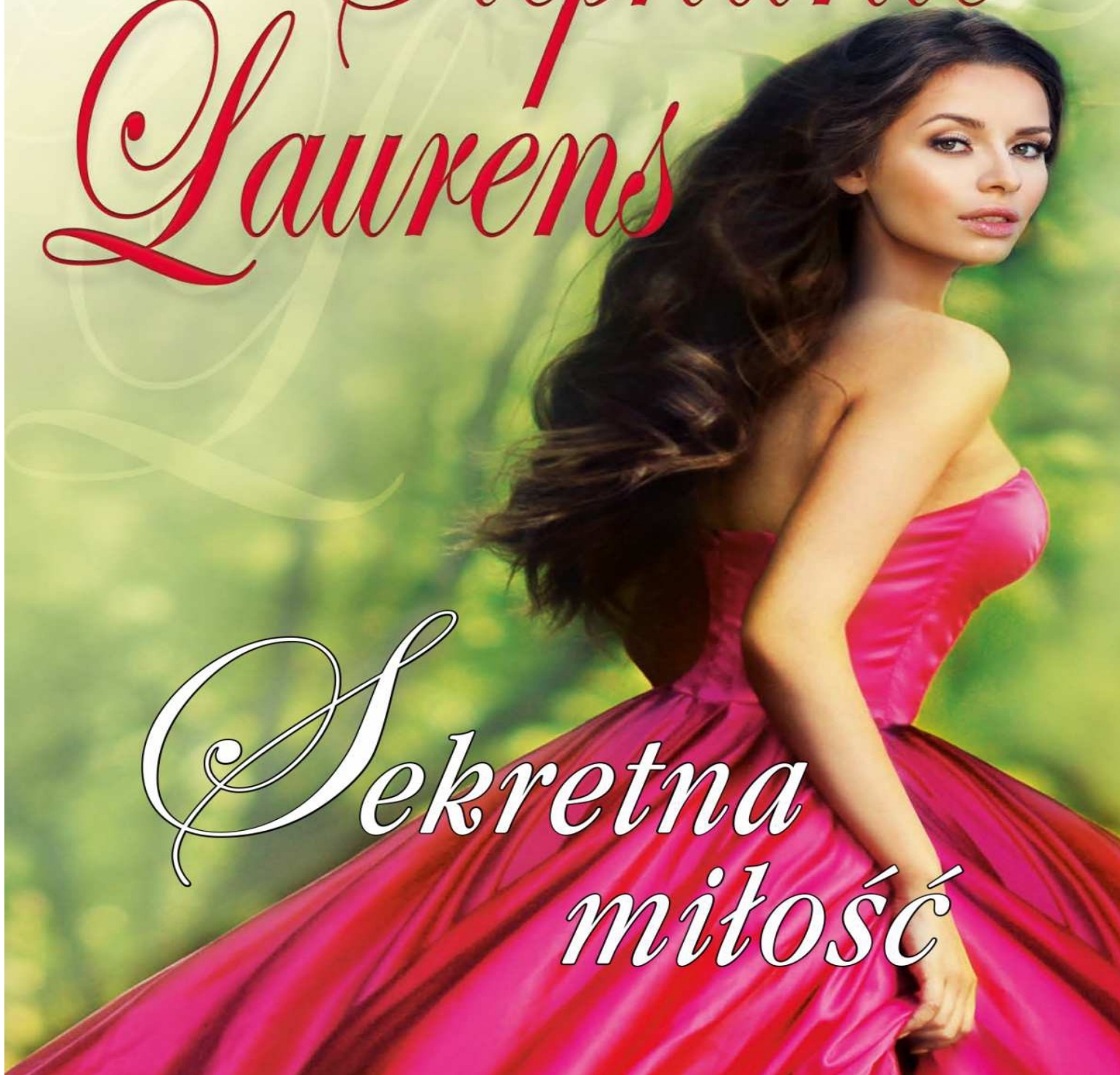


Panie Coulter, Quick i Lowell  
- macie konkurencję!

*Affaire de Coeur*

# Stephanie Laurens

*Sekretna  
miłość*



*Sekretna  
miłość*



## Prolog

17 kwietnia 1820 roku

Morwellan Park, Somerset

Groziła jej katastrofa.

Znowu.

Alathea Morwellan siedziała przy biurku w bibliotece i wpatrywała się w trzymany w ręce list od doradcy finansowego rodziny, ledwo widząc staranne pismo. Pamiętała każde słowo. Ostatni akapit brzmiał:

*Sądzę, moja droga, że jesteście podobnego zdania.*

*Nie mogliśmy popełnić żadnego błędu.*

Żadnego błędu. Podejrzewała, podświadomie oczekiwała, że tak będzie, jednak...

Alathea odetchnęła głęboko i odłożyła list. Trzęsły jej się ręce. Poczowała lekki powiew wiatru od strony wysokich okien. Po chwili wahania wstała i podeszła do przeszklonych drzwi wychodzących na południowy trawnik.

Na rozległej łące, oddzielającej taras od ogrodowej sadzawki, jej przyrodnie rodzeństwo bawiło się piłką. Blask słońca rozświetlił jasną głowę – najstarszy przyrodni brat Alathej, Charlie, wyskoczył wysoko i pochwycił piłkę przed Jeremym, mającym zaledwie dziesięć lat, ale zawsze skorym do rywalizacji. Pomimo zaczątków wytworności, dziewiętnastoletni Charlie pochłonięty był grą, w której uczestniczyło młodsze rodzeństwo, Jeremy i licząca ledwie sześć lat Augusta. Ich starsze siostry, osiemnastoletnia Mary i siedemnastoletnia Alice także przyłączyły

się do zabawy.

Wszyscy w domu kręcili się jak w ukropie, przygotowując się do przeprowadzki do Londynu, gdzie Mary i Alice miały zostać wprowadzone do towarzystwa. Jednak obie dziewczyny, nie przejmując się wagą czekającej je prezentacji, z zapałem oddawały się grze, a ich okolone lokami buzie tryskały niezmaconą radością, jaką czerpały z prostej rozrywki.

Głośny okrzyk Charliego sygnalizował mocny wyrzut – piłka poszybowała wysoko ponad trzema dziewczętami i potoczyła się w stronę domu. Odbiła się od brukowanej alejki i, pokonując niskie schodki, wpadła na taras. Następnie podskakując, pokonała próg biblioteki i poturlała się po podłodze. Alatheia podkasała spódnice i nogą zatrzymała piłkę. Gdy zastanawiała się, co zrobić, zobaczyła zdyszane, śmiejące się siostry, biegnące w stronę tarasu. Alatheia schyliła się, podniosła piłkę i trzymając ją w jednej ręce, wyszła na taras.

Roześmiane Mary i Alice zatrzymały się przed schodkami.

– Do mnie, Allie, do mnie!

– Nie! Kochana Alatheo! Do mnie!

Alatheia udawała, że się zastanawia, czekając, aż maleńka Augusta, która pozostała daleko w tyle, dobiegnie do tarasu. Mała zatrzymała się parę kroków za starszymi siostrami i uniosła anielską twarzyczkę ku Alatheii. Ta z uśmiechem przerzuciła piłkę ponad głowami starszych dziewcząt, które z otwartymi ustami śledziły jej lot. Augusta, śmiejąc się perliście, podskoczyła, złapała piłkę i popędziła z nią przez łąkę.

Wymieniwszy z Alatheą porozumiewawcze uśmiechy, Mary krzyknęła coś w stronę Augusty i obie z Alice rzuciły się w pościg. Alatheia pozostała na tarasie. Fala gorąca, jaka ją ogarnęła, nie miała nic wspólnego z ostrym słońcem. Jej uwagę zwrócił jakiś ruch pod ogromnym dębem. To jej macocha, Serena, machała do niej z ławki, skąd wraz z lordem Meredithem, ojcem Alatheii, obserwowała swoje dzieci.

Alatheia z uśmiechem pomachała w odpowiedzi. Spojrzała na swoje przyrodnie rodzeństwo, które dzikim pędem zmierzało w

stronę stawu, po czym głęboko wciągnęła powietrze, zacisnęła usta i wróciła do biblioteki.

Zbliżając się do biurka, patrzyła na zdobiące ściany gobeliny i obrazy w złotych ramach, na obite skórą grzbiety stojących na półkach książek. Ogromna biblioteka stanowiła chlubę Morwellan Park, siedziby rodowej lordów Meredithów. Morwellanowie od stuleci zamieszkiwali Morwellan Park, a dokładnie od czternastego wieku, zanim jeszcze nadano im tytuł hrabiowski. A ten piękny dwór został zbudowany na polecenie pradziadka Alathei, nad ukształtowaniem zieleni zaś czuwał jej dziadek.

Gdy dotarła do ogromnego, bogato rzeźbionego biurka, z którego korzystała od jedenastu lat, spojrzała na leżący na bibularzu list. Nie było szansy, żeby ugięła się przed groźbą, jaką zawierał. Nikt nie mógł zakłócić spokoju, który od dziesięciu lat z poświęceniem zapewniała rodzinie.

Patrząc na list Wiggsa, rozważała ogrom zadania, przed którym stała. Była zbyt realistką, żeby nie widzieć trudności i niebezpieczeństw. Jednak nie po raz pierwszy stała wobec groźby finansowej i towarzyskiej ruiny.

Wzięła list i przeczytała go ponownie. Nadszedł z Londynu w odpowiedzi na jej wiadomość wysłaną pośpiesznie przez umyślnego. Było to trzy dni temu, kiedy po raz drugi w jej życiu cały świat zatrzęsł się w posiadach.

Podczas ścierania kurzu w pokoju lorda pokojówka natknęła się na jakiś urzędowy dokument, wciśnięty do dużego wazonu. Na szczęście dziewczyna miała dość rozsądku, żeby zanieść papier do ochmistrzyni i kucharki, pani Figgs, która natychmiast wpadła do biblioteki i położyła list przed Alatheą.

Upewniwszy się, że niczego nie przeoczyła z listu Wiggsa, odłożyła go na bok. Przeniosła spojrzenie na szufladę z lewej strony biurka, gdzie spoczywał przeklęty dokument. Skrypt długi. Nie musiała go ponownie czytać – każdy szczegół odcisnięty był w jej pamięci. Nota wzywała lorda Mereditha do zapłacenia sumy, która przekraczała aktualną wartość całego majątku. W zamian miał otrzymać przyzwoity procent z dochodów, uzyskanych przez

ŚrodkowoWschodnią Afrykańską Kompanię Złota. Oczywiście nie było gwarancji, że kiedykolwiek pojawią się jakieś zyski, a poza tym ani ona, ani Wiggs, ani żaden z jego kolegów nie słyszeli o ŚrodkowoWschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota.

Gdyby spalenie noty dawało cokolwiek, z radością roznieciłaby ognisko na dywanie. Niestety, była to jedynie kopia weksla. Jej kochany, niezdecydowany, beznadziejnie niezaradny ojciec podpisał wyrok na przyszłość całej rodziny, kompletnie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Wiggs potwierdził, że weksel jest całkowicie legalny i podlega egzekucji, gdyby więc zażądano spłaty sumy, na jaką został wystawiony, rodzina by zbankrutowała. Straciliby nie tylko zadłużone drobniejsze włości i Morwellan House w Londynie, ale także Morwellan Park i wszystko, co do niego należało. Jeśli więc chciała mieć pewność, że rodzina Morwellanów pozostanie w Morwellan Park, że Charlie i jego synowie odziedziczą w całości dom przodków, że jej przyrodnie siostry wejdą do towarzystwa i znajdą godnych siebie mężów, musiała znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

Tak jak poprzednio.

W roztargnieniu stukając ołówkiem w bibularz, Alatheia wbiła niewidzące spojrzenie w portret pradziadka, który spoglądał na nią z przeciwległej ściany.

To nie był pierwszy raz, kiedy ojciec doprowadził rodzinę na krawędź ruiny. Już wcześniej stała w obliczu nędzy. Dla szlachetnie urodzonej kobiety, która wychowywała się w kręgu towarzyskiej elity, taka perspektywa była – i pozostała – przerażająca, zwłaszcza że była trudna do wyobrażenia. Alatheia nie miała wielkiego pojęcia, co oznacza nędza, i wcale nie zamierzała bliżej jej poznawać. Nie chciała też, żeby zapoznało się z nią jej niewinne rodzeństwo.

Tym razem była dojrzała niż poprzednio, więcej wiedziała – miała większe szanse, żeby poradzić sobie z zagrożeniem. Bo za pierwszym razem...

Cofnęła się myślami do owego popołudnia sprzed jedenastu lat, kiedy wybierała się na swój pierwszy bal i musiała zmienić

zamiary. Od tamtego czasu wzięła na siebie ciężar zarządzania rodzinnymi finansami i pracowała niestrudzenie, aby odbudować fortunę rodu, jednocześnie utrzymując na zewnątrz wrażenie bogactwa. Nalegała, żeby chłopcy poszli do Eton, a następnie do Oksfordu. Charlie miał tam rozpocząć studia już we wrześniu. Oszczędzała i ciułała każdy grosz, żeby zawieźć Mary i Alice do miasta i zapewnić im debiut w wielkim stylu.

Cała służba czekała na przeprowadzkę do Londynu, mającą nastąpić już za parę dni. Ona sama miała nadzieję cieszyć się subtelnym zwycięstwem nad losem w chwili, gdy jej przyrodnie siostry będą dygać przed zgromadzoną elitą.

Alathea długo patrzyła przed siebie, rozważając, oceniając, odrzucając różne rozwiązania. Tym razem oszczędność na nic się nie zda – żadna zaoszczędzona kwota nie mogła się równać z sumą wymienioną w skrypcie dłużnym. Odwróciła się i wyciągnęła szufladę z lewej strony biurka. Wyciągnęła weksel i ponownie starannie go przestudiowała. Zaczęła rozważać możliwość, że ŚrodkowoWschodnia Afrykańska Kompania Złota jest wielkim oszustwem.

Żadne uczciwie działające przedsiębiorstwo nie skłoniłoby jej niezaradnego w interesach ojca do zainwestowania ogromnej sumy pieniędzy bez uprzedniego dyskretnego sprawdzenia, czy może sprostać takiemu zobowiązaniu. Im dłużej rozważała sprawę, tym bardziej była przekonana, że ani ona, ani Wiggs nie popełnili żadnej pomyłki. ŚrodkowoWschodnia Afrykańska Kompania Złota była jednym wielkim szwindlem.

Nie miała zamiaru pokornie oddawać wszystkiego, co w ciągu ostatnich jedenastu lat zdobyła dla zabezpieczenia przyszłości rodziny, żeby jacyś podli oszuści mogli sobie wymościć gniazdko.

Musiało istnieć jakieś wyjście – do niej należało znalezienie go.



## Rozdział 1

6 maja 1820 roku

Londyn

Ramiona Gabriela Cynstera, przemierzającego krużganki kościoła Świętego Jerzego w pobliżu Hanover Square, otoczyły opary mgły. Powietrze było chłodne, a mrok krużganków rozpraszało miejscami słabe światło ulicznych latarni.

Dochodziła trzecia w nocy: modny Londyn spał w najlepsze. Umilkł stukot kół powozów, odwożących do domu nocnych marków, i nad miastem zapadła głęboka cisza.

Dotarłszy do końca podcieni, Gabriel się odwrócił. Zmrużonymi oczami uważnie przyjrzał się kamiennemu tunelowi, utworzonemu pomiędzy frontonem kościoła a wysokimi kolumnami podpierającymi fasadę. Mgła kłębiła się i wirowała, przesłaniając widok. Tydzień wcześniej Gabriel stał w tym samym miejscu, obserwując jednego ze swoich kuzynów, Demona, odjeżdżającego wraz z nowo poślubioną żoną. Poczul wtedy nagły chłód – może było to ostrzeżenie, przeczucie nadciągających wydarzeń.

Liścik mówił: o trzeciej nad ranem w krużgankach kościoła Świętego Jerzego. Miał ochotę go wyrzucić, traktując jak kiepski żart, jednak coś w tych słowach obudziło w nim więcej niż tylko ciekawość. List napisany był w rozpaczy, chociaż trudno by mu było powiedzieć, skąd ta pewność. Tajemnicza hrabina, kimkolwiek była, pisała prosto i bez ogródek, że pragnie się z nim spotkać, by wyjaśnić, czemu potrzebuje jego pomocy.

Stawił się więc. Lecz gdzież była hrabina?

Rozległo się bicie miejskich zegarów, przeszywające ciężką kurtynę nocy. Nie na wszystkich wieżach zegary wydzwaniały nocne godziny, jednak dźwięki tych, które biły, układały się w dziwną frazę, powtarzaną w różnych tonacjach. Stłumione dźwięki słabły, aby wreszcie ucichnąć. Znow zapadła cisza.

Gabriel zawrócił i zaczął iść wzdłuż krużganków powolnym, swobodnym krokiem.

Wyłoniła się z głębokiego cienia przy kościelnych drzwiach. Jej spódnicę otaczała mgła.

Odwróciła się powoli, dostojnie, ku niemu. Była otulona peleryną, a twarz zakryła welonem, nieprzenikniona, tajemnicza jak noc.

Gabriel zmrużył oczy. Czy stała tam przez cały czas? Czy przeszedł obok, nie widząc jej, nie wyczuwając jej obecności? Nie zmieniając tempa, nadal zmierzał w jej stronę. Kiedy się do niej zbliżył, uniosła głowę. Była bardzo wysoka. Gdy się zatrzymał tuż przed nią, spostrzegł, że nie może patrzeć ponad jej głową. To było zdumiewające. Mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt; hrabina musiała być podobnego wzrostu.

Jednym spojrzeniem ocenił, że miała niezwykle proporcjonalną figurę.

– Dzień dobry, panie Cynster. Dziękuję, że pan przyszedł.

Skłonił głowę, odrzucając szalone przypuszczenie, że ma do czynienia z jakimś psikusem, z przebranym za kobietę chłopcem. Jego doświadczone zmysły wyczuły w niej kobietę na podstawie paru wykonanych kroków, sposobu, w jaki się obróciła. Miała też miękkie, niski głos, stanowiący kwintesencję kobiecości.

Dojrzałej kobiecości. Z pewnością nie była młodką.

– W pani liście przeczytałem, że potrzebuje pani mojej pomocy.

– Tak. – A po chwili dodała: – Moja rodzina potrzebuje pomocy.

– Pani rodzina? – W mroku jej welon był nieprzenikniony. Nie widział nawet zarysu brody czy ust.

– Powinam była powiedzieć, że moja przyrodnia rodzina.

Dotarła do niego woń jej perfum, egzotyczna, kusząca.

– Może najpierw określimy, na czym polega pani problem i czemu sądzi pani, że mógłbym jej pomóc.

– Może pan pomóc. Nigdy bym nie prosiła o spotkanie, nigdy bym się nie odważyła opowiedzieć panu tego wszystkiego,

gdybym nie wiedziała, że może mi pan pomóc. – Przerwała i głęboko wciągnęła powietrze. – Mój problem dotyczy skryptu dłużnego, który podpisał mój były mąż.

– Były mąż?

Pochyliła głowę.

– Jestem wdową.

– Kiedy zmarł pani mąż?

– Ponad rok temu.

– A zatem wszystkie jego posiadłości przypadły komuś w spadku.

– Owszem. Tytuł i wszelkie włości należą teraz do mojego pasierba, Charlesa.

– Do pasierba?

– Byłam drugą żoną mojego męża. Pobraliśmy się parę lat temu. Dla niego było to bardzo późne drugie małżeństwo. Chorował przez kilka lat przed śmiercią. Wszystkie dzieci miał z pierwszą żoną.

Cynster zawahał się, po czym zadał pytanie:

– Mam rozumieć, że wzięła pani dzieci zmarłego męża pod swoje skrzydła?

– Tak. Czuję się odpowiedzialna za ich los. I dlatego właśnie... ze względu na nie... szukam u pana pomocy.

Gabriel bacznie obserwował jej zakwefioną postać, świadom, że sam podlega podobnej lustracji.

– Wspomniała pani o wekslu.

– Muszę wyjaśnić, że mój mąż miał słabość do wdawania się w niepewne interesy. Podczas ostatnich lat jego życia wspólnie z jego doradcą finansowym udawało mi się skutecznie ograniczać tego typu posunięcia do minimum. Jednak trzy tygodnie temu służąca natrafiła na urzędowy dokument, ciśnięty w kąt i zapomniany. To był właśnie ów skrypt dłużny.

– Wystawiony dla kogo?

– Dla ŚrodkowoWschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota.

Słyszał pan może o niej?

Potrząsnął głową.

- Nie.
- Podobnie jak nasz doradca i jego koledzy.
- Na wekslu powinien być adres kompanii.
- Nie ma go tam. Jest tylko nazwa firmy prawniczej, która wystawiła dokument.

Gabriel żonglował fragmentami łamigłówek, które mu podawała, świadom, że każda informacja była wcześniej starannie oceniona.

Wyciągnęła spod peleryny zwinięty pergamin. Niewątpliwie dobrze przygotowała się na spotkanie. Pomimo wyęźniania wzroku nie udało mu się dostrzec nawet rąbka sukni pod peleryną. Ręce również miała zasłonięte, wsunięte w długie, sięgające aż do rękawów, skórzane rękawiczki. Wziął od niej pergamin, rozwinął go i odwrócił się tak, aby światło ulicznej latarni padało na papier.

Podpis poręczyciela, pierwsza rzecz, na jaką zerknął, przesłonięty był kawałkiem grubego papieru, przyklejonego woskiem do dokumentu. Spojrzał na hrabinę.

- Nie musi pan znać nazwiska – stwierdziła spokojnie.
- Dlaczego nie?
- Stanie się to oczywiste, gdy przeczyta pan weksel. Zaczął czytać, wyęźniając wzrok w marnym świetle.
- Wygląda na autentyczny dokument. – Przeczytał go jeszcze raz, po czym spojrzał na nią. – Inwestycja jest niewątpliwie ogromna i można założyć, że niesie ze sobą wielkie ryzyko. Jeśli kompania nie została przez pani męża właściwie sprawdzona, angażowanie się w taki interes było rzeczywiście bardzo nierozważnym posunięciem. Nie widzę jednak, na czym polega pani problem.

– Problem polega na tym, że kwota, na jaką opiewa weksel, znacznie przekracza aktualną wartość posiadanego przez nas majątku.

Gabriel spojrzał ponownie na wypisaną na dokumencie kwotę, szybko ją przeliczył. Nie pomylił się.

- Jeśli ta suma przewyższa wszelkie państwa zasoby...
- No właśnie – rzekła hrabina z charakterystycznym dla

siebie zdecydowaniem. – Wspomniałam już, że mój małżonek lubił ryzykowne interesy. Zanim weszłam do rodziny, przez ponad dziesięć lat balansował na krawędzi ruiny. Odkryłam prawdę dopiero po ślubie. Od tej chwili osobiście pilnowałam wszystkich interesów. Wspólnie z doradcą finansowym mojego męża byliśmy w stanie prowadzić sprawę tak, żeby rodzina nie pogrążyła się w długach. – Bezskutecznie próbując ukryć swoją słabość, twardym głosem dodała: – Ale ten Wechsel oznacza koniec. Sedno problemu leży w tym, że dokument naprawdę zdaje się autentyczny i jeśli ktoś zażąda jego wykupienia, rodzina będzie zrujnowana.

– I dlatego nie chce pani, abym poznał nazwisko.

– Zna pan wyższe sfery. Poruszamy się w tych samych kręgach. Gdyby nasze kłopoty finansowe stały się publiczną tajemnicą, nawet nie wspominając o nieszczęsnym skrypcie dłużnym, rodzina byłaby towarzysko skończona. Dzieci nigdy nie mogłyby osiągnąć należnej im pozycji.

Gabriel zeszywniał.

– Dzieci. Wspomniała pani Charlesa, młodego lorda. A inne?

– Są dwie dziewczynki, Ma... Maria i Alicia. Jesteśmy teraz w Londynie ze względu na ich pierwszy bal. Oszczędzałam przez lata, żeby miały wspaniały debiut... – zawiesiła głos. Po chwili ciągnęła dalej: – Jest jeszcze dwójka w wieku szkolnym oraz starsza kuzynka, Serafina, która również należy do rodziny.

Gabriel przysłuchiwał się bardziej jej tonowi niż słowom. Wyraźnie słychać w nim było prawdziwe przywiązanie, troskę i zaangażowanie. Niepokój. Bez względu na to, co próbowała ukryć, tego nie potrafiła zamaskować.

Gabriel uniósł do oczu dokument, przyglądając się podpisowi prezesa kompanii. Zakreślony ostrym, śmiałym pismem, był zupełnie nieczytelny; z pewnością go nie znał.

– Nie wyjaśniła pani, dlaczego uważa, że mogę pomóc.

Pytanie zabrzmiało niezbyt pewnie, zgadywał bowiem odpowiedź.

Hrabina wyprostowała ramiona.

– Razem z naszym doradcą jesteśmy przekonani, że ta

kompania to oszustwo, przedsiębiorstwo założone tylko po to, żeby wyłudzać pieniądze od łatwowiernych inwestorów. Sam weksel jest bardzo podejrzany, nie ma na nim ani adresu, ani nazwisk właścicieli. Poza tym żadna uczciwa kompania nie przyjęłaby weksla bez uprzedniej gwarancji wypłacalności zyranta.

– Mąż nie wystawił żadnego czeku?

– Nasz doradca musiałby o tym wiedzieć. Jak może pan sobie wyobrazić, nasz bank od lat pozostawał z nim w bezpośrednim kontakcie. Oboje sprawdzaliśmy wszystko, na ile mogliśmy, żeby nie wzbudzić podejrzeń, i nie znaleźliśmy nic, co pozwoliłoby nam zmienić zdanie. Środkowo-Wschodnia Afrykańska Kompania Złota wygląda na jeden wielki szwindel. – Zaczerpnęła powietrza. – A jeśli tak jest, to gdyby udało nam się zebrać dość dowodów, żeby to wykazać i przedstawić je przed sądem, skrypt dłużny mógłby zostać uznany za nieważny. Jednak musimy zdążyć, zanim weksel zacznie być ściągalny, a od czasu jego podpisania minął już rok.

Gabriel zwinął dokument, jednocześnie rozmyślając o hrabinie. Pomimo jej welonu i peleryny miał wrażenie, że dużo o niej wie.

– Czemu właśnie ja?

Podał jej weksel. Wzięła go od niego i ukryła pod peleryną.

– Stworzył pan sobie reputację człowieka odslaniającego nieuczciwe knowania, a na dodatek... – uniosła głowę – ...należy pan do rodu Cynsterów.

Niemal się roześmiał.

– Co to ma do rzeczy?

– Cynsterowie lubią wyzwania.

– To prawda – mruknął.

– Ja zaś wiem, że mogę powierzyć Cynsterom sekret.

Unióśł pytająco brwi.

– Jeśli zgodzi się pan mi pomóc, będzie pan musiał obiecać, że nigdy nie spróbuje ustalić tożsamości mojej ani mej rodziny. – Przerwała, po czym ciągnęła dalej. – A jeśli nie zdecyduje się pan nam pomóc, wiem, że nie wspomni pan nikomu o naszym

spotkaniu i o niczym, czego się pan tu dowiedział.

Gabriel uniósł brwi. Przyglądał jej się z powstrzymanym rozbawieniem i pewnym szacunkiem. Rzadko kiedy spotykał taką śmiałość u kobiety. Hrabina nie sprawiała też wrażenia osoby nierozważnej – jasno wyznaczyła sobie cel i przedstawiła swoje plany.

Rozmyślnie go prowokowała.

Czyżby wyobrażała sobie, że skoncentruje się wyłącznie na kompanii? Czy inne wyzwania, które mu rzucała, nie były zamierzone...?

Zresztą czy miało to jakieś znaczenie?

– Jeśli zgodzę się pomóc, to od czego mielibyśmy zacząć? – Zadał pytanie bez zastanowienia. Kiedy już padło, w duchu zdziwił się użytą przez siebie liczbą mnogą.

– Od prawników kompanii. A przynajmniej od tych, którzy wystawili weksel, Thurlowa i Browna. Ich nazwiska widnieją na dokumencie.

– Ale nie ma ich adresu.

– Nie, ale jeśli działają legalnie – a chyba muszą, prawda? – to łatwo będzie ich wytropić. Sama mogłabym się tym zająć, ale...

– Ale wątpi pani, żeby wasz doradca pochwalał to, co będzie pani chciała później zrobić, więc wołała go pani o nic nie pytać?

Pomimo welonu wyobraził sobie spojrzenie, jakim go obrzuciła, zmrużenie oczu, zaciśnięcie ust. Skinęła potakująco zdecydowanym ruchem głowy.

– Właśnie tak. Sądzę, że jednak trzeba będzie przeprowadzić jakieś śledztwo. Wątpię, żeby legalnie działająca firma prawnicza chciała podać informacje o jednym ze swoich klientów.

Gabriel nie był tego taki pewien – przekona się o tym, gdy zlokalizuje firmę Thurlow i Brown.

– Będziemy musieli się dowiedzieć, kim są szefowie owej kompanii, a następnie poznać szczegóły ich działania.

– Szczegóły ich przyszłych działań. – Rzucił jej spojrzenie, żałując, że nie widzi przez welon. – Zdaje sobie pani sprawę z tego, że najmniejszy błąd w naszym śledztwie może zaalarmować

szeferów spółki? Jeśli, zgodnie z pani podejrzeniami, firma jest fikcyjna, wówczas zbyt bliskie zainteresowanie kogokolwiek, a zwłaszcza moje, sprowokuje pospieszne żądanie pieniędzy. Tak reagują oszuści – zgarniają wszystko, co im wpadnie w ręce, i znikają, zanim ktokolwiek zdąży się czegoś o nich dowiedzieć.

Od ponad pół godziny stali w przypominających mauzoleum podcieniach kościoła. Wraz ze zbliżającym się świtem temperatura spadała, a wilgotny ziąb stawał się coraz bardziej przejmujący. Gabriel zdawał sobie z tego sprawę, lecz otulony płaszczem nie czuł chłodu. Natomiast okryta peleryną hrabina była cała zeszywniała i niemal dygotała z zimna.

Zacisnął usta, powstrzymując chęć przytulenia jej do siebie, i szorstkim, bezlitosnym głosem stwierdził:

– Rozpoczynając śledztwo w sprawie kompanii, ryzykuje pani bankructwo swojej rodziny.

Jeśli była gotowa wzniecić ogień, musiała być świadoma, że może w nim spłonąć.

Uniosła głowę i się wyprostowała.

– Jeśli nie rozpocznę śledztwa i nie udowodnię, że to oszuści, moja rodzina zbankrutuje na pewno.

Chociaż uważnie wsłuchiwał się w jej głos, nie wytropił w nim nawet śladu wahania. Skinął głową.

– W porządku. Skoro podjęła pani decyzję o rozpoczęciu śledztwa, pomogę pani.

Gdyby się spodziewał wylewnych podziękowań, byłby srodze rozczarowany. Na szczęście niczego takiego nie oczekiwał. Stała bez ruchu, bacznie mu się przyglądając.

– I przysięgnie pan...

Tłumiąc westchnienie, podniósł prawą dłoń.

– Przysięgam przed Bogiem, że...

– Niech pan przysięgnie na nazwisko Cynsterów.

Zamrugał, po czym podjął:

– Przysięgam na moje nazwisko rodowe, że nie będę się starał rozpoznać pani ani pani rodziny. W porządku?

W ciemności szept hrabiny zabrzmiał niczym szelest



jedwabiu.

– Tak.

Wyraźnie się odprężyła. Gabriel również się rozluźnił.

– Kiedy dżentelmeni zawierają umowę, zwykle na koniec podają sobie ręce.

Zawahała się, po czym wyciągnęła dłoń.

Zacisnął palce na jej palcach tak, że jego kciuk znalazł się w zagłębieniu jej dłoni i przyciągnął ją do siebie. Usłyszał, że gwałtownie wciąga powietrze, poczuł nagłe bicie jej pulsu, jej zaskoczenie. Drugą ręką ujął ją pod brodę, nachylając jej usta ku sobie.

– Myślałam, że mamy sobie uścisnąć dłonie – wyszeptała bez tchu.

– Nie jest pani dżentelmenem. – Przyglądał się jej twarzy. Pod gęstym welonem mógł dostrzec jedynie błysk jej oczu i zarys ust. – Kiedy dżentelmen ubija interes z damą, robi to tak. – Opuścił głowę i dotknął wargami jej warg.

Pod jedwabnym welonem były miękkie i pełne – czysta pokusa. Niemal się nie poruszyły, jednak jasno wyczuwał zawartą w nich obietnicę. Ten pocałunek, który powinien być uznany za najbardziej niewinny w całej jego karierze, okazał się iskrą przyłożoną do krzesiwa, zarzewiem pożogi. Poczuł absolutną pewność. Podniósł głowę, spojrzał w dół na jej zakwefione oblicze i zadał sobie pytanie, czy ona również to poczuła.

Jej palce, które nadal trzymał, dygotały. Drugą dłonią, która spoczywała pod jej brodą, wyczuwał lekkie napięcie. Nie odrywając spojrzenia od jej twarzy, uniósł jej rękę i złożył pocałunek na obciążonych rękawiczką palcach, po czym puścił ją niechętnie.

– Sprawdzę, gdzie mają swoją siedzibę Thurlow i Brown, i zobaczę, czego jeszcze uda mi się dowiedzieć. Rozumiem, że będzie pani chciała otrzymywać informacje o moim dochodzeniu. Jak mogę się z panią kontaktować?

Cofnęła się.

– Odezwę się do pana.

Omiotła spojrzeniem jego twarz. Następnie, nadal lekko spięta, zapanowała nad sobą i pochyliła głowę.

– Dziękuję. Dobranoc.

Mgła rozstąpiła się, a potem zasunęła za nią, gdy zeszła po stopniach. I znikła, pozostawiając go samotnego w mroku.

Gabriel odetchnął głęboko. Do jego uszu docierały niesione przez mgłę odgłosy oddalających się kroków. Jej pantofelki zastukały na bruku, potem rozległ się brzęk uprząży. Chwilę później usłyszał kłaśnięcie lejców o koński zad i zamierający turkot kół powozu.

Było wpół do czwartej nad ranem, on zaś wcale nie czuł się śpiący. Unosząc szyderczo kąciki ust, zszedł po schodkach. Otulił się płaszczem i ruszył w drogę do domu. Czuł się pełen energii, gotów do zmierzenia z całym światem. Poprzedniego dnia, zanim nadszedł liścik od hrabiny, siedział ponury nad poranną kawą, dumając, w jaki sposób rozproszyć nudę, która go ogarnęła. Rozważał wszelkie zajęcia, wszelkie rozrywki, wszelkie możliwości, jednak nic nie wzbudziło w nim nawet cienia zainteresowania.

Liścik hrabiny obudził nie tylko zainteresowanie, ale i chęć zaspokojenia ciekawości. Ciekawość w części udało mu się zaspokoić, jednak...

Oto miał do czynienia z odważną, zbuntowaną wdową, zdecydowaną bronić swej rodziny, a ściśle mówiąc, rodziny byłego męża, przed groźbą straszliwej nędzy, przed perspektywą towarzyskiego ostracyzmu. Jej wrogami byli nieznani protektorzy oszukańczej kompanii. Sytuacja wymagała zdecydowanego, wspartego ostrożnością działania. Wszelkie czynności śledcze powinny być prowadzone potajemnie. Powiedziała mu to.

Co jeszcze wiedział?

Była Angielką, niewątpliwie szlachetnie urodzoną. Jej akcent, zachowanie i subtelna uwaga, że obracają się w tych samych kręgach, nie pozostawiały żadnych wątpliwości w tej materii. I dobrze знаła rodzinę Cynsterów. Nie dość, że to powiedziała, na dodatek całe jej zachowanie opracowane zostało z

myślą o tym, żeby poruszyć uczucia drzemiące w każdym Cynsterze.

Gabriel skręcił w Brook Street. Hrabina nie wiedziała, że teraz nie kierował się już impulsem. Interesy, które prowadził, wymagały trzymania emocji na wodzy. Ponadto zdecydowanie nie lubił, gdy nim manipulowano, w żadnej dziedzinie. Jednak w tym przypadku zdecydował się podjąć grę.

Hrabina stanowiła bowiem intrygujące wyzwanie. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu. A większość tych stu osiemdziesięciu centymetrów przypadała na nogi, co niewątpliwie zwracało uwagę takiego rozpustnika jak on. Co zaś dotyczyło jej ust i rozkoszy, jakie obiecywały... już postanowił, że będą należały do niego.

Wiedział, że czasem tak się zdarzało, iż wystarczyło jedno spojrzenie, jedno dotknięcie. Nie mógł jednak sobie przypomnieć, by kiedykolwiek był tak silnie poruszony i tak bardzo zdecydowany rozpocząć łowy.

Znów poczuł przypływ energii. Hrabina i jej problem były tym, czego potrzebował, żeby zapełnić istniejącą pustkę w życiu – wyzwaniem i podbojem jednocześnie.

Gdy dotarł do domu, wspiał się po schodach i wszedł do środka. Zamknął i zaryglował drzwi, po czym zerknął w głąb saloniku. Na szafce koło kominka spoczywał egzemplarz *Księgi rodów* Burke'a.

Krzywiąc usta, ruszył ku schodom. Gdyby nie obietnica, że nie będzie starał się jej zidentyfikować, natychmiast skierowałby się do szafki i pomimo późnej pory sprawdził, który par zmarł niedawno, pozostawiając syna Charlesa. Nie mogło być wielu takich. Zamiast tego, czując się niezwykle szlachetnie, co rzadko mu się zdarzało, skierował kroki ku łóżku, analizując rozmaite plany działania.

Przyrzekł, że nie będzie się starał ustalić jej tożsamości. Nie obiecał jednak, że nie będzie się starał jej skłonić, by sama wszystko mu ujawniła.

Swoje nazwisko. Swoją twarz. Te długie nogi. I jeszcze więcej.

\* \* \*

– No i jak? Jak pani poszło?

Spod uniesionego welonu Alatheia patrzyła na przejęte twarze, skupione u podnóża schodów. Dosłownie przed chwilą przekroczyła próg Morwellan House przy Mount Street. Za jej plecami odzwierny Crisp pospiesznie zasunął zamki i odwrócił się, żeby nie stracić nic z jej opowieści.

Pytanie zadała Nellie, pokojówka Alatheii, okryta wełnianym szlafrokiem w delikatne wzorki. Wokół Nellie, ubrani w mniej lub bardziej nocne stroje, stali najstarsi służący – najdzielniejsi popiecznicy Alatheii.

– Milady, proszę nie trzymać nas w niepewności.

Powiedziała to pani Figgs, kucharka i ochmistrzyni w jednej osobie. Pozostali pokiwali głowami – Folwell, stajenny Alatheii z lokiem nad czołem, i Crisp, dzierżący w ręce zwinięty weksel, który dała mu na przechowanie.

Alatheia westchnęła w duchu. W jakim innym domu panią powracającą z niedopuszczalnego spotkania o czwartej nad ranem mogłoby spotkać takie powitanie? Uspokajając nerwy i przekonując się, że na pewno nikt się nie domyśla, iż Gabriel ją pocałował, odsunęła welon z twarzy.

– Zgodził się.

– Wyśmienicie! – Chuda jak szczapa guwernantka, panna Helm, nerwowo owinęła się różowym szalem. – Jestem pewna, że pan Cynster wszystkim się zajmie i obnaży machinacje tych paskudnych ludzi.

– Dzięki Bogu – zawołał Connor, poważny garderobiany Sereny.

– W rzeczy samej. – Alatheia znalazła się w świetle świec, trzymanyh przez Nellie, Figgs i pannę Helm. – Ale powinniście być wszyscy w łóżkach. Zgodził się pomóc, i nic więcej nie ma do opowiadania.

Alatheia wygoniła wszystkich, po czym ruszyła po schodach na górę. Nellie deptała jej po piętach, oświetlając drogę.

– Co się naprawdę zdarzyło? – szepnęła, kiedy znalazły się na piętrze.

– Ciii! – Alatheia machnęła ręką w stronę długiego korytarza. Minęły pokój rodziców Alatheii, a potem pokój Alice i Mary. W końcu dotarły do pokoju na końcu korytarza.

Nellie zamknęła za nimi drzwi. Alatheia rozwiązała pelerynę i zsunęła ją z ramion. Nellie pochwyciła okrycie.

– A teraz, moja droga panienko, chyba nie będziesz we mnie wmawiać, że nie rozpoznał cię w przebraniu?

– Oczywiście, że mnie nie poznał. Mówiłam ci, że się nie zorientuje. – Gdyby ją poznał, na pewno by jej nie pocałował.

Alatheia usiadła na stołeczku przed toaletką i wyciągnęła spinki, uwalniając nieprzyzwyczajone do upinania włosy z koka. Zwykle związywała włosy wysoko, wyciągając luźne pasma, które opadały swobodnie, tworząc żywe obramowanie wokół twarzy dziewczyny. Było to dość staromodne uczesanie, ale bardzo do niej pasowało. W koku również ładnie wyglądała, ale nieprzywykłe do takiej fryzury włosy były naciągnięte w różne strony i bolała ją od tego skóra na głowie.

Nellie podeszła, żeby jej pomóc.

– Nie mogę uwierzyć, żeby po tylu latach wspólnego włóczenia się po polach nie potrafił pani natychmiast rozpoznać, nawet ukrytej za welonem.

– Zapominasz, że pomimo wielu lat wspólnego włóczenia się po polach, w ciągu ostatniej dekady Rupert niemal wcale mnie nie widywał. Od czasu do czasu spotykaliśmy się tylko przypadkiem, tu i ówdzie.

– Nie poznał pani po głosie?

– Nie. Mówiłam zmienionym głosem.

Niskim, ciepłym tonem, a nie cierpkim, pełnym jadu, jakim zwykle zwracała się do niego. Tylko przez kilka chwil pozostała bez tchu... nie sądziła jednak, żeby kiedykolwiek wcześniej słyszał, jak zabrakło jej tchu. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek zdarzyło jej się być tak zdenerwowaną i niespokojną. Kiedy rozpuściła wreszcie włosy, z westchnieniem

odchyliła głowę do tyłu.

– Nie doceniasz mnie. Przecież jestem świetną aktorką.

Nellie mruknęła coś, ale nie zaprzeczyła. Zaczęła rozczesywać długie włosy dziewczyny.

Alathea przymknęła oczy i się odprężyła. Doskonale potrafiła naśladować ludzi, wcielać się w różne postaci, dopóki rozumiała ich charaktery. W tym przypadku sprawa była bardzo prosta.

– Staralam się jak najmniej zmyślać. Naprawdę wierzy, że jestem hrabiną.

Nellie mruknęła ponownie.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego nie mogła pani po prostu napisać do niego miłego listu, prosząc, by sprawdził dla pani tę kompanię.

– Bo musiałabym podpisać list imieniem Alathej Morwellan.

– Jestem przekonana, że zrobiłby to dla pani.

– Och, na pewno by nie odmówił, tylko przekazał sprawę swojemu agentowi, panu Montague'owi. Bez wyjaśnienia, dlaczego to absolutnie konieczne, by udowodnił, iż kompania jest oszustwem, Rupert nie uznałby sprawy za dość ważną dla siebie.

– Nie rozumiem jednak, czemu po prostu nie powie mu pani...

– Nie! – Alathea otworzyła oczy i się wyprostowała. Przez króciutką chwilę relacje pomiędzy panią i służącą były jasne, widoczne w dominującym spojrzeniu Alathej, w jej surowym wyrazie twarzy i w nagłej ostrożności, która pojawiła się na obliczu Nellie.

Twarz Alathej złagodniała. Dziewczyna zawahała się, ale Nellie była jedyną osobą, z którą odważyła się omówić wszystkie swoje plany. Była jedyną osobą, której zaufała. Chociaż podejrzewała, że oznaczało to zdradzenie planów całej tamtej grupce z dołu, nigdy o tym nie wspomnieli, więc nie przeszkadzało jej to. Musiała z kimś porozmawiać. Odetchnęła głęboko i usadowiła się na stołku.

– Wierz mi albo nie, Nellie, ale nadal mam swoją dumę. – Zamknęła oczy, gdy służąca znów zaczęła szcztokować jej włosy.

– Czasami wydaje mi się, że to jedyne, co mi pozostało. Nie zaryzykuję opowiedzenia mu wszystkiego. Nikt nie wie, jak blisko ruiny byliśmy wtedy i jak bliscy bankructwa jesteśmy dzisiaj.

– Sądzę, że Rupert okazałby zrozumienie. Nie rozpowiedziałby wszędzie.

– W jego przypadku nie o to chodzi. Nellie, nawet sobie nie wyobrażasz, jak bogaci są Cynsterowie. Nawet ja mam kłopoty, żeby ogarnąć sumy, którymi Rupert obraca.

– Nie pojmuję, co to ma wspólnego z naszym problemem. Alathea poczuła znajome szarpnięcia, gdy Nellie zaczęła pleść jej warkocz.

– Powiedzmy, że potrafię stawić czoło oszukańczym kompaniom i groźbie katastrofy, ale nie wyobrażam sobie, bym potrafiła znieść czyjąś litość.

Jego litość.

Nellie westchnęła.

– No cóż, skoro tak musi być...

Alathea wyczuła jej pełne rezygnacji wzruszenie ramion. Po chwili służąca spytała:

– Ale w jaki sposób skłoniła go pani do pomocy, nie mówiąc mu nic o rodzinie?

– To właśnie było głównym celem mojej maskarady. Powiedziałam mu. Powiedziałam wszystko. Nie mogłam przecież się spodziewać, że mi pomoże, nie znając szczegółów, a już na pewno nie pomógłby mi, gdyby nie istniała prawdziwa rodzina i realne zagrożenie. Nigdy nie było łatwo skłonić go do działania, ale jak wszyscy Cynsterowie zawsze reagował na pewne bodźce. Musiał być przekonany o istnieniu rodziny i grożącego jej niebezpieczeństwa, ale przedstawiłam mu to jako problem rodziny hrabiny. Mój ojciec zamienił się w zmarłego męża, ja zostałam hrabiną, jego drugą żoną, a moje przyrodnie rodzeństwo wcieliło się w rolę dzieci mojego męża z pierwszego małżeństwa. Serenę mianowałam kuzynką.

Przerwała, wspominając.

– Co się stało?

Unosząc wzrok, Alatheia ujrzała Nellie, przyglądającą się jej z troską.

– Nie musi mi pani mówić, że coś poszło nie tak. Zawsze poznam to sama po pani minie.

– Nic nie poszło nie po mojej myśli. – Nie zamierzała opowiadać Nellie o tamtym pocałunku. – Po prostu nie wymyśliłam imion dla dzieci. Zamiast Charliego był Charles, to i tak pospolite imię, nie spodziewałam się jednak, że Rupert zapyta mnie o pozostałe dzieciaki. Kiedy to zrobił... cóż, tak bardzo utożsamiałam się z hrabiną, że nie mogłam rozsądnie myśleć. A musiałam natychmiast nadać im imiona, żeby nie zaczął czegoś podejrzewać.

Nellie wypuściła z rąk zapleciony warkocz i wbiła wzrok w Alatheę.

– Nie podała pani chyba ich prawdziwych imion?

Alatheia podniosła się i odeszła od stolika.

– Niezupełnie.

Nellie zaczęła rozsznurowywać jej suknię.

– Jakie więc nadała im pani imiona?

– Maria, Alicia i Serafina. Pozostałych nie wspomniałam.

– Brzmiały prawie identycznie. Co będzie, jeśli sięgnie po jedną z ksiąg, w której jesteście wszyscy wymienieni? Wystarczy, że przejrzy strony poświęcone hrabiom, a wszystko stanie się jasne. Będzie wiedział, kim pani jest. – Nellie wyprostowała się i pomogła swej chlebodawczyni zdjąć suknię. – Nie chciałabym wówczas być w pani skórze, panienko. Nie będzie zadowolony.

– Wiem. – Alatheia zadygotała, modląc się, żeby Nellie położyła to na karb zimna. Doskonale wiedziała, co się stanie, jeśli szczęście się od niej odwróci i Rupert Melrose Cynster odkryje, że to ona była jego tajemniczą hrabiną, że to ona była kobietą, którą pocałował w krużgankach kościoła Świętego Jerzego.

Rozpęta się piekło.

Miał usposobienie podobne do niej. To znaczy nie sprawiał wrażenia, że ma cierpliwość, dopóki jej nie tracił.

– Dlatego właśnie zmusiałam go do złożenia obietnicy, że nie



będzie próbował mnie zidentyfikować. Jeśli mój plan się powiedzie, nigdy nie dowie się prawdy – dodała.

Wiedziała, że nie byłby zachwycony takim mydleniem mu oczu. Charakteryzowała go głęboka niechęć do wszelkich oszustw. Podejrzewała, że właśnie dlatego zyskał opinię demaskatora różnych szalbierstw w interesach.

– Na razie wszystko idzie świetnie. Poznał hrabinę, usłyszał jej opowieść i zgodził się pomóc. Chce jej pomóc, chce zdemaskować tamtych ludzi i ich proceder. I to się liczy. – Nie była pewna, czy próbuje przekonać Nellie, czy samą siebie: od tamtego pocałunku żołądek nie dawał jej spokoju. – Lady Celia stale narzeka, że jest zbyt leniwy, zanadto znudzony życiem. Sprawa hrabiny zmobilizuje go, pozwoli zająć się czymś, co go zainteresuje.

– Zaraz powie pani, że wystrychnięcie go na dudka dobrze mu zrobi – parsknęła Nellie.

Alathea miała dość przyzwoitości, żeby się zaczerwienić.

– Nic mu się nie stanie. A ja będę ostrożna, więc nie ma powodów do obaw, że kiedykolwiek się dowie, iż został, jak to określiłaś, wystrychnięty na dudka. Dopilnuję, żeby nigdy nie spotkał się z hrabiną w świetle dnia ani przy silnym oświetleniu. Zawsze będę przesłaniać twarz welonem. Na tych obcasach, które czynią mnie jeszcze wyższą – wskazała na porzucone przy stole pantofle – i z tymi perfumami – machnęła ręką w stronę flakonika z weneckiego szkła, stojącego obok lustra – których Alathea Morwellan nigdy by nie użyła, naprawdę nie widzę żadnego niebezpieczeństwa, że mnie rozpozna.

Alathea skierowała się do łóżka. Nellie ruszyła przed nią, żeby odchylić kołdrę i wyjąć z łóżka miedziany zbiornik z gorącą wodą. Alathea z westchnieniem wśliznęła się pod kołdrę.

– A więc wszystko świetnie się układa. Kiedy zaś kompania zostanie zdemaskowana i rodzina będzie bezpieczna, hrabina po prostu rozplynie się we mgle.

Nellie chrząknęła. Kręciła się obok, porządkując rzeczy, wieszając ubranie Alathei.

– Nadal nie pojmuję, czemu nie mogła pani zwyczajnie pójść do niego i powiedzieć mu wprost, o co chodzi. Nie mam nic przeciwko dumie, ale to jest poważna sprawa.

– Nie chodzi jedynie o dumę. – Alatheia leżała na wznak, patrząc na baldachim nad łóżkiem. – Nie poprosiłam go bezpośrednio o pomoc, bo najprawdopodobniej by mi jej nie udzielił osobiście. Pospiesznie odesłałby mnie do Montague’a, a nie o to przecież chodzi. Potrzebuję, wszyscy potrzebujemy jego pomocy, a nie asysty jego fagasa. Potrzebny mi rycerz, nie giermek.

– Ależ i tak by pomógł. Przecież znacie się niemal całe życie, od kołyski. Bawiliście się razem jako dzieci, do czasu, gdy ukończyła pani piętnaście lat i stała się młodą damą. – Nellie zakończyła sprzątanie i ze świeczką w dłoni podeszła do wielkiego łóżka. – Na pewno by nie odmówił.

– Uwierz mi, Nellie, to by nie zadziało. Nigdy nie zrobiłby dla mnie tego, co gotów jest uczynić dla hrabiny. – Alatheia odwróciła się na bok, zamknęła oczy i ignorując pełne niedowierzania prychnięcie Nellie, rzekła: – Dobranoc.

Po chwili dotarło do niej wymruczane cicho:

– Dobranoc. – Blask świecy na jej twarzy zbladł, potem usłyszała trzaśnięcie drzwi.

Alatheia westchnęła i bardziej zagłębiła się w pościel, próbując rozluźnić mięśnie, napięte od chwili, gdy ją pocałował. To był jedyny element, którego nie przewidziała, ale nie należało traktować sprawy zbyt poważnie. Pewnie był to rodzaj wyrafinowanej zabawy, którą praktykował z różnymi damami. Gdyby mogła ponownie rozpocząć swoją maskaradę, zastanowiłaby się jeszcze raz, zanim zrobiłaby z siebie wdowę, która zakończyła już okres żałoby. Ale stało się – gra się rozpoczęła. Nie umiała wytłumaczyć tego Nellie, ale cała ta maskarada była absolutnie niezbędna.

Rupert Melrose Cynster, towarzysz jej dziecięcych zabaw, był jedynym „uzbrojonym rycerzem”, jakiego musiała mieć po swojej stronie. Znała jego prawdziwy temperament – zrobi to,

czego się podejmie, jeśli będzie w pełni przekonany o słuszności sprawy. Z Rupertem u boku będzie miała szansę zatriumfować nad ŚrodkowoWschodnią Afrykańską Kompanią Złota. Bez jego pomocy byłoby to niemożliwe.

Doskonale znając go od tak dawna, wiedziała, że może sobie zapewnić jego pomoc, jedynie intrygując go. Musiała sprawić, żeby skoncentrował się na jej kłopotach i z własnej woli oddał na usługi swoje talenty. Wymyśliła więc hrabinę i otaczając się mgłą tajemnicy, przystąpiła do przeciągania go na swoją stronę.

Wygrała pierwszą potyczkę – był gotów walczyć u jej boku. Po raz pierwszy od dnia, kiedy pani Figgs położyła przed nią weksel, Alatheia pozwoliła sobie pomyśleć, że ma szansę na zwycięstwo.

W kręgach towarzystwa uważano, że Morwellanowie przybyli do Londynu, aby wprowadzić do towarzystwa młodsze córki oraz Charliego. Ona sama, najstarsza córka, teraz już stara panna, będzie trzymać się w cieniu, asystując pierwszym krokom debiutujących w towarzystwie przyrodniczych sióstr, a w wolnych chwilach będzie się wcielać w tajemniczą, zamaskowaną hrabinę i usuwać miecz, wiszący nad przyszłością rodziny.

Roześmiała się z powodu tych melodramatycznych myśli. Łatwo powstawały w jej głowie. W rzeczywistości świetnie wiedziała, co robi. Wiedziała też dokładnie, dlaczego Rupert nie pomógłby jej tak, jak pomoże hrabinie. Nie była jednak skłonna wyjaśnić tego nawet Nellie.

Nie mogli przebywać ze sobą w tym samym pomieszczeniu w odległości mniejszej niż trzy metry od siebie. Bliższa odległość sprawiała, że czuli się, jakby mieli na sobie włosienice. Wszystko się zaczęło, gdy mieli po jedenaście, dwanaście lat; potem stało się to stałym elementem ich wzajemnych kontaktów. Nie wiadomo, co spowodowało taką reakcję. Gdy byli młodszy, próbowali ją lekceważyć, udawać, że nic się nie dzieje, ale ulga, jaką oboje poczuli, gdy Alatheia wkroczyła w wiek paniński i skończyły się ich codzienne kontakty, była zbyt autentyczna, aby można ją było ignorować.

Oczywiście nigdy o tym nie rozmawiali, ale jego reakcja przejawiała się zmrużeniem piwnych oczu, nagłym napięciem mięśni, trudnością, z jaką wytrzymywał koło niej dłużej niż pięć minut. Trudno to nazwać zakłopotaniem – odczucie było znacznie gorsze.

Nigdy nie potrafiła ocenić, czy reagowała na niego podobnie jak on na nią. Bez względu na to, jak było naprawdę, oboje nauczyli się żyć z tym doświadczeniem, nauczyli się kryć emocje, a nawet ich unikać. Żadne z nich nie przedłużało niepotrzebnie wzajemnych spotkań.

Dlatego właśnie, choć mieszkali obok siebie, chociaż razem dorastali, nigdy nie tańczyli ze sobą walca. Kiedyś zatańczyli jeden taniec ludowy. Nawet to wystarczyło, żeby straciła oddech, czuła się zła jak osa i zupełnie wyprowadzona z równowagi. Podobnie jak Rupert, nie miała zwyczaju okazywać złości. Rupert był jedynym człowiekiem, któremu udawało się ją w jednej chwili sprowokować.

Z tego właśnie powodu w krużgankach kościoła Świętego Jerzego pojawiła się hrabina. Alatheia nie była absolutnie pewna, czy Rupert zdecyduje się osobiście jej pomóc. Wyobrażała sobie, że instynktownie będzie chciał udzielić jej pomocy, ale istniejące między nimi napięcie powstrzyma go przed tym. Zajęcie się na jej prośbę kompanią oznaczałoby dla niego konieczność częstych spotkań, niejednokrotnie sam na sam. Kiedy spotkali się ostatnio przed miesiącem, było to dotkliwe doświadczenie dla nich obojga. W ciągu zaledwie trzech minut potrafili się doprowadzić do białej gorączki. Nie mogła uwierzyć, że poproszony teraz o pomoc, potrafiłby zerwać z wieloletnim przyzwyczajeniem i z radością spędzać z nią długie godziny. A gdyby nawet tak się stało, oboje szybko by oszaleli.

Co więcej, nie mogła ryzykować, żeby się przekonać. Gdyby sama przedstawiła mu problem, a on odesłałby ją do Montague'a, nie mogłaby potem pojawić się jako hrabina.

Nie miała wyboru.

Gdyby się dowiedział, że udawała, nigdy by jej nie

wybaczył. I mógłby zrobić coś złego. Ale naprawdę nie miała wyjścia, więc nie miała wyrzutów sumienia. Gdyby istniał jakiś inny sposób skłonienia go do pomocy, bez oszustwa, na pewno by spróbowała, ale...

Na granicy snu błędziła wśród mgły, składając fragmenty ich spotkania, krążąc coraz intensywniej myślami wokół tamtego odbierającego odwagę pocałunku, kiedy nagle oprzytomniała.

Gwałtownie mrugając, spojrzała w górę na baldachim nad łóżkiem i uświadomiła sobie, że tej nocy liczące dziesiątki lat napięcie pomiędzy nimi w ogóle się nie pojawiło.

## Rozdział 2

– Hop! Hop! Allie! Możesz podać masło?

Alathea się skupiła. Alice pokazywała palcem na kraniec stołu. Skierowała nieobecne spojrzenie w tamtą stronę, a do jej mózgu z opóźnieniem zaczęła docierać rzeczywistość. Ujęła talerzyk z masłem i podała siostrze.

– Dostałaś brązowy pokój. – Serena siedziała obok niej, na końcu stołu.

Alathea lekceważąco machnęła ręką.

– Źle spałam dziś w nocy. – Była tak zmobilizowana do zagrania roli hrabiny, zdeterminowana, żeby zapewnić sobie pomoc Ruperta, że przed nocnym spotkaniem wcale nie kładła się spać. A potem... po odniesieniu sukcesu, po tamtym pocałunku, po uświadomieniu sobie... odsunęła na bok rozpraszające ją myśli. – Jeszcze się nie przyzwyczyłam do hałasu ulicy.

– Może powinnaś się przenieść do innego pokoju?

Alathea spojrzała na słodką twarz macochy, która przyglądała jej się z troską, i poklepała ją po ręce.

– Jest mi bardzo dobrze w moim pokoju. Jego okna wychodzą na ogród z tyłu domu.

Twarz Sereny złagodniała.

– Cóż... jeśli tak twierdzisz. Ale skoro już Alice cię obudziła – czy jej zabłyśły – chciałabym sprawdzić, ile możemy wydać na suknie spacerowe dla dziewcząt.

Alathea z przyjemnością zajęła się Sereną. Niska, pulchna, o wyglądzie eleganckiej matrony, Serena była łagodna i spokojna, jednak w kwestii debiutu towarzyskiego swoich córek okazywała się sprytna i wcale nie naiwna. Alathea z prawdziwą ulgą powierzyła Serenie wszystkie sprawy związane z ich życiem towarzyskim, z radością zadowolając się rolą doradcy w tych kwestiach. Przebywali w mieście dopiero od tygodnia i wszystko wskazywało na udany sezon.

Musi jeszcze tylko udowodnić, że Środkowo-Wschodnia Afrykańska Kompania Złota jest oszustwem, i wszystko będzie

dobrze.

Powróciła myślami do swoich trosk i do mężczyzny, którego wczorajszej nocy udało jej się zwerbować. Rozejrzała się, starając się ujrzeć swoją rodzinę jego oczami – Serenę, rozmawiającą o materiałach, ozdobach i kapeluszach z Alice i Mary, które chłoneły każde jej słowo, a przy końcu stołu ojca, Charliego i Jeremy’ego, omawiających męskie rozrywki. Alatheia dosłyszała, jak ojciec wspomina o atrakcjach Salonu Bokserskiego Jacksona dla Dżentelmenów, który powinien zainteresować Charliego i jego młodszego brata.

Pozostawiając w spokoju Serenę, Mary i Alice, dyskutujące o kolorach, Alatheia zwróciła się do najmłodszej członkini rodziny, siedzącej spokojnie obok niej z dużą lalką na kolanach.

– Jak się dzisiaj miewacie, skarbie, ty i Rose?

Lady Augusta Morwellan uniosła ogromne piwne oczy ku Alatheii i uśmiechnęła się ufnie.

– Dziś rano spędziłam cudowny czas w ogrodzie, ale Rose była niesforna. Wspólnie z panną Helm uważamy, że po południu powinniśmy ją wziąć na spacer.

– Na spacer! O tak! Wspaniały pomysł! Tego właśnie potrzebujemy. – Ustaliwszy swoje krawieckie wymagania, Mary była gotowa na nowe rozrywki, a jej brązowe loki podskakiwały z podniecenia, oczy zaś zabłyszczały.

– Zaczynam się czuć na ulicach jak osaczona, pomiędzy tymi wszystkimi domami. – Jasnowłosa Alice o sarnich oczach była poważniejsza i bardziej opanowana. Uśmiechnęła się do Augusty.

– A Augusta nie będzie chciała, żebyśmy swoimi rozmowami przeszkadzały Rose.

Augusta odpowiedziała wdzięcznym uśmiechem.

– Owszem, Rose potrzebuje spokoju. – Augusta była za mała, żeby dzielić podniecenie, które zawładnęło resztą rodziny, i była najszczęśliwsza, mogąc spacerować za rękę z panną Helm po pobliskim placu, szeroko otwartymi oczami chłonać nowe, jakże odmienne widoki.

– Czy możemy wybrać się w jakieś inne miejsce, to znaczy

nie do parku? – Alice przeniosła wzrok z Alathej na Serenę. – Nasze nowe suknie będziemy miały dopiero w przyszłym tygodniu, więc może lepiej, żebyśmy teraz nie chodziły do parku.

– Też bym wolała, żebyście tam nie bywały zbyt często – rzekła Serena. – Lepiej się tam pokazywać dwa-trzy razy w tygodniu, a odwiedziłyśmy to miejsce zaledwie wczoraj.

– Gdzie więc możemy iść? To musi być jakieś miejsce z drzewami i trawnikami. – Mary utkwiała błyszczące spojrzenie w twarzy Alathej.

– Właściwie... – zaczęła się zastanawiać Alatheja. Chociaż udało jej się pozyskać pomoc swojego rycerza, wcale nie musiało to oznaczać, że ma siedzieć z założonymi rękami i zostawić mu całe dochodzenie. Skoncentrowała wzrok na twarzach sióstr. – Znam pewien park, przyjemny i spokojny, położony z dala od wszelkiego zgiełku. Bardzo przypomina wieś, można w nim zapomnieć, że jest się w Londynie.

– Brzmi wspaniale – oświadczyła Alice. – Chodźmy tam.

– Idziemy na Bond Street! – Jeremy gwałtownie odsunął krzesło.

Charlie i ojciec uczynili to samo. Lord uśmiechnął się do swoich kobiet.

– Zabieram tych dwóch na całe popołudnie.

– Będę się uczył boksować! – Jeremy tańczył dookoła stołu, wymachując pięściami, zmagając się z niewidzialnymi przeciwnikami. Charlie ze śmiechem złapał go za ręce, po czym tanecznym krokiem, nieco na siłę, wyprowadził z pokoju. Odgłosy piskliwego protestu Jeremy'ego i rozbawionych docinków Charliego cichły, gdy szli ku drzwiom wejściowym.

Mary i Alice też podniosły się od stołu.

– Idziemy po kapelusze. – Mary spojrzała na Alatheę. – Czy przynieść ci twój?

– Bardzo proszę. – Alatheja również wstała.

Lord zatrzymał się przy niej i lekko zacisnął palce na ramieniu córki.

– Wszystko w porządku? – zapytał cicho.



Alathea uniosła wzrok. Pomimo swojego wieku i ciężących mu kłopotów przewyższający ją o parę centymetrów ojciec pozostał uderzająco przystojnym mężczyzną. Widząc cień bólu i żalu w jego oczach, uśmiechnęła się krzepiąco, złapała go za rękę i uścisnęła.

– Wszystko idzie świetnie.

Gdy usłyszał o wekslu, był zdruzgotany. Wydawało mu się, że kwota, na którą się zgodził, była dużo mniejsza. Skrypt dłużny sformułowany został tak, że ostateczną sumę można było ocenić dopiero po wykonaniu licznych obliczeń. A on chciał jedynie zdobyć parę dodatkowych groszy na wesela córek. Alathea spędziła wiele czasu, żeby go pocieszyć i przekonać, że sytuacja, chociaż niezbyt dobra, nie była jeszcze beznadziejna.

Trudno mu było zachowywać się, jakby nic się nie stało, żeby dzieci niczego nie zauważyły. Tylko ich trójka – on sam, Alathea i Serena – wiedziała o najnowszym zagrożeniu i o zatrważającym stanie rodzinnych finansów. Od początku zgodzili się, że do dzieci nie dotrze, iż ich los wisi na tak wątej nici.

Pomimo faktu, że całe swoje dorosłe życie Alathea spędziła na wyciąganiu rodziny z kłopotów, w jakie wpędził ją ojciec, nigdy nie miała mu tego za złe. Był najdroższym, kochającym człowiekiem, po prostu beznadziejnie nieporadnym w sprawach finansowych.

Teraz uśmiechnął się smutnym, rozpaczliwym uśmiechem.

– Czy mógłbym coś zrobić?

Uścisnęła go za ramię.

– Rób to, co robisz, tato. Niech Jeremy się bawi i będzie z dala od kłopotów. – Cofnęła się. – Masz z nimi taki doskonały kontakt, obaj przynoszą ci chlubę.

– Istotnie – zgodziła się Serena. – A skoro Alathea mówi, że nie ma się czym niepokoić, no to chyba nie ma sensu się zamartwiać. Będzie nas informować o wszystkim. Wiesz przecież, że zawsze tak robi.

Lord miał zamiar coś powiedzieć, ale z przedpokoju dobiegły zduszone krzyki i jakieś łomoty.

– Lepiej, żebym tam poszedł, zanim Crisp wręczy mi wypowiedzenie ze służby. – Dotknął wargami skroni Alathej, zatrzymał się, żeby pocałować Serenę w policzek, po czym wyszedł do holu. Przekraczając próg, wyprostował ramiona i podniósł wysoko głowę.

Alathea i Serena wolno ruszyły za nim. Spod drzwi jadalni obserwowały, jak zamieszanie przy wejściu uspokaja się dzięki poleceniom lorda.

– Naprawdę jest wspaniałym ojcem – rzekła Serena, gdy lord Meredith wyprowadził synów za drzwi.

– Wiem. – Alathea uśmiechnęła się w kierunku jego oddalających się pleców. – Jestem pod wrażeniem Charliego. – Zerknęła na Serenę. – Przyszły hrabia Morwellan zawsze będzie się wyróżniał na korzyść. Jest zdumiewającą mieszaniną was obojga.

Serena z zadowoleniem skinęła głową.

– Jest też obdarzony dużą porcją zdrowego rozsądku podobnego twojemu. Dzięki tobie, moja droga, przyszły lord Morwellan będzie wiedział, jak zarządzać swoimi pieniędzmi.

Roześmiały się obie. Lecz była to prawda. Charlie nie tylko był przystojny, niezmaczenie pogodny i wesół jak skowronek, ale także, głównie dzięki Serenie, uprzejmy, rozważny i troskliwy. Dzięki wpływowi lorda był w każdym calu dżentelmenem. A że od kilku lat przynajmniej raz w tygodniu spędzał czas z Alatheą nad księgami rachunkowymi majątku, mając teraz dziewiętnaście lat, zaczynał rozumieć, w jaki sposób z powodzeniem zarządzać włościami. Chociaż nadal nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo stopniały zasoby finansowe rodziny, to wiedział już, co należy robić, żeby je pomnażać.

– Będzie z niego doskonały lord. – Alathea spojrzała na Mary i Alice, zbiegające ze schodów, w kapeluszach na głowach, z powiewającymi wstążkami. Nakrycie głowy Alathej zwieszało się z ręki Mary. Augusta wymknęła się wcześniej; Alathea kątem oka dojrzała swoją najmłodszą siostrę przyrodnią, zmierzającą do ogrodu, z ręką w dłoni panny Helm.

Charlie, Jeremy, Mary, Alice i Augusta stanowili jeden z powodów, dla których wymyśliła hrabinę. Nawet gdyby Rupert przejrzał jej grę, Alatheia nie mogła sobie wyobrazić, że potępiłby motywy, które nią kierowały.

– Chodź! – Alice machnęła parasolką w stronę drzwi. – Popołudnie mija! Zamówiliśmy już powóz.

Alatheia wzięła od dziewcząt swój kapelusz i odwróciła się do lustra, żeby go umieścić na głowie.

Serena wyprostowała się i krytycznym wzrokiem omiotła swoje córki, po czym poprawiła wstążki, przyglądziła niesforne loki.

– Gdzie się wybieracie?

Słyszając stukot końskich kopyt na podjeździe, Alatheia odwróciła się od lustra.

– Myślałam, żeby pojechać na skwer koło Lincoln's Inn. Rosną tam wysokie drzewa, trawa jest zielona i dobrze utrzymana i nigdy nie ma tłoku.

Serena kiwnęła głową.

– Tak, masz rację. Że też przyszło ci do głowy takie miejsce.

Alatheia tylko się uśmiechnęła i ruszyła za Mary i Alice w dół po schodach.

\* \* \*

Gabriel odnalazł mosiężną tabliczkę z informacją o kancelarii Thurlowa i Browna po południowej stronie Lincoln's Inn.

Otoczające kwadratowe, brukowane podwórze zabudowania Lincoln's Inn mieściły w sobie wyłącznie biura prawnicze. Od podwórza ściany były naszpikowane regularnie rozmieszczonymi podcieniami, z których wiodły schody na górę. Przy każdej klatce schodowej widniała mosiężna tabliczka informująca o firmach, które miały siedzibę na górze.

Po zapoznaniu się ze spisem prawników zrzeszonych w londyńskich towarzystwach prawniczych, Montague skierował Gabriela do Lincoln's Inn, informując go jednocześnie, że szukana przez niego kancelaria jest mała, stara, niczym się nie wyróżnia i

nie ma śladów powiązań z nielegalnymi interesami. Wspinając się po schodach, Gabriel rozmyślał, że gdyby sam brał udział w jakimś oszustwie, a niewątpliwie Środkowo-Wschodnia Afrykańska Kompania Złota takim oszustwem była, wówczas na pewno skierowałyby kroki do takiej firmy, jak Thurlow i Brown. Do firmy przesadnie w porządku i sprawnie działającej, której nikt nie mógłby podejrzewać o ukrywanie zainteresowań czy powiązań skłaniających do zadawania pytań, na które trudno byłoby odpowiedzieć.

Siedziba firmy Thurlow i Brown mieściła się w głębi budynku, na drugim piętrze. Ujmując gałkę przy ciężkich dębowych drzwiach, Gabriel zauważył ogromny zamek poniżej klamki. Wszedł powoli do środka i rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu recepcji. Za niską balustradą siedział przy biurku stary urzędnik, strzegąc dostępu do korytarza prowadzącego do pokojów w głębi.

– Tak? Czym mogę służyć? – zapytał. Marszcząc czoło, zaczął wertować kalendarz. – Nie był pan umówiony. – Powiedział to urażonym tonem.

Z wyrazem uprzejmego znudzenia Gabriel zamknął za sobą drzwi, jednocześnie notując w pamięci, że nie ma na nich żadnych dodatkowych zamków czy zasuw.

– Thurlow – mruknął, odwracając się plecami do urzędnika. – Był pewien Thurlow w Eton, kiedy tam studiowałem. Ciekawe, czy to ten sam?

– Niemożliwe. – Staruszek machnął poplamioną atramentem ręką w stronę drzwi na zapleczu. – Mógłby być pańskim ojcem.

– Doprawdy? – rzekł z rozczarowaniem w głosie Gabriel. Najwyraźniej Thurlowa nie było w biurze. – No trudno. Właściwie przyszedłem do pana Browne’a.

Urzędnik znów zmarszczył brwi i ponownie sprawdził w kalendarzu.

– Nie jest pan wpisany dziś po południu...

– Nie jestem? Bardzo dziwne. Byłem pewien, że staruszek kazał mi przyjść o drugiej.

Urzędnik potrząsnął głową.

– Pana Browna nie ma. Spodziewam się go dopiero późnym wieczorem.

Gabriel postarał się, żeby nadać swojej twarzy wyraz zniecierpliwienia i postukał laską w balustradę, oddzielającą go od urzędnika. – Czyż to nie typowe dla Thea Browne’a! Nigdy nie panował nad swoimi zobowiązaniami!

– Theo Brown?

Gabriel spojrział na urzędnika.

– Tak. Pan Browne.

– Ale to nie jest nasz pan Brown.

– Nie jest? – Gabriel wbił wzrok w staruszkę. – Czy waszego Browne’a pisze się z „e” na końcu?

Urzędnik potrząsnął głową.

– Psiakrew! – Gabriel odwrócił się gwałtownie. – Byłem pewny, że to był Thurlow i Browne. – Zmarszczył czoło. – Może to Thirston i Browne. Thrapston i Browne. Albo jakoś tak. – Spojrział pytająco na urzędnika.

Ten pokręcił głową.

– Przykro mi, że nie mogę panu pomóc. Nie znam żadnej kancelarii prawniczej, firmowanej takimi nazwiskami. Ale jest firma Browne, Browne i Tillson przy sąsiednim dziedzińcu. Może chodzi panu o nich?

– Browne, Browne i Tillson – powtórzył dwukrotnie Gabriel, za każdym razem wymawiając inaczej nazwiska, po czym wzruszył ramionami. – Może. Któż to wie. – Skierował się do drzwi. – Mówi pan, że na sąsiednim dziedzińcu?

– Tak, proszę pana. Po drugiej stronie ulicy.

Gabriel wyszedł, machając na pożegnanie laską. Gdy zamknął za sobą drzwi, roześmiał się i zbiegł po schodach.

Gdy wyszedł na światło dzienne, przeciął brukowany dziedziniec. Widział już dosyć, żeby upewnić się co do sytuacji kancelarii Thurlowa i Browna. Dokładnie tak, jak mówił Montague, firma była ponura, obskurna i bez wyrazu. Dowiedział się, kto zajmuje który pokój, a przez uchylone drzwi dostrzegł

zamknięte szafki klientów, stojące przy ścianach w gabinetach obu wspólników. Nie chowali ich w żadnym specjalnym miejscu. Stały sobie, łatwo dostępne, a jedynym zamkiem, jaki należało pokonać, żeby się do nich dostać, była stara zasuwka na drzwiach wejściowych.

Nie widać też było młodych urzędników. W biurze znajdowało się tylko jedno biurko – brakowało miejsca na to, żeby jakiś urzędnik czy chłopiec na posyłki spędzał tam noc.

Głęboko usatysfakcjonowany swoimi popołudniowymi osiągnięciami Gabriel zsalutował laską stróżowi i drugą bramą wyszedł na przylegający skwer.

Przed jego oczami niewielka armia starych drzew wyciągała gałęzie, osłaniając żwirowe alejki spacerowe i połacie trawy. Wszędzie wdzierały się promienie słońca. Lekki wiatr poruszał liście, rzucające cienie na zielony dywan, po którym przechadzali się panie i panowie.

Gabriel zatrzymał się w bramie i utkwiał niewidzące spojrzenie w drzewach.

Czy hrabina okaże się na tyle niecierpliwa, żeby skontaktować się z nim dziś wieczorem? Była to niezwykle kusząca możliwość, zwłaszcza gdy uświadomił sobie, że jej niecierpliwość nawet się nie równa jego tęsknocie. W jej obecności wydawało mu się, że dobrze ją zna, wie, jaką jest kobietą. Z dala od niej uzmysłowił sobie, jak niewiele wiedział o kobiecie ukrytej za welonem.

Niestety, nic nie mógł zrobić, dopóki hrabina się z nim nie skontaktuje. Będzie miał dla niej wiadomości.

Otrząsnął się z zamyślenia i ruszył południowym skrajem skweru. Był już w połowie drogi, kiedy usłyszał, że ktoś go woła.

– Gabriel!

– Tutaj!

Głosy dobiegające ze skweru zdecydowanie należały do kobiet, i to na pewno młodych. Gabriel zatrzymał się i rozejrzał. Dwie słodkie istoty wymachiwały szaleńczo parasolkami i podskakiwały jak na sprężynach. Mrużąc oczy, rozpoznał Mary i

Alice Morwellan. W odpowiedzi uniósł laskę, poczekał, aż czarny powóz przetoczy się dostojnie przez ulicę, po czym przeciął drogę.

Widząc nadchodzącego Gabriela, Alatheia musiała zdusić w sobie chęć skarcenia sióstr. Co też narobiły? Widziała, jak wychodził z Lincoln's Inn i zatrzymał się w bramie. Skupiła na nim całą swoją uwagę, zapewniając się jednocześnie w myślach, że nie zauważy jej w cieniu, że nie ma powodu, by tak waliło jej serce i aby cała trzęsła się ze zdenerwowania.

Szczerzątkiwie pozostawał nieświadomy jej obecności. Była zdumiona, że tak szybko zareagował na prośbę hrabiny. Przyjęła bowiem, że dlatego się tu znajdował. Gdyby to przewidziała, nigdy by nie zaryzykowała, by tu przyjść. Spotkanie w miejscu, które wiązał z hrabiną, nie leżało w jej planach. Musiała absolutnie oddzielić od siebie obydwa swoje wcielenia, zwłaszcza przebywając w jego pobliżu.

Gdy szedł ulicą, wymachując laską, z wyprostowanymi plecami, słońce rozświetlało jego kasztanowe, lekko kręcące się włosy. Zaczęła myśleć coraz wolniej, aż przestała całkiem. Zupełnie zapomniała, że ma ze sobą Mary i Alice.

Dziewczęta spostrzegły go i zawołały. Nie było wyjścia. Gdy zbliżał się ku nim, wciągnęła głęboko powietrze, uniosła głowę i zacisnęła dłonie na rączce parasolki, próbując się uspokoić.

Chyba nie mógł rozpoznać ust, które całował, ale których nie widział?

Uśmiechając się, Gabriel wkroczył w cień drzew. Gdy się zbliżył, Mary i Alice przestały podskakiwać i ograniczyły się do szerokiego uśmiechu. Dopiero wówczas, gdy jego oczy przyzwyczyły się do cienia i przestały płąsać przed nim parasolki, zobaczył stojącą za nimi damę.

Alatheia.

Niemal zatrzymał się w pół kroku.

Stała, wysoka i wyprostowana, spokojna i opanowana, trzymając w ręce parasolkę, precyzyjnie przechyloną pod takim kątem, żeby osłonić jej delikatną cerę przed słońcem. I, oczywiście, nie machała do niego.

Maskując potężny wstrząs, jakiego doświadczał przy każdym niespodziewanym z nią spotkaniu, nie przestał się do niej zbliżać. Patrzyła na niego, jak zwykle, wyzywającym, zimnym wzrokiem, z nieopuszczającym jej wyrazem wyższości i czujności, który zawsze potrafił go zirytować.

Odrywając wzrok od Alathej, uśmiechnął się i przywitał z Mary i Alice, które w swoich muślinowych sukienkach wyglądały jak z obrazka. Sprowokował je do śmiechu, gdy przesadnie pochylił się nad ich dłońmi.

– Bardzo się zdziwiłyśmy, widząc cię tutaj! – zakomunikowała Mary.

– Byłyśmy już dwa razy w parku – wyznała Alice – ale to było wcześniej. Chyba cię tam nie było.

Powstrzymując się od odpowiedzi, że rzadko chadza do parku, zwłaszcza podczas obowiązujących godzin modnych spacerów, starał się nie odrywać od nich spojrzenia. – Wiedziałem, że macie przyjechać do miasta, ale nie dotarło do mnie, że już tu jesteście. – Ostatni raz widział je w styczniu, na przyjęciu wydanym przez jego matkę w ich rodzinnym domu, Quiverstone Manor w Somerset. Morwellan Park i Manor graniczyły ze sobą, a ich ziemie oraz przylegające wzgórza Quantock stanowiły terytorium zabaw ich dzieciństwa – jego, jego brata Lucyfera i Alathej.

Ze swobodą obdarzył dziewczęta paroma komplementami i, ku ich zachwytowi, odpowiedział na pytania, okazując londyńską oglądę. Jednak przez cały czas, gdy zabawiał je głupstwami, jego uwaga skupiona była na chłodnej obecności osoby, znajdującej się od niego w odległości metra czy dwóch. Czemu tak było, pozostawało nieodgadnioną tajemnicą, bowiem Mary i Alice były czarującymi, kipiącymi życiem istotami. W przeciwieństwie do nich Alatheja zdawała się zimna, ułożona, jednak w niewytłumaczalny sposób działała na niego jak magnes. Dziewczęta były niczym wartkie strumyki, Alatheja zaś głębokim stawem spokoju i ciszy, i jeszcze czegoś, czego nigdy nie udało mu się zdefiniować. Dobitnie zdawał sobie sprawę z jej obecności,



podobnie jak ona czuła jego bliskość. Był też boleśnie świadomy tego, że się nie przywitali.

Nigdy tego naprawdę nie robili.

Zebrał siły i przeniósł spojrzenie z Mary i Alice na Alatheę. Na jej włosy. Miała jednak na głowie kapelusz. Nie potrafił rozpoznać, czy pod kapeluszem przewięzała włosy jakąś śmieszną zapinką, czy też idiotycznym kawałkiem koronki, jak ostatnio. Na pewno skrywała taką lub podobną ozdobę, ale nie mógł zrobić żadnej uwagi, dopóki jej nie zobaczył. Zacisnął wargi i przesunął wzrok niżej, do jej oczu.

– Nie wiedziałem, że jesteście w Londynie.

Zwracał się wprost do niej i tylko do niej głosem, który bardzo różnił się od tego, jakiego używał w rozmowie z dziewczętami.

Zamrugła powiekami i mocniej zacisnęła dłonie na parasolce.

– Dzień dobry, Rupercie. Co za piękny dzień. Przyjechaliśmy do miasta tydzień temu.

Zesztywniał.

Alathea wyczuła to. Jej żołądek zacisnął się w panice. Zerknęła na Mary i Alice i zmusiła się do słodkiego uśmiechu.

– Wkrótce dziewczęta czeka debiut w towarzystwie.

Po króciutkiej chwili wahania podjął temat, na który skierowała rozmowę.

– Doprawdy? – Odwrócił się do Mary i Alice i zaczął je wypytywać o ich plany.

Alathea starała się oddychać równo i opanować pustkę, którą nagle poczuła w głowie. Nie podążyła spojrzeniem w jego stronę. Znała jego twarz równie dobrze jak własną; te ogromne, głęboko osadzone oczy, ruchliwe usta, skłonne do krzywych uśmieszków, klasyczne krzywizny nosa i czoła, mocno zarysowany podbródek. Był tak wysoki, że mógł patrzeć ponad jej głową, co dane było niewielu ludziom. W jego wyglądzie nie było niczego, czego by nie znała, a co tłumaczyłoby nagły przypływ ogromnego napięcia.

Nic poza faktem, że ostatniej nocy widziała go w

podcieniach kościoła Świętego Jerzego, gdzie jej nie rozpoznał.

Na wspomnienie jego warg na jej ustach, czarownego dotyku jego palców, ścisnęło ją w piersiach, a nerwy napięły się do granic wytrzymałości. Poczowała mrowienie.

– Nasz bal odbędzie się za trzy tygodnie – mówiła Mary. – Oczywiście jesteś zaproszony.

– Przyjdiesz? – zapytała Alice.

– Za nic w świecie bym nie opuścił takiego wydarzenia. – Jego spojrzenie pomknęło ku twarzy Alathej, po czym skupił się ponownie na dziewczętach.

Gabriel świetnie wiedział, jak czuje się kot głaskany pod włos. Dokładnie tak się czuł zawsze, gdy znajdował się w pobliżu Alathej. Nie miał pojęcia, w jaki sposób dziewczyna to osiąga, ba, nie wiedział nawet, czy musi coś robić, czy też jest to jego nieunikniona reakcja na nią. Reagował, a ona jeżyła się w odpowiedzi. Powietrze pomiędzy nimi było naładowane. Wszystko się rozpoczęło, gdy byli jeszcze dziećmi i z upływem czasu narastało.

Nie odrywał spojrzenia od dziewcząt, brutalnie tłumiąc chęć odwrócenia się ku Alathej.

– Co tutaj robicie?

– To pomysł Alathej.

Alathea lekko wzruszyła ramionami.

– Słyszałam, że to miejsce, gdzie można spokojnie pospacerować i gdzie damy nie są narażone na spotkanie z jakimiś rozpustnikami.

Takimi jak on.

Wybrała życie na wsi. Nie miał jednak pojęcia, czemu uważała, że daje jej to prawo do potępiania jego stylu życia. Wiedział tylko, że tak sądziła.

– Doprawdy?

Zaczął się zastanawiać, czy nie drażyć dalej, by w końcu podała prawdziwy powód, dla którego przybyła na skwer. Nawet obecność bystrych oczu i czułych uszu dziewcząt nie przeszkodziłaby w poprowadzeniu rozmowy na poziomie dla nich

niezrozumiałym. Miał jednak do czynienia z Alatheą. Była niezdolnie uparta i nie dowiedziałyby się od niej niczego, czego nie chciała mu wyjawiać. Na dodatek dorównywała mu inteligencją i sprytem. Kiedy ostatnim razem zwarli się w słownym pojedynku o idiotyczny kapelusz, który założyła na styczeńowe przyjęcie u jego matki, oboje zranili się boleśnie. Gdyby wtedy nie odeszła, demonstracyjnie zadzierając nos do góry, z oczami ciskającymi gromy i czerwonymi z wściekłości policzkami, mógłby ją zadusić gołymi rękami.

Zacisnął wargi i rzucił jej wyzywające spojrzenie – oddała mu je bez cienia strachu. Przyglądała się wyczekująco, podobnie jak on świadoma toku jego myśli. Z ochotą gotowała się do rozpoczęcia ich kolejnego, zwyczajowego pojedynku.

Prawdziwy dżentelmen nigdy nie zawodzi damy.

– Rozumiem, że będziesz towarzyszyła Mary i Alice w mieście?

– Oczywiście.

– W takim razie będę musiał pomyśleć, jakie rozrywki wam polecić. – Uśmiechnął się rozbrajająco do dziewcząt.

– Nie ma powodu, żebyś się trudził, w przeciwieństwie do niektórych nie muszę być bezustannie zabawiana.

– Podejrzewam, że szybko odkryjesz, iż bez rozrywki życie w gronie śmietanki towarzyskiej Londynu jest potwornie nudne. A cóż, jeśli nie nuda właśnie, przywiodło cię tutaj?

– Chęć uniknięcia impertynenckich dżentelmenów.

– Świetnie zatem, że natknąłem się na ciebie. Skoro twoim zamiarem jest unikanie impertynenckich dżentelmenów, musisz pamiętać, że w towarzystwie dama nigdy nie może przestać uważać. Nigdy nie wiadomo dokładnie, gdzie i kiedy spotka się z najbardziej wstrząsającą zuchwałością.

Mary i Alice uśmiechnęły się do niego ufnie, słysząc elegancko wypowiedane słowa. Wiedział jednak, że Alatheia dostrzegła w miłym głosie stalową nutę, poznawał to po jej rosnącym napięciu.

– Zapomniałeś chyba, że doskonale umiem sobie radzić z

wszelką impertynencją, choć nie uważam, żeby to było coś zabawnego.

– Może to dziwne, ale większość kobiet uznałaby impertynencję za zabawną.

– Nie należę do większości kobiet. I wcale nie uważam tych szczególnych rozrywek, którym lubisz się oddawać, za zabawne.

– To dlatego, że musisz dopiero ich doświadczyć. A poza tym – dodał gładko – jesteś przyzwyczajona, by codziennie jeździć konno. Będą ci potrzebne jakieś zajęcia, żeby... nie stracić formy.

Uniósł do góry oczy o niewinnym spojrzeniu, spodziewając się napotkać oburzony wzrok. Tymczasem miała oczy szeroko otwarte, wcale nie zdumione, ale... chwilę czasu zabrało mu zidentyfikowanie ich wyrazu.

Zaniepokojone. Spowodował, że poczuła się zagrożona.

Zaczęło w nim narastać poczucie winy. Cholera! Nawet kiedy wygrywał z nią potyczkę, w sumie odnosił porażkę. Tłumiąc westchnienie, odwrócił się, usiłując zachowywać się normalnie. Rozsądnie. Wzruszył ramionami.

– Muszę już iść.

– Oczywiście.

Ku jego uldze zadowolona się tym mruknięciem. Przyglądała się, jak kłania się dziewczętom.

Potem spojrzeli sobie w oczy. To było jak przejrzenie się w lustrze – oboje mieli piwne tęczęwki. Kiedy patrzył jej w oczy, zwykle widział w nich swoje własne myśli i uczucia, odbijające się nieskończenie wiele razy.

Ale nie tym razem. Dzisiaj zobaczył zdecydowaną obronę, tarczę, którą go od siebie odcinała. I którą się przed nim osłaniała.

Uklonił się nieznacznie, a gdy odpowiedziała tym samym, odwrócił się i odszedł.

Kiedy dotarł do krańca trawnika, zwolnił kroku i zaczął się zastanawiać, jak by się zachował, gdyby wyciągnęła do niego rękę. To pytanie, na które nie znalazł odpowiedzi, skłoniło go do przypomnienia sobie, kiedy po raz ostatni w jakikolwiek sposób jej dotknął. Nie mógł sobie przypomnieć, ale z pewnością nie miało to

miejsca w ciągu ostatniego dziesięciolecia.

Przeszedł przez ulicę, wymachując coraz intensywniej ramionami, w miarę jak opadało z niego napięcie. Przypisywał to uldze, że znalazł się z daleka od Alathej, ale nie chodziło o to. To była stale ta sama reakcja, której nigdy nie rozumiał, a którą zawsze w nim wywoływała.

\* \* \*

Alathea obserwowała oddalającego się Ruperta. Kiedy jego kroki zadźwięczały na bruku, znów mogła swobodnie oddychać. Odprężyła się i rozejrzała dookoła. Stojące koło niej Mary i Alice, niczego nieświadome, szczebiotały wesoło. Zawsze ją zdumiewało, że jej najbliżsi i najdrożsi nigdy nie widzieli nic dziwnego w ich brzemiennej spotkaniach. Jedynie Lucyfer, który dorastał razem z nimi i doskonale znał ich oboje, zdawał się coś dostrzegać.

W miarę jak słabł jej puls, jej radość rosła.

Nie poznał jej.

Rzeczywiście, skoro ostatniej nocy podczas spotkania zupełnie nie zareagował na hrabinę tak jak zwykle reagował na nią i skoro na dodatek przed chwilą wystąpiło między nimi to charakterystyczne, silne napięcie, wątpiła, by kiedykolwiek skojarzył sobie hrabinę z jej osobą.

Tego ranka obudziła się z głębokim przekonaniem, że nie prowokowała go bezpośrednio jej osoba. Gdy nie wiedział, że ma do czynienia z Alatheą Morwellan, nic się nie działo. Nie pojawiała się tłumiona irytacja, żadne iskrzenie czy wybuchy. Błogie nic. Okryta peleryną, schowana za welonem, była po prostu inną kobietą.

Nie miała ochoty analizować, co spowodowało, że czuła się taka szczęśliwa, jakby zdjęto jej nagle z piersi ogromny kamień. Najwyraźniej to jej tożsamość wprawiała go w zakłopotanie. Wiedziała już teraz, że przede wszystkim był to jego problem, coś, co budziło się najpierw w nim, w odpowiedzi wywołując w niej reakcję.

Świadomość tego nie ułatwiała co prawda znoszenia podobnych sytuacji, jednak...

Skoncentrowała wzrok na bramie z kutego żelaza, w której się pojawił. Brama była otwarta, umożliwiając powozom wjazd na dziedziniec Lincoln's Inn. Mogła dostrzec podcienie i błysk mosiężnych tabliczek przy drzwiach. Kiedy opuszczał tamto miejsce, sprawiał wrażenie zadowolonego i pewnego siebie.

– Chodźcie, dziewczynki. Pospacerujemy koło Lincoln's Inn – powiedziała zdecydowanym tonem.

\* \* \*

Nadszedł wieczór, a wraz z nim dziwny niepokój.

Gabriel przemierzał salonik w swoim domu przy Brook Street. Był już po kolacji, ubrany w strój wizytowy, gotów wyjść na bal, który wybierze spośród imprez, na jakie został tego wieczoru zaproszony przez damy z towarzystwa. Miał do wyboru cztery zaproszenia, żadne szczególnie podniecające.

Przyszło mu na myśl pytanie, gdzie też spędzi dzisiejszy wieczór hrabina. I Alatheia.

Przerwał swój marsz, słysząc dźwięk otwieranych drzwi. Do saloniku wszedł jego osobisty kamerdyner, Chance, z błyszczącymi jasnymi włosami, ubrany w nieskazitelnie czarny strój, niosąc na tacy karafkę z brandy i czyste szklaneczki.

– Nalej mi, proszę.

Gabriel czuł się dziwnie rozkojarzony i miał nadzieję, że kieliszek brandy rozjaśni mu w głowie.

Opuścił Lincoln's Inn podniesiony na duchu swoim drobnym sukcesem i skoncentrował się na hrabinie i zmysłowej grze, która się pomiędzy nimi nawiązała. Potem spotkał Alatheę. Dziesięć minut spędzonych w jej towarzystwie spowodowało, że poczuł się tak, jakby ziemia zatrzęsała mu się pod stopami.

Odkąd sięgał pamięcią, należała do jego życia. I nigdy dotąd nie ukrywała przed nim swoich myśli. Zawsze swobodnie wypowiadała swoje opinie, nawet wówczas, gdy sobie tego nie życzył. Kiedy widzieli się w styczniu, była otwarta. Dziś po

południu odgrodziła się od niego, trzymała go na dystans. Coś się zmieniło. Nie mógł uwierzyć w to, że jego uwagi zepchnęły ją do defensywy. To musiało być coś innego. Czy coś się zdarzyło?

Poczuł się niepewnie. Chciał skupić myśli na hrabinie, ale one wciąż podążały ku Alathei.

Kiedy dotarł do krańca pokoju, odwrócił się gwałtownie, omal nie przewracając Chance'a. Chance zachwiał się. Gabriel złapał go za ramię, jednocześnie porywając z gwałtownie przechylającej się tacy szklaneczkę napełnioną brandy.

– Och! – Chance zamachał tacą przed obliczem Gabriela. – Niewiele brakowało.

– To wszystko.

– W porządku, proszę pana! – Rozkosznie beztroski Chance ruszył do drzwi.

Gabriel westchnął.

– Nie żadne „w porządku”. Wystarczy zwyczajne „tak”.

– Och. – Chance zatrzymał się przy drzwiach. – W porządku, a więc tak, proszę pana.

Otworzył drzwi i ujrzał Lucyfera, który właśnie zamierzał wejść. Chance cofnął się, kłaniając się i kiwając ręką.

– Niech pan wchodzi. Właśnie wychodziłem.

– Dziękuję, Chance. – Lucyfer wszedł do saloniku, uśmiechając się szeroko.

Gabriel przymknął oczy i upił duży łyk brandy.

– Nawet gdyby miał umrzeć, zrobię z niego człowieka zdatnego do tej pracy.

– Sądząc po dotychczasowych postępach, sam możesz najpierw umrzeć.

– Bardzo możliwe. – Gabriel upił następny łyk pokrzepiającego trunku. – Zaryzykuję.

Lucyfer, stojący przy stoliku i przeglądający stosik zaproszeń, rzucił mu badawcze spojrzenie.

– Myślałem, że mi powiesz, iż masz szansę.

– To przecież oczywiste, że mam szansę. Dlatego tak go nazwałem.

Chance – to nie było prawdziwe imię kamerdynera i nikt, poza nim samym, nie wiedział, jak ono brzmiało. Jeśli chodzi o jego wiek, ustalono, że ma dwadzieścia pięć lat. Chance był produktem londyńskich slumsów. Jego awans do domu przy Brook Street był jego własną zasługą. Kiedyś Gabriel, pomagając przyjacielowi, znalazł się w opresji, z jakiej mógłby się nie wyratować, gdyby nie pomoc Chance’a, który pospieszył z odsieczą nie dla żadnej nagrody, ale w prostym odruchu człowieka widzącego innego człowieka walczącego samotnie z przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Chance uratował wówczas Gabriela, z kolei Gabriel uratował Chance’a.

– Które wybrałeś? – Lucyfer oderwał wzrok od swoich zaproszeń i skierował spojrzenie na cztery zaproszenia Gabriela.

– Nie wybrałem. Wszystkie wydają mi się równie nudne.

– Nudne? Musisz uważać, używając tego słowa, a jeszcze bardziej dbać o to, żeby nie poddać się temu uczuciu. Przypomnij sobie tylko, do czego to doprowadziło Richarda. Diabła. I jeśli się dobrze zastanowić, Vane’a także.

– Ale nie Demona. Nigdy nie był znudzony.

– Demon pędził, ale to również niewiele dało. Zresztą jestem pewien, że teraz się nudzi. Nawet nie wie, czy w ogóle przyjadą w sezonie do Londynu. – Jego głos wskazywał, że takie zachowanie nie mieściło mu się w głowie.

– Daj mu trochę czasu. Są ledwie tydzień po ślubie.

Tydzień wcześniej Demon Harry Cynster, ich kuzyn i członek grupy, zwanej popularnie Klubem Cynsterów, wypowiedział owe fatalne słowa i pojął za żonę kobietę, która dzieliła jego zainteresowania wyścigami końskimi. Aktualnie Demon i Felicity odbywali długi objazd głównych torów wyścigowych.

Dzierżąc w ręce brandy, Gabriel zauważył:

– Śmiem twierdzić, że za parę tygodni, a może miesięcy, urok nowości osłabnie.

Lucyfer rzucił mu cyniczne spojrzenie. Obaj wiedzieli doskonale, że jeśli jakiś Cynster się ożeni, to, o dziwo, urok



nowości nigdy nie gaśnie. Wprost przeciwnie. Dla nich obu było to zupełnie niepojęte zjawisko. Jednak jako ostatni kawalerowie z rodu Cynsterów z niezmierną ostrożnością podchodzili do wszelkich wyjaśnień.

Jak to się mogło stać, że tacy mężczyźni jak Diabeł, Vane, Richard i Demon byli w stanie nagle odwrócić się plecami do wszystkich kawalerskich atrakcji i radośnie, z zadowoleniem, oddać się małżeńskiej szczęśliwości u boku jednej tylko kobiety? Była to tajemnica, która wprawiała ich w zakłopotanie i przekraczała granice wyobraźni.

Obaj mieli ogromną nadzieję, że im się to nigdy nie przydarzy.

Lucyfer poprawił płaszcz i wybrał jeden ze złożonych bilecików.

– Idę do Molly Hardwick. – Zerknął na Gabriela. – Idziesz ze mną?

Gabriel badawczo przyglądał się twarzy brata. W oczach Lucyfera błyszczało radosne oczekiwanie.

– Kto będzie u Molly?

Uśmiech Lucyfera zniknął.

– Pewna młoda mężatka, której mąż bardziej się interesuje projektami uchwał niż własną żoną.

Specjalnością Lucyfera była umiejętność przekonywania niedostatecznie zaspokojonych w małżeństwie dam, że w ich najlepiej pojętym interesie leży pozwolenie mu na zajęcie się nimi. Gabriel, obserwując wysoką, szczupłą postać i wdzięcznie potargane ciemne loki brata, uniósł pytająco brwi.

– Jakie są szanse?

– Duże. – Lucyfer ruszył do drzwi. – Ulegnie, nie tego wieczoru, ale już niedługo. – W drzwiach zatrzymał się i kiwnął głową w stronę szklaneczki z brandy. – Widzę, że zamierzasz zająć się tą brandy do końca, więc zostawię cię z nią. – Machnął ręką na pożegnanie i otworzył drzwi. W chwilę później zatrzasnął je za sobą.

Gabriel wbił wzrok w ciemne deski boazerii, po czym uniósł

szklaneczkę i upił kolejny łyk. Przenosząc spojrzenie na ogień buzujący w kominku, wyciągnął nogi, skrzyżował je w kostkach i rozpoczął spokojne planowanie wieczoru.

Raczej nie miał wątpliwości, że woli spędzić parę godzin do północy bezpiecznie i wygodnie, przed własnym kominkiem, niż ryzykować swoją wolność na sali balowej, bez względu na atrakcyjność obecnych tam pań. Od ponad miesiąca, od chwili gdy zostały ogłoszone zaręczyny Demona, ścigała go każda matrona posiadająca córkę na wydaniu. Zupełnie jakby małżeństwo było zatrutym kielichem, który w Klubie Cynsterów przekazywano sobie z rąk do rąk. A on był następny z kolei.

Niech żyją z tą nadzieją, on jednak nie zamierzał wypić tej trucizny.

Odwrócił głowę, skupiając się na stosie czasopism leżących na stoliku obok. Był tam ostatni numer „Gentlemen’s Magazine”, ale...

Chyba raczej wolał zastanowić się nad hrabiną... Ten wzrost, metr osiemdziesiąt... Rzadko spotykało się tak wysokie kobiety...

Alathea była niemal równie wysoka.

Trzy minuty później otrząsnął się z nieproszonych myśli, które wdarły się do jego głowy. Kłopotliwe myśli, które sprawiły, że czuł się rozkojarzony jak jeszcze nigdy w życiu. Skoncentrował się ponownie na hrabinie.

Lubił pomagać ludziom, nie generalnie, lecz konkretnym osobom. Takim jak Chance. Jak hrabina.

Hrabina potrzebowała jego pomocy, ba, nawet o nią prosiła. Alathea nie potrzebowała pomocy i nie prosiła o nią. Zważywszy na to, co do niej czuł, tak było chyba lepiej. Ze wzrokiem utkwionym w płomieniach, nie odrywał myśli od hrabiny, od planowania następnych etapów ich dochodzenia i następnych kroków, żeby ją uwieść.

### Rozdział 3

Dwadzieścia minut po północy Gabriel stał przed dębowymi drzwiami strzegącymi biura Thurlowa i Browna i oglądał stary zamek. Kiedy przechodził przez dziedziniec, nikogo nie widział. W paru oknach jeszcze paliło się światło; najwyraźniej niektórzy urzędnicy pracowali także w nocy. Pomieszczenia znajdujące się bezpośrednio pod kancelarią Thurlowa i Browna nie były puste, ale nikt nie słyszał, kiedy przemykał w górę po schodach.

Namacał w kieszeni przyniesiony ze sobą wytrych, który otwierał takie duże zamki. Równocześnie, zupełnie automatycznie, sprawdził drzwi, przekręcając gałkę...

Drzwi ustąpiły.

Gabriel usiłował sobie wyobrazić starego urzędnika, wychodzącego z biura bez zamykania drzwi na klucz. Taki scenariusz wyglądał zupełnie nierealnie.

Przez powstałą szparę nie wydostawało się żadne światło. Podobnie jak wcześniej w ciągu dnia uchylły się bezszelestnie. Pierwszy pokój pogrążony był w ciemnościach. Ale w pomieszczeniu w głębi biura widać było blade światło.

Gabriel zamknął drzwi na zasuwę. Zostawił laskę koło drzwi, po czym przystanął, żeby przyzwyczaić oczy do panującego mroku. Po chwili dostrzegł bramkę w drewnianej balustradzie, przez którą klienci byli wpuszczani do dalszych pokoi w kancelarii.

Również bramka otworzyła się bezgłośnie.

Stąpając po chodniczku, żeby wytłumić odgłos kroków, szedł bezszelestnie korytarzem i zastanawiał się, czy to w ogóle możliwe, żeby pan Brown bez „e” na końcu pracował tak późno. Źródłem migoczącego światła była najprawdopodobniej słabo świecąca lampka, pewnie czymś przesłonięta, ustawiona z dala od okien, skierowana na biurko pana Browna. Gabriel zatrzymał się w progu, nasłuchując. Usłyszał szelest systematycznie przerzucanych kartek papieru. Potem rozległ się cichy odgłos zamykania książki i znów szelest papierów. Następny odgłos zidentyfikował po

chwilowym zastanowieniu jako układanie książek i papierów w blaszanym pudełku i zamykanie pudełka.

Kolejne pudełko zostało otwarte. Po chwili znów rozległo się przewracanie kartek – ciągle, systematyczne, celowe.

Nie wyglądało to na pana Browna.

Szalenie zaintrygowany Gabriel przekroczył próg, ukrył się w mrocznej wnęce, która powstała za wpółotwartymi drzwiami, i wyjrzał ostrożnie.

Wysoka, okryta peleryną z kapturem postać stała przed ogromnym biurkiem, przeglądając papiery wyciągnięte z jednego z metalowych pudełek, ustawionych na blacie biurka. Jej tożsamość zdradzały rękawiczki, wdzięczny zarys twarzy, odwróconej tak, żeby światło padało na trzymany w dłoni dokument. Lampa stała na biurku, przesłonięta ustawioną w pionie wielką księgą.

Świadom ustępującego napięcia mięśni, którego wcześniej nawet nie zauważył, Gabriel oparł się o regał z książkami i zaczął rozważać, co zrobić.

Począł, aż skończy systematycznie przeglądać zawartość otwartego pudełka i z powrotem ułożył w nim papiery. Wówczas popchnął drzwi i ruszył do przodu.

Drzwi zaskrzypiały.

Gwałtownie wciągnęła powietrze. Papiery rozsypały się na biurku. Z nerwowym pośpiechem opuściła welon na twarz i odwróciła się tak szybko, że pomimo niewielkiej odległości nie dostrzegł żadnego szczegółu jej twarzy. Hrabina patrzyła na niego zza biurka, za którym się schroniła. Z jedną ręką na piersiach, z drugą mocno zaciśniętą na krawędzi blatu, wyglądała równie tajemniczo, jak na Hanover Square.

– Och! – zawołała załamującym się niepewnie głosem. Z wyraźnym wysiłkiem złapała oddech i odezwała się znanym mu już, cichym głosem: – To pan.

Uklonił się.

– Jak pani widzi.

Nie przestawała mu się przyglądać.

– Przestraszył mnie pan.

– Bardzo przepraszam, ale – oderwał się od regału i zaczął zbliżać do hrabiny – nie spodziewałem się pani tu zastać. – Zatrzymał się przed nią, patrząc na błyszczące oczy kobiety i żałując, że zasłaniający ją welon nie jest cieńszy. – Wydawało mi się, że to ja miałem odnaleźć panów Thurlowa i Browna. Skąd pani wiedziała, gdzie ich szukać?

Oddychała ciężko ze spojrzeniem utkwionym w jego twarzy. Wreszcie oderwała wzrok i jednym zręcznym krokiem wymknęła się z pułapki, w jakiej się znalazła, uwięziona pomiędzy nim a biurkiem.

– Przypadkiem na nich natrafiłam. – Jej głos był bardzo cichy. W miarę, jak zbierała i porządkowała papiery, przybierał na sile. – Musiałam odwiedzić naszego prawnika na Chancery Lane i kierując się impulsem, weszłam na dziedziniec Lincoln’s Inn. Zobaczyłam tabliczki i odnalazłam ich kancelarię.

– Powinna była pani mnie zostawić tę sprawę. Trzeba było przysłać mi wiadomość i bezpiecznie siedzieć w domu, a ja bym się tym zajął. – Nie potrafił wyjaśnić, czemu był taki zirytowany. Chociaż poprosiła go o pomoc, była przecież wolną, niezależną osobą.

Wzruszyła ramionami.

– Kiedy ich znalazłam, pomyślałam, że zobaczę, co uda mi się wytropić. Im szybciej zlokalizujemy kompanię, tym lepiej. Potrzebny nam tylko jej adres.

Gabriel się skrzywił. Czyżby jego pocałunki sprawiły, że zaczęła żałować, iż zwróciła się do niego o pomoc? Jeśli tak, to było za późno na żal – już go poprosiła. Wyraźnie słyszał jej spłoszony oddech. Znał jednak na tyle dobrze kobiety, że potrafił odróżnić opór od odtrącenia. Nie byłaby taka niespokojna, gdyby jej nie kusił. – Jak się pani tu dostała? Drzwi nie były otwarte... – Dopiero w tym momencie zauważył, że metalowe pudełka, które przeszukiwała, były zamykane na kłódki. Tylko jedno było teraz otwarte, lecz... – Umie pani otwierać zamki.

Zesztywniała.

– No... tak. – Machnęła ręką. – Mam do tego talent.

Zaintrygowało go, jakie jeszcze talenty ukrywała.

– Tak się składa, że również obdarzony jestem podobnymi zdolnościami. – Sięgnął po jedno z pudełek, których jeszcze nie przeszukała. Widniał na nim napis „Mitcham”. Spojrzał na niewielką kłódkę.

– Proszę.

Uniósł wzrok. Wyciągała się ku niemu delikatna, obciążona skórzaną rękawiczką dłoń, dzierzżąca szpilkę do włosów.

– Bardzo dobry rozmiar.

Dotknął jej ręki, biorąc szpilkę z jej palców. W sekundę otworzył pudełko. Odchylił wieczko i wyciągnął ze środka stos papierów. – Natrafiła już pani na jakieś interesujące szczegóły, jakieś nazwiska, adresy?

– Nie. Nic. W obu pokojach nie widziałam żadnego pudełka z nazwą kompanii, ale przecież musi gdzieś być, prawda? Jeśli kompania jest klientem tej kancelarii, muszą tu być jej dokumenty, nie sądzi pan?

– Tak można by przypuszczać. – Gabriel rozejrzał się po pomieszczeniu. Potwierdzało się jego pierwsze wrażenie o metodach pracy kancelarii. – Panowie Thurlow i Brown wyglądają na bardzo konserwatywnych. Jeśli kompania jest ich klientem, na pewno założyli dla niej pudełko z dokumentami.

Ramię w ramię przeglądali po kolei zawartość pudełek, szybko i gruntownie. W końcu hrabina westchnęła. Odłożyła papiery do ostatniego pudełka, opuściła wieczko i popchnęła w stronę Gabriela, żeby zamknął je na kłódkę.

– I nic.

– Mamy jeszcze pokój Thurlowa. Za nami dopiero połowa zadania. – Gabriel umieścił zamknięte pudełko na najwyższej półce, wziął lampę i skinął na swoją towarzyszkę.

W międzyczasie hrabina złożyła księgę, która służyła jej za ekran, osłaniający światło lampy. Raz jeszcze obrzuciła uważnym spojrzeniem biurko, sprawdzając, czy wszystko znajduje się na swoim miejscu, po czym ruszyła przed Gabrielem do drzwi.

– Czy były otwarte?

– Tak. – Obejrzała się i kiwnęła głową, widząc szparę, którą pozostawił. – Mniej więcej tyle.

W pokoju Thurlowa przygotowali sobie miejsce pracy: uprzątnęli rzeczy z biurka, ustawili na nim przesłoniętą jak poprzednio lampę i zabrali się do roboty. Żmudne przeglądanie dokumentu za dokumentem, w poszukiwaniu choćby najdrobniejszej wzmianki o ŚrodkowoWschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota była powolną, żmudną pracą. W gabinecie Thurlowa znajdowało się jeszcze więcej pudełek z papierami niż w pokoju Browna, a regały były wyższe.

Gabriel przeglądał właśnie zawartość kolejnego pudełka, kiedy usłyszał zduszony okrzyk.

Zdażył rzucić trzymane w rękach dokumenty, dwoma susami pokonać pokój i chwycić spiętrzony stos pudełek, chwiejących się nad głową hrabiny. Była dość wysoka, by dosięgnąć najwyższej półki, ale mogła stojących tam pudełek jedynie dotknąć opuszkami palców. Tak potraktowane pudełka przechyliły się, po czym zaczęły się zsuwać...

Sięgnął ponad jej głowę i chwycił spadającą zawartość półki, więżąc hrabinę pomiędzy swoimi ramionami. Oboje zastygli, trzymając metalowe pudełka i desperacko starając się nie dopuścić, aby upadły na podłogę.

Dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów.

Gabriela poraził zapach jej perfum, poruszyło kobiece ciepło. Pragnienie, żeby zniwelować dzielącą ich odległość i poczuć, jak jej ciało opiera się o niego, stało się bardzo silne. Wyczuwał jej puls, podniecenie. Usłyszał, jak wstrzymuje oddech, poczuł jej niepewność...

Przechylił głowę i przytknął usta do przesłoniętej welonem skroni hrabiny. Zamarła i w jednej chwili fizyczne napięcie przekształciło się w zmysłowe. Gabriel przesunął się, pokonując dzielącą ich odległość, dopóki nie dotknął ciałem jej ciała. Przeciągnął wargami wzdłuż jej skroni, poniżej linii zaczesanych do tyłu włosów. Pochylając mocniej głowę znalazł jej ucho, po czym przesunął wargi niżej, żeby drażnić i dręczyć wrażliwe

miejsce poniżej małżowiny.

Zręcznie skłonił hrabinę, by rozluźniła napięte mięśnie i oparła się na nim. Jedwabny welon przesunął się pod jego wargami, niby dodatkowa pieśczota. Wstrzymała urywany oddech. Gabriel pochylił głowę i przeciągnął ustami wzdłuż jej szyi, dopóki wreszcie nie wypuściła z płuc powietrza. Ostrożnie, w każdej chwili gotowa się cofnąć, pozwoliła sobie oprzeć się ramionami o jego tors.

Uśmiechając się triumfalnie w duchu, Gabriel uniósł głowę i zaczął składać delikatne pocałunki na jej szyi, skłaniając ją do odchylenia głowy, oparcia jej na jego ramieniu. Poczł pełniej gorący kształt jej karku. Pragnął dużo więcej, ale oboje nadal trzymali ręce uniesione do góry i zaciśnięte na pudełkach. Nie miał odwagi zburzyć czaru tej chwili. Reagowała tak słodko, ale była tak bardzo płochliwa, jak klacz, która nie poznała ludzkiej ręki. Toteż starał się, żeby każda pieśczota była prosta, jasna i nie niepokojąca. Z każdą chwilą lgnęła do niego coraz bardziej. Subtelne ciepło jej ciała sprawiło, że był podniecony, ale się kontrolował. Jego aktualne zwycięstwo dawało się porównać z opuszczaniem przez obrońców zwodzonego mostu.

Po pewnym czasie opierała się już o niego całym ciałem. Nadal była lekko spięta, ale wynikało to bardziej z fascynacji i oczekiwania niż z oporu. Złożył mocniejszy pocałunek poniżej jej ucha i usłyszał jej drżący oddech. Zaczęła dygotać i dyszeć.

– Zaraz upuszczę te pudełka.

Uniósł głowę, spojrział w górę i zdusił westchnienie. Ręce hrabiny się trzęsły. Wyprostował się; ona natychmiast zrobiła to samo. Wstrzymała oddech. Gabriel się cofnął. Bardzo ostrożnie przesunęła ręce i chwyciła dwa najniższe leżące pudełka, umożliwiając mu zabranie pozostałych trzech z góry. Odsunęła się, po czym odwróciła się i prostując plecy, przeniosła trzymane pudełka na biurko.

Zostawiając go z trzema pudełkami i zdecydowanym pragnieniem.

Zaciskając usta, Gabriel zaniósł swoje pudełka na biurko i



postawił koło pudełek hrabiny. Hrabina zdążyła już otworzyć pierwszy pojemnik. Nie patrząc na niego, wyjęła ze środka papiery i zaczęła je przeglądać. Przypatrywał jej się zmrużonymi oczami, rozważając, czy nie porwać jej po prostu w objęcia. Zdecydowany, szorstki sposób, w jaki przewracała kartki, przemawiał przeciwko takiej koncepcji.

Z zaciśniętymi zębami wziął stos papierów, które właśnie przejrzał. Posłał jej twarde spojrzenie. Nie dała po sobie poznać, czy je zauważyła.

W ciszy kontynuowali poszukiwania.

Kiedy już zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem się nie pomylił i z jakiegoś powodu Środkowo-Wschodnia Afrykańska Kompania Złota nie doczekała się swojego pudełka na dokumenty, hrabina powiedziała:

– Jest.

Gabriel spojrział na pudełko. Widniał na nim napis „Swales”.

Przysunęła papiery do lampy i po kolei zaczęła je szybko przeglądać. Przybliżył się i stanął za jej plecami, aby móc jej czytać przez ramię. – To są dokumenty potrzebne kompanii do rejestracji, żeby móc prowadzić interesy w Londynie. – Obejrzał trzymaną przez hrabinę kartkę papieru. – A kompania jest formalnym klientem Thurlowa i Browna.

– Czy dlatego, że Thurlow i Brown wymienieni są jako osoby do kontaktów?

– Tak. Firma musiała zostać wynajęta, gdy kompania po raz pierwszy zawitała do Londynu. Oznacza to, że będzie tu bardzo mało dokumentów wymieniających adres kompanii.

– Ale chyba musi być chociaż jeden? – Spojrzała na niego przez ramię. Jej usta rysowały się wyraźnie pod welonem. Zatrzymał na nich wzrok. Hrabina zamarła, a potem lekko zadrżała. Odwróciła twarz i zapytała bez tchu: – A może będziemy musieli przeszukać jakieś państwowe biuro?

Nie zauważyła leciutkiego uśmiešku.

– Powinny być co najmniej dwa dokumenty wymieniające adres kompanii. Pierwszy to akt rejestracji kompanii, ale

najprawdopodobniej znajduje się w rękach właścicieli kompanii. Jednak drugi zawsze jest przygotowywany przez wszystkich prawników, a niewielu klientów wie o jego sporządzeniu.

Sięgnął ręką i pociągnął ostatnią kartkę w stosie przeglądanych dokumentów. Pozwoliła mu ją wyciągnąć. Wziął dokument do ręki i się uśmiechnął.

– Otóż i on. Wewnętrzna instrukcja firmy, w jaki sposób kontaktować się z klientem.

– Pan Joshua Swales – zaczęła czytać – agent Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota, razem z listami pana Henry’ego Feagginsa, Fulham Road 142.

Przeczytali kilkakrotnie adres i nazwiska, po czym Gabriel odłożył kartkę na miejsce do pudełka. Wziął od hrabiny plik papierów, które trzymała w ręce, i zaczął je przerzucać.

– Czego pan szuka?

– Byłem ciekaw, czy będziemy mieli szczęście i znajdziemy listę inwestorów... albo spis skryptów dłużnych, poczynionych przez firmę... ale niestety. – Marszcząc czoło, ułożył równo papiery. – Ludzie stojący za kompanią są bardzo ostrożni.

Przytrzymała pudełko, do którego włożył resztę dokumentów, a następnie zamknął je na kłódkę. Potem oboje ruszyli ku regałom. Odstawił pudełka na półki we właściwej kolejności. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że hrabina porządkuje biurko, przywracając mu pierwotny wygląd, ustawiając bibularz i kałamarz.

Po raz ostatni uważnym spojrzeniem obrzucił pokój i wziął do ręki lampę.

– Gdzie stała?

– Na tamtym małym stoliczku.

Gabriel odstawił lampę na wskazany przez hrabinę stolik, po czym poczekał, aż kobieta wyjdzie. Zdusił knot lampy. Płomień zgasł.

– Miejmy nadzieję, że urzędnik nie należy do osób zwracających uwagę na poziom nafty w lampie – mruknął, obchodząc biurko i mijając bramkę.

Nie odzywała się, czekając na niego przy drzwiach. Odnalazł po ciemku swoją laskę. Hrabina wyszła na zewnątrz. Ruszył w jej ślady, zamknął drzwi i przykucnął, żeby zamknąć zasuwkę. Nie było to łatwe, w końcu jednak się udało.

– Jak zdołała je pani otworzyć? – zapytał.

– Z trudem.

Na pewno nie za pomocą szpilki do włosów. Tłumiąc ciekawość, ruszył za nią w dół po schodach. Obcasy hrabiny stukały o kamienne stopnie. Bezszelestne przemknięcie przez brukowany dziedziniec było niemożliwe. U podnóża schodów ujął jej dłoń i oparł sobie na rękawie. Spojrzała na niego zaskoczona.

– Rozumiem, że czeka na panią powóz.

– Tak, na końcu parku.

– Odprowadzę panią do niego. – W tych okolicznościach nie bardzo mogła się sprzeciwiać, chociaż widział, że miała na to ogromną ochotę. Gdyby spróbowała, oświadczyłby jej, że dzięki pięciu blaszanym pudełkom jej szanse na odprawienie go i umknięcie do powozu bardzo zmalały.

Wszelkie zmagania miały swoje reguły. I na wojnie, i w uwodzeniu. Znał i umiał wykorzystać wszystkie zasady. Po pierwszym starciu każda dama, z którą kiedykolwiek miał do czynienia, dochodziła do wniosku, że jej też się podoba postępowanie zgodne z zasadami wyznawanymi przez Gabriela. W końcu więc i hrabina nie będzie się uskarżać.

Ruszyli, nie ukrywając się, przez dziedziniec. Czuł, jak nerwowo przebierała palcami po jego rękawie, potem się uspokoiła. Zerknął na jej zawoalowane oblicze, prześliznął się spojrzeniem w dół po pelerynie.

– Wygląda pani na świeżo owdowiałą kobietę, która ma powody, żeby wieczorem odwiedzać Lincoln's Inn.

Potaknęła nieznacznym kiwnięciem głowy. Nie okazywała teraz śladu zdenerwowania. Jeśli już musiał mieć partnerkę w działaniach, to był zadowolony, że trafił właśnie na nią. Miała same zalety: potrafiła myśleć, otwierać zamki i zachowywać tajemnicę. Pomimo irytacji, jaka ogarnęła go na jej widok w

kancelarii, teraz wykazywał wiele zrozumienia dla jej działań.

Oczywiście będzie musiał postawić sprawę ostro i ukrócić jej nocne wyprawy poszukiwawcze, ale to może poczekać, dopóki nie przejdą obok portiera przy bramie, kiwającego do nich ze swojej budki. Z zadartą do góry głową hrabina przeszła koło portiera, jakby go wcale nie było. Mężczyzna z szacunkiem przytknął dłoń do czapki, po czym ziewnął i opadł na swój stołek.

Poszli dalej. W cieniu rzuconym przez ogromne drzewa rosnące na skwerze czekał mały czarny powóz. Konie miały łby spuszczone do ziemi. Kiedy się zbliżyli, woźnica rozejrzał się i szarpnął za lejce.

Gabriel zatrzymał się obok powozu i otworzył drzwi. Hrabina wyciągnęła rękę w geście pożegnania.

– Dziękuję...

– Chwileczkę. – Ujął jej dłoń i pomógł wsiąść. Posłuchała, patrząc na niego nieco zdziwiona. Gdy sadowiła się na miejscu, Gabriel zwrócił się do woźnicy: – Brook Street, tuż za South Molton. – Z tymi słowami wsiadł za hrabiną do powozu i zatrzasnął drzwiczki.

Popatrzyła na niego, a kiedy siadał obok niej, przesunęła się głębiej. Powóz ruszył.

Po chwili ciszy odezwała się:

– Nie wiedziałam, że zaoferowałam panu podwiezienie.

Gabriel nie odrywał wzroku od jej skrytej pod welonem twarzy.

– Na pewno by pani to uczyniła, więc pomyślałem, że oszczędzę pani fatygi.

Usłyszał krótki, natychmiast stłumiony, wybuch śmiechu.

– Poza tym musimy przecież rozważyć nasze następne posunięcia – dodał. Sam przeanalizował już kilka możliwości; wszystkie dawało się zrealizować w zamkniętym powozie, jadącym przez noc.

– Rzeczywiście – rzuciła spokojnym tonem.

– Najpierw jednak musimy omówić pewną sprawę. Poprosiła mnie pani o pomoc i zgodziłem się jej udzielić. Zażądała pani

również, żebym nie próbował pani zidentyfikować.

Zesztywniała.

– A próbował pan?

Jego beztroska uleciała.

– Obiecałem przecież. A więc nie, nie próbowałem. – Mówił stanowczym głosem. – Ale jeśli chce pani, żebym nadal brał udział w pani grze, jeśli mamy kontynuować naszą współpracę i ocalić pani rodzinę od ruiny, musi mi pani przyrzec, że przystanie na ustalone przeze mnie reguły.

Milczała przez dłuższy czas. Wreszcie przerwała ciszę:

– Pańskie reguły?

– Jakie one są, te pańskie reguły?

– Zasada pierwsza – proszę obiecać, że nigdy nie podejmę pani żadnych akcji bez mojej wiedzy.

– Bez pańskiej wiedzy?

Gabriel ukrył cyniczny uśmiezek. Znał kobiety na tyle dobrze, żeby nie użyć słowa „pozwolenie”.

– Jeśli będziemy działać niezależnie od siebie, zwłaszcza w sprawie tak delikatnej jak ta, szansa na to, że pokrzyżujemy sobie nawzajem szyki, będzie spora. A gdy tak się stanie i zbyt wcześnie zdradzimy swoje zainteresowanie kompanią, wszystko pójdzie na marne. A pani sama nie jest dość obeznana ze sposobami prowadzenia dużych interesów w mieście, by ocenić granice tego, ile możemy się dowiedzieć. Zresztą właśnie dlatego zwróciła się pani do mnie o pomoc.

Nie miała w sobie nic z typowej dla swojej płci obawy przed milczeniem. Nie odzywała się, kalkulując, rozważając. Kiedy powóz zakołysał się na zakręcie, zapytała:

– A jakie są pozostałe zasady?

– Są tylko dwie, jedną już pani przedstawiłem.

– A druga?

– Za każdą zdobytą informację będę chciał zapłaty.

– Zapłaty? – w jej głosie pojawiła się ostrożność.

Zdusił wilczy uśmiech.

– Zapłaty, zwyczajowego wyrazu wdzięczności za

wyświadczoną przysługę.

Doskonale wiedziała, co miał na myśli, jej mięśnie znów się napięły. Po chwili odchrząknęła i spytała:

– Jakiej zapłaty pan oczekuje?

– Za znalezienie kancelarii Thurlowa i Browna – pocałunek.

Zamilkła bez ruchu. Zaczął się zastanawiać, czy jej za bardzo nie zaszokował. Ale chyba nie mogła być aż tak zaskoczona, wiedziała przecież, kim był. Patrzyła na niego spod welonu, bez oznak jakiegokolwiek zdenerwowania, spokojnie trzymając ręce złożone na kolanach.

– Pocałunek?

– Yhm. – Tym razem nie potrafił stłumić uwodzicielskiej nuty, która pojawiła się w jego głosie. – Bez welonu. Proszę go zdjąć.

– Nie – padło zdecydowanie i spokojnie.

Arogancko uniósł brwi.

– Nie. Welon... nie...

Westchnął z rezygnacją.

– Dobrze. – Zanim zdążyła wymyślić jakiś pretekst, żeby w ogóle nie zgodzić się na pocałunek, jedną ręką ujął jej twarz i, unosząc kciukiem brzeg zasłony, opadł wargami na jej odsłonięte usta.

Wydała z siebie okrzyk zdumienia. I zaraz potem ucichła. Nie zamarła z przerażenia. Siedziała po prostu, pozwalając mu na pocałunek. Ale nie odpowiedziała na niego.

Nie zamierzał się z tym pogodzić, wiedział jednak, kiedy należy okazać cierpliwość. Pocałował ją delikatnie, zręcznie igrając z jej wargami, czekając...

Pierwszą oznaką poddania się było drzenie. Czuł jej powstrzymywany oddech, rosnące napięcie jej pleców. Potem wargi hrabiny poruszyły się, ożyły, chociaż nadal nic mu nie oferowały. Miał wrażenie, jakby w posąg wlewało się życie, zimny marmur ogrzewał się powoli, kamienna skorupa miękła, przekształcając się w żywe ciało i krew. Mocno przytrzymując jej twarz, zwiększył siłę pocałunku. Skoncentrował się na niej aż do

bólu. Dostrzegł moment, gdy uniosła z kolan jedną dłoń w rękawiczce i przysunęła do ręki, którą ujmował jej brodę. Jej palce, jakby niepewne, czy jego ręka jest czymś rzeczywistym, zatrzepotały o centymetry od jego dłoni, po czym dotknęły jej grzbietu.

To niezdecydowane dotknięcie wstrząsnęło nim. Zawarta w nim była cudowna niewinność, która go urzekła i zniewoliła.

Palce hrabiny ciasno okryte rękawiczką zaczęły wędrować po grzbiecie jego dłoni. Na chwilę zawahały się, po czym zatrzymały, niby motyl, który przysiadł na dłoni.

Wstrzymał oddech, głęboko wdychając zapach jej perfum, i zintensyfikował pocałunek. Pierwszy raz w życiu prosił, a nie żądał. I dała mu to. Z własnej woli pochyliła się ku niemu, podając mu usta.

Rzucił się na nie jak zdobywca, roszcząc sobie do nich prawo. Ale natychmiast się cofnął, czując jej nagłe zmieszanie. Nie była przyzwyczajona do pocałunków. Dziwne. Nie rozważając dłużej tego problemu, zabrał się do uspokajania i zachęcania hrabiny.

Okazała się pojętną uczennicą – po chwili całowała go w odpowiedzi, delikatnie, ale bez zahamowań. Pragnął pochwycić ją w objęcia, ale posiadane doświadczenie ostrzegało go przed takim zachowaniem. Zrozumiał już, skąd się brała jej płochliwość – z niewiadomych powodów nie była przyzwyczajona do takich pieszczot. Miał wrażenie, że w tej chwili hrabina nie zniesie więcej niż napór jego ust i uchwyt ręki na brodzie, postanowił więc na razie na tym poprzestać.

Kiedy z wahaniem rozchyliła wargi, poczuł, że zdobył twierdzę. Jednak tym razem był ostrożny, nie wykorzystywał swej przewagi zbyt pośpiesznie. Zamiast tego delectował się każdą chwilą jej słodkiej uległości. Niemal zakręciło mu się w głowie, gdy hrabina na próbę dotknęła językiem jego języka i zaczęła go pieścić powolnymi, zwinnymi ruchami.

Była niczym dobre wino, którym należało się delectować z wolna.

Oderwał się od niej, gdy powóz zatoczył się na zakręcie. Z rozpiętą mu piersi radością uważnie przyglądał się jej ustom, oświetlonym przez uliczne latarnie. Były pełne, ciemnoróżowe, lekko obrzmiałe.

– A teraz za odnalezienie adresu Swalesa... – szepnął.

Jej wargi znów się rozchyliły. Nie czekał, by się dowiedzieć, czy w proteście, czy też zapraszająco. Po prostu przykrył je swoimi ustami. Tym razem rozwarły się w pełni w chwili, gdy dotknął ich językiem.

Brook Street musiała już być niedaleko. Ta myśl zachęciła go do pełniejszego skorzystania z ofiarowanego mu daru.

Z ochotą, ale i z wahaniem kroczyła ścieżką, jakiej nigdy wcześniej nie przebyła. Czuł to instynktownie. Jeszcze nigdy nikt jej namiętnie nie całował, nikt nie rozbudził jej zmysłów.

Zastanowiły go jej relacje ze zmarłym mężem.

Powóz zwolnił i się zatrzymał.

Przez jeden krótki moment, gdy ich oddechy zmieszały się, poczuł ogromną pokusę... ale cofnął rękę i pozwolił, żeby welon opadł jej na twarz. Sama, z własnej woli, wyjawi mu swoją tożsamość. A wówczas będzie mógł w pełni rozkoszować się tą chwilą.

Wyprostował się. Hrabina opadła na siedzenie. Próbowwała coś powiedzieć, ale niemal się zakrztusiła. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz.

– Panie Cynster...

– Mam na imię Gabriel.

Pomimo welonu ich spojrzenia się spotkały.

– Wydawało mi się, że miał pan rozważyć nasze dalsze posunięcia.

Nie spuścił wzroku.

– Proszę mi wierzyć, że się zastanawiam.

Czekał, a kiedy nie odpowiadała, patrząc na niego, pochylił głowę.

– Do naszego następnego spotkania. – Przesunął się do drzwiczek powozu. – Nawiasem mówiąc, kiedy ono nastąpi?



– Skontaktuję się z panem za dzień czy dwa – udało jej się wyszeptać.

Słyszając jej urywany oddech, ukrył uśmiech triumfu.

– Doskonale. Niech pani jednak pamięta, co mówiłem. Swalesa proszę pozostawić mnie.

Czekał, choć nie było to pytanie. W końcu hrabina w charakterystyczny dla siebie sposób energicznie kiwnęła głową.

– Dobrze. Zgadzam się.

Z satysfakcją otworzył drzwiczki i wysiadł z powozu. Dał znak woźnicy. Trzasnęły lejce i powóz potoczył się w dalszą drogę.

Gabriel patrzył na oddalający się pojazd, a potem odwrócił się i zaczął się wspinać po schodach do domu, głęboko usatysfakcjonowany tym, co udało mu się tej nocy osiągnąć.

## Rozdział 4

Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie brakowało jej powietrza.

Alathea siedziała podparta łokciem o blat stołu i bawiąc się trzymaną w ręce grzanką, usiłowała zaprowadzić jakiś ład w chaosie panującym w jej głowie. Nie było to łatwe zadanie, zważywszy, że nadal była oszołomiona.

Cóż to za naiwność, lekceważyć to, co zwiastował ów pierwszy, jakże niewinny pocałunek. Przypieczętowanie umowy? Akurat! Nie przyszło jej do głowy, że wobec braku próby powstrzymania go, z pewnością będzie chciał pocałować ją znowu. I w ten sposób, zupełnie niespodziewanie, znalazła się w stanie obcego jej dotąd podniecenia. Sama myśl o pocałunku, o serii pocałunków z ostatniej nocy wystarczała, żeby zamącić jej umysł. Jej błędny rycerz wierzył, iż była mężatką, i to doświadczoną mężatką, z którą mógł swobodnie flirtować. Ale ona mężatką nie była. Nigdy. Jeszcze nie zaczął niczego podejrzewać, ale jak długo uda się ciągnąć tę grę z zapłatanymi, nie zdradzając prawdy?

Czy nie będzie musiała się odkryć?

Już to wszystko wyglądało dostatecznie niedobrze, ale na dobitkę przejął ster z jej rąk. Bóg jedyny wiedział, dokąd ją teraz zaprowadzi tak starannie obmyślony plan.

Powinna była przewidzieć, że ten mężczyzna zechce przejąć kierownictwo; zawsze przewodził w ich dziecięcych zabawach. Teraz jednak nie byli już dziećmi, przez dziesięć ostatnich lat zaś przyzwyczaiła się do komenderowania. Trudno jej było teraz się pogodzić z rolą adiutanta.

Siedząca obok niej rodzina rozmawiała, jadła, śmiała się. Zatopiona w myślach Alathea niemal ich nie słyszała. Wzięła do ust grzankę i zaczęła ją gryźć, postanawiając równocześnie, że będzie musiała stworzyć pozory, iż to on podejmuje decyzje. Jego cynsterowski charakter nie zadowolony się niczym innym, więc bezcelowe było walenie głową w mur. Nie oznaczało to, że potulnie się zgodzi, by decydował o wszystkim, pozwoli tylko,

żeby tak mu się wydawało. Tylko jak się zabezpieczyć, żeby jej nie oszukał i nie ukrywał przed nią swoich działań?

Będzie musiała spotykać się z nim regularnie. Ta perspektywa przerażała. Logicznie rzecz biorąc, już teraz powinna się zastanawiać nad zorganizowaniem następnego spotkania, ale przedtem musiała dojść do siebie po poprzednim. Liczyła na to, że jego rycerska żyłka skłoni go do udzielenia jej pomocy, ale nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że Gabriel posunie się do tego, by żądać od niej zapłaty.

Słowo „zapłata” zmieniło dla niej swe znaczenie. Już zawsze będzie jej się kojarzyło z czymś zakazanym, ekscytującym, przejmującym, kuszącym...

Myśli kotłowały się w jej głowie. Dusiło ją w piersiach. Na samo wspomnienie tych chwil w powozie, gdy w typowy dla siebie, władczy sposób przywarł wargami do jej ust, nadal kręciło jej się w głowie. A na myśl o tym, co wydarzyło się później, zaczerwieniła się jak burak.

Natychmiast zakazała sobie wspomnień tamtych obrazów, tamtych doznań. Te ostatnie były najgorsze. Uniosła do ust filiżankę i popijając herbatę, miała nadzieję, że nikt nie zauważył jej rumieńca. Nie zarumieniła się od pięciu, a może nawet od dziesięciu lat. Jeśli teraz zacznie się płonąć nie wiadomo dlaczego, zaczną się pytania, spekulacje. A była to ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała.

Bezlitośnie odsunęła od siebie wszelkie wspomnienia wczorajszej drogi powrotnej do domu i postanowiła, że nie ma sobie nic do zarzucenia. Nie mogła tego wszystkiego uniknąć, nie wzbudzając podejrzeń Gabriela. Nie było sensu rozwodzić się nad tym dłużej – powinna tylko serdecznie podziękować Aniołowi Stróżowi, że udało jej się powstrzymać przed wypowiedzeniem jego imienia. Już miała na końcu języka imię „Rupert”, połknęła je w ostatniej chwili. Gdyby to powiedziała, oznaczałoby to koniec udawania, była bowiem jedyną osobą, poza jego matką, która wytrwale nazywała go imieniem, jakie otrzymał przy urodzeniu. Sam jej to kiedyś powiedział.

Nie miała pojęcia, czemu się tak przy tym upierała. Może była to tęsknota za dawnym, prostym czasem, który już dawno przeminął? Zawsze myślała o nim jako o Rupercie.

*Mam na imię Gabriel.*

Gapiała się w okno i rozmyślała. Miał rację, teraz był Gabrielem, nie Rupertem. Gabriel symbolizował tamtego chłopca i młodzieńca, którego знаła jako Ruperta, ale jednocześnie coś więcej, dodatkową głębię, większe doświadczenie i rezerwę.

Otrząsnęła się z tych rozważań i skończyła pić herbatę. Jako hrabina będzie musiała pamiętać, by nazywać go Gabrielem. Natomiast Alatheia nadal powinna wołać na niego „Rupert”.

Musi też znaleźć sposób na ograniczenie zapłaty, jakiej Gabriel bez wątpienia będzie żądał.

– Powinnyśmy chyba odwiedzić dziś rano lady Hertford. – Przeglądając zaproszenia, Serena spojrzała na Mary i Alice. – Przyjmuje dzisiaj w domu i wydaje mi się, że będzie to dobre miejsce, żebyście się pokazały w sukienkach, które dostarczono wczoraj.

– O tak! – zawołała Mary. – Chodźmy się szykować.

– Czy będą tam inne młode panny? – zapytała Alice.

– Naturalnie. – Serena odwróciła się ku Alatheii. – Ty też musisz iść z nami, moja droga, żeby nie musiała przez cały czas tłumaczyć twojej nieobecności.

Powiedziane to zostało słodkim, ale zdecydowanym tonem. W odpowiedzi Alatheia się uśmiechnęła.

– Oczywiście, że pójdę, aby was wesprzeć.

Mary i Alice rozpromieniły się jeszcze bardziej. Wśród poważnej dyskusji o wstążkach, kapeluszach i torebkach wszystkie panie udały się na górę, żeby przygotować się do wyjścia. W istocie wyprawa przypominała wojenny wypad.

Gdy godzinę później pojawiły się w saloniku lady Hertford, Alatheia ukryła uśmiech. Serena objęła dowództwo nad damskim wojskiem, które zlustrowała bystrym spojrzeniem, i szybko oceniła. Mary i Alice przyłączyły się do grupki młodych, równie

niedoświadczonych panienek i paplały z nimi ożywione, zapomniawszy o początkowej nieśmiałości. Serena zasiadła z lady Chelmsford i księżną Lewes, które również miały pod swoimi skrzydłami młode panny, debiutujące w towarzystwie. Alatheia mogłaby się założyć o sporą sumę, że zaczęły już rozważać, którzy dżentelmeni mogą w tym sezonie okazać zainteresowanie pannami.

Alatheia stanęła spokojnie w rogu pokoju ze świadomością, że wszyscy zauważyli jej przybycie. Tak jak powiedziała Serena, gdyby się nie pojawiła, zaczęto by się dopytywać, co się z nią stało. Teraz jednak, gdy obecne u lady Hertford matrony na własne oczy stwierdziły, że najstarsza, niezamężna córka lorda, teraz już stara panna, czuje się dobrze w towarzystwie swoich przyrodnych siostr i macochy, ustały powody do plotek i Alatheia została usunięta z ich zbiorowej świadomości.

Bardzo jej to odpowiadało.

Skończyła pić herbatę i rozejrzała się w poszukiwaniu stołu, na który mogłaby odstawić filiżankę. Spostrzegła go za kanapą, zajmowaną przez panią domu, gawędzącą z jedną ze swoich przyjaciółek. Alatheia przemknęła w tamto miejsce, odstawiła filiżankę i już miała wrócić pod ścianę, gdy zamarła, słysząc słowa „Środkowo-Wschodnia Afrykańska Kompania Złota”.

Wbiła wzrok w kręcone rude włosy lady Hertford.

– Mój kuzyn powiedział, że to absolutnie pewny zarobek, więc oczywiście przekazałam to Geoffreyowi. Podałam mu nazwisko człowieka, który prowadzi te interesy, ale Geoffrey nie spieszył się, zwlekał. – Lady Hertford przysunęła się do przyjaciółki i ściszyła głos. – Oczywiście wspomniałam mu o tym, że w związku z nieoczekiwanymi dodatkowymi wydatkami na naszego syna w Oksfordzie powinien rażno zabrać się do naprawy stanu naszych finansów. Powiedziałam mu jasno, że w tym roku Jane będzie potrzebowała nie tylko nowych sukien, ale też więcej pieniędzy na posag. Ale czy to do niego dotarło?

Lady Hertford siedziała sztywno wyprostowana, każdym słowem dając wyraz niezadowoleniu z postawy swojego małżonka.

– Jestem przekonana – syknęła – że to wszystko dlatego, iż ten interes zasugerował mój najukochańszy kuzyn Ernest, a Geoffrey go nie znosi.

Przyjaciółka mruknęła współczująco, po czym sprowadziła rozmowę na temat dzieci. Alatheia się odsunęła. Najwyraźniej lord Hertford podzielał jej wątpliwości co do Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota, ale powodem tej nieufności, jak sugerowała jego małżonka, była osoba stojąca za kompanią.

Z drugiego końca pokoju skinęła na nią jedna z matron. Alatheia posłuchała wezwania. Z pogodnym uśmiechem przyklejonym do twarzy przetrwała intensywne przesłuchanie, dotyczące poświęcenia się życiu na wsi i staropanieństwa. Oczywiście takie słowa jak „niemodny odludek” czy „mąż” w ogóle nie padły w rozmowie.

Niezmacona pogoda i twardy opór przy próbach pociągnięcia jej za język pozwoliły jej w końcu uwolnić się od lady Merrick, która odprawiła ją ruchem ręki.

– Nie masz sumienia, moja droga panno! Twoja babka pierwsza by ci to powiedziała.

Z tą uwagą Alatheia podążyła z powrotem w kąt pokoju, zastanawiając się jednocześnie, czy odważy się poruszyć temat Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota z gospodynią. Jedno spojrzenie na okrągłe, rumiane oblicze lady Hertford wystarczyło, żeby zrezygnowała z tego pomysłu. Lady Hertford na pewno nie udzieliłaby żadnej informacji poza tym, co powiedziała już wcześniej. Na dodatek byłaby zdumiona zainteresowaniem Alatheii. Kobiety z jej sfery, te młode i te starsze, nie powinny się interesować takimi sprawami – damy z jej sfery nie powinny nawet wiedzieć, że takie sprawy w ogóle istnieją.

Była to dodatkowa przeszkoda, uniemożliwiająca jej podjęcie tematu Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota także z małżonkiem lady Hertford.

Alatheia zerknęła na drzwi. Czy odważy się wymknąć i przeszukać gabinet lorda Hertforda? Zaczęła rozważać szanse znalezienia tam czegoś użytecznego. Ale jeśli samo wymienienie

nazwiska człowieka stojącego za kompanią wystarczyło, żeby ostudzić zainteresowanie lorda, to wydawało się nieprawdopodobne, żeby to nazwisko musiał zapisywać.

Ewentualne korzyści nie wydawały się warte ryzyka przyłapania. Mogła sobie wyobrazić skandal, który by to wywołało, zwłaszcza gdyby wyszły na jaw powody, dla których szperała w gabinecie pana domu.

I co by się stało, gdyby Gabriel się dowiedział?

Nie. Musi być cierpliwa. Rozdrażniło ją to słowo, więc powtórzyła je energicznie. Jeśli chodzi o sprawę Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota, była hrabiną, a hrabina zaufała Gabrielowi.

\* \* \*

Cierpliwość i zaufanie to były wspaniałe cnoty, ale nie mogły zmienić przekonania, że jeśli pozwoli Gabrielowi na zbyt wiele swobody, wówczas albo sam rozwiąże cały problem i zażąda od niej jakiejś niebywalej zapłaty, albo też ugrzęźnie w szczegółach i zupełnie straci trop. Obie sytuacje były równie prawdopodobne. Jeśli Gabriel zawsze przewodził, ona była szarą eminencją. Nadszedł czas, żeby przypomnieć sobie o tej pozycji.

Znajdowali się na wieczornym przyjęciu w domu Osbaldestone'ów. Stojąc za kanapą, na której Serena rozmawiała z lady Chadwick, Alatheia przebiegała wzrokiem tłum, zgromadzony dla uczczenia sześćdziesiątych urodzin lady Osbaldestone. Było to miejsce idealne dla jej celów.

Minęły dwa dni od ich przypadkowego spotkania w Lincoln's Inn, dwa dni, podczas których Gabriel powinien był sprawdzić agenta kompanii i jego siedzibę. Nadszedł czas, by hrabina poprosiła o sprawozdanie.

Przed nią kłębił się sam kwiat towarzystwa. Nie było tańców. Usadowiony we wnęce kwartet smyczkowy bez sukcesu usiłował wybić się ponad panujący gwar. Rozmowy, plotki i cięte riposty były głównym zajęciem tego wieczoru, w czym celowała jubilatka.

Lady Osbaldestone siedziała na kanapie, zwrócona twarzą do

pokoju. Alatheia spojrziała w tamtą stronę. Starsza pani stuknęła laską o podłogę, a następnie wycelowała ją w Vane'a Cynstera, który właśnie stał przed nią. Vane cofnął się, jakby chciał się skryć za smukłą postacią swojej żony. Alatheia spotkała Patience Cynster kilka dni temu w parku. Patience z niezmaconym spokojem dygnęła przed starą damą.

Alatheia żałowała, że sama nie ma więcej cierpliwości. W ciągu ostatnich dziesięciu minut trzykrotnie spoglądała na zegar. Nie było jeszcze dziesiątej; przyjęcie ledwo się rozpoczęło. Nadal przybywali goście. Gabriel już był, ale pora pozostawała jeszcze zbyt wczesna na pojawienie się hrabiny.

Cynsterowie przybyli gromadnie, bowiem byli spowinowaceni z lady Osbaldestone. Kiedy Alatheia przeniosła wzrok na dwie śliczne, strzeżone niewzruszonym spojrzeniem Gabriela panny, znajdujące się w centrum zainteresowania, czyjeś długie palce zacisnęły się wokół jej ramienia.

– Witaj w mieście, moja droga.

Palce przesunęły się w dół, żeby spleść się z jej palcami i lekko je uściśnąć. Alatheia odwróciła się z uśmiechem.

– Zastanawiałam się, gdzie jesteś. – Pełnym uznania spojrzeniem omiotła wysoką, ciemnowłosą, ubraną na czarno postać stojącego obok niej. – Jak mam cię nazywać? Alasdair? A może Lucyfer?

Błysnął uśmiechem i na moment zza fasady statecznego dżentelmena wychylnęło oblicze pirata.

– Wszystko jedno.

Alatheia pytająco uniosła brwi.

– Oba imiona ci odpowiadają?

– Staram się.

– Jestem tego pewna. – Rzuciła okiem w drugi kraniec pokoju. – Co on robi?

Lucyfer poszedł za jej wzrokiem i zatrzymał spojrzenie na swoim bracie.

– Stoi na straży. Zmieniamy się.

Alatheia przyjrzała się uważniej dziewczętom i dostrzegła



podobieństwo.

– To wasze kuzynki?

– Aha. Nie mają starszego brata, który by ich pilnował, więc my się tym zajmujemy. Oczywiście za wszystko odpowiada Diabeł, ale ostatnio rzadko bywa w mieście. Jest bardzo zajęty dbaniem o książęce ziemie, książęcą sakiewkę i książęcego potomka.

Spojrzenie Alathej powędrowało w stronę wysokiej, rzucającej się w oczy postaci księcia St. Ivesa.

– Widzę. – Diabeł skoncentrował całą swoją uwagę na wyniosłej damie, stojącej u jego boku. – Ta kobieta to...?

– Honoria, jego księżna.

– Aha. – Alatheia skinęła głową. Skupione spojrzenie Diabła stało się wreszcie zrozumiałe. Od czasu do czasu miała okazję spotkać któregoś z kuzynów Gabriela i Lucyfera, nie miała więc kłopotów, żeby ich rozpoznać w tłumie. Rodzinne podobieństwo było wyraźne, nie ulegało wątpliwości, że wszyscy byli przystojni, chociaż jednocześnie każdy w inny sposób – poczynając od uderzającego, pirackiego wyglądu Diabła, poprzez spokojną elegancję Vane'a i klasyczną urodę Gabriela, aż po mroczny wdzięk Lucyfera. – Nie widzę dwóch pozostałych. – Znów przebiegła wzrokiem tłum.

– Nie ma ich tutaj. Richard i jego czarodziejka osiedli w Szkocji.

– Jego czarodziejka?

– Cóż, jego żona, ona naprawdę jest czarodziejką. W tamtych stronach jest znana jako pani doliny.

– Doprawdy?

– Yhm... Natomiast Demon jest zajęty obwożeniem swojej świeżo poślubionej żony po torach wyścigowych.

– Po torach wyścigowych?

– Oboje interesują się hodowlą koni pełnej krwi.

– Och. – Alatheia przejrzała w myślach listę. – To oznacza, że tylko wy dwaj nadal nie jesteście żonaci.

Lucyfer spojrział na nią, mrużąc oczy.

– I ty, Brutusie?  
Alathea się uśmiechnęła.  
– To tylko spostrzeżenie.  
– To dobrze, bo mógłbym dać się ponieść i powiedzieć, że przygania kocioł garnkowi.  
Uśmiech Alathei nie zniknął.  
– Wiesz przecież, że doszłam do wniosku, że małżeństwo nie jest dla mnie.  
– Wiem, że mi to mówiłaś, ale nigdy nie zrozumiałem dlaczego.  
Potrząsnęła głową i utkwiała wzrok daleko przed sobą.  
– Nieważne. – Powróciła spojrzeniem do dwóch rozmawiających z ożywieniem jasnowłosych piękności, które demonstracyjnie ignorowały leniwą, celowo onieśmielającą obecność Gabriela, trzymającego się w odległości paru metrów od nich. – Wasze młode kuzynki są bliźniaczkami?  
– Tak. To ich drugi sezon balowy, ale mają dopiero osiemnaście lat.  
– Osiemnaście? – Alathea spojrzała na Lucyfera, a potem z powrotem na dziewczęta, zauważając odrobinę modniejsze sukienki, niżby to wypadło podczas pierwszego sezonu, bardziej wymyślne uczesania, pewność siebie w ruchach i gestach bliźniaczek. Alathea potrząsnęła głową na myśl o Gabrielu, który czuwał nad nimi niby śmiertelnie niebezpieczny anioł śmierci. – Na miły Bóg, co też on, co też wy sobie myślicie? Skoro mają po osiemnaście lat, to dlaczego...? – Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na Mary i Alice, rozmawiające w pobliskiej grupce. – Alice ma dopiero siedemnaście lat.  
– Naprawdę? – Lucyfer obejrzał się, żeby przyjrzeć się Mary i Alice. – O Boże, nawet nie zauważyłem, że są tutaj. – Zmarszczył czoło, po czym znów zerknął na swoje kuzynki. – Wybacz mi, proszę.  
Nie czekając na jej odpowiedź, podskoczył do Mary i Alice. Z wdziękiem, bez najmniejszego wysiłku, wyrwał je z ich towarzyskiego kręgu. Prowadząc każdą z nich pod rękę, powiodł je

przez pokój. Przedstawił jej siostry swoim kuzynkom, a po chwili wymknął się z wianuszka niezwykle ostrożnych młodych dżentelmenów, otaczającego teraz cztery dziewczęta.

Na widok zadowolonego z siebie wyrazu twarzy Lucyfera Alathea potrząsnęła głową, bardziej z rezygnacją niż z podziwem. Na tyle często była świadkiem opiekuńczości Cynsterów, że łatwo rozpoznawała ten odruch. Wiedząc, że Lucyfer oczekuje od niej aprobaty, uśmiechnęła się w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie.

Lucyfer skierował się w stronę Gabriela. Alathea zręcznie wmieszała się w grupkę pań otaczających kanapę, na której siedziała Serena. Kątem oka obserwowała, jak Lucyfer zdaje relację bratu. Gabriel skinął głową i przekazał dyżur Lucyferowi. Ten skrzywił się, ale bez protestu zajął miejsce Gabriela pod ścianą.

Alathea zerknęła na zegar. Doskonale. Niespodziewanie manewry Lucyfera okazały się bardzo pomocne. Była pewna, że najbliższe pół godziny Mary i Alice spędzą w miłym towarzystwie jego i jego jasnowłosych kuzynek. W każdej chwili zaś...

Przez tłum gości zaczął się przedzierać majestatyczny kamerdyner lady Osbaldestone. Zatrzymał się przed Gabrielem i wyciągnął ku niemu srebrną tacę. Gabriel wziął z tacy bilecik i skinieniem głowy odprawił kamerdynera. Rozchylił złożoną kartkę, przebiegł ją wzrokiem, złożył i wsunął do kieszeni. Nie zajęło mu to więcej niż chwilę. Postronny obserwator nic by nie zauważył. Gabriel nawet najmniejszym drgnieniem powiek nie zdradził swoich myśli.

Z nadzieją, że Gabriel zastosuje się do instrukcji zawartych w liściku, Alathea skierowała wzrok na Serenę i jej najbliższe otoczenie, któremu poświęciła całą swoją uwagę do chwili, gdy przyszła pora na następny ruch.

\* \* \*

Lekko zadyszana dotarła do altany pięć minut przed czasem. Wytłumaczyła sobie, że to dlatego, iż biegła, przez cały czas

rozglądając się na boki w obawie, żeby nikt nie zauważył, iż się wymknęła. Ciężar ściskający jej płuca nie miał nic wspólnego z faktem, że wkrótce, w nocnym mroku, spotka Gabriela. Nie Ruperta, ale Gabriela, jego znacznie niebezpieczniejsze wcielenie.

Folwell czekał w gęstych krzakach, porastających podjazd dla powozów, tak jak mu poleciła. Przywiózł jej pelerynę, welon, buty na wysokich obcasach i flakonik ze specjalnymi perfumami hrabiny. Żeby się uspokoić, Alatheia głęboko wciągnęła powietrze, pozwalając, by egzotyczny zapach przeniknął jej mózg. Teraz była hrabiną.

W swoim przebraniu nie czuła się starą panną, lady Alatheą Morwellan, ale kimś innym. Jakby anonimowy strój i uwodzicielskie perfumy wydobyły na światło dzienne jej drugie ja. Nie miała specjalnych kłopotów, żeby wcielić się w swoją rolę.

Pamiętała z dawnych czasów, że altana usytuowana była pośród krzaków, w rogu ogrodu. Znajdowała się na tyle daleko od domu, że nie zachodziło ryzyko, by ktoś się tam przypadkiem zabłąkał. Nie musiała się też obawiać, że zostanie rozpoznana, chociaż nie zmieniła sukni, bowiem altana przesłonięta była zwieszającymi się gałęziami drzew i pnącymi się krzewami.

Usłyszała chrzęst żwiru. Przeszył ją nagły dreszcz, a po skórze przebiegły ciarki. Stała twarzą do wejścia, wyprostowana, z podniesioną głową i zaplecionymi na piersiach rękoma. Poczła przemożne pełne napięcia oczekiwanie, rozlewające się w jej żyłach. Gwałtownie tłumiąc drżenie, odetchnęła płytko. Tej nocy była zdecydowana panować nad sytuacją.

W drzwiach pojawiła się ciemna sylwetka jej błędnego rycerza, który stawiał się do raportu. Jego mroczna obecność, intensywnie męska, była boleśnie znajoma, a jednocześnie niepokojąco nieznaną. Gabriel przystanął w progu i odnalazł ją w ciemności. Zawahał się i obrzucił ją spojrzeniem. Poczła niewytłumaczalną chęć, by się odwrócić i uciec. Zamiast tego jednak stała bez ruchu, milcząc wyzywająco.

Ruszył do przodu.

– Dobry wieczór, moja droga.

Była tworem nocy i cienia, rysującym się jak ciemniejszy kształt na tle gęstego mroku, panującego w altanie. Gabriel widział jedynie jej welon i pelerynę, nic ponadto. Lecz jego zmysły wyostrzyły się; był pewien, że to hrabina. Zatrzymał się tuż przed nią, świadomy kuszącego zapachu bijącego od jej ciała.

– Nie podpisała pani swojego liściku.

Chociaż nic nie widział, ale wiedział, że uniosła pytająco brwi.

– Ile dam przysłała panu bileciki, proponując spotkanie w altanie?

– Więcej, niż chciałaby pani wiedzieć.

Zamarła.

– Spodziewał się pan kogoś innego?

– Nie. – Przerwał, po czym dodał: – Spodziewałem się pani.

– Co prawda, nie oczekiwał, że spotka ją tutaj, w Osbaldestone House, tuż pod nosem, ale nie oczekiwał też, że przez tydzień będzie spokojnie siedziała w swoim buduarze. – Rozumiem, że ciekawi panią, czego się dowiedziałem.

Usłyszał pomruk w swoim głosie. Wyczuł też jej ostrożność.

– Rzeczywiście. – Zadarła do góry brodę. Miał wrażenie, że patrzy na niego wyzywająco.

– Swales nie mieszka pod tamtym adresem przy Fulham Road. Znajduje się tam gospoda Onslow Arms, której właścicielem jest Henry Feaggins. Odbiera pocztę Swalesa.

– Czy Feaggins wie, gdzie mieszka Swales?

– Nie. Swales co parę dni odwiedza gospodę. Ponieważ nie było żadnej poczty do niego, wysłałem list – pustą kartkę papieru. Swales pojawił się dzisiaj i zabrał mój list. Mój człowiek poszedł za nim. Swales udał się do rezydencji w Egerton Gardens.

Wygląda na to, że tam mieszka.

– Do kogo należy rezydencja?

– Do lorda Archibalda Douglasa.

– Do lorda Douglasa?

Spojrzał na nią przenikliwie.

– Zna go pani?

Potrząsnęła głową.

– Czy lord Douglas może być szefem kompanii?

Sam zadawał sobie to pytanie.

– To dość nieprawdopodobne. Archie Douglas nie interesuje się niczym poza winem, kobietami i kartami. Jego mocną stroną jest wydawanie pieniędzy, a nie zarabianie ich. Jednak... – Przerwał, zastanawiając się, ile może jej zdradzić. Patrząc na jej zwróconą ku niemu przesłoniętą welonem twarz, musiał przyznać, że jest to nie tylko jego śledztwo, ale także jej, a może przede wszystkim jej. – Jeśli Swales jest agentem kompanii i używa domu Archiego jako swojej bazy, to istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że pewien bliski przyjaciel Archiego, również często bywający w rezydencji, jest prawdziwą siłą napędową Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota.

– Kim jest ten przyjaciel?

– Pan Ranald Crowley. – Nazwisko, wypowiedziane pełnym niechęci tonem, ciężko zawisło w powietrzu.

– Zna go pan. – To nie było pytanie.

– Nigdy się nie spotkaliśmy. Jednak, że tak powiem, skrzyżowaliśmy miecze w sprawach finansowych i wiem sporo o jego reputacji w środowisku.

– To znaczy?

– Nie jest dobra. To bezwzględny łajdak. Uważa się, że był zamieszany w wiele mocno podejrzanych interesów, ale kiedy władze zaczynały się nimi interesować, firmy po prostu znikają z powierzchni ziemi. Nigdy nie było przeciwko niemu żadnego dowodu, ale jest dobrze znany w podziemiu gospodarczym, że tak powiem. – Zawahał się, po czym dodał: – I wszyscy się go boją. Podobno jest przebiegły i niebezpieczny, niektórzy sądzą nawet, że nie zawahałby się przed morderstwem, gdyby mógł na tym zarobić wystarczająco dużo.

Zadygotała i otuliła się szczelniej peleryną.

– Jest więc sprytnym, bezwzględnym łajdakiem... – Chwilę później powiedziała: – Przypadkiem usłyszałam, że lord Hertford

odmówił zainwestowania w kompanię wyłącznie ze względu na osobę, która za nią stoi.

Koncentrując się na hrabinie, Gabriel lekceważąco machnął ręką.

– Proszę się nie przejmować Crowleyem, przyjrzę się mu.

Wyciągnął do niej ręce i zanim zdążyła się zorientować, znalazła się w jego ramionach. Zdumiona faktem, że opiera dłonie na jego piersi, spojrzała w górę.

– Co...?

Usłyszał w jej głosie niepokój, wyczuł jej oczekiwanie. Uśmiechnął się w myślach.

– Moja zapłata za znalezienie Swalesa.

Pospiesznie wciągnęła powietrze do płuc.

– Nigdy nic nie mówiłam o zapłacie.

– Wiem. – Obejmując ją mocniej, przesunął na bok welon i zniżył wargi ku jej ustom, dotykając ich leniwie raz, potem drugi... Zadrżała i się poddała. Wstrzymał oddech, poczuwszy miękkie, gorące kobiece ciało, opierające się o jego twarde tors. Z ustami o włos od jej warg mruknął: – I tak będzie pani musiała zapłacić.

Nie starała mu się przeszkodzić – żądał spłaty długu. Przywarł do jej ust. Wyszła mu na spotkanie, bez własnej inicjatywy, ale gotowa pójść za nim. W jej reakcji odbijało się, niczym w zwierciadle, jego pożądanie, w jej oddaniu – jego pragnienia. Centymetr za centymetrem jej ręce nieświadomie wędrowały w górę, zatrzymując się w końcu na jego ramionach. Odchyliła głowę, zachęcając go do pogłębienia pocałunku.

Skorzystał z zaproszenia. Wtulila się w jego ramiona. Gabriel objął ją mocniej. Zapach perfum wwiercał się w jego świadomość.

Dawała mu wszystko, czego zażądał, nie dość, że z ochotą, ale ze szczodrością, która zachęcała do przywłaszczenia sobie wszystkiego. Korzystał więc, ale bez poczucia, że musi osiąść wszystko, nawet to, co nie zostało mu podarowane. Otrzymywał to, czego pragnął, chętnie, łatwo, jakby czerpała przyjemność z dawania. Co sprawiało, że chciał coraz więcej.

Puścił jej welon. Gdy trzymała odchyloną głowę, nie było potrzeby przytrzymywania go. Przesunął w dół rękę, natrafiając na rozcięcie peleryny. Ponieważ hrabina opierała ręce na jego ramionach, nie mógł ściągnąć jej peleryny przez głowę. Zamiast tego rozchylił okrycie i wsunął pod nie ramię, otaczając jej kibić. Potem przeniósł drugą rękę pod ciężką pelerynę, objął dwoma rękoma jej biodra i przyciągnął bliżej do siebie.

Poddała się bez słowa protestu. Była tak wysoka, że przylegali do siebie udami, pomiędzy którymi, niczym w kołysce, spoczywała jego wzbudzona męskość. Nie dała poznać, czy jest tego świadoma, on zaś nie dał jej czasu na rozważania. Nadal przywierał do jej ust, dyrygując jej zmysłami i czerpiąc z tego dziką przyjemność.

Kiedy otoczył dłonią jej pierś, przyszło mu do głowy, czy nie posunął się za daleko. Szok, który nią targnął, był bardzo wyraźny. Instynktownie zaczął ją uspokajać, rozpraszając ją swoimi wargami, językiem, coraz bardziej zdecydowanymi pocałunkami. Lecz nie cofał ręki. Poczuł, że pierś pod jego dłonią nabrzmiała, wyczuwał supełek sutka. Dopiero wówczas zaczął pieścić miękkie, gorące ciało. Miała na sobie zaledwie dwie warstwy cienkiego jedwabiu. Z każdą chwilą, z każdym wspólnym oddechem rosła w nim pokusa, żeby się ich pozbyć, pochylić głowę i opuścić usta na jej słodkie kształty.

Pieszcząc, drażniąc i podniecając, czekał, aż narośnie w niej pragnienie, pierśi boleśnie zatęsknią za czymś więcej. Dopiero wówczas rozpiął maleńkie guziczki przy staniku sukni. Przesuwając palce po jej jedwabistym ramieniu, odnalazł troczki, na które zawiązana była jej koszula.

Wiedziała, co robił. Świadomie skoncentrowała się na jego palcach. Delikatne napięcie mięśni wzdłuż kręgosłupa spotęgowało się, osiągając maksimum w chwili, gdy pociągnął za troczki. Maleńka kokardka rozwiązała się natychmiast. Gabriel przerwał, celowo osłabiając pocałunek, dając jej szansę, żeby go powstrzymała. Dobrze wiedział, że tego nie zrobi. Pociągnął więc za kolejne troczki. Jej wargi zatrzęśły się w drżącym oddechu pod



jego ustami. Łagodnym ruchem zsunął w dół koszulę, celowo przeciągając jedwab po jej rozbudzonym ciele.

A potem z rozmysłem rozsunął na bok cięższy jedwab jej gorsetu i położył dłoń bezpośrednio na delikatnej niby płatki kwiatu piersi.

Jej oddech zaczął się przerywać. Jęknęła, czując zaciskające się mocniej palce.

Spragniony i zgłodniały, znów sięgnął do jej ust, sycąc zmysły. Nigdy jeszcze nikt jej tak nie dotykał, nie pieścił jej tak jak on. Przywarła do niego z jękiem. Gorącym ciałem otworzyła się na jego dotyk. Była taka niewinna.

Mruknęła coś niezrozumiale, gdy oderwał usta od jej warg i odchylił jej głowę bardziej do tyłu, by móc przesunąć wargami wzdłuż szyi. Nachylił mocniej głowę i usłyszał jej zduszony okrzyk.

Było to ostrzeżenie, którego jako doświadczony mężczyzna nie mógł zlekceważyć. Posuwał się zbyt pośpiesznie, nieustępliwie prowadząc ją drogą, jakiej nigdy jeszcze nie przebyła. Zwolnił więc, powoli wprowadzając ją w świat kolejnych zmysłowych wrażeń, pozwalając, by wchłonęła pełnię każdego doznania przed podjęciem następnego kroku. Dopiero gdy była na to przygotowana, wziął do ust boleśnie nabrzmiały czubek jej piersi. Wbiła palce w jego ramiona, wygięła się w jego ramionach, ale nie odsunęła. Pod jego dłońmi była ciepła i podatna, prawdziwa kwintesencja zmysłowej kobiecości.

Była fascynująca, niczym hurysa. Była kobietą nieskończonych pokus. Pławił się w jej ciepłe, karmił jej hojnością, pewien, że w końcu będzie jego. Nie tej nocy, ale już niedługo. Bardzo niedługo.

Kiedy wreszcie podniósł głowę, przytuliła się do niego płonącym ciałem, bezradna w swych pragnieniach. Opadł na usta, które mu oferowała, wniebowzięty jej gotowością. Zaczął błądzić rękami po jej biodrach, po gładkich wypukłościach pośladków, pieszcząc je, aż zaczęła zmysłowo ocierać się o niego biodrami, instynktownie szukając ujścia emocji.

Nie zaoferował jej nic – nie tej nocy. Choć cudownie reagowała, choć była wspaniałomyślna, wiedział, że to byłoby zbyt szybko. Była zmysłowo naiwna, niewątpliwie niedoświadczona, nawet jeśli nie można jej było nazwać w pełni niewinną. Najwyraźniej skazana dotąd wyłącznie na starego męża, który ewidentnie jej nie doceniał. Wiedział, że na ślepo podąża za jego sugestiami. Ale on doskonale zdawał sobie sprawę z tego, dokąd zmierza, w jaki sposób rozgrywać tę grę. I chociaż zmodyfikował zwykły scenariusz i przerobił z nią pospiesznie lekcje aż do momentu, w którym jej poddanie się stało się nieuniknione, to nie nadszedł jeszcze na to właściwy czas.

Tak przemawiał kalkulujący na zimno umysł wielce doświadczonego rozpustnika. Niestety, jego ciało daleko było do chłodu i wcale nie chciało słuchać. Zresztą większa część jego mózgu również była zniewolona cudem, który trzymał w objęciach. Sama myśl o tym, żeby ją teraz puścić, wymagała od niego żelaznej woli i absolutnej determinacji. Jakże trudno mu było sobie wyobrazić, że przepelnione pączkującą zmysłowością, uderzające do głowy, pełne obietnic interludium musi się zakończyć. Bez spełnienia. Nawet gdy rozum zwyciężył, musiał ze sobą walczyć, by przekonać do wycofania się usta, język, ramiona, dłonie.

W końcu udało mu się jakoś unieść głowę. Głęboko wciągnął do płuc powietrze i pozwolił sobie na krótką chwilę rozkoszowania się jej bliskością, ufnym przytuleniem się, delikatnym podmuchem jej oddechu na swojej twarzy, oszałamiającym zapachem jej perfum. Nią całą.

Westchnęła, muskając jego policzek drżącym, pełnym podniecenia oddechem.

Jego ręce, które już miał opuścić, zacisnęły się na niej. Odwrócił głowę, szukając jej ust. Zapomniał o narzuconym sobie scenariuszu...

Powstrzymała go, dotykając dłonią policzka Gabriela.

– Wystarczy.

Przez chwilę balansował na krawędzi, zdezorientowany

rozdźwiękiem pomiędzy jej zakazem a sposobem, w jaki mu była powolna.

Jakby wyczuwając jego wewnętrzną walkę, powtórzyła:

– To była już wystarczająca zapłata.

Pochwycił ją za rękę, sam niepewny, co ma teraz zrobić. Odwrócił dłoń hrabiny i złożył pocałunek po wewnętrznej jej stronie.

– Na razie wystarczająca.

Wyprostował się i podtrzymał hrabinę, dopóki pewnie nie stanęła na nogach.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było uniesienie ręki i opuszczenie na twarz welonu. Widział teraz wyraźnie zarys jej postaci. Oszłomiona patrzyła w dół na rozpięty gorset.

– Proszę mi pozwolić – powiedział Gabriel i wyciągnął ku niej rękę.

Pozwoliła. Zawiązał jej wstążki, a następnie zapiął gorset sukni. Nerwowość hrabiny rosła. Gdy tylko zapiął ostatni guzik, poprawiła welon i się rozejrzała. Najwyraźniej miała kłopoty z zapanowaniem nad emocjami.

– Pan wraca pierwszy.

Chociaż spotkał ją w altanie, nie miał zamiaru zostawić jej tu samej, w ciemnościach.

– Odprowadzę panią do końca zarośli, a potem pójdę przodem.

Przez moment miał wrażenie, że zaoponuje, ale po krótkiej chwili skinęła głową.

– Dobrze.

Przyjęła podane ramię. Wolnym krokiem wyprowadził ją z altany.

Kiedy przemierzali kręte ścieżki, nie odzywała się, mógł więc spokojnie pomyśleć, jak swobodnie czuje się w jej towarzystwie i że pomimo ogromnego nerwowego napięcia hrabina nie boi się go i nie chowa za zasłoną towarzyskiej rozmowy.

Gdy dotarli do końca krzaków, zatrzymała się. Baczynym

spojrzeniem obrzucił jej skrytą pod welonem twarz, po czym skłonił głowę.

– Do następnego razu.

Odwrócił się i odszedł.

Nadal czując szaleńcze uderzenia serca i zawrót głowy, Alathea przyglądała się, jak jej barczysty błędny rycerz idzie w kierunku domu, potem po schodkach na taras, a potem do środka, ani razu nie oglądając się za siebie.

Schowała się w mroku i długo czekała, żeby ochłonąć, żeby znikło ożywienie, impulsywna śmiałość i to przerażająco dzikie pożądanie. Próbowwała pozbierać myśli, ale nie udawało się jej. W końcu, trzymając się krzaków, ruszyła w stronę podjazdu.

Folwell czekał. Oddała mu welon i pelerynę, zmieniła obuwie. Lokaj pospiesznie oddalił się, zabierając jej przebranie do powozu. Na powrót stała się sobą, przynajmniej z wyglądu. Bocznymi drzwiami weszła do domu i przeszła do gotowalni.

Na szczęście nie był to prawdziwy bal i w gotowalni było spokojnie. Usiadła przy stoliku z lustrem, poprosiła o ciepłą wodę i ręcznik i zaczęła zmywać ze skroni, przegubów rąk i szyi wszelkie ślady egzotycznych perfum hrabiny. Następnie poprosiła o zimną wodę, zmoczyła róg ręcznika i, gdy nikt na nią nie patrzył, przyłożyła chłodny kompres do obrzmiałych ust.

Bała się sprawdzić, ale była pewna, że Gabriel musiał pozostawić ślady swoich pocałunków. Czowała się tak, jakby wypalił na niej swoje piętno. Dzięki Bogu, nic nie było widać na dekolcie. Na samą myśl o ustach Gabriela na jej piersiach ogarnęła ją fala gorąca. Niemal czuła pieszczotę jego rąk i żałowała, że to tylko wrażenie.

W lustrze spojrziała sobie prosto w oczy. Zajrzała głęboko, po czym się skrzywiła. Zanurzyła ręcznik w zimnej wodzie i ukradkiem rozglądając się dookoła, ponownie przyłożyła go do wciąż jeszcze zaczerwienionych ust.

Nie miała zwyczaju się oszukiwać. Nie było sensu udawać, że się nie spodziewała, iż będzie się domagał zapłaty za każdą zdobytą przez siebie nową informację. Udała się do altany,

wiedząc, że jej protesty nie powstrzymają go przed żądaniem wszystkiego, czego będzie chciał.

I miała rację, lecz teraz było już za późno, żeby żałować. Zresztą, prawdę powiedziawszy, wcale nie była pewna, czy czegokolwiek żałuje.

Nie zmieniało to jednak faktu, że znalazła się teraz w poważnych tarapatach.

Gabriel uważał, że grali w grę, w której on był uznanym ekspertem, ona zaś niedoświadczoną nowicjuszka. Tymczasem знаła pewne zasady obowiązujące w tej grze, ale nie wszystkie, znała niektóre posunięcia, ale zbyt mało. Sama rozpoczęła tę maskaradę, jednak Gabriel przejął kontrolę, przypisując jej rolę osoby mającej się do niego dostosować.

I mającej zaspokajać jego pragnienia.

Usiłowała wzbudzić w sobie irytację, ale myśl o tym, że jej pragnął, wcale jej nie złościła. Raczej była zaintrygowana, pociągało ją to. Żaden wąż nie był tak przekonujący, żadne jabłko tak kuszące.

Żaden rycerz nie egzekwował tak nieubłagania spełnienia swych żądań.

Westchnęła głęboko – zmiana planów była teraz niemożliwa. Sama rozpoczęła tę grę i nadal musiała grać swoją rolę. Nie miała wielkiego wyboru.

Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze i z typową dla siebie rozwagą podjęła decyzję. Sam na sam z Gabrielem nie będzie lady Alatheą Morwellan, lecz tajemniczą hrabiną. Całował przecież hrabinę i to hrabina odpowiadała na jego pocałunki.

Nie ona.

Nic złego się nie stało i nic się nie stanie.

Jako zapłata jej pocałunki chyba go satysfakcjonowały. Czowała jego głód, jego apetyt na nią. Była pewna, że niczego nie udawał. A fakt, że zadowalała jednego z najbardziej wymagających kochanków w towarzystwie, był niczym niewidzialne piórko, które z dumą przypnie sobie do staropanieńskiego kapelusza, jaki będzie nosić do końca życia.

Ponownie skupiła wzrok na odbiciu w lustrze i krytycznie przyjrzała się swojej twarzy i wargom. Wyglądały niemal normalnie.

Nie umiała być hipokrytką i udawać, że jej się to nie podobało, że nie czuła podniecenia, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczyła. W ciągu tych długich chwil, kiedy trzymał ją w objęciach, pierwszy raz w życiu czuła się w pełni kobietą.

A może spowodował, że poczuła coś, czego doświadczać nie powinna, z czego istnienia nie powinna sobie zdawać sprawy. Miała dwadzieścia dziewięć lat i była starą panną bez szans na zamążpójście. W jego ramionach wcale nie czuła się stara. Czuła, że żyje.

Z konieczności odsunęła na bok wszelką nadzieję, iż dowie się, jak to jest pomiędzy kobietą i mężczyzną. Zablokowała swoje tęsknoty, mówiąc sobie, że nigdy nie będą mogły zostać zrealizowane. Jeśli jednak teraz, gdy ponownie osłaniała swoją rodzinę, otrzymała szansę doświadczenia odrobiny tego, o czym musiała zapomnieć, to czyż nie miała prawa z tej szansy skorzystać?

Nawet jeśli wiedziała, że igra z ogniem? Że rozpoczyna obłąkaną grę?

Odłożyła ręcznik, spojrzała sobie prosto w oczy, po czym wstała i ruszyła ku drzwiom.

Nie mogła pozostawić rodziny na pastwę losu, a to oznaczało, że nie mogła przestać zadawać się z Gabrielem.

Czy tego chciała, czy nie, była skazana na tę grę.

## Rozdział 5

Okna biura Heathcote'a Montague'a wychodziły na małe podwórko pomiędzy budynkami, w bezpośrednim sąsiedztwie Bank of England. Gabriel stał przy oknie i wpatrując się w bruk, skoncentrował myśli na hrabinie.

Kim była? Czy była jednym z gości w Osbaldestone House i mijając go w tańcu, uśmiechała się sekretnie do siebie? A może wiedząc, że wszyscy Cynsterowie będą na przyjęciu, zakradła się niezaproszona, poczekała w ogrodzie do czasu spotkania, a potem znów wymknęła się pod osłoną nocy? Jeśli tak, to sporo ryzykowała – nie wiadomo, kogo mogła spotkać. Nie podobało mu się, że tak ryzykuje, i miał zamiar jasno dać jej to do zrozumienia.

Ale dopiero wówczas, gdy będzie się z nią kochał, gdy nasyci się jej kobiecymi wspaniałościami, kiedy sprawi, że hrabina zatraci się w zaspokojeniu.

Miał poważne podejrzenia, że nie wiedziała, czym może być seksualna przyjemność. Ale dowie się, gdy tylko znajdzie się z nim sam na sam. Po ostatnim wieczorze był pewien, że ma już dość niespokojnych nocy.

– Hm. Nic tu nie ma.

Chwilę potrwało, zanim powrócił do rzeczywistości.

Heathcote Montague, jak zawsze niezwykle schludny, dokładny, lecz trzymający się w cieniu, odłożył na bok biurka trzy listy, które właśnie otrzymał, i spojrzał na Gabriela.

– Dostałem odpowiedź niemal od wszystkich. Nikt z nas i żaden z naszych klientów nie spotkał się z podobną propozycją. A tego właśnie należałoby się spodziewać, gdyby Środkowo-Wschodnia Afrykańska Kompania Złota była kolejnym złodziejskim przedsięwzięciem Crowleya.

Określenie „nas” odnosiło się do wybranej grupy ludzi interesu, którzy prowadzili sprawy finansowe i inwestycyjne najbogatszych rodów w Anglii.

Gabriel odsunął się od okna i zaczął krążyć po pokoju.

– Jeśli założyć, że za wszystkim kryje się Crowley – zaczął –

który unika wszelkich doświadczonych inwestorów, to śmiało można przyjąć, że jest to oszustwo. Ponadto, jeśli środki finansowe zaangażowane w to przedsięwzięcie są zbliżone do sumy, jaką widziałem na skrypcie dłużnym, to cały ten proceder wywoła poważne zamieszanie na rynku finansowym, jeśli nikt tego wcześniej nie powstrzyma.

– Istotnie. – Montague odchylił się na krześle. – Ale znasz prawo równie dobrze jak ja. Władze nie wkroczą do akcji, dopóki oszustwo nie zostanie udowodnione...

– A wtedy zawsze jest już za późno. – Gabriel stanął przed Montagiem. – Chcę powstrzymać ten proceder, szybko i po cichu.

– To może być trudne w przypadku weksli. – Montague spojrzał Gabrielowi prosto w oczy. – Rozumiem, że nie chcesz, by weksel, który widziałeś, został wyegzekwowany.

– Nie.

Montague się skrzywił.

– Po ostatnim doświadczeniu Crowley nie będzie miał ochoty zwierzać ci się ze swoich planów.

– Przecież poprzednio też mi się nie zwierzał. – Gabriel odwrócił się do okna. Jego losy splotły się już z losami Ranalda Crowleya. Jedno z pierwszych przedsięwzięć Crowleya, o których zrobiło się głośno na rynku, wyglądało bardzo przyzwoicie i kusząco. Przyciągnęło więc wielu inwestorów spośród londyńskiej śmietanki towarzyskiej, dopóki nie poproszono o opinię Gabriela. Przeanalizował proponowany interes, zadał parę istotnych, choć niezbyt oczywistych pytań, na które nie otrzymał satysfakcjonujących odpowiedzi, i inwestorzy się spłoszyli. Ten incydent zamknął przed Crowleyem drzwi wielu londyńskich domów.

– Jesteś chyba jedną z osób najmniej lubianych przez Crowleya – zauważył Montague.

– Co oznacza, że nie mogę oficjalnie mieszać się do tej sprawy. I ty także.

– Na samą wzmiankę nazwiska Cynster Crowleyowi jeży się włos na karku.



– I rodzą się podejrzenia. Jeśli jest tak szczwany, jak mówią, to wie już teraz o mnie wszystko.

– To prawda. Żeby jednak móc udowodnić oszustwo, będziemy musieli poznać szczegóły propozycji przedstawianych poszczególnym inwestorom, którzy podpisali skrypty dłużne.

– Będziemy więc potrzebować kozła ofiarnego.

Montague zamrugał.

– Kozła?

– Kogoś, kto w przekonujący sposób da się oskubać.

\* \* \*

– Serena!

Serena i siedząca obok niej Alatheia odwróciły się i ujrzały lady Celię Cynster, która machała do nich ze stojącego przy drodze powozu.

Serena odpowiedziała machnięciem i poleciła woźnicy:

– Tutaj, Jacobs. Podjedź jak najbliżej się da.

Sztywno wyprostowany na koźle Jacobs zatrzymał powóz na skraju drogi, trzy powozy za bryczką Celi. Zanim Alatheia, Mary i Alice stanęły na trawie, Celia i jej dziewczynki były już koło nich.

– Cudownie! – Celia obserwowała swoje córki, szesnastoletnią Heather i piętnastoletnią Elizę, witające się z Mary i Alice. Powietrze wypełnił gwar dziewczęcych głosów. Podobnie jak Alatheę, Lucyfera i Gabriela, dziewczynki również łączyła silna więź, powstała podczas wielu lat wspólnie spędzanego dzieciństwa. Celia wskazała na córki. – Uparły się, żeby się wybrać na przejażdżkę, ale znudziły się już po pierwszych pięciu minutach.

– Muszą się nauczyć, że towarzyskie paplanie jest... *comme ça va?*... tym, co napędza koła życia śmietanki towarzyskiej.

Celia odwróciła się w stronę zmierzającej ku nim starszej damy o uderzającej urodzie.

Alatheia złożyła głęboki ukłon.

– Wasza wysokość.

Nadal siedząca w powozie Serena skłoniła się i powtórzyła

powitanie za Alatheą.

Księżna wdowa Helena St. Ives z uśmiechem wyciągnęła dłoń w rękawiczce, żeby poklepać Alatheę po policzku.

– Z upływem lat jesteś coraz atrakcyjniejsza, *ma petite*.

Dzięki swoim częstym wizytom w Quiverstone Manor księżna była dobrze znana Morwellanom. Alathea uśmiechnęła się i wyprostowała. Księżna uniosła brwi.

– Nie taka *petite*. – Widząc spojrzenie Alathej, jeszcze wyżej uniosła jedną brew. – W związku z czym trudno zgadnąć, czemu nie wyszłaś za mąż.

Słowa zostały wypowiedziane cichym głosem. Alathea nie dała się pociągnąć za język. Była przyzwyczajona do takich pytań, ale pełne inteligencji spojrzenie jasnozielonych oczu księżnej zawsze wywoływało w niej niepokojące uczucie, że starsza pani podejrzewała prawdę.

Gdy Serena zaczęła wysiadać z wyraźnym zamiarem dołączenia do nich, powóz się zachybotał. Helena powstrzymała ją gestem ręki.

– Nie, nie. Wsiądę i będziemy mogły wygodnie porozmawiać. – I pokazując na Celię i Alatheę, dodała: – A te dwie mogą tymczasem rozprostować nogi.

Alathea i Celia spojrzały w kierunku, w którym spoglądała Helena; cztery dziewczynki, splótłszy ręce, biegły już po łące. Celia westchnęła z rezygnacją.

Zostawiwszy Helenę siedzącą w powozie z Sereną, ruszyły za dziewczynkami. Nie miały zamiaru do nich dołączyć i krępować ich rozmowy, nie chciały tylko tracić ich z oczu.

Celia od razu wykorzystała sytuację, zadając pytanie:

– Czy rozmawiałaś z Rupertem po przyjeździe do miasta?

– Tak. – Alathea gwałtownie przywołała w pamięci spotkanie z Rupertem, nie z Gabrielem. – Widzieliśmy się przelotnie, gdy byłam z dziewczynkami na spacerze.

– No właśnie. I co mam z nim zrobić?

Alathea powstrzymała się przed stwierdzeniem, że nikt nigdy nie był w stanie „zrobić” czegokolwiek z Rupertem Cynsterem.

Był twardy jak granit i zawsze pilnował się przed ewentualnością manipulacji. Jeśli zaś chodzi o Gabriela...

– Nie zauważyłam nic niezwykłego. Co cię niepokoi?

– On mnie niepokoi! – Celia zacisnęła dłonie na rączce parasolki. – Jest jeszcze bardziej irytujący niż jego ojciec. W jego wieku Martin miał już dość zdrowego rozsądku, żeby się ze mną ożenić. Ale czy Rupert zacznie się kiedyś interesować takimi sprawami?

– Ma dopiero trzydzieści lat.

– To nawet więcej, niż trzeba. Demon się ożenił, Richard też... A Richard jest tylko o rok starszy od Ruperta. – Celia westchnęła. – I nie chodzi tu o to, że nie myśli o małżeństwie, ale o sposób podejścia do tematu. Nawet nie patrzy na damy, a przynajmniej nie pod tym kątem. Zresztą nawet jego inne związki z paniami... cóż, wieści nie są zbyt budujące.

Alathea starała się nie odzywać, ale...

– Nie są budujące?

Przed nimi cztery dziewczynki wybuchnęły śmiechem. Celia zerknęła w ich stronę, po czym wyjaśniła:

– Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Rupert jest oziębły. Nawet w stosunku do swoich kochanek jest powściągliwy i zachowuje dystans.

– Zawsze był... – Miała już powiedzieć „pełen rezerwy”, ale zastanowiła się. – ...zawsze się pilnował. – To było dużo bliższe prawdy. – Świetnie panuje nad swoimi uczuciami.

– Panowanie nad sobą to jedna rzecz, inną jest kompletny brak zainteresowania. – W oczach Celii pojawiło się z troskanie. – Jeśli nie potrafi dać się porwać nawet kochance, to jaka jest szansa na znalezienie przyzwoitej damy, która byłaby w stanie go rozpaścić?

Alathea z najwyższym trudem zachowała powagę. Według obowiązujących standardów ich rozmowa była bardzo niewłaściwa. Obie miały wieloletni już zwyczaj dyskusowania o synach Celii i towarzyszach dziecięcych zabaw Alathej ze szczerością, od której obiektom ich rozmów spłonęłyby ze wstydu

uszy. Ale nazywać Ruperta oziębłym? Nie był to przymiotnik, jakiego Alatheia Morwellan użyłaby do określenia Ruperta, a cóż dopiero mówić o hrabinie.

– Jesteś pewna, że się nie mylisz? Może docierają do ciebie informacje od pań, którymi Rupert... – machnęła ręką – ...nie był zainteresowany?

– Gdyby tylko tak było. Ale moje informacje pochodzą od niezadowolonych dam, którym Rupert okazał swoje „zainteresowanie”. Wszystkie jednym głosem żaliły się, że nie wywarły na nim większego wrażenia. Jeśli choć połowa tych opowieści jest prawdziwa, to Rupert nie zapamiętał nawet ich imion.

Alatheia uniosła brwi. Jeśli Rupert nie był pewien czyjegoś imienia, znaczyło to, iż nie przywiązywał do tego wagi, czyli naprawdę nie był „zainteresowany”.

– Może Alasdair ożeni się pierwszy – rzekła, żeby odwrócić rozmowę od Ruperta.

– Ha! Nie daj się zwieść tej pełnej wdzięku lekkomyślności. Jest jeszcze gorszy niż Rupert. Och, wcale nie jest zimny, wprost przeciwnie. Jest jednak próżny, nieodpowiedzialny i lubi sobie nadmiernie dogadzać. Stale się zabawia z kobietami, bez żadnego trwalszego związku. Jest głęboko przekonany, że nie potrzebuje żadnych więzów, które mogłyby ograniczać jego swobodę. – Celia parsknęła z dezaprobatą. – Pozostaje mi jedynie modlić się, że w końcu znajdzie się dama, która rzuci go na kolana. – Spojrzała przed siebie, na idące przed nimi dziewczęta. Po chwili mruknęła: – Przede wszystkim jednak martwię się Rupertem. Jest taki obojętny. Niezaangażowany.

Alatheia zmarszczyła czoło. Gabriel nie zachowywał się wobec hrabiny jak człowiek obojętny czy niezaangażowany. Wprost przeciwnie. Nie mogła jednak powiedzieć tego Celii. Zdziwiło ją, że portret Ruperta, namalowany przez Celię, tak bardzo różnił się od wizerunku człowieka, jakiego znała, jakiego odkrywała, który ostatniej nocy trzymał ją w ramionach.

Celia westchnęła.

– Jak chcesz, możesz myśleć, że to nadmierna troska matki o pierworodnego syna. Lecz naprawdę nie widzę, w jaki sposób jakaś kobieta mogłaby przebić skorupę jego obojętności.

Byłoby to możliwe dla kogoś znającego go od dziecka i wiedzącego, gdzie szukać słabych punktów. Niemniej Alatheia przyznawała w duchu, że łatwo było jej sobie wyobrazić Ruperta zdecydowanie odrzucającego bliższy związek emocjonalny z kobietą. Nie lubił czuć się związany, nie lubił okazywać emocji. Przez całe życie łączyły go z Alatheią silne więzi i do czego to ich doprowadziło? Jeśli Celia miała rację, Alatheia była jedyną kobietą, której kiedykolwiek pozwolił na przekroczenie zakreślonych przez siebie granic...

Wszystko w niej zamarło. Czyżby kontakty z nią tak bardzo zniechęciły go do kobiet?

Przypomniała sobie jednak hrabinę. Wobec hrabiny okazywał zainteresowanie, zaangażowanie, z pewnością nie trzymał się na dystans i nie był oziębły. Może dystans i chłód przychodziły później? Po...?

Wzdrygnęła się w duchu i odepchnęła od siebie takie myśli. Spojrzała przed siebie i ujrzała, że dziewczęta zbliżyły się do grupki młodych fircyków.

– Spróbujmy je może dogonić.

Celia spojrzeniem poszła w jej ślady.

– Istotnie.

\* \* \*

Gdzie mógłby znaleźć w Londynie odpowiedniego kozła ofiarnego?

Pozostawił Lucyfera i przyjaciół, z którymi jedli obiad w klubie, i idąc przez kolejne sale klubowe, przyglądał się siedzącym tam ludziom. Nikt nie nadawał się do jego celów. Powinna to być osoba bez oczywistych związków z Cynsterami, a jednocześnie ktoś, komu mógłby zaufać. Ktoś wystarczająco sprytny, żeby odegrać swoją rolę, ale sprawiający wrażenie tępaka. Ktoś skłonny zastosować się do jego poleceń. Ktoś, na kim mógłby polegać.

Ktoś dysponujący pieniędzmi do zainwestowania i z pozoru

łatwowierny.

To ostatnie kryterium eliminowało wszelkich potencjalnych kandydatów. Gdzie mógłby znaleźć kogoś takiego? Przystanął, zastanowił się, wyszedł z klubu i ruszył w stronę Bond Street. Był szczyt sezonu i świeciło słońce. Zgodnie z jego oczekiwaniami, cała śmietanka towarzyska przechadzała się po modnej ulicy. Panował spory tłok, tworzyły się zatory w ruchu ulicznym. Gabriel spacerował powolnym krokiem, przyglądając się mijanym twarzom, rozpoznając znajomych, oceniając, odrzucając, rozważając różne możliwości i przez cały czas starając się zignorować damską połowę populacji. Szukał kozła ofiarnego, a nie wysokiej damy.

Nawet gdyby zobaczył hrabinę, wątpił, by mógł ją rozpoznać. Poza wzrostem i zapachem jej perfum niewiele o niej wiedział. Gdyby ją pocałował, poznałby na pewno, lecz nie mógł przecież całować każdej napotkanej wysokiej kobiety. A ponadto doszedł do wniosku, że najszybszym sposobem zdobycia hrabiny było uzyskanie jak największej liczby informacji o kompanii. To zaś wymagało znalezienia kozła ofiarnego.

Przemierzył już połowę ulicy, gdy ze sklepu modystki wyłoniły się cztery panie i skupiły na chodniku tuż przed nim. Od razu rozpoznał panie Morwellan. Alatheia uniosła głowę i spojrzała prosto na niego. Serena, Mary i Alice poszły w jej ślady i ich twarze rozjaśniły się uśmiechem. Nie pozostawało mu nic innego, jak udawać zadowolenie ze spotkania. Wcielając się w postać czarującego młodzieńca, ucisnął rękę Sereny, skinieniem głowy powitał Mary i Alice, na końcu zaś, sztywno, skłonił się Alatheii. Panie zeszły ze środka chodnika i przystanąły przed oknem wystawowym blisko rogu, żeby swobodniej porozmawiać. Alatheia, trzymając się z tyłu, stanęła w odległości metra od niego. Stali oboje naprzeciwko Sereny, Mary i Alice, zwrócenii plecami do ulicy.

– Dziś rano spotkałyśmy twoją matkę i twoje siostry – poinformowała go Serena.

– W parku – dodała Mary. – Spacerowałyśmy razem i było

bardzo przyjemnie.

– Kręcili się tam jacyś głupi panowie – rzekła Alice. – Mieli potworne krawaty, w niczym nieprzypominające noszonych przez ciebie czy Lucyfera.

Odpowiedział im swobodnie, nie zastanawiając się. Chociaż Serena, Mary i Alice znajdowały się wysoko na liście osób, wobec których był miły, w obecności Alathej, stojącej parę kroków od niego, wszystkie jego zmysły nakierowane były na nią.

Dotkliwie, boleśnie czuł jej obecność.

Chociaż się jej nie przyglądał, wiedział, że miała na sobie lawendową suknię spacerową i nieciekawy kapelusik, przykrywający płataninę włosów. Był pewien, że pod kapeluszem czaiły się też koronkowe skrawki, którymi przewiązywała włosy, a które uważał za tak szkaradne. W obecności Sereny nie mógł robić żadnych uwag, nawet najbardziej zawołowanych. Jednak gdyby mógł pochwycić spojrzenie Alathej, od razu zgadłaby, co myślał.

Z tym zamiarem spojrzał w jej stronę.

Koń ciągnący powóz stanął dęba i zaczął wierzgać...

Gabriel złapał Alatheę i przyciągnął do siebie, instynktownie osłaniając swoim ciałem. Kopyta ze świstem przeleciały nad ich głowami. Koń zarżał, szarpnął powozem i znów usiłował stanąć dęba, uderzając Gabriela nogą w plecy.

Gabriel zachwiał się, ale nadal stał prosto.

Rozpętało się piekło. Ze wszystkich stron zaczęli się zbiegać ludzie, żeby pomóc. Pokrzykiwali. Jakaś dama zaczęła histeryzować, inna zemdląca. W ciągu paru sekund zostali otoczeni przez rozkrzyczany tłum. W centrum zainteresowania znalazł się woźnica narowistego konia.

Gabriel stał bez ruchu, zaciskając ramiona wokół Alathej. W głowie wszystko mu wirowało. Resztką świadomości rejestrował głosy Sereny, Mary i Alice, wymyślających woźnicy. Były rozjuszone, ale nie wpadły w histerię. Wszyscy wokół gapili się na zamieszanie na drodze, chwilowo ignorując jego i Alatheę.

Pomimo usiłowań, nie mógł uspokoić oddechu. Targały nim emocje, wśród nich nie do pominięcia była ulga, że Alathej nic się

nie stało. Nie był delikatny – szarpnął nią, a potem mocno trzymał. Przywierała do niego od ramion po kolana. Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy jego ciało zadrżało pod ciosem końskiej nogi.

Utkwiła wzrok ponad jego ramieniem, ale nic nie widziała. Czuł lekki, kwiatowy zapach, bijący od jej miażdżonych w uścisku piersi. Miękkie pierścionki jej włosów, wystające spod kapelusza, znajdowały się centymetry od jego twarzy. Poczul, że wstrzymała oddech, a jej ciało przebiegł lekki dreszcz. Opanowała się jednak – miał wrażenie, że delikatne mięśnie jej karku tężeją niczym stal. Potem odwróciła głowę i spojrzała mu w twarz. Zwarli się spojrzeniami. Brąz stopił się z brązem. Oczy Alathej były przymglone falą emocji, których nie potrafił zidentyfikować. Nagle jednak mgła rozwiała się i w oczach dziewczyny pojawił się nowy wyraz.

Rozpoznał go natychmiast, chociaż po raz ostatni widział go wiele lat temu. Z jej oczu wyzierała troska. Zapomniał już, jak jej troska zawsze napełniała go ciepłem.

– Nic ci się nie stało? – Jej ręce uwięzione pomiędzy ich ciałami zacisnęły się na płaszczu Gabriela. – Koń cię kopnął.

Ponieważ nie odpowiedział od razu, próbowała nim potrząsnąć. Przysunęła się do niego jeszcze bardziej. Wstrzymał oddech.

– Nic mi nie jest. – Ale nie była to prawda. – Dosięło mnie tylko końskie kolano, a nie kopyto.

Znieruchomiała w jego objęciach, przepełniona troską.

– To musi boleć.

Wszystko go bolało – umierał z podniecenia.

Od razu poznał, w którym momencie zdała sobie sprawę z jego stanu. Będąc tak blisko niego, nie mogła nie zauważyć. Zatrzepotała powiekami, po czym spuściła oczy, przesuwając spojrzenie najpierw na jego usta, potem na krawat. Poruszyła się odrobinę. Był to znak, który obowiązywał pomiędzy nimi od lat. Wiedziała, że nie dałaby rady mu się wyrwać, toteż nie próbowała, a jedynie prosiła o wypuszczenie jej z objęć. Opuszczenie ramion i odsunięcie jej od siebie było najtrudniejszym zadaniem, jakie



kiedykolwiek zdarzyło mu się wykonać. Alatheia, nie patrząc na Gabriela, natychmiast zaczęła poprawiać sukienkę.

Czuł się oszołomiony, zaniepokojony i zakłopotany. Odwrócił się na pięcie, żeby przyjrzeć się zamieszaniu na drodze, modląc się jednocześnie, by nie zauważyła jego purpurowych policzków.

Alatheia od razu poczuła, kiedy przestał na nią patrzeć. Nie mogła oddychać. Szalona kotłowanina myśli powodowała, że była zdezorientowana i kręciło jej się w głowie. Wyprostowała się więc i zaczęła udawać, że pochłania ją likwidowanie skutków ulicznego zajścia. Gdy ze szczerymi przeprosinami podszedł do niej dżentelmen, który odpowiadał za narowistego konia, mogła tylko sztywno skinać mu głową.

W duchu powtarzała sobie w kółko: Gabriel się nie domyślił. Jeszcze nie.

Paraliżowała ją sama myśl o tym, że mógłby się nagle zorientować.

Serena tymczasem iście po matczynemu przejęła się obojgiem.

– Na pewno nic wam się nie stało? – Nie zważając na swój wiek i eleganckie maniery, Serena chwyciła Gabriela za ramię i odwróciła go twarzą do siebie. Gdy przystąpiła do ściągania z niego płaszcza, Alatheia pozwoliła sobie na ukradkowe spojrzenie na jego twarz. Gabriel się skrzywił.

– Nic mi nie jest. – Uwolnił się z uchwytu Sereny i obrzucił spojrzeniem Mary i Alice. – Dobrze byłoby się wycofać. – Zawahał się, po czym zwrócił się do Sereny: – Czy wasz powóz znajduje się niedaleko?

– Jacobs czeka tuż za rogiem. – Serena wskazała ręką na ulicę.

Po raz pierwszy od chwili, gdy ją puścił, Gabriel popatrzył prosto na nią. Alatheia natychmiast wypchnęła przed siebie Mary i Alice, po czym odwróciła się w stronę powozu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, było wsparcie się na ramieniu Gabriela. Podał ramię Serenie, która z przyjemnością skorzystała z tego oparcia.

Przez całą drogę do powozu wylewnie i szczerze dziękowała mu za błyskawiczną i skuteczną akcję. Alatheia, bezpiecznie oddzielona od niego przez Mary i Alice, mruknęła coś potwierdzająco, pozwalając, żeby wyrazy wdzięczności macochy zastąpiły jej podziękowania.

Była mu wdzięczna i wiedziała, że powinna to okazać. Ale całkiem niedawno znajdowała się w jego objęciach i teraz nie zdołałaby do niego podejść. Nie była w stanie przewidzieć, co mogłoby wywołać nawrót nieszczęsnych wspomnień. Trzymając więc uniesioną wysoko głowę, szła w stronę powozu, czując dreszcz niepokoju na plecach.

Przyspieszyła kroku, pierwsza dotarła do powozu i wsiadła do środka, nie czekając na niczyją pomoc. Gabriel obrzucił ją twardym spojrzeniem, po czym pomógł wsiąść pozostałym paniom. Cofnął się i uklonił. Jacobs strzelił lejcami.

W ostatniej chwili Alatheia zerknęła za siebie. Ich spojrzenia się spotkały, zwały...

Odwróciła głowę.

Gabriel obserwował powóz odjeżdżający jedną z bocznych ulic, nie spuszczając wzroku z kapelusza Alatheii i jej otulonych lawendowym szalem ramion. Patrzył, dopóki powóz nie znikł za rogiem, po czym z ponurym wyrazem twarzy skierował się z powrotem na Bond Street.

Wmieszał się w pędzący tłum, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nadal czuł się jak ogłuszony, jakby dostał w łeb toporem. Alatheia tak bardzo go podnieciła?! Nie pojmował, jak to się mogło stać, jednak nie mógł udawać, że nic takiego nie miało miejsca. Nadal przecież czuł konkretne tego skutki.

Czuł się też rozkojarzony, wyprowadzony z równowagi i zażenowany. Jak jeszcze nigdy wobec Alatheii. Zawsze byli bliskimi przyjaciółmi, bez żadnych podtekstów.

Szedł, nie przystając. Stopniowo rozjaśniło mu się w głowie. Ku swej ogromnej uldze znalazł oczywiste wyjaśnienie. Nie Alatheia. Hrabina. Całą ostatnią noc spędził planując, jak i kiedy ją uwieść, delektując się wszelkimi detalami. Tego ranka przystąpił

do wcielania planu w życie. I wtedy los rzucił mu w ramiona Alatheę. Oczywiście.

Trudno się dziwić, że w tej sytuacji jego ciało pomyliło ze sobą obie kobiety. Obie były wysokie, chociaż hrabina była zdecydowanie wyższa. Obie były szczupłe i wiotkie, miały podobną figurę. Obie miały delikatne, gibkie szyje, ale tego należało się spodziewać u każdej bardzo wysokiej i szczupłej kobiety – to była „architektoniczna” konieczność.

Jednak wszystkie te podobieństwa miały swoje granice. Gdyby odważył się pocałować Alatheę, rozszarpałaby go na strzępy słowami. Na pewno nigdy nie stopniałaby w jego ramionach z ową wspaniałą, uwodzicielską, zmysłową szczodrością, okazaną przez hrabinę. Uśmiechnął się do swoich myśli. Lecz mina mu zrzędła, kiedy zaczął się zastanawiać, co by sobie pomyślała Alatheia o jego reakcji, gdyby miała czas zebrać myśli. Zaraz jednak przypomniał sobie jej niezmienną opinię o nim i jego rozpustnym stylu życia. Znów się uśmiechnął. Na pewno przypisałaby jego reakcję nieokiełznanej chuci. I miałyby rację. Tylko że pożądał hrabiny.

Bardzo jej pragnął. Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że to pragnienie wykraczało poza cielesne pożądanie. Chciał ją poznać, dowiedzieć się, kim jest, co lubi, co myśli, co wywołuje jej śmiech. Chociaż była tajemnicza i intrygująca, w dziwny sposób wydawała mu się bliska.

Była zagadką, którą miał zamiar rozwikłać, rozłożyć na czynniki pierwsze.

Żeby jednak to osiągnąć, powinien pamiętać o swoim planie... Uniósł głowę i skoncentrował się na otoczeniu. Dotarł już niemal do końca Bond Street. Przeszedł na drugą stronę ulicy i podążył z powrotem, ponownie przypatrując się ludziom w tłumie. Nadal potrzebował kozła ofiarnego. Musiał się ktoś znaleźć...

– O Boże! Co w ciebie wstąpiło?

To pytanie oraz wycelowana w jego żołądek laska przywołały go do rzeczywistości.

– Spacerujesz sobie po Bond Street z zadartym nosem i nie

zauważasz ludzi!

Gabriel spojrział prosto w stare oblicze o bystrych oczach i się uśmiechnął.

– Minnie. – Odsunął na bok laskę i cmoknął starszą panią w policzek.

– Hm. – Ton Minnie nie złagodniał, ale jej oczy rozbłysły. – Timms, przypomnij mi, żebym powiedziała o tym Celii.

– Naturalnie. – Wysokiej damie u boku Minnie nie udało się zachować powagi. – Taki brak szacunku, gdy się spaceruje po Bond Street, nie dbając o dobre obyczaje.

Gabriel uklonił się zamasyście.

– Czy będzie mi to wybaczone?

– Zastanowimy się. – Minnie się rozejrzała. – Ach! Otóż i Gerrard!

Gabriel patrzył, jak Gerrard Debbington, siostrzeniec Minnie, brat żony Vane'a, Patience, przechodzi przez ulicę, niosąc torbę orzeszków, po które najwyraźniej został posłany.

– Proszę. – Wręczając Minnie torebkę, Gerrard uśmiechnął się swobodnie.

Gabriel odpowiedział uśmiechem.

– Nadal pilnujesz pereł Minnie?

– Dzięki Bogu, już nie. Mieszkam teraz z Vane'em i Patience, ale od czasu do czasu wpadam do Minnie, żeby z nią pospacerować.

Gerrard miał dopiero osiemnaście lat, ale wydawał się starszy. Swą pewność siebie zawdzięczał po części szwagrowi. Gabriel wyczuwał wpływ Vane'a na modny miejski strój Gerrarda. Mierzący przeszło metr osiemdziesiąt, szeroki w barach Gerrard stworzony był do noszenia prostych ubrań. Resztę jego wyglądu, swobodne zachowanie, bezpośredniość i pewność siebie można było przypisać jego siostrze: Patience Cynster była kwintesencją otwartości.

Gabriel już otwierał usta, ale zamknął je pośpiesznie. Musiał się zastanowić. W końcu Gerrard miał zaledwie osiemnaście lat, a ryzyko mogło być spore. No i był bratem Patience.

– Chcemy zajrzeć do Aspreya. – Minnie wbiła w niego niewinne spojrzenie. – Może interesuje cię coś stamtąd?

Gabriel odpowiedział jej równie niewinnym spojrzeniem.

– Nie w tej chwili. – Przez głowę przebiegła mu myśl o hrabinie. Może kiedyś odplaci jej podarunkiem za to, co od niej otrzyma. Na tak wysokiej kobiecie diamenty będą wyglądać doskonale. Odsunął na bok te rozważania i się uklonił. – Nie będę was zatrzymywał.

Minnie skinęła głową. Timms ujęła ją pod ramię i panie ruszyły. Gerrard uśmiechnął się, skłonił i odwrócił, żeby podążyć za nimi.

Gabriel zawahał się, po czym zawołał:

– Gerrardzie!

Gerrard się odwrócił.

– Tak?

– Czy wiesz, gdzie jest teraz Vane?

– Jeśli chcesz go znaleźć, spróbuj zajrzeć do Mantona. Wiem, że miał się tam spotkać po południu z Diabłem.

Gabriel machnął ręką na pożegnanie i skierował się pod wskazany adres.

\* \* \*

– To będzie chyba sierpień. – Diabeł wyciągnął rękę i pociągnął za spust. Pocisk trafił dwa centymetry od środka tarczy.

– To bardzo niedługo. Czy Richard jest pewien?

– Rozumiem, że Catriona się nie myli. W tym stanie Richard niczego nie jest pewien.

Vane zamienił się miejscami z Diabłem, żeby oddać strzał.

– Znam to uczucie.

– Co to jest? – Oparty o ścianę Gabriel zmierzył ich szyderczym spojrzeniem. – Lekcja dla oczekujących ojców?

Diabeł się roześmiał.

– Przyszedeś na nauki?

– Nie, dziękuję.

Vane z ponurą twarzą uniósł pistolet i wycelował.

– Też do tego dorośniesz.

– Może kiedyś, ale tymczasem miejcie wzgląd na moją niewinność. Żadnych szczegółów, proszę.

Honorcia, żona Diabła, i Patience były w ciąży. Podczas gdy Diabeł okazywał obojętność człowieka, który ma już za sobą pierwsze doświadczenia, Vane był cały spięty. Pociągnął za spust. Kiedy rozwiął się dym, zobaczyli, że jego kula ledwie musnęła tarczę.

Diabeł posłał służącego po drugi pistolet, po czym odwrócił się do Gabriela.

– Podejrzewam, że słyszałeś o decyzji naszych matek, żeby zorganizować specjalny zjazd rodu dla powitania Catriony w rodzinie.

– A więc przyjeżdża do Londynu?

Diabeł skinął głową.

– Wczoraj mama otrzymała od niej list. Catriona oświadczyła, że będzie w stanie podróżować do końca sierpnia. A ponieważ Honorcia spodziewa się dziecka na początku lipca, a Patience odrobinę później, zjazd będzie się mógł odbyć właśnie w sierpniu.

Gabriel zamrugał, analizując słowa Diabła.

– Nie mów mi, że Richard dołączył do waszego klubu!

– Dokładnie tak. – Vane uśmiechnął się szatańsko. – Jeśli teraz jeszcze Demon wróci ze swojej włóczędzy z Felicity przy nadziei, że się tak wyrażę, to pomyśl, jak się będziesz czuł na zjeździe rodzinnym w sierpniu.

Gabriel zaklął.

– Muszę ostrzec Lucyfera. Mama będzie nie do wytrzymania.

– Oczywiście moglibyście sprawić jej przyjemność.

Gabriel obrzucił Diabła spojrzeniem człowieka, który został zdradzony.

– To naprawdę przerażająca myśl.

Diabeł po raz kolejny się roześmiał.

– Głupio przyznać, ale można się do tego przyzwyczaić. – Znacząco uniósł do góry jedną brew. – Są pewne plusy takiej

sytuacji.

– Muszą być jakieś – mruknął Gabriel.

– Jeśli jednak nie przyszedłeś tutaj, żeby porozmawiać o zagrażającym nam ojcostwie, to co cię tu sprowadza? – Vane również oparł się plecami o ścianę.

– Pewien szwindel. – Gabriel pokrótce omówił plan Crowleya, starannie wystrzegając się wzmianki o hrabinie.

– Crowley. – Diabeł spojrzał znacząco na Gabriela. – Czy to ten, który inwestował w jakąś kopalnię diamentów?

Gabriel skinął głową.

– Chyba zdemaskowałeś go wtedy, prawda? – zapytał Vane.

Gabriel ponownie potaknął.

– Dlatego właśnie tym razem potrzebuję pomocy, i to nie bezpośrednio od was. – Spojrzał na Vane'a. – Szukam kogoś, kto nie byłby w oczywisty sposób ze mną związany.

Vane wyglądał na zdezorientowanego. Gabriel pośpiesznie wyjaśnił kuzynom konieczność poznania dokładnych szczegółów oferty prezentowanej potencjalnym inwestorom.

– I...? – ponaglił go Vane.

– Co sądzicie o możliwości wykorzystania Gerrarda Debbingtona?

– Jako kozła ofiarnego?

– Nie widywano mnie z nim, a jeśli poda jako swój adres – adres Minnie, nie będzie powodu, żeby kojarzyć go z Cynsterami. Wiem, że Crowley nie jest dobrze zorientowany w układach w towarzystwie. Źródłem informacji jest dla niego Archie Douglas, a Archie nie potrafiłby odróżnić Gerrarda od Adama.

– To prawda.

– Ale nawet gdyby Archie zaczął rozpytywać dokoła o Gerrarda, dowiedziałby się jedynie, że młodzieniec jest dość zamożny i posiada ładną rezydencję w Derbyshire. Nie przyszłoby mu do głowy, żeby pytać o powiązania Gerrarda czy o jego siostrę.

– Albo o jego opiekunów.

– No właśnie. Gerrard wydaje się znacznie starszy, niż jest w rzeczywistości.

Vane zaczął się zastanawiać.

– Nie widzę powodu, dla którego Gerrard nie miałby wykazać zainteresowania kopalniami złota. – Spojrzał na Gabriela.

– Oczywiście pod warunkiem, że nic nie powiemy Patience.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy.

– Dobrze więc. – Na widok powracającego służącego Vane oderwał się od ściany. – Jeśli chcesz, wyłuszcę sprawę Gerrardowi i dowiem się, co o tym myśli. Jeśli będzie zainteresowany, przyślę go do ciebie.

Gabriel skinął głową.

– Dobrze. – Wziął od służącego dodatkowo przyniesiony pistolet i zważył go w ręce. – Jak liczymy trafienia?

Strzelali dziesięć rund. Gabriel łatwo pokonał pozostałych, co wywołało grymas na jego twarzy.

– Małżeństwo przytępiło wam zmysły – zauważył.

Vane wzruszył ramionami.

– Strzelanie to tylko zabawa, nic ważnego. Małżeństwo zmienia priorytety.

Gabriel wbił w niego wzrok, po czym zerknął na Diabła, który odpowiedział mu spojrzeniem, nie próbując nawet sprostować dziwacznych teorii Vane'a.

Czytając w oczach Gabriela, Diabeł się uśmiechnął.

– Zaczynaj o tym myśleć, bo to, że i na ciebie przyjdzie pora, jest równie pewne jak fakt, że po lipcu następuje sierpień.

Te słowa zmroziły Gabriela podobnie jak uwaga na uroczystościach ślubnych Demona. Poczul złowróżbne mrowienie w kręgosłupie. Udało mu się opanować drżenie. Przybrawszy beztroski wyraz twarzy i typową dla siebie swobodną postawę, wyszedł z kuzynami na zewnątrz.

\* \* \*

O piątej po południu, gdy Gabriel leniwie kartkował „Gentleman's Magazine”, ktoś zastukał do drzwi. Usłyszał taneczne kroki Chance'a w holu. Z uśmiechem powrócił do lektury pisma.



Chwilę później drzwi do pokoju uchyliły się i stanął w nich Chance.

– Niejaki pan Debbington chce się z panem widzieć, milordzie.

Gabriel westchnął w duchu.

– Dziękuję, Chance, ale nie jestem lordem.

Chance zmarszczył czoło.

– Myślałem, że wszyscy arystokraci to lordowie.

– Nie.

– Och. – Dostrzegłszy Gerrarda, stojącego tuż za nim i czekającego, żeby wejść, Chance przesunął się na bok, omal nie przewracając młodzieńca. – O, tu pan jest. Czy mam nalać brandy?

– Nie. To wszystko.

– Bardzo dobrze, sir. – Z chwalebny opanowaniem Chance, kłaniając się, wyszedł z pokoju i nie zapomniał zamknąć za sobą drzwi.

Gerrard zagapił się w zamknięte drzwi, po czym przeniósł pytające spojrzenie na Gabriela.

– Przyucza się. – Gabriel wskazał Gerrardowi krzesło. – Masz ochotę na brandy?

– Nie. Patience na pewno by zauważyła. – Usiadł wygodnie i spojrzał Gabrielowi prosto w oczy. – Vane opowiedział mi o tym oszustwie, które próbujesz ujawnić. Z radością ci pomogę. Co mam zrobić?

Opuszczając wszelkie wzmianki o hrabinie, Gabriel przedstawił swój plan.

## Rozdział 6

Następnego dnia w południe Gabriel schodził po schodach hotelu Burlington, wielce zadowolony z poczynionych przygotowań. Jego plan wszedł w życie i wszystko układało się zgodnie z nim. Wkrótce hrabina będzie należała do niego.

Gdy skręcił w Bond Street, spojrzął przed siebie. I zwolnił.

Na rogu Bruton Street, obok sklepowej wystawy, stała Alatheia, przeczesując wzrokiem tłum otaczający ulicznego sprzedawcę orzechów.

Zawsze miała szczególną słabość do orzechów. Teraz zaś wyraźnie rozważała możliwość przepchnięcia się przez ciżbę i zdobycia torebki ulubionych przysmaków. Gabriel zacisnął usta i przeszedł przez ulicę, zanim nawet zdążył pomyśleć, co robi i co zamierza. Wspomnienie ostatniego spotkania z Alatheą przemknęło mu przez głowę niczym płomień. Jeszcze mocniej zacisnął usta. Może torebka orzechów choć trochę naprawi napięte stosunki pomiędzy nimi...

Nie mógł przecież jej wyjaśnić, że jego reakcja na nią wynikała z pomylenia jej z inną kobietą.

Alatheia spoglądała na plecy oddzielające ją od źródła cudownego zapachu prażonych orzechów. Właśnie ten kuszący zapach przywiódł ją spod drzwi salonu mody, w którym Serena, Mary i Alice pochłonięte były ostatnimi poprawkami przed balem. W salonie było gorąco i duszno, więc Alatheia wyszła na ulicę z zamiarem poczekania na nie na świeżym powietrzu.

Od zapachu orzechów zaczęło jej burczeć w brzuchu. Wtargnięcie pomiędzy tłum naraziłoby ją na impertynenckie uwagi, jednak... na samą myśl o ulubionym przysmaku ciekła jej ślinka. Doszedłszy do wniosku, że nie wytrzyma ani minuty dłużej bez torby orzechów, zrobiła krok do przodu...

– Tutaj.

Silna dłoń zacisnęła się na jej łokciu i pociągnęła ją do tyłu. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi!

Nie patrząc jej w oczy, Gabriel powiedział:

– Pozwól mi.

Pozwoliła z prostego powodu: nogi miała jak z waty. Jej ostatni plan przetrwania zakładał, że powinna za wszelką cenę unikać Gabriela, i miała zamiar się do tego stosować. Ba, mało tego, przecież to robiła! Znajdowała się na Bruton Street w samym środku dnia. Na miły Bóg! Skąd on się tu wziął? Nigdy nie opuściłaby salonu mody, gdyby przyszło jej do głowy, że Gabriel może się kręcić gdzieś w pobliżu.

Postanowiła kierować się swoją irytacją. Niewątpliwie będzie to lepsze niż uleganie panice.

Gabriel odwrócił się do niej. W rękach trzymał torbę z brązowego papieru.

– Proszę.

Przyjęła ją i zajrzała do środka.

– Dziękuję. – Wzięła jeden orzech do ust, po czym wyciągnęła dłoń z torebką ku mężczyźnie.

Wziął garść orzechów, nie spuszczając z niej wzroku.

– Co tutaj robisz?

– Czekam na Serenę i dziewczęta. – Machnęła ręką w stronę Burton Street. – Mają dziś przymiarkę w salonie mody.

Żeby zyskać na czasie, zajrzała do torby i zaczęła wybierać następny orzech. Jeśli nie będzie Gabriela w żaden sposób zachęcać, może sobie pójdzie. Była boleśnie świadoma faktu, że im dłużej przebywała w jego towarzystwie jako Alatheia, tym większe było niebezpieczeństwo, iż ten rozpozna w niej hrabinę.

Nagle odezwało się w niej sumienie. A niech to! Chociaż nie chciała, musiała przecież...

Uniosła głowę.

– Muszę ci podziękować za wczorajsze zachowanie. Na pewno dosięgłyby mnie końskie kopyta, gdyby...

Zakończyła zdanie pospiesznym machnięciem ręki, ale jej myśli musiały odbijać się w jej oczach. Ku swemu zdumieniu spostrzegła, że policzki Gabriela przyoblekły się purpurą. Był zakłopotany? Dobry Boże!

– Drobiazg – wycedził. A po chwili dodał cicho: – Wolałbym,

żebyś zapomniała o całym incydencie.

Wzruszyła ramionami.

– Skoro tak sobie życzysz..

Czy miała mu powiedzieć, żeby również zapomniał?

Zaczął iść obok niej. Nie było sensu go przekonywać, że pójdzie dalej sama. Na szczęście torba z orzechami stanowiła doskonały pretekst, żeby nie wesprzeć się na jego ramieniu. Dotknięcie jego ciała byłoby zgubne. Z orzechami mogła iść w dość bezpiecznej odległości ponad pół metra od niego. Czuła się tak, jakby karmiła smakołykami śmiertelnie niebezpiecznego lamparta, żeby odwrócić jego uwagę od tego, że zbliża się do drzwi klatki.

Na szczęście drzwi do salonu mody znajdowały się niedaleko. Zatrzymała się przed nimi, rozważając, czy oddać mu niemal pustą torebkę, którą ścisnęła w dłoni.

– Dziękuję za orzechy. – Napotkała jego spojrzenie i zobaczyła, że zmarszczył czoło.

Zamarła. Obawa ścisnęła ją za serce. Czy powiedziała coś niewłaściwego? Czy coś zrobiła?

– Może wiesz... – zagaił niepewnie, odwracając wzrok. – Czy znasz może hrabinę, która niedawno owdowiała...?

Gabriel przerwał. Co on wyprawiał? Jedno spojrzenie na twarz Alathej uświadomiło mu, że powiedział dosyć. Miała twarz zupełnie pozbawioną wyrazu i kompletną pustkę w oczach.

– Nie.

Zbeształ się w duchu. Znała go na tyle dobrze, żeby się domyślić, dlaczego zadał to pytanie. Na jej twarz wypłynął wyraz niechęci. Wszelkie wzmianki o miłosnych podbojach Lucyfera kwitowała rozbawionym spojrzeniem, nigdy jednak nie była równie łaskawa wobec niego.

Skrzywił się.

– Zapomnij, że zapytałem.

– Dobrze.

Jej głos brzmiał bardzo dziwnie.

Już miał się cofnąć, przeprosić i ją opuścić, kiedy obok

przetoczył się awanturniczy tłum, który wcześniej otaczał sprzedawcę orzechów. Jeden z przechodniów potrącił go w ramię. Odwrócił się i zbliżył do Alathej, instynktownie ponownie ją osłaniając.

Pobladła. Oparta o framugę drzwi, oddychała szybko.

– Nic. Trzymaj! – Alathea wcisnęła mu do ręki torbę z orzechami, po czym okręciła się na pięcie i otworzyła drzwi do salonu mody. – Serena będzie się o mnie martwić.

Co powiedziawszy, umknęła – nie było na to lepszego określenia. Wpadła do małego przedsionka, uniosła suknię i popędziła schodami na górę, do salonu. Nie obchodziło jej, co sobie pomyślał o jej ucieczce. Po prostu nie mogła dłużej znieść jego bliskości. Nie jako Alathea Morwellan.

\* \* \*

Dwa dni później Alathea stała przy oknie swojego gabinetu, pogrążona w myślach. Wiggs właśnie wyszedł. Wobec jego przejęcia się wekslem czuła się w obowiązku poinformować go, że postanowiła skorzystać z pomocy Gabriela Cynstera. Wiggs był pod wrażeniem. Wyraźnie mu ulżyło. Przypomniawszy sobie, że Cynsterowie byli ich sąsiadami w Somerset. Wspomniała o konieczności zachowania tajemnicy w sprawie dochodzenia i niekontaktowania się bezpośrednio z panem Cynsterem. Okrągłutki człowiek interesu wyszedł od niej znacznie szczęśliwszy, niż się tu pojawił. Poprosiła go o zapoznanie się z procedurą unieważnienia przez sąd skryptu dłużnego, gdy tylko zdobędą dowody oszustwa. Miała nadzieję, że sprawę uda się przeprowadzić, unikając wymienienia nazwiska rodu podczas jawnej rozprawy oraz dodatkowych opłat dla adwokatów.

Jeśli chodzi o ich prywatne śledztwo, sprawy układały się pomyślnie. Chciałaby powiedzieć to samo o jej relacji z Gabrielem.

W ciągu ostatnich dwóch dni robiła wszystko, żeby uniknąć spotkania. Jednak niewidzenie go nie umniejszało poczucia winy, jakie miała z powodu jego zakłopotania. Było to irracjonalne, ale

czuła się winna.

W głębi duszy świadoma była tego, że Gabriel zawsze pojawiał się wówczas, gdy go potrzebowała. Zdarzenia takie jak spłoszony koń na Bond Street czy tłum wokół ulicznego sprzedawcy nie były niczym niezwykłym w ich wzajemnych stosunkach. Chociaż ich relacje były trudne aż do bólu, zawsze jej pomagał, gdy tego potrzebowała. Pomagał jej i teraz, chociaż tym razem nie zdawał sobie sprawy, że to właśnie ona.

Nie zasługiwał na to, by go oszukiwać, ale cóż mogła na to poradzić?

Westchnęła i koncentrując się, przeanalizowała swoje ostatnie posunięcia. Na początek postara się przywrócić ich dawne relacje i zachowywać się wobec niego normalnie, żeby mógł zapomnieć o swoim zakłopotaniu. Jeśli zaś chodzi o nią, poza tamtym momentem na Bond Street, w ciągu ostatnich dziesięciu lat nawet nie dotknęła jego ramienia. Z pewnością będzie w stanie wytrwać bez dotykania go przez najbliższych parę tygodni.

Po drugie, bez względu na wszystko, nie może pozwolić i nie pozwoli na to, żeby uczucia, które ogarnęły ją na Burton Street, znów się obudziły. Jeśli się do niej zbliży, będzie cierpiała w milczeniu. Była mu to winna.

Skrzywiła się, gdy sobie uświadomiła, że myśląc teraz o nim, nazywa go imieniem, które sam sobie wybrał. Wzruszyła ramionami. Lepiej myśleć o nim jako o Gabrielu, bo właśnie z Gabrielem miała do czynienia. Może jeśli wbije to sobie do głowy, będzie lepiej przygotowana na ewentualne niespodzianki?

Patrząc na zieleń za oknem, odłożyła na bok swoje postanowienia i zajęła się następnym zagadnieniem: w jaki sposób poznać jego plan. Nie miała bowiem wątpliwości, że Gabriel ma plan. Powiedział jej, żeby pozostawiła mu Crowleya, i było to bardzo kuszące. Niestety, zastosowanie się do jego polecenia mogło być zbyt ryzykowne, gdyż Gabriel nie znał nazwiska rodziny, której pomagał.

To była kolejna przeszkoda. Chociaż rozpaczliwie chciała się z nim spotkać ponownie, żeby zapytać, czego udało mu się

dowiedzieć, co robił, co planował, nie byłoby jej łatwo usprawiedliwić możliwe niemoralne zachowanie. Było bowiem całkiem prawdopodobne, że wytropił coś nowego, jakiś znaczący fakt. Jakiej zapłaty mógłby za to zażądać?

Nie miała dość doświadczenia, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Nie była też pewna, czy może ufać samej sobie, zwłaszcza w jego objęciach.

Zupełnie tego nie pojmowała. Gdy była hrabiną, jej relacje z Gabrielem były zupełnie inne niż relacje Alathej Morwellan, która przecież tak dobrze go знаła. I nie chodziło tu jedynie o zakazany charakter ich stosunków, ale o inną, głębszą więź. O więź, której pożądała, chociaż nie powinna.

Nigdy nie paliła za sobą mostów, nie należała też do osób porywczych. Lecz kiedy była hrabiną i Gabriel traktował ją jak kogoś innego, zaczynała myśleć i reagować inaczej niż zwykle.

Jej maskarada przybrała nowe, niebezpieczne kształty.

Rozległo się pukanie do drzwi. Odwróciła się. Do środka zajrzał lokaj, Folwell. Ukłonił się z szacunkiem. Uśmiechnęła się i kiwnęła ręką, żeby wszedł do środka, po czym podeszła do biurka.

– Coś nowego?

– Dzisiaj nic, milady. – Folwell zatrzymał się przed biurkiem.

– Ale ten Chance... ależ on lubi gadać. Z całym szacunkiem, proszę pani, ale musiałem go pouczyć. Zbyt dużo sobie pozwala, opowiadając o panu Rupercie. Nie powinien się tak zachowywać, rozumie pani.

– Owszem, ale w tym przypadku gadatliwość Chance'a okazała się przydatna.

– Och, Chance nadal plotkuje ze mną i Dodswellem. Nie chcemy jednak, żeby opowiadał wszystko innym.

– Słusznie. – Alatheia stłumiła uśmiech, myśląc o Folwellu, pouczającym dziwaczego lokaja Gabriela. Słyszała już barwną relację o tym, w jaki sposób Chance dostał tę pracę, i wszystko, czego później się o nim dowiedziała, powodowało, że bardzo była ciekawa poznania go. Ekscentryczny postępek Gabriela, który dał pracę Chance'owi, budził sympatię. Tak jak powiedziała Celii,

Gabriel nie był zimny, tylko raczej kontrolował swoje zachowanie.

– Pan Rupert spotkał się ponownie z panem Debbingtonem?

– Nie, proszę pani. Tak jak wspomniałem, odbyło się tylko jedno spotkanie. Pan Debbington nie zjawił się drugi raz.

– Żadnych listów czy notek?

– Wczoraj w nocy przyszła jedna informacja, ale Chance nie wie od kogo. Pan Rupert przeczytał ją i wydawał się zadowolony, ale oczywiście nic nie powiedział Chance'owi.

Alathea przypomniała sobie uwagi Celi. Spojrzała na Folwella.

– A co z paniami? Czy odwiedzały go jakieś damy? A może wychodził...? – Była odwrócona do okna i Folwell nie mógł widzieć jej rumieńca.

– Nie, milady. Nikt go nie odwiedzał. Dodswell mówi, że od wieków nie było w domu żadnej kobiety. A przynajmniej od tygodni. Twierdzi, że pan Alasdair poluje na nową zdobycz... – z kolei zaczerwienił się Folwell – ...ale pan Rupert, poza imprezami rodzinnymi i spotkaniami z jakąś tajemniczą osobą, spokojnie zostaje w domu. A ta tajemnicza osoba to pani.

– Tak. Dziękuję, Folwell. – Alathea skinęła głową. – Nadal wpadaj tam codziennie, ale tak, żeby pan Rupert nie zauważył.

– Oczywiście, milady. – Folwell pochylił głowę. – Może pani na mnie liczyć.

Po jego wyjściu Alathea zaczęła analizować obraz życia Gabriela, jaki wyłaniał się z relacji służącego. Celia zawsze dawała do zrozumienia, że przez dom przy Brook Street bezustannie przepływał strumień dam. Mieszkali tam dwaj Cynsterowie, Lucyfer oraz Gabriel, ale wyglądało na to, że teraz Gabriel nie wykazywał specjalnej aktywności; przynajmniej nie w tej dziedzinie.

Alathea zaczęła rozważać ten fakt, z roztargnieniem postukując ołówkiem.

\* \* \*

Dwa dni później odbywał się wielki bal wydawany przez



Augustę, markizę Huntly. Alatheia nie potrafiła powiedzieć, co miałyby odróżniać ten bal od innych – było równie tłoczno i nudno. Nigdy nie miała zbyt wiele czasu na takie rozrywki: bal myśliwski i jeden czy dwa inne w zupełności jej wystarczały. Konieczność uczestniczenia co noc w zabawie szybko stała się dla niej synonimem tortury. Jednak markiza była z domu Cynster i nie wypadało odmówić jej zaproszeniu.

Bal dawał Alatheii przynajmniej okazję do obserwowania swojego rycerza. Możliwe, że jego plany przewidywały na takich imprezach spotkania z informatorami. Zaszła się w kącie sali i obserwowała przechadzającego się Gabriela. Była dość wysoka, by widzieć go bez problemów, ale starała się nie wodzić za nim bez przerwy wzrokiem. Powtarzała sobie w myślach swoje ostatnie postanowienie. Będzie się starała go unikać, ale gdy się spotkają, postara się zachowywać jak zawsze, jakby nigdy nie znalazła się w jego objęciach na Bond Street.

Na szczęście nie zmierzał w jej stronę. Widziała jego szerokie barki. Brunatny odcień materiału nadawał jego włosom kolor połyskliwego brązu, a niezwykła prostota fryzury podkreślała jego wzrost.

Po chwili oderwała od niego wzrok i przeniosła spojrzenie na oddzielający ich tłum. Przesunęła wzrokiem po ścianach, których dekoracje zwróciły jej uwagę. Zaczęła rozmyślać, w jaki sposób obniżyć koszty wystroju sali w Morwellan House bez uszczerbku dla końcowego efektu. Bal, na którym Mary i Alice miały się po raz pierwszy oficjalnie zaprezentować w towarzystwie, zbliżał się wielkimi krokami.

– Do diabła, dlaczego nie mogłaś zostawić tego ohydztwa w domu, a jeszcze lepiej cisnąć go w ogień?

Alatheia odwróciła się gwałtownie i serce podeszło jej do gardła. Tak była pogrążona w myślach, że nie zauważyła, kiedy do niej podszedł. Spojrzała mu w oczy – lustrował ją. W przypiływie śmiałości zawołała:

- Na litość boską, mam dwadzieścia dziewięć lat!
- Świetnie wiem, ile masz lat.

Zadarła do góry głowę.

– Ludzie oczekują ode mnie noszenia kapelusza.

– Na tej sali znalazłoby się najwyżej dziesięć osób, które w ogóle zauważyły ten koszmar.

– To nie jest koszmar, tylko ostatni krzyk mody!

– A więc koszmar może być modny? Zdumiewające! Tak czy inaczej, nie pasuje ci.

– Naprawdę? A czemuż to? – Zaczęły ją piec policzki. – Może chodzi o kolor?

Kapelusik był dokładnie tej samej barwy co suknia z zielonego jedwabiu, w niezwykle modnym odcieniu, w którym było jej szalenie do twarzy. Zmrużyła oczy, czekając, czy Gabriel odważy się powiedzieć coś krytycznego. Nie było wątpliwości: powrócili do dawnych relacji.

Przesunął spojrzeniem po jej twarzy, po czym powrócił do obiektu swojej niechęci.

– Mógłby być ze szczerego złota, a i tak byłby niegustowny.

– Niegustowny?

Do tej chwili prowadzili rozmowę przyciszonym głosem. Alatheia niemal się zakrztusiła, usiłując zachować pozory opanowania. Głosem pełnym buntu stwierdziła:

– Jeśli tak postanowię, do końca życia będę nosiła ten kapelusz i nic nie będziesz mógł zrobić. Radzę ci więc, żebyś się z tym pogodził, a jeśli to przekracza twoje możliwości, to żebyś przynajmniej zachował swoje opinie dla siebie.

Zacisnął zęby i zwarł się z nią wzrokiem. Napięci, stali w kącie sali, czekając, które z nich pierwsze się wycofa.

– Oh, Allie!

Na dźwięk udręczonego głosu oboje odwrócili się gwałtownie. Z tłumy wyłoniła się Alice.

– Popatrz. – Zmartwiona uniosła spódnicę, żeby pokazać oderwaną falbanę. – Ten głupi lord Melton nadepnął na nią podczas tańca i zniszczył moją śliczną, nową sukienkę!

– Nie. Nie. – Alatheia otoczyła ramieniem Alice i przytuliła ją. – To żaden problem. W torebce mam szpilki. Pójdziemy do

gotowalni i podepnę ci falbanę tak, żebyś nie straciła reszty tańców, a po powrocie do domu Nellie przyszyje ją i sukienka będzie wyglądała jak nowa.

– Och. – Alice zerknęła na Gabriela i posłała mu płaczliwy uśmiech. Potem znów spojrzała na Alatheę. – Możemy już iść?

– Tak. – Alatheia odprawiła Gabriela pełnym wyższości spojrzeniem. – Już zakończyliśmy naszą rozmowę.

W jego oczach płonął ogień. Ale gdy przeniósł wzrok na Alice, był pełen łagodności.

– Falbany stale się odrywają. Zapytaj bliźniaczek. Mają je odprute po każdym balu.

Alice uśmiechnęła się słodko i zerknęła wyczekująco na Alatheę.

– Chodźmy. Gotownia jest w końcu tego korytarza.

Alatheia, wiodąc za sobą Alice, czuła na sobie wzrok Gabriela. Od trzech lat stale krytykował jej nakrycia głowy, odkąd tylko zaczęła je nosić. Podejrzuwała zresztą, że dla niego w równym stopniu co dla niej przyczyna tej gwałtownej niechęci pozostawała zagadką. I, dzięki Bogu, nic się nie zmieniło.

Powrócili do tego, co we wzajemnych stosunkach uważali za normalne.

Kiedy Alatheia opuściła salę, Gabriel westchnął w duchu. Świetnie! Wszystko było tak, jak być powinno. Niepokój, który dręczył go przez kilka ostatnich dni, gdzieś wyparował. Po błędzie, który popełnił na Burton Street, dręczyła go potrzeba naprawienia relacji z Alatheą i powrotu do dawnych stosunków, zakłócając nawet snucie planów dotyczących hrabiny. Ale wszystko zostało naprawione. Alatheę wyraźnie kierowała podobna potrzeba, była gotowa powrócić do dawnych układów w tej samej chwili, gdy to zaproponował. Widział, że coś głęboko rozważała, zanim warknęła na niego po raz pierwszy.

Uczucie ulgi było bardzo konkretne. Teraz mógł już bowiem zająć się na powrót sprawą, która niezwykle przemawiała do jego wojowniczej duszy. Teraz mógł się skupić wyłącznie na hrabinie i jej uwiedzeniu.

\* \* \*

Przymocowanie naderwanej falbany zajęło pięć minut. Nie spiesząc się z powrotem, Alatheia poprosiła o szklankę wody i zaczęła powoli popijać. Wymiana zdań z Gabrielem wstrząsnęła nią bardziej, niż gotowa była przyznać. Nie umiała krzyknąć na niego ostrym, przepojonym złością głosem, nie dopuszczając do pojawienia się łagodnego tonu głosu hrabiny, jakiego używała, mówiąc do tych, których kochała.

Jakby mało jej było kłopotów.

Dziesięć minut później weszła za Alice do sali balowej. Nigdzie nie było widać Gabriela.

Alice powróciła do wianuszka młodych panien i dżentelmenów. Alatheia zaczęła się przechadzać po sali. Rozglądając się, zlokalizowała go wreszcie. Nie zwracając na siebie uwagi, zajęła pozycję przy przeciwległej ścianie, tym razem w pobliżu dającego poczucie bezpieczeństwa filaru. Chociaż wyglądało na to, że nic nie byłoby w stanie obronić jej przed zainteresowaniem Cynsterów – niemal natychmiast u jej boku zjawił się Lucyfer.

– Urwana falbana?

Alatheia zamrugwała.

– Tak. Skąd wiedziałeś?

– Bliźniaczki stale tego próbują.

– Jak to próbują?

– Próbuje użyć falbany jako usprawiedliwienia, żeby wymknąć się z sali balowej. Rozumiesz, falbana albo koronka, albo coś innego, co może się podrzeć. Gdyby za każdym razem szkoda powstała w wyniku niezdarności ich partnerów, wówczas należałoby przyjąć, że wszyscy dżentelmeni tańczą jak kołki.

Alatheia nie uśmiechnęła się.

– Ale dlaczego bliźniaczki starają się wymknąć?

– Bo wydaje im się, że będą mogły spotkać się z nieodpowiednim dżentelmenem, gdy tylko znikną nam z oczu.

Spojrzała na Lucyfera i przekonała się, że mówił najzupełniej

poważnie. Przebiegł wzrokiem tłum.

– Ale sama wiesz, jak to jest. Widziałem, jak pilnowałaś Alice.

– Nie pilnowałam jej. Nigdy dotąd nie podarła sobie falbany i nie miała szpilek, ani nie wiedziała, jak naprawić szkodę. Po prostu jej pomogłam.

– Może i tak, ale znasz zasady i wiesz, że musisz jej pilnować.

Alathea poczuła na dziś przesynt męskimi przedstawicielami rodu Cynsterów. Wciągnęła głęboko powietrze i na chwilę wstrzymała oddech, po czym zwróciła się do swojego rozmówcy.

– Alasdair...

To przykuło jego uwagę. Spojrzał na nią, unosząc do góry jedną brew.

– Ty i twój równie mylący się brat musicie skończyć z tą śmieszną obsesją. Bliźniaczki mają osiemnaście lat. Spotkałam je, rozmawiałam z nimi. To rozsądne, mające dobrze poukładane w głowach młode damy, w pełni kontrolujące własne życie, przynajmniej w zakresie wyboru przyszłego małżonka.

Lucyfer się skrzywił. Już otwierał usta...

– Nie. Nic nie mów. Mam dość kłócenia się dziś wieczorem z Cynsterami i możesz to powiedzieć swojemu bratu! – posłała mu mroczne spojrzenie. – Obaj musicie zrozumieć, że wasz stały nadzór doprowadza bliźniaczki do obłędu. Jeśli nie dacie im dość swobody, zaczną wierzgać, a wtedy będziecie musieli robić dobrą minę do złej gry. Jak byście się czuli, gdybyście byli ograniczani, kontrolowani i krępowani, gdy tylko postawiliście nogę na sali balowej?

– To co innego. Umiemy się o siebie zatroszczyć. – Lucyfer zerknął na jej twarz, a następnie westchnął. – Zapomniałem, że niewiele czasu spędzasz w Londynie. – Błysnął uśmiechem, będącym kwintesencją braterskiej protekcyjności. – W towarzystwie lawirują też łajdacy, nie możemy więc przestać czuwać nad bliźniaczkami. Byłoby to jak wyprowadzenie na łąkę dwóch owieczek, a następnie pozostawienie ich wilkom na

pożarcie. Dlatego ich pilnujemy. A ty nie musisz się martwić o Mary i Alice, bo dla nas to żadna różnica, czy obserwujemy dwie, czy cztery dziewczęta.

Mówił szczerze. Alatheia zaczęła rozważać, czy nie jęknąć.

– Nigdy wam nie przyszło do głowy, że bliźniaczki potrafiłyby zadbać o siebie same?

– Tutaj? – Lucyfer pokręcił głową, patrząc na obiekt ich dyskusji. – Jak miałyby to zrobić? Musisz też przyznać, że jesteśmy ekspertami w dziedzinie zawracania w głowach paniom.

Alatheia powstrzymała się przed wzniesieniem oczu do nieba. Była zdecydowana przebić balon egoizmu i zarozumiałości Cynsterów. Przebiegła wzrokiem salę w poszukiwaniu natchnienia.

I zobaczyła Gerrarda Debbingtona, podchodzącego do Gabriela, który rozmawiał ze znajomym. Gerrard uklonił się swobodnie. Gabriel się odklonił. Nawet w drugim końcu sali Alatheia wyczuwała nagłe skupienie i czujność tego młodzieńca.

– Popatrz – powiedział Lucyfer, przysuwając się bliżej do Alatheii. – Przyjrzyj się lordowi Chantry’emu, który kręci się wokół spódniczki Amelii.

– Chantry’emu? – Alatheia wbiła wzrok w drugi kąt sali. Dżentelmen, rozmawiający z Gabrielem, oddalił się, pozostawiając go z Gerrardem. Atmosfera rozmowy natychmiast uległa zmianie. Gerrard przesunął się tak, że nie widziała już jego twarzy.

– Hm. Podobno ma jakąś ładną posiadłość w Dorset i w oczach pań uchodzi za niezwykle czarującego człowieka.

– Doprawdy? – Po skupionym wyrazie twarzy Gabriela Alatheia domyślała się, że to, co mówił mu Gerrard, jest bardzo ważne.

– Jest jednak i inne oblicze Chantry’ego.

Najwyraźniej omawiali bardzo istotne sprawy.

– Ma mnóstwo długów. Właściwie jest skończony.

Alatheia szykowała się właśnie do odejścia, ale słowa Lucyfera ją zatrzymały, odwróciła się więc ku niemu.

– Co powiedziałeś?

– Bardzo zubożał i rozgląda się teraz za jakimś szybkim

ożenkiem z okazałą sakiewką, przytroczoną do ślubnego bukietu.

– Kto?

– Lord Chantry. – Lucyfer przyglądał jej się uważnie. – Opowiadam ci o nim, żebyś zrozumiała, dlaczego pilnujemy bliźniaczek. Nie słuchałaś?

– Yhm... no tak. Opowiedz mi coś więcej.

Przesunęła się tak, żeby nie stracić Gabriela z oczu.

– Taki więc jest Chantry. I oczywiście Amelia od tygodnia uśmiecha się do niego słodko. Głupia smarkata. Próbowałam jej coś powiedzieć, ale nie chciała słuchać. Zadarła nos do góry i oświadczyła, że Chantry jest zabawny.

Alathea zaczęła się zastanawiać, czy mu nie wyjaśnić, że Amelia najprawdopodobniej zachęcała Chantry'ego, żeby zrobić na złość jemu i Gabrielowi. Gabriel podniósł wzrok. Jak na wezwanie, Diabeł, na którego spojrział Gabriel, oderwał się od boku swojej małżonki, Honorii, i podszedł do naradzających się.

Planowano coś ważnego.

– Następny przykład nieodpowiedniej partii to Hendricks, ten który stoi z prawej strony Amandy. Jest jeszcze gorszy niż Chantry.

Nie słuchając monologu Lucyfera, Alathea obserwowała spotkanie, odbywające się na jej oczach. Vane podszedł do nich niby przypadkiem i też włączył się do dyskusji. Nawet z takiej odległości nie miała wątpliwości, że rozważali różne koncepcje, różne rozwiązania. Mogła to poznać po ich spojrzeniach i gestach. W końcu zapadły decyzje, które najwyraźniej dotyczyły Gerrarda Debbingtona. Gerrarda i Gabriela. Diabeł i Vane sprawiali wrażenie doradców, mniej zaangażowanych w planowane działania.

Musiała poznać ich plan.

– Sama więc widzisz, dlaczego musimy na nie uważać.

Rozumiesz teraz?

Skupiła się na powrót na słowach Lucyfera. Jaka odpowiedź była właściwa? Tak? Nie? Westchnęła.

– Nie przejmujcie się tak. – Bliźniaczki będą musiały powalczyć o swoje prawa. Oparła dłoń na jego ramieniu. – Chodź,

zatańczymy, zaczyna się walc. Potrzebna mi chwila rozrywki.

– Nie mogę, jestem na warcie.

– Daj znak Gabrielowi, jest wolny. Może przejąć od ciebie straż.

Lucyfer dał znak, Gabriel zaczął pilnować dziewcząt, ona zaś miała swoją rozrywkę.

Dobrze jej zrobił ten taniec.

Kiedy znalazła się w powozie toczącym się po pustych ulicach w stronę domu, była już pogodzona z myślą o konieczności spotkania się ze swoim błędnym rycerzem. Łamała sobie głowę, w jaki sposób hrabina mogłaby się z nim bezpiecznie umówić.

Gdzieś, gdzie nie mógłby żądać kolejnej zapłaty.

Otrzymał już aż nadto.

Ale jak mu tego zabronić?



## Rozdział 7

– Dzień dobry, panie Cynster.

Gabriel zatrzymał się i odwrócił. W jego kierunku zmierzała hrabina. Szła Brook Street, w środku dnia.

Jak zwykle była szczelnie okryta peleryną i zawoalowana. Gabriel uniósł brwi. Myśliwska intuicja podpowiedziała mu, na czym polega jej strategia, ale jeśli miała na celu uniemożliwienie mu wyegzekwowania zapłaty, to sprowokowała coś dokładnie odwrotnego.

Nie było welonu, który by w dziennym świetle w pełni zasłaniał twarz.

Kiedy zatrzymała się przed nim z uniesioną głową, spostrzegł, że twarz pod welonem ma zasłoniętą czarną maską. Zaciekawilo go, czy umiała grać w szachy.

– Dzień dobry... – Zawiesił głos, jakby czekając na odpowiedź, jakiego imienia czy tytułu ma użyć. – ...madam.

Wyczuł, że się skrycie uśmiechnęła. Ręką wskazała kierunek, w jakim zmierzał.

– Czy mogę pójść z panem?

– Naturalnie. – Podał jej ramię, na którym oparła obciążoną rękawiczką dłoń. Gdy zaczęli iść w kierunku Bond Street, Gabriel uświadomił sobie raz jeszcze, jak bardzo była wysoka. Sam mógł spoglądać ponad głowami większości kobiet, w związku z czym łatwo mu je było ignorować nawet wówczas, kiedy wspierały się na jego ramieniu. Nie zdołałby jednak ignorować hrabiny, gdyż na tysiąc rozmaitych sposobów oddziaływała na jego świadomość.

– Zakładam – zagaiła jego towarzyszka, jak zwykle miękko, cichym głosem – że nadal prowadzi pan śledztwo w sprawie Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota?

– I owszem. W celu udowodnienia oszustwa koniecznie musimy mieć świadków i znać precyzyjne szczegóły oferty, jaką przedstawiciele kompanii składają ewentualnym inwestorom. Mój doradca handlowy przeprowadził ostrożne rozeznanie, lecz kompania nie wysuwała propozycji wobec żadnego bogatego,

doświadczonego inwestora, ani ich doradców inwestycyjnych. W tej sytuacji musimy podsunąć kompanii inwestora potencjalnego.

Opuściła głowę. Dopiero gdy przeszli przez Molton Street, zapytała:

– Kogo ma pan na myśli?

– Mojego młodego przyjaciela, Gerrarda Debbingtona.

Wygląda na człowieka mającego ponad dwadzieścia jeden lat, chociaż w rzeczywistości jest niepełnoletni. Oczywiście stanowi to ważny i konkretny powód, by nie podpisywał osobiście żadnych zobowiązań, gdy kompania przedstawi mu swoje propozycje.

– Będą musieli podpisać jego opiekunowie prawni.

– No właśnie. Ale nie wspomni o nich, dopóki nie zakończą rozmów.

– Jakich rozmów?

Z kamiennym wyrazem twarzy Gabriel zastanawiał się nad błyskiem, jaki był w stanie dostrzec w jej oczach. Nie znał ich koloru, podejrzewał jednak, że nie są niebieskie. Piwne? Zielone?

– Gerrard spędził ostatnie dni, pokazując się we właściwych miejscach i opowiadając, że musi zrobić lepszy użytek ze swoich pieniędzy, niż kupować za nie więcej ziemi.

– I?

– Wczoraj wpadł na niego zupełnie przypadkiem Archie Douglas.

– I?

W powtarzonym pytaniu czaiła się niecierpliwość. Gabriel nie pozwalał sobie na uśmiech.

– Archie zaczął coś opowiadać o Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota. Kiedy Gerrard okazał pewne zainteresowanie, zaproponował mu spotkanie z przedstawicielem kompanii.

– Kiedy?

– Archie musiał jeszcze ustalić szczegóły ze swoimi przyjaciółmi, ale Gerrard, zgodnie z instrukcjami, zaproponował jutrzejszy wieczór w hotelu Burlington.

– Sądzi pan, że przedstawiciel kompanii, czyli, jak się

domyślam, Crowley, się zgodzi?

– Jestem zupełnie pewien, że się zgodzi. Archie nie zbliżyłby się do Gerrarda, gdyby wcześniej Crowley nie wybrał go sobie na cel.

– Ale... – W jej głosie zabrzmiało zatroskanie. – Domyślam się, że Gerrard Debbington jest z wami związany. Z Cynsterami. Czy to rozsądne?

To go zaskoczyło. Kim ona była?

– Owszem, ale nasz związek nie jest oczywisty. Archie Douglas nie jest specjalnie lubiany przez panie z towarzystwa, więc nie będzie wiedział o naszych powiązaniach. Crowley zaś skoncentruje się na sprawdzeniu pochodzenia Gerrarda, z którego wyniknie, że to bogaty młody człowiek ze wschodnich hrabstw. Gdyby kompania miała zwyczaj gruntownego sprawdzania swoich przyszłych ofiar, nie zajęłaby się pani zmarłym mężem.

– Hm...

Ponieważ jego towarzyszka nie wyglądała na specjalnie przekonaną, dodał:

– Ujmijmy to inaczej. Gdyby Crowley miał choć cień podejrzenia, że Gerrard Debbington ma coś wspólnego ze mną, nigdy by go nie zaczepił.

Uniosła głowę i kiwnęła nią w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Tak... to prawda. A więc... uważa pan, że Gerrard Debbington potrafi skutecznie odegrać rolę naiwnego inwestora?

– Jestem tego pewien. Przećwiczę z nim, czego musimy się dowiedzieć, i dam mu elementarne wskazówki, żeby umiał zadać najważniejsze pytania w sposób pasujący do młodego dżentelmena, nieliczącego się z groszem.

– Rozumiem, ale czy sądzi pan, że podoła tej roli? Skoro ma dopiero osiemnaście lat...

– Świetnie udaje mniej inteligentnego, niż jest w rzeczywistości. Po prostu patrzy na swojego rozmówcę niepewnie, tępym wzrokiem. Ma niewinną twarz, ogromne oczy i czarujący, młodzieńczy uśmiech. Sprawia wrażenie człowieka, z którego

twarży można czytać jak z otwartej księgi, choć niekoniecznie jest to prawda. – Gabriel spojrział na hrabinę. – Nie wiem, czy pani wie, ale Gerrard jest początkującym malarzem i nawet podczas ważnych imprez towarzyskich stale przygląda się rysom twarzy, ubiorom, kolorystyce i tym podobnym, choć sprawia wrażenie, jakby był bez końca pochłonięty rozmową.

Hrabina spojrzała mu prosto w oczy.

– Rozumiem.

A więc grała w szachy. Ale on był mistrzem tej gry.

– Jutro wieczorem Gerrard spotka się więc z przedstawicielami kompanii. Wybrałem Burlington, bo jest to hotel, gdzie zatrzymałby się człowiek, którego ma zagrać Gerrard. Wynajmie apartament i podczas gdy będzie dyskutował w salonie z tymi, którzy przybędą na spotkanie, ja przysłucham się ich rozmowie, ukryty w sąsiedniej sypialni.

– Spodziewa się pan, że zjawi się Crowley?

– Nie sposób tego przewidzieć. Nie ma powodu, żeby przybył osobiście, chociaż znając jego metody działania z przeszłości, sądzę, że może się pojawi. Osobiste oszukiwanie ludzi sprawia mu przyjemność.

– Chciałabym też być obecna i przysłuchiwać się rozmowie.

– Nie ma potrzeby, żeby pani tam była.

– Niemniej chcę. Chcę sama usłyszeć, co proponuje kompania, a poza tym w razie konieczności mogę być dodatkowym świadkiem.

Gabriel skrzywił się jeszcze bardziej.

– A co z Gerrardem? Skoro chce pani zachować anonimowość, z pewnością nie będzie pani zależało na tym, żeby wiedział o pani istnieniu. Potrafię uszanować życzenie pani i nie będę próbować ustalić jej tożsamości, ale Gerrard ma zaledwie osiemnaście lat i oko artysty.

Zatrzymała się.

– Nie wie, że prowadzi pan śledztwo na moją prośbę?

– Badałem już niejedną kompanię wyłącznie z własnych pobudek, więc nie było potrzeby podawania jakiegoś szczególnego

uzasadnienia, dlaczego zainteresowałem się Środkowo-Wschodnią Afrykańską Kompanią Złota. Zwłaszcza że stoi za nią Crowley.

Zamilkła. Niemal słyszał, jak myśli przetaczają się przez jej głowę.

– Czy pan Debbington faktycznie zamieszka w Hotelu Burlington?

– Nie. Zjawi się na pół godziny przed rozpoczęciem spotkania.

– Bardzo dobrze. Przybędę przed nim. Rozumiem, że będzie pan tam już?

Gabriel zacisnął usta.

– Tak, ale...

– Ani ja, ani moja tożsamość nie są narażone na niebezpieczeństwo, jeśli przed przyjściem pana Debbingtona ukryję się w sypialni, posłucham propozycji, a potem odczekam, aż wszyscy wyjdą, żeby opuścić apartament.

Gabriel wbił wzrok w jej przesłonięte welonem oczy.

– Nie mogę pojąć, czemu chce pani tak bezsensownie ryzykować...

– Nalegam.

Uniosła władczo brodę i zwarła się z nim spojrzeniem. Przedłużał tę chwilę, aby w końcu niechętnie ustąpić.

– No dobrze. Będzie pani musiała zjawić się w hotelu Burlington nie później niż o dziewiątej.

Wyczuł, że ogarnęło ją uczucie triumfu. Sądziła, że wygrała rundę. Z pewnością pod maską promieniała.

– Pożegnam pana teraz. – Cofnęła rękę i spojrzała za siebie.

Pobiegł oczami za jej wzrokiem i dostrzegł mały czarny powóz, najpewniej ten sam, który odwiózł go do domu z Lincoln's Inn, stojący tuż za rogiem.

– Odprowadzę panią. – Nim zdążyła mrugnąć okiem, pochwycił jej rękę i oparł sobie na ramieniu.

Zawahała się, po czym zgodziła się nieco sztywno.

Kiedy się zbliżyli, Gabriel dokładnie przyjrzał się powozowi – był mały, czarny, bez żadnych ozdób, podobny do większości

powozów w stolicy. W celu zapewnienia dyskrecji właścicielom, powozy takie nie miały żadnych emblematów, żadnych szczegółów wykończenia, po których można by je było zidentyfikować.

Konie były zupełnie zwyczajne. Rzucił okiem na pochylonego woźnicę. Mężczyzna miał na sobie gruby płaszcz i zwykłe spodnie, żadnej liberii.

Hrabina pomyślała o wszystkim.

Otworzył drzwiczki i pomógł jej wsiąść. Zatrzymała się na stopniu.

– Do zobaczenia jutro o dziewiątej wieczorem.

– Dobrze. – Na chwilę przytrzymał jej spojrzenie. – Zostawię portierowi informację, żeby zaprowadził panią do apartamentu. – Odsunął się, zamknął drzwiczki powozu i stał, przyglądając się, jak odjeżdża.

Dopiero gdy powóz zniknął za rogiem, pozwolił sobie na uśmiech triumfu.

\* \* \*

Za pięć dziesiątą zastukała do drzwi najlepszego apartamentu w hotelu Burlington, gdzie czekał na nią. Otworzył jej i cofnął się, starając się nie uśmiechać zbyt szeroko, gdy przemknęła obok niego, oczywiście zawoalowana i okryta peleryną.

Zamknął drzwi i przyglądał się, jak hrabina rozgląda się po pokoju oświetlonym przez dwie lampy. Wokół niskiego stolika, znajdującego się przed kominkiem, ustawiono dwa wygodne fotele i kanapę. Okna zasłonięte były ciężkimi zasłonami. Płomienie tańczące na palenisku stwarzały przytulny nastrój. Obok jednego fotela stał dobrze zaopatrzony barek.

– Kiedy przybędzie pan Debbington?

Gabriel spojrzął na stojący na kominku zegar.

– Niedługo. – Wskazał głową drzwi obok kominka. – Może chciałaby pani obejrzeć nasze stanowisko?

Hrabina zatrzymała się w progu i rozejrzała.

– O tak. Doskonale.

Gabriel również tak uważał. W niemal jaskiniowym mroku, powstałym dzięki ciężkim zasłonom, stało ogromne łóżce. Na jego grubym materacu spoczywała duża liczba puchatych poduszek. Gabriel upewnił się już wcześniej, że łóżce odpowiada jego wymaganiom; hrabina nie będzie miała powodów do wykrętów.

Oczywiście hrabina nawet nie zwróciła uwagi na łóżce. Jedyne komentarz, jaki był związany z tym meblem, dotyczył szczeliny znajdującej się pomiędzy jedną z nóg łóżca i wprzymkniętymi drzwiami, umożliwiającej osobie tam ukrytej doskonały widok na fotele przy kominku w salonie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Gabriel napotkał jej pytający wzrok.

– Gerrard. Muszę przeciwyczyć z nim niektóre kwestie. Nie dowie się, że pani tu jest.

Mówił szeptem. Skinęła głową. Zostawił ją i podszedł do drzwi.

Gerrard stał w korytarzu. Wyglądał na dobrze ułożonego, dobrodusznego człowieka. Tylko pełen nadziei i oczekiwania błysk w oczach zdradzał jego młody wiek.

– Wszystko gotowe?

– Miałem cię zapytać o to samo. – Gabriel zamknął drzwi i wskazał mu ręką fotele przy kominku. – Musimy powtórzyć sobie lekcję.

– Jasne. – Gerrard rozsiadł się wygodnie w fotelu gospodarza. – Nie miałem pojęcia, że tyle trzeba wiedzieć o powierzaniu ludziom pieniędzy.

– Wielu ludzi tego nie wie i właśnie na to liczą typy pokroju Crowleya. – Gabriel podszedł do drugiego fotela. Zawahał się. Zbliżył się do ściany, podniósł krzesło z wysokim oparciem i postawił na wprost Gerrarda. – Lepiej być ostrożnym... – Usiadł.

Poprowadził Gerrarda poprzez gąszcz określeń, zwrotów i sformułowań, używanych powszechnie w rozmowach o interesach. Po dwudziestu minutach skinął głową.

– Dasz radę. – Zerknął na zegar. – Lepiej zacznijmy już rozmawiać szeptem.

Gerrard kiwnął głową. Jego spojrzenie powędrowało ku barkowi. Wstał i nalał sobie odrobinę brandy, po czym zakręcił szklaneczką tak, aby zwilżone ścianki sprawiały wrażenie, iż na początku trunku było więcej. Kiedy siadał z powrotem, ze szklaneczką w dłoni, napotkał spojrzenie Gabriela.

– Zaproponuję im coś do picia, co o tym myślisz?

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Gabriel podniósł się, ruchem ręki powstrzymał Gerrarda, bezszelestnie odstawił krzesło z powrotem na miejsce pod ścianę. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na miejsce akcji, podszedł ku drzwiom sypialni i pograżył się w ciemnościach.

Gerrard odstawił szklaneczkę, wstał, wyprostował ramiona i zbliżył się do drzwi. Otworzył je i wyjrzał.

– Tak?

– Chyba nas pan oczekuje. – Głęboki, dudniący głos za przymkniętymi drzwiami sypialni słychać było wyraźnie. – Jesteśmy przedstawicielami Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota.

Gabriel zajął miejsce za hrabiną. W mrocznej sypialni wyglądała jak cień. Przesłoniętą welonem twarz oświetlało słabe światło, przesączające się przez szparę w drzwiach. Stojący obok niej Gabriel obserwował Gerrarda, swobodnie witającego się z gośćmi.

Po powitalnych uściskach dłoni Gerrard wskazał obu mężczyznom kanapę.

– Może usiądziecie, panowie.

Gabriel walczył, żeby nie zwracać uwagi na zapach perfum hrabiny i się skoncentrować. Crowleya widział pierwszy raz. Choć słyszał jedynie wymieniane nazwiska, nie miał wątpliwości, który z dwóch mężczyzn jest Crowleyem. Porównując go z Gerrardem, Gabriel ocenił, że może mieć jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Sto osiemdziesiąt centymetrów masy mięśni. Z Crowleya można by wykroić dwóch Gerrardów. Krzaczaste, mocno zarysowane, ciemne brwi ocieniały głęboko osadzone oczy. Miał mięsistą twarz o pospolitych rysach i



grube czarne włosy, otaczające wielką głowę.

Ta głowa zdawała się wyrastać bezpośrednio ze zwalistych ramion. Ręce były równie umięśnione jak nogi. Miał szeroką klatkę piersiową i wyglądał na silnego jak byk. Jediną słabością Crowleya, jaką Gabriel był w stanie zauważyć, był ociężały, pozbawiony elastyczności jego sposób poruszania się. Gdy Gerrard zaoferował coś do picia w chwili, gdy Crowley siadał na kanapie, ten musiał obrócić nie głowę, ale całe ciało, żeby odpowiedzieć.

Biła od niego prymitywna energia, czająca się w bystrych oczach i w sile mięśni.

Niektóre kobiety mogłyby to uznać za atrakcyjne.

Gabriel spojrzał na hrabinę. Jej uwagę przykuły wydarzenia rozgrywające się w saloniku. Gabriel odwrócił się i zobaczył Crowleya rozpartego na kanapie, kompletnie rozprężonego po pierwszym kontakcie z Gerrardem. Jego wyraz twarzy przypominał Gabrielowi wygląd kota, zamierzającego pobawić się z myszą. Z oczu oszusta wyzierało oczekiwanie na zadanie śmiertelnego ciosu.

Wspaniale udający tępaka Gerrard rozmawiał przyjacielsko z drugim mężczyzną, nie patrząc na twarz Crowleya. Lecz nie mógł być nieświadomy potencjalnego zagrożenia, jakie ten stanowił. Szacunek Gabriela dla Gerrarda wzrósł, gdy młodzieniec z całkowicie naturalną niewinnością zwrócił się do Crowleya.

Podczas gdy Gerrard zajął Crowleya banalną rozmową, pytając o podstawowe zasady działania kompanii, Gabriel przyglądał się drugiemu mężczyźnie, agentowi kompanii, Swalesowi.

Był przeciętny pod każdym względem – średniego wzrostu, średniej budowy, o niczym niewyróżniającym się kolorze włosów i oczu. Jego rysy twarzy trudno byłoby odróżnić od twarzy tysięcy innych mężczyzn. Ubrany był także dość anonimowo. Jediną szczególną cechą Swalesa były wiecznie rozbiegane, niespokojne oczy, a łagodny wyraz jego twarzy sprawiał wrażenie maski. Nawet teraz, choć w pokoju nie było nikogo poza Gerrardem i Crowleym, spojrzenie Swalesa stale wędrowało to tu, to tam.

Crowley był drapieżnikiem, a Swales padlinożercą.

– Rozumiem – skinął głową Gerrard. – Mówi pan więc, że te złoża złota są w południowej Afryce?

– Nie w południowej. – Crowley uśmiechnął się z wyższością. – Znajdują się w środkowej części kontynentu.

Dlatego właśnie w nazwie mamy człon „Środkowo-Wschodnia”.

– Och. – Twarz Gerrarda się rozjaśniła. – Teraz rozumiem. A w jakim kraju?

– W grę wchodzi kilka krajów.

Gabriel słuchał, od czasu do czasu sztywniejąc, gdy Gerrard zręcznie starał się coś wysondować. Brat Patience posiadał jednak niezaprzeczoną dar naciskania do pewnego momentu, po czym wyślizgiwania się jednym nieznaczącym zdaniem, świadczącym o całkowitej ignorancji, zanim Crowley zaczynał coś podejrzewać. Gerrard mistrzowsko rozgrywał swoją partię.

Hrabina była przejęta w niemiejszym stopniu. Zamierała dokładnie w tych samych momentach co on, rozluźniała się, gdy Gerrard kolejny raz przechytrzał Crowleya. To właśnie Crowley dawał się schwytać na przynętę, a nie Gerrard.

Po godzinie spotkania, kiedy Gerrard w końcu pozwolił, by Swales pokazał mu skrypt dłużny, usłyszeli wszystko, co mieli nadzieję usłyszeć z ust samego Crowleya. Wymienił miejsca, gdzie miały się znajdować trzy kopalnie należące do kompanii, oraz nazwy miast, w których kompania rzekomo wzniosła budynki i werbowała siłę roboczą. Rzucił garść nazwisk afrykańskich urzędników, uwierzytelniających działalność kompanii, i afrykańskich przywódców, od których otrzymano pozwolenie prowadzenia prac. Subtelnie zachęcony podał też mnóstwo liczb, dzięki którym Montague będzie miał zajęcie przynajmniej przez tydzień. Dwukrotnie wspominał też, że kompania jest bliska następnej fazy rozwoju.

Dowiedzieli się więc, czego chcieli. Gabriel czuł się wyczerpany ciągłym wzrostem i spadkiem bezsilnego napięcia. Hrabina także była zmęczona. Tymczasem Gerrard kwitł. Crowley i Swales uznali to za entuzjazm. Gabriel wiedział, że był to wyraz

tłumionego podniecenia z powodu odniesionego triumfu.

– Jak więc pan widzi... – Swales nachylił się bliżej ku Gerrardowi, wskazując na dolną część weksła, rozłożonego na kolanach Gerrarda – ...jeśli tylko pan tutaj podpisze, wszystko będzie załatwione.

– O tak! Hura! – Gerrard zaczął składać dokument. – Gdy tylko mi go podpiszą, wszyscy będziemy szczęśliwi, prawda? – Posłał uśmiech Crowleyowi i Swalesowi.

Momentalnie zapadła cisza, którą przerwał Crowley.

– Gdy tylko podpiszą? Dlaczego nie może go pan podpisać od razu?

Gerrard patrzył na niego, jak na lunatyka.

– Ależ... mój drogi panie, nie mogę podpisać. Jestem nieletni. – Cisnąwszy tę bombę, przeniósł wzrok z Crowleya na Swalesa i z powrotem. – Nie wiedzieliście, panowie?

Twarz Crowleya pociemniała.

– Nie. Nie wiedzieliśmy. – Wyciągnął rękę po weksel.

Gerrard uśmiechnął się, nie wypuszczając dokumentu.

– Przecież nie ma powodu do zmartwienia. Moim opiekunem prawnym jest moja siostra, która robi, co tylko jej powiem. Bo niby czemu miałyby się opierać? Zostawia mi sprawy interesów, bo sama nie ma do nich głowy.

Crowley zawahał się, z oczami nieruchomo utkwionymi w niewinnym obliczu Gerrarda. Wreszcie zadał pytanie.

– Ma pan jeszcze innych opiekunów? Czy oni też muszą złożyć swoje podpisy?

– No cóż, owszem. Tak to zawsze wygląda, jeśli w sprawę zamieszana jest kobieta. Ale mój drugi opiekun to głupi, stary przyk, udający ważniaka. To prawnik mojego zmarłego ojca. Mieszka na wsi. Kiedy podpisze moja siostra, on też to robi, i wszystko będzie w idealnym porządku.

Crowley zerknął na Swalesa, który wzruszył ramionami, po czym znów zerknął na Gerrarda i skinął głową.

– Zgoda. – Wstał, powoli dźwigając swoje cielsko z kanapy. Gerrard z młodzieńczą łatwością i elegancją wyciągnął ku

niemu rękę.

– A więc dobrze. Dopilnuję, żeby sprawa została załatwiona i skrypt został podpisany, po czym natychmiast go dostarczę.

Wymienił uścisk dłoni z Crowleyem, a potem ze Swalesem, po czym odprowadził ich do drzwi. Przed wyjściem Crowley przystanął. Gabriel i hrabina przesunęli się, żeby nie tracić sceny z oczu.

– Kiedy więc możemy się spodziewać weksła z powrotem?

Gerrard uśmiechnął się uśmiechem będącym kwintesencją myślowej pustki.

– Och, sądzę, że za parę tygodni.

– Tygodni! – twarz Crowleya ponownie pociemniała.

Gerrard zamrugął.

– No tak. Czyżbym nie wspomniał o tym wcześniej? Stary prawnik ojca mieszka w Derbyshire.

Ponieważ Crowley nie przestawał przyglądać mu się spod łba, Gerrard uniósł brwi, przybierając wyraz twarzy dziecka, które obawia się, że za chwilę zostanie mu odebrana obiecana zabawka.

– O co chodzi? Chyba nie ma takiego pośpiechu?

Crowley uważnie przyjrzał się twarzy młodzieńca.

– Jak wspomniałem, kompania jest w przededniu następnej fazy operacji. Kiedy ją rozpoczniemy, nie będziemy przyjmować więcej skryptów dłużnych. Jeśli zależy panu na udziale w naszych zyskach, będzie pan musiał uzyskać podpis na wekslu i dostarczyć go nam. Może go pan przysłać na adres Thurlowa i Browna, do Lincoln's Inn.

– Ale jeśli nie zrobi pan tego szybko, straci pan szansę – dodał Swales.

– Nie ma takiej możliwości! Już jutro skłonię moją siostrę do złożenia podpisu. Jeśli pošlę dokument umyślnym, będzie tu z powrotem, zanim się obejrzymy.

– Proszę tego dopilnować. – Crowley obrzucił go groźnym spojrzeniem, po czym podszedł do drzwi i otworzył je.

Swales wyszedł za nim na korytarz. Gerrard stanął na progu.

– Dziękuję, panowie, i do zobaczenia.

Dudniące słowa pożegnania, wypowiedziane przez Crowleya, zagłuszyły odpowiedź Swalesa.

Gerrard stał w drzwiach, przyglądając się z głupawym uśmiechem, jak odchodzą. Potem cofnął się do pokoju, zamknął za sobą drzwi i pozwolił masce opaść.

Gabriel zacisnął dłonie na ramionach hrabiny. Przechyliła się ku niemu do tyłu i przez jedną cudowną chwilę przytuliła się do niego pieszczotliwie, od ramion aż po uda. Nagle opamiętała się i zeszywniała. Uśmiechając się w ciemnościach, Gabriel ścisnął jej ramiona, po czym cofnął dłonie. Pozostawił ją w sypialni, sam zaś udał się do Gerrarda.

Kiedy młodzieniec odwrócił się do niego twarzą, Gabriel przyłożył palec do ust. Gerrard posłusznie się nie odzywał. Obaj czekali, nasłuchując. Wreszcie Gabriel dał znak Gerrardowi, żeby otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz.

Gerrard wykonał polecenie, po czym cofnął się i zamknął drzwi.

– Poszli.

Gabriel skinął głową, nie spuszczając wzroku z twarzy Gerrarda.

– Świetna robota.

Gerrard się uśmiechnął.

– To było najdłuższe przedstawienie, w jakim brałem udział, ale Crowley chyba niczego nie podejrzewał.

– Jestem pewien, że nie. Gdyby coś podejrzewał, ograniczyłby się do zdawkowych grzeczności. – Gabriel podszedł do stojącego przy oknie sekretarzyka i wziął papier i pióro. – A teraz ostatni etap. Musimy spisać wszystko, co słyszeliśmy, i podpisać się, z datą.

Gerrard przysunął krzesło. Wspólnie przypomnieli sobie rozmowę, wynotowali nazwiska, miejsca i sumy. Obdarzony doskonałą pamięcią Gerrard potrafił odtworzyć wymianę zdań, weryfikując wspomnienia Gabriela i dodając rozmaite informacje. Minęła cała godzina, zanim zakończyli.

Gabriel oderwał się od sekretarzyka.

– Mamy teraz wiele do sprawdzenia, więcej niż potrzeba do udowodnienia oszustwa. – Zerknął na Gerrarda, który właśnie ziewał. – Teraz jednak przyszła pora, żebyś zbierał się do domu.

Gerrard uśmiechnął się i wstał.

– Aktorstwo to ciężka praca. A ponadto jutro wybieram się z przyjaciółmi do Brighton, więc chyba rzeczywiście już pójdę.

Gabriel podszedł z Gerrardem do drzwi. Gerrard zatrzymał się przy kanapie.

– Proszę, weź lepiej i to.

– Masz rację. – Gabriel wziął od niego złożony skrypt dłużny. – To niezbędny dowód, że ta rozmowa w ogóle miała miejsce.

Przy drzwiach Gerrard się obejrzał.

– Idziesz?

Gabriel wsunął weksel i notatki z przebiegu rozmowy do wewnętrznej kieszeni żakietu i potrząsnął przecząco głową.

– Jeszcze nie. Nie powinniśmy być widziani razem. Idź pierwszy, ja wyjdę niedługo po tobie. Duggan czeka na ciebie, prawda?

Duggan był stajennym Vane’a.

Gerrard skinął głową.

– Odwiezie mnie z powrotem na Curzon Street. Daj mi znać, co się dzieje.

Uniósł na pożegnanie rękę i opuścił apartament, cicho zamykając za sobą drzwi.

Gabriel zastanowił się chwilę, po czym zasunął zamek. Rozejrzał się po pokoju, podszedł do stojących obok kominka lamp, przykręcił najpierw jedną, potem drugą tak, że pokój pogrążył się w mroku. Zadowolony z rezultatu, skierował się w stronę sypialni, żeby zakończyć wieczorne przedstawienie.

## Rozdział 8

Hrabina nie czekała za drzwiami, lecz siedziała na brzegu łóżka. Wyglądała jak czarny cień, który uniósł się, gdy Gabriel się do niej zbliżył.

– Naprawdę sądzi pan, że w tych miejscowościach, w Kafii, Fangaku i Lodwarze, są wykupione działki górnicze?

– Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby tam cokolwiek było. Może to jakieś miasta czy wioski, ale nie kopalnie. Zresztą sprawdzimy. – Widział ją jedynie jako zwarty cień w mroku. Po przygaszeniu lamp w salonie i tak już dość ciemna sypialnia pograżyła się w jeszcze większych ciemnościach. Musiał więc polegać na pozostałych zmysłach, które mówiły mu, że hrabina nadal była pochłonięta rewelacjami posłyszczanymi z ust Crowleya. – Powiedział nam więcej, niż potrzeba, nie tylko miejsca i nazwiska, ale także kwoty i plany. Wszystko zapisałam. Wystarczy wykazać, że chociaż niektóre z tych twierdzeń są nieprawdziwe, a zobowiązania wobec kompanii zostaną uznane za nieważne. Jednak niełatwo będzie udowodnić, co naprawdę się dzieje w głębi afrykańskiego lądu. Czy zna pan któreś z miejsc wymienionych przez Crowleya?

– Nie, ale w Londynie musi się znaleźć ktoś, kto będzie wiedział.

– Stwierdził też, że są bliscy rozpoczęcia kolejnej fazy. To chyba jego sposób oświadczenia, że niedługo zamierzają wezwać inwestorów do wpłacenia zadeklarowanych sum.

– Chyba jeszcze nie jest na tym etapie. Jeśli nic niezwykłego się nie wydarzy, poczeka, by się przekonać, ilu jeszcze łatwowiernych dżentelmenów, którzy przybyli na sezon do Londynu z okolicznych hrabstw, uda mu się złowić w swoją sieć.

Zapadła cisza. Wyraźnie wyczuwał targający nią niepokój. Podeszedł bliżej.

– Wydostanie z niego tylu szczegółów to znaczący sukces.

– O tak! – Uniosła wzrok. – Pan Debbington był wspaniały.

– A co pani powie o szarej eminencji ukrytej za sceną?

Wiedział dokładnie, w którym momencie dotarło do niej, że znalazła się z nim sam na sam w ciemnej sypialni, niespełna metr od ogromnego łoża. Wyprostowała się, wyżej uniosła głowę i jakby zeszywniała.

– Był pan... bardzo pomysłowy.

Otoczył ją ramieniem w talii.

– Zamierzam wykazać się jeszcze większą inicjatywą.

Przyciągnął ją do siebie. Po króciutkiej chwili oporu pozwoliła mu na to, przytulając się do niego całym ciałem, jakby jej miejsce było w jego objęciach.

– Odniosł pan sukces...

– Byłem wspaniały. – Natrafił na brzeg welonu. Uniósł go powoli. Całkowicie. Wstrzymała oddech i podniosła rękę, zawahała się... ale pozwoliła mu na to. W pokoju było tak ciemno, że nie miał szans dostrzec jej rysów. Wtedy pochylił głowę i opadł ustami na czekające na niego wargi.

Czekające, stęsknione, gotowe zapłacić każdą cenę... Wiedział, że nie miała pojęcia, jak wielką wartość miał dla niego brak z jej strony jakiegokolwiek fałszu, jak cenił jej otwartą szczodrość, sposób, w jaki oddawała mu swoje wargi, w jaki przywierała do niego, wtulała się weń. Jak dawała bez ograniczeń.

W jej dawaniu kryła się ogromna siła. Jak uprzednio, również teraz owładnęła nim, zniewoliła. Musiał dostać więcej, musiał poznać ją lepiej. Jego palce odnalazły wiązanie peleryny. Chwilę później peleryna zsunęła się z ramion hrabiny i opadła na podłogę u ich stóp. Wpięta we włosy wygięta spinka mocowała welon. Wsunął rękę pod welon i napotkał ciężką masę włosów upiętych nad karkiem. Delikatne niczym jedwab, nieświadomie pieściły grzbiet jego dłoni. Spinki, jedna po drugiej, zaczęły spadać na podłogę i włosy spłynęły na jego obie ręce – tę, którą opierał na jej karku, i tę, którą ją obejmował w talii. Miała długie i tak bardzo miękkie włosy. Pochwycił w palce ich pasemko i zaczął się nim bawić, zniewolony ich dotykiem.

Spostrzegł, że ma urywany oddech. Zacisnął palce we włosach i odchylił jej głowę do tyłu, odsłaniając szyję. W



zupelnych ciemnościach, na oślep przesunął wargi wzdłuż gibkiej linii i odnalazł miejsce, gdzie uderzał pospiesznie jej gorący puls. Hrabina wsunęła palce pomiędzy jego włosy, które opadły mu na czoło, gdy wzmacnił uścisk i zacisnął dłonie na piersiach kobiety.

Wypełniły mu dłonie, błagając o jego uwagę. Pocałował ją. Oddała mu pocałunek, chciwie, zachłannie, głodna. Jęknęła, czując koliste ruchy jego kciuków wokół brodawek. Bez zastanowienia popchnął ją delikatnie do tyłu, aż znalazła się przy ścianie.

Usiłował otrząsnąć się, rozproszyc opary żądz.

Później.

Więząc jej usta, przygniótł ją do ściany i odnalazł sznurówki przy sukni.

Nie był w stanie myśleć, planować, chociaż tak bardzo próbował. Ostatnio rzadko oddawał się uwodzeniu, a już zwłaszcza uwodzeniu kogoś, kim był szczególnie zainteresowany, bez jakiegoś planu, bez zastanowienia się, co może najlepiej zadziałać, jakie są najbardziej prawdopodobne możliwości, jakie środki mogą przynieść najlepsze rezultaty. Myśląc o hrabinie, nie potrafił wyjść poza rozważania o tym, że chce jej dotknąć, chce ją poznać.

Zdumiewająco proste, a jednocześnie zaskakująco pilne potrzeby w przypadku takiego kochanka jak on.

W jednej chwili rozwiązał sznurówki przy jej sukni. Wykorzystując ciężar swojego ciała, unieruchomił hrabinę, uniósł ręce i wyswobodził włosy z jej palców. Opuścił jej ręce w dół i znów zaczął ją całować. Chłonąc pocałunki, siał spustoszenie wśród jego oszalałych zmysłów. Na chwilę całkowicie utracił rozum i po prostu egzystował, zniewolony, dopóki napór gorących piersi kobiecych na jego tors nie przypomniał mu o jego pilnych potrzebach.

Musiał jej dotknąć, pieścić, czuć. Skoro nie pozwalała się oglądać, musiał ją poznać przez dotyk, czując tuż przy sobie nagą, gorącą skórę. Bez welonów, peleryn i innych barier pomiędzy nimi.

Musiał ją poznać.

Puścił ręce hrabiny, chwycił za ramiona i prędko pociągnął w

dół suknię, zręcznie odsłaniając jej piersi. Wyczuł jej wahanie, drzenie niepewności, jakie ją ogarnęło. Wiążąc usta, skupiając jej uwagę na palącym pocałunku, ściągnął suknię do talii i ujął w dłonie piersi, przesłonięte teraz jedynie cienką jedwabną koszulą. Wahanie hrabiny gdzieś uleciało. Ujęła twarz Gabriela w obie dłonie i oddała mu pocałunek równie gwałtowny. Pod jedwabną koszulą skóra paliła ją żywym ogniem. Nabrzmiące wzgórki piersi zwieńczone były sterczącymi brodawkami, twardymi niczym kamyki. Koszulę hrabiny zapinał rząd maleńkich guziczków. Zręcznie sobie z nimi poradził. Cierpiał zeszywniały z pożądania. Jednak bardziej niż wszystko inne pragnął smakować każdą chwilę, każdą odsłonę. Każdy obnażony fragment kobiecego ciała.

Miała rozkoszne piersi. Pełne i jędrne wypełniały mu dłonie. Rozsunął rozpiętą koszulę i zaczął je masować. Usłyszał, jak jęczy. Ten dźwięk spowodował kolejny, niepotrzebny przypływ krwi do lędźwi. Oderwał usta od warg hrabiny, opuścił głowę i począł składać pocałunki na jej szyi, obojczykach. To była uczta.

Hrabina jęczała, oddychała ciężko, a nawet szeptała jego imię, gdy ją smakował, lizał i ssał. Wciągnął jeden wzgórek piersi głęboko w usta. Krzyknęła. Ugięły się pod nią kolana. Pochylił się nad nią. Gdy zarzuciła mu ręce na ramiona, otoczyła go miękkość i poruszający niczym grzech zapach jej perfum. Przesunął ręce w dół, wzdłuż krzywizny smukłego ciała. Gdy przycisnął ją do ściany, jej twarde, sterczące brodawki były płomiennymi punktami otoczonymi ogniem trawiącym jej piersi. Przywarła biodrami do jego bioder. Niewiele myśląc, chwycił w obie dłonie fałdy sukni i ściągnął ją.

Hrabina była niczym gorący, miękki jedwab, pełen życia, zachwycający. Jej niemal gołe nogi zmysłowo ocierały się o niego. Jeśli kiedykolwiek marzył o hurysie, oto miał ją właśnie teraz w ramionach, dojrzałą, prawie nagą, gotową wypełnić każde jego żądanie. Nie mógł złapać tchu. Żądza ścisnęła mu trzewia żelaznym uchwytem, pozbawiła zdolności logicznego myślenia. Wsunął dłonie pod brzeg jej koszuli i zacisnął je zachłannie na wzniesieniach pośladków. Jej pocałunki stały się gorętsze, słodsze,

bardziej uderzające do głowy. Smakowała jak eliksir bogów.

Dźwignęła się do góry, mocniej otaczając rękami jego ramiona. Wsunął jedną nogę pomiędzy jej uda. Wydała nieskładny pomruk, który zagubił się gdzieś pomiędzy ich ustami.

Balansowała na czubkach palców. Gabriel zmienił pozycję i puściwszy jej rozkoszne pośladki, przesunął dłonie do przodu, pieszcząc słodkie zagłębienie, gdzie biodro stykało się z udem. Natrafił kciukami na miejsce, gdzie zginały się uda i, lekko naciskając, począł wędrować ku ich wewnętrznej stronie.

Gdy dotarł palcami do jej jedwabistych loczków, zaczęła szybko oddychać, a ich pocałunek stał się rozpaczliwy. Przebierał palcami, drażniąc się z nią, sam udręczony, a potem znów zawładnął ustami hrabiny, przesunął jedną dłoń w górę i rozłożył palce na delikatnej skórze jej brzucha, pieszcząc i ugniatając. Niemal równocześnie pozwolił palcom drugiej dłoni przemieścić się w dół, łagodnie naciskając i poszukując najgorętszego miejsca.

Gdyby jej nie całował, na pewno wstrzymałaby oddech. Była gładka, obrzmiała i gorąca. Jej prężne piersi napierały na jego tors. Łagodnie przesuwając palce, gładził ją, uspokajał, żeby zaraz pozwolić sobie na kolejną śmiałość. Wyczuwał, że taka intymna bliskość była jej obca. Jej zmarły mąż musiał być gamoniem. Ale teraz hrabina rozkwitała dla niego. Jej nektar parzył mu palce.

Zadygotała i odchyliła głowę, mocno wpijając się palcami w jego ramiona. Pozwolił jej przerwać pocałunek i złapać urywany oddech, po czym powoli sięgnął głębiej i ponownie okrążył palcem jej słodki otwór...

Ogarnęło ją drzenie. Pytał ją o coś i zrozumiała jego pytanie. Po krótkiej chwili wahania zgięła kolano i oplotła szczupłą łydką jego nogę. Otworzyła się przed nim.

Jedyną rzeczą, o jakiej udało mu się nie zapomnieć, była myśl, że nigdy jeszcze nikt jej nie zaspokajał w ten sposób. Wsuwał więc powoli palec w głąb jej ciała, pozwalając, by odczuwała nawet najmniejszą zmianę. Była coraz bardziej rozpalona. Nie zdziwiło go też, że była bardzo wąska. Jej intymne doświadczenia musiały być naprawdę niezwykle skąpe. Zacisnęła

się wokół jego palca, na swoim uchu czuł jej przerywany oddech. Odwrócił głowę, odnalazł jej usta i począł ją uspokajać długim, powolnym pocałunkiem. Kiedy cofnął palec, instynktownie naparła na niego wargami, prosząc o więcej. Ustąpił, trzymając na wodzy swoje żądze, zagłuszając pragnienie, żeby ją osiąść pospiesznie i żarłocznie. Był na tyle doświadczonej kochankiem, że wiedział, co jest dla niej najlepsze. Nie odrywając ust od jej warg, dodając jej pewności, odciągając jej uwagę, a jednocześnie podniecając, przystąpił do pokazania jej, jak może być.

Kiedy palce hrabiny głęboko wbiły mu się w ramiona, kiedy odepchnęła się od niego, przerywając pocałunek, kiedy jej ciało rozedrgało się, rozanielone, poczuł się jak zdobywca, zwycięski, triumfujący, trzymający zdobycz w swoich ramionach. Wybuch jej namiętności omywał go falami gorąca i czystej rozkoszy. Wydawane przez hrabinę ciche jęki spełnienia i pożądania, muśnięcia nierównego oddechu na policzku, szalone bicie jej serca, znajdującego się tak blisko jego serca, piźmowa woń zmieszana z zapachem perfum – wszystko to skłaniało go do dalszego działania.

Była gotowa, on zaś rozpaczliwie spragniony.

Parę sekund zajęło mu zrzucenie ubrania, podciągnięcie na wysokość bioder nogi hrabiny, którą oplatała jego kolano, wysunięcie palców z jej gorącej wilgoci i umieszczenie wzniesionej męskości u wejścia do jej ciała. Chwycił ją za biodra, opadł wargami na jej usta i wtargnął w głąb jej ust i w głąb jej ciała.

Krzyknęła.

Jej krzyk, uwięziony pomiędzy ich wargami, rozległ się echem w jego głowie. Potem hrabina zamarła.

Głośno odetchnął, przerywając pocałunek, ponuro walcząc o odzyskanie panowania nad sobą. To było niemożliwe. A jednak. Szok przywrócił mu przynajmniej część zdrowego rozsądku. W ułamku sekundy, podczas którego balansował na krawędzi szaleństwa, udało mu się zablokować doznania fizyczne na tyle długo, by móc zadać pytanie:

– Jak?...

Ledwie starczyło mu powietrza w płucach, żeby sformułować słowo, ale jej twarz znajdowała się tak blisko jego ust, że go usłyszała.

– Ja...

Była chyba równie zszokowana jak on, choć z zupełnie innego powodu. Mógł to zrozumieć. Jeśli to był jej pierwszy raz... tkwił zagłębiony w jej ciało.

Zaczerpnęła powietrza. Urywaniem szeptem mówiła:

– Wyszłam za mąż jako dziecko. Mój mąż... był znacznie starszy ode mnie. I chory. Nie był w stanie... – Rozluźniła uchwyt palców na jego ramieniu, żeby podkreślić słowa gestem ręki. Ruch spowodował, że przesunęła się – i wstrzymała oddech.

– Ciii. Spokojnie. – Odnalazł jej usta i zaczął ją całować uspokajająco, jednocześnie usiłując zrozumieć sytuację. Poślubiona jako dziecko, pozostała dziewicą przy starym mężu. Niewątpliwie zdarzały się takie sytuacje, ale nigdy jeszcze nie przytrafiło mu się spotkanie z taką osobą. Jednak jej niespodziewana niewinność postawiła przed nim najważniejsze pytanie. Czy hrabina wiedziała, że będzie chciał...?

Wiele wysiłku i maksymalnej siły woli wymagało od niego zmuszenie się do zadania pytania:

– Czy chcesz, żebym przestał?

Tylko tyle był w stanie z siebie wydusić w sytuacji, gdy, gorąca i wilgotna, była zaciśnięta wokół niego.

Długo czekał na odpowiedź. Z zaciśniętymi zębami i napiętymi mięśniami walczył z żądzą. Resztkami zdrowego rozsądku bronił się przed urokiem bujnego ciała, które trzymał w ramionach. Był tak bardzo świadom jej oddechu, że rozpoznał moment, kiedy podjęła decyzję i głęboko wciągnęła powietrze, żeby ją ogłosić.

Przygotował się na to, żeby ją przyjąć, jednocześnie modląc się.

Potrząsnęła głową.

– Nie.

Gwałtownie wypuścił powietrze.

– Dzięki Bogu.

– Co...?

Pocałował ją mocno, uspokajająco, po czym uniósł głowę.

– Nie myśl, tylko rób to, co powiem. – Zawahał się, po raz setny żałując, że nic nie widzi, a następnie dodał: – Już niedługo będzie ci dużo przyjemniej. – Mógł się jedynie domyślać, co czuła. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni kochał się z dziewczyną. Hrabina nadal była bardzo napięta, każdy jej mięsień poniżej talii był naprężony. Może nawet odczuwała ból.

Najprostszym rozwiązaniem byłoby wycofanie się i przeniesienie na łóżko. Niestety, przy jej zaciśniętych mięśniach wycofanie się z wnętrza jej ciała mogłoby zwiększyć ból. Jednak łóżko było niezbędne.

– Podnieś drugą nogę i obejmij mnie nią w pasie.

Podtrzymam cię. – Widząc jej wahanie, musnął wargami jej usta. – Zaufaj mi. Zaniosę cię do łóżka.

Wstrzymała oddech i uniosła nogę. Poczwała się pewniej, kiedy przejął na siebie jej ciężar. Zaciskając wokół niego nogi i otaczając rękami jego szyję, żeby nie stracić równowagi, podciągnęła się do góry.

Chwycił ją za biodra.

– Wystarczy. – Z trudem zwalczając impuls, żeby na powrót w niej się zanurzyć, odwrócił się i przeniósł ją parę kroków do łóżka. Położył ją ostrożnie tak, żeby jej biodra znalazły się niedaleko brzegu łoża. Tak jak się spodziewał, rozluźniła się nieco, czując pod sobą twardy materac. Rozluźniła się na tyle, że był w stanie wycofać się z niej odrobinę, gdy się prostował, nie do końca, ale tak, że mógł pochylić się nad nią, cały ciężar ciała opierając na splecionych wokół niej ramionach.

Nie wykonując najmniejszego ruchu biodrami, odnalazł jej twarz i odgarnął pajęczynę miękkich włosów, które opadły jej na policzek. Jej welon był nadal na swoim miejscu, odsunięty na bok. Pozostawił go tak. Pewnego dnia, kiedy będzie gotowa mu zaufać i zdradzić, jak się nazywa, zdejmie dla niego tę zasłonę. Teraz

zawierzyła mu swoje ciało i na tę noc to wystarczy.

\* \* \*

Ujął ją pod brodę, pochylił się bardziej i pocałował. Przez chwilę leżała biernie, po czym odpowiedziała. Gdy zaczęła go całować z pasją, wygiął biodra i ponownie wtargnął w jej ciało, wypełnił ją sobą, rozciągając ją jeszcze bardziej niż poprzednio. Gwałtownie wciągnęła powietrze i zeszywniała, ale po chwili się rozluźniła. Cofnął się i znów naparł, a potem zaczął powtarzać te ruchy, spokojnie, miarowo. Utrzymywał wolne tempo, dopóki nie rozluźniła mięśni, dopóki nie przestała zaciskać nóg wokół jego bioder, dopóki jej palce nie przestały wbijać się w jego ramiona, dopóki jej ciało nie otworzyło się na niego akceptująco i nie zaczęło się poruszać, unosząc się zgodnie z narzuconym przez niego rytmem.

Wycofał się z niej z poczuciem triumfu.

– Nie ruszaj się. Poczekaj.

Zdjął jej po omacku buty. Przesuwając dłońmi w górę długich nóg, napotkał jej podwiązki i ściągnął je wraz z pończochami. Chwilowo postanowił zignorować koszulkę, która utkana była z najdelikatniejszej jedwabnej mgiełki. Potem zrzucił swój surdut. Usłyszał szelest skryptu dłużnego i poczynionych notatek. Cisnął surdut w stronę, gdzie wcześniej widział krzesło. Jego kamizelka i koszula szybko poszły w ślady surduta. Potem ściągnął buty i spodnie.

Lampy w salonie zgasły, panowała nieprzenikniona ciemność. Nie widział jej, jedynie czuł, słyszał, doznawał... Ona również nie mogła go widzieć.

– Co...?

Sięgnął po nią, przesuwając ręce w górę wzdłuż jej boków.

– Zaufaj mi.

Gdy zawisł nad nią, cały ciężar ciała utrzymując na rękach, których dłonie oparł po obu jej bokach, hrabina gwałtownie zacisnęła pięści i jęknęła. Wbił się pomiędzy jej rozłożone szeroko uda i opadł w dół, wypełniając ją. Pochylił głowę w poszukiwaniu

jej ust. Rozdygotanymi rękoma odnalazła twarz Gabriela i po chwili ich wargi się spotkały. Przyjął jej podarunek, kołysząc ją, kołysząc się w niej tak długo, aż znów stała się gotowa, z cudowną gorliwością przyjmując go w głąb.

Nagle z wahaniem dotknęła czubkami palców jego piersi. Było to niczym muśnięcie skrzydeł motyla. Zagryzł wargi i skoncentrował się na utrzymaniu powolnego rytmu ruchów. Gdy jej palce zaczęły błędzić po jego skórze, mięśnie Gabriela zadrżały. Stłumił jęk i wdarł się głębiej.

– Otocz mnie nogami, jak poprzednio.

Posłuchała go natychmiast, zaciskając je wokół bioder mężczyzny.

– Co teraz?

Nie mogła widzieć jego uśmiechu.

– Teraz wybierzemy się na przejażdżkę.

Wybrali się. Razem.

Celowo zaciemnił pokój, żeby uśmierzyć jej obawy, iż mogłaby zdradzić swoją tożsamość. Tym samym, zupełnie nieświadomie, stworzył zmysłową atmosferę, która nie mieściła się w jego dotychczasowych doświadczeniach. Kochanie się w całkowitych ciemnościach potęgowało wrażenia dotykowe i wzmacniało ciche, zmysłowe odgłosy. Kochanie się z kobietą po omacku było nowym, odmiennym przeżyciem.

Był boleśnie świadomy każdego centymetra ciała, którym do siebie przywierali. Słyszał każde wstrzymanie oddechu, każdy cichy odgłos, jaki wydawała. Znał zapach jej perfum, lecz jego umysł zniewoliła inna woń, woń jej skóry. W ciemnościach, spoczywając w jego ramionach, stała się kwintesencją kobiecości, jego hurysą. Była istotą radości i szaleństwa, była ostatecznym wyzwaniem.

Wypełniała mu zmysły, a potęgujące się doznania przyprawiały go o zawrót głowy.

Nigdy jeszcze nie miał kobiety, która by dorównywała hrabinie. Miał tego głęboką świadomość przez cały czas, gdy galopowali przez zmysłowy krajobraz, wspinając się na coraz



wyższe szczyty. Pasowała do niego nie tylko fizycznie, chociaż już samo to było cudem. Przywierała do niego, jęczała, dygotała, po czym wyruszała w dalszą podróż. Towarzyszyła mu bez przerwy, popędzając go, zachęcając, wyzywając i prowokując, radośnie zapraszając do zanurzenia się w zmysłowy wir, w jaki przekształciło się jej ciało. W wir dawania.

Żądał, a ona dawała, nie tylko ze wspaniałomyślnością, ale z dzikim zatraceniem się, które zachwiało jego panowaniem nad sobą. Nie mógł się nią nasycić do końca, pił łapczywie, ale ta studnia nigdy nie wysychała. Dała mu radość i niewyobrażalną rozkosz, a dając otrzymywała to samo w zamian.

Kiedy wreszcie ich przejażdżka dobiegła oszałamiającego końca, po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że znalazł się zupełnie poza realnym światem.

W jego głowie kołatała się tylko jedna myśl: był jej pierwszym mężczyzną.

Był jej jedynym mężczyzną.

Zamknął oczy i pogрузzył się w cudownej błogości.

\* \* \*

Obudziła się powoli, stopniowo odzyskując zmysły i krok po kroku porządkując myśli. Pierwszą rzeczą, którą poczuła, były łyzy. Nie były to łyzy żalu, ale radości, zbyt głębokiej, zbyt intensywnej, by dała się wyrazić słowami.

A więc o to chodziło pomiędzy mężczyzną a kobietą. Na myśl o tym zakręciło jej się rozkosznie w głowie i poczuła przyływ wdzięczności dla Gabriela, który pokazał jej wszystko w tak wspaniały sposób.

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu. Przez wiele lat słyszała, że był ekspertem w tej dziedzinie i teraz mogła to poświadczyć – delikatnym i czułym, przynajmniej w chwili gdy zrozumiał, że robiła to po raz pierwszy.

Była zadowolona. Zadowolona ze zdobytego doświadczenia, zadowolona, że to się stało, a zwłaszcza że stało się z nim.

Chociaż w pomieszczeniu było przez cały czas ciemno i

Gabriel sprawiał wrażenie pieszczącego ją ducha, ani przez chwilę nie miała wątpliwości, że to on.

On. Jej wszystkie zmysły skupione były na nim.

W pierwszej chwili pomyślała, że to nie może natomiast być ona. Miała w ramionach nagiego mężczyznę, z którym stanowiła jedność. Fizycznie zmieniała się na zawsze. Również emocjonalnie: nie mogła zapomnieć, jak wiała się pod nim, wyuzdana, spragniona. Niezaprzeczalnie zmieniała się i już nigdy nie będzie mogła stać się na powrót taką, jaką była wcześniej.

Czekała na pojawienie się wyrzutów sumienia, straszliwych przewidywań, wybuchów hysterii. Nic takiego się nie stało. Nadal była spokojna, pełna nieznanego jej dotąd ciepła, którego istnienia nawet sobie nie wyobrażała. Nie mogła tego żałować.

Nie było w tym niczyjej winy. Nie mogła przecież przewidzieć, co się wydarzy, gdy oboje będą stali pod ścianą. Znowu przypomniały jej się wydarzenia wieczoru – rosnące podniecenie, dreszcz emocji, czysta, niekłamana radość. To teraz, właśnie z nim miała jedyną szansę w życiu, żeby doświadczyć czegoś takiego, poznać prawdziwą tajemnicę kobiety związanej z mężczyzną. Nikogo przecież nie krzywdziła. W jej życiu nie było nikogo, kto mógłby się o tym dowiedzieć. Okoliczności skazały ją na śmierć w staropanieństwie. Co złego mogłoby być w tym jedynym hańsieniu radości? Musi jej wystarczyć na resztę życia.

Chociaż Gabriel znalazł się w głębi jej ciała zanim zorientowała się w jego zamiarach, świetnie wiedziała, co robi, mówiąc mu, żeby nie przestawał. Miała wiele doświadczenia w podejmowaniu decyzji. Wiedziała, jak się czuje człowiek dokonujący właściwego wyboru. Tak właśnie czuła się wówczas.

Nie miała też zwyczaju oglądać się wstecz. Nigdy nie żałowała tego, że wiele lat temu zrezygnowała z towarzyskiego debiutu w Londynie. Teraz też nie będzie żałować tego przeżycia, radości i żądzy, bez względu na to, jakie komplikacje mogą się jeszcze pojawić.

Poczuła, jak wzbiera w niej śmiech. Zdusiła go i spróbowała się obrócić na bok, ale odkryła, że to niemożliwe. Wykonany ruch

spowodował, że ponownie skoncentrowała się na twardym męskim ciele, wgniatającym ją w materac. Dziwne, ale chociaż był masywny, podobał jej się ten ciężar. Choć mogło się to wydawać zdumiewające, wcale nie było jej niewygodnie, wręcz przeciwnie. Ich nogi nadal się splatały. Jedną ręką obejmowała jego ramię, druga spoczywała obok.

Gabriel. Nie mogła zrozumieć. Uciekała myślami od próby wyobrażenia go sobie. W ciemnościach pozostawał po prostu wspaniałym egzemplarzem mężczyzny, któremu ufała tak dalece, iż nawet nie przyszło jej do głowy, że mógłby ją skrzywdzić. Oddała mu się, a on wziął ją, porwał w ramiona i wprowadził w świat rozkoszy, które nadal jeszcze ledwo pojmowała.

Wiedziała jednak, kim jest.

Czy na pewno?

Zmarszczyła brwi i bardzo delikatnie dotknęła jego ramienia. Słyszając nieprzerwany, głęboki oddech, pozwoliła palcom błądzić śladem mocnych kości i smukłych mięśni.

Już wiele lat temu widywała jego nagi tors. Już wówczas fascynował ją ten widok, chociaż wmawiała sobie, że była to z jej strony zwykła ciekawość. Teraz mogła sobie poużywać, pozwalając rękom wędrować i sycąc Gabrielem zmysły.

Rupert?

Nie – Gabriel.

Nagle dotarła do niej rzeczywistość. Pod wieloma względami знаła go tak dobrze, lecz w gruncie rzeczy był człowiekiem, którego spotkała dopiero teraz.

Przekręciła głowę, usiłując spojrzeć na jego twarz, ale pokonały ją ciemności. Świadoma była jedynie jego ciepłego ciężaru, dotyku jego rąk i płynącego przez nią strumienia uczuć, które wywoływały wewnętrzne drzenie. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby złapać oddech, uspokoić się, powrócić do rzeczywistości i pozwolić, żeby marzenia i poczucie szalonej radości zbladły.

Gdyby się dowiedział, kim jest, byłby przerażony. Czemu więc jej instynkt kazał jej głośno krzyczeć, że to było w porządku,

skoro rozum podpowiadał, że wszystko było nie tak?

Kiedy tak leżała, patrząc w ciemność i usiłując uporządkować myśli, Gabriel się poruszył.

Potem się przesunął. Zrozumiała, że odwraca się w jej stronę. Nacisk jego klatki piersiowej zelżał. Nadal czuła jego ciepło. Dopiero po chwili zorientowała się, że opierał się na łokciach.

Przypomniała sobie o welonie. Ogarnięta nagłą paniką zaczęła go szukać... po czym uświadomiła sobie, że jest ciemno. Było tak ciemno, że chociaż jego twarz znajdowała się tuż obok, nie mogła jej dostrzec.

– To była niezła przejażdżka, hrabino.

Jego oddech musnął jej policzek. Usta odnalazły jej wargi i przywarły do nich w długim, powolnym, niezwykle dokładnym pocałunku. Kiedy skończył, mogłaby przysiąc, że się uśmiechał.

– Jak się czujesz?

*Wypełniona.*

– Jestem nadal żywa.

Jakby czytał w myślach, powrócił do jej ust. Kolejny długi pocałunek sprawił, że niemal stanęła w ogniu.

– Jesteś gotowa do następnego galopu? – mruknął.

Naparł na nią i zrozumiała, że on był niewątpliwie gotów. Gdy uniosła biodra, zapraszając go głębiej, doszła do wniosku, że ona również musi być gotowa.

Wtargnął w nią – w głąb jej ust, w głąb jej ciała.

Tym razem się nie spieszył. Poprzednio się hamował, ograniczał. Teraz smakował ją, kołysząc i pieszcząc. Ciepło w głębi jej ciała narastało, niemal roztopiało jej kości. Przerwała pocałunek, żeby zaczerpnąć powietrza. Przesunął usta na jej szyję. Nagle, zaskoczona poczuła, że się z niej wysunął, zostawiając po sobie bolesną pustkę. Gabriel tymczasem przesunął się w dół, leniwie zaciskając wargi wokół jednej piersi.

Pałący ogień zaszokował ją. Wstrzymała oddech, potem odprężyła się, żeby znów napiąć się pod wpływem jego zręcznych manipulacji. Dźwięk, jaki wydała, gdy zajął się jej brodawką, przywiódł jej na myśl kocie miauczenie.

– Spokojnie.  
Słowo kojącym tchnieniem spłynęło na jej rozpalone ciało.  
Usłyszała jego serdeczny śmiech.  
– Ile masz lat?  
Przesunął wargi niżej, w okolice brzucha.  
– Hm... dwadzieścia parę.  
– Hm... – Powędrował niżej, w stronę pępka, pozostawiając gorący ślad na jej skórze. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć.  
– Muszę?  
Wyciągnął dłoń, żeby popieścić jej piersi. Drugą ręką sięgnął do pośladków i ud.  
– O tak.  
Powiedział to bardzo pewnym siebie tonem.  
– Właściwie mogłabyś zaraz rozpocząć naukę.  
Nie wdawała się w dyskusję. Czuła go, poznawała od nowa i było to fascynujące przeżycie. Ten czuły, namiętny uwodziciel objawił kompletnie nowe cechy u mężczyzny, którego, jak sądziła, dobrze знаła. Nigdy dotąd nie spotkała go w roli dorosłego, zmysłowego mężczyzny, który – pomimo nocnych ciemności – okazał się wielce kuszącą istotą.  
Świat zawirował.  
– Co mam zrobić?  
Uniósł głowę znad jej brzucha.  
– Po prostu połóż się na wznak. – Dosłyszała w jego głosie zadowolenie. – Połóż się, odpręż i oddaj się przyjemności.  
Nie miała ani siły, ani motywacji, żeby się sprzeciwić.  
Gdyby przeczuwała, jakie miał plany, zmobilizowałaby wszystkie siły. Ale niczego nie podejrzewała, więc oddała się nieopisanej zmysłowej przyjemności.  
Jeszcze nigdy nic go tak nie poruszyło. Nigdy dotąd nie zatracił się tak zupełnie, nie oddał wspólnej rozkoszy. Było w tym również coś głębszego, potężniejszego, bardziej fascynującego. Gabriel-koneser był zachwycony; Gabriel-mężczyzna był zniewolony.  
Z radością i wdzięcznością przyjmowała każdą nową

pieszczotę, w zamian oczarowując go swoim zapraszającym bez żadnych ograniczeń ciałem. Ciałem zapraszającym go do szukania, sondowania, odkrywania – do poznawania. Do poznawania całkowitego, bez barier i podstępów. Nie było niczego, co by przed nim ukrywała, czego by mu zabraniała. Wystarczyło, że wyciągnął rękę, poprosił bez słów, a został zaproszony, żeby wziąć, zaspokoić swój głód.

Jej szczodrość nie ograniczała się do strony fizycznej. Nie wyczuwał powściągliwości, emocjonalnego dystansu, skrywanych uczuć. Nawet wówczas, gdy zmierzał ku punktowi kulminacyjnemu, mógł wyczuć jej wrażliwość, której nie próbowała ukryć.

To właśnie go usidliło, kompletnie przykuwając jego uwagę. Otworzył przed nią świat zmysłowych doznań. W zamian uchylila przed nim drzwi, których istnienia nawet nie podejrzewał, drzwi do niebezpiecznego, niezakłamanego, podniecającego królestwa głębokiej zażyłości. Ta niewinna istota pokazała mu, ile jeszcze może się kryć w sprawach, o których – jak mu się wydawało – wiedział wszystko.

Nigdy jednak nie poznał tej pochłaniającej całkowicie namiętności. Hrabina była otwarta, uczciwa i wstrząsająco odważna w swojej szczodrobliwości. Bez żadnych dodatkowych warunków oferowała mu zaspokojenie. Z drzeniem sięgnął po nie. Wstrząśnięci, wniebowzięci, dali się porwać przyływowi. Napięcie potężniało, narastało, a potem ogarnęło ich wyzwolenie. Pograżyli się w ostatecznej ekstazie.

Zanim zawładnęła nim fala, zdążył pomyśleć, że należała do niego. Tej nocy – i na zawsze.

\* \* \*

Obudził się w środku nocy. Przez chwilę rozkoszował się opływającym ich spokojem, po czym niechętnie odsunął się od niej, unosząc się i cofając splątane nogi. Potem znów opadł na łóżko obok hrabiny i przyciągnął ją do siebie. Najchętniej leżałby tak, dzieląc z nią zadowolenie i chłonąc gorącą przyjemność, nadal

krażącą w ich żyłach. Ale obudziła się także i wpadła w popłoch. I to nie z powodu jakiegoś fałszywego wstydu.

– Muszę iść. – W jej głosie pobrzmiwała niechęć podobna do tej, którą odczuwał on sam. Ale słysząc też było zdecydowanie.

Odsunęła się od niego. Puścił ją, wstrząśnięty gwałtowną potrzebą, żeby ją zatrzymać. Nigdy nie był zaborczy, wytłumaczył więc sobie, że po prostu było mu z nią bardzo przyjemnie i podzielał urok nowości.

Słyszał, jak zsunęła się z łoża, jak je okrążyła, żeby podejść do ściany, gdzie zaczęła po omacku szukać sukni. Wstał, odnalazł spodnie, wciągnął je na siebie i skierował się do saloniku. Zapalił ponownie obie lampy i po chwili wrócił do sypialni. Miała już na sobie suknię i welon opuszczony na twarz. Zmagą się ze sznurowaniem.

– Poczekaj. – Podeszedł szybko, pochwycił ją w talii i obrócił do siebie. – Pozwól mi się tym zająć.

Fachowo zawiązał sznurówki. Zauważył przy tym, że zeszywniała, gdy tylko jej dotknął. Zostawił ją wciągającą w półmroku pończochy, a sam pospiesznie dokończył się ubierać. Gdy zakładał surdut, hrabina była już w płaszczu. Nie zdziwił go jej gwałtowny powrót do tajemniczości, ale czuł znużenie welonem.

Zerknęła na niego.

– Sama wyjdę – wypowiedziała lekko łamiącym się głosem.

– Nie. – Podeszedł do niej. – Odprowadzę cię do powozu.

Czuł, że ma ochotę się sprzeczać. Jednak po krótkiej chwili pogodziła się z jego propozycją i milcząco skinęła głową. Nie wyniośle, ale ostrożnie.

Bez zbędnych słów wyprowadził ją z apartamentu i sprowadził po schodach. Razem przeszli do holu. Zaspany odźwierny wypuścił ich nawet na nich nie patrząc, zbyt zajęty powstrzymywaniem ziewania.

Czarny powóz czekał na nią tuż za rogiem. Gabriel pomógł jej wsiąść do środka. Poczował na twarzy, oświetlonej blaskiem ulicznej lampy, jej badawcze spojrzenie. Po chwili hrabina

pochyliła głowę.

– Dziękuję.

Ciche słowa musnęły jego zmysły, pozostawiając go w przekonaniu, że nie dziękowała mu za wysiłek, jaki włożył w badanie sprawy kompanii.

Wtopiła się w mrok panujący wewnątrz powozu. Zamknął drzwi i dał znak woźnicy.

– Ruszaj.

Powóz się oddalił. Gabriel głęboko zaczerpnął tchu, wypełniając powietrzem płuca, i obserwował, jak powóz znika za zakrętem. Potem wypuścił powietrze i ruszył w stronę domu. Wypełniało go jakże satysfakcjonujące poczucie, że odniósł sukces.

Wszystko, absolutnie wszystko, układało się wyśmienicie.



## Rozdział 9

– Co panią napadło, panienko?

Alathea gwałtownie oderwała się od swoich myśli. Przed sobą, w lustrze, zobaczyła odbicie Nellie, która trzepała poduszki i poprawiała jej łóżko.

Nellie zauważyła jej wzrok.

– Od pięciu minut wpatruje się pani w lustro i chyba nic pani nie widzi.

Alathea wykonała nerwowy ruch ręką, odsuwając na bok pytanie. Modliła się, żeby się nie zaczerwienić, żeby jej myśli nie uwidoczniły się na twarzy. Niech Bóg broni.

– To spotkanie ostatniej nocy musiało być bardzo długie. Była już czwarta nad ranem, kiedy panienka wróciła do domu. Jacobs powiedział, że nie wychodziła pani przez cały czas.

Alathea wzięła do ręki szczotkę.

– Musieliśmy omówić wszystko, czego się dowiedzieliśmy.

– A więc dowiedzieliście się z panem Rupertem czegoś o tej okropnej kompanii?

– O tak. – Alathea zaczęła szczotkować włosy, zmuszając się do skoncentrowania się na tamtym aspekcie nocy. – Dowiedzieliśmy się dość, żeby sformułować oskarżenie. Musimy jedynie zebrać odpowiednie dowody, a uwolnimy się od oszustów.

Niewątpliwie łatwiej było to powiedzieć, niż zrealizować, ale po ostatniej nocy nabrała przekonania, że uczynili pierwsze kroki na drodze do odniesienia sukcesu. Pomimo ostrożnych słów, które powiedziała do Gabriela, czuła się podbudowana ich pierwszym konkretnym osiągnięciem, pierwszym zwiastunem zwycięstwa.

Starannie kryła podniecenie, czując, że Gabriel mógłby je wykorzystać.

Zresztą i tak wykorzystał.

Ona również.

– Proszę mi pozwolić. – Nellie wyjęła jej szczotkę z dłoni. – Dzisiaj do niczego się pani nie nadaje.

Alathea zamrugnęła.

– Po prostu... zamyśliłam się.

Nellie obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem.

– Cóż, śmiem twierdzić, że podczas spotkania poznała pani wiele faktów, które teraz musi pani przetrwać.

Fakty. Wrażenia, emocje – rewelacje. Miała wiele do przemyślenia.

Przez cały dzień błądziła myślami, rozważając, zgłębiając, przywołując do życia złote momenty, starannie zapisując każdy z nich w pamięci, żeby je przechować na stare, zimne lata. Stale jednak przywoływano ją do terażniejszości. Charles pytał ją o jednego z dzierżawców, Alice chciała usłyszeć jej opinię na temat koloru wstążek, Jeremy miał kłopoty z arytmetyką.

Kiedy w końcu po południu, po obiedzie, wszystkie panie wycofały się do saloniku, żeby spędzić tam spokojną godzinę przed wyruszeniem do parku albo popołudniową herbatą, Augusta wdrapała się Alathej na kolana i usiadła na nich okrakiem. Przyłożyła miękkie dłonie do policzków kobiety i spojrzała jej prosto w oczy.

– Dokąd uciekasz?

Alathea się uśmiechnęła. W inny świat, mroczny, pełen doznań i nieopisanych wspaniałości.

– Przepraszam, kochanie. Mam teraz tyle na głowie. – Alathea podniosła lalkę o imieniu Rose i przyjrzała się jej. – Jak się podoba Rose w Londynie?

Udało jej się odwrócić uwagę Augusty. Kiedy kwadrans później Augusta zsunęła się z jej kolan i poszła się bawić z Rose na słońcu, Alathea wymieniła ciepłe i, jak miała nadzieję, łagodne spojrzenie z Sereną, po czym cicho opuściła pokój.

Znalazła ukojenie w kawie.

Z rękoma zaplecionymi na piersiach stanęła w oknie i zmusiła się do skupienia na planach dotyczących kompanii, na tym wszystkim, co minionego wieczoru wyjawiał Crowley.

Jedynym poważnym problemem, który pojawił się w związku z jej chwilą bliskości z Gabrielem, był fakt, że teraz będzie jej bardzo trudno zachowywać się naturalnie w jego

obecności jako Alathej Morwellan. To, że poznali się w biblijnym sensie tego słowa, bynajmniej nie ułatwiało jej życia.

Chociaż wykorzystwała maskaradę, nie należała do osób, w których naturze leżało oszustwo i kręctwo. Nigdy nie przyszło jej nawet do głowy, że będzie musiała tak go zwodzić.

Gdyby się kiedykolwiek dowiedział...

Wrażliwość nie należała do jej mocnych stron. Nawet jeśli kiedyś miała pewne inklinacje w tym kierunku, zostały one pogrzebane jednaście lat temu. Zdecydowanie skoncentrowała myśli na Crowleyu i kompanii. Wystarczyło parę minut, by doszła do wniosku, że nie może się obejść bez dalszej pomocy Gabriela. Nie widziała na to żadnych szans i nie miało to związku z faktem, że odprawienie go teraz byłoby zapewne znacznie trudniejsze niż początkowe wezwanie go na pomoc.

Nie mogła się sama włamać do domu Douglasa, ani nawet zorganizować takiego włamania. Jacobs woził ją po Ogrodach Egertona, Folwell rozmawiał z zamiataczem ulic, żeby się dowiedzieć, która z nowych dużych kamienic należy do Douglasa. Ale samo włamanie było zbyt ryzykowne. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Crowley czy Swales zorientują się, iż przeszukano ich rzeczy i, jakby to ujął Charles, poczują, skąd wieje wiatr. A wtedy zażądają spłaty weksli i będzie zbyt zajęta walką z wierzycielami, aby wnosić jakąś sprawę do sądu.

A ponadto nie podobał jej się sam Crowley. Możliwość spotkania go ciemną nocą, bez jakiegokolwiek pomocy, to byłby najgorszy senny koszmar. Ten człowiek był zły. Czula to bardzo wyraźnie, patrząc, jak z okrutnym błyskiem w oczach obserwował Gerrarda Debbingtona. Gabriel wspominał, że Crowley lubił się napawać widokiem przyszłych ofiar, ale kryło się w tym coś więcej. Traktował ludzi jak zdobycz. Pod przykrywką na wpół cywilizowanego człowieka czaiło się zepsucie i prawdziwe okrucieństwo.

Chciała, żeby trzymał się jak najdalej od jej rodziny.

Wziąwszy wszystko pod rozwagę, a miała na myśli naprawdę wszystko, jedynym rozsądnym rozwiązaniem było jak najszybsze

znalezienie dowodów oszustwa. Wtedy Crowley przestanie stanowić zagrożenie i hrabina rozplynie się we mgle.

– Fangak. Lodwar. Jak się nazywało to trzecie? – Usiadła za biurkiem, wyciągnęła kawałek papieru i sięgnęła po pióro. – No właśnie, Kafia.

Zapisała nazwy na kartce, po czym przystąpiła do wypisywania wszystkich wymienionych przez Crowleya nazwisk i miejsc, które zapamiętała.

\* \* \*

– Mary? Alice? – Alatheia zajrzała do sypialni Mary, gdzie często chroniły się jej siostry przyrodnie w porze odpoczynku. Oczywiście obie leżały na łóżku, a na ich twarzach malował się identyczny wyraz okropnej nudy. Uniosły głowy. Alatheia się uśmiechnęła.

– Wybieram się do Hatcharda. Serena powiedziała, że możecie ze mną pojechać, jeśli macie ochotę.

Mary usiadła.

– Mają tam wypożyczalnię książek, prawda?

Alice zsuwała się już z łóżka.

– Jadę.

Alatheia przyglądała się, jak zakładały buty i płaszcze, jak chwyciły kapelusze, rzucając tylko pobieżne spojrzenie na swoje odbicie w lustrze.

– Jest tam wypożyczalnia, ale zanim zaczniecie szukać najnowszej powieści pani Radcliffe, chciałabym, żebyście pomogły mi znaleźć parę innych książek.

– O czym? – Zapytała Alice, doganiając ją w drzwiach.

– O Afryce.

\* \* \*

– To było nudne. – Ziewając przeraźliwie, Jeremy usadowił się na siedzeniu dorożki i oparł o Alatheę. – Myślałem, że będą coś wiedzieli o wydobywaniu złota. A oni chcieli tylko rozmawiać o jego topieniu.

Alathea się skrzywiła. Sądziła, że panowie z Instytutu Metalurgicznego poinformują ją o kopalniach. Niestety, placówka, której szyld zauważyła podczas spaceru z Mary i Alice, okazała się skupiać swoje zainteresowania wyłącznie na oczyszczaniu kruszcu i późniejszej obróbce. Poczciwi dżentelmeni wiedzieli jeszcze mniej niż ona o kopalniach złota w Afryce Środkowo-Wschodniej. A ona nie wiedziała nic, choć do późnej nocy czytała różne książki.

Alathea zerknęła na Augustę, przytuloną do jej drugiego boku z Rose na kolanach. Przynajmniej Augusta była szczęśliwa, nie martwiła się wydobywaniem złota.

– Jak się czuje Rose?

– Bardzo dobrze. – Augusta spojrzała na twarz lalki, po czym odwróciła się do okna. – Poznaje miasto. Jest głośnie i zatłoczone, ale ze mną i z tobą czuje się bezpiecznie.

Alathea uśmiechnęła się i uściśnęła drobne paluszki, ufnie wsunięte w jej dłoń.

– To dobrze. Rose dorasta i już niedługo będzie dużą dziewczynką.

– Ale jeszcze nie jest. – Augusta spojrzała na jej twarz. – Jak myślisz, czy panna Helm będzie się już lepiej czuła, gdy wrócimy do domu?

Panna Helm była przeziębiona i dlatego Alathea zabrała Augustę.

– Jestem pewna, że do jutra panna Helm wyzdrowieje, ale dziś wieczorem obie z Rose musicie być dla niej bardzo miłe.

– Och, będziemy. Będziemy wyjątkowo grzeczne. Nawet nie będziemy prosić, żeby nam poczytała przed snem.

– Przyjdę i poczytam wam, skarbie.

– Ale przecież musisz iść na bal.

Alathea pogłaskała Augustę po głowie.

– Najpierw przyjdę wam poczytać. Na bal mogę pojechać później, innym powozem.

– O rany! – Jeremy wyprostował się i wbił wzrok w okno. – Patrzcie na to!

Alathea dopiero po chwili zorientowała się, na co patrzy.

– To chyba bocykl. Tak przynajmniej wygląda.

Przyglądali się dżentelmenowi w opiętym surducie w kratkę, który balansując niebezpiecznie nad ogromnym kołem, wykonał kilka skrętów pomiędzy przechodniami i znikł z pola widzenia.

– Ha! – Jeremy opadł na siedzenie z błyszczącymi oczami.

Alathea spojrzała na jego twarz.

– Nie.

Jej ton był niewzruszony. Twarz Jeremy'ego posmutniała.

– Ale, Allie, pomyśl tylko...

– Właśnie myślę, o twojej mamie.

– Na pewno bym nie spadł. Byłbym wyjątkowo ostrożny.

Alathea spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak jak byłeś wyjątkowo ostrożny, kiedy pozwoliłam ci powozić?

– Tylko wpadłem do rzeki. A zresztą to była wina starego Dobbinsa.

Alathea ugryzła się w język. Dorożka jechała dalej, wioząc ich do eleganckiej dzielnicy miasta. Kiedy skręcili w Mount Street, znowu zerknęła na Jeremy'ego. Nadal marzył o niebezpiecznej maszynie. Wiedziała, że nie przestanie o niej myśleć, dopóki nie spróbuje przejażdżki albo jeszcze czegoś gorszego. Lubił przygody i miał taki charakter, że musiał wszystkiego spróbować. Rozumiała go.

Napotkała jego błyszczący wzrok.

– Spytaam twoją mamę. Może Folwell mógłby znaleźć jeden taki podobny...

– Hura!

– Pod pewnym warunkiem.

Jeremy przestał podskakiwać na siedzeniu, ale oczy nadal mu błyszczały.

– Pod jakim?

– Obiecasz mi, że będziesz jeździł dopiero wtedy, gdy wrócimy do Morwellan Park. Gdzie trawniki są miękkie i dobrze amortyzują upadki.

Jeremy zastanawiał się tylko przez chwilę.

– Dobrze. Obiecuję.

Dorożka zatrzymała się przed Morwellan House.

\* \* \*

Podpierając ściany na kolejnym balu, Alathea stłumiła ziewnięcie. Gwałtownie zamrugła, starając się nie zasnąć. Dwie ostatnie noce spędziła na czytaniu aż do rana, gdy cały dom pogrążony był we śnie. To czas, który miała wyłącznie dla siebie i mogła go poświęcić na studiowanie tomów o Afryce.

Jednak Afryka Środkowo-Wschodnia nadal stanowiła dla niej tajemnicę. Skąpe informacje, jakie udało jej się znaleźć, polegały głównie na spekulacjach i domysłach, brakowało jakichkolwiek szczegółów.

W polu jej widzenia, ponad morzem głów, pojawiła się znajoma ciemnokasztanowa czupryna. Przeszył ją niezwykle dreszcz emocji. Natychmiast rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś schronienia. Ale ukrywanie się mogłoby się okazać niezbyt rozsądne. Chyba postradałaby zmysły, gdyby natknęła się na niego w jakimś ciemnym zakamarku.

Ugięła lekko kolana, żeby się tak bardzo nie wyróżniać wzrostem, i patrzyła, jak Gabriel przemierza salon. Z jakiegoś szczególnego powodu oglądany z daleka wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Mogła dostrzec i docenić te jego strony, których tak naprawdę wcześniej nie zauważała, takie jak doskonałość powściągliwej elegancji czy aura subtelnej siły, która otaczała jego wysoką postać. I rezerwa, nienaruszalny dystans, jaki utrzymywał pomiędzy sobą i światem. Był znudzony, naprawdę głęboko znudzony. Zaczynała rozumieć, czemu Celia i damy z towarzystwa tak rozpaczały. Miały rację, sądząc, że w ogóle ich nie dostrzegał. Patrząc na wyraz jego twarzy, na niewzruszone spojrzenie, gotowa była się założyć o Morwellan Park, że więcej uwagi poświęcał Afryce Środkowo-Wschodniej niż błyszczącej sali balowej w Mayfair.

Jedna z dam odważyła się zakłócić jego spokój i położyła mu

rękę na ramieniu. Uśmiechnął się czarująco, z wdziękiem ujął jej dłoń i pochylił się nad nią. Wyprostował się, zamienili parę zdawkowych słów, rzucił jakiś dowcip, żeby rozbawić damę, obudzić w niej nadzieję... po czym się oddalił.

Był mistrzem w poruszaniu się pośród tłumu, umiał wybronić się przed ugrzęźnięciem w jakimś towarzystwie, nieskazitelnie uprzejmy, arogancki, pewny siebie i nie do wytrzymania.

– Alathe! Dobry Boże, moja droga, cóż to za szczególna słabość do ścian!

Alathe wyprostowała się gwałtownie i rozejrzała. Napotkała zdumione spojrzenie Celi Cynster.

– Po prostu... próbowałam ulżyć nogom.

Celia obrzuciła ją charakterystycznym dla niej, matczynym spojrzeniem, ale jej uwagę przykuł widok jej pierworodnego, przeciskającego się wśród tłumu.

– Tam jest! Zmusiłam go, by pokazał się na balu. W tym sezonie jest taki niechętny wszelkim balom. Jak też sobie wyobraża znalezienie żony?

– Nie wydaje mi się, żeby szukanie żony zaprzętało mu myśli.

Celia omal nie wydeła ust.

– Cóż, lepiej, żeby zajął się tym jak najszybciej. Nie robi się coraz młodszy.

Alathe miała zaciśnięte wargi.

– Lady Hendricks napomykała, że jej córka Emily mogłaby się nadawać.

W myślach Alathe ujrzała śliczną pannę Hendricks. Młoda dama była słodka, skromna i niezwykle spokojna.

– Nie sądzisz, że jest trochę zbyt nieśmiała?

– Naturalnie, że jest zbyt nieśmiała! Ani Rupert nie wiedziałby, co z nią robić, ani ona nie miałaby pojęcia, co robić z nim.

Alathe ukryła uśmiech.

– Czy naprawdę wierzysz w to, że jakaś dama będzie miała wpływ na Ruperta? To jedna z osób najmniej ulegająca cudzym



wpływow, jaką znam.

Celia westchnęła.

– Uwierz mi, moja droga, że właściwa kobieta potrafiłaby wiele zrobić z Rupertem. Bo on by jej na to pozwolił.

\* \* \*

– Lady Alatheia!

Alatheia zamrugła i skoncentrowała się na Mary i Alice, które wraz z Heather i Elizą kroczyły przed nią po trawniku. Na pewno nie one ją wołały. Rozejrzała się i dostrzegła dwie śliczne blondynki, pędzące w jej stronę. Obie przytrzymały eleganckie kapelusze, których wstążki powiewały na wietrze. Złociste loki podskakiwały im na ramionach jak żywe. Alatheia rozpoznała bliźniaczki i się zatrzymała. Zostały jej przedstawione na balu, ale nie było wówczas czasu na dłuższą pogawędkę.

Kiedy znalazły się obok niej, pomachały do swoich kuzynów, po czym obróciły ku niej rozjaśnione uśmiechami twarze. Alatheia odniosła dziwne wrażenie, że została schwyta w potrzask.

– Zastanawialiśmy się, czy możemy z tobą porozmawiać – zagaiła jedna z dziewcząt.

Alatheia uśmiechnęła się, przeczuwając, co może być tematem tej rozmowy.

– Musicie się nade mną zlitować, bo nie umiem powiedzieć, która z was jest która.

– Ja jestem Amelia – oświadczyła pierwsza bliźniaczka.

– A ja Amanda – rzekła druga, jakby przyznawała się do jakiegoś występku. – Ciekawe byliśmy, czy mogłabyś podzielić się z nami swoją opinią w pewnej sprawie.

– W jakiej?

– Cóż, znasz Gabriela i Lucyfera od dzieciństwa. Doszliśmy do wniosku, że jedynym sposobem umknienia im i znalezienia sobie mężów będzie ożenienie ich, więc chcemy cię prosić o jakieś wskazówki.

– Wszelkie sugestie, kto mógłby się nadawać...

– Albo kogo należy unikać, na przykład kurzych mózdków.

– Chociaż to znacząco zawęzi liczbę kandydatek.  
Alathea przeniosła wzrok z jednej rozpromienionej twarzy na drugą. Dziewczęta były pełne zapału i zupełnie poważne. Stłumiła wybuch śmiechu.

– Chcecie ich wyswatać, żeby nie stali wam na drodze?  
– Żeby nie pilnowali nas jak klejnotów koronnych!  
– Słyszałyśmy, że niektórzy panowie nawet nie próbują do nas podejść, bo się boją awantury, która musiałaby z tego wyniknąć – rzekła ponuro Amelia.

– Od razu wykreślają nas ze swoich list, a wszystko przez tych dwóch! – Amanda pogroziła pięścią nieobecnym kuzynom. – Niby jak mamy rozsądnie wykorzystać wszystkie możliwości...?  
– I sprawić, żeby nas właściwie oceniano...?  
– Jeśli nasze cerbery stale warczą...  
– A najgłośniej warczą na najbardziej interesujących dżentelmenów!

– Cóż – ciągnęła dalej Amanda – wiesz, jacy są panowie. Jeśli tylko natrafią na najmniejsze nawet przeszkody, rezygnują, nie zadając sobie żadnego wysiłku.

– Bo chyba nie potrzebują, prawda? Zawsze jest tyle innych pań, dla których nie muszą się wysilać.

– Jak więc widzisz, jeśli chodzi o równouprawnienie, to znalazłyśmy się w bardzo niekorzystnym położeniu.

– A na dodatek Gabriel i Lucyfer nie są uczciwi.

Alathea nie zaprzeczała – uważała tak samo. Obaj Cynsterowie byli obrzydliwie nieuczciwi, odmawiając uznania, że Amanda i Amelia posiadają przynajmniej odrobinę zdrowego rozsądku i pomijając wszystko inne, mają wszelkie prawa, by samodzielnie wybierać sobie mężów. Partnerski sposób, w jaki zawsze ją traktowali, pozostawał w jaskrawej sprzeczności z tym, jak postępowali z bliźniaczkami. Chociaż zawsze zasłaniaли ją przed niebezpieczeństwami, nigdy nie próbowali jej powstrzymać przed natykaniem się na nie.

Uniosła głowę i sprawdziła, że jej podopieczne idą przed nią. Wszystkie cztery dziewczęta pogrążone były w bardzo ożywionej

rozmowie. Alathea zerknęła na bliźniaczki; na Amandę, z kwaśną miną spoglądającą w ziemię, potem na Amelię o łagodniejszym wyrazie twarzy, która identycznie jak siostra, zdecydowanie wysunęła do przodu podbródek.

– Czemu uważacie, że ich ożenek wam pomoże?

– No, tak właśnie było w przypadku pozostałych kuzynów. Już nie stanowią problemu.

– Przyjrzyj się, to sama zobaczysz. Przecież Diabeł był najgorszy z nich wszystkich, a teraz jest z nim dużo łatwiej.

– Kiedy już się żenią, całą uwagę koncentrują na żonie.

– I na swojej nowej rodzinie.

Alathea się zamyśliła.

– Wydaje nam się, że najpierw powinniśmy się zająć Gabrielem.

– Bo jest starszy. – Amelia spojrzała na Alatheę. – Sądzisz, że to właściwa kolejność?

Alathea wyobraziła sobie Gabriela usiłującego pilnować Amandy i Amelii, a równocześnie opędzać się od dam, które bliźniaczki mu przedstawiały. Nie miałyby czasu na stwarzanie jakichkolwiek problemów.

– Myślę... że wasza ciotka Celia mogłaby wam podpowiedzieć parę nazwisk.

Amanda pojaśniała.

– To jest pomysł.

– Nie musicie być zbyt subtelne – dorzuciła Alathea, w myślach szlifując szczegóły. – Damy będą zadowolone, mogą spędzić chwilę u jego boku, Gabriel zaś od samego początku będzie wiedział, o co wam chodzi, nie macie więc powodu niczym się przejmować.

Amelia się zatrzymała.

– Znajdzie się w pułapce. – Z błyskiem w oczach odwróciła się gwałtownie do Alathey i Amandy. – Nie będzie mógł uciec...

\* \* \*

Wypożyczalnia książek Hookhamsa przy Bond Street była

kolejnym celem porannej wyprawy Alathej. Niestety, dział poświęcony Afryce niemal nie istniał. Pożyczyła więc wszystkie cztery książki. Były stare, zniszczone i nie wyglądały zbyt obiecująco. Wsunęła je pod pachę i zaczęła schodzić w dół po schodach. Największy tom wysunął się z dłoni, jeden but ześliznął się z ostatniego stopnia...

– Ostrożnie!

Silne ręce złapały ją za ramiona i pomogły się wyprostować. Alatheia poderwała głowę i... spojrzała prosto w twarz Lucyfera. Odetchnęła z ulgą, starając się uspokoić gwałtowne bicie serca. Przez króciutką chwilę, patrząc pod słońce, pomyliła go z jego bratem.

– Daj mi te książki.

Oczywiście nie pozostawił jej żadnego wyboru.

– Proszę! – Alatheia pospiesznie zaczerpnęła tchu. – Jeździłeś konno dziś rano?

– W parku? Nie. Czemu pytasz?

Wzruszyła ramionami.

– Tak się zastanawiałam... Bardzo bym chciała pojeździć, ale tutaj jest to zupełnie niemożliwe, wolno tylko wlec się noga za nogą.

– Jeśli chcesz pojeździć – wsunął książki pod pachę – będziesz musiała zorganizować sobie wycieczkę na wieś.

– Równie dobrze mogę poczekać, aż wrócimy do domu. – Jej jedyną nadzieją było podtrzymywanie rozmowy i przykucie jego uwagi, żeby nie spojrzał na książki. Afryka była bardzo nietypowym tematem, a już na pewno bardzo dziwnym przedmiotem studiów osoby takiej jak ona. Pamiętała, że Lucyfer mieszkał pod jednym dachem z Gabrielem, znała też ich zwyczaj wspólnego roztrząsania informacji i obserwacji. Wstrzymała oddech. – Ale sezon w Londynie potrwa jeszcze wiele tygodni.

– To prawda, a pozostałe tygodnie będą jeszcze bardziej wypełnione balami niż dotychczas. – Lucyfer zmarszczył czoło. – A teraz jeszcze Gabriel grozi, że będzie unikał wszystkich balów, z wyjątkiem obowiązkowych wydarzeń rodzinnych.

– Och. Dlaczego?  
– Przekłete bliźniaczki przystąpiły do ataku.  
– Do ataku? Co masz na myśli?  
– Ostatniego wieczoru przyżeglowały do Gabriela trzy razy i osaczyły go, za każdym razem z inną damą u boku.  
Alathea żałowała, że tego nie widziała.  
– Nie mógł sobie pójść?  
– To nie takie proste, kiedy jedna z bliźniaczek trzyma cię za ramię i nie chce puścić.  
– Ojej.  
– Rzeczywiście, ojej. Wiesz, co się teraz stanie, prawda?  
– Pozostawi cię na polu walki.  
Lucyfer zatrzymał się jak wryty.  
– Dobry Boże.  
Udało jej się spowodować, że przez całą drogę do czekającego na nią powozu wyrzekał na bliźniaczki. Szybko cmoknęła go w policzek i wyrwała mu książki spod pachy.  
Spojrzał na nią, marszcząc brwi.  
– Za co to?  
– Za to, że jesteś.  
Lucyfer coś mruknął powątpiewająco, zamknął drzwi powozu i pomachał jej na pożegnanie.  
Stale jeszcze się uśmiechała, kiedy przekraczała progi Morwellan House. Energicznie skinęła głową Crispowi, który jej otworzył. Położyła książki na stoliku pod lustrem i podniosła rękę, żeby zdjąć kapelusz.  
– Tutaj jesteś, moja droga.  
W drzwiach do saloniku stała Serena. Alathea odłożyła kapelusz na stos książek i przeszła przez hol. – Mamy gości? – zapytała.  
– Nie, nie. Chciałam tylko z tobą porozmawiać. – Serena cofnęła się do saloniku. – Chodzi o twojego ojca.  
Alathea pytająco uniosła brwi.  
– Jest w jednym ze swoich stanów. – Serena bezradnie rozłożyła ręce. – Wiesz, jak z nim jest, ma zły nastrój, ale nie jest

chory.

– Czy coś się wydarzyło?

– Nie dzisiaj. Wczoraj po powrocie do domu był bardziej milczący niż zwykle. Sama wiesz, że normalnie o tej porze już dawno byłby u White’a, tymczasem siedzi w bibliotece.

Popatrzyły na siebie z z troskaniem. Alatheia kiwnęła głową.

– Pójdę z nim porozmawiać.

Serena się uśmiechnęła.

– Dziękuję. On cię zawsze słucha.

Młoda kobieta przytuliła macochę.

– Ciebie też zawsze słucha, ale rozmawiamy z nim o innych rzeczach.

Serena uśmiechnęła się szerzej i oddała uścisk.

– Czy dowiedziałaś się czegoś więcej o tych skryptach dłużnych?

Alatheia potaknęła.

– Wydaje mi się, że znaleźliśmy sposób, i to legalny, żeby stwierdzić nieważność weksla, ale nie chcę za wcześnie robić nadziei.

– Pewnie masz słuszość. Powiedz nam tylko, kiedy już będziemy wolni od niebezpieczeństwa.

Wymieniły szybkie uśmiechy, po czym Alatheia skierowała się do biblioteki.

Drzwi uchyliły się bezgłośnie. Wsunęła się do środka. Zauważyła, że zasłony były rozsunięte, a pokój widny, niepograżony w mroku. Dobry znak. Wiedziała, że chociaż jej ojciec nie miał zwyczaju oddawać się depresji, w duszy wyrzucał sobie podpisanie przekłętego zobowiązania. Ze względu na Serenę robił dobrą minę do złej gry, ale miał głębokie poczucie przegranej i wyrzuty sumienia.

Lord siedział w swoim ulubionym fotelu i patrzył przez okno na trawnik za domem. Mary i Alice obcinały róże. Obie dziewczyny miały równie delikatną urodę jak kwiaty, które wkładały do koszyka. Dalej za nimi Charlie uczył Jeremy’ego podstaw krykieta, a Augusta i panna Helm siedziały na słońcu na

kocu i czytały książkę. Ogród zamykał kamienny mur, widoczny tu i ówdzie pomiędzy drzewami i gęstymi krzewami. Scena mogłaby stanowić malarską ilustrację idealnego życia rodzinnego. Tyle że ta nie była wytworem niczyjej wyobraźni – to było ich prawdziwe życie.

Czując pewność, że jest do tego uprawniona, Alatheia dotknęła ramienia ojca.

– Tato.

Był tak pogrążony w myślach, że nie zdawał sobie sprawy z jej obecności. Uniósł głowę i jego usta wygięły się w smutnym uśmiechu.

– Dzień dobry, kochanie.

Pochwycił jej rękę, uściśnął i nie wypuścił z uchwytu, gdy Alatheia przysiadła na oparciu fotela. Wygodnie oparła się o ramię ojca.

– O co chodzi?

Westchnął ciężko, przegrany.

– Naprawdę miałem nadzieję, że mylisz się w sprawie tej kompanii i że w końcu się okaże, iż Środkowo-Wschodnia Afrykańska Kompania Złota jest uczciwym przedsięwzięciem. I że nie popełniłem kolejnego błędu.

Przerwał. Alatheia czekała, mocno trzymając go za rękę.

– Ale ty i Wiggs mieliście rację. Cały ten interes śmierdzi. Powiedział mi to człowiek, którego wczoraj spotkałem u White’a. Był z tamtych okolic, z Afryki Środkowo-Wschodniej. Słyszał o kompanii. Uważał ją za nielegalną inicjatywę, mającą zwieść naiwnych prostaczków i skłonić ich do rozstania się z pieniędzmi.

– Skrzywił się. – Trudno się z tym nie zgodzić.

– Nie mogłeś wiedzieć... – Alatheia gwałtownie zamrugła. – Kim jest ten człowiek?

– Jakiś marynarz.... kapitan jakiś tam. Nie zapamiętałem jego nazwiska.

– Jak wyglądał?

Słyszając w jej głosie nagłe napięcie, lord odwrócił się i spojrzał córce prosto w oczy.

– Był średniego wzrostu, dość postawny. Miał duże, siwiejące bokobrody. Ubrany jak żeglarz wyższego stopnia. Tacy ludzie zawsze mają wygląd wilków morskich. – Przyjrzał się badawczo Alathej. – Dlaczego pytasz?

Pohamowała podniecenie.

– Oboje z Wiggsem sądzimy, że istnieje legalna droga unieważnienia skryptu dłużnego, ale musimy dowiedzieć się czegoś więcej o funkcjonowaniu kompanii. Taki człowiek, jak ów kapitan, mógłby się okazać bardzo przydatny. – Ścisnęła rękę ojca. – Czy był z kimś, kogo znasz?

Ojciec pokręcił głową.

– Nie. Ale jeśli to takie ważne, mogę popytać.

– Uczynź to, tato, to może się okazać bardzo ważne. I obiecaj mi, że jeśli znów gdzieś się na niego natkniesz, przyprowadzisz go do domu.

Lord zmarszczył czoło i skinął głową.

– Dobrze. Pójdę więc chyba do White'a i zobaczę, czy będę w stanie go odszukać.

– O tak! – Alatheja zerwała się na równe nogi. – To by nam niezwykle pomogło, tato. Dziękuję! – Rzuciła się ku ojcu i pocałowała go w policzek.

Lord objął ją jedną ręką i przytulił do siebie.

– To ja ci dziękuję, kochanie. – Spojrzał na twarz córki i złożył delikatny pocałunek na jej czole. – Nie sądź, że nie doceniam wszystkiego, co zrobiłaś. Nie wiem, czym sobie na ciebie zasłużyłem. Ale cieszę się, że jesteś moją córką.

– Och, tato! – Szybko go przytuliła, po czym wyjrzała przez okno. – Muszę przypomnieć Jeremy'emu o lekcjach, bowiem w przeciwnym razie przez cały dzień będzie grał w krykieta.

I wybiegła z biblioteki.



## Rozdział 10

Tego wieczoru na balu u lady Castlereagh Alatheę opadli panowie. Bez żadnych wysiłków z jej strony w miarę trwania sezonu rosła liczba kawalerów, którzy uważali ją za przyjemną partnerkę w tańcu. Pomimo przekonania Celi, że Alatheia podpira ściany, była zbyt przebiegła, żeby to robić bez przerwy. Zupełna anonimowość oznaczałaby, że nikt by jej nie zauważył. Toteż tańczyła, ile trzeba, nie każdy taniec, ale tyle, by nikt nie widział konieczności komentowania jej nieobecności.

Dużą przyjemność sprawiało jej tańczenie walca. Niestety, nie było zbyt wielu panów, których wzrost by jej odpowiadał. Jednak mimo to szereg jej wielbicieli, jak upierała się nazywać ich Serena, rozrósł się do legionu.

To bardzo utrudniało życie. Po dwóch tańcach zdecydowała skryć się w cieniu, żeby spokojnie rozważyć zaistniałe trudności. Podstawowa trudność była obecna na balu, odziana na czarno, o nieskazitelnych manierach. Łaskawie zatańczył dwa tańce, po czym bez celu zaczął się kręcić wśród tłumu. Jeśli Gabriel mógł uwolnić się od obowiązków i zająć się przyjemną rozmową, uznała za słuszne zrobić to samo.

– Drodzy panowie, obawiam się – obdarzyła otaczających ją dżentelmenów promiennym uśmiechem – że muszę was teraz opuścić. Jedna z moich sióstr przyrodnych... – Wykonała szeroki ruch ręką, utwierdzając ich w przekonaniu, że jest wzywana w drugi kraniec sali. Ponieważ podejście do Mary i Alice wymagało przedarcia się przez grupę młodych panien, żaden z dżentelmenów nie zaoferował się, żeby jej towarzyszyć. Ukłonili się i zaczęli ją prosić, by obiecała, iż do nich wróci. Uśmiechnęła się i zniknęła w tłumie.

Panował nieopisany tłok. Lady Catlereagh należała do najstarszych organizatorek balów i nie można było odmówić jej zaproszeniu. Alatheia podejrzewała, że właśnie z tego względu na balu obecna była większość Cynsterów, nie wyłączając Gabriela. Korzystając ze ścisku, niepostrzeżenie przedostała się do

niewielkiej niszy, zajętej przez stojące na piedestale popiersie Wellingtona. Tu ukryła się przed oczami gości. Na szczęście piedestał zasłaniał ją również przed hałasem, w którym trudno było usłyszeć nawet własne myśli.

W przeciwległym kącie sali dostrzegła Gabriela, który z wyraźną niechęcią zmieniał Lucyfera pilnującego bliźniaczek. Gabriel, wyglądający na spiętego, zajął pozycję niemal dokładnie naprzeciwko Alathej.

Alathea się uśmiechnęła. Dla postronnego obserwatora wyglądała na osobę czekającą na powrót towarzyszącego jej dżentelmena albo młodej podopiecznej. Ukryta w ten sposób zaczęła rozważać, w jaki sposób przekazać swojemu rycerzowi na białym rumaku informację o tym, kogo powinien zacząć szukać. Dalsze zadawanie się z nim mogło okazać się bardzo niewygodne, ale bez niego nic nie mogła zrobić.

Przypadkowe natknięcie się na kapitana na ulicy było kompletnie nieprawdopodobne. Ludzie jego pokroju przesiadywali w klubach, a nie na ławkach w parku. Kapitan był absolutnie poza jej zasięgiem. Nie miała odwagi postawić wszystkiego na jedną kartę i mieć nadziei, że któregoś dnia ojciec przyprowdzi kapitana na obiad.

Musiała jak najszybciej opowiedzieć o tym Gabrielowi. Kto może wiedzieć, jak długo wilk morski zabawi jeszcze na lądzie? Może nawet już odpłynął, ale nie chciała rozważać takiej możliwości. Los nie może być przecież taki okrutny.

Ale jak powiadomić Gabriela?

Wydawało jej się, że najprościej będzie napisać list, dopóki nie zaczęła go pisać. Chociaż zawarła w nim podany przez ojca opis, tekst był bez wyrazu i na odległość cuchnął tchórzostwem. Nie mogła go nawet podpisać inaczej, niż „Hrabina”. Zamiast więc wysłać list, podarła go i znów zaczęła myśleć. Jeśli nie spotka się z Gabrielem bezpośrednio, nie będzie mogła zobaczyć, jak zareagował na jej informacje, ani spytać, czego się dowiedział. Była przekonana, że nie pozostawał beczynny w ciągu pięciu dni od ich ostatniego spotkania. Od spotkania w hotelu Burlington.

Na samo wspomnienie nazwy hotelu ogarnęła ją niepewność, którą jednak szybko opanowała. Nie mogła sobie pozwolić na to, by powodowały nią emocje i dyktowały, co ma robić. Czego dowiedział się Gabriel? Czy Crowley zrobił coś nowego? Chciała poznać odpowiedzi na te pytania, a była absolutnie pewna, że będzie to możliwe tylko podczas bezpośredniej rozmowy z Gabrielem. Ale myśl o tym, że znalazłaby się sam na sam z Gabrielem, w ciemności, napawała ją dreszczem, i to wcale nie przerażenia.

Stojąc w ukryciu za popiersiem, rozważała różne możliwości, analizowała szczegółowo, porządkowała myśli. Nie prowadziło to jednak do niczego. Sytuacja była irytująca, a niezdolność podjęcia jakiegokolwiek decyzji doprowadzała ją do szału.

Wtedy dostrzegła, że Gabriel ruszył z miejsca. Obserwowała go kątem oka. Gdy przekazał straż nad bliźniaczkami Lucyferowi i wmieszał się w tłum, Alatheia się wyprostowała... Poczuli, że coś zaciska się wokół jej piersi. Zaczęła sobie wmawiać, że to tylko urojenia, że nie ma powodu, by szedł ku niej, ba, nie ma nawet powodu, żeby wiedział o jej obecności.

Nie doceniła mocy swojego kapelusza. Kapelusz przyciągał go jak magnes.

Przedzierał się przez tłum tak sprawnie, że gdy uświadomiła sobie, iż istotnie była jego celem, nie miała czasu, żeby uciec. Zatrzymał się koło niej. Schwytna w pułapkę, uniosła głowę i zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

– Nie mów ani słowa.

Przez brzemienne chwilę mierzyli się wzrokiem. W środku cała dygotała, ale przekonywała siebie, że przecież nie mógł jej rozpoznać w przebraniu hrabiny. I że nigdy nie rozpozna tamtej nagiej kobiety, którą trzymał w objęciach, w osobie, która teraz stała przed nim.

Gabriel zacisnął usta i lekko skinął głową.

– Najwyraźniej nie ma takiej potrzeby, chociaż nie wiem, czemu się przejmujesz. Włosy ci już niedługo posiwieją.

Oczy Alatheii zapłonęły, jednak zamiast rzucić się na niego,

uśmiechnęła się.

– Jestem pewna, że to ty będziesz miał mnóstwo siwych włosów, jeśli nie przestaniesz się zachowywać wobec swoich młodych kuzynek jak cerber.

– Nic o tym nie wiesz, więc nie zaczynaj.

– Wiem, że bliźniaczki same mogą się o siebie zatroszczyć.

Parsknął szyderczo.

– To właśnie pokazuje, jak mało wiesz.

– Wydaje mi się – zeszytniał na dźwięk jej tonu – że każdą kobietę, zdolną do rozgromienia Cynstera, znalezienia słabego punktu w jego zbroi, knucia i naciskania w celu wykorzystania posiadanej przewagi i odniesienia sukcesu, należy uważać za zdolną do dania sobie rady nawet z najbardziej osławionym rozpustnikiem z towarzyskiej elity. – Przesunęła spojrzenie na jego twarz. – Zgadzasz się ze mną?

Gabriel poczuł, że ponosi go temperament. O wiele bardziej wolałby zachować spokój, ale przy niej zawsze przerastało to jego możliwości. Przeszył ją piorunującym spojrzeniem.

– To ty im powiedziałaś.

Nie potrzebował jej wystudiowanego uniesienia brwi, żeby wiedzieć, że się nie pomylił.

– Zapoznały mnie ze swoim problemem, a ja tylko przekazałam im swoją opinię.

– To przez ciebie oszalały na punkcie znalezienia mi odpowiedniej narzeczonej.

– No, no – pogroziła mu palcem – wiesz doskonale, że nie mogę za to odpowiadać. To twoja wina, że się jeszcze nie ożeniłeś. To tobie potrzebna jest żona. Bliźniaczki starają się tylko pomóc.

W odpowiedzi mruknął coś mało uprzejmego. Alatheia tylko się uśmiechnęła.

– Próbuja ci pomóc dokładnie w ten sam sposób, w jaki ty usiłujesz pomóc im.

– To znaczy?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Niewłaściwie.

Zamrugnął gwałtownie.

Ponieważ nie odpowiedział od razu, oderwała od niego wzrok.

– Ciekawi mnie, jak byś reagował, gdyby sytuacja była odwrotna.

– Cholernie dobrze wiesz, jak bym reagował. – Zazgrzytał zębami. – Podsunęłaś ten pomysł dziewczętom, żeby mnie dręczyć. – Usta Alathej zadrżały przez moment, wystarczająco długi, żeby go rozjuszyć. – Wiem, że Lucyfer usiłował ci wytłumaczyć konieczność strzeżenia bliźniaczek, ale najwyraźniej mu się nie udało. Może więc zademonstruję ci, o co chodzi – przeniósł wzrok na kapelusz, pod którym kryła miękkie włosy – żeby coś dotarło do twojej wyjątkowo tępej głowy.

Gabriel przysunął się bliżej, spychając ją w kąt pomiędzy popiersiem a ścianą wnęki. Oparł rękę na popiersiu, zamykając ją w tej małej przestrzeni. Kiedy napotkał wzrok Alathej, zdumiało go jej ogniste spojrzenie i to, jak bardzo cofnęła się przed nim w głąb niszy. Nerwowo przełknęła ślinę. Zwalczyła chęć odruchowego przyłożenia ręki do piersi w próżnym wysiłku uspokojenia bijącego serca. O Boże! Zwyczajnie w podobnych sytuacjach odepchnęłaby go, nie wahałaby się, nie zastanawiałaby się, czy to właściwe zachowanie. I chociaż nie miała dość siły, żeby go przesunąć, na pewno zszedłby jej z drogi.

Ale nie śmiała go dotknąć. Nie potrafiła zagwarantować, co uczyniłyby jej ręce, gdyby go dotknęła.

Wielkie nieba! I co teraz miała zrobić? W jego oczach widziała pojawiające się zdumienie.

Choć kręciło się jej w głowie od jego bliskości, wyprostowała się na całą swoją wysokość, starając się spojrzeć na niego z góry.

– Chciałabym, żebyś pomyślał przez chwilę. – Zwarli się spojrzeniami. – Nie widzę nic złego w strzeżeniu ich przed pojawiającymi się realnymi zagrożeniami, ale w tym przypadku – machnęła zamasyżycie ręką, zmuszając go do cofnięcia się – bezustanne wiszenie nad nimi oznacza ograniczanie ich okazji. To

nie jest właściwe.

– Niewłaściwe? – parsknął. Ku jej ogromnej uldze odchylił się do tyłu, oparł o ścianę i zabrał rękę z popiersia, żeby się odwrócić i spojrzeć w kierunku bliźniaczek. – Nie rozumiem, co to ma wspólnego.

– Nie rozumiesz? – Wreszcie była w stanie zaczerpnąć powietrza – Pomyśl tylko. Nigdy nie próbowaliście mnie powstrzymać przed... o, na przykład przed jazdą na oklep albo innymi rzeczami, które robiliście z Alasdaiem... i nie powstrzymalibyście mnie teraz.

– Jeździsz konno jak szatan. Nie trzeba cię powstrzymać, bo nic ci się nie stanie.

– No tak, ale gdyby gdzieś czaiło się niebezpieczeństwo, gdybym na przykład chciała przeskoczyć płot okalający pastwisko z rozwścieczonym bykiem. Czy nie popędzilibyście mi na ratunek?

Obrzucił ją zde gustowanym spojrzeniem, zdumiony, że w ogóle o to pyta.

– Oczywiście, że bym cię ratował. – Po czym dodał łagodniejszym głosem: – Wiesz dobrze, że bym cię ratował.

Pochyliła głowę, czując jednocześnie dziwny ucisk w żołądku. Gdy byli dziećmi, Gabriel zawsze pierwszy stawał pomiędzy nią a grożącym jej niebezpieczeństwem.

– Tak, i dokładnie o tym myślę, mówiąc, że tłamsicie bliźniaczki.

Zamilkła celowo. Wyczuwała jego opór, który emanował z całej jego postaci. Nie chciał słuchać jej teorii, nie chciał roztrząsać możliwości, że wraz z bratem i kuzynami mogli się mylić, mogli przesadzać. Gdyby bowiem to uczynił, musiałby powściągnąć swoją cynsterowską chęć osłaniania, a to byłoby niezwykle trudne. Alatheia świetnie o tym wiedziała.

W końcu rzucił jej niezbyt zachęcające spojrzenie.

– Dlaczego tłamsimy?

Spojrzała przed siebie, na morze głów.

– Bo nie pozwalacie im rozwinąć skrzydeł. Zamiast pozwolić na dziką swobodę i interweniować jedynie w przypadku

zagrożenia, ograniczacie je tak, żeby w ogóle nie były narażone na nic złego. – Otworzył usta, ale powstrzymała go, unosząc rękę. – Bardzo właściwe podejście w wielu dziedzinach, ale nie w tym przypadku. Spójrz tylko na nie. – Machnęła ręką w stronę sali. – Może otacza je dziesięciu dżentelmenów...

– Dwudziestu.

– Nieważne ilu. – Jej napięty głos skłonił go do spojrzenia na nią. – Nie widzisz, że to nie są właściwi mężczyźni?

Gabriel spojrzał na rojący się wokół bliźniaczek tłumek i usiłował sobie wmówić, że nic nie widzi.

– Czy potrafisz sobie poważnie wyobrazić któregoś z tych nieszkodliwych dżentelmenów jako męża jednej z nich? A może bliższe prawdy jest twierdzenie, że wy wszyscy bardzo starannie unikaliście myśli o zamążpójściu dziewcząt?

Była niczym jego sumienie, szepczące mu wprost do ucha. Nie mógł zignorować swojego sumienia.

– Przemyśle to – mruknął, umykając wzrokiem przed jej spojrzeniem. Mógłby w nim zobaczyć jedynie prawdę, którą znał.

Odetchnął głęboko, czując w piersiach ucisk, jaki zwykle odczuwał w jej obecności. Boże, ależ był przy niej skrępowany. Nawet teraz, chociaż nie rozrywali się na strzępy, tylko prowadzili bardzo, jak na nich, racjonalną dyskusję, miał wrażenie, że jakieś szpony przesuwają się po jego szyi, piersi i zaciskają wokół serca i żołądka. Znowu udało jej się nim wstrząsnąć. Czemu, do diabła, patrzyła na niego w taki sposób, szeroko otwartymi oczami, kiedy zmusił ją do cofnięcia się pod ścianę? Ten widok go poruszył. Nawet teraz czuł mrowienie, bo znajdowała się blisko.

Jak zwykle jego odruchem była chęć smagania jej słowem, żeby ją przepędzić, mimo że zawsze, gdy znajdowała się w tym samym pomieszczeniu co on, spontanicznie kierował się w jej stronę. Głupota. Wolałby móc sobie powiedzieć, że jej nie lubi. Ale nie mógł. Nie patrząc na jej groteskowy kapelusz, którego widok z pewnością by go zirytował, ponownie odetchnął głęboko i zaczął omiatać wzrokiem najbliższych gości, gotów się ukłonić i przeprosić...

Zmrużył oczy.

– Co, u licha...?

Wymruczane pytanie pozostało bez odpowiedzi, gdy szeroko uśmiechnięty lord Coleburn, pan Henry Simpkins i lord Falworth podeszli do nich.

– Tutaj pani jest. – Falworth skłonił się elegancko przed Alatheą.

– Pomyśleliśmy, że może pani potrzebuje ratunku – stwierdził Henry Simpkins, prześlizgując się spojrzeniem po Gabrielu, zanim skupił je na twarzy Alatheii. – Przed zmiążdżeniem, oczywiście.

– Istotnie panuje tu potworny ścisk – gładko odparła Alatheia.

Oczekiwała, że Gabriel przeprosi i odejdzie, tymczasem zapuścił korzenie u jej boku niczym dąb. Mając po swojej lewej ręce popiersie Wellingtona, nie mogła umknąć. Jej rycerze byli zmuszeni ustawić się półkolem przed nią i Gabrielem. Jakby byli w sądzie. Alatheia westchnęła w duchu i przedstawiła Gabriela pozostałym panom, absolutnie pewna, że znają przynajmniej jego reputację.

Szybko okazało się, że miała rację. Za pomocą najróżniejszych subtelnych uwag Coleburn, Simpkins i Falworth jasno dawali do zrozumienia, że Gabriel powinien znaleźć sobie zajęcie gdzieś indziej. Alatheia nie zdziwiła się, gdy zignorował ich sugestie, wyglądając tak, jakby powstrzymywał ziewnięcie. Może naprawdę je powstrzymywał. Natomiast ona nie. Gdyby pragnęła stać pod ścianą i rozmawiać z grupką dżentelmenów, z pewnością by nie marzyła, aby to był Coleburn, Simpkins i Falworth.

Choć nie porywała jej konwersacja z otaczającymi ją panami, odczuła ulgę, że Gabriel, w ramach ożywienia atmosfery, nie zdecydował się na precyzyjne poćwiartowanie na drobne kawałki Simpkinsa, który swoimi wystudiowanymi i niezbyt taktownymi uwagami wyraźnie wysuwał się na czoło. Lady Castlereagh nie byłaby zachwycona kałużą krwi na posadzce swojej sali balowej.

– Tak więc pani Dalrymple nalegała, żeby jechać dalej, ale powstrzymało ją ogrodzenie dla bydła na kolejnym polu. Cóż



mieliśmy robić? – Falworth rozłożył ręce. – Musieliśmy się zatrzymać na położonej w pobliżu farmie.

Pozostali panowie sprawiali wrażenie zainteresowanych opisem nieudanej wycieczki Falwortha. Oprócz Gabriela, który stał bez ruchu, jak posąg z marmuru. Alatheia westchnęła w głębi ducha i z obojętnym uśmiechem pozwoliła, by słowa Falwortha przelatowały mimo jej uszu. Przechodzący za nimi wysoki, niemal równy wzrostem Gabrielowi dżentelmen omiół ich grupkę spojrzeniem i się zatrzymał. Skinął głową Gabrielowi, po czym powrócił wzrokiem ku Alatheii.

Dżentelmen się uśmiechnął. W tym czarującym uśmiechu coś się kryło. Zanim nawet zdążyła pomyśleć, jej wargi wygięły się w odpowiedzi. Dżentelmen uśmiechnął się szerzej i pochylił głowę. Nie odrywając spojrzenia od jej twarzy, podszedł do nich takim samym swobodnym, miękkim krokiem, jaki charakteryzował Cynsterów i im podobnych.

Reakcja Gabriela była gwałtowna i natychmiastowa. Alatheia nie miała nawet czasu, żeby pomyśleć, dlaczego, z jakiego powodu jej się kłaniał.

– Chyba nie mieliśmy okazji się poznać, droga pani. Jestem Chillingworth. – Wyprostował się z wdziękiem i łypnął okiem w stronę Gabriela. – Jestem pewien, że potrafię się zachować lepiej niż obecny tu Cynster.

Po niemal obraźliwie długiej chwili ciszy Gabriel mruknął niechętnie:

– Lady Alatheia Morwellan, niejaki lord Chillingworth.

Alatheia posłała mu ostrzegawcze spojrzenie i podała rękę Chillingworthowi.

– Miło mi pana poznać. Jak się panu podobają rozrywki zapewnione przez gospodynię? – W którymś z pokoi występował kwartet smyczkowy, w innym pomieszczeniu zaś rozstawiono stoliki do gry w karty.

– Szczerze powiedziawszy, wieczór wydaje mi się odrobinę nudnawy. – Puszczając jej dłoń, Chillingworth się uśmiechnął. – Zbyt spokojny, jak na mój gust.

Alathea pytająco uniosła brwi.

– Doprawdy?

– Yhm, uważam, że miałem szczęście, napotykając panią w tym tłumie. – Jego spojrzenie pełne było uznania, zwłaszcza dla jej wzrostu. – Ogromne szczęście.

Alathea stłumiła chichot. Stojący za nią Gabriel zeszywniał. Z roześmianymi oczami zapytała:

– Zostałam wciągnięta w przygotowywanie balu dla mojej macochy. Proszę mi powiedzieć, jakie rozrywki pociągają dżentelmenów pańskiego pokroju?

Gabriel rzucił jej krytyczne spojrzenie. Alathea zignorowała je.

Podobnie zachował się Chillingworth.

– Na pewno bardzo pociągałaby mnie pani obecność.

– Dobrze, ale co poza tym?

Niemal zakrztusił się ze śmiechu.

– Ach... poza tym?

– Śmiało, Chillingworth, jestem przekonany, że kiedy się skoncentrujesz, przypomnisz sobie, co cię przyciąga na bale.

Leniwie wycedzone słowa Gabriela odwróciły uwagę Chillingwortha. Lord unióśł brwi, zmarszczył je i oparł się o popiersie.

– Niech pomyślę.

Gabriel cicho parsknął.

– Nie hordy gości. – Pochwyciwszy spojrzenie Alathej, Chillingworth ciągnął dalej. – Nie rozumiem, dlaczego element elitarności nie jest doceniany szerzej.

Gabriel, ze wzrokiem utkwionym w kręcącym się wokół tłumie, mruknął potakująco.

– Jeden Bóg wie, czemu uważają, że ocieranie się ramionami przez cały wieczór jest taką dobrą zabawą.

– Bo żadna gospodyni balu nie ma odwagi powiedzieć, że elita towarzyska to oszustwo. Musimy więc cierpieć.

– Przynajmniej my coś widzimy – mruknął Gabriel. – Ci, którzy nie widzą, muszą czuć się dużo gorzej.

– Na pewno – odparła Alatheia. – Mary, Alice i Serena połowę czasu spędzają na poszukiwaniu drogi w tłumie.

Chillingworth przypatrywał się im, przysłuchując się wymianie zdań.

– Hm. Jeśli chodzi o inne wymagania... Nawet gdy panowie tacy jak ja czy obecny tu Cynster mają słabość do sonat czy arii w operze, to obecność rzępolących skrzypiec ustawionych w jakimś kącie jedynie niepotrzebnie rozprasza.

– Rozprasza? – Alatheia popatrzyła na niego. – A w czym przeszkadza?

Zadane wprost pytanie zakłopotowało Chillingwortha. Zerknął na Gabriela.

Alatheia zacisnęła usta.

– W waszych zwykłych podbojach?

Chillingworth wyprostował się, Gabriel zaś rzucił jej zrezygnowane spojrzenie.

– Nie przejmuj się nią – poradził Chillingworthowi. – Choć może powinienem cię przestrzec, że dalej może być jedynie gorzej.

Alatheia obrzuciła go pobłażliwym spojrzeniem.

– Nie masz prawa głosu.

Przenosząc wzrok z jednego na drugie, Chillingworth skonstatował:

– Wy się znacie.

Alatheia machnęła lekceważąco ręką.

– Od urodzenia. To nie myśmy zdecydowali o tym, że się znamy, zrobiono to za nas.

Gabriel uniósł brwi.

– Ładnie powiedziane.

Zdumienie w oczach Chillingwortha nie wyparowało do końca, ale ponownie skoncentrował się na Alatheii.

– Na czym stanęliśmy?

– Na atrakcjach, które pan przedkłada ponad zwykłe podboje.

Alatheia doskonale się bawiła. Obaj panowie, Chillingworth i Gabriel, posłali w jej stronę groźne spojrzenia.

– Dobrze więc – podjął wyzwanie Chillingworth. – W planie

musi być więcej niż tylko dwa walce. Nawiasem mówiąc, moja droga, wydaje mi się, że orkiestra zamierza zademonstrować swoją przydatność i obdarzyć nas walcem. – Wyprostował się i uśmiechnął, czarująco i wyzywająco zarazem. – Czy mogę panią skusić, żeby udała się pani ze mną na parkiet?

Alathea odpowiedziała uśmiechem, w pełni gotowa, by podjąć jego wyzwanie i dać Gabrielowi szansę oddalenia się. Niemal od pół godziny przebywali w swoim towarzystwie nie docinając sobie nawzajem. Nie było sensu, żeby przeciągać strunę.

Wyciągnęła rękę.

– Doprawdy, milordzie, z wielką przyjemnością.

Gabriel zazgrzytał zębami i zmusił się do zachowania spokoju. Bóg mu świadkiem, że nie chciał tańczyć walca z Alatheą. Na samą myśl o tym dostawał gęsiej skórki. Ale... nie chciał, żeby tańczyła z Chillingworthem. I z kimkolwiek innym. Chillingworth był najgorszym wyborem, jakiego mogła dokonać spośród dżentelmenów obecnych na sali. I nie dokonała tego wyboru świadomie; chociaż miała dwadzieścia dziewięć lat, nie utraciła jeszcze skłonności do flirtowania i pozostawała łatwą ofiarą własnej lekkomyślności.

Obserwował, jak Chillingworth prowadzi ją na parkiet, a potem bierze w objęcia. Roześmiała się z jakiejś uwagi, po czym zaczęli wirować. Gabriel zachnął się w duchu, patrząc jak Alathea kusi los szeroko otwartymi oczami.

Przesunął spojrzenie i dostrzegł Lucyfera, który nadal stał na warcie, ale rozmawiał z dwojgiem przyjaciół, podczas gdy dziewczęta tańczyły. Gabriel odszukał je wzrokiem: każda znajdowała się w ramionach odpowiednio nieszkodliwego dżentelmena.

Słowa Alathej dzwoniły mu w uszach; westchnął w duchu. Pomyśli o tym. Pobiegnął wzrokiem ku tancerzom.

Walc zbliżał się już niemal do końca, kiedy Alathea zidentyfikowała wreszcie dziwne uczucie, jakie ją opanowało. Nie zaczęło się ono w chwili, gdy Chillingworth wziął ją w ramiona, ale później, kiedy rozpoczęli drugie okrążenie. Walc sprawiał jej

przyjemność. Pomimo swoich upodobań, Chillingworth był czarującym, inteligentnym dżentelmenem w każdym calu. Był bardzo podobny do Lucyfera i pozostałych Cynsterów. Traktowała go więc podobnie jak Cynsterów. Lord odpowiadał z wena, żartował. Odprężyła się.

I wtedy właśnie zaczęła odczuwać coś nowego, skupione spojrzenie wbite pomiędzy jej łopatki. Jego intensywność umożliwiła identyfikację źródła.

Kiedy Chillingworth szarmancko odprowadził ją z powrotem pod popiersie Wellingtona, Alatheia się uśmiechała. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na twarz Gabriela, w jego twarde, piwne oczy, żeby się wzburzyła. Udało jej się przebić przez jego pancerz i poruszyć sprawę bliźniaczek, więc teraz odplacał jej pięknym za nadobne i przyglądał się natrętnie, żeby ją speszyć. Stała obok niego i mruknęła:

– Nie masz nic lepszego do roboty?

– Nie.

Nie sposób było go przesunąć, toteż pozostał tam, gdzie stał. Pod koniec wieczoru była bliska popełnienia morderstwa. Ale w powozie wiozącym ją do domu musiała powściągnąć złość i przysłuchiwać się zachęcająco relacji Mary i Alice z ich poczynań. Ku jej ogromnemu zadowoleniu dziewczęta czuły się pewnie i zwracały uwagę. Kiedy wysiadły z powozu i wchodziły do domu, Alatheia wymieniła spojrzenia z Sereną. Ich kampania dobrze się rozwijała.

Ona sama czuła się znacznie gorzej. Kiedy dotarła do swojego pokoju i Nellie zamknęła za nią drzwi, poczuła się jak wulkan.

– Pewnego dnia – poinformowała Nellie przez zaciśnięte zęby – podejdzie do mnie, gdy będę miała w rękach jakieś niebezpieczne narzędzie, a wtedy skończę w Tower, i to wszystko będzie jego wina!

– W Tower? – Nelly była zupełnie zdezorientowana.

– Uwięziona za zamordowanie go! – Alatheia dała upust swojej złości. – Szkoda, że go nie widziałas! Nawet sobie nie

wyobrażasz! – Zaczęła się przechadzać przed kominkiem. – Był bardziej nieznośny, niż mogłabym się spodziewać. A wszystko tylko dlatego, że mu powiedziałam i udało mi się go przekonać, iż źle robi, tłamsząc bliźniaczki! Przestał więc je tłamsić i zabrał się za mnie!

– Tłamsić...?

– Czuwał nade mną, jakbym była jego siostrą! Próbował wypłoszyć każdego sympatycznego dżentelmena. – Odwróciła się gwałtownie, szeleszcząc wściekle suknią. – Przynajmniej nie udało mu się to z Chillingworthem, Bogu niech będą dzięki! Ale przez całą kolację... – Zabrakło jej słów; rzuciła ostre niczym brzeszczot spojrzenie w stronę drzwi. – Jeszcze nigdy nie czułam się jak kość ciśnieńta przed ogromnego psa z wyszczerzonymi zębami. A gdybyś widziała jego przedstawienie podczas drugiego walca!

Zatańczyłam już pierwszego walca z Chillingworthem i nie widziałam powodu, dla którego miałabym mu odmówić drugiego. Lord jest taki wysoki i świetnie tańczy. Ale Gabriel zachował się jak... jak przeklęty arcybiskup! Jakby sam nigdy w życiu nie tańczył walca z kobietą! – Zaplotła ręce na piersiach i dalej przemierzała pokój. – I nie chodziło o to, że sam miał chęć ze mną zatańczyć. O nie! Nigdy w życiu ze mną nie tańczył walca! Po prostu chciał być niemiły! A tak trudno mu się sprzeciwić!

Szczerze współczuję bliźniaczkom i jestem bardzo zadowolona, że udało mi się nim potrząsnąć i zmusić do dostrzeżenia problemu. Tylko że teraz skoncentrował się na mnie. – Zastanowiła się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami. – Może robił to tylko tego wieczoru, żeby mi odpłacić. Bez względu na jego motywy, mam zupełnie dość aroganckiego zachowania pana Gabriela Cynstera.

– Kogo?

Alathea spoczęła na stołku przed toaletką.

– Ruperta. Gabriel to jego przezwisko.

Nellie rozpuściła jej włosy i zaczęła je rozczesywać. Dobrze znane, miarowe pociągnięcia szczotki podziały na Alatheę uspokajająco. Wróciła myślami do sprawy, która wcześniej całkowicie ją pochłaniała, a o której niemal zupełnie zapomniała w

wirze emocji wywołanych zachowaniem Gabriela na sali balowej.

Kiedy była Alatheą Morwellan.

Wtedy było bardzo źle.

Ale jego zachowanie, gdy była hrabiną, jeszcze bardziej wymykało się spod kontroli.

– To już trwa zbyt długo. Muszę się tym zająć sama.

– Sama?

– Tak. Przejęcie przez niego kontroli nad sprawą może być niebezpieczne. To mój problem i to ja go wezwałam jako mojego rycerza. Musi się nauczyć wypełniać moje polecenia, a nie na odwrót. Muszę jasno postawić sprawę.

Będzie musiała, jako hrabina, znów się z nim spotkać.

– Muszę mu opowiedzieć o kapitanie.

To, co wydarzyło się w hotelu Burlington, już nigdy się nie wydarzy. Tamtemu po prostu sprzyjał zbieg okoliczności, miejsca, sposobności, podniecenia oraz jej słabości, które wyczuł, dostrzegł i wykorzystał.

Pozwoliła mu na to. Obiecała sobie, że tym razem nie będzie taka słaba. Nie da się tak łatwo powalić z nóg i zaciągnąć do łóżka. Nie da się.

Ale nie mogła ryzykować.

– Nie mogę zaryzykować kolejnego spotkania w ciągu dnia.

– Czemu? Nawet w dziennym świetle nie może zobaczyć twarzy, gdy ma pani pod welonem tę maskę.

– To prawda. Ale jeśli przyjrzy się uważniej i zobaczy coś więcej...

Może się domyślić. W ciągu ostatnich paru tygodni często widywał ją z bliska. Miał doskonały zmysł obserwacji, a była absolutnie pewna, że po ich ostatnim spotkaniu w hotelu Burlington cały skoncentrował się na hrabinie. Zwłaszcza kiedy się okazało, że stara się go trzymać na dystans.

– Muszę się z nim ponownie spotkać. – Zmarszczyła brwi i zabębniła palcami po blacie toaletki.

Jeśli uda jej się wyznaczyć spotkanie w bezpiecznym miejscu, gdzie nie pojawią się sprzyjające okoliczności, Gabriel

nie wykorzysta okazji.

\* \* \*

– List do pana, milordzie... eee, do pana. – Chance postawił srebrną tacę na stoliku śniadaniowym, po prawej ręce Gabriela.

– Dziękuję, Chance. – Gabriel odstawił kubek z kawą, wziął do ręki złożony kawałek białego pergaminu i rozejrzał się w poszukiwaniu nożyka do papieru.

– Och! Ach! – Chance zakolysał się i zaczął przeszukiwać kieszenie. – Proszę. – Wyciągnął mały, zardzewiały nóż. – Zrobię to.

– Nie, Chance. – Gabriel nie podał mu listu. – Sam się tym zajmę.

– Dobra. – Chance chwycił tacę i opuścił pokój.

Gabriel złamał pieczęć palcami. Zacisnął wargi i rozłożył list.

Czekał na niego od czterech dni. Był poważnie zmartwiony, że hrabina potrzebowała tyle czasu, by wezwać go na kolejne spotkanie. To opóźnienie kładło się plamą na jego reputacji, zaprzeczając wrodzonym talentom. Na szczęście list w końcu nadszedł.

Przebiegł wzrokiem parę linijek i wzniosł oczy do nieba. W powozie? Westchnął. Cóż, czegoż mógł się spodziewać? Najwyraźniej była nowicjuską w aranżowaniu schadzek kochanków.



## Rozdział 11

Noc była bezksiężycowa. Wiatr jęczał i zawodził w drzewach rosnących wzdłuż drogi wiodącej w pobliżu Stanhope Gate. Gabriel, czekający niecierpliwie w cieniu, stłumił chęć potrząśnięcia głową.

Charakter spotkania o północy przy Stanhope Gate tylko nieco odbiegał od spotkania o trzeciej nad ranem w krużgankach kościoła Św. Jerzego. Hrabina musiała czytać zbyt wiele gotyckich powieści. W tym przypadku albo zapomniała, że bramy parku są zamykane o zmierzchu, albo też liczyła na jego niezwykle talenty przy otwieraniu klódek. Oczywiście otworzył klódkę i bramę wiodącą do parku pozostawił otwartą. Zdarzało się już, że brama parku zostawała niezamknięta na noc.

Tym razem przynajmniej nie było mgły, a za to było dość światła, żeby coś zobaczyć, choć bez szczegółów.

W oddali rozległo się bicie dzwonu, pierwsze dźwięki chóru o północy. Słyszał przyłączające się kolejne zegary, a potem zamierające dźwięki. Powróciła cisza.

Stukot kół powozu był pierwszym zwiastunem, że jego oczekiwanie dobiega końca. Wiele powozów przejeżdżało Mayfair, ale było to na tyle daleko, że mógł je zignorować. Tymczasem turkot kół przybliżał się, przerywany stukotem końskich kopyt. Mały czarny powóz ze zgaszonymi lampami wtoczył się przez bramę w pograżony w ciemnościach park.

Gabriel wyszedł na ścieżkę. Woźnica skręcił, a potem zatrzymał powóz. Gabriel otworzył drzwiczki i wsiadł prosto w mrok, gęściejszy niż ciemności panujące w sypialni hotelu Burlington.

– Panie Cynster.

Gabriel uśmiechnął się w ciemnościach.

– Hrabino.

Kiedy wylądowała na jego kolanach, wydała zduszony krzyk. Odnalezienie welonu zajęło jego palcom jedną krótką chwilę, i już jego wargi przywarły do jej ust.

Postarał się, żeby to był pałacy pocałunek. Pocałunek, który zawładnie jej zmysłami, zakręci jej w głowie. Pocałunek, mający podsyć jej ogień. I jego.

Wargi hrabiny rozchyliły się, gdy tylko przesunął po ich zarysie. Topniała w jego ramionach, on zaś sztywniał coraz bardziej. Nie podniósł głowy, dopóki nie stała się oszołomiona i otumaniona, i nie mogła złapać tchu, żeby wypowiedzieć słowa, które nie dawały się sformułować w skołowanej głowie.

Wahał się jedynie przez chwilę. Ich gorące oddechy, coraz bardziej przerywane, zmieszały się w ciemności. Wyczuwał jej tęsknotę.

Zmniejszył dzielący ich dystans i przypieczętował jej los. Oraz swój.

Tym razem jednak był zdecydowany zachować kontrolę, do końca panować nad grą. Planował, knuł i fantazjował. Gotów był się założyć, że po ostatnim spotkaniu z hrabiną i sposobie, w jaki ją potraktował, zapoznając ją z pełnym spektrum doznań, nie będzie musiał czekać wiele dni, żeby do niego wróciła.

Nie odrywając od niej ust, szybko pozbawił ją płaszcza i odgarnął do tyłu welon. Potem przerwał pocałunek, żeby błędzić palcami po delikatnej skórze na jej skroniach, po łukach brwi, po gładkiej powierzchni policzków. Miała wyraźnie zarysowane kości policzkowe, długą, szczupłą szyję... U podstawy szyi wyczuł szaleńcze bicie pulsu. Głęboki dekolt sukni odsłaniał fragmenty jej pełnych piersi. Podczas gdy jego palce wędrowały, powracały wspomnienia. Rozpalała się żądza.

– Twój woźnica. Jakie instrukcje mu wydałaś?

Westchnęła drżąco. Czuł, że zmusza się do myślenia.

– Powiedziałam mu, żeby jechał powoli aleją... dopóki nie skończymy naszego spotkania.

– Doskonale. – Wyciągnął rękę i uderzył w dach powozu.

Chwilę później powóz szarpnął i niezgrabnie potoczył się naprzód.

Wyprostowała się.

– Ja...

Wstrzymała oddech, gdy Gabriel opuścił ramię i gestem

posiadacza zacisnął dłoń wokół jej piersi. Zadygotała, gdy na nią nacisnął. Znów zawładnął jej wargami, zdecydowany pozbawić ją zmysłów. Nie było to trudne. Nie opierała się. Czuła się naturalnie, jak kobieta głęboko zmysłowa, której sumienie ustąpiło przed doznaniem chwili, przed fizycznym wzruszeniem, seksualnym podnieceniem, nieopisaną radością dawania i otrzymywania. Z początku to ona dawała, a on brał. Jednak udało mu się powściągnąć, odzyskać samokontrolę i świadomie, celowo działać zgodnie ze starannie opracowanym planem, mającym za zadanie przykuć ją do niego zmysłowymi łańcuchami.

Nie odrywając ust od jej warg, sięgnął do sznurówek. Rozebranie jej z sukni nie było wielką sztuką, przynajmniej dla kogoś z jego doświadczeniem. Jednak wykonywał swoje zadanie powoli, delektując się każdym calem odsłanianego ciała. Nie czuła zimna. Grube zasłony zakrywały okna powozu. Bliskość ich gorących ciał zamkniętych w małej przestrzeni powodowała, że nie groził jej chłód. Bardzo dobrze, bowiem mając na swych kolanach jej ciepły ciężar, ramiona wypełnione rozkosznymi kształtami i wargi spoczywające na wygłodniałych ustach, nie był w stanie modyfikować swoich planów. Tej nocy los mu sprzyjał.

Uniósł ją, zsunął miękki materiał sukni z jej bioder, po czym posadził ją sobie na kolanach. Po pocałunku poznał, że napięcie hrabiny wzrosło. Zabrał się do dalszego podsycania emocji. Pogłębił pocałunek, obejmując ją mocno jedną ręką. Oparł dłoń na jej nagim udzie i gładząc najpierw jedną nogę, a potem drugą, zsunął w dół suknię i cisnął obok na siedzenie. Potem zajął się stopami hrabiny. Gdy zsunął jej bucik, zaskoczył go jego ciężar. Kiedy pozbywał się drugiego pantofla, zorientował się, że buty mają wysokie obcasy. Przesunął dłoń w górę i, parę centymetrów powyżej jej kolana, zlokalizował podwiązki.

Zaczął się nimi bawić. Zostawić? A może ściągnąć? Ponownie przeanalizował swój plan. Jej usta poruszyły się pod jego ustami; usiłowała zaczerpnąć tchu, wynurzyć się z mgły pożądania, w którą celowo ją spowijał. Przygwoździł ją zachwycającym pocałunkiem i szybko zrolował i ściągnął z jej nóg

pończochy, ciskając je tam, gdzie suknię. Pozostała odziana jedynie w jedwabną koszulę.

Przyciągnął ją do siebie, mocniej objął i odchyliwszy jej głowę, pogłębił pocałunek. Odpowiedziała żarliwie, pochwycona w pułapkę gorącej płataniny języków i ust.

Zręcznymi palcami szybko rozpiął drobne guziczki przy koszuli, aż do wysokości pępka. Gdy tylko rozpiął ostatni, zacisnął dłoń na cienkiej tkaninie. Przerywając pocałunek, uniósł koszulę do góry i jednym ruchem ściągnął ją hrabinie przez głowę.

– Och! – jęknęła, chwytając nie koszulę, lecz welon.

Położył uspokajająco dłoń na jej nagiej skórze i uśmiechnął się w ciemnościach. Pozbywszy się koszuli, wyciągnął rękę ku jej twarzy i delikatnie ujął w dłoń jej brodę.

– Twój welon nadal jest na miejscu. – To była część jego planu, żeby była cała naga, poza tym przeklętym welonem.

Gabriel wiedział. Zarzucił sobie jej ręce na szyję i pociągnął ku sobie. Pochwyił jedną nagą łydkę i rozkoszując się gładkością skóry, uniósł i przerzucił sobie przez uda, sadzając Alatheę, zupełnie nagą, jeśli nie liczyć welonu, okrakiem na swoich kolanach.

Tak. Zanim miała czas, żeby choć spróbować pomyśleć, wyciągnął obie ręce ku jej twarzy, przytrzymał mocno i złożył palący pocałunek, który pozbawił ich oboje tchu. Ich urywane oddechy się mieszały. Wsunął palce pod welon i odnalazł spinki przytrzymujące włosy. Spinki posypały się deszczem na podłogę, a ich wargi znów się spotkały. Gorąco rosło, pęczniało, nabrzmiewało.

Próbowała bardziej przybliżyć się do niego, podążyć wargami za jego ustami, ale zacisnął dłonie na jej ramionach.

– Nie. – Chociaż nie mógł nic widzieć, choć mógł jedynie odbierać wrażenia wyczulonymi zmysłami, wiedział, że była oszołomiona i spragniona, ale nie oszalała i nieprzytomna. – Jeszcze nie.

Przecież dopiero zaczęli.

– Siedź spokojnie i skup się na tym, co czujesz.

Wzdrygnęła się lekko, ale zrobiła, co jej kazał. Nie spodziewał się, że będzie się kłócić, daleko jej było do tego, lecz postępował bardzo ostrożnie i powoli. Nie miał zamiaru jej przytłaczać. Jeszcze nie teraz.

Delikatnie przeciągnął palcami wzdłuż jej ramion, łokci i przedramion, aż do przegubów, po czym splótłszy palce z jej palcami, odsunął jej ręce na bok. Była jak zahipnotyzowana. Zdawał sobie z tego sprawę, gdy znów dotknął jej piersi.

Obrzmiałe, o stwardniałych brodawkach, błagały o zainteresowanie. Przez długą, gorącą chwilę dotykał ich jedynie opuszkami palców, nasłuchując jej coraz bardziej urywanego oddechu. Następnie pochylił się do przodu i wziął w usta sutek.

Krzyk zamarł jej w gardle, a ciało wygięło się konwulsyjnie. Gabriel ssał, ściskając jedną ręką jej kolano, drugą zaś podnosząc pierś do ust. Gdy brodawka stała się obolała i pulsująca, zaczął torturować drugą.

Głowa opadła jej do tyłu, a kurtyna włosów sięgała bioder i gołych pośladków. Poczuł, że głęboko, z drzeniem, wciągnęła powietrze. Dał jej chwilę ukojenia, po czym przesunął dłonią po gładkiej skórze w dół, ku talii. Począł dotykać, głaskać i pieścić gibkie mięśnie na plecach. Odprężyła się nieco. Teraz pozwolił ręką powędrować niżej, by pieściły jej pośladki i biodra. Przyłożył otwartą dłoń do jej napiętego brzucha. Potem – obie ręce do kolan i przesunął do góry, gładząc palcami napięte mięśnie po wewnętrznej stronie ud. Zaczął przesuwać kciuki wzdłuż zagłębienia pachwin. A potem kolejny raz cofnął ręce.

Poczekał, pozostawiając ją drżącą w oczekiwaniu, w ciemności.

I dotknął jej pomiędzy rozchylonymi udami.

Wstrzymała oddech i się zatrzęsła.

Nagle uświadomiła sobie wszystko i wyciągnęła rękę. Poczuł jej palce na rękawie.

– Nie. Oprzyj ręce po bokach.

Nie posłuchała od razu, ale jego nieprzerwane pieszczoty, spokojne głaskanie dodały jej pewności siebie. Oddychała płytko,

pospiesznie, podobnie jak pospiesznie biło jej serce. Nie chciał mówić nic więcej, żeby nie przerwać czarnej chwili. Była rozpalona i wilgotna, a jej soki zwilżały mu palce. Odnalazł zwartą wypukłość pomiędzy fałdami i okrążył ją. Ale to nie był jego cel. Począł, po czym przystąpił do szturmu. Powolny ruch jego palca, nieubłagane penetrujące i wypełniające jej miękkość, przyprawił ją o spazmy. Miała tak mocno napięte wszystkie mięśnie, że drżała.

Zamarł w bezruchu.

I ponownie zaczął ją pieścić.

Nie wiedział, jak długo przeciągał tę rozkoszną torturę, ile razy niemal przywoził ją do szczytowania i pozwalał ochłonać. Wiedział tylko, że zachowywała się dziko, płakała z pragnienia, wbijała palce w jego ramiona, wpijała się gorącymi ustami w jego wargi, aż w końcu wdarł się w nią głęboko i pozwolił jej ulecieć.

Rozpadła się na drobniutkie kawałeczki w jego ramionach.

Przeklinając panujące ciemności, uniemożliwiające mu obserwowanie tego i zbieranie żniwa swojego doświadczenia, przyciągnął ją do siebie, pozwolił, by do niego przywarła, i przytulił, gdy kompletnie opadła z sił.

Przytulił ją jeszcze mocniej, czując bicie jej serca, z początku gwałtowne, potem coraz powolniejsze. Poruszyła się.

– Pragnę cię.

Wtulił usta w jej włosy.

– Wiem.

Jej oddech delikatnym podmuchem musnął jego szyję, gdy przesunęła się i wyciągnęła rękę.

– Skąd...?

Zacisnęła dłoń. Zadygotał.

– Ach...

Palce równie szybkie jak jego rozpięty guziki przy kamizelce, odchyliły koszulę. Drobne dłonie zanurzyły się pod ubranie, zaczęły gładzić, pieścić...

Słowa były zbyteczne. Przyciągnął jej biodra, przesuwał się jednocześnie na brzeg siedzenia. Spotkali się. Opadła na niego

z długim, drżącym westchnieniem. Jedyne, co był w stanie uczynić, to powstrzymać własny jęk, gdy otoczyło go jej gorące ciało. A potem stracił wszelki kontakt z rzeczywistością, gdy ta gorąca, wilgotna, szczodra kobieta zaczęła się z nim kochać w ciemności, stając się całym jego światem.

Była wszystkim, czego pragnął, tajemnicza, darząca, szalenie kobieca. W jakiś zmysłowy sposób stanowiła zwierciadło dla jego duszy. Wypełniła mu zmysły tak, że zapomniał o wszystkim i miał świadomość wyłącznie jej rozkosznego ciepła i prymitywnej żądz, jaka go opanowała. Zagłębił się w niej. Chwytał ją za biodra, uniósł i pchnął do przodu, jednocześnie opuszczając ją w dół.

Załkała i odnalazła jego usta.

Panujący w powozie mrok stał się gorącą jaskinią, wypełnioną pożądaniem, pragnieniem i czymś jeszcze. Głód, chciwość, radość, szaleństwo, jak w kalejdoskopie wirowały w ciemności. A potem wzbijała się w górę i poszybowała wyżej niż gwiazdy, a on za nią. Skończyli wstrząśnięci, ponownie narodzeni we własnych ramionach.

Dzięki leniwemu kołysaniu powozu z wolna zaczęli powracać na ziemię, ale nadal trwali bez ruchu, ciesząc się długą, boleśnie słodką chwilą, nie chcąc tracić głębokiego, sięgającego duszy porozumienia.

Nie odrywając ust od jej skroni, Gabriel wciągnął powietrze do płuc. Czuł na policzku miękkiej jedwab jej włosów. Otoczył ją ramionami, nie chciał jej puścić. Nie chciał utracić tego spokoju, który mu przyniosła. Ona i tylko ona.

Jeszcze nigdy nie osiągnął takiego stanu, nigdy nie czuł czegoś równie głębokiego. Poza doznaniem, poza światem, opływało go morze nienazwanych uczuć. Chciał je powstrzymać, odsunąć na bok. Przerazały go. Ale były jak narkotyk – bał się, że już się uzależnił.

Poruszyła się pierwsza. Usiadła, westchnęła i odgarnęła do tyłu włosy.

– Zamierzałam ci opowiedzieć...

Odniósł wrażenie, że chciała powiedzieć „zanim zacząłeś”, i to oskarżycielskim tonem. Był zbyt nasycony, żeby zrobić coś więcej, niż tylko się uśmiechnąć.

– Co? – Sięgnął po nią i pociągnął ją z powrotem w ramiona.

Uległa i się odprężyła. Pomimo swojego zdecydowania, stale była oszołomiona.

– Mój pasierb podsłuchał rozmowę u White’a, pomiędzy jakimś kapitanem i drugim mężczyzną. Kapitan mówił lekceważąco o Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota.

Gabriel zmarszczył czoło.

– Sądziłem, że twój pasierb jest zbyt młody, żeby uczęszczać do White’a.

– Owszem. To było na schodach. Przechodził St. James Street.

– Z kim rozmawiał kapitan?

– Charles nie wie.

– Hm. Nie powinno być trudno odnaleźć kapitana, który niedawno wrócił z Afryki. Są dostępne spisy statków, władze portowe, główne firmy handlowe. Ktoś musi go znać.

– Gdybyśmy mieli takiego świadka, moglibyśmy natychmiast składać sprawę w sądzie.

Ale wtedy nie byłoby pretekstu, żeby się dalej spotykać, on zaś musiał jeszcze dowiedzieć się, jak się hrabina nazywa.

Skrzywił się, zadowolony z panujących ciemności.

– Być może. To zależy, ile kapitan wie. Zajmę się nim.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Mam znajomości wśród ludzi, którzy sondują przedstawicieli afrykańskich władz w sprawie działek górniczych kompanii, szukam też innych, mogących coś wiedzieć o obecności kompanii w konkretnych miastach. A teraz powiedz woźnicy, żeby powoli jechał na Brook Street.

Usiadła, nadal mocno trzymając jego płaszcz i odchrząknęła.

– Jones!

Powóz zwolnił i się zatrzymał.



- Słucham, proszę pani?
- Na Brook Street, wiesz gdzie.
- Tak, proszę pani.

Wykorzystując fakt, że miała uniesioną głowę, Gabriel przywarł wargami do jej szyi. Udało jej się powstrzymać chichot. Westchnęła. A potem wstrzymała oddech. Chwilę później spytała, lekko oszołomiona:

- Znowu?
- Jestem zgłodniały.

Podobnie jak ona. Pospiesznie, nie zważając na nic, z pasją rzucili się na siebie, osiągając cudowny szczyt, zanim powóz zdążył wyjechać z parku.

Niestety, na Brook Street nie było specjalnie daleko. Gabriel owinął hrabinę w jej płaszcz i posadził obok siebie. Poprawił na sobie ubranie, po czym pochylił się nad nią i przywarł wargami do jej ust w długim pocałunku.

Powóz zatrzymał się i Gabriel przerwał. Zza jego ramienia światło z ulicznej lampy wąską plamą padło na jej twarz. Była wyczerpana, miała zamknięte oczy. Blask oświetlał jedynie jeden policzek, ucho otoczone pasmem miękkich, brązowych włosów, zarys szczęki i kącik ust.

Za mało, żeby ją rozpoznać.

Gabriel zawahał się, a potem przesłonił ramieniem promień światła.

– Miłych snów, moja droga.

Wymruczała słowa pożegnania miękkim, niskim głosem, głosem kochanki. Gabriel wyskoczył na ulicę i obserwował odjeżdżający powóz hrabiny. Z trudem udało mu się powstrzymać, żeby nie przywołać go z powrotem. Odwrócił się i wszedł po schodach do domu. Szukał kluczy.

Widział już gdzieś jej twarz. Zarys szczęki wydawał mu się znajomy.

Należała do jego kręgu towarzyskiego.

Ale kim była?

\* \* \*

*Psik.*

Alathea usiłowała unieść ciężkie powieki, ale szybko zrezygnowała.

*Psik.*

Tłumiąc westchnienie, ponownie spróbowała otworzyć oczy i dostrzec coś przez szparki.

– Nellie?

*Psik.*

– Tak, milady – odpowiedział zboląły głos. – *Psik.*

Alathea przekręciła się na plecy i uniosła głowę. Zobaczyła Nellie z czerwonym nosem i załzawionymi oczami. Strzepywała jej płaszcz.

– Nellie Macarthur! Idź natychmiast do łóżka! Nie chcę cię widzieć, dopóki nie poczujesz się lepiej. – Wbijając groźne spojrzenie w służącą, Alathea zmobilizowała się, żeby dodać: – Słyszysz mnie? – odpowiednio groźnym tonem.

Nellie znów kichnęła.

– Ale kto się panią zajmie? Musi pani chodzić na te wszystkie bale i przyjęcia, a pani macocha słusznie twierdzi, że...

– Przez jakiś czas może mi pomagać inna służąca. Nie jestem przecież kompletnie niezaradna.

– Ale...

– Prostsze uczesanie przez parę dni będzie prawdziwą ulgą. I nikt na to nie zwróci uwagi. – Alathea znów rzuciła jej ostre spojrzenie. – Idź już! I nie próbuj się skradać na dole. Kiedy tylko rano wstanę, natychmiast porozmawiam z Figgs.

– Dobrze – burknęła Nellie.

– Powiem Figgs, żeby ci ugotowała bulionu. Ach, i nie zajmuj sobie głowy przysyłaniem mi służącej. Zadzwoń na nią, kiedy będę gotowa.

Nellie ledwie kiwnęła głową i wyszła.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Alathea opadła z

powrotem na poduszki, zamknęła oczy i jęknęła.

Jej uda już nigdy nie wrócą do dawnego stanu.

## Rozdział 12

– Allie?

Alathea zamruwała. Z drugiego końca stołu Alice patrzyła na nią z troską w oczach.

– Wyjdiesz z nami do ogrodu? – Siedząca obok Alice Mary wyglądała na równie zmartwioną.

Alathea pospiesznie przywołała na twarz uśmiech.

– Idźcie wcześniej, ja tylko pójde po kapelusz.

Razem z nimi odeszła od stołu i w holu odłączyła się, żeby się udać do swojego pokoju po nakrycie głowy. Jednak dotarła do ogrodu dopiero pół godziny później.

Mary i Alice zaczęły już pielić, nie czekając na nią. Uśmiechnęły się do niej, gdy w końcu przyszła. Odpowiedziała uśmiechem i przyjrzała się ich wysiłkom.

– Zacznę od środkowej rabaty.

Pozostawiła dziewczęta ich marzeniom i odeszła, żeby pograć się we własnych.

Centralny klomb otaczał małą fontannę, przedstawiającą wodnego elfa, łowiącego do szerokiej misy krople tryskającej wody. Alathea rozłożyła na ziemi koło rabatki matę z rafii, uklękła na niej, założyła bawełniane rękawiczki i zabrała się do pracy.

Tymczasem jej rodzina oddawała się zwykłemu, porannym zajęciom. Jeremy i Charlie wyłonili się z za domu, ciągnąc za sobą zeschnięte gałęzie z rozrośniętych krzaków. Za pół godziny powinien się pojawić nauczyciel Jeremy'ego, a Charlie przebierze się w lepsze ubranie i wyruszy, by spędzić dzień ze swoimi kolegami z Eton.

Panna Helm i Augusta, ściskająca w objęciach wszechobecną Rose, wyszły na dwór i usiadły na ławce. Z tego, co mogła dosłyszeć Alathea, wynikało, że były zajęte lekcją botaniki. Po jakiejś godzinie razem z Mary i Alice miały wrócić do domu, żeby się umyć, przebrać i przygotować do przedpołudniowej wycieczki, jaką zorganizowała im Serena. W domu Serena przeglądała zaproszenia, wysyłała liściki i ustalała najlepsze sposoby spędzenia

sezonu. Alatheia była zadowolona, że mogła pozostawić macosze planowanie; wystarczyło, że musiała pielnić.

Żeby ukryć fakt, iż nie stać ich na drugiego ogrodnika, który zająłby się ogrodem przy londyńskim domu, wspólnie spreparowały historię o tym, że Alatheia uwielbia sadzenie i pielienie, Serena zaś uznała, iż jej córki również powinny posiadać wiedzę w kwestii tworzenia wspaniałych rabatki. Oczywiście także wszyscy dżentelmeni powinni mieć pewne zrozumienia dla kształtowania zieleni. Na szczęście planowanie grządek było szalenie modne, chociaż damy i dżentelmeni zwykle zajmowali się wyłącznie nadzorowaniem takich prac, o której to subtelnej różnicy lord, Serena i Alatheia zapomnieli wspomnieć.

Wyciągając rękę w stronę kępy trawy, wyrastającej pomiędzy krzakami bratków, Alatheia westchnęła w duchu. Wolałaby już nigdy w życiu nie widzieć żadnych chwastów, ale... Szarpnięciem wyrwała trawę i rzuciła ją na ścieżkę. Rozgarniając liście, szukała następnych chwastów.

Oczywiście, mając ręce zajęte bezmyślnym zajęciem, mogła błądzić myślami...

Nie będzie się już mogła z nim spotkać sam na sam. Nigdy. Hrabina będzie musiała zniknąć, ale jeszcze nie teraz. Mimo że ostatnią noc wspominała niezwykle miło, nie mogła ryzykować ponownej schadzki.

W powozie. Nadal nie mogła w to uwierzyć. Gdyby sama tego nie przeżyła... Czy istniało miejsce, w którym Gabriel nie mógłby... nie chciałby...

Po chwili potrząsnęła głową. Pochyliła się, usiłując ukryć uśmiech.

Na szczęście nikt tego nie wiedział. Wykrzesła w sobie dość siły, żeby kazać Jacobsowi jechać dookoła Grosvenor Square i wykorzystać ten czas na naciągnięcie na siebie koszuli, pończoch, butów i sukni. Włosy musiała pozostawić rozpuszczone. Bóg jeden wie, co pomyślał sobie Jacobs, znajdując na podłodze powozu rozsypane spinki. Pod welonem i peleryną była bezpiecznie ukryta przed wzrokiem Crispa. Crisp był jedynym służącym, który nie

spał, gdy wróciła do domu. Wydała ściśle polecenie, żeby nikt, nawet Nellie, nie czekał na jej powrót. To samo zalecenie pozostawiła owej nocy, kiedy udawała się do hotelu Burlington. Mogła tylko dziękować niebiosom, że to zrobiła.

Nikt więc nie wiedział o jej grzechach. W jej oczach nie był to grzech, tylko wyniesienie. A już na pewno cudowne przeżycie, wprowadzające w świat ziemskich błogości. Nie miała skłonności do pogrążania się w bezsensownych żalach – żyła, o mało nie umarła, a ostatniej nocy zatriumfowała. Mogła się jedynie z tego cieszyć.

Nawet teraz znajdowała się jeszcze pod wpływem uroku. Nie wyobrażała sobie, że zajęcia teoretycznie ograniczone wyłącznie do małżeńskiego łóżka mogą prowadzić do takich przeżyć, do podróży w inny wymiar, gdzie świat rozpadał się na kawałki, a królowały uczucia. Pierwsze symptomy takiego stanu miała podczas tamtej nocy w hotelu Burlington. Ostatniej nocy wyruszyli w dużo odleglejszą podróż, wśród krajobrazów o niewypowiedzianej rozkoszy.

Dotyczyło to ich obojga, nie tylko jej samej. Gabriel wyruszył w tę podróż razem z nią. Czy wynikało to z jej braku doświadczenia, czy też on także był równie oszołomiony wspaniałością przeżycia? Obojętne co, i tak dzielili ze sobą tę podróż, odkrycie, wszechogarniające nasycenie, po którym nastąpiło zanurzenie w studni głębokiego ukojenia.

To była najwspanialsza noc w jej życiu.

Jej wargi zadrżały. Musiała się zastanowić, co myślał, gdy trzymał ją nagą na kolanach. Przypuszczała, że był to element jakiegoś planu – Gabriel zawsze planował. Mocno podejrzewała, że chciał, aby czuła się zdana na jego łaskę. Musiała się roześmiać. Nie mógł wiedzieć, że siedziała przed nim naga, sycąc się przewagą, jaką miała nad nim.

To była moc. Te mroczne, zakazane chwile były nią nasycone, ale każda jego przewaga równała się przewadze, jaką zyskiwała nad nim.

Zaskoczyła go stwierdzeniem, iż go pragnie. Inne kobiety nie

byłyby takie bezwstydne. Ale Gabriel wcale się nie opierał, o nie.

Ogarnęły ją gorące wspomnienia. Klęcząc na słońcu, pograżyła się w rozmyślaniach. Tłumiony śmiech Alice przywołał ją do rzeczywistości. Zobaczyła, że trzyma w ręce bratek, wyrwany z korzeniami. Zakłęła pod nosem, wsadziła roślinę w miejsce, z którego ją wyrwała, i szybko uklepała ziemię. Potem przejrzała stos swoich „chwastów”. Kolejne dwa bratki pospiesznie powróciły na grządkę. Pozostawała jej jedynie nadzieja, że jeśli zwiędną, na klombie nie pozostaną dziury.

Wzdychając w duchu, przysiadła na piętach, ignorując mrowienie w łydkach. Musiała przestać myśleć o minionej nocy. Musiała zdecydować, jak ma dalej postępować. Wyglądało na to, że może się czuć bezpieczna jedynie na zatłoczonej ulicy w środku dnia, na dodatek mając twarz zakrytą welonem.

Łatwo byłoby się z nim porozumieć listownie, ale nie wiedziała, jak mógłby jej odpowiedzieć. A знаła go zbyt dobrze, żeby ryzykować; jeśli całkowicie przerwie kontakty, zacznie ją tropić. Nie po to, żeby poznać, kim jest, ale żeby ją znaleźć. Będzie bardzo zdecydowany, nie do powstrzymania.

I w jakiej sytuacji by się wówczas znalazła?

Nie chciała nawet o tym myśleć.

Nie. Folwell nadal będzie śledził poczynania Gabriela. Jeśli okaże się to konieczne, będzie mu wysyłać liściki, a kiedy wpadną na trop czegoś ważnego, spotka się z nim na Grosvenor Square. Skłoniło ją to do zastanowienia, co jeszcze można zrobić, żeby posunąć do przodu ich dochodzenie. Mgliste wspomnienie pamiętników lady Hester Stanhope spowodowało, że odwróciła głowę i starannie przyjrzała się rabacie. Podniosła się z kolan, otrzepała rękawiczki i ściągnęła je z rąk. Idąc wzdłuż długiej grządki, demonstracyjnie przyjrzała się postępowi prac i kiwnęła głową.

– Na dziś dość już zrobiłyśmy. – Napotkała błyszczące spojrzenia Mary i Alice. – Chcę jeszcze raz zajrzeć do Hookhams. Macie ochotę pojechać ze mną?

– O tak!

– Teraz?  
Alathea zawróciła w stronę domu.  
– To będzie błyskawiczny wypad. Jestem pewna, że wasza mama się zgodzi.

\* \* \*

To, czego szukała, znalazła w biografii podróżniczki – dokładną mapę środkowo-wschodniej Afryki, uwzględniającą nie tylko największe miasta. Z mapy dowiedziała się, że Fangak, Lodwar i Kingi, a właściwie Kafia Kingi, to naprawdę nazwy miast, chociaż bardzo małych.

W domu panowały spokój i cisza. Światło ze stojącej na biurku lampy padało na otwartą książkę. Żarzące się na palenisku węgle ogrzewały noc. Każdą wolną chwilę w ciągu dnia wykorzystywała, żeby przejrzeć stos biografii i dzienników, które pożyczyła u Hookhamsa. W końcu udało jej się znaleźć coś konkretnego.

Doszła do wniosku, że informacja była korzystna, dawała im przynajmniej coś, co mogli sprawdzić. Na pewno uda im się znaleźć, poza osobą tajemniczego kapitana, jeszcze kogoś, kto będzie znał tamte tereny, skoro teraz już wiedziała, gdzie to jest.

Stojący przy schodach zegar wybił godzinę. Trzecia, początek kolejnego dnia. Tłumiąc ziewnięcie, Alathea zamknęła książkę i podniosła się. Był już najwyższy czas, żeby iść spać.

\* \* \*

Następnego dnia całe popołudnie spędziła w szacownych salach Royal Society.

– Niestety – poinformował ją sekretarz Towarzystwa, przyglądając się jej zza grubych szkieł binokli – w tej chwili nie ma w planie żadnych wykładów na temat Afryki Środkowo-Wschodniej.

– Och. Czy Towarzystwo może polecić jakiegoś eksperta w tej dziedzinie, z którym mogłabym się skonsultować?

Mężczyzna zacisnął usta, spojrzął na nią, po czym skinął



głową.

– Proszę usiąść, zaraz sprawdzę nasze spisy.

Alathea przysiadła na drewnianej ławce pod ścianą i po piętnastu minutach doczekała się powrotu sekretarza, który kręcił głową i wyglądał na strapionego.

– Nie mamy żadnego eksperta w sprawach Afryki Wschodniej – poinformował ją. – Jest trzech ekspertów, którzy znają się na Afryce Zachodniej, ale nie na Wschodniej.

Alathea podziękowała mu i wyszła. Na schodach przystanęła, zastanowiła się i ruszyła do powozu.

– Gdzie możemy znaleźć kartografów sporządzających mapy miast, Jacobs?

Odpowiedź brzmiała: Strand. Dopytywała się w trzech różnych miejscach i wszędzie uzyskała tę samą odpowiedź. Kreśląc mapy środkowo-wschodniej Afryki, kartografowie polegałi na notatkach podróżników. Owszem, aktualne mapy tamtych obszarów były niezwykle ubogie w szczegóły, ale czekali na potwierdzenie.

– Byłoby niedobrze, panienko – pouczył ją pewien szalenie zasadniczy dżentelmen – gdybyśmy publikowali mapy, na których widniałyby miasta, o których istnieniu w tamtym rejonie nie byłibyśmy absolutnie przekonani.

– Rozumiem. – Alathea, która już miała odejść, odwróciła się. – Czy ci podróżnicy, na których potwierdzenie czekacie, przebywają teraz w Londynie?

– Niestety nie, panienko. Aktualnie wszyscy są w Afryce.

Nie pozostało jej nic innego, jak uśmiechnąć się i wyjść. Pokonanej. Powróciła na Mount Street, czując się niezwykle znużona.

– Dziękuję, Crisp. – Wręczyła odźwiernemu kapelusik. – Chyba posiedzę trochę w bibliotece.

– Oczywiście, proszę pani. Czy podać herbatę?

– Bardzo proszę.

Ale herbata, która się pojawiła, niewiele pomogła na uczucie bezradności, jakie ją ogarnęło. Zawsze wtedy, gdy sądziła, że

znajduje się bardzo blisko ustalenia konkretnych faktów, dowody znikają. Jej nadzieje urosły, po czym legły w gruzach. Tymczasem czas mijał. Dzień, w którym Crowley zażąda realizacji weksli, zbliżał się nieubłaganie.

Alathea westchnęła. Odstawiła pustą filiżankę i przymknęła oczy. Może kiedy odpocznie parę minut...

\* \* \*

– Śpisz?

Uświadomiwszy sobie, że istotnie zasnęła, Alathea uśmiechnęła się na widok małej buzi Augusty.

– Witaj, kochanie. Gdzie dzisiaj byłaś?

Uznawszy pytanie za zaproszenie, Augusta wdrapała się Alathej na kolana i usiadła tak, by widzieć jej twarz. I zaczęła zabawiać Alatheę szczegółową relacją ze swych poczynań w ciągu całego dnia. Alathea słuchała, od czasu do czasu zadając pytanie i w razie potrzeby wtrącając pełne zrozumienia bądź współczucia komentarze.

– Widzisz więc – podsumowała Augusta, przytulając do siebie lalkę Rose i przysuwając się bliżej, tak by móc oprzeć głowę na piersi Alathej – że był to szalenie wypełniony dzień.

Alathea zachichotała i pogłaskała Augustę po włosach. Drobną ramionką, drobne ciało przytulało się mocno do jej boku. Poczowała silne, emocjonalne przyciąganie; Augusta była dla niej jak córka, którą bardzo pragnęłaby mieć. Natychmiast odsunęła od siebie te myśli. Była wyraźnie przemęczona.

Za wiele spotkań.

Nagle Augusta poruszyła się i usiadła prosto. Powąchała szyję Alathej.

– Pachniesz dzisiaj wyjątkowo ładnie.

Uśmiech Alathej zastygł na ustach; uświadomiła sobie znaczenie uwagi dziewczynki.

Pachniała perfumami hrabiny.

Dobry Boże! Zamknęła oczy. Co by się stało, gdyby natknęła się gdzieś na Gabriela? Była przecież w mieście i to niezbyt daleko

od St. James, gdzie często się pojawiał.

– Chodź ze mną, skarbie. Muszę pójść na górę, żeby się umyć przed obiadem.

Zanim ktokolwiek zauważy, że nie jest taka jak zwykle.

\* \* \*

Dwa dni później Alathea siedziała z Jeremym w pokoju do nauki, z Augustą na kolanach. Przed nimi leżał otwarty atlas, wypożyczony od Hookhamsa. Nagle w drzwiach pokazała się zadyszana pokojówka.

– Bardzo proszę, lady Alatheo – zawołała – najwyższy czas, żeby zaczęła się pani ubierać.

Alathea zauważyła, że dziewczyna nerwowo zaciera ręce, spojrzała więc na zegarek stojący na kominku. I zrozumiała nerwowość służącej.

– Rzeczywiście. – Podniosła Augustę i z czułym pocałunkiem posadziła ją na krześle. Napotkawszy spojrzenie Jeremy'ego, dorzuciła: – Zajmiemy się tym jutro.

Jeremy, szczęśliwy, że udało mu się uniknąć zawilości geografii Afryki, roześmiał się od ucha do ucha i zwrócił się do Augusty:

– Chodź, Gussie. Możemy się pobawić w berka przed kolacją.

– Nie jestem Gussie. – Ton protestu Augusty nie wróżył niczego dobrego perspektywie spokojnego wieczoru.

– Jeremy... – Stojąca przy drzwiach Alathea przeszła go spojrzeniem.

– No dobrze. Niech będzie Augusta. Tak czy inaczej, chcesz się bawić czy nie?

Widząc, że pozostawia ich we względnej zgodzie, Alathea pospieszyła do swojego pokoju. Zanim do niego dotarła, była chyba jeszcze bardziej podniecona niż młoda służąca. Mieli być na kolacji u Arbuthnotów, a potem na balu, wydawanym przez ich starych przyjaciół w celu formalnego wprowadzenia ich wnuczki do towarzystwa. Była to ważna uroczystość. Spóźnienie się na taką

kolację, niespowodowane jakimś kataklizmem, stanowiłoby niewybaczalny grzech. Ale służąca, która dotychczas pomagała jej przygotowywać się do balów, których nie poprzedzały kolacje, nie zorientowała się, że uroczystość rozpoczyna się wcześniej niż zwykle. Uświadomiła to sobie dopiero na widok Sereny, Mary i Alice, zajętych szykowaniem się na przyjęcie.

Alathea starała się opanować panikę, jaka ją ogarnęła, gdy rozejrzała się po pokoju i nie dostrzegła ani śladu koszuli, pończoch, o sukni, rękawiczkach i torebce nie wspominając... Nellie zawsze wcześniej miała wszystko przygotowane, ale z nową służącą musiała dokładnie ustalać każdą część garderoby.

Przez króciutką chwilę Alathea rozważała pomysł okropnego bólu głowy, ale to postawiłoby starą lady Arbuthnot wobec problemu nieparzystej liczby gości przy stole. Tłumiąc westchnienie, kiwnęła ręką na służącą.

– Szybko. Pomóż mi z tymi tasiemkami. – Przynajmniej czekała na nią przygotowana ciepła woda do mycia.

Ściągając suknię i myjąc się pospiesznie, wydawała wartki potok poleceń dotyczących elementów stroju. Nie spuszczała wzroku z małej pokojówki, upewniając się, że każda część szykowanej garderoby była właściwa. Ubieranie się w rozgardiaszu było dla niej jednym z najgorszych koszmarów. Nienawidziła wymuszonego pośpiechu, a już zwłaszcza w przypadku tak ważnego wydarzenia, podczas którego jej wygląd miał być przedmiotem uważnych oględzin ze strony najdociekliwszych oczu z towarzystwa. Wycierając twarz ręcznikiem, Alathea potrząsnęła głową.

– Nie, nie te. Moje pantofelki do tańca. Te bez obcasów.

Popędziła w stronę łóżka, jednocześnie zdejmując lnianą koszulę i naciągając przyjemny, chłodny jedwab. Na szczęście obecnie panująca moda pozwalała jej nie przejmować się halkami. Założyła przez głowę suknię z jedwabnej krepy w kolorze bursztynu, obciągnęła ją w dół, poprawiła, okręciła się i pozwoliła pokojówce zasznurować górę. Gdy tylko ostatnia tasiemka została zawiązana, popędziła do toaletki, opadła na stołek i wsunęła ręce

we włosy.

Na podłogę poleciały szpilki.

– Szybko, musimy je zapleść. – Na bardziej wymyślne uczesanie brakowało czasu.

Dopiero w chwili, gdy służąca kończyła zaplatać jej włosy, Alatheia uświadomiła sobie, że do ułożenia korony potrzebne są dwa warkocze. Przez chwilę patrzyła tępo przed siebie, po czym machnięciem ręki odsunęła pokojówkę.

– Spróbujmy. Jeśli uda nam się tak zrobić, może nie zostanie poddane krytyce.

Podwinęła pod spód połowę grubego warkocza, a cieńszy koniec okręciła u nasady włosów i związała. Chaotycznie wsuwała szpilki z prawej i lewej strony, od dołu i od góry, usiłując osiągnąć fryzurę, która mogłaby zostać uznana za rodzaj plecionego koczka.

– Gotowe! – Potrząsnęła głową, żeby się upewnić, że włosy są mocno upięte, a następnie szybko puściła swobodnie pasma, aby tworzyły miękkie obramowanie twarzy. Jeszcze jedno sprawdzenie trwałości fryzury i skinęła głową.

Otworzyła szufladę i zaczęła przeglądać nakrycia głowy. Wydobyła delikatną siateczkę, gęsto naszywaną złotymi paciorkami i się skrzywiła.

– To musi wystarczyć. – Umieściła siateczkę na włosach tak, żeby dolny jej kraniec podwijał się pod pleciony koczek, i przymocowała szpilkami.

Za drzwiami pokoju rozległy się głosy Mary i Alice, a potem ich pospieszne kroki na schodach.

– Bizuteria. – Gwałtownie otworzyła szkatułkę i zamrugwała. – Och. – Jej ręka zawisła nad starannie ułożoną zawartością puzderka.

– Pozwoliłam sobie uporządkować biżuterię, panienko. Nellie powiedziała, że codziennie powinnam ją odkurzać i czyścić.

Alatheia rzuciła zdumione spojrzenie na pełną nadziei twarz służącej.

– Tak... dziękuję. Wszystko w porządku.

Tyle że teraz nie miała zielonego pojęcia, gdzie znajdowały

się jej kolczyki z perłami i pasujący do nich wisiorek. Wsunęła palce w stos biżuterii i przeglądając ją, odnalazła kolczyki. Szybko włożyła je w uszy.

– Allie! Jesteś gotowa?

– Otwórz drzwi – poleciała służącej Alathea. Gdy tylko drzwi stanęły otworem, zawołała: – Już idę! – I ponownie zaczęła przetrząsać szkatułkę.

W jednym rogu dostrzegła flakon ze szkła weneckiego z perfumami hrabiny. Po ostatniej pomyłce postanowiła nie ryzykować więcej i pozostawiła drugą, identycznie wyglądającą buteleczkę, zawierającą jej zwykłe perfumy, na stole. Palce natrafiły w końcu na złoty łańcuch, którego poszukiwała. Wyciągnęła łańcuch i wisiorek z perłą i przyłożyła do szyi.

– Pospiesz się.

Palce młodej pokojówki pewnie zapięły łańcuszek na szyi Alathei w chwili, gdy Mary stanęła w drzwiach.

– Powóz zajechał! Mama mówi, że już musimy wsiadać!

– Już idę. – Alathea chwyciła flakon, stojący na stole, spryskała się obficie perfumami i okręciła się gwałtownie: – O nie! Nie ta torebka! Ta mała, złota!

Służąca zaczęła szukać; szale i torebki kolejno wylatywały do góry.

– Czy ta?

Alathea pochwyciła szal i ruszyła ku drzwiom.

– Tak!

Wymachując torebką, pokojówka popędziła za nią korytarzem. Alathea zarzuciła szal na ramiona, chwyciła torebkę, sprawdziła, że jest w niej chusteczka do nosa i szpilki do włosów, po czym przyspieszyła kroku, przeskakując po dwa stopnie schodów, biegnąc po wyłożonej kafelkami podłodze w przedpokoju, przemykając przez przytrzymywane przez Crispa drzwi na dwór, zbiegła po schodach i wskoczyła do powozu.

\* \* \*

W sali balowej lady Arbuthnot panował nieopisany ścisk.

Gabriel przybył najpóźniej, jak tylko mógł. Zaczął krążyć pośród gości, sokolim wzrokiem wypatrując tych, którym najbardziej zależało na spotkaniu go, by trzymać się od nich z daleka. Jedno z czołowych miejsc na liście osób, których powinien unikać, zajmowała lady Agatha Herries. Nie zauważył jej wcześniej. Nagle znalazła się dokładnie na jego drodze. Nie mając innego wyjścia, zatrzymał się. Uśmiechała się do niego filuternie i położyła rękę na jego rękawie.

– Gabriel, kochanie.

Uklonił się.

– Witaj, Agatho.

Jego głos brzmiał mało zachęcająco. Pomimo to lady Herries uśmiechnęła się szerzej, a w jej oczach pojawił się wyraz zamyślenia.

– Może moglibyśmy poszukać gdzieś spokojniejszego miejsca.

– Po co?

Przyjrzała mu się uważnie, po czym spuściła oczy i powoli przesunęła dłoń wzdłuż jego ramienia.

– Chciałabym ci przedstawić pewną propozycję. Dość osobistą.

– Możesz mi tu powiedzieć. W tym zgiełku nikt nic nie usłyszy.

Pomysł niezbyt jej się spodobał, ale znała go zbyt dobrze, żeby nalegać.

– Dobrze. – Rozejrzała się, po czym wyszeptała: – Chyba niedługo będziesz zmuszony wybrać sobie żonę. Chciałabym, żebyś dokładnie wiedział, jakie masz możliwości.

– Rzeczywiście?

– Mam nadzieję, że przypominasz sobie moją córkę Clarę. Została dobrze przygotowana do roli posłusznej, układnej żony i chociaż nasz majątek i tradycje rodu nie równają się z Cynsterami, na pewno znajdują się środki, żeby te różnice jakoś zrekompensować.

Pomruk w jej głosie i lubieżny blask w oczach nie

pozostawiał wątpliwości, na czym owa rekompensata miałaby polegać. Gabriel spojrział na nią chłodno i pozwolił, żeby maska towarzyskiej grzeczności opadła z jego twarzy, odsłaniając pogardę i niechęć. Lady Herries pobladła i odsunęła się nieco, po czym musiała przeproszać damę, którą popchnęła. Kiedy ponownie spojrzała na Gabriela, jego twarz znów była obojętna.

– Zostałaś źle poinformowana. Nie szukam żony. – Pochylił głowę. – A teraz przeproszam.

Ominął lady Herries i ruszył przez salę, poszukując nie żony, ale wdowy. Kiedy ją znajdzie, najpierw skręci jej kark i zada parę wyrafinowanych tortur, a dopiero potem zastanowi się nad jej poślubieniem.

Ale najpierw musi ją znaleźć. Powinna tu być. Był tu niemal każdy, kto się liczył. Gabriel nie miał najmniejszych wątpliwości, że należała do elity, do jego kręgu. Gdzie więc była?

Pod elegancką, pełną dystansu fasadą ogarniała go frustracja. Był przekonany, że już następnego dnia, po ich wspólnej nocnej przejażdżce, otrzyma od hrabiny kolejne wezwanie. Nie otrzymał. Cały wieczór spędził w domu z Chance'em, który zaglądał wciąż z holu i zastanawiał się, czemu nigdzie nie wychodzi. Poskramiając niecierpliwość, co nie było łatwym zadaniem po owym nocnym spotkaniu i burzliwych emocjach, jakie hrabina w nim rozbudziła, czekał w domu przez kolejną noc, ale bez rezultatu.

Teraz był głodny, piekielnie spragniony, nie tyle jej, ile przekonania, że hrabina należy do niego, informacji o tym, gdzie była, żeby móc jej dotknąć, kiedy tylko zechce. Był spięty, przepelniony żądzą posiadania silniejszą, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się odczuwać w całym swoim hulaszczym życiu. Musiał się dowiedzieć, kim jest, gdzie mieszka, z kim przebywa.

Jego egzemplarz *Księgi rodów* Burke'a zaczął go przyciągać hipnotyczną siłą. Wiele razy przyłapywał się na rozważaniu, czy nie sięgnąć po oprawione w skórę tomisko. Ale obiecał... dał słowo... słowo Cynstera.

Całą ostatnią noc spędził samotnie, zastanawiając się, w jaki sposób obejść złożoną obietnicę. Jego ciotka Helena na pewno



wiedziałyby, kim jest hrabina. Zawsze wiedziała, kto jest czyim synem, kto ostatnio zmarł, kto poślubił młodą dziewczynę. Niestety, ciotka Helena natychmiast poinformowałaby o jego zainteresowaniu matkę, a tego wolał uniknąć. Przez wiele godzin rozważał myśl, by zdać się na łaskę Honorii i poprosić ją o radę. Udzieliłaby jej, ale musiałby za to zapłacić; niczego nie był równie pewien jak tego. Obecna księżna St. Ives nie należała do osób, które przepuściłyby mogącą się już nigdy nie powtórzyć okazję. Fakt, że w ogóle zastanawiał się nad możliwością spytania matki o radę, była miarą jego desperacji. W końcu doszedł do wniosku, że złożona obietnica, tak zręcznie sformułowana przez hrabinę, zanadto go ograniczała i zawężała pole manewru. Zdany na własną pomysłowość, pojawił się tu dziś wieczorem wyłącznie w celu jej wytropienia.

Hrabiny – jego hurysy – kobiety, która opętała jego duszę.

Podniósł głowę i rozejrzał się po pomieszczeniu. Hrabina nie była w stanie ukryć swojego wzrostu. Na balu obecnych było wiele wysokich pań, ale znał je wszystkie. Żadna z nich nie mogła być nieuchwytną hrabiną. Zauważył, że Alatheia tańczyła właśnie z Chillingworthem. Spojrzał w inną stronę. Na szczęście był to kotylion, a nie walc.

– Tutaj jesteś. No wreszcie!

Przez tłum przedarł się Lucyfer. Gabriel pytająco uniósł brwi. Brat wbił w niego wzrok.

– Chodzi o bliźniaczki, oczywiście!

Gabriel rozejrzał się i dostrzegł swoje jasnowłose kuzynki na parkiecie.

– Tańczą.

– Wiem o tym – wycedził przez zęby Lucyfer. – Ale najwyższa pora, żebyś przejął dyżur.

Gabriel jeszcze przez chwilę przyglądał się dziewczętom, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Lucyfera.

– Już nie. Nie potrzebują straży. Wystarczy, że tu będziemy, gotowi do pomocy.

Lucyfer nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Chyba nie mówisz poważnie?  
– Najzupełniej. Są w połowie swojego drugiego sezonu.  
Znają zasady. Nie są naiwne.  
– Wiem o tym. O Boże, przecież są diabelnie sprytnie. Ale to kobiety.  
– Zauważyłem. Zauważyłem też, że nie są zachwycone naszymi staraniami. – Gabriel przerwał, po czym dodał: – I mogą mieć uzasadnione powody, żeby nas oskarżać o nadmierne wtrącanie się w ich życie.  
– Alatheia rozmawiała z tobą, prawda?  
– Z tobą też.  
– No tak... – Lucyfer odwrócił się, żeby spojrzeć na bliźniaczki. Po chwili dodał: – Naprawdę sądzisz, że to bezpieczne?

Gabriel wpatrywał się w dwie jasnowłose głowy, wirujące w tańcu. – Bezpieczne czy nie, ale myślę, że musimy zaryzykować.

– Spojrzał na Lucyfera. – Nie wiem, jakie są twoje plany, ale ja mam jeszcze jedną pieczeń do upieczenia.

– Doprawdy? – Jedna brew Lucyfera zadrżała. – A ja myślałem, że twój wyjątkowo ponury nastrój związany jest z przymusową abstynencją.

– Nie zaczynaj – niemal warknął Gabriel.

Lucyfer oprzytomniał.

– Kim ona jest?

Gabriel odwrócił się i zagłębił w tłumie, pozostawiając brata z uniesionymi brwiami.

Kimkolwiek by była, musiała znajdować się w pobliżu. Trzymając się tego przekonania, Gabriel zaczął przemierzać salę.

\* \* \*

Alatheia wracała właśnie z pokoju wypoczynkowego, gdzie się schroniła przed coraz bardziej natarczywymi wielbicielami, gdy w tłumie wpadła na Gabriela. Ponieważ przedzieranie się w takim ścisłku wymagało stałego kluczenia, żadne z nich, pomimo wysokiego wzrostu, nie zauważyło wcześniej drugiego. Nagle

więc znaleźli się twarzą w twarz, i to bardzo blisko siebie.

Oboje aż podskoczyli. Alatheia dostrzegła jego niechęć i zaczęła się modlić w duchu, żeby uznał jej reakcję za najzwyczajniejsze zaskoczenie, a nie potężny wstrząs. Zaczęła oddychać trochę nieregularnie i wbiła w niego spojrzenie szeroko rozwartych oczu. Znajdowali się tak blisko siebie, że czuła przez skórę jego siłę i ciepło, które ogarnęły ją całą. Lekko zachwiała się w jego stronę, ale zapanowała nad sobą. Niech Bóg ma ją w swojej opiece! Czy już zawsze tak będzie?

Zmrużył oczy. Przeniósł wzrok na jej obszytą paciorkami siateczkę na włosach.

– Może to i złoto, ale...

Z pomocą przyszedł jej przyływ złości.

– To nie jest żadna tandeta. Jeśli ośmielisz się coś takiego powiedzieć, to... – Zmierzyła się z nim spojrzeniem na tyle długo, że poczuła, iż musi uciekać. – Nie mam ci nic do powiedzenia i wątpię, żebyś chciał mi odpowiedzieć coś miłego. Mam coś lepszego do roboty, niż stać tutaj i krzyżować z tobą miecze.

– Doprawdy?

Tym słowom towarzyszyło irytujące uniesienie jednej brwi.

– Doprawdy. I nie życzę sobie twoich opinii.

– Bo mogą być prawdziwe?

– Abstrahując od ich słuszności, twoje opinie ani mnie grzeją, ani ziębią. – Z tymi słowami usiłowała go wyminąć, ale tłum był tak gęsty, że nie mogła przejść.

Obrzucił badawczym spojrzeniem jej twarz. Modliła się, żeby niczego nie zauważył. Następnie przechylił głowę i usunął się z przejścia.

Rzuciła mu spojrzenie pełne wyższości i ruszyła do przodu. Otarła się piersią o jego ramię, jej udo dotknęło jego nogi. Zadrzała tak, że omal nie straciła władzy w nogach. Wstrzymując oddech, ze sztywnymi plecami, oddaliła się. Nie miała odwagi, żeby spojrzeć za siebie.

Gabriel poczekał, by napięte na skutek jej dotknięcia mięśnie się rozluźniły. Kiedy poczuł, że jego płuca zaczynają pracować

normalnie, głęboko wciągnął powietrze...

Była blisko.

Natychmiast rozejrzał się po otaczającym go tłumie. Żadna kobieta, znajdująca się w polu widzenia, nie była dość wysoka, ale nie mógł pomylić tego zapachu. To była jej kwintesencja, zapach, który prześladował go w snach. Ponownie odetchnął głęboko. Zapach perfum nadal był silny, ale rozplýwał się w powietrzu. Była bardzo blisko... Jego mięśnie stwardniały niczym skała. Powoli odwrócił się i wbił wzrok w szczupłe plecy niezwykle wysokiej kobiety, która chwilę wcześniej stała obok niego.

Niemożliwe.

Przez jedną króciutką chwilę jego umysł odrzucał to, co wykrzykiwały jego zmysły.

A potem świat roztrzaskał się na milion kawałeczków.

Alathea czuła na plecach wzrok Gabriela, jak nóż wbity pomiędzy łopatki. Ścisnęło ją w piersiach. Z panicznym skurczem żołądka zerknęła do tyłu.

Przedzierał się przez tłum w jej stronę. Napotkała jego spojrzenie, pełne prymitywnego wyrazu. Na moment sparaliżował ją ten widok. Ale pospiesznie odwróciła się i starała się odejść jak najszybciej, przemknąć przez tłum i uciec z balu. Ale tłum wyłącznie gęstniał. Lady Hendricks zawołała coś do niej, machając ręką, i Alathea musiała się zatrzymać, uśmiechnąć, przywitać. Potem znów ruszyła w swoją stronę, klucząc, prześlizgując się, rozpaczliwie poszukując najprostszej drogi wśród ścisku...

Silne palce zacisnęły się wokół jej łokcia.

Zamarła. Jednak w chwili, gdy pod wpływem paniki poczuła przyplýw nowych sił, pochylił głowę i mruknął:

– Nie wysilaj się.

Musnął ustami jej ucho. Udało jej się opanować drzenie i wyprostować. Stał z jej prawego boku, trzymając za łokieć jak w imadle. Nawet bez jego ostrzeżenia wiedziała, że z tego uchwytu nie da się wyrwać. Widziała też, że jest wściekły. Bardziej niż wściekły. Wszystkimi porami emanował z niego palący gniew. Czym się zdradziła?

– Tędy.

Patrzył ponad morzem głów. Skierował ją w kierunku jednej ze ścian. Zmuszała się, żeby poruszać nogami. Nie mogła urządzić sceny, nie tutaj. W swym obecnym stanie stać go było na wszystko, nawet na chwycenie jej, przerzucenie sobie przez ramię i wyniesienie na ulicę. Jego raz rozbudzona złość stanowiła siłę, której można było wyłącznie ulec. W takiej chwili prowokowanie go byłoby głupotą. Kiedy przesuwali się w kierunku ściany, starała się zebrać myśli, przygotować argumenty i zmobilizować siły na to, co miało jeszcze nastąpić.

Zauważyła drzwi dopiero w momencie, gdy przed nimi stanęli. Otworzył je i wprowadził ją do nieoświetlonego i na szczęście niewypełnionego ludźmi korytarza. Zatrzymał się dopiero na jego końcu, gdzie przez wysokie okno z rozsuniętymi zasłonami wlewało się światło księżyca.

Ustawił Alatheę dokładnie w srebrzystej poświacie i popatrzył na nią.

Pożerał ją wzrokiem, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Jego oblicze było jak wyrzeźbione z kamienia, twarde, o ostrych krawędziach. Z zaciśniętymi ustami przyglądał jej się badawczo spod w półprzymkniętych powiek, tak że nie widziała jego oczu. Zatrzymał wzrok na jej szczęce, a potem unióś powieki i spojrzał jej prosto w oczy. Przez długą chwilę mierzyli się spojrzeniami. Z nerwami napiętymi do granic wytrzymałości zastanawiała się, co mógł zobaczyć.

– To byłaś ty.

Ton głosu Gabriela nie dopuszczał możliwości jakiegokolwiek dyskusji, chociaż okraszony był nutą zdumienia. Uniosła brwi.

– O czym mówisz, na Boga?

Również unióś brwi, ale nie zmienił wyrazu twarzy.

– Zaprzeczasz? Nie potrafisz wymyślić nic lepszego?

– Ośmielałam się zauważyć, że gdybym wiedziała, jaki poroniony pomysł wylał się w twoim chorym mózgu, mogłabym lepiej odpowiedzieć na to pytanie, ale skoro nie wiem, zaprzeczenie jest chyba najbezpieczniejszym wyjściem. –

Odwróciła wzrok, bojąc się, że jeśli dłużej będzie mu patrzyła w oczy, zobaczy w ich brzoźnie, jak dobrze ją zna, także fizycznie. A wówczas sama przypomni sobie ich wspólną noc i ogarnie ją słabość, on zaś rzuci się na nią.

Dotyk palców na twarzy spowodował, że ugięły się pod nią kolana.

– Och, dobrze wiesz, nie ma potrzeby zaprzeczać. – Mówił przez zaciśnięte zęby, a z jego słów biła wściekłość. Zawahał się, po czym dodał: – Zdradziły cię perfumy.

Perfumy?

Młoda pokojówka. Sprzątała. Opróżniła jej szkatułkę, wykładając biżuterię na stół. Potem wkładała wszystko z powrotem do środka. Dwa identyczne flakoniki, jeden wyjęła, drugi wsadziła do szkatułki.

Spojrzała bezradnie, a jej usta zaczęły się układać do wypowiedzenia „och”. Alathea zmobilizowała się jednak i wbiła w niego wzrok.

– Co z moimi perfumami?

Uśmiechnął się bez śladu rozbawienia.

– Za późno.

– Nonsens! – Wysunęła brodę z uchwytu jego palców. – To popularny zapach i śmiem twierdzić, że wiele pań go używa.

– Być może, ale... żadna z nich nie jest taka wysoka. I taka zdolna. W dziedzinie otwierania zamków.

Alathea zmarszczyła czoło.

– Czy mam rozumieć, że poszukujesz jakiejś kobiety, wysokiej, która używa tych samych perfum co ja i umie otwierać zamki?

– Nie. Masz zrozumieć, że właśnie ją odnalazłem.

Dźwięcząca w jego głosie pewność zmusiła ją do uniesienia oczu. Pochwycił jej spojrzenie. Jego wzrok powędrował ku jej ustom. Pojawiło się pomiędzy nimi podstępne, hipnotyczne przyciąganie...

Podszedł bliżej. Oddech uwiązał Alathei w krtani. Zaczęła dygotać...

Drzwi prowadzące na salę balową otworzyły się i na korytarzu pojawili się inni goście.

Alathea zaczerpnęła powietrza.

– Całkowicie się mylisz.

Gwałtownie odwrócił głowę, ale wcześniej udało jej się go ominąć. Przemknęła obok innych gości, obdarzając ich władczym skinieniem głowy. Z wysoko uniesioną głową, niemal biegiem uciekła z powrotem na salę.

## Rozdział 13

Właśnie zaczęli grać walca. W szaleńczym pędzieomal nie wpadła na tańczących. Zachwiała się...

Silne ramię podtrzymało ją w talii i pomogło złapać równowagę. Zdusiła krzyk i zaczęła walczyć o oddech, o równowagę i rozsądek, które utraciła w chwili, gdy Gabriel zamknął ją w uścisku i przyciągnął do siebie. Mocno trzymając ją za rękę, poprowadził, wirując, po sali.

Jej ciało natychmiast odżyło. Walczyła, żeby trzymać się sztywno, lecz jej ciało wtapiało się w jego ciało, a uda ocierały się o siebie prowokacyjnie przy każdym obrocie. Ich biodra kołysały się wspólnym rytmem. Wspomnienia kłębiły się w głowach.

Wystarczyło parę sekund, żeby zmiękła. Umykała przed jego spojrzeniem, zbyt pochłonięta próbą odzyskania panowania nad myślami i zdrowego rozsądku oraz próbą znalezienia jakiegoś wyjścia. Rozpaczliwie starała się zachować spokój.

Trzymał ją bardzo blisko.

– Za mocno mnie przytulasz.

Gabriel spojrział na jej twarz, tak boleśnie znajomą, ale... Czy kiedykolwiek widział ją naprawdę? Był zły, targają nim rozliczne emocje. Nie miał pojęcia, co naprawdę myśli i czuje. Z najwyższym trudem wierzył, że to prawda. Ledwo panował nad sobą, gdy przesuwając spojrzeniem po smukłej linii jej szyi, po kremowej skórze dekoltu, po okrągłych wzniesieniach, teraz zwartych i gorących, przyciśniętych do jego torsu.

– O ile sobie przypominasz, przytulałem cię już znacznie mocniej.

Wypowiedziane chrapliwym głosem słowa poruszyły ich oboje. Zaskoczona, bez tchu, rzuciła mu zgorzone spojrzenie, po czym odwróciła wzrok.

Nie odezwała się więcej. Jej stopy podążały za jego nogami, płynęła, dopasowana do niego. Byli tak idealnie zgrani, że godzinami mogliby tańczyć walca. Gabriel wykorzystywał te chwile, żeby zaprowadzić choć trochę ładu w swoich myślach.



Zmarszczył czoło, gdy zauważył różnicę w jej wzroście, ale szybko przypomniał sobie buty na wysokich obcasach, które trzy noce temu cisnął na podłogę powozu.

W trakcie kolejnego okrążenia sali zerknął w dół i potwierdził swoje przypuszczenia.

– Zwykle nie nosisz butów na obcasach.

– O czym mówisz? W twoich słowach jest mniej sensu niż zwykle!

Złość wzięła górę.

– Doprawdy? W takim razie chyba nie ma potrzeby, żebym cię pytał, jak długo jeszcze masz zamiar ciągnąć tę maskaradę i jaki jest jej cel. Powinnaś jednak wiedzieć, że bardzo mnie to intryguje. – Mówił przez zaciśnięte zęby, głosem ostrym niczym stal. Patrząc na jej twarz, widział przed sobą czerwoną mgłę. – Sądziłaś, że zmusisz mnie do ożenku? O to ci chodzi? Z pewnością nie... – Wzmógł uchwyt, niemal miażdżąc jej palce, bo usiłowała wyrwać rękę. – Przecież wiesz, że uczyniłbym piekło z twojego życia, więc po co? Czy to była próba sił? – Zesztywniała jeszcze bardziej. Spojrzał na jej twarz. – To brzmi bardziej prawdopodobnie.

Roześmiał się ponuro.

– Boże! Kiedy tylko o tym pomyślę! Lincoln's Inn, Bond Street, Burton Street. – Przerwał, po czym zapytał: – Powiedz mi, czy na Burton Street uciekłaś do modystki, bo nie mogłaś pohamować śmiechu?

Zareagowała – miażdżona w jego uścisku ręka zadrżała, delikatne żyłki na jej szyi nabrzmiały – ale trzymała wzrok wbity w przestrzeń ponad jego ramieniem i uparcie zaciskała usta.

– Czemu to zrobiłaś?

Nie odpowiedziała.

– Ponieważ kot odgryzł ci język, więc spróbuję zgadnąć... straciłaś szansę podczas swojego sezonu, ale ponieważ musiałaś przyjechać do Londynu w związku z wprowadzeniem do towarzystwa Mary i Alice, postanowiłaś urozmaicić sobie pobyt, wybierając mnie za cel. Jestem pewny, że za sprawą mojej drogiej

mamy znasz moją reputację. – Jego głos siekł niczym bicz. – Tak właśnie myślałaś? Że gdy w przebraniu tajemniczej hrabiny rzucisz mnie na kolana, uatrakcyjnisz w ten sposób swój pobyt w Londynie?

Błada, z kamiennym wzrokiem, odmawiała spojrzenia na niego, zapewnienia go, że wszystko źle interpretuje, że nigdy w taki sposób by go nie zdradziła.

Bo czuł się zdradzony, i to nie tylko przez nią, ale też przez jej wcielenie. Bez względu na jego gorące oddanie, cierpliwość i głębokie uwielbienie, jakie żywił wobec niej, hrabina nigdy nie zdradziłaby mu swej tożsamości. Zaś jego marzenia...

Przepełniała go gorycz. Dotknęła nie tylko jego marzeń. Zadała cios, jak zwykle, w samo sedno; pozbawiła go zbroi, znalazła najwrażliwsze miejsce i obnażyła je. Nawet nie wiedział, że posiada taki słaby punkt, dopóki go nie odkryła. Przeklinał ją za to. Była ostatnią kobietą, której dobrowolnie odsłoniłby swoją słabość.

Ale to nie było jeszcze najgorsze. Najbardziej bolesną raną, krwawiącą do wewnątrz, było to, że pomimo tak bliskiej z nim znajomości, nie zaufała mu. To bolało najbardziej.

– Zawsze się zastanawiałem, kiedy znudzi ci się życie na wsi. Powiedz mi, czy teraz, kiedy otworzyłem ci oczy na przyjemności, jakich można doznać w stolicy, rozważasz... – Nie słyszał swoich słów, gdy powoli, stopniowo, analizował jej charakter. Wiele osób uważało, że ma zanadto cięty język. Używał go jak chirurg skalpela, żeby ją kaleczyć, żeby krwawiła tak jak on. Podobnie jak ona znała jego, on również świetnie znał jej słabe strony. Na przykład wzrost i to, że uważała się za bardzo przeciętną. I starą. Dotykał wszystkich bolesnych miejsc, ciesząc się, gdy sztywniała, gdy zaciskała szczęki.

Zanim muzyka umilkła, poczuł, że uratował odrobinę dumy, a krwawa mgła, która przesłaniała mu pole widzenia, przerzedziła się na tyle, że dostrzegł łzy w jej oczach.

Muzyka się skończyła. Zatrzymali się. Stała cicha, nieruchoma w jego ramionach, ze zbuntowanym wyrazem twarzy i

ciałem trzęsącym się od powstrzymywanych emocji. Nie umknęła wzrokiem przed jego spojrzeniem. W błyszczących od łez oczach Alathej zobaczył wielokrotnie odbitą własną złość i ból.

– Nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Każde słowo było bardzo wyraźne, starannie wymówione, pełne pasji. Zanim zdążył zareagować, gwałtownie wyrwała mu się z objęć, złapała oddech, odwróciła się i umknęła.

Pozostawiła go na środku sali balowej.

Wściekłego. Zranionego.

I nadal podnieconego.

\* \* \*

Następnego dnia rano Alatheja jadła śniadanie w stanie śmiertelnej paniki. Wiedziała, że wkrótce spadnie cios, ale nie mogła zebrać sił, żeby uciec. Czuła się wyczerpana fizycznie, w nocy nawet nie zmrużyła oka. Musiała zachować zewnętrzne pozory zimnego opanowania, ale była w stanie jedynie uśmiechać się do swoich najbliższych i udawać, że je grzankę.

Miała pusty żołądek, lecz nie mogła niczego przełknąć. Potrafiła tylko powoli sączyć słabą herbatę. W jej głowie panował spokój, lecz jednocześnie dziwna pustka, jakby jej umysł, blokując wszystkie raniące słowa Gabriela, zablokował też jej myśli. Wiedziała, że nie może myśleć. Przez wiele godzin w nocy próbowała, ale wszystkie próby kończyły się łzami. Nie mogła myśleć o tym, co się wydarzyło, a jeszcze mniej o tym, co może się jeszcze wydarzyć.

Jedząc grzankę, pozwalała, żeby pogodna rozmowa rodziny przepływała obok.

Nagle Crisp chrząknął i powiedział:

– Pan Cynster tu jest, milady, i chce z panią rozmawiać.

Alatheja podniosła gwałtownie głowę. Tutaj? To niemożliwe.

– Dłaczego... – Przerwała. – Który pan Cynster?

– Pan Rupert, panienko.

Jednak możliwe.

Serena machnęła pulchną dłonią.

– Zapytaj go, czy jadł już śniadanie, Crisp.  
– Nie! To znaczy jestem pewna, że jest po śniadaniu. –  
Alathea wstała i odłożyła serwetkę. – Jestem przekonana, że nie  
myśli o szynce i kiełbaskach.  
– No, skoro jesteś pewna... – Serena zmarszczyła czoło. –  
Ale to dość dziwna pora na składanie wizyty.  
Alathea pochwyciła jej wzrok.  
– Mamy do omówienia pewną drobną sprawę.  
– Ach – rzekła Serena i natychmiast podjęła dalszą rozmowę  
z rodziną.

Alathea wymknęła się z pokoju śniadaniowego. Pomyślała,  
że jej ostatnie słowa nie były kłamstwem. Wszystko, o czym  
Rupert-Gabriel chciał z nią teraz rozmawiać, wynikało z ich drobnej  
sprawy.

To jednak niczego nie ułatwiało.

\* \* \*

Crisp wprowadził Gabriela do małego saloniku z oknami  
wychodzącymi na ogród za domem. W słoneczne dni dziewczęta  
lubiły się tu gromadzić, ale dziś, przy niebie zaciągniętym  
chmurami i groźbie deszczu, był to spokojny, prywatny azyl.

Nikt nie powinien im przeszkodzić. Na myśl o tym Alathea  
się skrzywiła. Odprawiła Crispa i przyszła sama. Z ręką na klamce  
zaczepnęła tchu, pozbierała myśli i wyparła z głowy wszelkie  
obrazy tego, co spotka po drugiej stronie drzwi.

Na zewnątrz spokojna, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Natychmiast odwrócił głowę i ich spojrzenia się spotkały.  
Gdy wchodziła, stał przy oknie i patrzył na ogród. Cichym głosem  
powiedział:

– Zamknij drzwi. I przekręć klucz.

Zawahała się.

– Nie chcemy, żeby nam przerywano.

Wahała się jeszcze przez chwilę, ale w końcu zawróciła i  
zamknęła drzwi na zamek.

Z nieprzeniknioną twarzą Gabriel nie przestawał jej się

przyglądać.

– Podejdź tutaj.

Alathea zaczęła się zastanawiać, jak zareagować, czuła bowiem gwałtowne przyciąganie. Przymus. Groźbę. Zmusiła nogi, żeby ją poniosły.

Przejście przez salon pod jego wzrokiem było najtrudniejszą rzeczą, jaką robiła w życiu. Miała podniesioną głowę i proste plecy, ale zaczęła dygotać, a jej zapasy siły i zdecydowania zostały poważnie nadwątlone. Gdy zatrzymała się przed nim i napotkała twarde spojrzenie, zrozumiała, że właśnie to chciał osiągnąć.

– A teraz wyjaśnij mi, o co, do diabła, w tym wszystkim chodzi – powiedział.

W jego głosie wibrował ledwo maskowany gniew.

– Większość faktów znasz. – Żeby zyskać na czasie i odzyskać panowanie, zrobiła krótką pauzę. – Wszystko, o czym ci mówiłam jako hrabina, to prawda, z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem tego, że twój zmarły mąż jest w rzeczywistości twoim ojcem, że młody Charles to Charlie, Maria to Mary, Alicia to Alice, a z Sereny zrobiłaś Serafinę. Tyle sam zgadłem.

– No więc – wzruszyła ramionami – tak to wygląda.

Ponieważ się nie odzywał, zaryzykowała rzucenie na Gabriela szybkiego spojrzenia. Czekał.

Minęła chwila.

– Spróbuj jeszcze raz.

Poczuła jego wściekłość. Nie było ucieczki.

– Co chcesz wiedzieć? – Gdyby mogła trzymać się prostych faktów i zachować obojętność, może udałoby się jej przeżyć to przesłuchanie.

– Czy majątek jest w tak opłakanym położeniu, jak opisywałaś?

– Tak.

– Dlaczego wymyśliłaś postać hrabiny?

Proste fakty. Obojętność. Ponownie skierowała wzrok na widok za oknem.

– Gdybym napisała do ciebie albo odwiedziła cię z opowieścią o podejrzanym skrypcie dłużnym, nie mówiąc o stanie finansów rodziny, czy podjąłbyś się śledztwa osobiście, czy też zleciłbyś je Montague'owi?

– Gdybyś powiedziała mi wszystko...

– Postaw się na moim miejscu. Opowiedziałbyś wszystko? Jak bliscy byliśmy ruiny? I nadal jesteśmy.

Po chwili pochylił głowę.

– Dobrze. Rozumiem, że pominęłaś tę informację. Ale hrabina...

– Zadziałało.

Czekał. Wreszcie się odezwał, z nutą zrozumienia w głosie.

– Domyślam się, że twój ojciec i Serena nic nie wiedzą o tej całej maskaradzie.

– Nie.

– A kto wie?

– Nikt. No, tylko starzy, zaufani służący.

– Twój stangret... to był Jacobs?

Skinęła potakująco.

– Kto jeszcze?

– Nellie. Figgs. Panna Helm. Connor. Oczywiście Crisp. I Folwell. – Przerwała, po czym kiwnęła głową. – To już wszyscy.

Zaklął pod nosem.

– Wszyscy?

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Są mi oddani. Nie musisz sobie wyobrażać, że coś się wyda. Zawsze robią dokładnie to, co im powiem.

Spojrzał na nią, unosząc jedną brew.

– Ha? – Ściszył głos do szeptu. Dając jej znak, żeby się nie odzywała, podszedł do drzwi, po czym jednym błyskawicznym ruchem przekręcił klucz i otworzył je na oścież, ukazując ich oczom Nellie, Crispa, Figgs, pannę Helm...

– Idźcie stąd! – krzyknęła Alatheia.

– Ależ milady. – Nellie rzuciła ostrożne spojrzenie na Gabriela. – Zastanawialiśmy się tylko...

– Absolutnie nic mi nie jest. A teraz idźcie!  
Odeszli. Gabriel zamknął drzwi na zamek.

– No dobrze. To tyle, jeśli chodzi o twoją maskaradę. –  
Zatrzymał się koło niej. Ramię w ramię spoglądali na drzewa  
otulone posępnym cieniem. – A teraz możesz mi chyba  
opowiedzieć, dlaczego wzięłaś na siebie ratowanie rodziny.

– Cóż – Alatheia przerwała, dostrzegłszy pułapkę. – To  
wydawało się najrozsądniejsze.

– Naprawdę? Przyjrzyjmy się więc. Służąca znalazła weksel,  
który podpisał twój ojciec, po czym jakoś o nim zapomniał.  
Następnie ty, twój ojciec i Serena naradziliście się wspólnie i  
zapadła decyzja, żeby pozwolić ci zająć się tą sprawą. Tak było?  
Kamiennym wzrokiem przyglądała się drzewom.

– Nie.

– A więc?

Pytanie zawisło w powietrzu, natarczywe...

– Zwykle to ja zajmuję się interesami rodziny.

– Czemu?

Zawahała się.

– Tatuś... nie bardzo zna się na pieniądzach. Sam wiesz, jaki  
jest... łagodny. Naprawdę nie ma zielonego pojęcia o prowadzeniu  
interesów. – Spojrzała mu w oczy. – Do swojej śmierci to moja  
matka zarządzała sprawami majątku. A przed nią robiła to moja  
babka.

– Teraz więc prowadzisz wszystkie sprawy?

– Tak.

– Od kiedy?

Gdy nie odpowiedziała, wsunął się pomiędzy nią a okno i w  
ten sposób znalazł się z nią nos w nos.

– Kiedy twój ojciec scedował na ciebie swoje obowiązki?

Nadal milczała. Jeszcze głębiej zajrzał jej w oczy.

– Wolisz, żebym zapytał jego?

Gdyby miała do czynienia z innym mężczyzną, uznałaby to  
za blef.

– Wiele lat temu.

– Jedenaście.

Nie odpowiedziała.

– Tak właśnie było, prawda? To dlatego wyjechałaś z miasta. Nie chodziło o wietrzną ospę, w co nigdy nie wierzyłem, tylko o pieniądze. Twój ojciec doprowadził majątek na skraj ruiny. W jakiś sposób dowiedziałaś się o tym i wzięłaś sprawy w swoje ręce. Zakończyłaś swój sezon w stolicy, zanim jeszcze się na dobre zaczął, i wróciłaś do domu. – Przerwał. – Czy tak było? Opowiedz mi o szczegółach. Chciałbym je poznać.

Nie spocznie, dopóki się nie dowie. Tego była pewna.

– Któregoś popołudnia do domu przyszedł Wiggs.

Wyglądał... na zrozpaczonego. Tataś przyjął go w bibliotece. Poszłam tam, żeby zapytać, czy życzą sobie herbaty. Usłyszałam Wiggsa rozmawiającego z tatą, wyjaśniającego, jak bardzo zadłużony jest majątek, i mówiącego, że koszty mojego londyńskiego sezonu dosłownie zrujniają nas do cna. Tata nie rozumiał. Stale utrzymywał, że wszystko będzie dobrze, a mój pobyt w Londynie wcale nie doprowadzi nas do ruiny, tylko wprost przeciwnie, będzie wybawieniem.

– Liczył, że korzystnie wyjdiesz za mąż?

– Tak. Niemądrze z jego strony.

– To mogło się udać.

Potrząsnęła głową.

– Nie przemyślałaś tego. Nie miałabym posagu. Wprost przeciwnie, ewentualny zwycięski konkurent musiałby finansowo ratować majątek, a długi były gigantyczne. Poza swoim pochodzeniem niewiele miałam atutów.

– Znalazłby się niejeden, który by się zgodził na te warunki.

– Zapominasz, że miało to miejsce jedenaście lat temu.

Pamiętasz, jak wyglądałam w wieku osiemnastu lat? Byłam przeraźliwie chuda i niezdarna. Nie było najmniejszej szansy, żebym wyszła za mąż na tyle dobrze, by uratować rodzinę.

Ponieważ przestała mówić, ponaglił ją.

– I?

– Kiedy zrozpaczony Wiggs odjechał, poszłam porozmawiać



z tatą. Spędziłam noc, przeglądając księgi rachunkowe majątku przywiezione przez Wiggsa. – Przerwała, a potem dodała: – Następnego ranka spakowaliśmy się i wyjechaliśmy z Londynu.

– I od tamtej pory stale ratujesz swoją rodzinę.

– Tak.

– Chociaż kosztowało cię to twoje życie – życie, jakie ci się należy.

– Nie bądź taki melodramatyczny.

– Ja? – roześmiał się szorstko. – Przyganiał kocioł garnkowi... – Pochwycił jej wzrok. – To do ciebie podobne. Już wtedy, jedenaście lat temu, wiedziałaś, co to oznacza. Gdybyś przymknęła oczy na kłopoty rodziny i spędziła sezon w Londynie, tańcząc na balach, jest niemal pewne, że wyszłabyś dobrze za męża. Przyznaję, że może nie na tyle dobrze, by ocalić majątek, ale wystarczająco dobrze, żeby ocalić siebie. Miałabyś dom, tytuł, pozycję, szansę posiadania własnej rodziny, tego wszystkiego, czego nauczono cię oczekiwać od życia. Chodziło o twoją przyszłość. Zdawałaś sobie z tego sprawę, jednak wybrałaś powrót na wieś i walkę o zabezpieczenie majątku rodu, nawet za cenę pozostania starą panną. Po tej ucieczce twoja rodzina nie mogła sobie pozwolić na ponowne sprowadzenie cię do Londynu, nie mogła pozwolić, żeby ktokolwiek odgadł powody twojego postępowania. Nie stać ich było przecież na przyzwoity posag dla ciebie. Ale ty wiedziałaś o tym wszystkim. I wzięłaś wszystko na siebie. Poświęciłaś dla nich całe swoje życie.

Sprawił wrażenie rozgniewanego.

– Robisz z tego za duży problem.

– Naprawdę?

Nie mogła nie widzieć w jego brązowych oczach zrozumienia. Nagle odczuła poświęcenie tych wielu lat, samotność, cierpienie w osamotnieniu na wsi. Żal i tęsknota do życia, którego nie miała szansy zakosztować. Starła się uspokoić. Gdy była pewna, że panuje nad głosem, rzekła:

– Jak śmiesz się nade mną litować.

W charakterystyczny dla siebie sposób uniósł jedną brew.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy. Jestem pewny, że sama podjęłaś tamtą decyzję i zabrałaś się do realizacji swoich planów. Nie widzę w tym niczego, nad czym mógłbym się litować.

Jego sucha uwaga dała jej tarczę, za którą mogła ukryć swą wrażliwość i delikatność. Po chwili odezwała się spokojnie:

– No to teraz wiesz wszystko.

Gabriel badawczo przyglądał się jej twarzy i marzył, żeby tak istotnie było. Od chwili, gdy poznał prawdę o hrabinie, czuł się pobity, wstrząśnięty, zaszokowany gwałtowną burzą uczuć. Gniew, ślepa furia, rozpaczliwe zranienie, urażona duma – to było łatwe do zidentyfikowania. Inne uczucia, mroczniejsze, burzliwsze, znacznie trudniejsze do określenia wzmogły panujący w jego umyśle i sercu zamęt do stanu nieopanowanej fali, która pędziła na oślep.

Teraz, po pewnym czasie, nie czuł się pusty, lecz oczyszczony przez falę powodziową. Mógł wybrać prostszą formę, bez fałszywego splendoru i udawania, które tak bardzo zmęczyły go w ciągu ostatnich miesięcy. Od niego zależało, które cegły wybierze dla skonstruowania swojej przyszłości, ale fakt, iż miał wybór, zawdzięczał Alathej.

Tylko ona mogła wywołać w nim taki przewrót.

Od tej chwili jego dalsze życie zależało od tego, co teraz zrobi, co wybierze. Przybył tutaj, dysząc wściekłością, absolutnie zdecydowany, żeby ją rozstrzelać. Teraz jednak, gdy poznał całą historię i zrozumiał w końcu, co robiła, gniew przekształcił się w coś zupełnie innego, w chęć ochrony jej.

– Jaki jest aktualny stan waszych finansów?

Ociągając się, podała mu liczby.

– Do tego trzeba dodać dochody z gospodarstw.

– Ile to wynosi rocznie?

Kawałek po kawałku wyciągnął z niej szczegóły, które potwierdziły, iż ani jego geniusz, ani talenty Diabła w zarządzaniu, ani doświadczenie Vane'a i Richarda, ani nawet potęga Catriony nie byłyby w stanie uczynić więcej dla uratowania Morwellanów.

*Szkoda, że nie przyszłaś do mnie wcześniej, wiele lat temu.*

Tak mówiło jego serce. Miał dość rozumu, żeby nie wypowiadać tych słów na głos.

– Nie można by było zrobić w tej sprawie więcej. Twoja rodzina jest tak bezpieczna, jak tylko może być w tych okolicznościach. – Zignorował jej urażone spojrzenie. – A ten twój Wiggs? Można mieć do niego zaufanie?

– Zawsze tak sądziłam. – Sztywno dodała: – Gdyby nie jego zręczność w bankach, już dawno poszlibyśmy na dno.

To była prawda.

– Co Wiggs sądzi o twojej przebiegłości? A może nic mu nie powiedziałaś?

Nie patrzyła mu w oczy.

– Bardzo mu ulżyło, gdy przyznałam, że się z tobą konsultowałam.

– A więc nie ma pojęcia, że się ze mną konsultowałaś w przebraniu. – Przyłapał jej spojrzenie. – Muszę wiedzieć. Kiedyś powinienem się z nim spotkać w tej sprawie.

Zamrugnęła gwałtownie. Dopiero po chwili zrozumiał jej reakcję.

Zacisnął zęby. Znow miał ochotę ją udusić.

– Nie zamierzam odejść i zostawić cię samą z tym problemem.

Jej ulga była wyraźnie widoczna, chociaż wyczuwając reakcję Gabriela, usiłowała ją ukryć. Wyraz oczu Alathej jasno świadczył o tym, że nie rozumiała jego zachowania.

On też go nie rozumiał, a przynajmniej nie do końca. Była to jedna z wielu bardzo ważnych rzeczy, których nie pojmował, podobnie jak to, co do niej czuł. Nawet teraz, stojąc tak blisko niej, nie miał pojęcia, co naprawdę czuł. Nie miał zamiaru jej dotykać, a przynajmniej nie teraz. Za wcześnie było na zmierzenie się z tą siłą, która pojawiłaby się niechybnie, gdyby tylko znow wziął ją w ramiona.

Ten czas nadejdzie, ale jeszcze nie teraz, najpierw musi uporządkować myśli i uczucia, dopasować je do nowej

rzeczywistości. Do rzeczywistości, w której będzie mógł stanąć blisko niej i czuć jedynie jej ciepło, jej zmysłowe, kobiece, niezwykle kuszące ciepło. Bez napiętych nerwów, bez poczucia niepokoju. Ich trwająca wiele lat znajomość skończyła się ostatniej nocy, kiedy porwał ją w ramiona, żeby zatańczyć walca w sali balowej lady Arbuthnot.

Nie tylko nie rozumiał w pełni swoich uczuć, ale nie miał zielonego pojęcia, co myśli o tym wszystkim Alatheia. Jakiś ślad tego, co chodziło mu po głowie, musiał się pojawić w jego spojrzeniu. Nie próbował ukryć swoich myśli. Chociaż w przebraniu, ale przecież mu się oddała. Będzie musiała zmierzyć się z rezultatem swojego postępowania.

– O czym myślisz?

Demonstracyjnie uniósł brwi.

Zaczerwieniła się. Szerzej otworzyła oczy, gorączkowo wpatrując się w niego.

– Proponuję – rzekł, cedząc słowa – żebyśmy, ze względu na powagę zagrożenia ze strony Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota, odłożyli dyskusję o twojej przebierance do czasu, gdy uda nam się skutecznie rozprawić z kompanią.

Czuł, jak jej lęk ustępuje. Chwilę później skinęła głową.

– Zgoda. – Odwróciła się. – Ale nie będzie żadnej dyskusji.

Wyciągnął rękę i zacisnął dłoń wokół jej nadgarstka.

Zamarła.

– Nie udawaj. – Po chwili łagodniejszym tonem dodał: – Powiedziałem, żebyśmy odłożyli dyskusję na później, a nie zapominali o niej.

– Nie ma nic do zapominania – odparła, z trudem łapiąc oddech i unosząc jedną rękę do piersi.

Gwałtowne emocje narastały w nim, grożąc utratą panowania. Powstrzymał uczucia.

– Nie kuś mnie.

Wyczuła moc, która kryła się w jego słowach, wypowiedzianych cichym, ponurym głosem. Ta moc wstrząsnęła nią. Gdyby próbowała walczyć, zacisnąłby mocniej rękę i ją

przytrzymał. Na razie zadowalał się samym trzymaniem jej ręki. Zmusiła się, żeby odwrócić spojrzenie. Gdy chwilę później jego palce puściły jej nadgarstek, poczuła ogromną ulgę.

– Czy dowiedziałaś się czegoś od czasu naszej ostatniej rozmowy?

Pytanie dawało jej możliwość uchwycenia się czegoś i udzielenia rozsądnej odpowiedzi.

– Wiggs. – Po kolejnym głębokim oddechu uniosła głowę nieco wyżej. – Prosiłam go o znalezienie legalnego sposobu uznania weksla za nieważny. Wczoraj przysłał wiadomość, że jutro rano ma się spotkać z jednym z sędziów Sądu Najwyższego i omówić z nim sprawę.

– Dobrze. Coś jeszcze?

Uspokoila się.

– Szukałam map okolic, o których wspominał Crowley.

– Trudno znaleźć dość szczegółowe mapy.

– To prawda, ale w końcu udało mi się trafić na pewną biografię. Wymieniane są w niej tamte trzy miasta wspomniane przez Crowleya – Fangak, Lodwar i Kafia. Są co prawda małe, ale istnieją.

– Co powiedział o nich autor biografii?

Zawahala się.

– Nie wiem. Nie czytałam tego tekstu.

Westchnął.

– Przeczytam! Znalazłam ten pamiętnik dwa dni temu. Powiedz mi lepiej, co ty robiłeś? Odszukałeś kapitana?

– Nie. – Gabriel się skrzywił. – To nie takie proste. Na pewno nie jest związany z żadną dużą firmą żeglugową. Pozostało do sprawdzenia jeszcze wiele mniejszych, i to robimy. Węszyłem trochę tu i tam, ale nikt go sobie nie przypomina. Nawiasem mówiąc, kto go widział? Charlie?

– Nie. Tata. Ale nie pamięta nic oprócz tego, co ci powiedziałam. I skłoniłam go, by obiecał, że gdy znów spotka kapitana, przyprowadzi go do domu.

– Hm... Kazałem ludziom szukać, ale istnieje możliwość, że

nie ma go już w Londynie. Większość starszych rangą marynarzy, znalazłszy się na ładzie, jedzie odwiedzić rodzinę, często mieszkającą poza miastem. Wracają na dzień przed terminem wyjścia w morze.

– Możemy więc kapitana nie ujrzyć więcej.

– Jeśli nic nie będziemy robić. Ale są inne możliwości, które badam. – Zerknął na zegar stojący na kominku. – A skoro o tym mowa, to powinienem być teraz zupełnie gdzie indziej. – Napotkał spojrzenie Alathej. – Umawiamy się, że będziemy się dzielić wszystkimi informacjami, żebyśmy mogli jak najlepiej zajmować się sprawą?

Alathea skinęła głową.

– Świetnie. – Przez chwilę patrzył jej w oczy, po czym uniósł rękę.

Alathea wstrzymała oddech. Zagubiona w piwnej głębi jego oczu zadygotała, gdy poczuła jego palce na swojej twarzy. Przesunął palcem po jej wargach. Zawirowało jej w głowie.

– A potem zajmiemy się innymi sprawami – oświadczył. – Dam ci znać jutro.

\* \* \*

Nigdy nie bała się Gabriela. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że nadal się go nie obawia. To nie ze strachu poczuła nerwowe napięcie, gdy dostrzegła go idącego przez park. To było oczekiwanie, nie wiedziała jedynie na co.

Wraz z Mary, Alice, Heather i Elizą spacerowała po parku od dwudziestu minut. Lord Esher oraz jego przyjaciel, pan Carstairs z rodu Finchley-Carstairs, młodzieńcy o nieskazitelnym manierach, dołączyli do ich grupy. Lord Esher rozmawiał z Mary, pan Carstairs zaś dzielnie zabawiał pozostałe panie, choć jego wzrok często podążał w stronę Alice.

Idąc z tyłu, Alathea zyczliwym okiem obserwowała pączkujące uczucia młodych, dopóki nie zobaczyła Gabriela. Potem nie widziała już nic, tylko jego, z rozwianymi kasztanowymi włosami, ubranego z surową elegancją w surdut,

skórzane spodnie do konnej jazdy i wysokie buty. Ze swobodą przywitał się z jej i swoimi siostrami, zmierzył taksującym spojrzeniem nagle speszonych młodzieńców i skinął aprobująco głową. Następnie przesunął wzrok na Alatheę i podszedł do niej.

Zacisnęła obie dłonie na rączce parasolki, modląc się, żeby nie zażądał, by podała mu rękę. Spojrzał jej w oczy.

– Nie gryzę – mruknął. – A przynajmniej nie publicznie.

Poczuła, że się rumieni. Gabriel spojrział na nią z ukosa, po czym odwrócił się i przyjrzał grupce młodych, coraz bardziej oddalających się od nich.

– Chyba nie powinniśmy tracić ich z oczu.

– Masz rację. – Alatheia ruszyła do przodu. Podążył za nią.

– Miałaś jakieś wiadomości od Wiggsa?

– Nie. Był umówiony o jedenastej. A teraz ledwie minęło południe.

– Będiesz dziś wieczorem na balu u Claresów?

– Tak.

– Dobrze. Spotkamy się więc tam.

Alatheia skinęła głową. Był jeden plus występowania bez przebrania: mogli się bez przeszkód spotykać, żeby wymieniać informacje.

– Czytałam książkę tego podróżnika, a przynajmniej istotne jej fragmenty.

Sięgnęła do torebki.

– Do późnej nocy?

Rzuciła mu spojrzenie. Nie musiała słuchać jego aluzji o tym, że ma podkrążone oczy.

– A kiedy miałabym czas na czytanie?

Jej cierpka odpowiedź nie wywołała pożądanego efektu.

– Doprowadzanie się do wycieńczenia nie pomoże sprawie.

Co to jest? – Wziął od niej kartkę.

– Zrobiony przez podróżnika opis owych trzech miast.

Gdy szedł, czytając notatki, coraz wyżej unosił brwi.

– Bardzo interesujące. Kiedy autor tej relacji był w tamtych miejscach?

– W zeszłym roku. Książka dopiero co została wydana. – Alatheia pochyliła się, żeby zajrzeć do notatek. – O ile sobie przypominam, Crowley mówił, że w Fangak kompania zakupiła od jakiejś francuskiej agencji rządowej duży budynek, żeby zakwaterować tam robotników zaangażowanych w budowę kopalni. Według naszego podróżnika, Fangak to skupisko nędznych, drewnianych chat z dala od cywilizacji.

– Crowley powiedział też, że Lodwar jest położony przy głównej drodze. Tymczasem wygląda na to, że jest to małe osiedle w dzikich, górskich okolicach, odległe od bitych traktów.

Alatheia zerknęła na jego twarz.

– To chyba jest dowód?

Spojrzał na nią i kiwnął głową. Złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni.

– Ale będą nam potrzebne kolejne. – Popatrzył na idącą przed nimi grupkę. – Jak to wygląda?

– Obiecująco. Esher z każdym dniem staje się konkretniejszy, Carstairs zaś... – Alatheia przechyliła głowę, przyglądając się młodzieńcowi. – Wydaje mi się, że usiłuje zebrać się na odwagę, ale trudno mu uwierzyć w to, co się z nim dzieje.

– Biedak.

Alatheia udała, że nie słyszy.

Nagle Gabriel się zatrzymał.

– Zostawię cię tutaj.

Alatheia odwróciła się ku niemu i poczuła jego palce, zaciskające się na jej ręce. Uważnie przyglądając się dłoni uwięzionej w jego uścisku, podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

Nie mogła oddychać, nie mogła myśleć. Znajdował się tak blisko. Jej parasolka osłaniała ich oboje. Nigdy nie wymieniali zwyczajowych żartów, nie dotykali swoich rąk, nie kłaniali się sobie. Teraz jednak trzymał jej rękę. Zastanawiała się, co zamierzał.

Jego wargi wykrzywił kwaśny uśmiech.

– Zobaczymy się wieczorem.

Ukłonił się i odszedł.



Alathea stała bez ruchu, oddychając nierówno i przyglądała się plecami Gabriela. Jakąś częścią umysłu zarejestrowała, że rozstał się z nią, zanim dotarli w pobliże podjazdu, zastawionego powozami znaczących dam z towarzystwa, w tym jego matki i ciotki. Pozostały fragment jej umysłu pochłaniała próba znalezienia odpowiedzi na palące pytanie, co też sobie myślał, jakie miał wobec niej plany.

Sytuacja pomiędzy nimi uległa zmianie, nadal jednak jej pożądał, chociaż wiedział już, kim jest. Nadal zamierzał ją mieć, ciągnąć ich zakazany związek. Było to zdumiewające, ale zupełnie jasne.

Poza tym niewiele rzeczy było jasnych.

Po zdemaskowaniu hrabiny pełna kontrola w ich wzajemnych relacjach przypadła Gabrielowi. Znalazła się całkowicie w jego mocy.

Mała grupka, którą obserwowała, wysforowała się daleko do przodu. Uniosła parasolkę nad głowę i ruszyła za nimi.

Nie mogła zgadnąć, co miał na myśli, nie знаła motywów, którymi się kierował. Biorąc pod uwagę ich spotkania na Bond Street i Burton Street, nie wspominając o reszcie, mógłby chcieć ją ukarać. Jego aktualne zachowanie mogło być fasadą, stworzoną dla ułatwienia im współpracy przy rozpracowywaniu kompanii. Był na tyle człowiekiem honoru, że potrafił odłożyć na bok własne uczucia, dopóki nie uporają się z zadaniem. A potem dopiero może zacząć się zastanawiać, jak jej odpłacić.

Na szczęście rzadko chował urazy. Było bardzo prawdopodobne, że do czasu zakończenia ich dochodzenia jego zainteresowanie jej osobą zniknie, że się znudzi i skieruje wzrok ku następnej zdobyczy.

Wspinając się po pochyłości w stronę podjazdu dla powozów, Alathea zastanawiała się ponuro, dlaczego perspektywa tego, iż się nią znudzi i zrezygnuje z wszelkiego rewanzu, wcale nie przyniosła jej ulgi.

## Rozdział 14

Na balu lady Clare również panował nieopisany ścisk. Była pełnia sezonu i każdy po prostu musiał pokazać się na wszystkich ważniejszych imprezach towarzyskich. Gdy Gabrielowi udało się w końcu znaleźć w pobliżu Alathej, omiółł niechętnym spojrzeniem rozpychający się tłum.

– Szaleństwo – mruknął.

Lord Montgomery, który właśnie rozmawiał z Alatheą, doszedł do wniosku, że uwaga wymierzona jest w niego. Najeżył się. Alatheia udała, że nic nie słyszała i uśmiechnęła się niewinnie.

– Czy pańska mama i siostra zjechały w tym roku do Londynu?

Wobec tak niedwuznacznego zainteresowania uraza lorda uleciała. Zerknął z pogardą na Gabriela i zawołał:

– Oczywiście! Oczywiście! Są bardzo przejęte przyszłością rodu. Dlaczego...

Lord mówił dalej, przekonany, że Alatheia będzie dla niego idealną żoną. Alatheia obdarzyła uśmiechem pozostałe otaczające ją, pełne zapału twarze, ale nie zatrzymała na nikim dłużej wzroku. Na koniec jej spojrzenie spoczęło na Gabrielu, który patrzył na nią z wyraźną irytacją. Zawahał się, po czym, ku jej zaskoczeniu, ujął jej rękę, której wcale nie zamierzała mu podawać. Przytrzymał ją, z wystudiowaną cierpliwością czekając, aż lord Montgomery zakończy swój monolog, po czym się uklonił. Zaintrygowana Alatheia dostrzegła na jego twarzy wyraz zatroskania.

– Moja droga, jesteś taka blada.

*Moja droga?* Omal się nie zakrztusiła.

Gabriel oparł jej dłoń na swoim rękawie, biorąc ją pod swoje skrzydła.

– Może spacer na świeżym powietrzu... zanim zasłabniesz w tej duchocie.

Nigdy w życiu nie zemdląła. Nie odrywając od niego wzroku, Alatheia powachlowała się otwartą dłonią.

– Rzeczywiście jest tu dość gorąco.

Zmarszczył brwi.

– Drzwi na taras są otwarte...

Jego sugestia spotkała się z licznymi propozycjami towarzyszenia im. Alatheia, posłuszna ściskającym jej rękę palcom, uśmiechnęła się blado.

– Ten hałas... – wykonała słaby gest. – Chwila zupełnego spokoju bardzo mi pomoże i będę mogła wrócić do panów.

Musieli się tym zadowolić. Gabriel poprowadził ją przez pokój. Alatheia miała nadzieję, że wygląda to na braterską opiekę, ale podejrzliwe spojrzenia wielu par oczu sprawiły, że miała ochotę wytargać go za uszy. Poza tym spowodował, że węszący za sensacją obserwowali ich chciwie, i Bóg jedyny wie, co mogli zobaczyć.

Gdy dotarli na taras, wzdłuż którego przechadzały się liczne pary, próbowała zsunąć dłoń z jego ramienia, żeby zwiększyć dystans pomiędzy nimi. Gabriel mocniej zacisnął palce; była za mądra na to, by się szarpać.

– Ludzie będą plotkować – wyszeptała.

– Nie bardziej, niż mówią już o tobie i twoich konkurentach. Na Boga, czemu się nimi otaczasz?

– Zapewniam cię, że nie mam na to większego wpływu. – A po chwili dodała: – Podejrzewam, że to Serena działa w mojej sprawie, mimo że jasno dałam jej do zrozumienia, iż to sezon Mary i Alice, a ja nie jestem zainteresowana szukaniem męża. Jak wyraźniej mogę to okazać? – Wskazała ręką na swoje nakrycie głowy. – Czyż nie widzą?

Patrząc z ogromnym niesmakiem na kapelusik, Gabriel stłumił cisnące mu się na usta słowa: „Chyba nie”. Jej nakrycia głowy raziły go. Teraz przyszedł mu na myśl sposób, jak się ich pozbyć raz na zawsze. Rozmyślając nad perspektywą nienatknięcia się już nigdy na żaden czepek, ukrywający jej włosy, poprowadził Alatheę w mroczny, chwilowo wyludniony kąt tarasu.

– Czy Wiggs zdał relację ze swojego spotkania z sędzią?

Dotarłszy do balustrady, zatrzymali się, popatrzyli na gęste krzaki rosnące za kamienną barierą, po czym oparli się o nią

plecami, stojąc teraz ramię w ramię, biodro w biodro, w dziwnej, koleżeńskej komitywie.

– Tak. Wygląda na to, że możemy wystąpić o decyzję unieważnienia weksła, kierując prośbę bezpośrednio do trybunału, bez prezentowania dowodów i rozważenia sprawy podczas jawnej rozprawy w sądzie.

– Świetnie.

– Sędzia powiedział, że czas oczekiwania na decyzję trybunału będzie zależał od jakości naszych dowodów. Im będą bardziej szczegółowe i pełne, tym szybciej zapadnie wyrok. Jeśli sprawa będzie oczywista, decyzja uprawomocni się w ciągu kilku dni.

Gabriel skinął głową.

– Kiedy będziemy gotowi, zawiadomię Diabła. On już dopilnuje, żeby nasza sprawa została od razu rozpatrzona. – Jego uwagę zwrócił uśmiech Alathej. – O co chodzi?

– O sposób, w jaki działacie. – Machnęła ręką. – Tak po prostu włączasz do sprawy księcia.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli się ma księcia w rodzinie...

– Czy twoi ludzie dowiedzieli się czegoś nowego?

– Żadnych rewelacji, ale Montague analizuje te wszystkie sumy i projekty wymienione przez Crowleya. Nie muszę chyba mówić, że nic nie trzyma się kupy. Znani mi ludzie sprawdzają, czy prawdą jest to, co mówił o urzędach i urzędnikach różnych rządów oraz o rozmaitych pozwoleniach, jakoby uzyskanych już przez kompanię. Im więcej znajdziemy rzeczy niezgodnych z prawdą, im więcej oszustw uda nam się dowieść, tym łatwiej będzie przekonać sąd.

– Ale świadek, i to naoczny, byłby ostatecznym dowodem. Słyszałeś coś może o kapitanie?

– I tak, i nie. Raczej nie. Jest tak wiele linii żeglugowych, a ja nie wszędzie mam swoich ludzi, którzy mogliby dyskretnie się rozejrzeć. Nie możemy ryzykować zbyt otwartych poszukiwań kapitana. Crowley jest zbyt potężny. Może mieć swoich ludzi,

którzy doniosą mu o dziwnych pytaniach, stawianych we wszystkich firmach żeglugowych, obsługujących tereny, którymi jest zainteresowany.

– Jest aż tak wszechwładny?

– Tak. Nie wolno go lekceważyć. Może nie ukończył żadnej renomowanej szkoły, ale świetnie wie, jak wykorzystywać swoje znajomości. Jak choćby Douglasa. – Po chwili Gabriel stwierdził:

– Bez względu na to, co robimy, nie wolno nam zapominać o Crowleyu.

Jego słowa zaniepokoiły Alatheę.

– Musi chyba istnieć jakiś spis statków i ich kapitanów?

– Jest przechowywany przez władze portowe. Są dwa spisy, do których musimy zajrzeć. Jeden zawiera listę wszystkich statków wpływających na londyńskie wody i ich kapitanów, a drugi to główny rejestr jednostek pływających uwzględniający, dla której linii żeglugowej pływają poszczególne statki. Na nieszczęście ostatnio wybuchł skandal wokół osoby poprzedniego rejestratora w porcie. Jego następcą nie chce słyszeć o tym, aby komukolwiek pozwolić na zajrzenie do spisów.

– Nie chce słyszeć?

– Bez pozwolenia z Admiralicji albo władz skarbowych nie ma sposobu zajrzenia do tych ksiąg.

– Hm...

Gabriel zerknął na Alatheę.

– Nawet nie myśl o włamaniu się tam.

Skoncentrowała się na nim.

– Dlaczego? Bo sam się już nad tym zastanawiałeś?

– Tak. Biuro jest strzeżone dzień i noc. Przejrzenie spisów jest niemożliwe.

Podążając za jego spojrzeniem w stronę zbliżającego się ku nim Lucyfera, Alatheę mruknęła:

– Nic nie jest niemożliwe, gdy ma się dwanaście lat.

– Co wy tu robicie we dwójkę? – zawołał Lucyfer.

*A jak myślisz?* – miał na końcu języka Gabriel. Zabrakło czasu, by pokierować ich rozmową tak, jak zamierzał.

Alathea wskazała na niego ręką.

– Szuka czegoś dla mnie. Chodzi o inwestycję.

– Wydaje mi się, że bliźniaczki zauważyły. Kipią z podniecenia i wymieniają spojrzenia jak oszalałe. Bóg jedyny wie, co zrobią, gdy przekonają się, że to prawda.

– O czym się przekonają? – zapytała Alathea.

– Kiedy do nich dotrze, że przestał je obserwować.

– Przestał? – Alathea przyjrzała się Gabrielowi, który całkowicie był pochłonięty oglądaniem swoich paznokci.

Przeklęty facet posłuchał jej. Wysłuchał i pozwolił, by wpłynęła na jego postępowanie. Poczowała się lekko oszołomiona.

– Przestał. A w tej chwili ja też ich nie pilnuję. –

Niezadowolony Lucyfer wojowniczo przeniósł wzrok na Gabriela, po czym powrócił do niej. – Mam jedynie nadzieję, że wiecie, co robicie. Ten paskudny typ, Carsworth, kręci się koło ich spódniczek.

– Czy zbliżał się do którejś z nich?

W łagodnym pytaniu Gabriela czały się krwiożercze intencje.

– No nie – przyznał Lucyfer.

– Czy któraś z bliźniaczek go zachęcała? – spytała Alathea.

Na twarzy Lucyfera pojawił się wyraz uporu.

– Nie. Zatrzymał na chwilę Amelię, po prostu wpadł na nią w tłumie.

– I?

Z wyraźnym ociąganiem się Lucyfer przyznał wreszcie:

– Zachowała się jak ciotka Helena. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, po czym zadarła nos do góry i przeszła obok bez słowa.

– No widzicie. – Alathea wyprostowała się i wzięła go pod ramię. – Zostały doskonale nauczone zasad. Potrafią same dać sobie radę, jeśli tylko im na to pozwolicie.

– Carsworth to robak, a nie prawdziwe zagrożenie. – Lucyfer wymienił spojrzenie z bratem ponad głową Alathei. – Co się jednak stanie, jeśli wypróbują swoich sposobów na kimś bardziej

obytym?

Ruszyli z powrotem do sali balowej.

Gabriel wzruszył ramionami.

– Wtedy dostaną nauczkę.

– Jaką nauczkę? – zapytała Alatheia.

– Nauczą się, co się może stać, gdy dama spróbuje takiego chwytu wobec, powiedzmy, któregoś z nas – odparł Lucyfer.

Patrząc na Gabriela, Alatheia pytająco uniosła brew. Przyjrzał się jej uważnie, a następnie szybko rzucił okiem na Lucyfera.

Upewniwszy się, że uwaga brata skierowana jest gdzie indziej, ponownie spojrzął na nią, głęboko zaglądając jej w oczy.

– Spróbuj, to się sama przekonasz.

Było w jego oczach coś, co przywodziło jej na myśl tygrysa, a groźny pomruk w głosie potęgował jeszcze to wrażenie.

Przypomniawszy sobie, co się wydarzyło, gdy ostatni raz próbowała przejść obok niego z nosem zadartym do góry, Alatheia zeszywniała i uniosła głowę.

– Bliźniaczki doskonale dadzą sobie radę.

Lucyfer omiótł spojrzeniem tłum.

– Cóż, skoro odmawiasz pilnowania dziewcząt, to mogę chyba lepiej spożytkować czas. – Elegancko się uklonił Alatheii i zaczął torować sobie drogę przez tłum.

Alatheia poczuła palce Gabriela, zaciskające się na jej dłoni. Oparł sobie jej rękę na swym ramieniu i poprowadził ją, odsuwając od największego ścisku przy drzwiach, w stronę przeciwną do miejsca, gdzie wcześniej pozostawili jej kawalerów.

– Widzisz może Alice i Mary? – Nie rozumiała, dlaczego brak jej tchu.

– Nie. – Wargi Gabriela znajdowały się tak blisko jej ucha, że musnął ją oddechem, jak ciepłą pieszczotą. – Dadzą sobie radę, podobnie jak bliźniaczki.

I jak ona, obiecała sobie w myślach, gdy znalazł dla nich odrobinę miejsca, gdzie mogli wygodnie stanąć. Otaczali ich inni goście, ale równie dobrze mogliby być zupełnie sami, tak niewielką uwagę zwracali na nich ich pochłonięci rozmową

sąsiedzi.

– A teraz powiedz mi, co miałaś na myśli, mówiąc „kiedy się ma dwanaście lat”. Na wypadek gdybyś zapomniała, pragnę ci przypomnieć, że żadne z nas nie jest już w tym wieku.

Wyraz jego oczu był zupełnie nieadekwatny do tematu rozmowy. Alatheia pozbierała rozproszone myśli.

– Nie mówiłam o nas.

– To dobrze.

Subtelny ruch jego warg wpłynął dziwnie na jej nerwy.

– Miałam na myśli...

– Moja droga lady Alatheia!

Alatheia odwróciła się i ujrzała wyłaniającego się z tłumu lorda Chillingwortha. Ukłonił się nieznacznie.

– Co za radość napotkać taką cudowną istotę w tym nieprzyzwoitym ścisku. – Zmierzył spojrzeniem Gabriela. – Miło się przekonać, że ten wieczór nie będzie zupełnie zmarnowany.

Gabriel nie odpowiedział.

Ignorując groźbę, która czaiła się u jej boku, Alatheia uśmiechnęła się i podała Chillingworthowi rękę.

– Jestem przekonana, że muzycy wynajęci przez lady Clare są wyśmienici.

– Gdyby tylko było ich słycać – odparł Chillingworth. – Czy pani siostronom podoba się sezon?

– Oczywiście. Nasz bal odbędzie się w przyszłym tygodniu. Czy możemy mieć nadzieję na pańską obecność?

– Żadna inna pani domu nie ma najmniejszej szansy – oświadczył Chillingworth. Spojrzenie jego szarych oczu przesunęło się po twarzy Alatheii i zatrzymało na jej oczach. – Czy widziała pani ostatnie przedstawienie w Operze?

– Nie. Słyszałam... – Alatheia przerwała na widok tłumu, który nagle zafalował, po czym się rozstał. Gdy wrzawa nieco ucichła, rozległy się pierwsze dźwięki walca.

– Ach. – Chillingworth odwrócił się do niej. – Moja droga, czy uczyniłaby mi pani ten honor i...

– Obawiam się, drogi chłopcze, że ten walc należy do mnie.



Gabriel leniwie przeciągał słowa, nie robiąc nic, by ukryć zimną nutę w głosie. Chillingworth uniósł wzrok. Ponad głową Alathej szare oczy zmierzyły się z piwnymi.

– Możemy? – zapytał, odrywając wzrok od Chillingwortha i spoglądając na nią.

Wskazał ręką na szybko opróżniający się parkiet. Potem jego ramię napięło się pod jej dłonią, a jego ręka zacisnęła się na jej ręce. Zerknął na Chillingwortha. – Jego lordowska mość nam wybaczy.

Oszołomiona tym, co zobaczyła w jego oczach, Alatheia uśmiechnęła się przepraszająco do Chillingwortha. Lord uklonił się swobodnie. Bez dalszych dyskusji Gabriel poprowadził ją na parkiet. Chwilę później wirowała w jego objęciach wokół sali balowej.

Dopiero po jednym okrążeniu udało jej się złapać oddech. Znow trzymał ją zbyt blisko, ale nie miała zamiaru tracić resztek powietrza, żeby się o to kłócić.

– Przypominanie ci, iż ten walc nie był przez ciebie zarezerwowany, nie ma chyba sensu.

– Najmniejszego.

Wyraz jego oczu pozbawił ją tchu.

– Doprawdy? A więc za każdym razem, gdy przyjdzie ci ochota, żeby zatańczyć walca, mam oczekiwać...

– Źle mnie zrozumiałaś. Od tej pory wszystkie twoje walce należą do mnie.

– Wszystkie?

– Do ostatniego. – Z wprawą krążył z nią po sali, podążając za innymi parami. – Możesz tańczyć każdy inny taniec, z kim tylko ci się podoba, ale walce będziesz tańczyć jedynie ze mną.

Uleciała z niej wszelka chęć do protestu, do kłótni. *Nie kuś mnie*. Już raz ją ostrzegął. Te słowa zadźwięczały w jej głowie. Kiedy w końcu Alathej udało się zaczerpnąć tchu, patrząc ponad jego ramieniem, próbowała pozbierać myśli i skoncentrować się na jego motywach.

I popadła w niewolę swoich zmysłów, uwodzicielskiego

kołysania ciał, harmonijnego ruchu nóg, które oddalały ich od siebie i przybliżały. Tańczył tak, jak robił wszystko – bez wysiłku, z wprawą i nieodłącznym wdziękiem, które tylko podkreślały moc ukrytą w każdym ruchu. Obejmował ją swobodnie, z wyczuwalną siłą, otaczając ją, prowadząc i osłaniając.

Tańczyła już walca z innymi mężczyznami, ale żaden z nich nie był dla niej takim autorytetem, fizycznie i psychicznie. Wiedział, że nie może mu się oprzeć, że jest bezbronna w jego objęciach. Że serce bije jej nierówno, że ma gorącą skórę i że pójdzie za nim wszędzie. Schwycił ją w sieć namiętności, pragnienia i pożądania, którą sama pomogła przygotować. Należała do niego i wiedział o tym. Niepokojącą niewiadomą pozostawało, jak zamierzał wykorzystać ową wiedzę.

Muzyka się skończyła i zwolnili, a potem się zatrzymali. Badawczo przyjrzała się jego twarzy, ostrym, nieustępliwym, zagadkowym płaszczynom i westchnęła w głębi ducha.

– Powinnam odszukać Serenę.

Wypuścił ją z objęć, oparł sobie na rękawie jej dłoń i z troskliwością poprowadził przez tłum.

\* \* \*

Następnego dnia wieczorem Alatheia w szalonym pośpiechu opuściła sypialnię. Pędząc do swojego gabinetu, gwałtownie otworzyła drzwi na oścież i skierowała się w stronę biurka. Usiadła, wyciągnęła kartkę, położyła przed sobą i odkręciła kałamarz.

– Pani mnie wzywała, milady?

– Tak, Folwell. – Alatheia nie podniosła wzroku. Zanurzyła pióro w atramencie i zaczęła skrzętnie notować. – Chcę, żebyś dostarczył ten liścik na Brook Street.

– Panu Cynsterowi, milady?

– Tak.

– Teraz, milady?

– Kiedy tylko odwiesz nas do Almacków.

Alatheia osuszyła list bibułą, złożyła go i wypisała na nim

nazwisko Gabriela. Odłożyła pióro, wstała i podeszła do Folwella.

– Odpowiedzi nie będzie.

Folwell wsunął list do kieszeni.

– Podrzucę go w drodze powrotnej z King Street.

Alathea skinęła głową. Z zaciśniętymi wargami udała się do holu, gdzie czekały na nią Serena, Mary i Alice.

Chwilę później jechała powozem, toczącym się po bruku w stronę bram ponurego domu, w którym odbywał się bal.

Almackowie! Nie podobało jej się to miejsce, odkąd tylko je ujrzała jako osiemnastolatka. Szczerze wątpiła, by mogła się dobrze bawić tego wieczoru, ale... jej słodka, kochana macocha okazała się niezwykle uparta.

Alathea chciała zostać w domu i zorganizować dyskretne spotkanie z Gabrielem w celu przedyskutowania ważnych, nowych informacji. Tymczasem podczas obiadu Serena oświadczyła, że Emily Cowper specjalnie wspomniała, że ma nadzieję ujrzeć ją wieczorem, ponieważ po południu nie udało jej się spotkać z Alatheą w parku. A tego właśnie popołudnia Alathea odbyła wycieczkę, sprawdzając, ile informacji może wyciągnąć dwunastolatek od nieprzystępnych władz portowych.

Sukces Jeremy'ego oszołomił ją. Rozpaczliwie chciała zobaczyć się z Gabrielem. Wytoczyła wszelkie argumenty przeciwko Almackom i spędziła pół godziny po obiedzie, usiłując usunąć z planów wizytę u nich, ale Serena pozostała nieugięta. Zdarzało się to tak rzadko, że zmuszona była ustąpić. W rezultacie pozostało jej niewiele czasu na przygotowania. Na szczęście Nelly była już zupełnie zdrowa. Pomimo ogromnego pośpiechu została elegancko uczesana, miała też świetnie dobrane rękawiczki, torebkę i szal do sukni z jasnozielonego jedwabiu.

Nie dbała o to. Skoro miało tam nie być Gabriela, wieczór pozostawał dla niej zupełną stratą czasu.

\* \* \*

Ta konkluzja szyderczo dźwięczała jej w głowie następnego dnia rano. Szybko gramoląc się z kolan, strzepując ziemię z

rękawiczek i ściągnając je z dłoni, powtarzała sobie, że to, co pomyśli i zobaczy, nie ma najmniejszego znaczenia.

Kiedy podszedł do niej, popatrzyła.

– Nie spodziewałam się ciebie przed jedenastą.

Zmarszczył brwi i wziął ją za rękę.

– Napisałaś, żebym przyszedł najwcześniej, jak się da.

– Sądziłam, że dla ciebie będzie to w okolicy południa.

– Tak? Dlaczego? Przypominam, że wczoraj wieczorem nigdzie nie wychodziłem.

– Nie wychodziłeś?

– Nie. – I po chwili dodał: – Nie miałem ochoty.

Kiedy zwarli się spojrzeniami, Alatheia poczuła, że kręci się jej w głowie. Chyba nie mógł... Czyżby z nią flirtował?

Odchrząknęła i machnęła ręką w stronę swojego przyrodniego rodzeństwa.

– Lubimy spędzać poranki w ogrodzie. Gimnastykujemy się.

– Doprawdy? – Omiótł ogród bystrym spojrzeniem.

Odpowiedział uśmiechem na radosne powitanie Mary i Alice, i pomachał w odpowiedzi na znajome „hej” Charliego. Jeremy, który pomagał mu wlec dużą gałąź, zaczął energicznie potrząsać głową. Gabriel uśmiechnął się szeroko i przeniósł wzrok na pannę Helm, która się zaczerwieniła, gdy tylko jej się uklonił. Za guwernantką, ściskając w objęciach Rose, siedziała Augusta i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w Gabriela.

– Nie przypominam sobie, żebym widział Jeremy’ego od czasów, gdy był dzieckiem na rękach – mruknął Gabriel. – Nie wydaje mi się też, żebym poznał już twoją najmłodszą siostrę. Jak ma na imię?

– Augusta. Ma sześć lat.

– Sześć? – spojrzał na Alatheę. – Kiedy miałaś sześć lat, zaraziłaś mnie wietrzną ospą.

– Miałam nadzieję, że zapomniawszy o tym. Natychmiast przekazałaś ospę Lucyferowi.

– Zawsze umieliśmy się wszystkim dzielić. A skoro już o tym mowa...

Wskazała ręką w stronę domu.

– Jeśli chciałbyś...

– Nie ma potrzeby, żebyś przerywała swoje zajęcia. –

Spojrzał w dół. – Trawa jest sucha. – Mówiąc to, usiadł koło niej, nadal nie puszczając jej ręki. – Możesz mi tutaj przekazać swoje nowiny.

Alathea z najwyższym trudem powstrzymała się, żeby jej oczy nie zrobiły się ze zdumienia okrągłe jak spodeczki. Ustąpiła z wdziękiem, klękając ponownie i naciągając rękawice.

– Wiesz, że nie znoszę pracy w ogrodzie.

Uniósł brwi. Kątem oka widziała, że się zastanawia.

– Istotnie. Jakie to miłe z twojej strony, że dotrzymujesz towarzystwa siostram. – A po chwili dorzucił: – Czy dlatego to robisz?

– Tak. Nie. – Alathea, ze wzrokiem utkwionym w rabatkę, czuła, że palą ją policzki. Zaczepnęła powietrza i przypomniała sobie, że Gabriel i tak wie już dość, by odgadnąć prawdę. – Uważają, że uwielbiam prace ogrodnicze, a Serena nalega, żeby poznały zasady zakładania klombów i rabatki od podstaw.

Czuła na twarzy jego wzrok. Potem przeniósł spojrzenie na trawnik.

– Rozumiem. A Charlie i Jeremy są sadownikami z powołania, tak?

– Mniej więcej.

Zamilkł na chwilę.

– Czego więc się dowiedziałas?

Alathea wyrwała kępkę trawy.

– Dowiedziałam się, że dwunastolatek potrafi dostać się do władz portowych.

Przeniósł wzrok na Jeremy'ego.

– Potrafi?

– Zabrałam go na wycieczkę, żeby się dowiedzieć, w jaki sposób statki są wpuszczane i wypuszczane do i z portu londyńskiego. Zarządzający portem był szalenie życzliwy. Sam ma syna w podobnym wieku. Oczywiście fakt, że jesteśmy dziećmi

lorda, bardzo nam pomógł.

– Spodziewam się. Ale mieliśmy jedynie opis kapitana. Jak, na miły Bóg, udało wam się dowiedzieć czegoś więcej przy zachowaniu dyskrecji? Bo zakładam, że byliście dyskretni.

– Oczywiście. Poinstruowałam Jeremy'ego. Chłopiec ma doskonałą pamięć. Opisałam mu kapitana tak, jak go zapamiętał tata, i wyjaśniłam, czego chcemy się dowiedzieć.

Zdecydowaliśmy, że najlepiej pytać o informacje zawarte w spisach i poprosić o wyjaśnienie, do czego mogą służyć. Pozwalało nam to zasugerować później, że można je też wykorzystać do sprawdzenia, które linie przewożą towary w różne części świata. W tym momencie przypominałam sobie mgliście naszego przyjaciela, pana Higgenbothama, który...

– Chwileczkę! Kto to jest Higgenbotham? Czy istnieje naprawdę?

– Nie. Jest częścią naszej bajeczki. – Wyrwała następny chwast. – Ten pan Higgenbotham odwiedził nas ze swoim przyjacielem, kapitanem statku, który niedawno przyплыł z Afryki Środkowo-Wschodniej. Do Jeremy'ego należało podanie w wątpliwość, czy zarządzający portem będzie w stanie nam powiedzieć na podstawie swoich spisów, dla kogo pływał nasz kapitan.

– I zarządzający portem spełnił jego życzenie?

– Oczywiście! Mężczyźni zawsze lubią demonstrować swoje umiejętności przed doceniającą ich widownią, zwłaszcza jeśli składa się ona z kobiety i młodego chłopca. Zajęło mu to dwadzieścia minut, bo trzeba było sprawdzić całkiem sporo statków, ale wydaje nam się, że nasz kapitan to niejaki Aloysius Struthers, pływający dla Bentinck and Company. Ich biuro mieści się przy East Smithfield Street. Zarządzający portem rozpoznał w naszym opisie kapitana i był pewien, że chodzi nam o Struthersa.

– Zdumiewające.

– Jeremy był po prostu rewelacyjny – oświadczyła Alatheia, rzucając na stos kolejny chwast. – Nawet gdybyś to ty zarządzał portem, z radością przeszukałbyś dla niego wszystkie spisy.

Świetnie zagrał swoją rolę.

– Niewątpliwie jest podobny do ciebie. Musiał odziedziczyć te same aktorskie talenty.

Zamilkł wyczekująco, ale Alatheia ignorując jego uwagę, wyrwała następny chwast. Po chwili zapytała:

– I co dalej?

Gabriel spojrział na trawnik, gdzie jej dwaj bracia przyrodni mocowali się z konarem.

– Dziś po południu odwiedzę Bentinck and Company.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, iż wszelkie otwarte wypytywanie jest zbyt ryzykowne.

Gabriel przestał przyglądać się ogrodowi i spojrział na dziewczynę.

– Chyba nie uważasz, że tylko ty jedna potrafisz się ukrywać pod przebraniem?

– Kim będziesz? Kupcem poszukującym szybkiego statku do przewozu kielbki do Afryki?

– Niech Bóg broni! Będę importerem drewnianego rękodzieła, szukającym godnej zaufania linii żeglugowej, która przewiezie moje towary, kupowane w całej Afryce, do doków Św. Katarzyny.

– I?

– I zostanie mi polecony Struthers i linia, dla której pływa. Jednak jako potwornie wymagający klient będę nalegał na bezpośrednią rozmowę ze Struthersem przed podjęciem ostatecznej decyzji. To powinno zachęcić kompanię do pospiesznego podania mi adresu Struthersa.

Alatheia z uznaniem skinęła głową.

– Bardzo dobrze. Jeszcze będzie z ciebie aktor.

Uniosła wzrok, spodziewając się jakiejś ciętej riposty. Przyglądał się jej badawczo, nieruchomym, przenikliwym spojrzeniem. Więził ją, poszukując, rozważając... Głosy pozostałych, rozmowa, śmiech, wesoły świergot ptaków i odległy turkot kół powozów zbladły, pozostawiając ich samych, we dwoje, siedzących na trawie, w pełnym słońcu.

Nagle jego spojrzenie powędrowało na jej usta, na chwilę przesunęło się niżej i powróciło ku jej oczom.

– Sztuka nie w tym, żeby wcielić się w rolę – mruknął bardzo cicho – ale żeby wiedzieć, kiedy kończy się udawanie, a zaczyna prawdziwe życie.

W jego oczach, tak podobnych do jej oczu, widniały żywe wspomnienia tego wszystkiego, co przeżyli wspólnie – dziecięcych triumfów, młodzieńczych przygód, ich ostatniej bliskości. Gabriel pochwycił niesforny lok, spadający na szyję Alathej, założył go z powrotem za jej ucho. Gdy cofał rękę, grzbietem dłoni pogłaskał jej policzek.

Alathea westchnęła drżąco i opuściła wzrok.

– Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć – powiedział Gabriel.

Wstał. Alathea nie odrywała wzroku od swoich bratków.

– Zawiadomię cię, jeśli mi się powiedzie – rzucił na odchodnym.

– Dobrze.

Odszedł bez pożegnania, machając ręką pozostałym i wymieniając uprzejmości z panną Helm. Alathea zawahała się, po czym poddała się i odwróciła głowę, żeby popatrzeć, jak się oddala.

\* \* \*

Dwanaście godzin później Alathea stała w kącie przepelnionego saloniku muzycznego lady Hendricks, oczarowana utworem, granym bezbłędnie przez najbardziej znany w stolicy kwartet smyczkowy. Pierwsza część występu właśnie dobiegała końca, gdy wokół jej nadgarstka zacisnęły się długie palce, po czym zsunęły się w dół i splotły z jej palcami.

Gwałtownie odwróciła głowę. Szeroko otworzyła oczy.

– Co ty tu robisz?

– Chciałem się z tobą spotkać.

Gabriel oparł się o ścianę, tuż obok Alathej. Musiała się przesunąć, żeby zrobić mu miejsce. Ostatnią rzeczą, jakiej



pragnęła, było ściągnięcie na siebie jeszcze większej liczby spojrzeń.

– Skąd wiedziałaś, że będę tutaj? – Oboje mówili szeptem.

– Folwell mi powiedział.

– Fol...? Och. – Napotkała jego spojrzenie. – Wiesz o Folwellu.

– Yhm. Czy wspominał o moim nowym służącym?

– Masz na myśli Chance'a?

Gabriel kiwnął głową.

– Jego język obraca się jak nakręcony, zarówno z dala ode mnie, jak i w mojej obecności. Od początku wiedziałem, że Folwell przychodzi do mojej kuchni. Jednak nie łączyłem jego wizyt z tobą. Myślałem, że przychodzi zobaczyć się z Dodswellem. Teraz już wiem, jak jest naprawdę, i mogę to wykorzystać.

Alathea prychnęła i zwróciła wzrok w stronę muzyków.

– Nie mogę uwierzyć, że lady Hendricks przysłała ci zaproszenie na takie wydarzenie. Nawet ona nie jest na tyle naiwna.

– Nie przysłała. Po prostu wszedłem, mając pewność, że mnie nie wyrzuci za drzwi. – Studiował profil Alathej, której twarz w trakcie słuchania muzyki łagodniała. Fascynowała go linia jej podbródka, znamionująca i siłę, i wrażliwość. Zawsze wydawała mu się właśnie taka, była zarazem równorzędnym partnerem, jak i osobą, którą należało się opiekować. Zauważył to również u hrabiny, ale u Alathej widział to przez całe życie.

Począł czekać, aż muzycy zakończą występ, i mruknął:

– Z kapitanem nie można się teraz skontaktować.

Entuzjastyczne oklaski odwróciły uwagę gości, toteż tylko Gabriel dostrzegł rozczarowanie na jej twarzy. Podał jej ramię.

– Chodźmy do okna, tam możemy swobodniej porozmawiać.

Wąskie drzwi, prowadzące na mały balkon, przypominający bardziej występ w murze, były otwarte. Chłodny wiatr poruszał cienkimi firankami. Przesunęli je na bok i stanęli na progu, zwrócieni do siebie twarzami. Nie można tego było nazwać

prywatnością, ale przynajmniej znaleźli się wystarczająco daleko od innych, żeby móc porozmawiać bez ryzyka, że zostaną podsłuchani.

Alathea oparła się plecami o futrynę.

– Czego się dowiedziałeś?

– Aloysius Struthers to nasz człowiek. Urzędnicy w biurze linii żeglugowej potwierdzili jego opis oraz to, że jest ekspertem w sprawach Afryki Wschodniej, pływającym po tamtych wodach przez ostatnich dziesięć lat, a może i dłużej. Niestety, teraz kapitana nie ma w Londynie, wyjechał, żeby odwiedzić przyjaciół, a w kompanii nie mają pojęcia dokąd. Nie ma rodziny i stałego miejsca zamieszkania w kraju. Ale od czasu do czasu wpada do biura, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś zmian w rozkładzie rejsów. W ciągu najbliższego miesiąca nigdzie nie wypływa. Zostawiłem wiadomość, która na pewno sprowadzi go na Brook Street, ale może ją otrzymać dopiero za tydzień lub dwa.

Gabriel zawahał się, po czym ciągnął dalej.

– Istnieje też możliwość, że nie będzie chciał nam pomóc.

Urzędnicy nakreślili obraz popędliwego starszego pana, pochłoniętego wyłącznie sprawami swoich statków i Afryki. Podejrzewam, że ma niewiele czasu dla ludzi, którzy nie są związani z żeglugą.

– Czy mamy dość dowodów, żeby wszcząć sprawę bez jego zeznania?

– Wyliczenia Montague'a wyraźnie wskazują na celowe oszustwo, ale nie stanowią dowodu. Dobry adwokat będzie umiał je pomniejszyć. To, co wiemy o tych trzech miastach: Fangaku, Lodwarze i Kingi, bazuje na raportach podróżników, którzy nie stawiają się osobiście, żeby potwierdzić szczegóły. Jeśli chodzi o informacje pochodzące od przedstawicieli władz afrykańskich, moi ludzie mają ogromne trudności, żeby uzyskać konkretne odpowiedzi, co samo w sobie jest wysoce podejrzane. Dla każdego poważnego inwestora zebrane przez nas dane wystarczyłyby z nawiązką, żeby ocenić poczynania Crowleya. Dla sądu potrzebujemy więcej.

– O ile więcej?  
– Będę pracował nad wydobyciem informacji ze sfer rządowych. Bez konkretniejszych dowodów składanie pozwu na tym etapie jest nierozsądne.  
– Najbardziej przydałby się nam kapitan.  
– Tak, ale w tej chwili nic nie możemy zrobić w tej sprawie.  
– A nawet jeśli go znajdziemy, może odmówić nam pomocy.  
Gabriel nie odpowiedział. Chwilę później muzycy przytknęli smyczki do strun. Oboje z Alatheą odwrócili się w stronę podium. Pokój wypełniła melodia o niezwykle słodczy. Alatheia obserwowała muzyków, dając się porwać ich sztuce, która chwilowo koła jej obawy. Gabriel z kolei patrzył na Alatheę. Krótki utwór dobiegł końca. Rozległy się brawa. Alatheia także klaskała.

– Zapomniałem, że lubisz muzykę.  
– Jednym z nielicznych plusów stolicy jest dla mnie możliwość słuchania najbardziej utalentowanych muzyków.  
Gabriel tylko kiwnął głową. Powędrował spojrzeniem ponad jej ramieniem i poderwał się gwałtownie.  
– Cholera! Ta harpia wyraźnie zamierza raić mi swoją córkę.  
Alatheia zerknęła za siebie i ujrzała gospodynię koncertu, zmierzającą w ich stronę z szerokim uśmiechem i bladą, ociągającą się córką.

– Zjawileś się jednak. Pewnie to ją zachęciło.  
Gabriel zaśmiał się ironicznie.  
– Czy mam cię zostawić twojemu losowi?  
– Ani się waż. Ta biedna dziewczyna zawsze przy mnie traci mowę. Bóg jeden wie dlaczego. Rozmowa z nią jest gorsza niż rwanie zębów.

Alatheia odwróciła się z uśmiechem, żeby powitać lady Hendricks. Gabriel ujął Alatheę pod rękę, w ten sposób odbierając jej i lady Hendricks szansę pozostawienia go sam na sam z jej córką. Matrona przyjrzała się im w zdumieniu, wylewnie skomentowała przybycie Gabriela na koncert i ruszyła dalej, pozostawiając im do towarzystwa pannę Hendricks. Alatheia, która

ją znała, zlitowała się i podjęła próbę podtrzymania rozmowy, nie odbiegając od najbardziej ogólnych tematów.

Wystarczyło jedno ostrzegawcze spojrzenie, żeby Gabriel zaczął się przyzwoicie zachowywać, z wdziękiem biorąc udział w konwersacji. Kiedy muzycy powrócili na scenę i Alatheia z Gabrielem rozstali się z panną Hendricks, młoda dama uśmiechała się promiennie. Alatheia, oparta na ramieniu Gabriela, była pewna, że lady Hendricks zadowolony się na tyle, by zapomnieć o swoim wcześniejszym zdumieniu.

– Esher i Carstairs siedzą razem z twoimi siostrami. Jak to się rozwija?

– Bardzo dobrze. – Alatheia zatrzymała się w holu, puściła jego ramię i odwróciła się, żeby zajrzeć do pokoju. – Wydaje mi się, że trwa to już jakieś dwa tygodnie. – Zerknęła na Gabriela, nagle poważniejąc. – Czy... czy słyszałeś może o którymś z nich?

– Nie. Sprawdziłem i obaj wydają się tacy, na jakich wyglądają. Są dość bogaci, żeby się ożenić z kim zechcą, a ich rodziny będą bardzo zadowolone, gdy pojmą za żony córki lorda.

– Dzięki Bogu. Zaczęłam się już martwić, czy to wszystko nie jest zbyt dobre, żeby było prawdziwe. Nigdy nie sądziłam, że wszystko tak dobrze będzie się układać. – Przeniosła wzrok na siostry. – Ten sezon okazał się dużo szczęśliwszy, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

Gabriel skinął głową. Po chwili wahania dotknął jej ramienia.

– *Au revoir* – powiedział i wyszedł.

\* \* \*

Następnego dnia po południu spotkał ją w parku. Wyglądała jak zwiewna, jasnozielona zjawa. Delikatny materiał sukni opływał jej biodra, kołyszące się w rytm jej kroków. Szła za swoimi siostrami. Esher i Carstairs znów byli obecni. Gabriel zgodził się w ciągu następnych kilku dni przeprowadzić z nimi rozmowę na temat ich zamiarów. Lekkie ponaglenie nie zaszkodzi.

Jego wzrok przykuwała Alatheia. Wydłużył krok, zmniejszając dzielącą ich odległość. Kiedy ją dogonił, odwróciła

się gwałtownie. W jej oczach błyszczało zaskoczenie, ale szybko opanowała je i z wdziękiem pochyliła głowę.

– Słyszałeś o czymś nowym?

Ujął jej rękę gestem, który teraz wydawał się zupełnie naturalny, a nawet niezbędny, i wsunął ją sobie pod ramię. Zaczęli iść obok siebie.

– Nie. Nic nowego.

– Och.

Czuł jej pytające spojrzenie. Chciała wiedzieć, co go tu sprowadzało.

– Pomyślałem, że może będziesz zainteresowana niektórymi szczegółami, które udało się rozszyfrować Montague’owi.

Odwrócenie uwagi zadziałało; Alatheia nie tylko bacznie śledziła jego relację, ale postawiła parę dociekliwych pytań na temat kosztów planowanych przez kompanię. Gabriel skinął głową.

– Każę Montague’owi sprawdzić...

– Alatheia! Co za miła niespodzianka!

Pochłonięci rozmową nie zważali na to, co się wokół nich dzieje. Dlatego ten okrzyk ich zupełnie zaskoczył. Gabriel zaklął pod nosem, gdy jego spojrzenie zatrzymało się na hrabinie Lewes, zbliżającej się w towarzystwie swojego brata, lorda Montgomery’ego.

Alatheia się uśmiechnęła.

– Cecille! Jakże miło cię widzieć.

Tłumiąc zniecierpliwienie, Gabriel wymienił z Montgomery’em nieznaczny ukłon. Obaj czekali z udawaną cierpliwością, podczas gdy panie witały się bardzo wylewnie. Z uwag, rzucanych przez hrabinę, Gabriel zorientował się, że była rówieśnicą Alatheii, a ich znajomość datowała się od przerwane go sezonu Alatheii przed jedenastu laty. Po zadowolonym wyrazie twarzy Montgomery’ego Gabriel wywnioskował, że lord się spodziewał, iż znajomość z jego siostrą przybliży go do Alatheii.

– I pan Cynster! – Hrabina odwróciła się do niego z szerokim uśmiechem.

– Pani. – Gabriel ujął podaną mu dłoń i ukłonił się swobodnie. Palce Alathej zsunęły się z jego rękawa. Nie patrząc, pochwycił jej dłoń i uwięził w uścisku. Zesztywniała. Niemal słyszał, jak się zastanawia, co knuł.

– Może przejdziemy się razem? – zapytała hrabina, ignorując to, co przed chwilą zaszło.

– Czemu nie. Bardzo chętnie – uśmiechnęła się Alatheja.

Gabriel ścisnął jej palce, po czym demonstracyjnie ujął ją pod ramię. Rzuciła mu ostre spojrzenie i odwróciła się do lorda Montgomery'ego.

– Czy pańska matka czuje się dobrze?

Tymczasem Gabriel zwrócił się do hrabiny.

– A jak się miewa Helmsley?

Hrabina poczerwieniała i odpowiedziała wymijająco. Odplącała mu, szczegółowo opisując swoje dzieci i ich choroby. Był to temat, który mógłby doprowadzić do ucieczki każdego dżentelmena. Gabriel powstrzymywał się, żeby nie zawyć. Zauważył, że Alatheja utkwiała wzrok w lordzie Montgomerym i nie zwraca uwagi na szczegóły opowieści hrabiny o jej trójce wspaniałego potomstwa. Początkowo zdziwiło go to, znał bowiem dziewczynę i wiedział, jak bardzo była zaangażowana w opiekę nad swoim przyrodnim rodzeństwem. Kiedy dotarli do Serpentine, spojrzał na jej twarz.

Odwracała głowę i nie mógł dostrzec jej oczu. Widział jednak wyraźne napięcie jej rysów. Z wdziękiem zagadnął hrabinę:

– Czy zamierza pani wziąć udział w balu lady Richmond?

Gwałtowne pytanie skłoniło hrabinę do przerwania monologu, szybko jednak podjęła nowy temat. Wtrącając tu i ówdzie pytanie, podtrzymywał jej zainteresowanie wydarzeniami towarzyskimi, a utrzymując z dala od tematu dzieci.

Skoncentrowany na Alathej czuł, że jej napięcie stopniowo ustępuje. Naprawdę zrobiła bardzo wiele, żeby uratować swoją rodzinę.

– Patrzcie! Lady Alatheja!

– Moja droga!

– Hrabino, proszę mnie przedstawić.

Grupka pięciu dżentelmenów, z lordem Coleburnem, panem Simpkinsem i lordem Falworthem na czele, podeszła do nich od tyłu. Gdyby Gabriel dostrzegł ich wcześniej, nie udałoby im się ich dogonić. Teraz jednak i on, i Alatheia zostali złapani w pułapkę.

Alatheia wyczuła jego rosnącą irytację. Gabriel patrzył na perorującego lorda Falwortha z twarzą bez wyrazu i niebezpiecznym błyskiem w oczach.

– Prawda, lady Alatheo?

– O... tak. – Przypomniawszy sobie pytanie Falwortha, dodała pospiesznie: – Ale tylko w towarzystwie bliskich przyjaciół.

Sytuacja, w której musiała zajmować się swoimi przypuszczalnymi wielbicielami, ze świadomością, że Gabriel rozważa unicestwienie jednego z nich albo może wszystkich, szarpała jej nerwy. Poczuli więc prawdziwą ulgę, gdy Gabriel zacisnął dłoń na jej ręce i przystanął.

– Obawiam się – rzekł najuprzejmiej, jak potrafił – że musimy odprowadzić siostry lady Alatheii i moje do powozów naszych matek. Proszę nam wybaczyć.

Ostatnie słowa wypowiedział z taką ukrytą mocą, że przekonał nawet lorda Montgomery'ego.

Odciągnął Alatheę na bok. Przyłapał wzrok swojej siostry Heather i jednym braterskim gestem skierował znajdującą się w sporej odległości przed nimi grupkę w stronę głównej alei.

Szybko dogonili dziewczęta. Alatheia westchnęła z ulgą. Gabriel posłał jej ponure spojrzenie.

– Mogłaś spróbować ich zniechęcić.

– Przecież w ogóle ich nie zachęcałam!

Szli w milczeniu. Kiedy zbliżyli się do miejsca, w którym mogli dostrzec powozy Sereny i Celi, Alatheia zwolniła, oczekując, że Gabriel przeprosi ją i odejdzie. Tymczasem tylko wzmocnił uścisk swej dłoni wokół jej ręki.

Spojrzała na niego zdumiona. Rzucił jej zirytowane spojrzenie.

– Nie jestem przecież ich eskortą. – Ruchem głowy wskazał cztery dziewczęta z Esherem i Carstairssem, idące przed nimi. – Towarzyszę tobie.

– Nie potrzebuję eskorty.

– Pozwól, że ja to osądzę.

Tylko tyle raczył powiedzieć. Alathea była zbyt zaskoczona jego gotowością zwrócenia uwagi matki na ich szczególne relacje, by wdawać się w dyskusje. Szybko znaleźli się w pobliżu powozów.

Szła z nim krok w krok, wzdychając w duchu.

– Wiesz przecież, że to w żaden sposób nie ułatwi sytuacji.

Myślała, że jej nie odpowie, ale tuż przed dotarciem do powozu jego matki, w którym siedziały Celia i Serena, mruknął:

– Już dawno przestało być łatwo.

Przy powozie dołączyli do dziewcząt i towarzyszących im kawalerów. Ponad ich głowami Celia spojrzała znacząco na Gabriela. Uważnie przyglądająca się temu Alathea bez trudu mogła zinterpretować to spojrzenie – Celia chciała wiedzieć, dlaczego był tutaj. Gabriel odpowiedział spokojnym spojrzeniem z jednoczesnym lekkim wzruszeniem ramion, dając Celi do zrozumienia, że po prostu wpadł na nich przypadkiem i odprowadził kawalek. Nic szczególnego. Zrobił to tak spokojnie, że Alathea też by mu uwierzyła, gdyby nie знаła prawdy. Gabriel kiwnął głową, a Celia uśmiechnęła się i pomachała mu ręką.

Odwrócił się do niej i ich spojrzenia się spotkały. Ich palce musnęły się pomiędzy fałdami sukni. Szybko skinął głową, odwrócił się i odszedł.

Alathea przyglądała się oddalającemu się Gabrielowi, a w jej głowie kołatało coraz bardziej natarczywe pytanie.



## Rozdział 15

Pytanie to znalazło swoją odpowiedź dwa dni później. Bal u księżnej Richmond był jednym z głównych wydarzeń sezonu. Stojący nad rzeką dom Richmondów otwierał się dla wszystkich, którzy coś znaczyli w towarzystwie. Alatheia przybyła stosunkowo wcześnie, z Sereną, Mary i Alice. Jej ojciec, który wybrał się z przyjaciółmi na obiad, miał wpaść później. Pozostawiwszy Serenę na kanapce w towarzystwie lady Arbuthnot i Celi Cynster, krążyła tak długo, dopóki wokół dziewcząt nie zamknął się wianuszek panów, z Esherem i Carstairsem na czele, po czym skierowała się ku spokojnemu kącikowi pod ścianą.

Jej próba ukrycia się została zniweczona przez lorda Falwortha, który dostrzegł ją w tłumie. Już po chwili otoczyli ją jej „dworzanie”. Ku ogromnej uldze Alatheii parę minut później dołączył do nich Chillingworth. Po wymianie zwyczajowych grzeczności lord zajął miejsce u boku Alatheii, odsuwając stamtąd Falwortha. Chillingworth, równie duży jak Gabriel, wywierał podobny wpływ na jej wielbicieli; skłaniał ich do prowadzenia inteligentnej rozmowy.

Gdy orkiestra zaczęła przygrywać do pierwszego tańca, Alatheia czuła się głęboko wdzięczna Chillingworthowi i gotowa była z nim zatańczyć. On jednak nie skorzystał z okazji i spokojnie się przyglądał, jak lord Montgomery błaga ją o wyświadczenie mu tego zaszczytu. Nie mając przygotowanej żadnej wymówki, Alatheia zmuszona była ulec gorącym prośbom, ale oszczędzone jej zostało wysłuchanie jego pompatycznych deklaracji, jako że tańczyli kotyliona.

Gdy po skończonym tańcu lord Montgomery odprowadził ją do grona jej adoratorów, była nieco zaskoczona widokiem czekającego cierpliwie Chillingwortha. Jej wdzięczność rozkwitła na nowo, gdy pod jego wpływem rozmowa toczyła się lekko, na ogólne tematy. A potem muzycy zaczęli grać walca i Alatheia zrozumiała, dlaczego Chillingworth czekał.

Wyraz jego oczu, gdy pochylił się przed nią w ukłonie, był

niezwykle zdecydowany.

– Wyświadczy mi pani ten zaszczyt, moja droga?

Alathea zawahała się, wyraźnie mając w pamięci innego mężczyznę. Uniosła wzrok i... ujrzała go, obserwującego ją uważnie, czekającego, co zrobi, gotowego wkroczyć i upomnieć się o nią, gdyby zapomniała o jego zarządzeniu. Jasno wyczuwała zdecydowanie, gdy otaczający ją krąg wielbicieli rozstąpił się niby Morze Czerwone.

Powściągnęła odruch buntu i uznawszy, że nie odważy się drażnić Gabriela, będącego w takim nastroju, spojrzała na Chillingwortha.

– Obawiam się, milordzie, że już obiecałam ten taniec. Panu Cynsterowi.

Ta ostatnia uwaga była zbyt uczynna. Chillingworth utkwił spojrzenie w twarzy Gabriela i się uklonił.

– Moja strata, ale tylko chwilowa. Dzisiejszej nocy będzie jeszcze wiele walców. – Ton jego głosu jeszcze bardziej niż słowa sygnalizował jego zamiary.

Z wdziękiem równym wdziękowi Chillingwortha, Gabriel skłonił się i wyciągnął rękę. Alathea podała mu swoje palce, świadoma powściąganej siły jego uchwytu. Przyciągnął ją do siebie i obrócił, skutecznie oddzielając ją od grona jej dworzan. Parkiet znajdował się tuż obok. I już wirowała w jego ramionach.

Była świadoma tego, jak bardzo ucieszyła go cała ta scena. Jednak nie podzielała jego zadowolenia.

– Ściągasz na nas zbyt wielkie zainteresowanie.

– W tych okolicznościach jest to nieuniknione.

– Zmień więc owe okoliczności.

– Jak?

– Twój upór, żebym tańczyła walca tylko z tobą, jest śmieszny. I grozi komentarzami. Trudno go wytłumaczyć naszą wieloletnią znajomością.

– Chcesz, żebym pozwolił ci tańczyć walca z innymi mężczyznami?

– Tak.

– Nie.

Zakręcił nią w tańcu. Czemu sobie wyobrażał, że może jej dyktować warunki? Z powodu tych godzin, które spędzili ze sobą w ciemnościach? Odsunęła wspomnienia na bok.

– Zwracanie na siebie uwagi plotkarzy nie jest zbyt rozsądne. Ludzie zaczynają się zastanawiać.

– I co z tego? Nie przychodzi im do głowy nic, co mogłoby się obrócić przeciwko tobie.

Owszem, przychodziło. Wkrótce cała śmietanka towarzyska będzie przekonana, że zamierzają się pobrać, co przecież nie wchodziło w grę. Zanim rozprawią się z Crowleyem i jego kompanią, zainteresowanie Gabriela jej osobą zniknie i zajmie się zastawianiem sideł na kolejną zdobycz. Rozbudzone nadzieje, które nigdy nie miały szansy się zrealizować, nie były dobrym pomysłem. A ona była za stara, o wiele za stara, żeby wychodzić za męża.

Do końca walca Alatheia kipiała ze złości, a jej humoru nie poprawiały pełne spekulacji spojrzenia, rzucające w ich stronę, ani jego bezustanne i, była tego pewna, celowe drażnienie jej zmysłów.

Gdy taniec się skończył, chciała powrócić w bezpieczne towarzystwo swoich wielbicieli. Okazało się, że Gabriel ma inny pomysł. Pokoje, w których odbywało się przyjęcie, były usytuowane w amfiladzie. Gabriel przedefilował po nich z Alatheą opartą na jego ramieniu. Jedynie dzięki ogromnemu ściskowi, który tam panował, nie skupiło się na nich zbyt wiele ciekawskich spojrzeń.

– Dokąd idziemy?

– Gdzieś, gdzie będzie trochę luźniej.

Trudno jej było się z tym nie zgodzić. Pomimo wysokiego wzrostu czuła się osaczona w tłumie. Gabriel zaprowadził ją do niewielkiego saloniku, którego przestrzeń podzielona była przez rozstawione palmy i rzeźby. W ten sposób powstały niewielkie nisze, w których można było swobodnie porozmawiać. Gabriel zatrzymał się w zaułku, utworzonym przez trzy donice z palmami i

ozdobny łuk.

Obok przechodził lokaj z tacą. Gabriel wziął dwa kieliszki szampana.

– Proszę. Niedługo zrobi się jeszcze goręcej.

Alathea przyjęła szampana i zaczęła sączyć trunek, stopniowo się odprężając, w miarę jak bąbelki spływały jej do gardła. Rozglądała się po saloniku. Nagle wyczuła, że Gabriel zeszywniał. Odwróciła się i napotkała spojrzenie Chillingwortha, który przyłączył się do nich.

– Chyba mam dużo szczęścia, że udało mi się panią znów odnaleźć, moja droga.

– Szedłeś za nami – parsknął z ironią Gabriel.

– Wcale nie. – Chillingworth wziął szampana od kręcącego się w pobliżu lokaja. Popijał, nie spuszczać wzroku z twarzy Alathej. – Założyłem, że po tym pokazie na sali balowej Cynster schroni się w miejscu bardziej nadającym się dla jego celów.

– Powinieneś wiedzieć wszystko o takiej taktyce.

Chillingworth spojrzał na Gabriela.

– I to właśnie mnie zdumiewa. Jesteś przecież przyjacielem rodziny. Nigdy bym się nie spodziewał po tobie takiej zmiany kursu.

– To dlatego, że nie masz pojęcia, jaki jest mój obecny kurs. Chillingworth uśmiechnął się szyderczo.

– O nie, mój drogi chłopcze. Zapewniam cię, że nie jestem do tego stopnia pozbawiony wyobraźni.

– Może byłoby rozsądniej – odparł Gabriel głosem ostrym jak stal – gdybyś był.

– Co? I miałbym ustąpić ci pola?

– Nie pierwszy raz byłbyś zmuszony przyznać się do klęski.

Przenosząc wzrok z jednego na drugiego, Alathea czuła, że kręci jej się w głowie. Rozmawiali ponad jej głową, kłócili się o nią, jakby była nieobecna.

– Byłoby znacznie lepiej – stwierdził Chillingworth – gdybyś, biorąc pod uwagę okoliczności, zakończył obecną grę i zszedł mi z drogi.

– O jakiej grze mówisz?  
– O odgrywaniu psa ogrodnika.  
– Bardzo proszę! – Z błyszczącymi oczami Alatheia uciszyła najpierw Gabriela, który właśnie otwierał usta, szykując się do riposty, po czym zwróciła się do Chillingwortha:

– Proszę mi wybaczyć, ale uważam tę wymianę zdań za niezbyt przyjemną.

Nie przypuszczała, żeby którykolwiek z nich łatwo się czerwienił, teraz jednak na policzkach obu dżentelmenów pojawił się lekki rumieniec. Bezceremonialny charakter wymienianych uwag nie leżał w naturze żadnego z nich i daleki był od ich zwykłego nienagannego, eleganckiego zachowania.

– Jestem przerażona. – Patrzyła na nich na przemian, zmuszając do milczenia. – Wygląda na to, że uważacie mnie nie tylko za pozbawioną wyobraźni, ale jeszcze do tego głuchą! Pragnę więc was poinformować, że doskonale wiem o waszej „grze” i pozwolę sobie powiedzieć, że nie zgadzam się na nią. Jak każda kobieta w moim wieku sama będę sędzią swojego postępowania. Nie zamierzam ulegać wypróbowanym umizgom obu panów. Jednak najgorsze jest to, że usiłujecie egoistycznie realizować swoje plany, nie zwracając uwagi na fakt, iż wasze zaloty niepotrzebnie skupiają uwagę widzów na mnie!

Skończyła, płomiennym wzrokiem patrząc na Chillingwortha. Lord sprawiał wrażenie skruszonego.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, moja droga.

Alatheia cicho prychnęła, kiwnęła głową i odwróciła się do Gabriela. Patrzył na nią przez chwilę, po czym zacisnął palce wokół jej łokcia. Podał swój kieliszek Chillingworthowi, a następnie wyjął jej z dłoni jej kieliszek, który również przekazał lordowi.

– Proszę nam wybaczyć, ale mamy jeszcze do omówienia parę spraw niecierpiących zwłoki.

– Ależ proszę bardzo – odparował Chillingworth. – Kiedy już się dowiesz, że nie masz szans, będę mógł wyjaśnić swoją pozycję.  
– Ukłonił się Alatheii.

Gabriel zmarszczył brwi.

– Uwierz mi, że nie masz tu czego szukać.

Zanim Chillingworth zdążył odpowiedzieć, zanim Alatheia mogła ujrzeć jego reakcję, Gabriel pociągnął ją za sobą. Alatheia była zła, ale nie próbowała się wyrywać. Łatwiej byłoby się uwolnić ze stalowych kajdanów niż z uchwytu Gabriela. Poprowadził ją przez pokój w stronę szeroko otwartych drzwi prowadzących na korytarz.

– Gdzie teraz? – zapytała.

– Gdzieś, gdzie będzie spokojnie. Chcę z tobą porozmawiać.

– Doprawdy? Ja też mam ci parę słów do powiedzenia.

Poprowadził ją schodami w górę do spokojnego skrzydła domu. Za otwartymi drzwiami na końcu korytarza znajdował się mały salonik z zasłoniętymi oknami. Na kominku płonął ogień. Trzy świeczniki rzucały złocisty blask na satynę i drewno. Alatheia podeszła do kominka i wtedy usłyszała zgrzyt przekręcanego zamka.

– Ta groteskowa sytuacja musi się skończyć. – Przeszyła go zirytowanym spojrzeniem. – Nie ma już hrabiny. Rozpłynęła się we mgle, by nigdy nie powrócić.

– Ale ty tu jesteś.

– Tak. Ja jestem. Alatheia, którą znałeś całe życie. Nie jestem jakąś rozkoszną kurtyzaną, którą chciałbyś uwieść. Jesteś znudzony, bo teraz już wiesz, że nie masz do czynienia z hrabiną, tylko ze mną. Wiesz też, że niedługo przestaniesz się nudzić i zaczniesz się uganiać za jakąś kolejną damą, bardziej odpowiadającą twoim gustom.

Stał przy drzwiach i przyglądał się jej, przechylając głowę.

– A więc moje zainteresowanie tobą spowodowane jest nudą?

– Tak, i perwersją. Reakcją na Chillingwortha i pozostałych.

Wygląda to niemal tak, jakbyś zrezygnował z tego idiotycznego pilnowania bliźniaczek i przeniósł swoje zainteresowanie na mnie!

– I co w tym złego?

– Jesteś obsesyjnie opiekuńczy! Gdybyś na chwilę przestał i pomyślał, zrozumiałbyś, że nie ma potrzeby takiej opieki. A ja

jeszcze mniej potrzebuję opieki niż bliźniaczki. Co gorsza, takie krążenie wokół mnie jest szalenie nierozważne. Zwraca na nas uwagę, a sam wiesz, co ludzie potrafią z tego zrobić. Zanim się zorientujesz, całe towarzystwo będzie przekonane o istnieniu czegoś, czego w ogóle nie ma.

Upłynęła chwila, zanim zapytał:

– A to, czego nie ma, to, co nazywasz złudzeniem, o którego istnieniu, twoim zdaniem, będzie wiedziała cała śmietanka towarzyska, to co to dokładnie jest?

– Będą sobie wyobrażać, że doszliśmy do porozumienia i w najbliższej przyszłości przeczytają w „The Gazette” zawiadomienie o ślubie. Jak to uczenie zauważył Chillingworth, wszyscy wiedzą, że nasze rodziny pozostają ze sobą w bliskich relacjach, że oboje znamy się od lat. Nikt nawet nie pomyśli o żadnym niedozwolonym związku, będą sądzili, że się pobierzemy. A kiedy ludzie w to uwierzą, słono za to zapłacimy.

– Hm. – Zaczął iść w jej stronę. – I to cię dręczy?

– Absolutnie nie mam chęci spędzić pozostałej części sezonu na wyjaśnianiu zainteresowanym, dlaczego nie zamierzamy się pobrać.

– Zapewniam cię, że to ci nie grozi.

– Doprawdy? – obruszyła się, słysząc jego protekcyjny ton. – Skąd ta pewność?

– Bo się pobierzemy.

Gabriel podszedł naprawdę blisko. Upłynęła długa chwila, zanim Alatheia spojrzała na Gabriela.

– C... co?

– Chciałem odłożyć rozmowę na ten temat do czasu, gdy rozprawimy się z kompanią, ale najwyraźniej tak się nie da. Równie dobrze możemy więc porozmawiać o tym dziś. Jeśli chodzi o mnie, im szybciej się pobierzemy, tym lepiej.

– Ale nigdy nie myślałeś o tym, żeby się ze mną ożenić. A już na pewno nie po balu u lady Arbuthnot.

– Na szczęście nigdy się nie nauczyłaś czytać w moich myślach. Postanowiłem się z tobą ożenić, kiedy cię poznałem jako

hrabinę. Następnego dnia po balu u lady Arbuthnot zacząłem się oswajać ze zdumiewającym odkryciem, że to właśnie ty byłaś kobietą, którą chciałem uczynić moją żoną. Możesz sobie wyobrazić, że był to dla mnie prawdziwy szok.

– Ale... musiałeś zmienić zdanie. Nie chcesz poślubić mnie.

– Nie tylko chcę cię poślubić, ale zamierzam to zrobić i dlatego moje zachowanie wobec ciebie i innych dżentelmenów jest całkowicie zrozumiałe. Potrafię być obsesyjnie opiekuńczy, ale tylko wobec tych, wobec których jestem obsesyjnie zaborczy, jak na przykład wobec kobiety, która będzie moją żoną. Zakończeniem twoich występów w roli hrabiny będzie ślub ze mną. I dlatego śmietanka towarzyska Londynu nie zobaczy nic fałszywego, a wnioski, jakie wyciągnie, będą prawdziwe.

– To ty tak uważasz.

– I tak będzie. – Podszedł bliżej. W jej oczach pojawiło się zrozumienie. Podniosła do góry brodę. Spojrzał jej w oczy. – Tak jest naprawdę. Nie wyrosnę z tego, nie stracę zainteresowania ani nie zajmę się kimś innym. Małżeństwo ze mną to twoja przyszłość, od której nie ma odwołania. Jeśli jeszcze tego nie rozumiałaś, będziesz miała czas, żeby się do tego przyzwyczaić, ale nie wyobrażaj sobie, że jest jakieś inne wyjście.

– Ale... – Oszołomiona potrząsnęła głową. – Nie jestem hrabiną. To hrabina cię zafascynowała, kobieta tajemnicza i wyrafinowana. Ja cię nie fascynuję, wiesz o mnie wszystko...

Pocałował ją: przywarł ustami do jej warg, po czym otoczył ją ramionami. Jej opór trwał ułamek sekundy, po czym rozwiął się jak mgła. Przytuliła się do niego, rozchyliła wargi, oferując mu to, czego żądał.

Próbowała zachować rozsądek. Całą resztę poddała bez walki, wiedząc, że jakakolwiek bitwa byłaby daremna, ale kurczowo trzymała się zdrowego rozsądku. Świat wokół niej wirował, jej zmysły szalały. Zaszokował ją swoim oświadczeniem, ale sama siebie zaskoczyła jeszcze bardziej.

Pragnęła go. Jej głód był zbyt przemożny, zbyt ostry w swej nowości, żeby mogła go przeoczyć czy pomylić z czymś innym.



Ramiona, które zamknęły się wokół niej, stanowiły upragnioną klatkę, a twarde, przywierające do niej ciało było kwintesencją wymarzonej rozkoszy. Plądrował jej usta, bezwzględnie, bezlitośnie, wcale nie łagodnie. Alatheia czuła przyplływ namiętności, swojej i Gabriela, i czerpała radość ze swojej mocy. Uderzająca do głowy fala urosła do rozmiarów gorącego wiru, kręcącego się wokół nich, liżącego płomieniami, dotykającego, ale jeszcze nie pożerającego. Nagle świat powrócił do równowagi, ku ogromnemu zaskoczeniu Alatheii.

Gabriel uniósł głowę.

Jego jedna dłoń oparła się na jej karku, przytrzymując ją. Druga uniosła się... ku jej włosom.

– Co...? – Poczowała krótkie szarpnięcie, a w jego oczach pojawiła się satysfakcja. Spojrzała w bok i ujrzała w jego ręce swój wyszywany koralikami kapelusik. – Tylko nie próbuj wrzucić go do kominka!

– Nie? – Wzruszył ramionami i upuścił nakrycie głowy na podłogę. – Jak sobie życzysz. – Jego ręka ponownie znalazła się w jej włosach. Na ziemię posypały się spinki.

– Co robisz? – Usiłowała się wyrwać, ale trzymał ją zbyt pewnie.

– Najwyraźniej wyrobiłaś sobie bardzo błędną opinię o tym, co mnie fascynuje. Przekonywanie cię argumentami zawsze było stratą czasu, więc zamiast tego postanowiłem ci to zademonstrować.

– Zademonstrować?

– Yhm. – Przesunął ręką po jej włosach, rozsuwając palce, przeczesując długie pasma, przytrzymując je i pozwalając im spływać w dół. – Nigdy nie rozumiałaś, czemu tak nie znosiłem twoich kapelusików, prawda?

Alatheia nie odpowiedziała, zahipnotyzowana zachłannością malującą się w jego twardych rysach. Uchwycił część włosów mocniej, odchylając jej głowę.

– Co jeszcze? A, tak. Twoje oczy. Czy wiesz, jak to jest, gdy się w nie patrzy? Nie na nie, ale w nie. Kiedy to robię, czuję się,

jakbym wpadł do magicznego stawu i się zagubił. A już z pewnością zagubił wszelki rozsądek. – Przesunął wzrok niżej. – I twoje usta. – Złożył na nich szybki, boleśnie niepełny pocałunek. – Ale wiemy oboje, dlaczego je lubię. – Podtrzymująca ją ręka oderwała się od jej pleców. Nadal jednak trzymał ją za włosy. – Nie sądzę jednak, żebyś miała o tym pojęcie.

Długie palce dotknęły jej szczęki, przesuwał się od policzka do ucha. Potem ujął jej twarz, pochylił głowę i ustami powędrował tą samą trasą.

Alathea zadygotała.

– No właśnie. Wrażliwa. – Słowa pieściły jej uszy. – Nie słaba, ale wrażliwa. Moja.

Wargi Gabriela musnęły delikatną skórę pod uchem, a potem przesunęły się niżej, gorącym oddechem owiewając jej szyję. Rozum podpowiadał jej, że powinna go upomnieć: nie należała do niego.

Lecz ugięły się pod nią nogi. Chwyliła go za klapy surduta, bo zakręciło jej się w głowie. Puścił jej włosy. Gdy wargi Gabriela powróciły na usta Alathej, jej głód nasilił się. Podsycił jej pragnienie. Rozkojarzona, nie zdawała sobie sprawy z tego, że jego palce przez cały czas były zajęte, aż do momentu, gdy przerywając pocałunek, zsunął jej z ramion suknię. Podobnie uczynił z ramiączkami koszuli. Zanim uniosła powieki, zanim odetchnęła głęboko, jej różowe, nabrzmiałe piersi znalazły się w jego dłoniach.

Już wcześniej pieścił jej piersi, ale tylko po ciemku. Nie widziała wówczas jego rąk. Nie widziała też jego twarzy, pożądania malującego się na jego obliczu, ognia namiętności, płonącego w oczach. Ręce Gabriela zacisnęły się w geście posiadacza.

– Piękna – wymruczał. – Nie ma lepszego słowa. Nie ma innego określenia, które oddawałoby ci sprawiedliwość.

Pochylił głowę. Alathea przymknęła oczy, starając się nie oszaleć, gdy Gabriel delectował się jej ciałem. Wargami, językiem i zębami wyrażał swoje uwielbienie, obsypując ją gradem

przyjemności, aż jęknęła. Jego dotyk nie miał sobie równych. Chociaż świat namiętności wirował wokół nich, nadal stali w oku tego cyklonu.

Nigdy dotąd nie był do tego stopnia pobudzony, przy jednoczesnym zachowaniu absolutnej kontroli. Przy żadnej kobiecie. Kobieta w jego ramionach była kimś wyjątkowym, ale wiedział o tym od samego początku, przez całe swoje życie, chociaż wcześniej tego nie rozumiał.

Uniósł głowę i oderwał usta od słodkich wzgórków jej piersi, pozwalając Alathej się uspokoić. Przesunął ręce na jej plecy i zsunął niżej jej suknię i koszulę, aż zatrzymały się na biodrach. Szeroko otwartymi oczami, w których widniało pełne zdumienia zrozumienie, napotkała spojrzenie Gabriela.

Wygiął wargi. Uniósł ręce, kładąc je na ramionach dziewczyny, i przesunął w dół, wzdłuż jej pleców.

– Podoba mi się, że jesteś taka wysoka. A przy tym taka smukła.

Zacisnął ręce wokół jej szczupłej kibici. Wybuchła w nim żądza, wiedział, że błyszczała w jego oczach.

– Wysoka, a mimo to bardzo kobieca. Mój ideał.

Scałował z jej warg to, co chciała powiedzieć. Gruntownie. Potem ściągnął z niej suknię i koszulę. Z szelestem zsunęły się na podłogę.

– Gabrie...

Przerwał jej kolejnym pocałunkiem. Rozkoszne kształty wypełniły mu dłonie. Nie był już dłużej zainteresowany komunikacją słowną. Pogłębiając pocałunek, mocno przyciągnął ją do siebie. Znał jej dotyk, lecz jego zmysły zdawały się wygłodniałe, pilnie potrzebując coraz więcej i więcej.

Fascynacja była zbyt delikatnym określeniem obsesji, która nim zawładnęła.

A jej nogi...

– Nie ruszaj się. – Zaplótł ręce wokół bioder Alathej i opadł na kolana.

Usłyszał jej przyspieszony oddech. Pocałował ją w talii, po

czym zniżył usta w okolice pępka. Opuściła ręce i oparła się na jego ramionach, niespokojnie przebierając palcami. Gdy prowokacyjnie wsunął język w niewielkie zagłębienie, wplątała palce w jego włosy.

Złożył hołd jej nogom, przesuwając dłonie w dół, a potem w górę po długich, smukłych kończynach. Zadrżała, a jej mięśnie się napięły. Gdy pochylił głowę i wtulił ją w brzuch dziewczyny, jęknęła.

– Gabrielu... – wypowiedziała bolesnym, błagającym szeptem.

Ledwo mogła uwierzyć, że to słowo wydobyło się z niej. Miała gorące ciało, zaczerwienioną skórę, chaos w głowie, ale dokładnie czuła każde dotknięcie, każdą pieszczotę. Powietrze przesycone było pożądaniem, rozgrzane namiętnością. Tym razem zabrakło ciemności, spowijających jej zmysły, i welonu, przesłaniającego rzeczywistość.

Stała przed nim naga. Był zniewolony jej nagością. Czuła gorący ciężar jego głowy na swoim brzuchu, kojący, a jednocześnie podniecający dotyk jego rąk. Pod palcami miała jedwabistą miękkość jego loków.

Gabriel przeniósł jedną rękę na jej pośladki, poprawiając jej chwiejną równowagę, a palcami drugiej dłoni przesuwał w górę i w dół po wewnętrznej stronie jej ud. Posunął się odrobinę niżej. Spodziewała się, że dotknie miejsca pomiędzy udami. Czekwała w napięciu. A kiedy w końcu poczuła tam muśnięcie, miała wrażenie, że zaraz umrze. Muśnięcie gorącego, wilgotnego języka. Krzyknęła coś nieskładnie.

Złapał ją i podtrzymał. Chwyciwszy ją za kolano, zarzucił sobie jej jedną nogę na ramię. Żeby złapać równowagę, musiała ją zgąć w kolanie i opuścić na szerokie plecy Gabriela, a palcami wbić się w jego głowę. Pozycja była znacznie pewniejsza, ale, co nieuniknione, o wiele intymniejsza. Znów poczuła dotknięcie jego parzącego języka.

– Chcę cię smakować.

Te stłumione słowa były jedynym ostrzeżeniem. Nie miało

żadnego znaczenia, czy zgodziłaby się na taką poufałość. Po prostu brał, a ona dawała.

Miała napięte do granic wytrzymałości nerwy, drażliwe, boleśnie czułe. Kręciło jej się w głowie, ale jakaś niewielka jej część pozostawała na tyle przytomna, żeby analizować jego zachowanie i zastanawiać się, czy tak chciał wszystko przeprowadzić.

Doznania były podniecające. Widziała i czuła ponad burzą zmysłów. Powietrze przed nią było chłodne, z tyłu ciepłe. A klęczący przed nią mężczyzna był dawcą czystej rozkoszy. Dzielił się z nią tą rozkoszą, aż zaczęła łkać, aż jej ciało przerodziło się w naczynie pełne gorącego pragnienia i tęsknoty.

Wstał. Zacisnął mocno ręce na jej pośladkach i uniósł ją do góry.

A potem ją wypełnił.

Wszedł w nią głęboko i pchnął. Z jękiem zamknęła się wokół niego, osłoniła, przytrzymała. Zacisnął palce, naprężył mięśnie. Alatheia otoczyła nogami jego biodra, zarzuciła mu ręce na szyję, przywarła mocno do niego, pochwyciła w dłonie jego głowę i ustami odszukała wargi Gabriela.

Stopili się w pocałunku, w którym oboje dawali tyle samo. Ich ciała poruszały się zgodnie, powolnym, prowokacyjnym rytmem, równie instynktownym jak oddychanie. Gabriel podniósł ją, ona zaś zmysłowo zsunęła się w dół. Przywarła do niego, po czym się rozluźniła. Gabriel wycofał się, aby znów powrócić.

Być może powinna się czuć zawstydzona tym intymnym oddaniem się, tym, że znajdowała się naga w jego objęciach, że obnażonymi nogami otaczała nienagiego mężczyznę. W każdym momencie jej zmysły rejestrowały przejmujące wrażenie, jakie na jej wrażliwej skórze wywierał kontakt z tkaniną, z jakiej zostało uszyte eleganckie, wieczorowe ubranie Gabriela.

Tak właśnie zaplanował – ani przez chwilę nie miała innego wrażenia. Zapowiedział, że pokaże jej swoją fascynację; gdy poruszał się w miłym ciepłe jej ciała, przeciągając każdą ceną chwilę, trzymając pod kontrolą szalony wir emocji, była

przekonana do szpiku kości, że niczego nie udawał.

Nie chciała, żeby przerywał pocałunek, aby ją przekonywać. Nie musiała czuć odpowiedzi swojego ciała, by wiedzieć, że mu wierzy. Nie musiał unosić ociężałych powiek i, przesywając ją spojrzeniem błyszczących oczu, mówić:

– Sądysz, że cię znam, ale to nieprawda, nie znam kobiety, jaką się stałaś. Nie wiem, co będę czuł, gdy przesunę ręce po twoich włosach, ciepłych od snu, gdy wsunę się w ciebie, kiedy się obudzisz rankiem. Nie wiem, co to znaczy zasypiać z tobą w ramionach i budzić się, czując na policzku twój oddech. Trzymać cię nagą w ramionach w świetle dnia, gdy będziesz nosiła moje dziecko. Jest wiele rzeczy, których o tobie nie wiem. Spędzę z tobą całe życie i nadal nie dowiem się wszystkiego, co chciałbym wiedzieć. Nie obchodzi mnie, pod jakim imieniem się ukrywasz, i tak pozostajesz tą samą kobietą. Kobieta, która mnie fascynuje.

Z ogromnym wysiłkiem starali się zachować zdrowe zmysły. Alatheia zwiesiła głowę i oparła ją na ramieniu Gabriela, potarła nosem jego szyję i pocałowała go, bez tchu, w rozgrzaną skórę. Jego wargi zrewanżowały jej się podobną przyjemnością, a potem leciutko ją uszczypnęły.

– Lubisz to, prawda? – zapytał łamiącym się, napiętym głosem. Roześmiał się szorstko. – Na wszystkie sposoby doprowadzasz mnie do śmierci.

Celowo zacisnęła się wokół niego, zauważyła bowiem, że sprawia mu to przyjemność. Odchylił głowę do tyłu i jęknął. Pochwycił luźne końce jej włosów i pociągnął je tak, by uniosła głowę i by mógł spojrzeć jej w oczy.

– Widzisz? Zostałaś stworzona właśnie do tego, żeby mi się ofiarować.

Nie odpowiedziała. Obawiała się, że Gabriel może mieć rację. Szarpnięciem głowy wyrwała włosy z jego uchwytu. Wskutek gwałtownego ruchu poruszyła się cała i jeszcze głębiej opadła na niego, zaciskając się jeszcze mocniej wokół jego męskości. Wstrzymał oddech, a potem opadł wargami na jej usta, pospiesznie i żądajaco. Jego opanowanie znikło w jednej chwili.

Porwał ich szalony wir, otoczyły płomienie. Ogarnęła ich potężna, czysta namiętność, która poniosła ich wysoko, a potem nimi wstrząsnęła. Wyzwolenie było tak głębokie, iż żadne z nich nie zauważyło, że upadli na podłogę. Jedyne, na co pozwoliły im oszalałe zmysły, to była świadomość, że są razem, że stanowią jedność.

– Nazwałaś mnie Gabrielem.

Opadła z sił Alatheia, opierająca się na jego torsie i nadal rozpalona, z trudem zbierała myśli.

– Od tygodni nazywałam cię w myślach Gabrielem.

– To dobrze, bo właśnie nim jestem. – Leżał na plecach na sofie, gdzie przeniósł Alatheę, i gładził ją po włosach. – Nie jestem już towarzyszem twoich dziecięcych zabaw. Jestem twoim kochankiem i będę twoim mężem. Żądam uznania mojej pozycji. – Zacisnął dłoń na jej karku, zaraz jednak złagodził uścisk i zaczął ją głaskać. – W gruncie rzeczy nie ma znaczenia, jak mam na imię, podobnie jak nic nie zmienia twoje imię. Jesteś kobietą, której pragnę, ty zaś pragniesz mnie. Jesteś moja, zawsze byłaś i zawsze będziesz moja.

Absolutna pewność, brzmiąca w słowach Gabriela, ujęła Alatheę za serce.

Nadal miała rozpaloną skórę. Ciało Gabriela promieniowało ciepłem. Nie było jej zimno. Po prostu nie była w stanie zebrać sił, żeby odzyskać panowanie nad sobą i zmienić temat. Zresztą nawet nie wiedziała, czy tego chce.

Przypomniała sobie, że pewnej letniej nocy leżeli razem na plecach i wpatrywali się w gwiazdy. Nie dotykali się, ale napięcie pomiędzy nimi było tak wielkie, że niemal iskrzyło. Teraz to napięcie zupełnie znikło. Otaczało ich morze spokoju, głębokie i trwałe. Słyszała powolne, miarowe bicie jego serca.

– Czemu tu jesteś? – zapytał spokojnie. Zaskoczona, odpowiedziała: – Ty mnie tu sprowadziłeś.

– A ty przyszedłaś. Teraz zaś leżysz w moich ramionach zupełnie naga, przyjechałaś mnie z ochotą, oddałaś mi się tylko dlatego, że cię pragnąłem.

Teraz czuła się o wiele bardziej na jego łasce niż wcześniej. Skąd wiedział o zamęcie i niepewności, czających się w jej głowie? Wyglądało jednak, że wiedział.

– Jesteś w tym dobra, w dawaniu. A chcę wszystkiego, co gotowa jesteś mi dać. – Łagodnie gładził ją po włosach. – Jesteś zmysłową kobietą, wspaniałą w łóżku i nie obchodzi mnie, ile masz lat. Chociaż nie masz doświadczenia, sprawiłaś, że zawirowało mi w głowie.

Zamknęła oczy.

– Przestań.

– Mam przestać? Przestać mówić prawdę? Dlaczego, skoro oboje ją znamy. – Pogładził jej kark i plecy, a potem otoczył ją ramionami. – Kochasz dawać, a ja jestem jedynym mężczyzną, któremu kiedykolwiek będziesz dawała siebie.

Nie chciała tego słuchać, bowiem nie mogła zaprzeczyć, a przez to zyskiwał zbyt wielką przewagę. Spróbowała usiąść.

– Musimy iść.

– Jeszcze nie. – Z łatwością ją powstrzymał i skubnął ustami jej ucho. Potem dotknął wargami jej skóry na szyi i się zatrzymał.

– Tylko jeszcze jeden raz...



## Rozdział 16

Następnego ranka Alatheia siedziała w altanie w kącie ogrodu i przyglądała się Gabrielowi, który zmierzał ku niej przez trawnik. W ostrym słońcu jego włosy połyskiwały złotem i czerwienią. Pamiętała ich dotyk.

Mrużąc oczy przed słońcem, patrzyła, jak witał się z Mary i Alice, które peły grządkę koło fontanny. Alatheia wykręciła się od pielenia pod pretekstem złego samopoczucia. Była to prawda – w nocy prawie nie zmrużyła oka.

Gdyby potrzebowała jednoznacznego dowodu, że Gabriel właściwie odczytał jej uczucia, dostarczyłaby ich druga część ich spotkania w saloniku lady Richmond. Nawet teraz, wiele godzin później, na samą myśl o tym, co jej sugerował szeptem, co ochoczo wypełniała i co pozwalała ze sobą robić, czerwieniła się. Ostatniej nocy wprowadził ją w inny świat.

Nie była hipokrytką i nie udawała, że nie sprawiało jej to przyjemności, że błogość, którą czerpała z dawania mu, czego tylko chciał, była najśłodsza i najgłębszą radością, jaką знаła. Spełniała się w dawaniu mu zadowolenia – nie było lepszego określenia na ogrom i głębię tego, co czuła. Musiała przyznać, że miał rację, gdy stwierdził, że kocha dawać. Nie mogła jednak zaakceptować jego dalszych wniosków.

Był nią zafascynowany. Nie udawał. Był bodaj jedynym mężczyzną, potrafiącym docenić ironię faktu, że nagle oczarowała go kobieta, którą znał od kołyski. Ale pomimo tego, co mówił, jej wiek miał znaczenie, choć może nie w taki sposób, w jaki miałby znaczenie w kręgach towarzyskich Londynu. Była przecież starsza i pewniejsza siebie niż kobiety, które uwodził, oczekiwała i wymagała od niego więcej. To również umiał docenić.

Jego zafascynowanie było autentyczne. Lecz oczarowanie nie prowadziło do małżeństwa. Kiedy zostawił dziewczęta i zbliżał się do niej swobodnym, pewnym krokiem, w Alatheii narastała zimna pewność. Gabriel był niezwykłym mistrzem w sztukach zmysłowych, wiedział, jak używać swoich talentów, żeby na nią

naciskać, omamić jej rozum. Ale znała go zbyt dobrze, o wiele za dobrze, żeby połknąć bajeczkę o tym, iż za jego zdecydowaniem, by ją poślubić, stało tylko oczarowanie. Zbyt go ceniła, zbyt jej na nim zależało, żeby potulnie pogodzić się z jego planami.

Tymczasem Gabriel dotarł do altanki i wszedł po stopniach. Wsunął głowę pod gałęzie jaśminu obrastającego altankę i wkroczył w chłodny cień.

Znieruchomiał gwałtownie.

– Co się stało?

Alathea wskazała mu ręką miejsce obok siebie na sofie. Posłała notkę na Brook Street, żeby przyszedł. Czekala, aż usiądzie. Wiklinowa sofa była bardzo mała; siedzieli, stykając się ramionami. Gabriel odchylił się do tyłu i położył jedną rękę na oparciu sofy. Alathea zaczerpnęła powietrza i zdecydowanie powiedziała:

– Nie ma absolutnie żadnego powodu, żebyśmy się pobrali. Żadnego! – Ostro powstrzymała jego odpowiedź. – Posłuchaj mnie.

Gabriel zeszywniał.

Patrzyła na trawnik, gdzie jej przyrodnie rodzeństwo rozmawiało wesoło.

– Tylko ty i ja wiemy o hrabinie. Tylko my wiemy o naszej zażyłości. Mam dwadzieścia dziewięć lat. Stale przypominam wszystkim, że zaniechałam wszelkich myśli o zamążpójściu. Uczyniłam to jedenaście lat temu. Zaakceptowano mnie w roli starej panny. Pomimo twojego zainteresowania, okazywanego mi ostatnimi czasy, nikt nie oczekuje, że wyjdę za mąż. A ponieważ nasz związek nie stanie się powszechną tajemnicą, gdyż oboje jesteśmy zbyt rozsądni i zanadto świadomi tego, co jesteśmy winni naszym rodzinom, by rozgłaszać o nim wszędzie, nie ma powodu, żebyśmy się pobrali.

– O to ci chodzi?

– Nie. – Odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. – Bez względu na to, co zrobisz, nie poślubię cię. Nie ma potrzeby, żebyś się tak poświęcał.

Przyglądał się jej badawczo.

– Jak sądzisz, czemu chcę się z tobą ożenić? – zapytał w końcu.

Wykrzywiła usta. Machnęła ręką w stronę przyrodniego rodzeństwa, nieświadomego chmur, zbierających się nad horyzontem rodzinnego życia.

– Chcesz się ze mną ożenić z powodu tej twojej cechy charakteru, na którą liczyłam, gdy jako hrabina poprosiłam cię o pomoc. Wiedziałam, że mi pomożesz, jeśli wyjawię ci grożące mi niebezpieczeństwo. Mówiłam ci już wcześniej, że jesteś obsesyjnie opiekuńczy. – Był jej rycerzem na białym rumaku, a opiekuńczość była jego najsilniejszą stroną, jednym z podstawowych instynktów.

Poszedł w ślad za jej gestem i popatrzył na dziewczętą.

– Myślisz, że chcę cię poślubić, żeby was chronić, że to taki rycerski gest.

Starła się unikać tego określenia, brzmiało tak melodramatycznie, nawet jeśli oddawało prawdę. Westchnęła.

– Chciałam cię nakłonić, żebyś mi pomógł, ale nigdy nie chciałam cię zmuszać do małżeństwa.

Gabriel wbił wzrok w oczy dziewczyny, pełne absolutnej szczerości. Znikły wszelkie obawy, jakie odczuwał od chwili, gdy odkrył tożsamość hrabiny.

Nie wiedziała. Nie miała pojęcia, że ją uwielbiał, że jego fascynacja była wszechogarniającą obsesją. Pomimo faktu, iż znał ją przez całe życie, zapomniał o jej naiwności, o tym, że chociaż miała tyle lat, w pewnych sprawach nadal pozostała taka naiwna. Nie wiedziała, że tak bardzo różniła się od innych kobiet, z którymi był związany wcześniej.

Zerknął na Mary i Alice, usiłując jednocześnie pozbierać myśli.

– Bez względu na groźbę zburzenia twoich iluzji muszę powiedzieć, że nie dlatego chcę cię pojąć za żonę.

– Dlaczego więc?

Napotkał jej spojrzenie.

– Chyba nie możesz nie wiedzieć, że cię pożądam.

Na jej zbyt bladych policzkach pojawiły się rumieńce.  
Opuściła głowę.

– W naszych kręgach pożądanie niekoniecznie trzeba zaspokajać w małżeństwie.

Odwróciła wzrok.

Ostatniej nocy, gdy robiła dużo zamieszania wokół swoich włosów, próbując je ułożyć tak, żeby nie wzbudzały podejrzeń, obudziła się w nim gwałtowna chęć, aby ponownie je rozpuścić i przespacerować się z Alatheą po domu, przed wszystkimi gośćmi lady Richmond, a zwłaszcza przed Chillingworthem, by wszyscy wiedzieli, że Alatheia należy do niego.

Do niego.

Potężne poczucie własności było boleśnie znajome. Właśnie takie uczucia zawsze w nim wzbudzała, była źródłem tego przekłętego napięcia, które go ogarniało, gdy tylko znajdowała się w pobliżu. Te emocje wyjaśniły się, wykryzalizowały. Gdy odgarnął welon, zasłaniający hrabinę, opadły też inne zasłony. Teraz potrafił już właściwie odczytać swoje prymitywne impulsy; to była instynktowna chęć zawładnięcia swoją partnerką. Rodowe hasło rodu Cynsterów brzmiało „Mieć i utrzymać”. Trudno więc się dziwić, że tak żywo to odczuwał.

Ale do jakiego stopnia mógł bezpiecznie odsłonić przed nią swoje uczucia?

– Od jak dawna się znamy?

– Od zawsze. Przez całe życie.

– Parę tygodni temu powiedziałaś Chillingworthowi, że nasz związek został przesądzony. Zgodziłem się z tym. Pamiętasz?

– Tak.

– W moich najwcześniejszych wspomnieniach masz jakieś dwa lata. Sam mogłem mieć wtedy ze trzy. Od kołyski słyszeliśmy od naszych rodziców, że jesteśmy przyjaciółmi. Kiedy miałem dwanaście lat, traktowanie cię jak siostry stało się dla mnie trudne. Nigdy nie wiedziałem dlaczego, wiedziałem jedynie, że coś jest nie tak. Ty też wiedziałaś.

Oboje przypominali sobie przeszłość.

– Pamiętasz tamte czasy, kiedy musieliśmy się wymknąć przez okno ze stodoły starego Collinridge’a, a twoja sukienka zaczepiła się o gwóźdź? Lucyfer już siedział w siodle i trzymał konie. Musiałem cię złapać za biodra i przytrzymać, żebyś odczepiła sukienkę.

Przerwał, a Alatheia wyraźnie zadrżała.

– No właśnie. Przez cały czas to była dziwaczna mieszanka nieba i piekła. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego zawsze ciągnęło mnie do ciebie, czemu zawsze chciałem być blisko ciebie, bo gdy tylko znalazłem się koło ciebie, czułem... coś gwałtownego. Szalonego. Jakbym chciał cię pochwycić i potrząsnąć tobą.

Zaśmiała się.

– Nigdy nie byłem pewna, czy tego nie zrobisz.

– Nigdy się nie ośmieliłem. Bałem się położyć na tobie ręce. Bałem się ciebie jakkolwiek dotknąć, żeby nie oszaleć, żeby się nie zachować jak wariat. Tamten jeden taniec, który zatańczyliśmy razem, był wystarczająco straszny.

Oboje wbili niewidzące spojrzenia w trawnik. Gabriel ciągnął dalej.

– Usiłuję teraz powiedzieć, że od dłuższego czasu czułem zaborczość wobec ciebie. Uświadomiłem sobie to uczucie dopiero po tamtej nocy w hotelu Burlington, ale nie oznacza to, że uczucie rozwinęło się dopiero ostatnio. Ono istniało zawsze pomiędzy nami i narastało przez ostatnich dwadzieścia lat. Gdyby nasi rodzice nie wychowywali nas jak brata i siostrę, to uczucie już dawno zakończyłoby się małżeństwem. Ale i tak twoja przebieranka otworzyła nam oczy i dała szansę przekształcenia naszych relacji w to, czym być powinny. – Zerknął na nią. Alatheia nadal z uporem wpatrywała się w łąki. – Z mojej strony to coś więcej niż zwykły pociąg seksualny. Jesteś kobietą, której pragnę za żonę.

Przechyliła głowę.

– Ile kobiet znałeś?

– Nie wiem. Nie liczyłem.

Patrzyła na niego niedowierzająco, sceptycznie.

– No dobrze. Liczyłem na początku, ale wiele lat temu dałem spokój.

– A do jakiej liczby doszedłeś, zanim zaprzestałeś liczenia?

– To nie ma nic wspólnego z nami. Co chcesz udowodnić?

– Że zdajesz się lubić kobiety, ale do tej pory nie pchało cię to do ołtarza. Dlaczego więc teraz? Dlaczego ja?

Dostrzegał pułapkę, ale postanowił obrócić jej pytania na swoją korzyść.

– Dlaczego teraz? Po prostu nadszedł już czas. Wiedziałem o tym już na weselu Demona. Nie wiedziałem tylko z kim. Wiesz, jak drażliwa stała się moja matka, ale z bólem muszę przyznać, że miała rację. Nadszedł czas, żebym się ożenił, pomyślał o następcach. Jeśli zaś chodzi o to, czemu właśnie ty, to nie dlatego, że jesteś przyjaciółką rodziny i łączą nas intymne kontakty, a ja uznałem, iż zrujnowałem twoją reputację i muszę naprawić wyrządzoną szkodę.

Coraz bardziej napięty głos Gabriela skłonił Alatheę do spojrzenia w jego stronę. Uwięził jej wzrok.

– Chcę powiedzieć, że jesteś kobietą, której pragnę za żonę. Tylko to, żaden inny powód nie jest potrzebny. – Przerwał, po czym znów zaczął mówić. – Może zauważyłaś, że już się nie męczę, przebywając blisko ciebie. Mogę siedzieć obok, mniej lub bardziej swobodnie, nie odczuwając graniczącego z szaleństwem skrępowania, wiem bowiem, że mogę cię wziąć w ramiona i pocałować i że w jakiejś niezbyt odległej przyszłości znów będziemy się kochać. Jeśli jednak będziesz na tyle nierozsądna, żeby próbować walczyć z tym wszystkim, co jest między nami, jeśli spróbujesz dać mi kosza i zaczniesz się uśmiechać do Chillingwortha albo jakiegoś innego mężczyzny, to gwarantuję, że to, co przez wszystkie te lata było między nami, będzie niczym wobec tego, co nastąpi.

– Czy to groźba?

– Nie. To obietnica.

Przyjrzała mu się uważnie i otworzyła usta...

Przytknął jej palec do warg.

– Jestem do ciebie głęboko przywiązany, doskonale o tym wiesz. Teraz, gdy nie jestem zaślepiony żadnym uprzedzeniem, mogę to wreszcie przyznać. Pożadam cię, ale to tylko połowa prawdy. Pragnę cię, bo nie umiem sobie wyobrazić żadnej innej, z którą mógłbym dzielić życie. Pasujemy do siebie. Może nam się powieść. Nigdy nie byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi, ale po wyeliminowaniu panujących pomiędzy nami napięć będziemy mieli w zasięgu ręki inne relacje.

Badawczo zajrzała mu w oczy, porządkując argumenty, nadal uparcie opierając się jego namowom.

Cofnął palec z jej warg, przesunął wzdłuż podbródka i opuścił rękę na oparcie sofy.

– Thea, bez względu na to, jak bardzo zaprzeczasz, świetnie wiesz, co jest pomiędzy nami. Może przez lata było to ukryte, zawoalowane, teraz jednak odrzuciliśmy przebranie i widzisz, co to jest równie dobrze jak ja. To żarliwa, nieśmiertelna namiętność, nie tylko z mojej, ale też z twojej strony.

Alathea odwróciła wzrok. Nie wiedziała, co robić. Wirowało nie tylko w jej głowie. Słowa Gabriela przywołały tyle wspomnień, tak wiele dawno pogrzebanych pragnień i ledwo rozpoznawalnych marzeń. Ale...

– Mówisz mi, że zaangażowałeś się emocjonalnie.

– Tak.

– Że to, co jest między nami, wymaga właściwej oprawy, jaką stworzy małżeństwo.

– Tak.

Kiedy zamilkła, wbijając wzrok w horyzont, ponaglił ją:

– No i?

– Nie jestem pewna, czy ci wierzę. – Odwróciła się ku niemu. – Nie chodzi mi o to, co jest między nami, tylko o to, czemu jesteś przekonany, iż powinniśmy się pobrać. – Z uwagą wpatrywała się w jego twarz, mówiąc coraz bardziej zuchwale. – Istotnie znamy się dobrze, bardzo dobrze. Twierdzisz, że źródłem dręczących nas przez całe życie uczuć jest niespełnione pragnienie,

że łączy nas fizyczne pożądanie i gotowa jestem przyjąć, że masz rację. Powiedziałeś, że jesteś zaangażowany emocjonalnie, i to też mogę zaakceptować. Nie wiem jednak, jakie uczucie jest dominujące?

W jego oczach pojawiło się zniecierpliwienie.

– Uczucie, które pcha mężczyznę do małżeństwa.

– Tego właśnie się obawiam. Uczucie, które pcha, naciska, zachęca cię do poślubienia mnie to jedno z uczuć, jakie cię zdominowały. Chcesz mnie chronić. Wymyśliłeś sobie, że właściwa droga prowadzi przed ołtarz, a jeśli coś sobie postanowisz, zawsze osiągasz cel. Niestety, w tym przypadku osiągnięcie celu wymaga mojej współpracy, obawiam się więc, iż pasmo twoich sukcesów się skończy.

– Uważasz, że wszystko zmyślam.

– Nie. Uważam, że w zasadzie byłeś szczery, ale nie sądzę, żeby twoje wnioski zgadzały się z faktami. Myślę, że pleciesz głupstwa. A jeśli chcesz wiedzieć, czy uważam, że mógłbyś skłamać, żeby osiągnąć coś, co uznasz za nadrzędny cel, to muszę powiedzieć, iż moim zdaniem będziesz wtedy kłamał jak najęty. – Patrzyła na niego wyzywająco.

Zacisnął wargi i wbił w nią groźne spojrzenie, ale nie zaprzeczył.

Kiwnęła głową.

– No właśnie. Tak dobrze się znamy. Tworząc postać hrabiny, doskonale wiedziałam, co mam mówić, jak pociągać za sznurki, żeby skłonić cię do zrobienia tego, na czym mi zależało. Nie jestem aż tak zarozumiała, żeby uważać, iż jesteś głupszy ode mnie i nie umiesz robić tego samego ze mną. Postanowiłeś, że powinniśmy się pobrać, więc uczynisz wszystko, co trzeba, żeby doprowadzić do tego małżeństwa.

Patrzył na nią spokojnie. Spodziewała się natychmiastowej reakcji, może nawet agresywnej. Jego wzrok, jakim oceniał ją w zupełnej ciszy, zdenerwował ją. Nic nie mogła wyczytać w jego oczach.

Ramię, które Gabriel trzymał na oparciu sofy, otoczyło ją



niespodziewanie i mocno. Drugą ręką ujął jej twarz. Nie minął nawet ułamek sekundy, a już znajdowała się w jego objęciach.

– Masz rację.

Zamrugnęła gwałtownie. Czyżby dostrzegła w jego oczach złośliwy uśmiech?

– Z czym?

Opuścił wzrok na jej usta.

– Że zrobię wszystko, by doprowadzić do naszego ślubu.

Alathea zaklęła w duchu. Nie chciała, by to zdanie zabrzmiało jak wyzwanie.

– Ja...

– Powiedz mi – mruknął – czy zgadzasz się, że to, co nas łączy, można nazwać żarliwą, nieśmiertelną namiętnością?

Alathea walczyła, żeby zaczerpnąć tchu.

– Może żarliwą, ale nie nieśmiertelną. Zblaknie z upływem czasu.

– Mylisz się. – Pochylił się i musnął jej usta swoimi. Dotyk był zbyt delikatny, żeby ją zadowolić, wywołał w niej jedynie uczucie głodu.

Czuła gorący oddech na swych drżących wargach.

– Żar, jaki cię przepelniał, gdy ostatniej nocy byłem w tobie... – Jego wargi znów dotknęły jej ust w kolejnym, boleśnie niepełnym pocałunku. – Namiętność, która pchnęła cię do otworzenia się przede mną, do oferowania mi wszystkiego, o co prosiłem. Sądysz, że to zblaknie?

Nigdy. Alathea zachwiała się. Jej powieki były takie ciężkie, że widziała spod nich jedynie jego zbliżające się usta. Powinna go powstrzymywać, jednak zamiast tego jej palce zacisnęły się, przyciągając go bliżej. Jej rozum tonął w morzu zmysłowych tęsknot. W chwili, gdy jego usta ostatecznie przewyciężyły jej opór, wyszeptła:

– Tak...

Wargi Gabriela dotknęły jej, musnęły, a potem mocno do niej przywarły. Chwilę później poddała się z westchnieniem, dając mu swoje drżące usta. Obudziło się wspomnienie ich intymnego

kontakcie. Szalona namiętność, żarliwe pragnienie miały ją w swoim uścisku, gdy Gabriel nagle odsunął się i wyszeptał: – Kłamczucha.

\* \* \*

– Dzień dobry.

Alathea uniosła głowę i z trudem opanowała się, żeby nie jęknąć.

– Co tutaj robisz?

Znajdowała się w swoim gabinecie, w swoim prywatnym królestwie, gdzie pozostali domownicy zaglądali jedynie na specjalne zaproszenie. Schroniła się w tym pokoju, oficjalnie w celu uporządkowania rachunków, a naprawdę po to, by znaleźć jakąś rozsądną, bezpieczną drogę w nagle rozpadającym się świecie. Od czasu spotkania w altanie nie była pewna, co jest rzeczywistością, a co jedynie dziwacznym urojeniem. Patrząc na Gabriela zamykającego za sobą drzwi, zrezygnowała z dalszych wysiłków na tym polu.

– Przyszło mi do głowy – szybko przemierzał pokój, kierując się w jej stronę – że teraz, gdy sezon osiągnął szczyt, możemy się spodziewać, iż Crowley zażąda wykupu weksli w ciągu najbliższych dwóch, trzech tygodni. – Dotarł do biurka. – Najwyższy czas, żebyśmy zaczęli układać wniosek do sądu.

– Tylko dwa tygodnie?

– Nie będzie czekał do końca sezonu. Najprawdopodobniej zechce dopaść swoje ofiary, gdy towarzystwo będzie rozproszone na wielu rozmaitych balach i rozrywkach. Proponuję – ciągnął dalej, siadając na fotelu przy biurku – żebyś wezwała Wiggsa. Potrzebna nam jego współpraca. Przyniosłem wyliczenia Montague’a.

Alathea uważnie przyglądała się Gabrielowi, swobodnie rozpartemu w jej fotelu. Uśmiechnął się ujmująco, ze starannie wypracowaną łagodnością. Z ogromnym spokojem wstała i pociągnęła za taśmę od dzwonka. Kiedy pojawił się Crisp, nakazała mu posłać po Wiggsa. Crisp skłonił się i wyszedł. Gdy się

odwróciła, ujrzała Gabriela spoglądającego na książki leżące na biurku.

– Co robiłaś?

– Sprawdzalam rachunki.

– Aha. – Na jego wargach stale gościł uśmiech. – Nie będę ci przeszkadzał.

Obiecała sobie, że nie będzie się przejmować jego obecnością, lecz łatwiej było to powiedzieć, niż zrealizować. Z piórem w dłoni zmusiła się do przeliczania kolejnych kolumn. Ale liczby wykazywały kłopotliwą skłonność do znikania jej sprzed oczu. Zagryzła wargi, mocniej zacisnęła palce na piórze i się skrzywiła.

– Może potrzebna ci pomoc?

– Nie.

Podliczyła kolejne trzy kolumny i ostrożnie zerknęła na Gabriela. Obserwował ją z wyrazem, którego nie potrafiła rozszyfrować.

– O co ci chodzi?

Patrząc jej prosto w oczy, nie odpowiedział.

Zaczerwieniła się.

– Idź sobie! Idź i posiedź w saloniku.

Uśmiechnął się szeroko.

– Jest mi tu całkiem wygodnie, a widok bardzo mi odpowiada.

Alathea wbiła w niego wściekle spojrzenie. Na szczęście w drzwiach ukazała się jasna głowa Augusty.

– Mogę wejść?

Alathea się rozpromieniła.

– Oczywiście, kochanie. Ale gdzie jest panna Helm?

– Pomaga mamie robić bileciki do obiadu. – Augusta weszła do środka, zamykając za sobą drzwi, i bacznie zaczęła się przyglądać Gabrielowi.

– Pamiętasz pana Cynstera? Jego mama i tata mieszkają w Quiverstone Manor.

Gabriel spoczywał w fotelu niby leniwy lew. Wyciągnął rękę.

– To stara lalka.

Augusta zastanawiała się przez chwilę, po czym podała mu zabawkę.

– Jestem pewna, że nie zgadnie pan, jak ma na imię.

Gabriel wziął od niej lalkę, posadził ją sobie na kolanie i przyjrzał się badawczo.

– Kiedyś nazywała się Rose.

– Nadal tak się nazywa! – Augusta poszła w ślady Rose, zajmując miejsce na kolanach Gabriela.

Uniósł głowę i napotkał zdumione spojrzenie Alatheii. Uśmiechnął się do niej.

– Czy twoja siostra opowiadała ci, jak Rose utknęła na tej ogromnej jabłoni, rosnącej w rogu waszego sadu?

Alathea patrzyła i słuchała, zdumiona faktem, że nadal jeszcze pamiętał wszystkie szczegóły i że Augusta, zwykle szalenie nieśmiała, tak szybko się do niego przekonała. Ale Gabriel miał przecież trzy młodsze siostry i pewnie mógłby napisać całą książkę o sposobach oczarowywania małych dziewczynek.

Korzystając z okazji, szybko dokończyła podliczać wydatki, po czym otworzyła następną księgę i zaczęła sprawdzać kolejne rachunki. Wykorzystywała przy tym jedynie niewielki fragment swojego mózgu – pozostała jego część borykała się z problemem, jaki stanowił Gabriel, i to, co może, a co powinna zrobić. Dźwięk jego niskiego głosu, którym czarował Augustę, był znajomy i zadziwiająco krzepiący.

Minęły dwa dni od ich spotkania w altanie, dwa dni, odkąd ostatni raz znajdowała się w jego ramionach, czuła jego usta na swoich. Pierwszego wieczoru spotkali się na balu i chociaż Gabriel wymusił zatańczenie z nią dwóch walców, nie żądał niczego więcej. Następnego dnia rano zjawił się w parku, żeby przespacerować się u jej boku. Była gotowa odeprzeć wszelkie zaborcze gesty z jego strony, wszelkie manewry, zmierzające do udokumentowania jego praw do niej. Nie uczynił nic. Niestety, zrozumienie, widoczne w jego oczach, ostrzegało ją, że świetnie wiedział, co czuła i jak zareaguje. Po prostu grał na czas,

zwlekając, dopóki nie nadejdzie moment odpowiedniejszy dla jego celów.

Nie pozostawało nawet cienia wątpliwości co do owego celu. Małżeństwo. Myśl o małżeństwie, a dokładniej o małżeństwie z Gabrielem, wyprowadzała ją z równowagi. Zbliżenie i wszelkie związane z nim emocje gruntownie zburzyły jej wewnętrzny spokój. Gdyby jednak pozwolił jej zniknąć, tak jak planowała, z jego życia, mogłaby żałować ich krótkiego związku, ale odzyskałaby spokój. Zamiast tego pozostawała cała rozdygotana, stale czuła ucisk w żołądku, niepewność dawała o sobie znać na przemian z podnieceniem. Nie potrafiła nazwać tego, co do niego czuła. Bała się to nazwać, bała się nawet o tym myśleć, skoro musiała mu odmówić.

Postanowił się z nią ożenić, bo jej pożądał i chciał ją za żonę. Odmawiał wyjaśnienia, co się kryje za tą chęcią, ale Alatheia była pewna, że kierowała nim konieczność opiekowania się nią i jej rodzeństwem. Byłby miły, troskliwy i szczodry, nawet przyjacielski, ale z upływem czasu przestałby należeć wyłącznie do niej. Przestałby być jej kochankiem. Zaczęliby się od siebie oddalać...

Wzdrygnęła się i powróciła do rzeczywistości, do swojego gabinetu i do leżącej przed nią otwartej księgi, do dźwięku głosu Gabriela i piskliwej paplaniny Augusty. Odetchnęła głęboko i zaczęła porządkować stosik rachunków.

Nie wyjdzie za mąż za Gabriela, nie może pozwolić, żeby się tak poświęcał. Odciągnięcie go od jego celu może okazać się trudne, ale poślubienie go nie byłoby właściwe ani dla niego, ani dla niej.

Sprawdziwszy ostatni rachunek, otworzyła szufladę, włożyła kwity do pudełka, po czym zamknęła szufladę i księgi. Na ten ostatni odgłos głowy Augusty i Gabriela się podniosły.

– Kochanie, muszę teraz porozmawiać z panem Cynsterem o interesach – powiedziała Alatheia do dziewczynki i się uśmiechnęła.

Augusta zsunęła się z kolan Gabriela i obdarzyła ją ufnym

uśmiechem.

– Mogę go nazywać Gabrielem. Tak ma na imię.

– Rzeczywiście. – Alathea wstała, okrążyła biurko i przytuliła Augustę. – Teraz biegnij, panna Helm powinna już skończyć.

Augusta przemknęła wokół spódnicy Alathej, pomachała Gabrielowi, śpiewnym głosem zawołała „do widzenia” i w podskokach pobiegła do drzwi. Gdy tylko zamknęły się za nią, Alathea poczuła długie palce, splatające się z jej palcami.

– Jaki „interes” chciałaś omówić?

Jedna jej część pragnęła wyrwać rękę z tego uchwytu, wyrwać się z orbity jego zainteresowania. Jednak cała reszta pławiła się w ciepłe, jakie ją zalało, gdy palce mężczyzny zaczęły pieścić jej dłoń. Ale Alathej nie zwiódła senna, rozmarzona zachęta, jaką widziała w jego oczach. Spojrzała na ścienny zegar.

– Wiggs będzie tu za jakieś dwadzieścia minut, ale możemy zacząć pisanie bez niego.

Przeniosła wzrok z powrotem na Gabriela, uniosła brwi i delikatnie uwolniła dłoń. Skrzywił się, ale ją wypuścił.

– Dobrze. Ale ty będziesz pisać. – Wstał, a Alathea znów zajęła miejsce na krześle za biurkiem. – Możemy zacząć od wspomnienia o fałszywych twierdzeniach Crowleya.

Niezaskoczona faktem znalezienia się w roli sekretarki Gabriela, Alathea położyła przed sobą kartkę. Wymienili szacunki Montague’a, jakich dokonał na podstawie liczb, które Crowley podał Gerrardowi, i porównali je z tym, co utrzymywał sam Crowley. Gabriel mówił, ona zaś notowała, od czasu do czasu coś dodając lub poprawiając. Spacerował tam i z powrotem, od czasu do czasu przystając, żeby przeczytać jej coś przez ramię. Kiedy dotarli do końca odkryć Montague’a, Gabriel zatrzymał się za plecami dziewczyny i przebiegł wzrokiem całe pismo. Jego dłoń zacisnęła się na jej ramieniu, tuż przy szyi, na nieosłoniętej skórze.

– Jak myślisz, co dalej?

Na dźwięk tych łagodnych słów całe opanowanie Alathej prysło. Uświadomiła sobie, czując coś niezwykle bliskiego

upokorzeniu, że wcale nie miał zamiaru jej wpędzać w zakłopotanie. Po prostu dotknął jej jak przyjaciel, bez żadnych erotycznych intencji.

To tylko ona myślała o seksie.

Zanim zdołała się pozbierać, uniósł do góry jej twarz i przyjrzał się jej uważnie. Gwałtownie starała się przyoblec jakąś maskę, aby ukryć prawdę. Nagle jego spojrzenie stało się bardziej zdecydowane i zrozumiała, że jest już za późno.

W jej oczach rozblęsnął płomień zmysłowości. Gabriel to dostrzegł.

– Może powinniśmy spróbować tego... – pochylił się nad nią.

Jej wargi rozchyliły się pod naporem jego ust. Unieruchomił jej głowę, ona zaś oplótła mu rękę wokół szyi. Była rozkoszna w słodkiej bezradności, w całkowitej niemożności ukrycia swych reakcji, pragnienia czającego się pod warstwą pewności siebie. Ich języki splotły się ze sobą. Wbiła palce w jego ramię. Przesunął rękę z twarzy Alathej na jej pierś, pochwycił jędrny wzgórek i odnalazł jego twardego szczyt.

Jęknęła, zachwiała się...

Oboje usłyszeli skrzypienie podłogi za drzwiami na chwilę wcześniej, nim się otworzyły. Do środka zajrzał Charlie.

– Cześć! – Kiwnął głową Gabrielowi i oparł się o futrynę, po czym przeniósł wzrok na Alatheę. – Jadę na Bond Street i mama zasugerowała, żebym zapytał, czy coś jeszcze nie jest potrzebne na jutrzejszy wieczór.

Czując uderzenia pulsu, Alatheia potrząsnęła przecząco głową, modląc się gorączkowo, żeby Charlie nie dostrzegł jej rumieńca.

– Nie. Nic. – Wydawany przez nich bal, oficjalnie wprowadzający do towarzystwa Mary i Alice, miał się odbyć nazajutrz. – Wszystko jest przygotowane.

– Dobrze. No to pędzę. – Charlie machnął ręką i odszedł, zamykając za sobą drzwi.

Alatheia głęboko zaczerpnęła – jakże potrzebnego –

powietrza i odwróciła głowę. Napotkała spojrzenie Gabriela. Groźnie zmarszczyła brwi.

– Przestań o tym myśleć! – Pospiesznie zajęła miejsce za biurkiem i wzięła do ręki pióro. – Poza wszystkim innym, te drzwi nie mają zamka.

Usłyszała jego zduszony śmiech, ale nie spojrzała w jego kierunku.

– Sądzę – powiedziała, zanurzając stalówkę w kałamarzu – że teraz powinniśmy opisać to, czego się dowiedzieliśmy o Fangaku, Lodwarze i tym trzecim miejscu.

Westchnął dramatycznie.

– Kingi.

\* \* \*

Pomimo nadziei Alathej, że wszystko jest przygotowane, następnego dnia rano okazało się, że czeka ich jeszcze wiele pracy. Pozostawivszy Serenę dowodzącą Crispem i panią Figgs, którzy byli w swoim żywiole, Alatheia załadowała Mary i Alice do małego powozu i umknęła.

– Dom wariatów! – Z twarzą przylepioną do okna Alice patrzyła za siebie, gdzie trzepano czerwony dywan. – Jeśli teraz go rozłożą, do wieczora będzie brudny.

– Crisp tego dopilnuje. – Alatheia opadła na poduszki i zamknęła oczy. Była na nogach od bladego świtu, spotkała się już z dostawcami i kwiaciarką. Na szczęście wszystkie główne elementy wieczornego przyjęcia zaczynały się układać w całość. Dziewczyna otworzyła oczy i przebiegła wzrokiem trzymaną w rękach listę. – Najpierw rękawiczki, potem pończochy i wstążki.

Powóz odwiózł je do domu półtorej godziny później. Mary i Alice kipiały z podniecenia. Alatheia obserwowała je z radością. Chociaż dzień był bardzo ciężki, sam wieczór miał być wspaniałą nagrodą.

Kiedy wjechały na Mount Street, wyrzała przez okno... i zobaczyła głowę Jeremy'ego niemal na tej samej wysokości co jej własna.



– Co to...?

Poderwała się i wychyliła, aby móc się lepiej przyjrzeć swemu najmłodszemu bratu, który, śmiejąc się głośno, siedział na bicyklu, pchanym po podjeździe z ogromną prędkością przez Charliego i Gabriela.

Powstrzymała się, żeby nie krzyknąć.

Powóz zatrzymał się przy schodach wiodących do domu. Mary i Alice błyskawicznie wypadły na zewnątrz, na chwilę zatrzymały się, żeby popatrzeć na Jeremy'ego, po czym z chichotem wpadły do domu. Alathea wolniej wysiadła z powozu, wyprostowała się i czekała, żeby złoczyńcy pojawili się przed nią. Uczynili to w niezdamnym pośpiechu. Przez króciutką chwilę patrzyła przerażona, spodziewając się spełnienia swych najkoszmarniejszych snów, gdy gwałtownie hamujący bicykl przechylił się i Jeremy zaczął spadać z wysokiego siodełka...

Gabriel wyskoczył do przodu i pochwycił chłopca, po czym postawił go na ziemi, podczas gdy Charlie zręcznie wyprostował wehikuł. Obaj, Charlie i Gabriel, uśmiechnęli się do niej, a Jeremy usiłował wyglądać jak najbardziej niepozornie.

Alathea wbiła w niego wzrok.

– Mam wrażenie, że mi obiecałeś nigdy nie jeździć tą maszyną w mieście.

Jeremy spuścił oczy. Gabriel głośno westchnął.

– To moja wina.

– Twoja?

– Przybyłem w chwili, gdy wasz odźwierny przyjmował dostawę, i zaproponowałem chłopcom, że im pokażę, jak to działa.

– Jechałeś na bicyklu?

Spojrzenie, jakim ją obrzucił, było zdecydowanie pełne wyższości.

– Oczywiście. To łatwe. Chcesz, żebym ci zademonstrował?

Omam nie powiedziała tak. Myśl o ujrzeniu go, jak zwykle obrzydliwie szykownego, niepewnie siedzącego na nieporęcznej maszynie i jeżdżącego po eleganckich ulicach miasta, była niezwykle kusząca. Ale... – Nie. – Przeniosła wzrok na

Jeremy'ego. – To nie ma nic do rzeczy.

– Ależ ma, bowiem to ja jechałem aż do rogu i dopiero tam po prostu wsadziłem Jeremy'ego na siodełko i powiedziałem, żeby się trzymał. Nie przyszło mi do głowy, że maszyna została zakupiona dla niego, ale nie wolno mu na niej jeździć.

Alathea zauważyła szybkie spojrzenie, które rzucił jej Jeremy. Zaciśnęła wargi, po czym przystąpiła do wyjaśnienia.

– Uzyskałam zgodę Sereny na zakup bicykla pod warunkiem, że Jeremy będzie na nim jeździł tylko po trawnikach w parku. Bardzo łatwo łamie kości, zaliczyliśmy już trzy razy złamanie ręki i złamaną nogę. Złamany obojczyk nigdy nie jest mile widziany, ale szczególnie nie chcemy go dzisiaj.

Alathea popatrzyła Jeremy'emu prosto w oczy.

– Masz wyjątkowe szczęście, że to ja zabrałam Mary i Alice na zakupy, a nie twoja mama. Zemdlałaby na widok twoich wyczynów.

Jeremy szurał nogami, ale oczy mu zabłyśły, a na ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Ale ona tego nie widziała, tylko ty. Czy nie wspaniale jechałem? – Uśmiechnął się szeroko.

Alathea wykrzywiła wargi, usiłując powściągnąć własny uśmiech.

– Raczej tak. Przydałaby ci się odrobina praktyki, ale nie próbuj znowu tutaj jeździć.

– A na trawniku za domem? – zapytał Charlie. – Trawa jest tam gęsta i nic sobie nie złamie, jeśli na nią upadnie.

– Ma też łagodny spadek – dorzucił Gabriel. – I obiecuję, że nie pozwolę, żeby wpadł na rododendrony.

W obliczu trzech męskich twarzy w wieku od dwunastu do trzydziestu lat, na których malował się ten sam błagalny wyraz twarzy małego chłopca, Alathea się poddała.

– No dobrze. Pójdę przygotować Serenę. – Gdy się odwracała w stronę schodów, pochwyciła wzrok Gabriela. – Przynajmniej nie będziecie nam się plątać pod nogami.

Alathea zostawiła ich toczących bicykl w stronę tylnej bramy

i przekroczyła próg piekła. Najpierw odszukała Serenę i zapewniła ją o bezpieczeństwie Jeremy'ego, bez chwili namysłu ubarwiając obietnicę Gabriela, gdy tylko zauważyła, iż macocha pokłada w nim ogromne zaufanie.

Przez następną godzinę była bardzo zajęta, odpowiadając na pytania dostawców, kwiaciarki i, przede wszystkim, sukiennika. Jej nowy pomysł, żeby udekorować ogromną salę balową pasmami ciemnoniebieskiego muślinu, który później można by było rozdać służącym, nabrał swojego kształtu dzięki gorliwemu młodemu rzemieślnikowi. Biało-złoty salon wyglądał jak wizja nieba.

– Idealnie. – Odwróciła się. – Proszę szybko przesłać rachunek, panie Bobbins, bo jeszcze tylko przez parę tygodni będziemy w mieście.

Pan Bobbins nisko się uklonił i zapewnił ją nieskładnie, że wystawi rachunek niezwłocznie.

Alathea sprawdziła z panią Figgs zapas krewetek i łososia, po czym wraz z Crispem zeszła do piwnicy. Zanim skończyli wybierać wina na uroczystą kolację, poprzedzającą sam bal, minęło południe. Alathea schroniła się w swoim gabinecie, gdzie zamierzała chwilę odetchnąć i sprawdzić listę najpotrzebniejszych spraw, które pozostawały do załatwienia. Przyciągnęło ją okno.

Na trawniku za domem Jeremy, Charlie i Gabriel byli całkowicie pochłonięci nową zabawką. Gabriel zdjął surdut i razem z Charliem udzielał instrukcji Jeremy'emu, próbującemu opanować trudną sztukę zachowania równowagi na niestabilnej maszynie. Alathea patrzyła ze zdumieniem na cierpliwość okazywaną przez Gabriela. Nikt lepiej od niej nie wiedział, że był niecierpliwy z natury, ale wobec Jeremy'ego prezentował takt i stałą zachętę, czego chłopiec potrzebował najbardziej. Pod skrzydłami Gabriela Jeremy rozkwitł. Zanim Alathea się odwróciła, zobaczyła jeszcze, jak swobodnie jedzie w dół po trawniku, omijając gęste krzaki.

Pół godziny później Gabriel znalazł ją ponownie w wirze przygotowań, nadzorującą rozstawianie ław w holu, który przekształcali w jadalnię. Rozejrzał się i uniósł brwi.

– Ile zaproszeń wysłaliście?  
– Pięćset – odparła z roztargnieniem Alatheia. – Bóg tylko wie, jak sobie poradzimy, gdy wszyscy zjawią się równocześnie.  
Gabriel przyjrzał się jej twarzy, po czym spokojnie ujął ją pod rękę. Ignorując jej opór, poprowadził w kątek pomieszczenia.  
– Gdzie jest nasz list?  
– List? – wytrzeszczyła oczy. – Chyba nie chcesz teraz nad nim pracować?  
– Mogę się nim zająć. Wiesz przecież, że umiem pisać. – Jej grymas świadczył o tym, że nie była tego taka pewna, ale zlekceważyła to. – Wezmę list do domu i naszkicuję nasze argumenty. – Zerknął na lokajów i pokojówki szaleńczo biegających we wszystkich kierunkach. – Tu jest za gwarno.  
Nie wyglądała na zadowoloną, ale skinęła głową.  
– Jest w górnej szufladzie mojego biurka.  
– Wezmę go. – Gabriel zaczął już odchodzić, lecz nagle się zatrzymał. Ignorując obecnych, złapał ją za brodę. – Nie daj się zwariować. Zobaczymy się na kolacji.  
Zanim zdołała zareagować, pochylił głowę, pocałował ją szybko i wyszedł.  
– Lady Alatheo, czy stół ma stać tutaj?  
– Słucham? Och... no tak, wydaje mi się...  
Uśmiechając się w duchu, Gabriel zbiegł po schodach.

## Rozdział 17

Uroczysta kolacja, poprzedzająca bal, była bodaj ważniejszym wydarzeniem towarzyskim niż sam bal. Lord Morwellan, Serena i Alatheia zgadzali się, że to przyjęcie powinno być jak najefektowniejsze, bez względu na koszty, aby najznamienitsi przedstawiciele śmietanki towarzyskiej zapamiętali ich rodzinę. Alatheia osobiście dopilnowała wszelkich szczegółów, poczynając od ustalonej przez Serenę listy gości i sztywnej, białej papeterii, na której wypisano zaproszenia, po błyszczące kryształły, srebrną zastawę, miśnieńską porcelanę i wykrochmalony adamaszkowy obrus. Starannie dobrano dwanaście dań, aby wzajemnie się uzupełniały w paradzie kulinarnych rozkoszy. Wino było najprzedniejsze. Nikt z pięćdziesięciorga gości zasiadających przy długim stole nie będzie miał nawet cienia podejrzenia, iż na co dzień Morwellanowie żyją znacznie oszczędniej.

Ze swojego miejsca w środkowej części stołu Alatheia obserwowała serwowanie szóstego dania. Wszystko przebiegało gładko, po obu stronach stołu toczyły się rozmowy, rozlegał śmiech, ciągły brzęk porcelany i srebrnych sztućców – bardzo krzepiące objawy. Jej ojciec, zasiadający u szczytu stołu, wyglądał wspaniale. Serena, odziana w kreację z granatowego jedwabiu, była pełna splendoru. Naprzeciwko niej Mary i Alice z wdziękiem rozmawiały ze swoimi sąsiadami. Charlie zajmował miejsce trochę dalej, po jej prawej stronie. Cała trójka była doskonale ubrana, zgodnie z oczekiwaniami towarzystwa. Alatheia wystroiła się w suknię z miodowego jedwabiu i wyszywany koralikami czepeczek umieszczony na gładko zaczesanych włosach.

Serce jej rosło, gdy rozglądała się dokoła. Zrobili to – przyjechali do Londynu i pomimo trudności domagali się należnego im miejsca w towarzystwie. Jak dla zilustrowania ich sukcesu, Sally Jersey pochwyciła jej spojrzenie i z uśmiechem skinęła głową. Siedząca w pobliżu księżniczka Esterhazy już wcześniej królewskim skinieniem okazała swoje zadowolenie. Dopiero gdy Alatheia podążyła spojrzeniem za wzrokiem Sally,

który przeniósł się na Serenę, dziewczyna zaczęła się zastanawiać, dlaczego obie protektorki wyrażają jej uznanie. Przecież wyrazy uznania za kolację należały się Serenie. Czym więc sobie zasłużyła na aprobatę obu dam?

Odwróciła się w stronę Gabriela, siedzącego po jej lewej ręce. Przyzwyczaiła się, że znajdował się blisko niej, że mogła opierać się na jego ramieniu, więc mimo tylu świadków pozwoliła mu zaprowadzić się do stołu. Zrozumiała wszystko dopiero w trakcie czwartego dania, gdy pochwyciła pytające spojrzenie Lucyfera. Jeden rzut oka na zaintrygowany wyraz twarzy Celi potwierdził jej podejrzenia, że ich nagła skłonność ku sobie nie uszła uwagi postronnych.

Nagle ogarnęła ją pewność, że ich swobodne relacje wyszły na jaw. Zanim jednak zdążyła zadać mu pytanie, czy to zaplanował, Gabriel dostrzegł błysk w jej oczach.

– Odpręż się. Wszystko idzie dobrze. – Wskazał na półmisek z dziczyzną. – Wyśmienite. Co to za sos?

– Z winogron i syropu z granatów. – Nie było sensu dociekać, jak to się stało, że zasiadał obok niej. Już tu był. A skoro tak, to mogła to wykorzystać. – Jak tam nasz pozew?

– Dobrze zaczęliśmy.

– Ale nie na tyle dobrze, żeby być pewnym przychylnego wyroku.

Skrzywił się, ale nie odpowiedział.

Alathea ciągnęła dalej ledwie słyszalnym szeptem.

– Wszystko, co mamy, jest podatne na krytykę, nie ma tam ostatecznych argumentów, jasnych dowodów oszustwa. Wszystkie nasze twierdzenia opierają się na słowach innych ludzi, których nie możemy wezwać, żeby przedstawili prawdę. Bez wiarygodnego świadka, bez kapitana Struthersa, Crowley będzie mógł po prostu wszystkiemu zaprzeczyć. Ciężar dostarczenia dowodów spoczywa na nas. – Nałożyła sobie fasolkę w białym sosie i podała półmisek dalej. – Musimy chyba znaleźć kapitana.

– Z jego udziałem sprawa będzie niepodważalna. Bez niego może być trudno.

– Chyba możemy coś zrobić?

– Znajdziemy go. – Zacisnął pod stołem dłoń na jej dłoni. Pogłaskał kciukiem jej palce. – Teraz jednak ciesz się swoim sukcesem. Kapitana i Crowleya odłóż do jutra.

Nie mogła na niego spojrzeć, więc tylko kiwnęła głową, modląc się, żeby się nie zapłonić. Dłoń trzymająca w uścisku jej rękę przywołała zmysłowe wspomnienie jego ciała oplątanego wokół jej ciała...

– Spodziewam się, że Esher i Carstairs są uczciwi w swoich zamiarach.

Alathea skupiła wzrok na Mary. Siedzący obok niej lord Esher zachowywał się spokojnie i z wytrwałą grzecznością, Mary zaś patrzyła na niego ze słodką czułością. Podobną scenę można było obserwować po drugiej stronie stołu, gdzie pan Carstairs siedział obok Alice.

– Mamy taką nadzieję. Ich rodzice byli wyraźnie zadowoleni z dzisiejszego zaproszenia. – Alathea ruchem głowy wskazała lady Esher i panią Carstairs. Ich mężowie siedzieli nieco dalej.

Gabriel poszedł za jej spojrzeniem, po czym skoncentrował się na półmisku, który mu podała.

– Esher ma niewielką posiadłość w Hampshire. Dobrze sobie radzi i dba o swoje ziemie. Jest miłym człowiekiem, obdarzonym poczuciem humoru, zrównoważonym i rozsądnym. Z tego, co wiem, jest człowiekiem zadowolonym z siebie i nie sądzę, żeby martwił się brakiem posagu Mary.

– Mary ma posag.

– Ma? – Zawahał się, po czym zapytał: – Ile?

Alathea spokojnie podała mu sumę.

– Wystarczy, żeby nawet najwięksi krytykanci nie mogli się krzywić. Zabezpieczyłaś wszystko.

Pochyliła głowę.

– Cóż, jeśli jest nieprawdopodobne, żeby Esher martwił się pieniędzmi, to jeszcze mniejsze jest prawdopodobieństwo, że Carstairs będzie je brał pod rozwagę. Esherowie są bogaci od pokoleń, majątek Carstairsa zaś stale rośnie. Obaj poznali się w

Eton i od tamtych czasów pozostają bliskimi przyjaciółmi, co powinno bardzo odpowiadać Mary i Alice.

– Są bardzo ze sobą zżyte.

– Posiadłość Carstairsa jest położona na południe od Bath, w rozsądnej odległości od Morwellan Park. Carstairs odziedziczył po swoim dziadku ze strony matki udziały w firmie żeglugowej i zyskał reputację ostrożnego inwestora we właściwe przedsięwzięcia. Jest ambitny pod tym względem i na pewno nie będzie biernym partnerem w interesach.

W jego głosie wyraźnie pobrzmiwało uznanie. Alatheia rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Przydatna znajomość dla ciebie?

– Być może.

– W jaki sposób zdobyłeś tyle informacji o Carstairsie i Esherze?

– Rozpytywałem dookoła. Ale dyskretnie. Obawiałem się, że twój ojciec nie będzie miał możliwości uzyskania tylu informacji.

– Niczego się nie dowiedział. – Alatheia zawahała się, po czym spuściła głowę. – Dziękuję.

Odwróciła wzrok, ostentacyjnie przyglądając się gościom, a w rzeczywistości pozwalając uczuciu wdzięczności osłabnąć i wyparować. Siedzący obok niej rozpustnik nie potrzebował zachęty. Starła się nie myśleć, o ile łatwiejsze stało się jej życie, gdy znalazł się u jej boku, dostarczając informacji, które były jej potrzebne i których sama zdobyć nie była w stanie. Ramię Gabriela, na którym mogła się wesprzeć, było zbyt kuszącą propozycją.

Jej błędzące spojrzenie spoczęło na sączącym wino Lucyferze, który nie spuszczał z nich wzroku. Przyglądał im się z uwagą i spokojnym namysłem.

Alatheia uśmiechnęła się pogodnie i powędrowała dalej wzrokiem, napotykając więcej zaciekawionych spojrzeń. Dopiero po chwili zrozumiała, dlaczego wraz z Gabrielem intrygowali tyle osób. Chodziło o sposób, w jaki ze sobą rozmawiali. Tak dobrze znali intonację swoich głosów, wszelkie niuanse zachowania, że z



rzadka musieli na siebie spoglądać, żeby się upewnić co do znaczenia wypowiedzianych słów. Rozmawiali ze sobą jak ludzie, którzy się świetnie znają i którzy, w odczuciu towarzystwa, od dawna doskonale się rozumieli.

Rozmawiali, jakby byli kochankami od lat.

Zanim ponownie odwróciła się w stronę Gabriela, zdążono zabrać ze stołu ostatnie danie. Wszyscy goście kierowali się prosto na salę balową. Gabriel już stał i podawał jej ramię. Pozwoliła, by jej pomógł wstać. Gdy tylko stanęła, pochwycił jej rękę, wsunął ją sobie pod ramię i zaborczo przytrzymując, powiódł ją ku kolejce wychodzących z jadalni.

Sygnał, jaki wysyłał otaczającym ich obserwatorom, był absolutnie jednoznaczny. Chociaż potrafił być diabelnie przewrotny, Alatheia miała pewność, że teraz nie robił sobie żartów. Jego zachowanie było prostym odzwierciedleniem tego, co czuł.

Spostrzegł, że na niego patrzy, i pytająco uniósł brwi.

– O co chodzi?

Potrząsnęła głową.

– Nieważne.

Nie było szansy, żeby się zmienił, i głęboko w duszy wiedziała, że wówczas brakowałoby jej ich nowo odnalezionej bliskości.

Sala balowa wywołała entuzjazm gości. Alatheia, pomagająca Mary i Alice powitać wiele onieśmielających szacownych dam, zebrała mnóstwo komplementów za niezwykle wystrój. Na nieszczęście niejedna matrona, oderwawszy się od Mary i Alice, skoncentrowała swoje zainteresowanie na niej.

– To prawdziwa zbrodnia – oświadczyła lady Osbaldestone, bacznie studiując przez lornetkę jej odzianą w jedwabną kreację postać. – Doprawdy, bardzo szkoda! – Kościsty palec szturchnął Alatheę pomiędzy zębra. – Bóg jedyny wie, czemu się ukryłaś, ale już najwyższy czas, żeby jakiś hulaka cię rozruszał.

Inne damy przyjęły odmienną taktykę.

– A więc, moja droga, czy spędzasz dużo czasu na działalności charytatywnej? – Lady Harcourt, w wieku zbliżonym

do wieku Alathej, uśmiechnęła się nieszczercze. – Takie spokojne życie musi być niezwykle przyjemne.

Alathea odpowiadała na te wszystkie pytania z serdecznym uśmiechem i spokojną pewnością siebie. Pojawił się Gabriel i za namową Sereny wyciągnął ją z tłumu.

– Ale Mary i Alice...

– Jest z nimi Serena. Chciałbym, żebyś kogoś poznała.

– Kogo?

Jego wiekowa ciotka Clara była słodką starszą panią, choć odrobinę roztargnioną. Poklepała Alatheę po ręce.

– Twoje siostry są przemiłe, moja droga, ale najpierw musimy się bawić na twoim weselu.

– Dokładnie to jej mówiłem – wtrącił Gabriel.

Ponad głową ciotki Clary Alathea spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

– No właśnie, właśnie – rzekła Clara i ponownie poklepała ją po ręce. – Musimy ci znaleźć jakiegoś miłego dżentelmena, może tego sympatycznego młodego Chillingwortha.

Wyraz twarzy Gabriela nie miał sobie równych. Alathej z najwyższym trudem udało się pohamować śmiech.

– Nie sędzę – odpowiedziała.

– Nie? Hm, zastanówmy się więc, kto jeszcze?

Zanim Clara zdołała rozważyć inne kandydaty, podszedł Diabeł.

– Honoria przyszła? – Clara złapała go za rękaw.

Diabeł się rozjaśnił.

– Jest na drugim końcu sali, jeśli ciocia ma ochotę, mogę ją tam zaprowadzić.

– O tak. To miłe z twojej strony. – Jedną ręką mocno trzymając szal, a drugą Diabła, ciotka Clara posłała im uśmiech na pożegnanie i się oddaliła.

– To Carmichaelsowie. – Gabriel wskazał Alathej parę, których wiejska posiadłość leżała nieopodal Morwellan Park.

Następne dwadzieścia minut spędzili, krążąc wśród stale gęstniejącego tłumu, od czasu do czasu, zawsze z inicjatywy

Gabriela, zatrzymując się przy tym lub tamtym gościu, by zamienić parę uprzejmych słów. Alatheia zrozumiała, na czym polegała jego strategia dopiero wówczas, gdy w morzu głów dostrzegła lorda Montgomery'ego, a potem lorda Falwortha. Ponieważ stale byli w ruchu, jej dwór nie miał szansy zgromadzić się wokół niej. Alatheia zdusiła protest. Woląa przepychać się przez tłum z Gabrielem, niż stać otoczona tępyimi adoratorami. Udawanie, że nie jest świadoma jego manewrów, było niewątpliwie bardzo sensownym zachowaniem.

Nagle muzycy zaczęli grać i tłum, jak za dotknięciem magicznej różdżki, rozstał się, pozostawiając wolną przestrzeń. Ponieważ Mary i Alice już dawno otrzymały wolną rękę co do planowania wieczornych rozrywek, pierwszym tańcem był walc. Alatheia z ochotą towarzyszyła Gabrielowi, kierowana chęcią zobaczenia, czy spełnią się jej oczekiwania i Esher zatańczy z Mary, a Carstairs z Alice.

Oczywiście Mary i Esher pierwsi znaleźli się na parkiecie. Mary była ślicznie zapłoniona, a jej uśmiech wiele mówił. Esher wyglądał jak wcielenie dumy. Alatheia uśmiechnęła się niepewnie, gdy przesunęli się obok niej w walcu, a następnie rozejrzała się po sali. Alice znajdowała się już w objęciach Carstairsa i oboje sprawiali wrażenie zagubionych we własnych spojrzeniach.

Alatheia westchnęła. Udało jej się wygrać sprawę sióstr, będą miały przyszłość, jakiej dla nich pragnęła i na jaką zasługiwały. Będą szczęśliwe, kochane...

W następnej chwili sama też znalazła się na parkiecie, wirując w objęciach Gabriela. Poza tym nie było innych tańczących par.

Gabriel uniósł brwi.

– Wydaje mi się, że to mój taniec.

Z radością powiedziałaaby mu, co sądzi o jego arogancji, lecz wobec zaciekawionych spojrzeń połowy przedstawicieli śmietanki towarzyskiej, była w stanie jedynie uśmiechać się do niego zdawkowo i pozwalać się prowadzić. Nie spuszczała jednak z niego wzroku. Uśmiechnął się, a kiedy na parkiecie zaczęło

przybywać par, przytulił ją. I szepnął:

– Nie kuś mnie.

Wyszeptane słowa pieściły jej ucho. Alatheia zadrżała.

– Powinna się obrazić.

– Ale tego nie zrobiłaś. Wiesz przecież, że nie umiem się powstrzymać.

W odpowiedzi tylko westchnęła. Ciągnięcie tej rozmowy nie poprawiłoby jej nastroju. Samo spostrzeżenie, że sprawiało jej przyjemność tańczenie z nim walca, palący poprzez jedwab sukni dotyk jego dłoni na plecach, uczucie zniewolenia jego siłą, płynne wirowanie wokół sali balowej, były niezwykle dręczące.

Wolałaby też, żeby w jej głowie nigdy nie zagościła myśl o tym, iż jej radość życia zależy od Gabriela.

Po tańcu znów wmieszali się w tłum, rozmawiając ze znajomymi. Właśnie odchodzili od jednej grupki, gdy Gabriela zawołał Gerrard Debbington. Gabriel przystanął, a Gerrard, przepychając się w tłoku, podszedł bliżej.

Alatheia powitała go radosnym uśmiechem, zupełnie nie pamiętając, że go przecież wcale nie zna.

– Witaj.

Gabriel lekko uściskał jej palce i przedstawił ich sobie. Alatheia nie przestawała się uśmiechać, jakby odzywianie się do nieznanymi mężczyzn należało do jej zwyczajów. Na szczęście Gerrard był zbyt dobrze wychowany, żeby robić jakieś uwagi.

Spojrzał na Gabriela.

– Jeśli mogę prosić na słowo... powinienes o czymś wiedzieć.

Gabriel wskazał ręką Alatheę.

– Thea wie o moim zainteresowaniu, wie o Crowleyu. Możesz mówić swobodnie.

– Och. – Gerrard pokrył uśmiechem zdumienie. – W takim razie... wczoraj wychodziłem z Tattersalls i dosłownie wpadłem na Crowleya. Był w towarzystwie dżentelmena, którego Vane nazwał lordem Douglasem. Na nieszczęście Vane i Patience szli tuż za mną i Patience zaczęła mówić. Z tego, co powiedziała, jasno

wynikało, że jest moją siostrą. – Skrzywił się. – Tylko siostra może mówić w ten sposób. A ponieważ szła pod rękę z Vane'em, nie trzeba zbyt wielkiej inteligencji, żeby domyślić się, co nas łączy. Vane uważał, że powinienem ci o tym powiedzieć i spytać o zdanie.

– Myślę – odpowiedział Gabriel – że powinniśmy przedyskutować różne możliwości z Vane'em. – Rozejrzał się ponad morzem głów. – Gdzie on jest?

– Gdzieś tam po lewej stronie – rzekł Gerrard, wyciągając szyję. – Blisko ściany. Była z nim Patience.

Alathea dostrzegła fioletowe pióro, które wcześniej widziała we włosach pani Cynster.

– Tam, koło drugiego lustra.

Zaczęli podążać we wskazanym kierunku, ale wkrótce Gerrard wysforował się do przodu. Gabriel szepnął do Alathej:

– Muszę porozmawiać o tym z Vane'em. Gerrard może być w niebezpieczeństwie.

Alathea spojrzała na niego z troską.

– Crowley?

– Tak. Chciałbym, żebyś odwróciła uwagę Patience w czasie mojej rozmowy z Vane'em.

– Czemu nie możesz mówić otwarcie przy Patience? W końcu Gerrard jest jej bratem.

– Właśnie dlatego. A na wypadek, gdyby to ci umknęło, Patience jest w ciąży, więc Vane na pewno nie będzie chciał jej martwić groźbą wiszącą nad Gerrardem, którą musimy oddalić.

– Chcesz więc, żebym ją czymś zajęła? Żebym przyłożyła rękę do ukrywania przed nią czegoś, co ma absolutne prawo wiedzieć... – Alathea przerwała, gdyż inna myśl wyparła z jej głowy rozważania o Patience i jej siostrzanych prawach. – Powiedz, czy gdyby coś groziło Charliemu albo Jeremy'emu, powiedziałbyś mi o tym, czy też dopilnował, żebym nigdy się nie dowiedziała?

Sposób, w jaki Gabriel zacisnął usta, wystarczył za odpowiedź. Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

– Mężczyźni! Dlaczego wyobrażacie sobie...  
– Powiedz mi tylko, kto chce przeszkodzić Crowleyowi?  
– Ja.  
– I kogo poprosiłaś, żeby ci pomógł?  
– Ciebie.  
– Jak przez mgłę przypominam sobie, że zastrzegłem, abyś słuchała moich poleceń.  
– Tak, ale...  
– Thea, przestań się sprzeczać. Muszę porozmawiać z Vane'em i nie chcę niepotrzebnie martwić Patience.

Skoro tak to widział...

– Och, proszę bardzo. – Rzuciła mu ostre spojrzenie. – Ale wiedz, że tego nie popieram.

Wydostali się z tłumu i zbliżyli do Vane'a i Patience. Alatheia z uśmiechem odciągnęła Patience na bok. Gabriel ukrył uśmiech, słysząc, jak wypytuje o stan młodej pani Cynster. Był to temat stanowiący doskonały pretekst do wykluczenia z rozmowy mężczyzn. Tymczasem oni szybko zajęli się własnym problemem.

– Co myślisz? – zapytał Vane.

– To zdecydowanie zbyt niebezpieczne. Crowley wydusił wszystko z Archiego Douglasa, zanim dotarli do pierwszego skrzyżowania. – Gabriel spojrział na Vane'a. – Rozumiem, że Archie był na tyle trzeźwy, że cię rozpoznał.

– Na pewno. Był zdumiewająco trzeźwy, ale trzeba wziąć pod uwagę, że spotkaliśmy się przed południem.

Gabriel zerknął na Gerrarda.

– Musimy więc usunąć cię z pola widzenia.

Gerrard wzruszył ramionami.

– Mogę pojechać na pewien czas do domu w Derbyshire.

– Nie. Za daleko. Musisz być w pobliżu Londynu i sądu.

Będziemy cię potrzebować jako świadka, który potwierdzi szczegóły propozycji dla inwestorów, przedstawianej przez Crowleya.

– Jak myślisz, jak Crowley może zareagować?

– Myślę – odpowiedział Gabriel – że zgarnie pieniądze i

przerwie swoją działalność. Za długo uprawia ten proceder, żeby reagować pochopnie. A jest już bardzo blisko zażądania wpłaty pieniędzy. Sądzę, że dojdzie do wniosku, że Gerrard udał się do mnie po radę po spotkaniu w hotelu. Nie ma żadnego powodu, żeby podejrzewał, iż spotkaliśmy się wcześniej. Przecież gdyby Gerrard wspomniał mi o interesach Crowleya przed spotkaniem, odradziłbym mu wszelkie z nim kontakty. Musi więc sobie wyobrażać, że Gerrard prosił mnie o radę później i że byłem przeciwny inwestowaniu. Gerrard nie kontaktował się z nim więcej i teraz wie dlaczego. Jest tak bliski położenia rąk na fortunie, że będzie się poważnie wahał przed niepotrzebnym ryzykiem. Nie wydaje mi się, żeby szukał teraz Gerrarda, ale sądzą, że zrobi to natychmiast, gdy tylko usłyszy o pozwie do sądu przeciwko kompanii, i będzie chciał się zemścić.

– Jak bardzo jest niebezpieczny?

Gabriel spojrzął w oczy Vane'a.

– Może zabić bez skrpułów.

Vane uniósł brwi. Gabriel ciągnął dalej.

– Zdobyte przeze mnie informacje sugerują, że w to przedsięwzięcie zainwestował wszystko, do ostatniego grosza. Jeśli kompania upadnie, będzie zrujnowany. A na dodatek będą go prześladować niezbyt przyjaźnie usposobieni i bardzo rozdrażnieni wierzyciele. Generalnie rzecz biorąc, Crowley jest bardziej niebezpieczny od wściekłego psa zagnanego w ślepy zaułek.

– Hm. – Vane powędrował spojrzeniem w stronę żony, która w odległości niespełna metra rozmawiała z ożywieniem z Alatheą.

– Martwię się o Patience. Wygląda dość blado, nie sądzisz?

Gabriel przyjrzał się badawczo zdrowym rumieńcom na policzkach pani Cynster.

– Krótki pobyt w Kent świetnie jej zrobi. Świeże powietrze, słońce...

– I wielu twoich ludzi pracujących na polach otaczających dwór. Dokładnie to, co zalecił lekarz. – Gabriel odwrócił się do Gerrarda, słuchającego bez słowa. – Oczywiście, jako troskliwy brat, będziesz towarzyszył siostrze.

Gerrard się uśmiechnął.

– Co tylko chcecie. Mogę tam rysować równie dobrze jak tutaj.

Vane machnął ręką w stronę Patience i Alathej.

– Czy mamy podzielić się z nimi nowiną?

Dziesięć minut później Gabriel i Alatheia kolejny raz wmieszali się w tłum. Alatheia się uśmiechnęła.

– To bardzo miłe ze strony Vane’a, że tak się troszczy o Patience, nawet jeśli nie ma powodów do zmartwienia. Patience czuje się bardzo dobrze.

– No tak, ale mężowie powinni robić to, co do nich należy, zwłaszcza jeśli należą do rodu Cynsterów. – Gabriel zerknął na Alatheę. – Dowiedziałaś się czegoś ciekawego?

– Rozmawialiśmy o ciąży.

– Wiem.

Zrobiła jeszcze jeden krok, zamarła, po czym gwałtownie odwróciła się do niego.

– Co...? Chyba nie...?

Szeroko otworzył oczy.

– Co chyba nie?

Muzycy zaczęli grać. Jedną ręką objął ją w talii i zaprowadził na parkiet.

Patrząc mu prosto w oczy, Alatheia wzięła głęboki oddech. Nie zważając na płonące rumieńce na policzkach, oświadczyła kategorycznie:

– Nie jestem w ciąży.

Jego westchnienie poruszyło jej loki nad uchem.

– No cóż, trzeba mieć nadzieję.

Kolistymi ruchami zaczął ją gładzić po plecach. Zagryzła wargi, żeby powstrzymać gwałtowną chęć wyrzucenia z siebie prawdy, że nie wie, czy jest w ciąży, czy też nie. Zdecydowanie nie zamierzała dyskutować z nim na takie tematy. Zwłaszcza z nim.

– Pewnego dnia będziesz w ciąży z moim dzieckiem, chyba wiesz o tym?

Zamknęła oczy. Próbowwała też zamknąć uszy na słowa, ale te



trafiały prosto do jej umysłu, prosto do serca, do jej stęsknionej duszy.

– Kochasz dzieci, chcesz mieć własne. Dam ci ich tyle, ile zapragniesz.

Krążyli wokół sali, poruszając się do melodii granej jakby na innym planie, nie zwracając uwagi na sam taniec.

– Chcesz mieć ze mną dziecko, ja też tego chcę. I pewnego dnia to się stanie, uwierz mi, Theo.

Zadygotała. Ku jej ogromnej uldze nie powiedział nic więcej, prowadząc ją w tańcu. Zanim muzyka się skończyła i wypuścił ją z objęć, odzyskała panowanie nad sobą. Ale nie mogła spojrzeć mu w oczy. Przebiegła wzrokiem pokój.

– Powinnam sprawdzić z Sereną...

– Wszystko jest w porządku. Powiedziała mi, żebym nie pozwolił ci się przejmować.

To skłoniło ją do spojrzenia na niego.

– Nie powiedziała nic takiego.

– Ależ tak, a wiesz dobrze, że dżentelmen powinien uczynić wszystko, żeby zadowolić damę.

Powstrzymała się przed ciętą odpowiedzią jedynie ze względu na obecność lorda i lady Collinridge, których posiadłość sąsiadowała z ich ziemiami. Collinridge'owie znali ich oboje od dziecka, ale od lat nie widzieli Gabriela. Alatheia, ze słodkim uśmiechem, z całych sił zachęcała lady Collinridge do kpin z jej dręczyciela.

W końcu, żeby uciec, Gabriel zmyślił, że zostali wezwani przez jego matkę.

– Boże – wyszeptał, gdy przepychali się w tłoku. – Podobało ci się to.

– Zasłużyłeś sobie – odparowała Alatheia. Nagły napór otaczającego tłumu spowodował, że musieli na chwilę się zatrzymać. Gabriel znalazł się tuż za nią.

– Hm... A na co jeszcze sobie zasłużyłem?

Alatheia zdusiła jęk, gdy ogromna dłoń przesunęła się po jej biodrze i poczęła wykonywać leniwe, koliste ruchy wokół jej

odzianych w jedwab pośladków.

Gabriel zacisnął dłoń, pochylił głowę i wyszeptał jej do ucha:

– A może wolałabyś ukryć się w swoim gabinecie? Przecież twoja macocha poleciła mi zrobić wszystko, żeby cię zabawić.

Alathea nie mogła się opanować, by nie odwrócić głowy i nie spojrzeć mu w oczy. Pod współprzymkniętymi powiekami tlił się ogień. Nie było najmniejszej wątpliwości, co miał na myśli.

Przeniosła wzrok na jego wargi. Czy mogła istnieć większa pokusa?

Ścisk wokół nich zelżał i udało jej się złapać oddech.

– W moim gabinecie nie ma zamka w drzwiach, pamiętasz?

Powiedziała to, zanim zdążyła się zastanowić. Zapłonila się. Rubaszny śmiech Gabriela przywiódł jej na myśl pirata, zamierzającego ją zdobyć. Na szczęście jednak jego ręka opuściła jej pośladki, przed rozstaniem z rozgorączkowanym ciałem zaciskając się na jej biodrze. Tłum gości wokół nich na powrót zgęstniał. Znów zaczęli się przesuwać do przodu. Niemal natychmiast napotkali lady Albemarle, daleką kuzynkę Cynsterów, i przystanęli, żeby zamienić z nią parę słów. Potem wdali się w pogawędkę z lady Horatią Cynster.

– Nie mam pojęcia – rzekła w odpowiedzi na pytanie Gabriela – czy Demon i Felicity wrócą do miasta przed końcem sezonu balowego. Oboje świetnie się bawią. Kiedy ostatni raz mieliśmy od nich wiadomość, przebywali w Cheltenham.

Porozmawiawszy swobodnie przez parę minut, znów zaczęli się przeciskać przez tłum. Kiedy następna dama, przy której się zatrzymali, żeby się przywitać, okazała się kolejną kuzynką Cynsterów, Alathea zaczęła się zastanawiać. To prawda, że ród Cynsterów jest liczny i spowinowacony z wieloma rodzinami. Jednak...

Gdy znów ruszyli z miejsca, pochwyciła spojrzenie Gabriela.

– Czy przypadkiem nie przedstawiasz mnie całej swojej rodzinie?

– Oczywiście, że nie. Przecież już cię znają. A ci, którzy cię dotąd nie poznali, zostali ci przedstawieni przy wejściu na salę.

Alathea westchnęła z rezygnacją. Jego wzrok, wyraz twarzy mówił, że wszelkie protesty pozostaną bezskuteczne. Był zdeterminowany. To on trzymał wodze i z całych sił parł do małżeństwa. Potrząsnęła głową.

– Jesteś niemożliwy!

Usta Gabriela zadrżały.

– Nie. To ty jesteś niemożliwa. Ja jestem nieporuszony.

Usiłowała powstrzymać uśmiech, ale bez skutku.

– Lady Alathe! – Lord Falworth przepchał się przez tłum i nisko się jej uklonił. – Droga pani, tak zawzięcie pani szukałem. – Obrzucił Gabriela krytycznym spojrzeniem. – Ale udało mi się panią znaleźć przed rozpoczęciem kotyliona. Czy wyświadczy mi pani ten zaszczyt?

Pomimo całej swojej fircykowości, lord Falworth był miłym dżentelmenem i wyjątkowym tancerzem. – Ależ będzie to dla mnie zaszczyt. – Chyba nadszedł czas, żeby się trochę zdystansować od jej samozwańczego właściciela. – Wybacz mi pan, panie Cynster? – Skinęła głową Gabrielowi, po czym oparła dłoń na ramieniu Falwortha i pozwoliła się zaprowadzić na parkiet, gdzie pary formowały się w szyku.

Gdy tylko rozpoczął się taniec, zupełnie zapomniała o Falworthcie i powróciła myślami do Gabriela. Żaden inny mężczyzna nie mógł z nim rywalizować. Istniał, być może od zawsze, tylko jeden mężczyzna, który był jej przeznaczony, który był jej najbliższy przez całe życie. A teraz chciał ją poślubić. Zależało mu na niej, ale nie w sposób, który mogłaby uznać za bezpieczną podstawę małżeństwa. Nie miała pojęcia, co powinna uczynić, w jaki sposób zapanować nad sytuacją i wyprowadzić ich oboje na spokojne wody. Z każdym dniem rosła w niej chęć, żeby ustąpić, poddać się i zostać jego żoną.

Jedyna zaporą przeciwko tym pragnieniom była prosta, ale solidna. Strach. Nieopanowany, nieokiełznany strach przed tak silnym, głębokim bólem, którego nie mogłaby wytrzymać. Przed bólem, którego pojawienie się przeczuwała, który mogła sobie wyobrazić, choć nigdy go nie doświadczyła. Ból, którego żaden

człowiek przy zdrowych zmysłach nie chciałby prowokować.

Jedno wiedziała na pewno. Zanadto się bała, żeby zgodzić się na to małżeństwo, skoro wszystko, co do niej czuł, jeśli nie liczyć prymitywnego pożądanego, było zwykłym przywiązaniem i poczuwaniem się do opieki nad nią.

Krążąc po parkiecie w kolejnych figurach kotyliona rozważała te prawdy, które oznaczały, że nigdy nie urodzi mu dziecka.

I nigdy, przenigdy, nie będzie miała własnych dzieci.

Decyzja o tym zapadła przecież jedenaście lat temu. Los musiałby cofnąć wydany na nią wyrok.

Stojąc na skraju parkietu, Gabriel obserwował wirującą w tańcu Alatheę. Myślała o czymś innym niż kotylion. Miała nieobecne spojrzenie i spokój na twarzy, oznaczające, że duchem była zupełnie gdzie indziej. Był pewien, że myślała o nim. Chciał, żeby myślała o nim, ale... miał poważne podejrzenia, że w tej chwili jej myśli nie podążały w upragnionym przez niego kierunku. Jego instynkt nakazał mu nalegać na nią, próbować nią zawładnąć. Jakieś wewnętrzne przeczucie mówiło mu, ostrzegało, że decyzja należała do niej. A wiedział, jak łatwo ulegała wpływom.

Teraz jednak zdobycz zaczynała mu się wymykać. Za każdym razem, gdy sądził, że już ma ją w garści, odsuwała się, nieprzekonana, patrząc na niego szeroko otwartymi, pełnymi zadziwienia oczami.

Nigdy nie była przekonana na tyle, żeby go poślubić.

Powodowało to, że za każdym razem, gdy się od niego oddalała, czuł się jak dziki lew w klatce. Nie mógł sobie znaleźć miejsca pod ścianą, żeby się oprzeć i obserwować Alatheę, przechadzał się więc wzdłuż skraju parkietu, nie zamierzając dać się zaskoczyć żadnej damie, chcącej zwrócić na siebie jego uwagę.

Udało mu się uniknąć wszystkich czyhających na niego dam, nie mógł jednak uniknąć Chillingwortha. Lord wyrósł mu na drodze.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Zgodnie obrócili się tak, że

stanęli ramię przy ramieniu, zwróceni twarzami w stronę parkietu.

– Jestem zdziwiony, że nie znudziła ci się ta gra – wycedził Chillingworth.

– Jaką grę masz na myśli?

– Udawanie błędnego rycerza i trzymanie nas z daleka. – Chillingworth zlustrował spojrzeniem twarz Gabriela. – Potrafię zrozumieć, że jako bliski przyjaciel rodziny możesz się czuć zmuszony do takiego zachowania, czy nie uważasz jednak, że posunąłeś się za daleko?

– Ja zaś jestem ciekaw, czemu cię to interesuje? – zadając to pytanie, Gabriel czuł zimny dreszcz na karku.

– Wydawało mi się, że to oczywiste, mój drogi. – Chillingworth wskazał ręką tańczących, uważając, żeby nie pokazać wprost na Alatheę. – Ona stanowi atrakcyjną ofertę, zwłaszcza dla kogoś w moim położeniu.

Każde jego słowo powodowało, że krew krążąca w żyłach Gabriela była coraz bardziej lodowata. Ktoś niezorientowany mógłby sobie wyobrazić, że Chillingworth miał na myśli uwiedzenie Alathej, gdyż w obecnej chwili nie był w niej zakochany. Ale Gabriel wiedział lepiej. Lord należał do ich klasy, pochodził z tej samej warstwy co klan Cynsterów. Przestrzegał tych samych niepisanych zasad, które Gabriel honorował w całym swoim dorosłym życiu. Porządne damy z dobrych rodzin nie wchodziły w grę.

Niewątpliwie Alatheia była porządną damą z dobrej rodziny. Chillingworth nie miał na myśli uwiedzenia jej.

Z nieodgadnionym wyrazem twarzy Gabriel spojrzął na tancerzy, po czym zatrzymał wzrok na Alathej.

– Ona nie jest dla ciebie.

– Doprawdy? – W głosie Chillingwortha zabrzmiało wyzwanie. – Świadom jestem, że to może być zaskoczenie, zwłaszcza dla Cynstera, ale ostatecznie ona sama podejmie decyzję.

– Nie. – W spokojnie wypowiedzianym przez Gabriela słowie drzemała ukryta taka moc, że Chillingworth zeszytniał. I

czekał.

Gabriel wyraźnie dostrzegał niebezpieczeństwo. Chillingworth był w wieku Diabła i powinien się już ożenić. Potrzebował dziedzica, a do tego niezbędna mu była żona. Gabriel doceniał gust Chillingwortha, który zwrócił uwagę na Alatheę, nie mógł jednak tego zaakceptować.

Alathea kochała go, choć nie miał pojęcia, czy sama o tym wiedziała. Była rozważna i zdecydowana, przyzwyczajona do chodzenia własnymi drogami. Tkwiała w niej też odrobina lekkomyślności, która zawsze go niepokoiła. Nigdy nie potrafił przewidzieć, do czego może ją to doprowadzić. Trudno jej się było pogodzić z myślą o wyjściu za niego za męża. Jeśli Chillingworth poprosi o jej rękę, może skorzysta z okazji, żeby uniknąć impasu, który się wytworzył.

Czy pomimo miłości do niego, a może właśnie z jej powodu, mogłaby chcieć uwolnić go z rycerskich więzów, do których, jej zdaniem, czuł się przymuszony? I wyjść za Chillingwortha?

Gabriel obserwował Alatheę ponad głowami tańczących i wiedział, że nie może sobie pozwolić na takie ryzyko. Zachowywała się przyjaźnie wobec Chillingwortha. Lord, ulepiony z tej samej gliny co on sam, potrafił być czarujący, gdy tego chciał. A Alathea była córką lorda. Wyjątkowo odpowiedni mariaż.

Z jednym wyjątkiem.

Gabriel odwrócił się do Chillingwortha i napotkał jego spojrzenie.

– Jeśli sobie wyobrażasz, że poprzez związek z Morwellanami rozwiążesz problem braku dziedzica, radziłbym ci jeszcze raz przemyśleć tę kwestię.

Chillingworth zeszywniał, a wyraz jego oczu wyraźnie wskazywał, że nie wierzy własnym uszom.

– A czemuż to? – zapytał stalowym głosem, z trudem maskując agresję.

– Bo wolałbyś umrzeć niż mieć do czynienia z damą, o jakiej myślimy, co spowodowałoby, iż miałbyś pewne kłopoty ze spłodzeniem dziedzica.

Chillingworth wbił w niego wzrok, po czym odwrócił głowę, przybierając na powrót łagodniejszą postawę.

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś – mruknął.

– Potwierdzam każde słowo.

– Wiem. – Wargi Chillingwortha zadrżały. – To rozjaśnia sprawę.

– Tak długo, jak długo będziesz o tym pamiętał.

Chillingworth spojrział w kierunku Alathej, która po zakończonym tańcu szła, wspierając się na ramieniu Falwortha. Obaj z Gabrielem ruszyli do przodu na ich spotkanie.

– Zastanowię się nad tym – odparł Chillingworth.

\* \* \*

Alathej trudno było uwierzyć, że Gabriel mógł ją tak szybko odnaleźć pośród rzeszy gości. Ledwo zaczęła iść z lordem Falworthem, gdy wyłonił się spośród tłumu. Jak zwykle ucieszył ją widok Chillingwortha u jego boku.

– Milordzie. – Podała rękę Chillingworthowi i uśmiechnęła się z uznaniem, gdy się kłaniał. – Mam nadzieję, że zauważył pan, iż wzięłam sobie do serca pańskie uwagi. Nie mogłam nic uczynić w sprawie liczby gości, ale w planie dzisiejszego wieczoru jest wiele walców.

Chillingworth westchnął.

– Cóż to za nowa tortura, moja droga? Rozumiem, że jak zwykle nie ma pani wolnego walca.

Uwadze Alathej nie umknęło kose spojrzenie, jakie rzucił w stronę Gabriela.

– Niestety, nie mam.

– Jeśli jednak – ciągnął Chillingworth – moje uszy się nie mylą, właśnie zaczyna się kolejny taniec. Czy mogę błagać panią o towarzystwo?

Alathea się uśmiechnęła.

– Będę zachwycona.

Na parkiecie Chillingworth prowadził swobodną rozmowę na ogólne tematy. Alathea odpowiadała lekko, myślami błądząc, jak

zawsze, wokół Gabriela. Po rozpoczęciu tańca straciła go z oczu. Zastanawiała się, gdzie jest i co robi.

Po skończonym tańcu oparła dłoń na ramieniu Chillingwortha. Poprowadził ją z parkietu wprost do Gabriela, czekającego na drugim końcu sali w stosunku do miejsca, gdzie się rozstali.

Alathea z trudem się powstrzymała, żeby nie wznieść oczu do nieba. Zabrała rękę z ramienia Chillingwortha i stanęła pomiędzy nimi, w każdej chwili gotowa dźgnąć łokciem między żebra tego, który pogwałci zasady grzecznej rozmowy. Ku jej zaskoczeniu żaden z nich tego nie uczynił. Chillingworth sprawiał wrażenie czujnego i ostrożnego, a Gabriel zachowywał się arogancko jak zawsze. Potem dołączyła do nich Amanda, eskortowana przez lorda Rankina, a zaraz po niej pojawiła się Amelia, wsparta na ramieniu lorda Arkdale'a.

– Cudowny bal, lady Alatheo – zawołała z radością Amanda.  
– Doskonale się bawię. – Dziewczyna zatrzepotała rękami w stronę lorda Rankina, który, w pełni nieświadomie, się rozpromienił.

– Prawdziwy tłok – wtrąciła Amelia. – Tylu gości. – Uśmiechnęła się do lorda Arkdale'a. – Cóż, nigdy dotąd nie miałam okazji porozmawiania z Freddie.

– Mam nadzieję – uprzedzając Gabriela, rzuciła Alathea – że jesteście na tyle rozsądne, by w pełni wykorzystać oferowane możliwości.

– Oczywiście – zapewniła ją Amanda. – Nasze karnety są pełne. Każdy taniec przetańczyłyśmy z innym dżentelmenem.

– A każdą przerwę pomiędzy tańcami spędziłyśmy, rozmawiając z jeszcze innymi – dodała Amelia. – Obie dziewczyny złagodziły informacje o swojej planowej niestałości promiennymi uśmiechami pod adresem towarzyszących im panów. Żaden z nich nie był pewien, czy powinien się cieszyć, czy też nie.

– Nawiasem mówiąc, Gabrielu, nie widziałyśmy nigdzie Lucyfera. – Amanda utkwiała spojrzenie swych błękitnych, anielskich oczu w twarzy kuzyna. – Czy jest tutaj?



– Był.  
– Musiał odkryć coś niezwykle interesującego. Albo kogoś – niewinnie oświadczyła Amelia.  
– Widziałam lady Scarsdale i panią Sweeney. Była ubrana w cynobrową kreację. Okropny odcień. Nie wydaje mi się, żeby Lucyfer z nią był, jak myślisz?  
– Może jest z lady Todd.

Bliźniaczki niewinnie kontynuowały spekulacje, na czym punkcie tym razem oszalał Lucyfer. Ich towarzysze byli całkowicie oszołomieni. Na Gabrielu rozważania dziewcząt nie zrobiły żadnego wrażenia, ale nie zamierzał skierować ich zainteresowań na inne tematy. Alatheia zagryzła wargi i pozwoliła bliźniaczkom na zemstę.

Korzystając z zamętu wywołanego głośną paplaniną dziewcząt, Chillingworth dyskretnie dotknął ramienia Alatheii. Gdy się odwróciła, ujrzała dość smutne spojrzenie lorda.

– Obawiam się, że będę musiał panią porzucić, moja droga, i pozostawić na pastwę tego stada Cynsterów.

Alatheia się uśmiechnęła.

– Są hałaśliwi, ale widzi pan, bliźniaczki świętują swoje zwycięstwo.

Przez króciutką chwilę Chillingworth popatrzył jej prosto w oczy, po czym przeniósł wzrok na Gabriela, docinającego właśnie Amandzie. Chillingworth spojrzał pytająco na Alatheę.

– Cynster chyba też?

Alatheia nie wiedziała, co ma myśleć, a już zupełnie nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

Chillingworth uwolnił ją z kłopotu, kłaniając się.

– Pani sługa, moja droga. Jeśli kiedykolwiek będzie pani potrzebować pomocy, proszę tylko powiedzieć.

I zniknął w tłumie.

Alatheia w zamyśleniu patrzyła za nim, po czym odwróciła się do Gabriela i bliźniaczek.

Następny taniec był walcem.

Gabriel, którego cierpliwość została mocno nadwerężona

przez dziewczęta, bez słowa zacisnął dłoń na ręce Alathej i poprowadził ją na parkiet. Otoczył ramieniem jej kibić i przyciągnął bliżej do siebie. Ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Odprężona, dała się prowadzić, nadążając bez wysiłku. Wirując w tańcu, przebiegała wzrokiem salę, ale nigdzie nie dostrzegła śladów jakiegokolwiek problemu. Bal był w pełnym rozkwicie i wszystko przebiegało bez zakłóceń.

Miała właśnie na powrót skoncentrować się na Gabrielu, gdy obok nich przemknęła lady Osbaldestone. Wesołe spojrzenie jej starych oczu przypominało Alathej wyraz zadowolenia, malujący się na twarzy lady Jersey, księżniczki Esterhazy i innych. Ile jeszcze szeroko otwartych oczu będzie się im przyglądać tej nocy, ile krytycznych umysłów postawionych zostanie w stan pogotowia?

– To niebezpieczne, ty i ja. – Spojrzała na Gabriela. – Skończymy jako smaczny kąsek dla plotkarzy i łowców skandali.

– Co za głupstwa. Czy ktoś nas potępia?

*Nikt.* Alatheja zacisnęła wargi. Po chwili rzekła:

– Jestem za stara. Śmietanka towarzyska Londynu oczekuje, że się ożenisz, ale nie będą pochwalać ślubu ze mną.

– Czemu nie? Przecież nie jesteś jeszcze dziecinniałą staruszką, na miły Bóg.

– Mam dwadzieścia dziewięć lat.

– To co? Skoro ja się tym nie martwię, a wiesz doskonale, że tak jest, czemu ktoś inny miałby się tym przejmować?

– Zazwyczaj trzydziestoletni kawalerowie nie żenią się z dwudziestodzieścioletnimi starymi pannami.

– Pewnie dlatego, że większość dwudziestodzieścioletnich starych panien nie pozostała nimi bez przyczyny. – Gabriel pochwycił jej spojrzenie. – Ty miałaś zupełnie inne powody, które teraz przestały być już istotne. Zrobiłaś, co musiałaś, i postawiłaś rodzinę z powrotem na nogi. Broniałaś twierdzy, dopóki Charlie nie będzie mógł jej przejść, i nauczyłaś go wszystkiego. Teraz nadszedł czas, żeby odejść i wieść życie, jakie ci się należy. Ze

mną.

Alathea milczała, niepewna, czy mogłaby polegać na swoim głosie.

Gabriel ciągnął dalej:

– Nie zauważyłem najmniejszego śladu potępienia, a wprost przeciwnie. Starsze damy, które znały twoją matkę, są zachwycone myślą, że wreszcie wyjdiesz za mąż. Podobnie jak wszyscy z towarzystwa, nigdy nie zrozumiały, czemu tego dotychczas nie zrobiłaś.

Alathea pociągnęła nosem. Po chwili zaryzykowała i uniosła wzrok. Spojrzenie Gabriela było łagodne, lecz bezlitosne.

– Ucieszą się z ogłoszenia naszych zaręczyn, jeśli tylko pozwolisz mi to uczynić. Nie staną na mojej drodze.

*Tylko ona na niej stała.* Alathea uciekła spojrzeniem w bok. Wyglądało na to, że znikąd nie może oczekiwać pomocy. Płynęła pod prąd.

\* \* \*

W znajdującym się obok pokoju do gry w karty Diabeł Cynster, książę St. Ives, podszedł do lorda Chillingwortha, który stał pod ścianą, obserwując rozgrywaną partię pikiety.

– Nie do wiary, nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek zobaczę, jak się powstrzymujesz. – Diabeł zerknął wymownie w stronę sali balowej. – Trudno mi uwierzyć, że nie widzisz tam żadnych możliwości. Jeśli się szybko nie zakręcisz, będziesz dziś spał w zimnym łóżku. Ja mam przynajmniej wygrzaną pościel w domu.

Chillingworth sprawiał wrażenie rozbawionego.

– A dlaczego uważasz, że ja nie mam? Jedyne różnice między nami polega na tym, że ty będziesz spał w tym samym łóżku także jutro w nocy, podczas gdy ja mam przynajmniej szansę przespać się w jakimś innym.

– Z drugiej strony nie wolno zapominać o plusach niezmiennie wysokiego standardu.

– Na dziś pozostanę przy zmienności. Ale odłóżmy tę

kwestię na bok. Czemu zawdzięczam twoje uwagi?

– Po prostu sprawdzam, jakie są twoje aktualne zainteresowania.

– Żeby się upewnić, czy nie skrzyżujemy mieczy? Podaj jakiś lepszy powód.

Diabeł oparł się plecami o ścianę.

– Czysty altruizm.

Chillingworth skrył uśmiech.

– Altruizm? Powiedz mi, czy zależy ci na tym, żeby mi się nic nie stało, czy też może masz na uwadze kogoś bliższego sobie?

– Powiedzmy, że nie chcę, aby jakieś nieporozumienie zmąciło skądinąd przyjazne stosunki panujące pomiędzy naszymi rodzinami.

Chillingworth nie odzywał się przez parę chwil.

– Gdybym powiedział, że nie mam zamiaru zakłócać harmonii panującej pomiędzy naszymi rodzinami, czy wyświadczyłbyś mi pewną uprzejmość? – zapytał w końcu.

– Jaką?

– Nie mów o tym Gabrielowi.

Diabeł odwrócił głowę.

– Dlaczego?

Szyderczo wykrzywiając wargi, Chillingworth odsunął się od ściany.

– Bo zabawne jest patrzeć, jak się denerwuje, gdy go prowokuję i – mruknął odchodząc, lecz na tyle głośno, żeby Diabeł mógł go usłyszeć – uważam to za odpowiednią nagrodę pocieszenia.

## Rozdział 18

Bal odbył się w poniedziałek. Alathea zobaczyła Gabriela dopiero w środę. Spacerując ze swoimi i jego siostrami, którym towarzyszył lord Esher i pan Carstairs, była głęboko pogrążona w niespokojnych myślach o Crowleyu i Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota, gdy usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Ujrzała przed sobą grupkę ludzi, patrzących w jej stronę. Heather Cynster pokazywała na pobliski podjazd dla powozów, gdzie jej brat przytrzymywał parę narowistych gniadoszy, przebierających niecierpliwie nogami. Alathea przyspieszyła kroku, myśląc jednocześnie, że zachowanie koni odzwierciedla nastrój ich pana.

– Dzień dobry. – Zadarła głowę do góry i spojrzała Gabrielowi w twarz. Patrzył na nią z wysokości powozu, który skupił uwagę dziewcząt i ich adoratorów, jej pozostawiając woźnicę.

– Wsiadaj, zabieram cię na przejażdżkę po alei.

Uśmiechnęła się.

– Nie, dziękuję.

Wbił w nią wzrok.

Inni też usłyszeli jej słowa.

– Jedź, Allie! Spodoba ci się.

– Nic nam się nie stanie.

– To tylko parę minut.

– Obaj z Carstairsem przejmujemy od pani obowiązki pilnowania pani podopiecznych, lady Alatheo.

Alathea nie odrywała wzroku od twarzy Gabriela.

– Kiedy ostatni raz zabrałaś jakąś damę na przejażdżkę po parku?

Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, po czym zacisnął wargi.

– Potrzyмай, Biggs. – Siedzący z tyłu stangret poderwał się i podbiegł do koni. Gabriel odwiązał cugle i zeskoczył na ziemię.

Bez słowa wziął ją pod rękę i machnął na resztę. Zajęte

swoimi sprawami dziewczęta posłuchały z radością. Alatheia i Gabriel zgodnie poczekali, aż grupka młodzieży oddali się na tyle, by mogli swobodnie rozmawiać, po czym ruszyli na przechadzkę.

– Nie ma powodu, żebyś się nie zgadzała na przejażdżkę ze mną po parku.

– Nie zamierzam pozwalać, żebyś okazywał swoje zainteresowanie w tak manifestacyjny sposób. – Obrzuciła go karcącym spojrzeniem. – Takim postępowaniem mnie nie oczarujesz.

– Twoja strata. Ale skąd wiedziałaś?

– Twoja mama zawsze bardzo przeżywa wasze poczynania, twoje, Lucyfera i pozostałych kuzynów. Podejrzewam, iż fakt, że żaden z was nie zabiera na przejażdżki po parku kobiet, z wyjątkiem swoich żon, jest ogólnie znany.

Gabriel bardzo na to liczył.

– A co sądzisz o Gretna Green? Możemy tam być za dwa dni.

– Chwilowo mam parę spraw do załatwienia tutaj. Gdy tylko zostaną doprowadzone do końca, zamierzam powrócić na wieś.

– Nie radzę zakładać się o to.

Mruknęła powątpiewająco.

– Powiedz mi lepiej, czego się dowiedziałeś. Rozumiem, że ostatniej nocy dostałeś mój liścik?

– Dopiero dzisiaj rano. Ostatniej nocy byłem zajęty, próbując wyciągnąć informacje od pewnych afrykańskich dygnitarzy.

– I co powiedzieli?

– Dość, żeby nieoficjalnie stwierdzić, iż przynajmniej cztery urzędowe pozwolenia i zgody zostały sfalszowane. Pracuję nad tym, by nieoficjalne stwierdzenia zostały uznane za oficjalne, ale rządowa biurokracja nigdzie nie jest szybka. Nie będziemy mieli żadnego wsparcia dla naszego pozwu w chwili jego składania.

– Czyli kiedy?

– Radziłbym, żeby nie czekać dłużej niż do przyszłego wtorku.

– Tak szybko?

– Nie możemy ryzykować, że Crowley zażąda pieniędzy, a

gotów jestem postawić moje gniadosze, że zrobi to w przyszłym tygodniu. – Gabriel zerknął na Alatheę, po czym ciągnął dalej. – Pozew jest już niemal gotowy. Pracownicy Wiggsa powinni go sporządzić najpóźniej do jutra. Wiggs przyniesie mi go. Jeśli nie będziemy mieli nic więcej do dodania, wówczas za twoją zgodą poproszę mojego prawnika, żeby umówił mnie z jednym z sędziów z Chancery Court na złożenie pozwu. Nie możemy dłużej czekać, bo po wyegzekwowaniu obiecanych pieniędzy znajdziemy się w dużo bardziej niekorzystnej sytuacji z prawnego punktu widzenia.

– Skoro tak musi być...

– Zawiadomię Diabła, a także Vane'a. Przywiezie do miasta Gerrarda, kiedy tylko będzie trzeba. – Patrząc na jej twarz z profilu, już otwierał usta, żeby powiedzieć: – Theo, to duże ryzyko. – Ale powstrzymał się. Jeśli on sam rozważył dokładnie wszelkie możliwości i zagrożenia, na pewno i ona to uczyniła. Jej bezpośrednio nic nie zagrażało – poślubiłby ją natychmiast, ratując ją i jej rodzinę przed nędzą – nie musiał jej tego mówić, świetnie o tym wiedziała. Ale co stałoby się z Morwellan Park, z tytułem, z długą linią Morwellanów, których początki były bardzo odległe? Co z rodzinną dumą? To były wartości, które stawiała na pierwszym miejscu i które przede wszystkim chciała chronić. A nie można ich było ratować, nie stawiając wszystkiego na jedną kartę.

Cynsterowi nie trzeba było tłumaczyć jej motywów. Jedyne, co mógł zrobić, to stanąć u jej boku i uczynić wszystko, aby doprowadzić do jej zwycięstwa.

A może również trochę ją rozerwać.

– Prawdę mówiąc, wcale nie przyszedłem do parku, żeby ci o tym powiedzieć. Mam bilety na piątkowy spektakl *Cyrulika sewilskiego*. Przyszło mi do głowy, że może chciałabyś pójść z rodziną.

Alathea wbiła w niego wzrok.

– W piątek wieczorem ma być ostatnie, galowe przedstawienie.

– Tak mi się wydaje. – Opera zrobiła furorę w towarzystwie. Dyrekcja teatru postanowiła, że ostatnie przedstawienie będzie

wydarzeniem galowym, w podzięcie dla artystów i mecenasów.

– Ale... przecież bilety na galę zostały wykupione w ciągu paru godzin od ogłoszenia o ich sprzedaży. W jaki sposób udało ci się zdobyć bilety dla nas wszystkich?

– Nieważne! Pójdiesz?

– Za siebie mogę odpowiedzieć, że oczywiście pójdę! Jeśli zaś chodzi o innych, możesz ich sam zapytać. – Alatheia wskazała przed siebie, na grupkę skupioną wokół bryczki Morwellanów.

Gabriel z zadowoleniem zobaczył, że jego siostry zdążyły się już pożegnać i podążały w stronę powozu ich matki, stojącego trochę dalej. Celia dostrzegła go, ale nie proponowała, żeby jej towarzyszył. Nie okazała też zdziwienia, widząc go znów spacerującego z Alatheą. Fakty te świadczyły o tym, że przynajmniej Celia rozumiała i akceptowała jego intencje. Gabriel wiedział, że będzie mógł oczekiwać od niej wsparcia, gdyby zaistniała taka konieczność.

Dołączywszy do grupki zebranej przy powozie Morwellanów, Gabriel gładko przedstawił swoje zaproszenie, wyraźnie obejmując nim Eshera i Carstairsa. Alatheia spojrzała na niego z zaciekawieniem, ale nic nie powiedziała. Nie musiała: wszyscy bardzo chcieli obejrzeć galowe przedstawienie *Cyrulika sewilskiego*.

Kiedy w piątkowy wieczór Alatheia przybyła wraz z innymi do Opery, odkryła, że Gabriel nie tylko zdobył bilety, ale zarezerwował też jedną z dwóch najbardziej pożądaných łóż tuż przy scenie. Spotkał ich w holu teatru, po czym podawszy jedno ramię Serenie, drugie zaś Alatheii, poprowadził je w górę po schodach i przez wyłożony dywanem korytarz na piętrze do połączonych drzwi, wiodących do loży, wiszącej nad samą sceną.

Gdy tam weszli, głowy wszystkich zwróciły się w ich kierunku; ludzie chcieli zobaczyć, kto tego wieczoru zdobył najlepsze miejsca. Rozległy się szepty, gdy Alatheia, z dumnie uniesioną głową, usiadła w pierwszym rzędzie. Serena zajęła miejsce obok niej i odwróciła się, żeby raz jeszcze podziękować Gabrielowi.



Alathea chętnie wytargałaby go za uszy, ale nie przy ludziach. Tymczasem więc uśmiechała się i z wdziękiem odkłaniała starszym damom. Mary i Alice, z szeroko otwartymi oczami, zajęły miejsca w pierwszym rzędzie, po drugiej stronie Sereny. Esher i Carstairs usiedli za ich plecami. Usadowiony za żoną lord Morwellan pochylił się do przodu i wdał się z nią w dyskusję. Gdy Alathea odwróciła się do Gabriela, chcąc poinformować go o swoim zamiarze późniejszego natarcia mu uszu, zobaczyła, że przysuwa się do niej bliżej, patrząc z ukosa.

– Wybacz mi. Nie przyszło mi do głowy, że będziemy wzbudzać aż tak wielkie zainteresowanie.

Alathea się skrzywiła, rozgrzeszając go z intencji. Powstrzymała się też przed cierpką uwagą, że jako Cynster powinien się spodziewać takiego zainteresowania w sytuacji, gdy stara się o jej rękę.

– Rozumiem – wyszeptała, zerkając pospiesznie na Serenę, żeby się upewnić, iż ta jest zajęta – że nic nie słyszałeś o kapitanie.

– Nic. – Przeniósł wzrok na jej czoło. – Przestań się zamartwiać. Damy sobie radę, w ten czy w inny sposób.

Alathea westchnęła. – Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby popłacić wszystko z góry, na wszelki wypadek... – Bezradnie rozłożyła ręce. – Uregulowałam rachunki za bal, z kucharzami, u krawcowych, nawet z muzykami. Wszyscy oni uważali, że oszalałam, gdy żądałam od nich natychmiast rachunków.

– Spodziewam się. Jeśli zapłaciłaś im od razu, Morwellanowie będą jedyną rodziną w towarzystwie, która zakończy sezon bez długów.

– Uważałam, że tak będzie lepiej, w pewien sposób bardziej etycznie. Wołałam zapłacić naszym wierzycielom, zanim Crowley zażąda od nas wszystkiego, co mamy.

Gabriel zacisnął dłoń na jej ręce. Ledwo zdążyła się przygotować na sensacje, wywołane dotykiem jego warg, pieszczącym jej palce.

– Odpręż się. Zapomnij o Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota. Zapomnij o Crowleyu, przynajmniej

dziś wieczorem. – Ruchem głowy wskazał na scenę. Unoszeniu się kurtyny towarzyszyły coraz głośniejsze oklaski. – Zabrałem cię tu dzisiaj i jedyne podziękowanie, jakiego od ciebie oczekuję, to żebyś się dobrze bawiła. Przestań więc się martwić i słuchaj muzyki.

Odwrócił jej dłoń i musnął ustami wewnętrzną stronę jej nadgarstka. Gdy światła przygasły, Alatheia odwróciła się ku scenie i uczyniła to, o co ją prosił.

Nie było to trudne – przedstawienie było rewelacyjne, soliści wyśmienici, dekoracje i orkiestra nie miały sobie równych. Zakochała się w przedstawieniach muzycznych podczas kilku tygodni swojego pierwszego pobytu w Londynie. Od tamtego czasu była ich spragniona, ale usiłowania prowincjonalnych teatrów nie mogły się równać ze splendorem londyńskich wystawień.

Ze względu na dodatkowe sceny i specjalne arie, które miały zostać zaprezentowane jako część galowego przedstawienia, zaplanowano tylko jedną przerwę, po drugim akcie. Kiedy kurtyna opadła i rozbłysły lampy, Alatheia z zachwytem westchnęła i spojrzała na siedzącego za nią Gabriela. Uniósł brwi i się poruszył.

– Czas rozprostować nogi.

Alatheia pozwoliła, by pomógł jej wstać. Odwróciła się do Sereny. Jej macocha rozłożyła wachlarz.

– Zostanę tutaj, a wy możecie pospacerować po korytarzach, ale wróćcie na czas. – Uśmiechnęła się do wszystkich: do Mary wspierającej się na ramieniu Eshera i Alice, stojącej przed Carstairsem. Gabriel dał znak, żeby ruszyli przodem, po czym wraz z Alatheą opuścili lożę i wmieszali się w morze ludzi. Pozostało im jedynie przechadzać się jak inni.

– Nie myśl o pilnowaniu młodych – poradził Gabriel. – Powiedz mi jednak, czy już przedstawili swoje zamiary?

– Obaj poprosili o spotkanie z tatą w przyszłą środę. – Alatheia się uśmiechnęła. – Rozumiem, że poważnie przygotowują wspólne wystąpienie, mające zjednać im jego przychylność. Nikt nie miał serca im powiedzieć, że to niepotrzebne. Obaj są

kochanymi chłopcami, każdy na swój sposób.

– Dajcie im to zrobić. W końcu małżeństwo to poważna sprawa, a nie coś, w co mężczyzna może się wdawać bez zastanowienia.

– Doprawdy? W takim razie, czy mogę zasugerować...

– Nie. Nie możesz. Dwadzieścia dziewięć lat znajomości z tobą wystarczyło na zastanawianie się.

Przed nimi pojawił się lokaj w stroju strażnika z Tower, dzierżący tacę z napojami. Wzięli szklaneczki w ręce i zaczęli pić. Księżna Lieen dostrzegła ich wśród tłumu. Zanim znaleźli się obok niej, żeby cierpieć, wysłuchując jej spostrzeżeń, rozległ się dzwonek wzywający widzów na miejsca.

Dziesięć minut później dotarli do swojej łoży i zajęli miejsca w chwili, gdy kurtyna zaczęła się unosić. Przez widownię przetoczył się szmer oczekiwania. Gabriel przesunął sobie krzesło tak, żeby móc widzieć twarz Alathej w blasku lamp oświetlających scenę. Usadowił się i zaczął obserwować, lecz nie przedstawienie, ale wyraz jej twarzy, ożywiający jej rysy, oznaki radości, smutku, zachwytu, wywołane toczącą się akcją. Śpiewacy zniewolili widzów, ale dla niego istniała tylko Alatheia.

Druga połowa spektaklu przerosła oczekiwania, rozbudzone pierwszą częścią. Po skończonym przedstawieniu publiczność zerwała się z miejsc, klaszcząc szaleńczo, a na kłaniających się artystów posypał się deszcz kwiatów. Gdy wszystko wreszcie dobiegło końca i kurtyna opadła po raz ostatni, Gabriel zobaczył, że Alatheia wzdycha głęboko i odwraca się do niego z uśmiechem, zapomniawszy chwilowo o wszelkich zmartwieniach.

Wspaniała nagroda.

– Nie musisz udawać, że uważałeś.

– Jeden z wielu plusów długiej znajomości polega na tym, że nie trzeba udawać.

Spojrzała badawczo.

– Czemu to zrobiłeś? Czemu zadałeś sobie tyle trudu i zdecydowałeś się ponieść szokujący, jak się domyślam, wydatek?

Spokojnie spojrzał jej prosto w oczy.

– Bo lubisz muzykę.

To było takie proste. Pozwolił jej odczytać prawdę w swoich oczach. Alatheia zadygotała. Sięgnął po szal, który pozostawiła na krześle, i podał jej. Zawahała się, po czym odwróciła plecami, żeby mógł zarzucić go jej na ramiona. Puścił delikatny jedwab, zacisnął ręce na jej ramionach, przysunął się bliżej i mruknął:

– Podobnie jak w przypadku innych przyjemności, moją nagrodę stanowi twój zachwyt.

Spojrzała na niego z wyrazem twarzy, którego nie mógł rozszyfrować. Jednak nie miał czasu, żeby się zastanowić, bowiem droga po schodach, jaką mieli do przebycia do oczekującego na nią powozu, była krótka.

Gdy pomagał jej wsiąść do tego samego ciemnego powozu, do którego parę tygodni wcześniej wsiadała hrabina, Alatheia ścisnęła go za rękę. Kiedy zniknęła w ciemnym wnętrzu, zatrzasnął drzwiczki, a Folwell szarpnął za cugle.

Alatheia opadła na siedzenie powozu i korzystając z mroku, zmarszczyła brwi. Zajmująca miejsce obok niej Alice rozmawiała z ożywieniem z siedzącym naprzeciwko Tonym Carstairsem. Pozostawiła ich pochłoniętych analizą przedstawienia. Sama zajęta była zupełnie innym przedstawieniem.

Przedstawieniem, o którym zaczynała myśleć, że może wcale nie jest spektaklem.

Nadszedł czas, by stanąć oko w oko z obawą i uczuciami, które ją zrodziły. Doznania te były dla niej nowe. Poddawała się obawie, jednocześnie udając, że te uczucia nie istnieją. Dłużej tak nie mogła.

Pochłonięta rozmyślaniami przez całą drogę z powrotem na Mount Street, z roztargnieniem pożegnała się w holu z Esherem i Carstairsem. Weszła po schodach, wymruczała „dobranoc” i oddała się w ręce Nellie, przez cały czas analizując wszystkie spotkania z Gabrielem, usiłując przeniknąć jego pancerz. Kiedy wreszcie pozostała sama, zarzuciła szal na nocną koszulę i usiadła na wyściełanym siedzisku przy oknie.

Morwellan House miał ponad pięćdziesiąt lat i został

zbudowany na fundamentach jeszcze starszej budowli. Morwellanowie od wieków byli właścicielami tej posiadłości. Jak długo jeszcze nimi pozostaną, leżało w rękach opatrności. Ale jej życie spoczywało w jej własnych rękach. Patrzyła na stare drzewa, rosnące na skraju trawnika, po czym głęboko westchnęła, oparła łokcie o kamienny parapet, a brodę złożyła na dłoniach.

Kiedy się w nim zakochała? Czy wówczas, gdy miała jedenaście lat? Czy wyczuwał to i dlatego przy niej stawał się nerwowy? A może to było później? Może miłość rozkwitła niezauważalnie dla niej samej, gdy stała się nastolatką? A może dziecięca fascynacja powoli rozwinęła się w coś większego?

Na te pytania nie było teraz odpowiedzi. Wiedziała jedynie, że kiedyś musiało się to stać. Prawdę powiedziawszy, uczucie nie sprawiało wrażenia czegoś nowego, a raczej nowo odkrytej słabości, z której istnienia nie zdawała sobie sprawy, dopóki los i okoliczności jej nie odsłoniły. Sytuacja już była trudna, a ona musiała się jeszcze zmierzyć z tyloma rzeczami! Kochała go, lecz jej miłość nie rozkwitła jeszcze w pełni. Była jak młody pączek po długiej zimie, który ma się rozwinąć. Musiała dopiero poznać całą potęgę swojej miłości, pełny zakres swoich potrzeb. Czowała jednak ogromną moc nabrzmiewającą w pączku; gdy się rozchyli, stanie się dominującą siłą w jej życiu.

Ten fakt jedynie potęgował jej obawy.

Obie przyczyny jej trosk, rodzina i miłość, zmierzały do tego samego rozwiązania. Wiedziała, że bez względu na rezultaty postępowania w sądzie będzie przy niej, gotów porwać ją w bezpieczne miejsce, czy odniosą zwycięstwo, czy też nie. Jeśli w sądzie zapadnie pomyślny wyrok, będzie naciskał, żeby się poddała, jeśli poniosą klęskę, nie będzie czekał na pozwolenie, tylko weźmie ją jak swoją. Z punktu widzenia Gabriela wszystko było bardzo proste. Ale nie z jej perspektywy.

Jedną z korzyści wynikających z posiadania dwudziestu dziewięciu lat był fakt, że dobrze się znała. Gdyby pozwoliła sobie na nieskrępowane uczucie, oddałaby się bez reszty, zaangażowała całkowicie w ich związek. Nie potrafiła robić niczego połowicznie,

kiedy dawała, dawała wszystko. Jeśli oddałaby mu serce, byłoby całe jego, na zawsze. Nie uczyniła tego jeszcze, nie powierzyła swojej miłości i swojego życia w jego ręce. Zrobiłaby to, gdyby zgodziła się zostać jego żoną.

Co jednak by się stało, gdyby się okazało, że jej nie kocha?

To było źródłem odczuwanego przez nią bólu. Znalazła się w obliczu rozczarowania, nieszczęścia i osamotnienia, zagrożona zniewoleniem, nędzą, perspektywą ujrzenia najbliższych w łachmanach. Znajdzie w sobie siłę, gdy będzie jej potrzebowała, ale w głębi serca wiedziała, iż ból wywołany dobrocią Gabriela zabiłby ją.

Bo Gabriel będzie dobry, troskliwy, zawsze miły. Jeśli jednak nie będzie jej tak kochał, jak ona jego, ta miłość ją zniszczy. Nie potrafiła po prostu dusić uczucia w sobie, jeśli nie będzie nikogo, kogo mogłaby nim obdarować. Za długo czekała, aby pąk się rozwinął: teraz albo rozkwitnie wspaniale, albo zwiędnie i umrze. Nie było innych możliwości. A jeśli kwiat miłości umrze, ona umrze wraz z nim.

Lepiej, aby nabrzmiały pąk zamarzł i nigdy się nie rozwinął.

Była pewna, że jej nie kocha. Ani przez chwilę nie wierzyła, że los będzie dla niej na tyle łaskawy i sprawi, że Gabriel pokocha ją do szaleństwa. Życie nigdy nie było takie miłe. Owszem, zależało mu na niej, tak jak zawsze, w pełen rezerwy, rozsądny sposób, gdzie wszystko było logiczne.

Irytowało ją to. Jak śmiał być logiczny, podczas gdy nią targały takie emocje? Ale te różnice zdawały się potwierdzać, że miłość, którą właśnie poznawała, nie stała się jego udziałem. Pożądał jej, chciał się o nią troszczyć, chronić ją, ożenić się z nią, ale jej nie kochał. Twardo opierała się jego propozycji, całkowicie pewna, że właściwie go rozszyfrowała.

Aż do tego wieczoru.

I nie chodziło o ekstrawagancję wykupienia łoża, czy nawet o fakt, że, o czym świetnie wiedziała, nie lubił muzyki. Moment, kiedy jej pewność zachwiała się w posadach, nastąpił wówczas, gdy Gabriel wyszeptał: *Podobnie jak w przypadku innych*

*przyjemności, moją nagrodę stanowi twój zachwyt.*

Uderzył ją ton jego głosu. Wymówił te słowa jakby z głębi duszy, a nie z rozumu. Zadzźwięczały w niej, jakby serce rozmawiało z sercem.

Czyżby się myliła? Czyżby ją kochał? Czy mógł ją kochać?  
Jak to poznać?

Uniosła głowę i spojrzała na gwiazdy, na powoli blednący na zachodzie księżyc. Zadanie pytania wprost nie wchodziło w rachubę. Skoro sama nie była gotowa głośno wyznać swej miłości do niego, nie mogła się spodziewać, że Gabriel to uczyni. Czuła się zbyt niepewnie, żeby składać takie wyznania, i gotowa była przyjąć, iż Gabriel może się czuć podobnie. Zaś oczekiwanie, że padnie przed nią na kolana i wyzna miłość...

Przytomniejąc, podeszła do łóżka. Wsunęła się pod kołdrę, bez żadnego planu, co robić. Wiedziała tylko jedno: jeśli istniała jakaś szansa, że los w końcu się do niej uśmiechnął i poraził ich oboje miłością, nie mogła żyć i nie dowiedzieć się o tym.

\* \* \*

Następnego ranka dzień wstał szary, na niebie wisiały ołowiane chmury, wszędzie było ponuro i pozostawało to w doskonałej harmonii z jej nastrojem. Bawiąc się grzanką, świadoma przytłumionych rozmów toczących się przy stole, starała się otrząsnąć z przygnębiających myśli. Triumf balu przyćmiła majacząca groźnie perspektywa przegrania sprawy w sądzie wskutek niekompletnych dowodów zebranych przeciwko Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota. Niezwykła magia poprzedniego wieczoru w operze, przesycona kuszącym przypuszczeniem, iż być może także Gabriel ukrywa prawdziwą naturę swoich uczuć, rozproszyła się w zimnym świetle poranka.

Pomimo wielu nieprzespanych godzin nie potrafiła opracować żadnego planu, który skłoniłby go do opuszczenia tarczy, jaką osłaniał swoje serce. Pomimo ich wzajemnej bliskości nie umiała zajrzeć do jego duszy.

Ona też nie była lepsza, zawsze starannie skrywała swoje

uczucia. Nie była gotowa się odsłonić i pozwolić mu na wgląd w jej duszę. Niestety, ten jedyny sposób, dający jakąś szansę na poznanie prawdy, był bardzo ryzykowny...

Alathea westchnęła w duchu i sięgnęła po dzbanek z herbatą. Musi być coś pozytywnego, co odpędzi jej ponury nastrój. Jeśli nie potrafi rozwikłać złożonej natury kochanka, może wręcz przyszłego męża, to chociaż spróbuje popchnąć do przodu śledztwo. Są jeszcze miejsca, których nie przeszukali, rzeczy, których nie sprawdzili, jakieś kamienie, pod które nie zajrzeli...

Spojrzała na Charliego.

– Czy byliście z Jeremym w muzeum?

– Nie. – Charlie wzruszył ramionami. – Zamierzaliśmy je zwiedzić, ale...

Jeremy się rozpromienił.

– Możemy iść dzisiaj? Trawa za domem jest zbyt mokra, żeby jeździć na bicyle.

Alathea zerknęła na Mary i Alice.

– Może wybierzemy się wszyscy? Od paru tygodni nigdzie nie byliśmy razem, a dzisiaj rano nic się nie dzieje.

Szarpnięcie za rękaw skłoniło Alatheę do odwrócenia się. Z dołu patrzyły na nią szeroko otwarte oczy Augusty.

– Ja też?

Alathea uśmiechnęła się, a szarość prysła.

– Oczywiście, kochanie. Ty też.

Godzinę później Alathea stała w jednym z ciemnych korytarzy muzeum, patrząc na rozpostarte na dużym stole i przykryte szkłem coś, co miało być mapą Afryki Środkowo-Wschodniej. Lodwar był zaznaczony, ale nigdzie nie było widać ani Fangaku, ani Kingi czy Kafii. Co gorsza, według mapy Lodwar leżał na brzegu potężnej rzeki, najwyraźniej niezauważonej przez podróżnika, którego pamiętnik studiowała.

Alathea westchnęła.

Wcześniej nie zainteresowała się muzeum, uważała bowiem, iż urzędnik w Royal Society wspomniałby o ciekawych z jej punktu widzenia eksponatach. W rozpaczy postanowiła jednak



przyglądać się nawet najdrobniejszym szczegółom. Kiedy dowiedziała się od kustosza, że w muzeum znajduje się dobra mapa Afryki, serce zabiło jej mocniej. Może...

Pozostawiła innych wędrujących po muzealnych salach, Charliego i Jeremy'ego przy wystawie militariów, a Mary, Alice i Augustę przy dawnej ceramice, i wymknęła się do tego holu tylko po to, żeby kolejny raz stracić nadzieję. Poza mapą znajdował się tu tylko zbiór prymitywnych wyrobów sztuki afrykańskiej i kilka akwareli, przedstawiających afrykańską faunę. Serce ciążyło jej, jakby było zrobione z ołowiu. Z niesmakiem ostatni raz spojrzała na mapę, cofnęła się o krok i... Wpadła na jakiegoś dżentelmena. Chwyciła brzegi zsuwającego się szala.

– Proszę mi wybaczyć, droga pani. – Dżentelmen uklonił się niezdarnie. – Byłem tak wzburzony tymi bzdurnymi eksponatami, że nie rozglądałem się, jak trzeba. – Szerokim gestem objął całą salę.

– Ależ to ja nie patrzyłam. – Alatheia przyjrzała się krzaczastym brwiom, dominującym na ogorzałej od słońca i wiatru twarzy. Otaczały ją siwe bokobrody. Mężczyzna miał wyblakłe, niebieskie oczy, staroświecki płaszcz i sztruksowe bryczesy, które już dawno wyszły z mody. Również sposób, w jaki stał, był niezwykle – w lekkim rozkroku, z rękoma założonymi na plecach.

Alatheia gwałtownie odwróciła się w stronę eksponatów i machnęła ręką w stronę mapy.

– Nie jest więc poprawna?

Natychmiast usłyszała ironiczną odpowiedź.

– Zupełna bzdura! Daję słowo, że nie ma nic wspólnego z prawdą.

– Był pan tam?

– Pomędzy rejsami, kiedy miałem miesiące przestoju spowodowane powodzią albo plemiennymi waśniami, razem z pewnym starym poszukiwaczem przygód wybierałem się w góry. Wiele razy przemierzyliśmy cały kontynent. – Ruchem ręki wskazał rejon, będący samym centrum zainteresowania Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota. – Ta część Afryki

niewiele jest lepsza od Wielkiej Pustyni. Sucha, pełna kurzu, nieurodzajna kraina. Ta rzeka, którą tu narysowano, w rzeczywistości nie jest większa od strugi, i to tylko w porze deszczowej.

– Pan pływa? Na statkach? – Alatheia wstrzymała oddech.

– Owszem. – Mężczyzna wyciągnął spod pachy kapelusz i machnął nim w ukłonie rodem z ubiegłego wieku. – Kapitan Aloysius Struthers do usług, madam. Kapitan statku *Dunslaw* w służbie Bentinck i Spółka.

Alatheia odetchnęła, znów głęboko zaczerpnęła tchu i wyciągnęła rękę.

– Nawet nie ma pan pojęcia, kapitanie, jak miło mi pana poznać.

Struthers wyglądał na zaskoczonego, ale odruchowo uścisnął podaną dłoń. Alatheia bezwstydnie przytrzymała jego rękę. Pospiesznie się rozejrzała.

– Usiądźmy może na tamtej ławeczce, to wszystko panu wyjaśnię. Mam kłopot związany ze Środkowo-Wschodnią Afrykańską Kompanią Złota.

W wyrazie twarzy Struthersa nastąpiła gwałtowna zmiana.

– Ten łajdak, Crowley... – Przerwał. – Proszę mi wybaczyć, madam, ale gdy pomyślę o krzywdach, jakie wyrządził ten szubrawiec, zaczyna mi się gotować krew w żyłach.

– Doprawdy? Może więc zainteresuje pana, że wspólnie z przyjacielem mamy zamiar ukarać go za ostatnie oszustwa.

Struthers podał jej ramię.

– Jestem szalenie zainteresowany rozmową z każdym, kto byłby gotowy pokrzyżować mu szyki. Ale co taka dama, jak pani, ma wspólnego z tym łajdakiem?

Wyjaśnienie wszystkiego zajęłoby trochę czasu. Alatheia zawahała się, ale w końcu zdecydowała się zdradzić, kim jest. Jeśli pragnęła pomocy Struthersa, musiała być szczera. Pokrótce opisała knowania Crowleya, a potem szczegółowo omówiła wszystkie kłamstwa, jakie dotychczas wykryli wraz z Gabrielem. Na szczęście Struthers szybko pojął całą sytuację.

– Tak... to typowy dla niego sposób postępowania. To istna pijawka. Oszukiwał mieszkańców tamtejszych kolonii na prawo i lewo. A co zrobił plemionom tubylców... – Twarz Struthersa stwardniała. – Nie będę pani raczył opowieściami o jego występkach, ale muszę powiedzieć, że jeśli ktoś zasługuje na piekło, to z pewnością jest nim Crowley.

– Muszę się z panem zgodzić. – Alatheia odsunęła od siebie myśli o własnych gorszących występkach. – Nasz problem polega jednak na tym, że musimy mieć dowód niezbicie podważający twierdzenia Crowleya. Cała nasza wiedza opiera się na faktach, które usłyszeliśmy od innych. Koniecznie potrzebny nam naoczny świadek, ktoś, kto stanie przed sędzią i potwierdzi to, czego się dowiedzieliśmy.

Mężczyzna się wyprężył.

– Kapitan Aloysius Struthers melduje się na pani rozkazy, madam. I nie tylko potwierdzę wasze słowa. Wiem, skąd wziąć dobre mapy. A jeśli po cichu trochę się porozpytyję, na pewno dowiem się czegoś więcej o rzekomych przedsięwzięciach Crowleya. Coś mi się kołacze po głowie. Nie jestem pewien, ale chyba prawa do tamtejszych złóż należą do mojego dawnego znajomego. Mogę go spytać. Przyda się każdy gwóźdź do trumny tego łotra.

Alatheia nie dyskutowała. Reakcja kapitana na Crowleya, ponure spojrzenie towarzyszące każdej wzmiance o nim, przeraziły ją bardziej niż widok samego oszusta.

Struthers zdecydowanie pokiwał głową.

– Ukaranie łajdaka będzie dla mnie zaszczytem. – Gwałtownie zwrócił się do Alatheii. – A teraz proszę mi powiedzieć, jak się z panią skontaktować, gdy zbiorę dowody?

– Przesłuchanie odbędzie się we wtorek rano... – Alatheia zaczęła szperać w torebce i wyciągnęła z niej ołówek. – W salach rozpraw w sądzie. – Jedyńm skrawkiem papieru, jaki posiadała, był bilet wstępu do muzeum. Przerwała go na pół. – Jeśli będzie pan chciał się ze mną skontaktować wcześniej, oto mój adres. – Zapisała swoje nazwisko i adres. Nie było sensu podawać danych

Gabriela: kapitan nie znał jej rycerza, który na dodatek zwykle przebywał poza domem. W tym momencie czynił szalone wysiłki, żeby od przedstawicieli władz afrykańskich w Londynie wydobyć jakieś formalne oświadczenie na temat statusu Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota. Ani on, ani ona nie mieli wielkich nadziei. Kapitan był ich jedynym wybawicielem. Gdyby musiał się z kimś porozumieć, lepiej, żeby zwrócił się do niej. Nie mogli sobie teraz pozwolić na utratę kontaktu. Wręczyła mu zapisany bilet. – A pan gdzie mieszka?

Podał jej adres pensjonatu w Clerkenwell.

– Za każdym razem, kiedy jestem w Londynie, mieszkam gdzie indziej. Rzadko zatrzymuję się na dłużej.

Alathea zapisała sobie adres i wsunęła kartkę do torebki.

– Mam nadzieję, że nie wypływa pan przed wtorkiem.

– Nieprawdopodobne – mruknął Struthers, czytając jej adres.

– No dobrze. Chyba już pójdę. – Oboje wstali. Struthers się uklonił. – Proszę się nie obawiać, madam. Aloysius Struthers pani nie zawiedzie.

Powiedziawszy to, oddalił się, ponuro kiwając głową.

Alathea patrzyła za nim przez chwilę. Poczula ulgę. Opadła z powrotem na ławkę. Pięć minut później odnalazły ją tam Mary, Alice i Augusta.

– Tak – odpowiedziała na ich pytanie. – Możemy już wracać do domu.

\* \* \*

Natychmiast po powrocie posłała informację na Brook Street. Gabriel przybył, gdy wstawali od obiadu. Alathea nie dała mu szansy na dłuższe przywitanie się z resztą rodziny i od razu zaciągnęła go do altany.

Jakby w harmonii z jej nastrojem, chmury się rozproszyły. Inni domownicy ruszyli w ich ślady i rozproszyli się na łące. Nikt jednak nie podążył za nimi do zacienionego odosobnienia w altanie.

– Mam nadzieję – rzekł Gabriel, idąc za nią po schodkach –

że zdradzisz mi, na czym polega twoje „fantastyczne odkrycie”.

– Kapitan Aloysius Struthers! – Alatheia okręciła się na pięcie i opadła na sofę. – Znalazłam go.

– Gdzie?

– W muzeum. – Z radością opowiedziała mu o spotkaniu. – I nie tylko zgodził się potwierdzić oszustwa Crowleya, ale twierdzi również, że może zdobyć dokładne mapy oraz dowiedzieć się, jaki jest stan prawny górniczych działek, które nas interesują. Będzie dla nas większą pomocą, niż myśleliśmy.

Gabriel zmarszczył czoło. Zdumiona Alatheia zapytała:

– O co chodzi?

– Ucieszę się, jeśli kapitan po prostu stanie przed sędzią. Jeśli potwierdzi nasze słowa, niczego więcej nam nie trzeba.

– Nie zaszkodzi mieć w zanadrzu parę innych argumentów.

– Czy Struthers powiedział ci, gdzie się zatrzymał?

Alatheia wyciągnęła z kieszeni złożony kawałek papieru.

– Przepisałam dla ciebie jego adres. Chcesz go odwiedzić?

Gabriel z ponurym wyrazem twarzy przeczytał adres.

– Tak. Gdyby przebywał w Surrey, pewnie bym się nie fatygował, ale w takim przypadku myślę, że ta wizyta może być rozsądnym posunięciem.

– Dlaczego?

– Trzeba go ostrzec. Jeśli zacznie węszyć w poszukiwaniu map i praw własności działek, może zaalarmować Crowleya. A Robert Crowley nie należy do przeciwników, do których można się odwracać plecami.

– Na pewno nie, ale kapitan sprawiał wrażenie człowieka, który dobrze zna Crowleya.

– Nie zawadzi z nim porozmawiać. Nic się nie stanie, jeśli podkreślę konieczność zachowania dyskrecji. – Gabriel wsunął kartkę do kieszeni, spojrzał na Alatheę i usiadł obok niej. – Chciałem też porozmawiać o jeszcze jednej sprawie.

Przesunęła się, robiąc mu miejsce, i spojrzała na niego pytająco.

– Nie wychodź nigdzie sama, dopóki nie będziemy mieli

decyzji sądu. Nie, później też nie. Dopóki się nie dowiemy, że Crowley opuścił Anglię.

– A zawsze myślałam, że to ja jestem melodramatyczna.

– Mówię poważnie. – Wziął ją za rękę. – Crowley nie jest zwykłym angielskim łotrzykiem. Respektuje jedynie prawo dżungli. Od chwili, gdy usłyszysz o naszych planach, do momentu, kiedy na powrót zaszyje się w dżungli lub jakimś innym dzikim miejscu, nie będziesz bezpieczna. – Pochwycił jej spojrzenie. – Obiecuj mi, że nigdzie nie będziesz się poruszać sama i że ograniczysz do niezbędnego minimum wszelkie wyjścia, nawet w towarzystwie. Żadnych wizyt do muzeum czy do Tower, żadnych dalszych poszukiwań. Mamy już dość, żeby pokonać Crowleya. Nie ma powodu, żebyś wystawiała się na niebezpieczeństwo.

Wybuch śmiechu skłonił oboje do spojrzenia na łąkę, gdzie Charlie i Jeremy drażnili się z siedzącymi na kocu Mary i Alice.

– Oni nie są zagrożeni. Przebywając w swoim towarzystwie, będziecie bezpieczni; Crowley nie może sobie pozwolić na to, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Gabriel przeniósł wzrok na Alatheę i ścisnął jej dłoń. – Obiecuj mi, że będziesz ostrożna.

Alathea spojrzała mu prosto w oczy. W brązowej głębi dostrzegła ponaglenie i niezwykłą łagodność.

– Będę uważać, ale jeśli...

– Nie ma żadnego „ale”. – W mgnieniu oka wszelka łagodność znikła. Jej błędny rycerz patrzył na nią niemal groźnie. – Obiecuj.

To było żądanie, a nie prośba. W odpowiedzi Alathea również spojrzała na niego groźnie.

– Będę ostrożna. Nie zrobię żadnego głupstwa. Musisz się tym zadowolić. Nigdy nie będziesz mną rządził.

Zmierzył ją twardym wzrokiem i warknął:

– Stąpasz po cienkim lodzie.

Owszem, ale co znajdowało się pod spodem? Rozpaczliwie pragnąc wreszcie poznać prawdę, Alathea spojrzała na niego z wyższością.

– Należę do siebie, a nie do ciebie.

Po dłuższej chwili Gabriel odwrócił wzrok. Gdy spojrzał na Jeremy'ego, Alice, Mary i Augustę, rysy mu stwardniały.

– Pozwolisz, że teraz ci opowiem, co się stanie, gdy wygramy sprawę przeciwko Środkowo-Wschodniej Afrykańskiej Kompanii Złota. Po pierwsze, pobierzemy się. Nie potajemnie i bez rozgłosu, ale tutaj, w Londynie, w obecności całej śmietanki towarzyskiej. Weźmiemy ślub w czerwcu, w kościele św. Jerzego. Potem będziemy dzielić nasz czas pomiędzy Londyn i Somerset. Sezon będziemy spędzać w Londynie, poza tym będziemy tu przyjeżdżać w interesach i dla rozrywki, ale na większą część roku zamieszkamy w Quiverstone Manor. Poza innymi względami stamtąd będziemy mieli baczenie na Morwellan Park, by w razie konieczności udzielić pomocy Charliemu. Ty zaś pozostaniesz blisko Jeremy'ego i Augusty. Możemy finansować wejście Augusty do towarzystwa. W Londynie będziesz miała kontakt z Mary i Esherem oraz z Alice i Carstairsem. Będziesz też miała dosyć czasu, żeby poznać tych mieszkańców Quiverstone Manor, których jeszcze nie znasz, i pomóc mamie w tysiącu spraw związanych z posiadłością, aby móc ją zastąpić, kiedy już zabraknie jej sił. Czekają też tam na ciebie Heather, Eliza i Angelica, które z radością przyjmą cię jak siostrę. Możesz spróbować oduczyć je chichotania, bo mamie dotąd nie udało się tego osiągnąć. Wschodnie skrzydło domu trzeba będzie urządzić na nowo. Nigdy nie kazałem tam niczego zmieniać poza czyszczeniem starych mebli. Nie wiem nawet, w jakim stanie jest połowa z nich, chociaż moje łóżko wydaje się dobrze służyć.

Alathea zdusiła pytanie:

– Do czego służyć?

– A gdyby ci to wszystko nie wystarczało, mam w planie wiele innych rozrywek, przynajmniej trzech synów i dowolną liczbę córek. – Odwrócił ku niej głowę i spojrzał jej w oczy. – Twoich i moich. Naszych. To nasza przyszłość.

Nie spuszczała zeń wzroku, modląc się, żeby nie dostrzegł, jak bardzo poruszyła ją ta wizja.

– Wyobraź sobie nas, siedzących na łące pod starym dębem i

obserwujących nasze bawiące się dzieci. Słyszymy ich przenikliwe głosy, śmiech, płacz. Bierzemy je na ręce, żeby je utulić, pocieszyć. Zawsze lubiłaś dzieci, zawsze chciałaś mieć ich całe stadko. Takie było twoje marzenie. Zrezygnowałaś z niego dla swojej rodziny. Ale teraz los daje ci nową szansę. – Przebiegł wzrokiem po jej twarzy, po czym, wyraźnie usatysfakcjonowany tym, co zobaczył, usiadł wygodniej i spojrzał na łąkę. – Za dobrze cię znam, żeby uwierzyć, iż po raz drugi odwrócisz się plecami od darów losu.

Jego pewność siebie zirytowała Alatheę, ale odsunęła na bok pokusę, żeby się pogniewać. Te słowa, sposób, w jaki je wypowiedział, powinny były ją zmrozić. W tym, co mówił, nie było czułości. Oto wojownik, logiczny, praktyczny, błędny rycerz, któremu powinna być głęboko wdzięczna i którego polecenia powinna przyjmować bez protestu.

Mogłaby się roześmiać, ale nie uczyniła tego. Gdyby Gabriel wykorzystał swój czar, przedstawił swoje argumenty z wdziękiem i lekkością, na jakie było go stać, upadłaby na duchu. W ten sposób postępował w sytuacjach, które specjalnie go nie dotyczyły. Tymczasem pokazał jej oblicze twarde i nieprzeniknione. Kazało jej to zastanowić się, co ukrywał.

– A co z nami? – zapytała. – Z tobą i ze mną. Razem. Jak to widzisz?

Pytanie trafiło w sedno. Powiedziało jej to gwałtowne napięcie mięśni i grymas, który na moment pojawił się na jego obliczu.

– Widzę nas w łóżku – warknął – a także w paru innych miejscach. Chcesz poznać szczegóły?

– Nie. Mam dość wyobraźni.

– A więc – rzekł łagodniejszym tonem, jakby zastanowienie się nad jej pytaniem odsłoniło mu więcej, niż oczekiwał – wyobrażam sobie, że będziemy codziennie jeździć konno. Zawsze lubiłaś jazdę konną. Nadal dużo jeździsz?

Zawahała się, po czym odparła:

– Wiele lat temu sprzedałam wszystkie konie.



Kiwnął głową.

– No więc będziemy jeździć codziennie. Uświadomiłem też sobie właśnie, że będziesz mogła mi pomagać w prowadzeniu rachunków posiadłości, dzięki czemu oboje będziemy mieli więcej czasu na przejażdżki. I w inwestowaniu, studiując najświeższe wiadomości, odsiewając plotki, sprawdzając dane z Montagem i innymi doradcami. Zarządzam majątkiem wszystkich Cynsterów. Jako amatorka świetnie zajmowałaś się posiadłościami Morwellanów, ale ja działam dużo bardziej agresywnie.

– Nie jestem szczególnie dobra w agresji.

– W takim razie będziesz mogła się zająć sprawami mniej ekspansywnymi, akcjami i kapitałem. – Wykonał szeroki ruch ręką. – Tak nas widzę.

Alathea odczekała chwilę, po czym rzekła łagodnie:

– Doskonale wiesz, że nie o to pytałam. Chciałam wiedzieć, co jest między nami.

Gwałtownie poderwał głowę i spojrzał na nią groźnie.

– Thea, przestań się opierać. Wkrótce się pobierzemy.

Wszystko, o czym mówiłem, na pewno się wydarzy. Wiesz o tym.

– Nic podobnego. Na jakiej podstawie wyobrażasz sobie, że się zgodzę na twoje warunki?

Zawahał się, po czym rzekł:

– Zgodzisz się, bo mnie kochasz.

Przerażona, poszukała spojrzeniem jego oczu. Zrozumienie, które w nich ujrzała, przeraziło ją jeszcze bardziej. *Skąd wiedział?*

– To ja decyduję o tym, czy cię Kocham, czy nie.

– Chcesz więc powiedzieć, że mnie nie Kochasz? – W jego głosie słyhać było ostrzeżenie.

– Chcę powiedzieć, że jeszcze nie podjęłam decyzji.

Parsknął zde gustowany.

– Oszukuj kogoś innego.

– Nie wiesz, czy cię Kocham, nie możesz wiedzieć!

Spojrzał jej w oczy.

– Mogę.

– Skąd?

Po krótkiej chwili oderwał od niej wzrok i skupił go na krzaku jaśminu, kwitnącym obficie wokół altany. Białe, pachnące kwiaty poruszały się na wietrze. Pochwycił gałązkę i urwał ją. Zaczął ją obracać w palcach, gładząc aksamitnie miękkie kwiaty.

– Z iloma mężczyznami się kochałaś?

Alathea zeszywniała.

– Doskonale wiesz, że...

– No właśnie – kiwnął głową, nie odrywając wzroku od jaśminu. – Tylko ze mną. Nie wiesz...

Alathea czekała. Po długiej chwili głęboko wciągnął powietrze.

– Poznaję, że mnie kochasz po sposobie, w jaki mi się oddajesz. I jaka jesteś, gdy znajdziesz się w mych ramionach.

– Ha! – Udało jej się opanować na tyle, żeby nie krzyczeć. – Ponieważ jesteś moim jedynym kochankiem...

– Powiedz mi – przerwał jej stalowym głosem – czy możesz sobie wyobrazić, że kochasz się nie ze mną, lecz z innym mężczyzną?

Nie potrafiła stworzyć w głowie takiej wizji, sam pomysł był niedorzeczny.

Tak bardzo obcy, że nagle zorientowała się, iż straciła wątek.

– Unikasz odpowiedzi. – Wielkiego wysiłku wymagało od niej oderwanie się od myśli, na które ją nakierował. Zamiast tego udało jej się zająć rozważaniem kwestii, czy Gabriel, wiedząc to, co wie, czułby się jeszcze bardziej zmuszony do rycerskiego zachowania i poślubienia jej. Ogarnęła ją nowa fala emocji, mieszanina nadziei i zawodu. Nadziei, że powodem jego obronnej postawy było serce, równie wrażliwe jak jej. Zawodu, że nie odsłonił się na tyle, by mogła poznać prawdę.

Miała ochotę zacisnąć pięści, mocno zamknąć oczy i tupiąc nogami, zażądać, żeby powiedział jej prawdę. Zamiast tego oświadczyła:

– Nie wyjdę za ciebie za mąż, dopóki mi nie powiesz, czemu chcesz mnie poślubić, i nie dasz słowa, że podałeś mi wszystkie, absolutnie wszystkie powody.

Ci, którzy uważali go za uosobienie cywilizowanego dżentelmena, nigdy by go nie rozpoznali w tym dzikim, prymitywnym wojowniku. Na szczęście stoczyła z nim już tyle potyczek, że się nie przestraszyła.

– Dlaczego?

Powietrze zadrżało od tego jednego słowa, pełnego namiętności – gniewu, zawodu i ledwo kontrolowanej żądy.

Alathea nawet nie mrugnęła.

– Bo muszę wiedzieć.

– Nie uważasz, że zmarnowaliśmy już za wiele lat?

Rzucił jej gałązkę jaśminu na kolana, odwrócił się i odszedł.

Alathea pozostała, w myślach powtarzając sobie ich wymianę zdań i zastanawiając się, czy miałyby szansę osiągnąć więcej, gdyby powiedziała coś innego czy zachowała się inaczej.

Po godzinie podniosła gałązkę jaśminu i wciągnęła ciężki zapach. Skoncentrowała się na gałązce i z szyderczym grymasem zatknęła ją sobie za dekolt.

Na szczęście.

Zagrała z losem o przyszłość swoich sióstr i wygrała. Dziś walczyła o swoją przyszłość. Czy powiedziała mu, że nie jest agresywna? Dziś zaryzykowała i postawiła wszystko na jedną kartę.

Zrobiłaby to ponownie, bez chwili wahania.

Z westchnieniem wstała i ruszyła w stronę domu.

## Rozdział 19

W sobotę wieczorem Gabriel sam otworzył sobie drzwi kluczem. Kiedy je zamykał za sobą, w holu zmaterializował się Chance.

Gabriel podał mu laskę i kapelusz.

– Czy jest brandy w saloniku?

– Oczywiście, sir.

Gabriel machnął ręką, żeby go odprawić.

– Dziś wieczorem już niczego nie będę potrzebował. – Zatrzymał się z ręką na klamce. – Jeszcze tylko jedna rzecz. Czy Folwell przyniósł swój raport?

– Tak, sir. Leży na półce nad kominkiem.

– Dobrze.

Po wejściu do saloniku Gabriel zamknął za sobą drzwi i skierował się prosto do barku. Nalał sobie brandy na dwa palce, po czym, ze szklaneczką w ręce, wziął z półki list Folwella i zagłębił się w ulubionym fotelu. Nie odrywając wzroku od notatki, upił duży łyk trunku. Po chwili odstawił na boczny stolik szklaneczkę z brandy, odłożył raport i zasłonił oczy rękami.

Boże, ależ był zmęczony. W ciągu ostatniego tygodnia, poza czasem spędzonym z Alatheą i paroma godzinami niespokojnego snu, każdą chwilę poświęcił na próby wydobycia oficjalnych oświadczeń od kilkudziesięciu urzędników i pracowników zagranicznych ambasad. Bezskutecznie. I nie dlatego, żeby dżentelmeni, z którymi miał do czynienia, byli nieżyczliwi, tylko tak po prostu funkcjonowała biurokracja. Wszystko musiało być wielokrotnie sprawdzone, a następnie potwierdzone przez kogoś innego. Wyglądało na to, że czas w urzędach i ambasadach mierzony był w innej skali niż w pozostałych miejscach na świecie.

Gabriel głęboko westchnął, wyciągnął przed siebie nogi i rozparł się w fotelu. To nie klęska poniesiona w konfrontacji z urzędami najbardziej go martwiła.

Po południu złożył wizytę kapitanowi Struthersowi. Nawet

na podstawie krótkiej rozmowy było jasne, że kapitan istotnie jest ich wybawicielem. Nawet przy braku innych dowodów niż te, które już posiadali, jego świadectwo skłoniłoby nawet najbardziej powściągliwego sędziego do wydania szybkiego i korzystnego dla nich wyroku. Problem polegał na tym, że kapitan otwarcie wyruszył na krucjatę. Zdołał już skontaktować się ze swoimi znajomymi w sprawie map i prawa własności działek górniczych.

Gabriel nie był przekonany, czy jest to najlepszy sposób zaciśnięcia pętli na szyi Crowleya. Dyskrecja wydawałaby się bardziej wskazana.

Spędził ponad pół godziny, usiłując skłonić Struthersa do ostrożności, ale żeglarz nie chciał go słuchać. Był opętany chęcią doprowadzenia Crowleya do upadku. W końcu Gabriel pogodził się z tym i wyszedł, starając się zagłuszyć przeczucie niebezpieczeństwa, które dźwięczało mu w głowie.

Jeśli tylko Struthers pojawi się we wtorek w sądzie, wszystko będzie dobrze. Jednak do tego czasu będzie miał nerwy napięte do granicy wytrzymałości. Jeden fałszywy krok...

Otworzył oczy, wyprostował się, sięgnął po brandy i zaczął ją saczyć. Nic więcej nie mógł dzisiaj zrobić, żeby podeprzeć wniosek Morwellanów. Jednak był już najwyższy czas, żeby zająć się drugą sprawą, którą miał przed sobą.

Był tchórzem.

Trudno było Cynsterowi się z tym pogodzić, ale musiał. Alatheia nie dała mu wyboru.

Nie widział jej od wczorajszego popołudnia, od czasu spotkania w altanie. Naprawdę nie chciał jej widzieć, dopóki nie postanowi, co robić, jak odpowiedzieć na jej ultimatum. Spowodowała, że poczuł się... tak prymitywnie... odarty z całej elegancji i towarzyskiej ogłady. Przy niej czuł się jak jaskiniowiec, który nagle odkrył na ziemi raj, jakiego nie potrafi zdobyć, wymachując maczugą. Odmalował szczegóły ich przyszłego życia, zamierzając skłonić ją do przyznania, że będzie wspaniale, chciał jej pokazać, jak łatwo ich drogi splecą się ze sobą. Jednak zamiast tego nagle do niego dotarło, jak rozpaczliwie on sam pragnął tego

wszystkiego, co opisywał.

Nigdy wcześniej nie analizował szczegółów. Wiedział, że jej pragnie za żonę, i to mu wystarczało. Ale gdy wyczarował wizję wspólnego życia w całej okazałości, ta wizja zaczęła go prześladować.

Czy miał zaryzykować tę wspaniałą przyszłość, która powinna być ich udziałem, tylko dlatego, że nie potrafił znaleźć słów, by wyznać jej to, co chciała wiedzieć? Na samą myśl o tym, co Alatheia naprawdę sądziła, głos wiązał mu w gardle i tracił mowę.

Ale nie istniały słowa, żeby opisać, kim była dla niego, więc jak mógł jej to przekazać?

Upił łyk trunku i zaczął analizować sprawę. Musiał jej dać odpowiedź, i to szybko. Cierpliwość nigdy nie była jego mocną stroną, a już zwłaszcza cierpliwość stowarzyszona z abstynencją była kompletnie obca jego naturze. Wytrzymał bez Alatheii ponad tydzień i zapas cierpliwości wyraźnie się wyczerpywał. Na pewno nie zamierzał pozwolić, by po zakończeniu sprawy sądowej wymknęła się z powrotem na wieś. Gdyby to uczyniła, musiałby podążyć tam za nią, co byłoby jasną wskazówką dla i tak wykazującej zbyt wielkie zainteresowanie śmietanki towarzyskiej.

Nie. Musiał z nią porozmawiać przed wtorkiem. Bóg jedyny wiedział, co może się wydarzyć później, bez względu na to, czy Struthers stawia się przed sędzią, czy też nie. Gdyby jakimś piekielnym zrządzeniem losu sprawy potoczyły się źle i zapadł niekorzystny dla nich wyrok... Gdyby czekał do tego czasu, żeby zebrać się na odwagę i przemówić, mogłoby mu zająć wieczność przekonywanie Alatheii, że nie chodzi wyłącznie o zapewnienie jej ochrony. Prawdopodobnie zanim by mu się to udało, oszalałby. Należało uderzyć teraz, gdy ich argumenty w sprawie przeciwko Crowleyowi wyglądały na bardzo mocne. Nie żałował, że ma wobec niej instynkt opiekuńczy, nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby za niego przeproszać, wiedział jednak, iż w tym przypadku będzie mu to przeszkadzać.

Jak więc przed wtorkowym porankiem miał powiedzieć

Alathei to, co chciała wiedzieć?

Nie potrafił sobie wyobrazić, że po prostu złoży jej przed południem oficjalną wizytę, zaś próba porozmawiania z nią w parku byłaby szaleństwem. Sięgnął po notatki Folwella i przejrzał plan zajęć Alathei. Tak jak podejrzewał, następnym razem powinni się niechybnie spotkać na jutrzejszym balu u lorda Marlborough.

A następnego dnia rano spotkają się w sądzie.

W jaki sposób, pomiędzy dzisiejszym wieczorem a terminem rozprawy, miał się oświadczyć i, co gorsza, wyznać swoje uczucia?

\* \* \*

– Crisp, przyślij do mnie Nellie. Powinam się już zacząć szykować.

– Oczywiście, lady Alatheo. Wydaje mi się, że Nellie jest z Figgs. Natychmiast jej powiem. – Crisp zniknął za zieloną kotarą zawieszoną w drzwiach.

Alathea wspięła się po schodach, uparcie ignorując ciągnącą huśtawkę emocjonalną. Czuła graniczącą z lekkomyślnością, niemal histeryczną ulgę, że miecz, który od tyłu miesiący wisiał nad głowami jej najbliższych, wreszcie został usunięty. Zeznania kapitana Struthersa przypieczętują wyrok przeciwko Ranaldowi Crowleyowi. Były chwile, gdy musiała się bardzo skupić, aby opanować beztroski uśmiech, który pojawiał się na jej twarzy.

Wspomniała ojcu i Serenie, że sprawy zaczęły przyjmować korzystny obrót. Żeby nie zapeszyć, nie zapewniła ich, iż w końcu rodzina jest bezpieczna. Powie im to później, w chwili gdy sędzia wręczy im wyrok.

Ale byli bezpieczni. W głębi serca czuła taką pewność.

Na nieszczęście jej serce było zaangażowane gdzie indziej i wcale nieskore do cieszenia się wraz z nią. Serce Alathei trafił problem, który, ku jej ogromnemu zaskoczeniu, zaczął dla niej znaczyć więcej niż szczęście rodziny. Było jej ciężko. Czuła się niespełniona.

Dotarłszy do szczytu schodów, puściła brzeg sukni i westchnęła głęboko.

Co zamierzał Gabriel?

Nie widziała go i nic o nim nie słyszała od czasu, gdy pozostawił ją w altanie. W uszach stale dźwięczały jej wymówione szorstkim głosem słowa: „Nie uważasz, że zmarnowaliśmy już za wiele lat?”. Co teraz? Czy wyobrażał sobie, że zmiękała i potulnie mu się podporządkuje?

Zacisnęła usta i podążyła korytarzem do swojego pokoju. Za plecami słyszała kroki Nellie.

– Chcę założyć tę suknię w kolorze kości słoniowej, ze złotym haftem, którą chowałam na specjalne okazje.

– Och! – zawołała Nellie, pędząc ku szafie. – A cóż to za specjalna okazja?

Alathea usiadła przed toaletką. W lustrze ujrzała wojowniczy błysk w swoich oczach.

– Jeszcze nie wiem.

Nie zrobi tego, nie podda się. Będzie twarda, uparta i całkowicie zdecydowana. Wszystko wskazywało na to, że dotąd to ona ponosiła wszelkie ryzyko, żądając od niego podania motywów postępowania, z naiwną szczerością pozwalając odczytywać swoje. Nadszedł czas, żeby to on powiedział jej prawdę.

Pukanie do drzwi oznaczało, że przyniesiono wodę do kąpieli. Podczas gdy Nellie nadzorowała przygotowania, Alathea rozpuściła i wyszczotkowała włosy, po czym związała je w prosty węzeł. Gdy podeszła Nellie po sól do kąpieli, Alathea mruknęła:

– Nie, nie to. Francuską.

Nellie uniosła brwi, lecz pospieszyła do szafki, gdzie został schowany ekskluzywny prezent od Sereny. Po chwili bogaty zapach, przypominający woń perfum hrabiny, nappełnił cały pokój.

Twarz Nellie się rozjaśniła. Bez dodatkowych dyrektyw zebrała wszystkie narzędzia, potrzebne do nadania Alathei pełni blasku i uwodzicielskiej urody.

Minęła niemal godzina, nim były gotowe. Zakładając złocisty kapelusik, Alathea bacznie przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze, próbując widzieć siebie jego oczami. Jej włosy błyszcząły, szeroko otwarte oczy patrzyły jasno. Nigdy dotąd nie zwróciła uwagi na to,



że ma cerę bez skazy. Minione lata wymazały wszelkie ślady młodości z jej twarzy i figury, ostrząc je i modelując. Delikatnie przyłożyła palce do warg i się uśmiechnęła. Szybko omiotła wzrokiem swoje ramiona i dekolt, odsłonięte przez wspaniałą suknię, do której zakupu zmusiła ją Serena jeszcze na początku sezonu.

Alathea wstała. Jedwabna suknia z szelestem rozprostowała się, a złoty haft wokół dekoltu i obrzeża spódnicy rozbłysnął. Cofnęła się i wykonała obrót, uważnie badając swój wygląd, sposób, w jaki suknia opływała biodra. W jej oczach błyszczało zdecydowanie.

Następny krok powinien należeć do Gabriela, zwłaszcza że tak łatwo przyszło mu składać deklaracje w jej imieniu. Nie robi następnego kroku. Gabriel będzie musiał przekonać ją całkowicie, dogłębnie, żeby nie miała cienia wątpliwości...

– Proszę! – Nellie podbiegła do drzwi wezwana pukaniem. – Proszę spojrzeć, co nadeszło!

Nellie z czcią trzymała w ręce białe, pozłacane pudełko i z zachwytem przyglądała się jego zawartości. Uśmiechnęła się promiennie do Alathei.

– To dla pani! Jest jeszcze liścik!

Alathei zadrżało serce i coś opasało jej płuca. Opadła z powrotem na stołek przed toaletką. Gdy Nellie zbliżyła się z przesyłką, Alathea pojęła przyczynę jej zachwyty. Pudełko nie było białe. Zrobione zostało ze szkła i wyłożone białym jedwabiem. Również złociste ozdoby nie były malowane farbą, lecz wykonane z czystego złota.

Alathea wzięła to małe arcydzieło od Nellie. Trudno jej było sobie wyobrazić coś bardziej wyszukanego. Co też mogło zawierać? Nie musiała otwierać pudełka, żeby się przekonać. Przykrywka nie była wysłana jedwabiem. Przez szkło zobaczyła prostą wiązanę.

Owszem, wiązanka była prosta, ale niezwykle pasowała do luksusowego opakowania. Pięć białych kwiatów, jakich nigdy jeszcze nie widziała, przewiązanych było wstążką wyszywaną

złotą nicią. Wiązanka spoczywała na białym jedwabiu, zasłaniając częściowo bilecik. Grube, mięsiste, aksamitne płatki kwiatów pozostawały w jaskrawym kontraście do intensywnie zielonych łodyżek.

Była to najbardziej wyszukana, najdroższa i najbardziej ekstrawagancka wiązanka, jaką Alathej zdarzyło się widzieć.

Położyła ją na toalecie. Kiedy ją wyjęła, owionął ją ciężki, zmysłowy zapach. Ostrożnie wsunęła dłoń pod kwiaty, uniosła je i odłożyła z boku. Potem sięgnęła po liścik. Treść była bardzo prosta – jedna linijka tekstu, zakreślona zuchwałą, agresywną dłonią Gabriela.

*Masz moje serce – nie złam go.*

Przeczytała notatkę trzykrotnie i nadal nie mogła oderwać od niej oczu. Nagle jej spojrzenie się zamgliło. Zamrugęła. Ręce zaczęły jej się trząść. Szybko złożyła bilecik i odłożyła na bok.

Po czym skupiła się na zaczerpnięciu następnego oddechu.

– O Boże – udało jej się w końcu wypowiedzieć drżącym głosem. Mrugając gwałtownie, patrzyła na kwiaty. – Wielkie nieba! I co mam teraz zrobić?

– Po prostu je przyjąć. Muszę przyznać, że są bardzo ładne.

– Nie, Nellie, nic nie rozumiesz. – Alatheja przyłożyła dłonie do policzków. – Jakie to do niego podobne, żeby wszystko skomplikować!

– Do kogo? Do pana Ruperta?

– Tak, do Gabriela. Tak się teraz każe nazywać.

Nellie parsknęła.

– Cóż, nie pojmuję, dlaczego nie może pani przyjąć od niego kwiatów, nawet jeśli teraz używa innego imienia.

Alatheja stłumiła wybuch śmiechu.

– Nie chodzi o jego imię, Nellie. Chodzi o mnie. Nie mogę mieć dziewczęcej wiązanki, jak na pierwszy bal.

Oczywiście świetnie sobie z tego zdawał sprawę. Wiedział, że nigdy nie miała swojego pierwszego balu, nigdy nie dostała takiej wiązanki, nigdy nie miała po temu okazji.

– Niech go diabli! – Miała ochotę płakać ze szczęścia. – Co mam zrobić? – Jeszcze nigdy nie czuła się taka podniecona. Chciała złapać kwiaty, wybiec przez drzwi i popędzić na bal jak młoda dziewczyna, żeby pokazać swojemu ukochanemu, że rozumiała. Ale...

– Plotkarze z towarzystwa i tak mają nas już na oku. – Jeśli będzie miała ze sobą wiązanekę, znajdzie się na wszystkich językach. Do końca wieczoru. A może nawet przez cały sezon.

– Może mogę je przypiąć do sukni? – Spróbowała, przykładając kwiaty na różne sposoby, po prawej, po lewej stronie, pośrodku dekoltu.

– Nie. – Westchnęła. – Nie pasują. – Jeden kwiat nie wystarczał przy bogato haftowanej sukni, ale pęk byłby za duży. Spędzenie całego wieczoru z kwiatami tak demonstracyjnie umieszczonymi na sukni uważała za niemożliwe. Nigdy nie udałooby się jej zachować opanowania.

– Nie mogę. – Przestraszona patrzyła na piękną wiązanekę, którą jej rycerz przysłał jako dar serca. Ogromnie chciała wziąć ją ze sobą, ale nie śmiała. – Nellie, przynieś wazon.

Nellie mruknęła coś z dezaprobatą i wyszła.

Alathea pozwoliła uczuciom, by nią zawładnęły. Potem usłyszała głosy Mary i Alice. Zamrugła gwałtownie, pociągnęła nosem, delikatnie odłożyła wiązanekę z powrotem do pudełka i odsunęła je na brzeg toaletki. Półprzytomnie dokończyła toaletę, zapinając na szyi perły matki, zakładając kolczyki i skrapiając się perfumami hrabiny.

– Allie, jesteś gotowa?

– Tak, już idę! – Wstała. W głowie miała zamęt. Spojrzała na spoczywające w delikatnym pudełku kwiaty, westchnęła, po czym wzięła torebkę i się odwróciła.

– Pospiesz się! Powóz już czeka!

– Idę! – W progu Alathea się zatrzymała. Z ręką na kłamce obejrzała się na delikatne pudełko, w którym Gabriel przesłał jej swoje serce.

Przeniosła wzrok na swoje odbicie w wiszącym w głębi

lustrze.

Zatrzymała się przy stoliku i wzięła do ręki bilecik Gabriela. Przeczytała go ponownie i znów zerknęła na swe odbicie. Usta wygięły jej się w uśmiechu. Wsunęła liścik do szkatułki z biżuterią i podniosła rękę do kapelusika.

Wystarczyła chwila, żeby wyjąć szpilki z włosów. Alathea zignorowała chór wzywających ją głosów, dobiegających z korytarza. Tym razem jej rodzina mogła poczekać. Odłożyła na bok kapelusik. Obwiązała wstążką mocno spleciony kok na czubku głowy, zawiązała supełek, a luźne końce wstążki wplątała w swobodnie opadające loki. Drżącymi palcami wyjęła z wiązanki trzy cudowne kwiaty. Wkładając je we włosy i przypinając spinkami, uśmiechała się.

Nellie wpadła do pokoju z wazonem w rękach i zatrzymała się gwałtownie.

– Ojej! No, no! Tak jest o wiele lepiej!

– Włóż pozostałe do wody. Muszę pędzić. – Alathea okręciła się na pięcie, uścisnęła Nellie za ramię i bez tchu pobiegła ku drzwiom.

Z uniesionymi wysoko brwiami Nellie przyglądała się swojej pani, po czym z szerokim uśmiechem podeszła do toaletki. Wstawiła pozostałe dwa kwiaty do wody i ostrożnie przeniosła wazon na stoliczek przy łóżku. Wytarła ręce i zabrała się do sprzątnięcia z toaletki grzebieni i szczotek Alathei. Już miała odejść, gdy jej uwagę przykuł bilecik, wystający ze szkatułki na biżuterię.

Nellie zerknęła na drzwi, po czym uniosła wieczko i wyjęła liścik. Rozłożyła go, przeczytała, a następnie złożyła i włożyła z powrotem na miejsce. Roześmiała się zadowolona.

– Nadajesz się, chłopcze. Bardzo się nadajesz.

\* \* \*

Gabriel dostrzegł swoje kwiaty we włosach Alathei, gdy tylko pojawiła się w drzwiach prowadzących na salę balową w domu lady Marlborough. Poraził go ten widok; radość, ulga i jakieś znacznie głębsze uczucie ścisnęło go za serce. Wraz ze

swoją rodziną zatrzymała się na szczycie schodów i spojrzała z góry na salę balową, ale nie zauważyła go od razu. Gdy powoli schodziła po schodach, trzymając rękę na poręczy, Gabriel nie spuszczał z niej wzroku.

Nagle go zobaczyła.

Wstrzymał oddech i zaczął iść w jej kierunku. Zbliżał się do niej, nie spuszczać oczu z jej twarzy. Szedł przez tłum, lecz nie dostrzegał mijanych ludzi. Dotarł do podnóża schodów przed Alatheą. Pokonała kilka ostatnich stopni, patrząc mu prosto w oczy. Zatrzymała się i przechyliła głowę tak, żeby mógł przyjrzeć się kwiatom.

– Nie mogłam zabrać ze sobą wiązanki. Rozumiesz?

Ogarnęło go uczucie triumfu, które niemal powaliło go na kolana.

– Twoje rozwiązanie jest bardzo inspirujące. – Wziął ją za rękę i nie bacząc na to, czy ktoś patrzy, uniósł do ust. Nie odrywał od niej spojrzenia. – Witam.

Więzieli jakąś magiczną siłą, zatopili w sobie spojrzenia. Stali tak blisko siebie, że słyszeli nawzajem swoje oddechy, bicie serca. Żadne z nich nie potrafiło przywołać na twarz uśmiechu.

– W samą porę, ale ruszcie się stąd! Chciałabym usiąść na tamtym krześle.

Alathea drgnęła i się odwróciła. Gabriel spojrzał prosto w czarne oczy lady Osbaldestone. Dama uśmiechnęła się szatańsko i stuknęła go w ramię.

– Nie będę wam przeszkadzać w waszym dążeniu do wpadnięcia w ręce wikarego, ale zejście mi z drogi!

Przesunęli się. Lady Osbaldestone minęła ich i wmieszała się w tłum. Alathea ujęła Gabriela pod ramię.

– Lepiej zrobimy, co mówiła.

Poprowadził ją przez gęstniejący tłum gości.

– Spóźniliśmy się – mruknęła Alathea. – Tylko parę minut, ale przez to znaleźliśmy się na końcu kolejki powozów podjeżdżających pod dom lorda Marlborough...

– Zaczynałem się martwić, czy coś się stało...

Stało się.

– Wiesz, nigdy bym się nie spodziewała od ciebie kwiatów. Nic więcej nie powiedziała. Mięśnie pod jej ręką się napięły.

– Do kwiatów dołączony był bilecik...

Alathea zwróciła ku niemu roześmiany wzrok.

– Wiem. Przeczytałam go.

– Zrozumiałś notkę?

W jego tonie wyczuwała niepewność i ogromną wrażliwość.

Twarz Alathej złagodniała.

– Oczywiście, że zrozumiałam.

– Nie zapominaj o tym. Nawet jeśli nigdy więcej nie zobaczysz tych wyrazów na papierze, zawsze pozostaną prawdziwe. Nie zapominaj.

– Nie zapomnę. Nigdy.

Pełen gwaru ścisk wokół nich zelżał. Przez chwilę pozostali jeszcze w tym świecie, gdzie istnieli tylko oni. Potem Alathea uśmiechnęła się łagodnie, uściśnęła ramię Gabriela i przywróciła ich oboje do rzeczywistości. Rozejrzała się.

– Mogłeś wybrać bardziej czarowny wieczór na swoje oświadczenia.

Gabriel westchnął i zaczęli się przechadzać.

– Do tej pory nasza wzajemna fascynacja, całe nasze splecione ze sobą losy zależne były od okoliczności. Czekam na chwilę, żeby przejąć ster.

– Naprawdę? – Alathea z godnością wymieniła ukłony z lady Cowper. – Czy mogę zasugerować, żebyś dopuścił mnie do tego steru?

– Pomyślę o tym.

Nie napotkali nikogo z rodziny Gabriela czy Alathej.

– To śmieszne – stwierdziła, gdy napór tłumu zmusił ich do zatrzymania się. – Dzięki Bogu pozostało już tylko parę tygodni.

– Mówiąc o upływającym czasie, czy Struthers kontaktował się z tobą? – Gabriel poruszył nieunikniony temat, odciągając ją z dala od tłumu paradujących gości do miejsca, gdzie mogli stanąć i porozmawiać w znośnych warunkach.

– Nie. Czemu pytasz? Myślałam, że go odwiedzisz.  
– Zrobiłem to. Podałem mu swój adres na wypadek, gdyby potrzebował pomocy, ale nie odezwał się.  
– No cóż – rzekła Alatheia, wzruszając ramionami. – Pewnie oznacza to, że wszystko jest w porządku i że zobaczymy go jutro w sądzie. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. – Dobry wieczór, lordzie Falworth.

Falworth ujął podaną dłoń i skinął głową. Gabriel zaklął w duchu. W ciągu paru minut otoczył ich wianuszek jej wielbicieli. Musieli ją znaleźć, wypatrując Gabriela, był bowiem tak wysoki, że wyśledzenie go w tłumie nie stanowiło problemu. Lord Montgomery zaczął coś nudno opowiadać, Falworth i pozostali usiłowali się wtrącić i skierować rozmowę na ciekawsze dla nich tematy. Alatheia, z miłym uśmiechem, udawała, że śledzi konwersację, kiwając głową i mrucząc coś w odpowiednich momentach.

Przy pierwszym walcu będzie znów jego. Na nieszczęście lady Marlborough, należąca do starszego pokolenia, zaplanowała mnóstwo kotylionów, a nawet kadryla pomiędzy innymi tańcami. Musiał więc trochę poczekać na swojego walca.

Tymczasem zaś...

– Droga lady Alatheo, bardzo proszę o zaszczyt zatańczenia z panią tego tańca. – Montgomery zgiął się w ukłonie.

Pan Simpkins spojrzał na lorda z nieukrywaną antypatią.

– Lady Alatheo, wystarczy jedno pani słowo. Będę zaszczycony, mogąc pani partnerować. – Ukłon Simpkinsa był zredukowany do granic.

Alatheia uśmiechnęła się do wszystkich dżentelmenów, na samym końcu muskając spojrzeniem Gabriela.

– Obawiam się, panowie – powiedziała, odwracając się do wianuszka swoich adoratorów – że dziś wieczorem nie będę tańczyła.

Wszyscy usłyszeli jej oświadczenie. Wszyscy dostrzegli też szybką wymianę spojrzeń. Teraz zaczęli się zastanawiać.

– Ach. – Lord Montgomery starał się nie patrzeć na Gabriela.

– Czy wolno mi spytać...

Alathea machnęła ręką w stronę tłumu.

– Przy panującym tu ścisku trudno sobie nawet wyobrazić przedarcie się na parkiet. – Znów obdarzyła ich słodkim uśmiechem. – Wolę cieszyć się rozmową z wami i – przeniosła spojrzenie na Gabriela – oszczędzać siły na walca.

Z nieporuszoną twarzą popatrzył jej w oczy, po czym arogancko uniósł brwi. Jeśli jej adoratorzy dotychczas nie odczytali właściwie przekazu, to ta naładowana jawną zmysłowością chwila powinna otworzyć im oczy. Drzemiący w nim wojownik ryknął triumfalnie. Prymitywna strona jego natury syciła się jej gestem, jednocześnie jednak gest ten osłabiał cienką powłokę, jaka chroniła przed światem jego uczucia.

Czy teraz, gdy Alathea publicznie przyznała, że należy do niego, mógł uważać, iż jego żądza posiadania została zaspokojona, i rozluźnić się w poczuciu triumfu? Niestety, wcale nie czuł się zrelaksowany. Alathea powróciła do rozmowy z Falworthem, ignorując niezbyt przekonane spojrzenia Montgomery'ego i Simpkinsa. Gabriel spróbował stanąć swobodnie u jej boku i nie myśleć o tym, co teraz wolałby z nią robić.

Obie te rzeczy okazały się niemożliwe. Alathea miała rację. Wypełniony po brzegi dom lady Marlborough nie był najlepszym miejscem na to, czego pragnął. A znalezienie pustego pokoju było po prostu niemożliwe. Czy istniał jakiś sposób, żeby choć na godzinę zostali sami? Puszczając mimo uszu toczące się wokół rozmowy, zaczął rozważać wszystkie możliwości, po kolei odrzucając każdą z nich. Po kryjomu zerknął na nią. Gdy tylko Alathei i jej rodzinie przestanie zagrażać Crowley, będzie musiał ją porwać, przynajmniej na kilka godzin. Wystarczy, żeby nasycić drzemiącą w nim bestię.

Rozmyślenia o tym, w jaki sposób zaspokoi swoje rozpalone żądze, wcale nie pomogły mu ich ukoić. Zacisnąwszy zęby, skierował myśli na inne tory.

Struthers.

Rano posłał do wilka morskiego Chance'a, żeby zaoferować



pomoc. Kapitan, jak można się było spodziewać, odesłał Chance'a z szorstką, choć uprzejmą odmową. Chance, trzymając się otrzymanych poleceń, obserwował gospodę przy Clerkenwell Road. Kapitan opuścił ją późnym popołudniem i wyruszył w stronę miasta. Potem skierował się do doków. Chance wiernie go śledził, czego nauczył się w swoim poprzednim życiu, ale kapitan musiał wyczuć, że ktoś za nim podąża. Wszedł do tawerny i zniknął. Chance przeszukał trzy ulice, na które można było wyjść stamtąd, ale wilk morski zapadł się pod ziemię. Chance, pokonany, powrócił z raportem na Brook Street.

Skoro kapitan był na tyle szczwany, że potrafił się zgubić, to mógł sam się o siebie zatroszczyć. Najpewniej. Gabriela nie opuszczało jednak przecucie niebezpieczeństwa, które go ogarnęło już podczas pierwszego spotkania z kapitanem.

Poruszył się i spojrzał na Alatheę. Przynajmniej ona była bezpieczna. No, może w jej pojęciu nie całkowicie, bo nic nie chroniło jej przed nim. Popatrzył na jej włosy, na dar, który jej przesłał i dzięki któremu ostatecznie zdobył to, co od wielu lat usiłował osiągnąć. Miał dość jej przeklętych nakryć głowy. Już nigdy więcej nie włoży na głowę niczego takiego.

Wszystko to potęgowało jego napięcie, wzbierającą niczym fala niecierpliwość, rosnące podniecenie, których w żaden sposób nie mógł teraz rozładować. Wciągnął do płuc powietrze, nagle uświadamiając sobie, że jest na granicy wytrzymałości. Popatrzył na otaczających ich dżentelmenów; żaden z nich nie stanowił dla niej takiego zagrożenia jak on sam.

Wyprostował się, przesunął bliżej, aż nadto świadom prowokacyjnego zapachu perfum hrabiny, łagodnie promieniującego od jej ciepłego ciała. Na myśl o tym, jak bardzo wzmacni się ten zapach, gdy jej skórę rozpali namiętność, zacisnął pięść.

Ryzykowanie sceny w tym momencie nie miałyby sensu.

Nagły wybuch śmiechu, dobiegający od strony stojącej nieopodal grupki, skłonił otaczający Alatheę wianuszek wielbicieli do odwrócenia się w tamtym kierunku. Wykorzystał tę okazję,

żeby dotknąć nagiej ręki Alathej tuż ponad rękawiczką.

Przeniknęło go dogłębne zrozumienie. Alatheę też. Widać je było w szeroko otwartych oczach, którymi na niego spojrzała.

– Co? – zapytała, jakby zabrakło jej tchu. Była równie oszołomiona jak on.

– Powinienem się trochę pokręcić po sali. Wrócę, gdy będą grali pierwszego walca.

Przeniosła spojrzenie na jego usta. Znajdowali się tak blisko siebie, że czuli nawzajem swoje oddechy. Zwilżyła wargi.

– Może... – wyszeptała – ...może tak będzie rozsądnie.

Gabriel skinął głową. Udało mu się odwrócić od niej. Alatheia patrzyła, jak się oddalał, po czym, wzdychając w duchu, zainteresowała się kręgiem wielbicieli, którzy ponownie odwrócili się do niej, gdy tylko pobliski wybuch śmiechu ucichł. Odejście Gabriela sprawiło jej ulgę, czuła bowiem jego tłumione napięcie. Mimo że teraz wiedziała dokładnie, czym naprawdę jest ono spowodowane, nie była wcale dzięki temu spokojniejsza. Dużo bardziej wolałaby pozbyć się swoich adoratorów, wymknąć wraz z Gabrielem i uczynić wszystko, żeby mu ulżyć.

Z przyklejonym do twarzy uśmiechem zachęcała młodych dżentelmenów, żeby ją zabawiali. Ale robiła to bez szczerego zaangażowania. Kiedy przepchał się do niej jeden z lokajów ze złożonym liścikiem na tacy, załomotało jej serce. Jej pierwszą myślą było, że oto jej rycerz znalazł jakiś zaciszny kąć i wzywa ją do siebie.

Prawda była bardziej niepokojąca.

*Droga lady Alatheo!*

*Zdobyłem nie tylko wszystkie informacje, które chciałem, ale znacznie więcej. Mam dość dowodów, żeby pokrzyżować szyki Crowleyowi, ale zostałem wezwany na statek i wypływam na morze jutro skoro świt. Musi pani natychmiast przyjechać, żebym mógł osobiście wyjaśnić pani niektóre szczegóły dotyczące map i dokumentów. Zaś z punktu widzenia powodzenia pani sprawy, byłoby niezwykle ważne, żebym złożył przy świadkach*

*oświadczenie, podpisał je i przekazał w pani ręce.*

*Bardzo proszę, żeby pani przybyła niezwłocznie, bo muszę wypłynąć na morze, gdy tylko rozpocznie się odpływ. Proszę być dobrej myśli, milady, koniec jest już blisko. Wszelkie potrzebne dokumenty niedługo znajdą się w pani rękach i będzie pani mogła posłać Crowleya do diabła.*

*Pozwalam sobie przysłać po panią powóz. Może pani w pełni ufać moim ludziom, którzy po panią przyjechali, dobrze wiedzą, gdzie mają panią zawieźć. Ale musi pani przyjechać natychmiast, bo inaczej wszystko może przepaść!*

*Pani uniżony sługa,*

*kapitan Aloysius Struthers*

Alathea uniosła wzrok. Zwróciła się do lokaja:

– Czy czeka na mnie powóz?

– Tak, milady. Powóz i kilku... ludzi.

Prawdopodobnie byli to marynarze. Alathea skinęła głową.

– Powiedz im, że zaraz do nich przyjdę.

Lokaj był zbyt dobrze wyszkolony, żeby okazać zdziwienie.

Uklonił się i wycofał, by mogła się pożegnać. Alathea dotknęła ramienia Falwortha i uśmiechnęła się do lorda Montgomery'ego, lorda Coleburna i pana Simpkinsa.

– Panowie, obawiam się, że muszę was opuścić. Wzywana jestem pilnie do chorego krewnego.

Wymruczeli jakieś słowa współczucia, choć Alathea wątpiła, czy jej uwierzyli. Skłoniła głowę i opuściła ich. Idąc przez tłum, rozglądała się w poszukiwaniu Gabriela. Nigdzie jednak go nie widziała.

– Do licha! – mruknęła pod nosem.

Od tygodni stale pętał się pod nogami. A teraz, kiedy był potrzebny, nigdzie nie można było go znaleźć. Tłum był tak gęsty, że nie mogła mieć pewności, czy się z nim nie minie po drodze.

Widziała Celię, Serenę, widziała bliźniaczki, ale nigdzie nie mogła znaleźć ich kuzyna. Ani Lucyfera. U podnóża schodów jeszcze raz się rozejrzała, ale nie dostrzegła nikogo, w ogóle żadnego innego Cynstera, który mógłby być do czegoś przydatny.

– Milady – rzekł lokaj, który zmaterializował się u jej boku. – Czekaający ludzie nalegają, żeby pani natychmiast ruszała w drogę.

– Tak. Dobrze. – Alatheia omiotła ostatnim spojrzeniem salę balową, zebrała suknię, odwróciła się i... ujrzała Chillingwortha, rozmawiającego przy schodach z grupką innych gości. – Chwileczkę.

Opuściła lokaja i dała nura w tłum. Zbliżyła się do Chillingwortha w chwili, gdy ten z uśmiechem uklonił się i odwrócił od swoich przyjaciół. Zauważył ją natychmiast.

Zaczął się uśmiechać, ale zobaczył wyraz jej twarzy. Spojrzał jej w oczy.

– Co się stało?

Alatheia ujęła rękę, którą do niej wyciągnął, i wcisnęła mu w dłoń otrzymaną notatkę. – Proszę dopilnować, żeby Gabriel to otrzymał. To bardzo ważne. Muszę wyjść.

– Gdzie się pani wybiera? – Chillingworth zacisnął dłoń na liściku i na jej palcach. Zerknął na lokaja na schodach, któremu szeptał coś do ucha inny lokaj w liberii.

Alatheia poszła wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem.

– Dostałam wiadomość i muszę z kimś pojechać. Gabriel zrozumie. – Ze zręcznością, jakiej nabyła w ciągu wielu lat zapasów z Cynsterami, wyrwała rękę z uchwytu Chillingwortha. – Proszę tylko, żeby jak najszybciej przekazał pan liścik Gabrielowi.

Lokaj przepchnął się przez tłum.

– Milady, marynarze się niecierpliwiają.

– Marynarze? – Chillingworth złapał ją za ramię.

Alatheia wymknęła mu się zręcznie. Wyminęła lokaja i zaczęła biec po schodach.

– Nie mam czasu, żeby wszystko wytłumaczyć – rzuciła w stronę Chillingwortha, który pędził za nią, jak mógł najszybciej.

Dotarłszy do mniej zatłoczonej części schodów, złapała

spódnicę i zaczęła biec jeszcze szybciej.

– Alatheo! Poczekaj!

Nie zatrzymała się. Uparcie wspinała się po schodach, a potem wybiegła na korytarz i opuściła dom.

Chillingworth patrzył za nią. Napływający sznur gości uniemożliwił mu pogoń. Inni goście, którzy słyszeli jego wcześniejsze wołanie, kierowali w jego stronę zdziwione spojrzenia. Zacisnął usta.

– Cholera! – Spojrzał na trzymany w dłoni liścik. – Dobrze mu tak, temu Cynsterowi.

\* \* \*

Odnalazł Gabriela w pokoju do gry w karty, opierającego się plecami o ścianę i leniwie obserwującego partyjkę wista.

– To jest dla ciebie. – Chillingworth cisnął mu złożoną kartkę.

– Och? – Gabriel się wyprostował. Jego przecucie zaczęło zmieniać się w pewność. Chwycił liścik. – Od kogo?

– Nie wiem. Alatheo Morwellan kazała mi go przekazać, ale wątpię, żeby był od niej. Opuściła bal.

Gabriel zajął się czytaniem listu. Gdy skończył, zaklął. Spojrzał na Chillingwortha.

– Wyszła?

Chillingworth skinął głową.

– Tak. Próbowałem ją zatrzymać, ale kiepsko ją wyszkoliłeś. Nie reaguje na polecenia.

– Nie reaguje na żadne komendy. – Uwaga Gabriela skupiona była na notce. – Cholera! To brzydko pachnie. – Zawahał się, po czym podał list Chillingworthowi. – Co o tym myślisz?

Chillingworth przeczytał list.

– Trzy razy napisał jej wprost, że ma przybyć natychmiast. Niedobrze.

– Odniosłem dokładnie to samo wrażenie. – Gabriel odebrał notkę od Chillingwortha, wsunął ją do kieszeni i przesunął się koło Chillingwortha. – Muszę teraz się domyślić, dokąd, u diabła,

mogła pojechać.

– Marynarze. – Chillingworth dreptał Gabrielowi po piętach.  
– Lokaj mówił, że czekali na nią marynarze.

– Doki. Cudownie.

Zbliżali się do schodów, gdy Chillingworth, stale podążający za Gabrielem, się odezwał. – Pojadę z tobą. Możemy wziąć mój powóz.

Gabriel spojrział na niego przez ramię. – Weź pod uwagę, że nie zamierzam czuć się wdzięczny.

– Mam w tym tylko taki interes – odparł Chillingworth, gdy pospiesznie pokonywali schody – żeby sprowadzić tę przeklętą kobietę z powrotem i żeby uziemiła cię na resztę życia.

Znalazłszy się na szczycie schodów, ruszyli wzdłuż galerii, potem zeszli głównymi schodami do holu. Równocześnie dopadli drzwi wejściowych. W progu zderzyli się z Charliem Morwellanem, który spoglądał za siebie. Chłopak odskoczył.

– Przepraszam. – Zbierał się do ukłonu, kiedy rozpoznał Gabriela.

– Czy wiesz, dokąd pojechała Alatheia?

Spojrzał na drogę, prowadzącą do miasta. – Nie rozumiem, czemu wybrała się z takimi nieokrzesanymi typami...

Gabriel złapał go za ramię.

– Wiesz coś?

– Port londyński, dok załadunkowy.

– Jesteś pewien?

Charlie kiwnął głową.

– Wyszedłem się przewietrzyć, bo w środku jest okropnie duszno, i zamieniłem parę słów z marynarzem stojącym koło powozu. – Charlie zauważył, że mówi do pary oddalających się pleców i ruszył za nimi. – Hej, gdzie idziecie?

– Szukać twojej siostry – rzucił Gabriel. Spojrział na Chillingwortha. – Który powóz?

– Ten mały. – Chillingworth przyglądał się szeregowi powozów stojących wzdłuż podjazdu.

– Mogłem się domyślić – mruknął Gabriel.

– Oczywiście, że mogłeś – przyznał Chillingworth. – Ja przynajmniej miałem plany na ten wieczór.

– Tam jest!

Stangret Chillingwortha, podobnie jak inni woźnice, pozostawił nieoznakowany powóz swojego pana pod opieką dwóch z nich, podczas gdy sam udał się do pobliskiej tawerny.

– Mogę pobiec szybciej niż wiatr i w minutę sprowadzić tu pańskiego woźnicę, milordzie – zaproponował jeden z dyżurujących stangretów.

– Nie, nie ma na to czasu. Powiedz Billingsowi, żeby wracał prosto do domu.

– Tak jest, sir.

Powóz stał pomiędzy dwoma innymi. Wspólnym wysiłkiem Gabriel, Charlie i obaj stangreci zrobili tyle miejsca, żeby Chillingworth mógł swobodnie wyjechać. Poczekał, aż Gabriel wskoczy obok niego na kozioł, a Charlie zajmie miejsce z tyłu, i zaciął konie.

– Billings dostanie ataku serca. – Chillingworth zerknął na Gabriela. – Ale to nieistotne. Co się dzieje?

Gabriel opowiedział obu całą historię, pomijając jedynie ogrom kwoty, której utrata groziła Morwellanom.

– A więc Alatheia myśli, że jedzie na spotkanie z kapitanem?

– Tak, ale to zbyt podejrzane. Dlaczego akurat tej nocy, w przeddzień rozprawy? W ostatni piątek rozmawiałem z przedstawicielami linii żeglugowej, którzy nie spodziewali się rychłego wypłynięcia statku kapitana. Sam Struthers też nie oczekiwał, że szybko wypłynie.

– A co z Crowleyem? Jakiego kalibru jest to człowiek?

– Niebezpieczny, pozbawiony zasad spasiony szczur.

Człowiek niemający żadnych skrupułów.

Chillingworth zerknął na Gabriela i w świetle lamp ulicznych dostrzegł zacięty wyraz jego twarzy.

– Rozumiem. – Z posepnym obliczem spojrzął na konie.

– Alatheii nic się nie stanie – zapewnił ich Charlie. – Nie trzeba się o nią martwić. Da sobie radę z każdym opryskiem.

W jego głosie brzmiało niezachwiane przekonanie. Gabriel i Chillingworth wymienili spojrzenia, ale żaden z nich nie wyjaśnił chłopcu, że Crowley nie należał do zwykłych łotrów.

To był prawdziwy szubrawiec.

– Port w Londynie – rzucił Chillingworth, sięgając po bat. – Stąd statki wypływają bezpośrednio na pełne morze.

Popędził konie i pogalopowali wzdłuż nabrzeża.



## Rozdział 20

Powóz wiozący Alatheę trząśł się i bujał, tocząc się wzdłuż portowego nabrzeża. Przytrzymując się obramowania okna, dziewczyna wyjrzała na zewnątrz, na świat mrocznych cieni i majaczących w ciemnościach kadłubów, kołyszących się na fali odpływu. Liny trzeszczały, belki jęczały. Czarna woda rytmicznie uderzała z miękkim plaśnięciem o pylony portowe niczym bicie serca.

Serce Alathej biło odrobinę szybciej pod wpływem oczekiwania, zmieszanego z ostrożnością i prymitywnym lękiem. Starła się pozbyć tego ostatniego, wmawiając sobie, że jest rezultatem zbyt wybujałej wyobraźni. Przez wieki w tych dokach wieszano skazanych piratów, ale przecież duchy nie będą nawiedzać miejsca, gdzie wykonywano sprawiedliwe wyroki. Przyjęła za dobry omen, że kapitan kazał jej przybyć właśnie tutaj. Ona też szukała sprawiedliwości.

Powóz zatrzymał się gwałtownie. Wyjrzała na zewnątrz, ale mogła jedynie dostrzec czarne kontury burty statku. Otwarto drzwi powozu. W otworze zarysowała się głowa marynarza w chustce.

– Proszę podać mi rękę, madam, to pomogę pani wyjść na pomost.

Chociaż marynarze niewątpliwie byli nieokrzesani, zachowywali się najuprzejmiej, jak tylko potrafili. Alatheja pozwoliła żeglarzowi, by pomógł jej wysiąść z powozu.

– Dziękuję.

Wyprostowała się. W sukni z kremowego jedwabiu, połyskującego w świetle księżyca, czuła się jak latarnia morska. Ponieważ w samym mieście było ciepło, nie zabrała na bal peleryny ani szala. Tutaj lekka bryza od strony wody wywołała gęsią skórę na jej ramionach.

Pomost pod jej stopami był solidny, o szerokich deskach, pełnych lin, bloczków i skrzyń. Gdy wymijała rozmaite przeszkody na pomoście, wdzięczna była za wsparcie krzepkiego ramienia marynarza. Poprowadził ją na trap. Przekraczając

mroczną przepaść ponad burzliwą wodą, mocno trzymała się liny. Weszła na pokład, szczęśliwa, że nie chwieje się i nie huśta tak bardzo, jak się tego obawiała. Kołysanie było tak łagodne, że z łatwością mogła utrzymać równowagę. Rozejrzała się. Marynarz podszedł do luku na rufie. Gdy się pochylił, żeby podnieść klapę, Alatheia wzdrygnęła się w duchu. Kiedy kapitan mówił, że będzie wiozł ładunek do Afryki, wyobrażała sobie, że statek jest dość duży. Tymczasem ta jednostka była niewiele większa niż jacht.

Łoskot otwieranej klapy luku skłonił ją do odwrócenia się. Marynarz wskazywał na otwór, oświetlony od wewnątrz lampą.

– Gdyby mogła pani zejść na dół po drabinie, madam... – Przeprasząco skłonił głowę.

Alatheia się uśmiechnęła.

– Dam sobie radę. – Ujęła w dłoń spódnicę, drugą ręką złapała za krawędź klapy i poszukała nogą pierwszego szczebla. Ostrożnie stawiając stopy, zeszła na dół. Gdy przytrzymała się sznurowej poręczy, reszta była już prosta. Na dole ujrzała korytarz. Na całej jego długości, po obu stronach, rozmieszczone były drzwi. Drzwi na samym końcu korytarza były uchylone; wyzierało zza nich światło.

Zaczęła się zastanawiać, dlaczego kapitan nie wyszedł na jej powitanie.

Kłapa zatrzasnęła się z hukiem.

Alatheia spojrzała w górę. Zasunięto gruby żelazny zamek. Odwróciła się gwałtownie, łapiąc za linową poręcz...

Jej wzrok zatrzymał się na twarzy Crowleya.

Obserwował ją z drabiny bacznie, wyczekująco...

Alatheę ścisnęło coś w piersiach. Chciał dostrzec jej strach. Choć w duchu kuliła się w panice, wzięła się w garść, zaplotła ręce na piersiach i zadarła do góry brodę.

– Kim pan jest?

Była zadowolona ze swojego tonu, aroganckiego, na granicy pogardy. Crowley nie zareagował natychmiast. W jego oczach pojawiło się zaskoczenie. Zawahał się, po czym manifestacyjnie wyszedł zza drabiny.

– Dobry wieczór, milady.

Alatheę ogarnęła nieposkromiona chęć, by wepchnąć go z powrotem za drabinę. Była przyzwyczajona do dużych, wysokich mężczyzn. I Gabriel, i Lucyfer byli równie wysocy jak Crowley, a może nawet wyżsi. Ale żaden mężczyzna, jakiego znała, nie wydawał się równie zwalisty. Bała się, że za chwilę ją zmiażdży. Ogromnego wysiłku wymagało od niej, żeby nie uciekać, ale przyjąć zaczepną postawę.

– Czy my się znamy? – zapytała tonem, który nie pozostawiał cienia wątpliwości, iż uważa to za niemożliwe.

– Proszę nie uprawiać żadnych gierek, moja droga. A przynajmniej nie takich.

– Gierki? Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Ruszył do przodu, powoli, bez ostrzeżenia. Z braku miejsca nie mogła zrobić nic, żeby umknąć palcom, które zacisnęły się na jej przegubie. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, Alatheia robiła wszystko, żeby nie okazywać rosnącej paniki.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

Poruszyła ręką. Miał żelazny uchwyt, a nawet się nie starał.

– Mówię o pani zainteresowaniu – ciągnął dalej, ignorując jej próżne wysiłki, by się uwolnić – Środkowo-Wschodnią Afrykańską Kompanią Złota. To jedno z moich przedsięwzięć inwestycyjnych.

– Jestem damą i kompletnie mnie nie interesuje żadne przedsięwzięcie inwestycyjne. A już zwłaszcza pańskie.

– Można by było tak sądzić – zgodził się Crowley. – Toteż wielką niespodzianką było dla mnie odkrycie, że jest inaczej. Oczywiście Struthers usiłował temu zaprzeczać, ale... – Zacisnął dłoń na ręce Alatheii i szarpnął do góry, zmuszając dziewczynę, żeby odwróciła się do niego twarzą.

– St... Struthers? – Alatheia wbiła w niego wzrok.

Spojrzenie Crowleya zatrzymało się na jej biuście.

– Odbyliśmy z kapitanem bardzo pouczającą rozmowę. – Przesunął spojrzenie niżej, bezczelnie rozbierając ją wzrokiem. – Zupełnie nie umiał wytłumaczyć, dlaczego list z pani podpisem,

niewątpliwie skreślony damską ręką, znalazł się starannie złożony pomiędzy mapami i kopiami tych przeklętych praw własności afrykańskich gruntów.

Crowley powrócił spojrzeniem na jej twarz i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Swales pamiętał to nazwisko. Nie było więc kłopotu, żeby złożyć wszystko do kupy. Wy, Morwellanowie, postanowiliście się wykrecić od uznania weksla podpisanego przez waszego ojca. – Wzrok Crowleya stwardniał. – Powinniście się wstydzić!

Alathea wybuchnęła złością.

– My powinniśmy się wstydzić? Nie wydaje mi się, żeby zdemaskowanie czyjzegoś oszustwa było naganne.

– Jest naganne, gdy to ja jestem oszustem. – Crowley wojowniczo zacisnął szczęki. – Umiem pilnować własnych interesów i jeśli o mnie chodzi, uważam, że majątek twojego ojca przeszedł na mnie w chwili, gdy podpisał tamten skrypt dłużny.

Znów nią potrząsnął, żeby poczuła jego siłę i zrozumiała, jak słaba jest przy nim.

– Honor rodziny? Możesz przestać się nim przejmować. Będiesz miała się czym przejmować, gdy zobaczysz, co dla ciebie zaplanowałem.

Czysta złośliwość w jego głosie przeraziła Alatheę, ale starała się opanować. Jednak jakiś błysk w oczach musiał ją zdradzić, bo jego zachowanie zmieniło się błyskawicznie.

– Oho! To tak! – Przycisnął ją do ściany. – No cóż, chyba ci powiem, co zaplanowałem.

Przysunął się bliżej. Alathea zmagala się ze sobą, żeby nie odwrócić głowy, żeby bez drzenia spotkać jego mroczne spojrzenie. Crowley oddychał ciężko, w przyspieszonym rytmie, którego nie usprawiedliwiała potężna budowa. Miała podejrzenie, że należał do tych mężczyzn, których podniecał czyjś strach.

– Po pierwsze – zaczął mówić, cedząc każde słowo – wykorzystam cię. I to nie raz, lecz tyle razy, na ile będę miał ochotę, i w taki sposób, jaki mi się spodoba.

Spojrzał na jej piersi, na kremowe wzgórki, kusząco

wyekspowowane przez suknię. Alatheia poczuła, że dostaje gęziej skórki.

– Tak... Zawsze miałem chętkę na prawdziwą damę. Najstarsza córka lorda świetnie się nada. Oczywiście potem, jeśli przeżyjesz, i tak będę musiał cię udusić.

*Jesteś szalony.* Alatheia zdusiła te słowa. Głos Crowleya stał się niższy i powolniejszy, lekko bełkotliwy. Nie przestawał gapić się na jej piersi. Alatheia starała się oddychać płytko, ale serce biło jak oszalałe, w ustach jej zaschło, a w płucach czuła ucisk.

– Wyobraź sobie – ciągnął dalej – że gdyby udało ci się przeżyć, mógłbym cię sprzedać w niewolę. Na wybrzeżu Afryki dostałbym za ciebie niezłą sumę. Rzadko tam widują takie wysokie białe dziewczyny, ale... Gdybym chciał dobrze cię sprzedać, musiałbym uważać, żeby zanadto nie uszkodzić towaru. A to nie byłoby zabawne. I nigdy nie miałbym stuprocentowej pewności, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Nie. – Potrząsnął głową i unosząc wzrok, spojrzał jej w oczy.

Jego spojrzenie było tępe, niezgłębione, pozbawione uczuć. Alatheia nie mogła oddychać.

Z grymasem na twarzy Crowley dał krok do tyłu i oderwał ją od ściany.

– Pozbędę się ciebie później, kiedy już się nasycę. W ten sposób nie będę musiał uważać, gdy się z tobą zabawie. – Gwałtownie zmieniając pozycję, przybliżył twarz do jej twarzy. – Właściwa kara za twoje knowania.

Chytrze łypiąc okiem i rechocząc jak szaleniec, ruszył korytarzem, wlokąc ją za sobą.

– Naprawdę właściwa kara. W czasie porannego odpływu spotkasz się z twoim przyjacielem Strutherssem.

– Struthers? – Gdy z całych sił oparła się Crowleyowi, udało jej się zmusić, by się zatrzymał. – Zabiłeś kapitana Struthersa? Crowley się skrzywił.

– Myślałaś, że pozwolę mu odejść z tymi wszystkimi informacjami? Kapitan zdążył na poprzedni odpływ.

– Zabiłeś go tylko dlatego, że miał informacje?

– Wszedł mi w drogę. Ludzie znikają. On też. I ty.  
Alathea zaczęła się szarpać.

– Jesteś szalony! Nie mogę po prostu zniknąć! Ludzie zauważą. Będą zadawać pytania.

Odrzucił do tyłu głowę i się roześmiał. Skoncentrowane w tym dźwięku zło wstrząsnęło Alatheą jak nic do tej pory. Śmiech gwałtownie umilkł. Crowley szarpnął głowę. Przyszpilił ją spojrzeniem. Nie mogąc się opanować, oparła się o ścianę korytarza.

– Tak. – Crowley ze złośliwą lubością rozkoszował się tym słowem. – Masz rację, ludzie na pewno zauważą. I będą zadawać pytania. Ale nie takie, jak myślisz, moja śliczna. – Przysunął się bliżej, znów przyciskając ją do ściany. Wyraźnie napawał się jej strachem. – Ja też sprawdziłem parę rzeczy. – Uniósł rękę i pogłaskał ją po policzku. Alathea szarpnęła głowę do tyłu.

Sekundę później jego dłoń zacisnęła się na jej szczęce. Boleśnie wbijając palce w brodę, przybliżył jej twarz do swojej.

– Może – wysapał, przywierając wzrokiem do jej warg – zachowam cię przy życiu tak długo, żebyś zobaczyła, co się stanie z twoją ukochaną rodziną i kogo wszyscy będą o to winić.

Przerwał. Jego bliskość spowodowała, że Alathej zrobiło się słabo. Starła się nie oddychać głęboko, żeby nie czuć woni jego ciała.

Wykrzywił usta.

– Twoje zniknięcie zbiegnie się z wezwaniem do wykupienia skryptów dłużnych. Mogę ci zagwarantować, że twoja rodzina niemal natychmiast będzie miała do czynienia z komornikiem. Znajdą się w poważnych tarapatach. Nikt nie będzie wiedział, gdzie jesteś i co sądzić o twoim zniknięciu. Śmietanka towarzyska Londynu będzie widziała jedynie, jak twoją rodzinę wyrzucają z domu na bruk, ciebie zaś nie będzie. – Był coraz bardziej zadowolony. – Słyszałem, że szykowały się jakieś oświadczyzny o rękę twoich sióstr. Te propozycje stracą na aktualności. Kto wie? – Przysunął się jeszcze bliżej, nie odrywając od niej wzroku. Czowała, jak deski ściany mocno wbijają jej się w plecy. – Gdy już nacieszę

się zniszczeniem ciebie, może wysłę jakichś „dzentelmenów”, których znam, żeby oświadczyli się twoim siostram. Wszystkim trzem.

– Ty łajdaku! – wybuchła Alatheia. Z całych sił uderzyła go w twarz.

Crowley zaklął i cofnął się, szarpiąc ją za rękę tak, że straciła równowagę. Krzyknęła. Gdy zatkał jej usta dłonią, kopnęła go.

Poczuła ból, który rozwścieczył ją jeszcze bardziej i dodał sił. Przeklinając okropnie, Crowley puścił jej ramię i złapał ją w talii. Dźgnęła go łokciem pomiędzy żebra. Zacisnął ramiona wokół niej, unieruchamiając ją skutecznie, uniósł ją i ruszył w stronę otwartych drzwi na końcu korytarza.

Alatheia wiała się i szarpała. Bezskutecznie. Mężczyzna był silny jak byk. Wierzgała, ale było to jeszcze mniej skuteczne. Z przerażeniem zaczęła sobie przypominać dawne bójki, jakie toczyła w młodości z dwoma wyższymi od siebie chłopakami. Odetchnęła głęboko, wyprostowała się i sięgnęła rękami do tyłu. Złapała Crowleya za uszy i zaczęła je szarpać najmocniej, jak umiała.

Zawył i odskoczył. Paznokciami przeorała mu policzki.

– Dziwka! – jego ryk zadźwięczał w jej uszach z ogromną siłą. – Zapłacisz za to. Za każde najmniejsze zadrapanie!

Mogła się tylko cieszyć, że korytarz był zbyt wąski, aby móc się zamachnąć. Klnąc bezustannie, na wpół niósł, na wpół pchał ją przed sobą. Alatheia walczyła i wyrywała się jak oszalała, ale jedynie zwolnił. Wizja znalezienia się pod nim nappełniała ją przerażeniem.

Dwa metry przed otwartymi drzwiami Crowley się zatrzymał. Zanim się zorientowała, co zamierzał, gwałtownym ruchem otworzył na oścież inne drzwi, znajdujące się w ścianie korytarza, i zaczął ją przez nie pchać.

Alatheia dostrzegła stojące przy ścianie łóżko.

Chwyciła się framugi drzwi i zdwoiła wysiłki, żeby stawić opór, ale Crowley wpychał ją do środka, centymetr za centymetrem. A potem z całych sił uderzył ją pięścią w palce

zaciśnięte na futrynie.

Z krzykiem puściła futrynę i Crowley wepchnął ją za próg.

Nad nimi zadudniły kroki. Zamarli, patrząc w górę. Alatheia głęboko wciągnęła powietrze i wrzasnęła z całych sił. Crowley zaklął. Wepchnął ją do pomieszczenia.

Nadepnęła na spódnicę i upadła, ale natychmiast poderwała się na nogi.

– Gabriel!

Crowley zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Usłyszała zgrzyt przekręcanego klucza i opadnięcie rygla. Przykucnęła i przyłożyła oko do dziurki od klucza.

Zobaczyła drewniane deski przeciwległej ściany na korytarzu.

Sięgnęła po spinkę do włosów.

Za drzwiami Crowley przystanął, wpatrując się w drabinę. Na pokładzie dudniły kroki.

Crowley wykrzywił się w szyderczym grymasie. Potem się roześmiał, odwrócił i ruszył w stronę otwartej kabiny.

\* \* \*

Gabriel znalazł główny luk. Szarpnął za ciężki rygiel i usłyszał jego skrzypnięcie. Klnąc pod nosem, popchnął go mocno do końca. Chillingworth znalazł się u jego boku i pomógł mu podnieść klapę. Spojrzeli w dół, na oświetlony szeregiem lamp korytarz i prowadzące w dół szczeble drabiny.

Gabriel, patrząc na Chillingwortha, poruszył rękoma, dając znak, że schodzi na dół. Miał kamienny wyraz twarzy. Potrafił działać bez nerwów, z zimną krwią. Nigdy jeszcze nie doświadczył takiego strachu. Czuł, jakby wokół serca zaciskała się lodowata dłoń. Od zawsze znał Alatheę, ale dopiero w tej chwili ją odnalazł. Nie mógł jej stracić teraz, gdy w końcu otworzył przed nią serce, ona zaś była gotowa ofiarować mu swoje.

Nie mogli się utracić.

Złapał za brzeg luku, namacał szczeble i zaczął pospiesznie schodzić w dół. Był tak wysoki, że dotknął stopami podłogi, zanim



jeszcze przed jego oczami wyłonił się korytarz. Gdy stanął na dolnym pokładzie, spojrzął przed siebie i zobaczył... lufę pistoletu Crowleya. Wycelowaną prosto w serce.

Gabriel usłyszał szczęk odwodzonego kurka. Padł na podłogę.

Ściana korytarza eksplodowała. Drzwi otworzyły się gwałtownie, blokując strzał Crowleya. Na korytarz wypadła Alatheia. Deska w drzwiach rozpadła się tuż obok jej ramienia. Dziewczyna instynktownie się uchyliła. Odgłos strzału rozszedł się echem po korytarzu.

– Na podłogę! – ryknął Gabriel.

Alatheia spojrzała na niego, a potem na drzwi. Oboje usłyszeli przekleństwa Crowleya, dudnienie zbliżających się kroków. Alatheia przywarła do ściany korytarza.

Crowley zatrzasnął otwarte drzwi. Nie patrzył na Alatheę, lecz na Gabriela, który podnosił się z podłogi z żądzą mordy w oczach.

Crowley odwrócił się i pobiegł w stronę głównej kajuty.

– Czeka!

Alatheia słyszała okrzyk Gabriela, ale pędziła już za Crowleyem, nie oglądając się za siebie. Będzie musiał ponownie naładować pistolet. Gabriel nie miał broni. Mogła chociaż opóźnić jego działanie.

Wpadła do kajuty, spodziewając się ujrzeć Crowleya, stojącego przy łóżku albo przy biurku i pośpiesznie ładującego broń. Tymczasem zobaczyła, że minął biurko, ciskając tam pistolet. Podbiegł do ściany i chwycił za rękojeść jednej z dwóch identycznych, skrzyżowanych szabli, wiszących pomiędzy otworami okiennymi.

Szabla wysunęła się z pochwy ze złowieszczym zgrzytem.

Alatheia nie zatrzymała się. Rzuciła się na Crowleya, wierząc, że chroni ją płeć. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że Crowley może użyć przeciwko niej białej broni. Gabriel o tym pomyślał. Przekroczył próg kajuty w chwili, gdy Alatheia zmagiała się z Crowleyem, wymachującym kawaleryjską szablą. Jeden ruch i

mógł ją rozplatać na dwoje. Gabriel umierał z przerażenia. Powinien odczuć ulgę, widząc, jak Crowley odrzuca Alatheę na bok, jak byk opędzający się przed muchą. Mocno uderzyła o ścianę, oszołomiona, wstrząśnięta, ale poza tym cała i zdrowa.

Gabriel zobaczył to w jednej chwili i natychmiast ogarnęła go ślepa furia. Widział tylko Crowleya. Crowley złapał równowagę i chwycił oburącz szablę, każdym ruchem okazując, że nigdy nie posługiwał się białą bronią w walce.

Gabriel uśmiechnął się dziko. Popchnął stojący mu na drodze mały stolik. Mebel uderzył o ścianę. Nie spuszczać wzroku z twarzy Crowleya, powoli, łukiem zaczął się do niego zbliżać. Kolejny ruch należał do Crowleya, bo to on był uzbrojony. Pomimo bojowego wyrazu twarzy i aroganckiej wojowniczości, w jego oczach błyszczała niepewność. Gabriel ją dostrzegł. Uskoczył w lewo. Crowley uniósł szablę i ciał...

Gabriel znajdował się daleko od miejsca, gdzie opadła klinga. Zaszedł Crowleya z drugiej strony. Lewą rękę zacisnął na jego dłoniach trzymających szablę, prawą zaś, zaciśniętą w pięść, zadał mu cios w szczękę. Olbrzym jęknął. Próbował się rzucić na Gabriela, ale uwięzione dłonie nie pozwoliły mu na to. Z kolei silne uchwycenie szabli uniemożliwiało Gabrielowi wyrwanie przeciwnikowi broni. Gabriel puścił go więc i odskoczył. Crowley ciał raz za razem, ścigając uskakującego Cynstera. Przy każdym zamachu Crowley tracił równowagę. Gabriel kolejny raz uchylił się przed szablą, pochwycił jej rękojeść i lewym sierpowym trafił olbrzyma w szczękę. Ten ryknął i ruszył do ataku. Zadał cios.

Lekceważąc piekący ból w lewym ramieniu, gdzie sięgnęło ostrze, Gabriel rzucił się na Crowleya, oburącz mocno chwytając rękojeść. Crowley stracił równowagę. Gabriel zmusił go do cofnięcia się aż do biurka i coraz bliżej przysuwał szablę do twarzy łajdaka. Z oczami zwróconymi na przybliżającą się klingę, Crowley zazgrzytał zębami, zebrał siły i odepchnął Gabriela na bok. Przewidując taki manewr, Gabriel odskoczył do tyłu. Wypuszczona z rąk walczących szabla z brzękiem upadła na ziemię.

Crowley rzucił się do przodu, ale powstrzymał go silny cios w żołądek.

Ryknął i ruszył na Gabriela.

Gabriel nie zamierzał pozwolić, żeby przeciwnik połamał mu żebra. Crowley zachowywał się jak bokser, który poznał tajniki walki w karczemnych burdach. Przy swojej masie i braku zwinności mógł liczyć tylko na siłę mięśni. We wszelkich zapasach zwyciężyłby z łatwością. Ale walka na pięści była zupełnie inną sztuką, w której Gabriel celował. Zadawał zatem jeden celny cios za drugim, koncentrując się na twarzy i brzuchu Crowleya. Crowley nawet go nie musnął. Ryczał z wściekłości, chwając się po każdym otrzymanym ciosie. Gabriel postanowił go rozwścieczyć jeszcze bardziej. I w końcu powalić na ziemię.

Ale czaszka Crowleya zdawała się z kamienia. Jednym uderzeniem nie dawało się go pozbawić przytomności.

Oparta o ścianę Alatheia przyglądała się walce z zapartym tchem. Gabriel wyraźnie wygrywał, chociaż ryzykował ogromnie dużo, zbliżając się do Crowleya tak, by móc zadawać mu silniejsze ciosy. Kiedy odskakiwał, dosięgła go pięść, która trafiła go w głowę. Ku wielkiej uldze Alatheii Gabriel nie sprawiał wrażenia, że odczuł uderzenie, i w odpowiedzi wymierzył miazdzący cios.

Crowley nie mógł dużo dłużej wytrwać.

Łajdak musiał dojść do tego samego wniosku. Nagle kopnął podstępnie. Gabriel dostrzegł ten ruch, ale zdążył się jedynie odwrócić. Noga Crowleya trafiła go w lewe udo. Cynster stracił równowagę i upadł.

Alatheia zdusiła krzyk.

Głowa Gabriela z łoskotem uderzyła o deski. Leżał bez ruchu.

Crowley stał nad nim z zaciśniętymi pięściami, patrząc nań podbitymi, opuchniętymi, świńskimi oczkami. Potężna klatka piersiowa unosiła się i opadała. Nagle odsłonił zęby w złośliwym uśmiechu. Rozejrzał się i podniósł szablę. Wążąc ją w dłoniach, stanął w rozkroku obok nóg Gabriela i uchwycił w obie dłonie rękojeść.

Gabriel jęknął. Miał zamknięte oczy, leżał na plecach. Uniósł nieco głowę, usiłując dźwignąć się na łokciach. Crowley wyraźnie czerpał satysfakcję z tego widoku. Oczy mu rozbłysły. Uśmiechnął się, wolno podnosząc szablę.

Alathea przesuwiała się wzdłuż ściany, ledwo oddychając. Silne emocje spowodowały, że z trudem udawało jej się pozbierać myśli. Strach i wściekłość sprawiły, że wiedziała, co ma zrobić. Zaciskając zęby, przesuwiała się, aż znalazła się za Crowleyem.

Mężczyzna wyprostował się, uniósł szablę jeszcze wyżej nad głowę i zamarł, szykując się do zadania ciosu.

Alathea zrobiła ostatni krok, chwyciła drugą szablę i wyciągnęła ją z pochwy. Pomieszczenie wypełnił gwizd. Crowley gwałtownie odwrócił głowę. Zachwiał się; chwilę zajęło mu odzyskanie równowagi. Odwrócił się w stronę dziewczyny.

Wymierzyła klingę w Crowleya...

Obracając się, Crowley uniósł szablę...

Gabrielowi udało się w końcu skupić wzrok. To, co zobaczył, spowodowało, że serce przestało mu bić. Z wysiłkiem dźwignął nogi i kopnął Crowleya w udo. Ten się zachwiał, bezradnie zatoczył w stronę Alathej i jej szabli.

Niesiona własnym ciężarem klinga błysnęła i wbiła się w bok Crowleya. Alathea stęknęła i puściła rękojeść. Szabla pozostała: rękojeść chybotwała się na jego plecach.

Crowley odzyskał równowagę i stanął w wykroku, mocno dzierżąc swoją szablę w obu dłoniach. Spojrzał w dół, na miejsce, przez które przebił się na wylot brzeszczot, po czym powoli odwrócił głowę i zerknął na rękojeść wystającą z pleców. Jego twarz zdradzała ogromne zdziwienie...

Zaszurał nogami i nie wypuszczając drugiej szabli, przesunął się w stronę Alathej...

Rozległ się odgłos pospiesznych kroków i w drzwiach ukazał się Chillingworth. Ocenił sytuację jednym spojrzeniem, uniósł rękę z pistoletem i wystrzelił.

Alathea nie wydała żadnego odgłosu, patrząc szeroko rozwartymi oczami, jak Crowley drgnął. Pocisk trafił go z lewej

strony szerokiego torsu. Powoli odwrócił głowę i spojrzał zdezorientowanym wzrokiem na Chillingwortha. Potem pobladał, zamknął oczy i runął na twarz.

Gabriel usiłował usiąść. Choć nadal kręciło mu się w głowie i dzwoniło w uszach, udało mu się oprzeć plecami o biurko.

Chillingworth wszedł do kajuty i krzywiąc się, wyciągnął szablę sterczącą z pleców Crowleya.

– Och, widzę, że udało ci się wcześniej go dopaść. – Potem spojrzał na Gabriela, z powrotem na Crowleya, znów na Gabriela i zmarszczył czoło. – Jak tego dokonałeś, u licha?

Gabriel zerknął na kredowobiałą twarz Alathej.

– To były połączone wysiłki.

Chillingworth poszedł za jego wzrokiem i popatrzył na Alatheę, która, ciągle jeszcze przyklejona plecami do ściany, nie odrywała oczu od ciała Crowleya.

Usłyszeli zbliżające się kroki i do środka zajrzał Charlie.

– Słyszałem strzał. – Z oczami okrągłymi ze zdziwienia spojrzał zza pleców Chillingwortha. – O kurczę! Nie żyje?

Gabriel zdusił histeryczny śmiech.

– Bardzo nie żyje. – Z ponurym wyrazem twarzy, tylko w nieznacznym stopniu wywołanym bólem głowy, przyjrzał się Alathej i spytał łagodnie: – Nic ci nie jest?

Spojrzała na niego.

– Oczywiście, że nic mi nie jest. – Omiotła wzrokiem postać Gabriela. W jej oczach pojawił się szalony niepokój. Zebrała spódnice i przeskoczyła przez trupa. – Dobry Boże! Ten drań cię zranił! Pozwól, że cię obejrzę.

Gabriel zapomniał o ranie. Teraz jednak zerknął w to miejsce i zobaczył zniszczony surdut, na który kapąła świeża krew. Dziewczyna przykucnęła obok niego i odchyliła przecięty materiał, usiłując obejrzeć ranę...

– Możesz wstać? Nie, naturalnie, że nie możesz. – Machnęła ręką na Chillingwortha, żeby się zbliżył, i podparła Gabriela ramieniem. – Proszę mi pomóc.

– Uważaj na swoją suknię. – Postawiony na nogi Cynster

usiadł na krześle za biurkiem.

Alathea odgarnęła mu włosy z czoła.

– Dobrze się czujesz?

Zirytowany, już otwierał usta, żeby poinformować ją cierpkim tonem, iż silne uderzenie w głowę i lekkie draśnięcie nie wystarczą, by go wyeliminować z gry. Nagle dostrzegł wyraz twarzy Charliego i zmienił zamiar.

– Oczywiście, że nie. – Wskazał na ciemną plamę krwi na rękawie. – Zobacz, czy dasz radę powstrzymać krwawienie. Tylko uważaj, żeby nie zniszczyć sukni.

– Crowley musiał tu gdzieś trzymać jakieś płótno. – Alathea spojrzała na brata. – Charlie, rozejrzyj się.

Zanim Charlie powrócił, Alathea zdjęła Gabrielowi surdut i odsłoniła ranę. Było to płytkie, ale długie rozcięcie. Rana, choć niegroźna, nie przestawała obficie krwawić.

– Proszę. – Charlie podał siostrze stosik czystych koszul. Zerknął na Crowleya. – Nie będą mu już potrzebne.

Po chwili wyszła w poszukiwaniu wody lub wina.

Chillingworth przyglądał się, jak odchodzi, po czym zmierzył Gabriela zde gustowanym spojrzeniem. W odpowiedzi Gabriel popatrzył na niego wyzywająco. Chillingworth wznosił oczy do nieba. Alathea powróciła, dzierżąc w rękach miskę z wodą. Chillingworth rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Może powinniśmy przeszukać kajutę, kiedy ty będziesz dochodził do siebie.

– Dobry pomysł – zgodził się Gabriel.

– Czego więc szukamy? – Chillingworth okrążył biurko.

– Weksli? – Alathea przestała przemywać ranę. – Będą tutaj?

– Spojrzała na Gabriela.

Skinął głową.

– Tak myślę. Najprawdopodobniej Crowley dlatego był dziś w nocy tutaj, a nie w Egerton Gardens, bo znalazł się w tarapatkach; dowiedział się o naszym śledztwie. – Z ponurą twarzą spojrzał na Alatheę. – Przypuszczam, że działania Struthersa narobiły zbyt wiele szumu. Czy Crowley coś mówił?

Spojrzenie Alathej się zamgliło.

– Zabił kapitana. Tak powiedział.

Chillingworth rzucił ponure spojrzenie na zwłoki.

– Zasłużył sobie na piekło.

Gabriel złapał Alatheę za rękę.

– Jesteś pewna, że kapitan nie żyje? Że Crowley nie powiedział tego, żeby cię przestraszyć?

Alathea potrząsnęła głową.

– Myślę, że rzucił już ciało kapitana do rzeki.

Gabriel pogłaskał ją po rękę. Chillingworth westchnął.

– Nic już nie możemy zrobić dla kapitana. Najlepszym sposobem pomszczenia go jest dopilnowanie, żeby knowania Crowleya umarły razem z nim. – Wyciągnął szufladę biurka. – Jesteś pewien, że weksle tu będą?

– Mam nadzieję. – Gabriel powiódł wzrokiem dookoła. – Ten statek nie należy do żadnej linii żeglugowej. To mała, prywatna jednostka, szybka, przystosowana do ucieczki. Zgaduję, że Crowley tutaj założył swoją bazę i gotów był odpłynąć w każdej chwili. Pozbywszy się Struthersa i Alathej, miał zamiar natychmiast zażądać spłaty weksli i opuścić Anglię, gdy tylko położy ręce na pieniądzech.

Alathea zaczęła bandażować mu ramię.

– Crowley powiedział, że natychmiast zażąda spłacenia weksli.

Chillingworth nie przestawał przeszukiwać biurka. Charlie wyszedł z kajuty z zamiarem rozejrzenia się po innych pomieszczeniach.

Alathea wiązała właśnie bandaż, gdy Charlie pojawił się z powrotem, targając ze sobą małą skrzynkę marynarską. Wyciągnął z niej dokument.

– Myślę, że tego właśnie szukamy.

Miał rację – skrzynkę wypełniał plik podpisanych weksli. Alathea wzięła od brata jeden z nich i zaczęła się trząść. Gabriel otoczył ją ramieniem i przytulił.

– Zabierz to do domu, pokaż ojcu, a potem spal.

Alathea spojrzała na niego i skinęła głową. Złożyła papier i oddała Charliemu, przykazując jednocześnie, żeby go nie zgubił.

Charlie wsunął weksel do kieszeni i przystąpił do odczytywania nazwisk, widniejących na pliku weksli wyjętych ze skrzynki.

Chillingworth zajęty był tym samym.

– W większości zadowalał się małą zdobyczą. Sądząc po adresach, niektóre z jego ofiar to drobni kupcy. – Wskazał na drugą kupkę weksli. – To są zobowiązania przedstawicieli arystokracji, ale w większości są to ludzie, którzy nigdy nie angażowali się w takie inwestycje. A jakie sumy! Przez niego pół Anglii stałoby się niewypłacalne.

Gabriel pokiwał głową.

– Chciwy i bez skrupułów. Tak powinno brzmieć jego epitafium.

– Co więc robimy? Palimy je? – Chillingworth starannie ułożył weksle.

– Nie. – Alathea ściągnęła brwi. – Jeśli to zrobimy, ludzie wplątani w całą sprawę nigdy się nie dowiedzą, że są wolni od zobowiązań. Mogą podejmować różne decyzje w przekonaniu, że mają dług wobec Crowleya, choć w istocie nie będą go mieli.

– Czy na wszystkich wekslach są adresy? – zapytał Gabriel.

– Chyba tak – odparł Charlie, a Chillingworth potakująco kiwnął głową.

– Może... – Gabriel popatrzył w dal. – Znajdźmy coś, żeby je związać. Wezmę je do Montague'a. On już będzie wiedział, w jaki sposób najlepiej je zwrócić właścicielom, poprawnie, urzędowo unieważnione.

– Nasza skarga, jeśli zostanie pozytywnie rozpatrzona, spowoduje unieważnienie wszystkich weksli – Alathea spojrzała na Gabriela.

Pokręcił głową.

– Nie będziemy jej składać. Nie zrobimy nic, co mogłoby nas skojarzyć z Crowleyem.

– Rzeczywiście. – Chillingworth patrzył na trupa. – Co więc



z nim zrobimy? Zostawimy tutaj?

– Czemu nie. Przecież miał wielu wrogów. Na pewno kazał swej załodze trzymać się dziś w nocy z dala od statku.

– Z wyjątkiem strażnika – zauważył Charlie. – Ale ten nigdy was nie widział.

Gabriel kiwnął głową.

– Dwaj marynarze, którzy dostarczyli notkę, będą wiedzieli, że Alatheia została tu przywieziona, ale nic ponadto. Żadna kobieta nie byłaby w stanie pokonać Crowleya. Kiedy jego ludzie wrócą na statek, znajdą go martwego. Przyjmą, że Alatheia odjechała, a potem ktoś Crowleya zabił.

– Szczerze wątpię, żeby ktoś go żałował.

– Może Archie Douglas, choć i to nie na pewno.

– Pewnie Crowley trzymał go w szachu.

– Bardzo możliwe – zastanowił się Gabriel, po czym ciągnął dalej: – Domyślam się, że bez Crowleya i tych wszystkich weksli Środkowo-Wschodnia Afrykańska Kompania Złota po prostu przestanie istnieć. Nie ma kapitału, a Swales, z tego, czego udało mi się dowiedzieć, nie należy do ludzi, którzy sami ciągnęliby dalej ten biznes.

Chillingworth rozważył jego słowa i skinął głową.

– Możemy więc tak zrobić. Zostawimy Crowleya, zabierzemy weksle i poprosimy twojego Montague’a, żeby oddał je właścicielom.

Starannie zawinęli dokumenty w koc i Charlie wyniósł je ze statku. Alatheia pomagała Gabrielowi iść. Pochód zamykał Chillingworth. Kiedy dołączył do pozostałych, czekających w cieniu powozu, skinął głową.

– Wszystko w porządku.

Alatheia odetchnęła z ulgą.

– Pomóżcie mi wsadzić Gabriela do powozu.

Chillingworth otworzył szeroko drzwi powozu i zerknął z ukosa na Gabriela.

– Rozumiem – rzucił słodkim, niewinnym głosem – że mam jechać prosto do niego do domu?

– Oczywiście! – Alathea wskoczyła do środka, odwróciła się i wyciągnęła ręce, żeby pomóc Gabrielowi. – Muszę jak najszybciej opatrzyć tę ranę.

Gabriel uśmiechnął się frywolnie do Chillingwortha, po czym opuścił głowę i wsiadł do powozu. Chillingworth zatrzasnął za nim drzwi.

– Kto wie – powiedział tak głośno, żeby Alathea usłyszała – może nawet trzeba będzie założyć szwy.

Z tymi słowami wskoczył na kozioł, ujął lejce i skierował powóz z powrotem do Londynu.

## Rozdział 21

Chillingworth odwiózł Gabriela i Alatheę na Brook Street.

– Wróć prosto do domu – zawołała Alatheę do Charliego, wchodząc z Gabrielem po schodach. Trzymała go mocno za ramię, podtrzymując. – Nie wiem, ile czasu to zajmie. Powiedz mamie, żeby na mnie nie czekała.

Gabriel uśmiechnął się, sięgając po klucz. Wyobraził sobie wyraz twarzy Chillingwortha. Chillingworth dość szorstko zaoferował Charliemu odwiezienie go z powrotem do Marlborough House. Zasłużył tym sobie na jeszcze większą wdzięczność Cynsterów. Tej nocy notowania lorda znacznie wzrosły, gdyż nikt nie wiedział, w jakiej formie był Crowley, zanim Chillingworth go zastrzelił.

Charlie przyjął ofertę Chillingwortha. Konie lorda ruszyły z kopyta i powóz zniknął w oddali. Gabriel wsunął klucz w zamek. Zerknął na Alatheę, nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

W końcu to będzie już niedługo jej dom. Gabriel tylko nieco wyprzedzał bieg zdarzeń. Nie był jednak na tyle głupi, żeby porwać ją na ręce i przenieść przez próg.

W głębi holu pojawił się Chance. Był bez marynarki, najwyraźniej zaskoczył go tak wczesny powrót pana. Kiedy zobaczył, kto mu towarzyszy, zakrztusił się i cichutko zaczął się wycofywać...

Alatheę dostrzegła go i kiwnęła ręką.

– Ty jesteś Chance, prawda?

– Yhm. – Chance pochylił głowę i przybliżył się ostrożnie. – To ja, proszę pani.

Alatheę obrzuciła go uważnym spojrzeniem i skinęła głową.

– Twój pan został zraniony. Potrzebna mi miska z ciepłą wodą, ale nie za gorącą. Przynieś ją prosto do pokoju pana, razem z czystymi ręcznikami i bandażami. I trochę maści na rany. Chyba macie jakąś maść? – Przez cały czas szła przez korytarz, prowadząc Gabriela.

– Yhm. – Cofając się przed nią, Chance spojrzał bezradnie na

Gabriela.

– To jest lady Alatheia, Chance.

Chance się uklonił.

– Miło mi panią poznać, proszę pani.

– Naprawdę potrzebne mi są te rzeczy, a za chwilę będę potrzebować twojej pomocy na górze – odprawiła go Alatheia. Gdy Chance spojrział na nią tępym wzrokiem, pochyliła się i zajrzała mu prosto w oczy. – Teraz. Natychmiast. Szybciej niż zaraz.

Chance odskoczył do tyłu, niemal przewracając się o własne nogi.

– Och! Dobrze! Natychmiast, proszę pani. – I wybiegł.

Alatheia patrzyła, jak się oddalał, po czym potrząsnęła głową i zaczęła holować Gabriela w stronę schodów.

– Nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać swoimi dziwactwami. – Ciągle popychała go w górę schodów.

Nie mogłaby tego zrobić, gdyby się opierał. On jednak był chętny, bardzo chętny, pomimo faktu, że nie lubił być obiektem kobiecej troskliwości. Ale jej troskliwość zamierzał znieść cierpliwie, czekając spokojnie na formalne oświadczenie, jasne i wyraźne.

Bardzo pragnął je usłyszeć, ale Alatheia była piekielnie uparta. Zachęcenie jej, żeby dała upust swoim uczuciom, tak jak teraz, powodowało, że później będzie jej trudniej się wycofać. Toteż potulnie wchodził na górę po schodach, grając na zwłokę i pozwalając, by myślała, iż jest bardzo osłabiony. Czuł lekkie oszołomienie i ulgę, że wszystko już się skończyło, że Crowley nie żyje, że już nigdy więcej nie pojawi się mrocznym cieniem na horyzoncie. Przepęniało go pełne zapału oczekiwanie, jak jakiegoś nieopierzonego młodzieńca, i świadomość, że Alatheia należała do niego.

Musiał jeszcze tylko usłyszeć to z jej ust.

– Tutaj. – Zatrzymał się przy drzwiach do swojego pokoju i oparł o framugę, pozwalając, żeby nacisnęła klamkę i je otworzyła. Bez cienia wahania pospiesznie wepchnęła go do środka i skierowała w stronę łóżka.

Popchnęła go, żeby usiadł na brzegu posłania. Dotykając palcami zaimprovizowanego opatrunku, zmarszczyła czoło i zerknęła na drzwi.

– Gdzie jest ten człowiek?

– Będzie tu za chwilę. – Gabriel wstał, żeby zdjąć surdut.

Alathea ściągnęła go z niego i natychmiast z powrotem popchnęła na łóżko. Potem zajęła się rozpinaniem mankietów przy koszuli.

Gabriel zagryzł wargi, aby skryć uśmiech. Jak daleko się posunie, jeśli jej na to pozwoli?

– Boli cię?

– Nie. – Badawczo przyjrzał się jej twarzy, zatopił wzrok w jej oczach, przepelnionych troską zrodzoną z miłości. – Nie. – Wyciągnął dłoń i zacisnął ją na jej ręce. – Thea, nic mi nie jest.

Marszcząc brwi, wyrwała rękę i przyłożyła mu dłoń do czoła.

– Mam nadzieję, że nie dostaniesz gorączki.

Gabriel wciągnął głęboko powietrze.

– Theo...

W tym momencie do pokoju wpadł Chance, balansując trzymaną w jednej ręce miską z wodą, z ręcznikiem przerzuconym przez ramię, kilkoma ścierkami pod pachą i słoikiem z maścią w drugiej dłoni.

– To wszystko, czego pani potrzebuje?

– Tak. – Alathea z uznaniem kiwnęła głową. – Przesuń bliżej stolik. I lampę.

– Och! Ile tu krwi. – Chance wykonał polecenie. – Może chce pani trochę brandy? Żeby oczyścić ranę.

– Świetna myśl! – Uniosła głowę. – Jest gdzieś tutaj? – Jej spojrzenie padło na karafkę stojącą na toaletce.

Gabriel zeszywniał.

– Nie! To jest...

– Doskonale – ucieszyła się Alathea. – Podaj mi ją.

– Thea! – Gabriel z przerażeniem obserwował Chance'a, który podbiegł do toaletki i pospiesznie przyniósł karafkę wypełnioną starą francuską brandy. – Naprawdę nie potrzebuję...

– Cicho bądź. – Alathea spojrzała mu prosto w oczy. –

Martwię się, że za chwilę zaczniesz wrzeszczeć. Proszę, pozwól mi i Chance'owi zająć się raną. Potem będziesz mógł odpocząć, dobrze?

Była śmiertelnie poważna. Gabriel ugryzł się w język, spojrzał na Chance'a i kiwnął głową. Przez następny kwadrans znosił ich wspólne zabiegi. Zapomniał, że Chance może chcieć mu się odwdziżyć za dobroć. Siedział spokojnie na łóżku, otoczony życzliwością, troskliwością i miłością. Było to miłe uczucie, chociaż czuł się jak oszust.

Z pomocą Chance'a Alatheia ściągnęła mu koszulę, a następnie delikatnie zajęła się raną, najwyraźniej nieporuszona widokiem jego nagiego torsu. Gabriel pragnąłby to zmienić, ale... Chance stale był w pokoju.

Gabriel nie odrywał wzroku od jej włosów. Pomimo burzliwych przeżyć trzy kwiaty nadal znajdowały się na swoim miejscu. Nie miał zamiaru ich ruszać. Dopóki obietnica, jaką symbolizowały, nie przeistoczy się w słowa. Wiele razy. Zaczął w myślach przepowiadać sobie to, co powinno nastąpić i w jaki sposób, bez ruszania kwiatów, najlepiej wydostać od niej słowa, które chciał usłyszeć.

Pozostawiła ranę do wyschnięcia, wyprostowała się i przysunęła bliżej, aż jego twarz owionęło ciepło jej piersi. Starła się nie oddychać, gdy badała guz na jego głowie.

– Jest wielkości kaczego jaja – oświadczyła przerażona.

Gabriel zamknął oczy i usiłował nie jęczeć. Zimny okład łagodził tępy ból głowy. Jednak na ból w kroczu było tylko jedno lekarstwo. Kiedy Alatheia w końcu znowu zajęła się bandażowaniem ramienia, Gabriel pochwycił wzrok Chance'a. W mgnieniu oka Chance pojął nieme polecenie, zawarte w spojrzeniu swojego pana. Wyglądał na zaskoczonego, ale gdy Gabriel łypnął naprawdę groźnie, pospiesznie zebrał ścierki, ręczniki i miskę, po czym opuścił pokój.

Trzaśnięcie drzwi zbiegło się z zakończeniem benedyktyńskiej pracy Alatheii, której zwieńczeniem było zawiązanie supełka na bandażu okręconym wokół jego ramienia.

– Już. – Uniosła wzrok i zerknęła na twarz Gabriela. – Teraz możesz odpocząć.

– Jeszcze nie. – Gabriel zacisnął ręce na jej kibici i opadł na łóżko, pociągając ją za sobą. Okrzyk zaskoczenia został stłumiony mocnym przytuleniem.

– Uważaj na swoje ramię!

– Moje ramię ma się wyśmienicie.

Znieruchomiała pod nim.

– Co masz na myśli, mówiąc, że ma się wyśmienicie?

– Dokładnie to, co powiedziałem. Próbowałem cię przekonać. To tylko powierzchowna rana, od której się nie umiera.

– Myślałam, że to poważne zranienie.

– Wiem. – Musnął jej wargi. – To było oczywiste.

Zawisł nad nią. Na widok jej długiego, szczupłego ciała, prężącego się pod nim, ogarnęła go fala prymitywnej zaborczości. Zaborczości przyprawionej pragnieniem, żądzą i innym uczuciem, zbyt żywotnym, żeby mógł nad nim zapanować.

– Musi boleć. W głowie musi ci pulsować.

– Owszem, boli, ale to nie w głowie mi pulsuje. – Poruszył się wymownie i przywarł biodrami do jej bioder.

Spojrzenie, jakie mu posłała, było pełne rezygnacji.

– Mężczyźni! – Z przyływem świeżych sił odepchnęła go i usiłowała usiąść. – Czy wszyscy jesteście tacy sami?

– Oczywiście, wszyscy Cynsterowie... – Gabriel przetoczył się na bok, patrząc z oszołomieniem, jak sięga po sznurówki. Znów udało jej się go zaskoczyć, postępując w sposób, jakiego nie przewidział. Chwilę zajęło mu uświadomienie sobie, co i po co robi. Zdecydował, że pójdzie wskazaną przez nią drogą. Sięgnął po sznurówki.

– Pozwól, że się tym zajmę.

Od dawna marzył, żeby ściągnąć z niej suknię. W sukni wydawała mu się pogańską kapłanką stworzoną po to, by ją wielbić. Gdy zsuwał materiał z jej ramion, ustami wielbił każdy odsłaniający się skrawek jedwabistej skóry. Alatheia zadygotała. Leżąc obok niej, ujął w dłoń jedną pierś, miękki wzgórek,

twardniejący, rozgrzewający się pod wpływem jego dotyku. Drugą rękę wyciągnął ku jej głowie, szukając spinek, przytrzymujących węzeł włosów, ostrożnie, żeby nie uszkodzić trzech białych kwiatów, zdobiących uczesanie i będących wyrazem jego uwielbienia. Włosy Alathej opadły. Zacisnął palce wokół jej piersi. Z jękiem odchyliła głowę, podając mu usta. Rzucił się na nie łapczywie, zgłodniałe, świadom, że nie istnieje już żaden powód, by się powstrzymywać. Była z nim. Powodowało nimi to samo pragnienie, gorączkowa żądza, by pochwycić, osiąść, by przekonać się nawzajem, iż wyszli z zagrożenia cali i zdrowi. Aby zachłysnąć się pierwszym łykiem czekającej ich przyszłości, wolności kochania się.

Jego plany zredukowały się do słodkiej, gorączkowej, szalonej krzątaniny rąk, beładnych jęków bez tchu, lawiny pieszczot i gorących pocałunków, pospiesznie poruszających się palców i drżących ciał. Rozebrali się nawzajem i położyli, ze splecionymi nogami, zagłębieni w skotłowanej pościeli, czując dotyk nagiej skóry. Przyciągnął ją do siebie, pod sobą, otoczył swym ciałem. Jednym pchnięciem wtargnął w ciepło jej ciała.

Wiedział, że mają przed sobą całą noc. Gabriel zanurzył się głębiej. I znieruchomiał.

W jej oczach pojawił się błysk zdumienia.

– Co...?

Była taka gorąca i miękka, taka zapraszająca.

– Chcę to usłyszeć.

Słowa były ciche, załamujące się, lecz wystarczająco zrozumiałe. Nie zapytała, co chciał usłyszeć.

Alathea zastygła pod nim, pod jego ciągłym, nieustannym naporem.

– Muszę iść do domu.

Potrząsnął głową.

– Nie wcześniej, niż to powiesz. Zamierzam cię tu trzymać naga, rozpaloną i spragnioną, dopóki nie przyznasz, że mnie kochasz.

– Spragnioną? To nie ja...



Przerwał jej pocałunkiem. Potem odsunął się i uniósł na ramionach, żeby zanurzyć się jeszcze głębiej w jej ciepło.

Jęknęła, ciężko oddychając.

– Wiesz... wiesz, że cię kocham.

– Tak. Wiem. Nawet gdybym dotąd nie wiedział, z pewnością wiedziałbym teraz, po twoim zachowaniu dzisiejszej nocy. Teraz wie o tym nawet Charlie i Chillingworth.

Znajdowała się w takim stanie, że reagowała bardzo powoli. Spytała słabym głosem:

– Dlaczego mieliby myśleć...

Korciło go, żeby się uśmiechnąć, ale nie mógł. I tak wiele wysiłku wymagało od niego udzielenie odpowiedzi.

– Dziś w nocy omal nie zabiłaś człowieka, żeby mnie uratować, a przez dwie ostatnie godziny trzęsała się i robiłaś wiele zamieszania wokół czegoś, co, jak każdy widział, było tylko lekkim skaleczeniem. Biednemu Chillingworthowi omal nie zrobiło się niedobrze.

Alathea chciała by zmierzyć go ostrym spojrzeniem, ale jej ciało stało się ofiarą najśłodsze go żaru, jej zmysły pochłonięte były łączącą ich szczęśliwością.

– Nie wiedziałam, że to było tylko zadrapanie. Reagowałam instynktownie...

– Prowadziła cię miłość. Czemu tego po prostu nie przyznasz?

Bo dopiero tej nocy w pełni zrozumiała, co pociągała za sobą ta ich wzajemna miłość. Dzielona przez nich radość była reakcją na strach przed utratą, na nagłą rozpacz, bo omal nie został zabity na jej oczach. Miłość znaczyła dużo więcej, niż mogła przypuszczać. Tak głęboka miłość była przerażającą rzeczą.

Uniosła głowę i przesunęła ustami po jego twarzy.

– To takie oczywiste...

Odsunął głowę tak, że nie mogła go dosięgnąć.

– Może i oczywiste, ale chciałbym usłyszeć, jak mówisz te słowa.

Wypełniał ją długimi, powolnymi, leniwymi ruchami,

wystarczającymi, by obudzić w niej pożądanie, lecz go nie zaspokoić.

– Dlaczego?

– Bo dopóki tego nie zrobisz, nie mogę być pewien, że o tym wiesz.

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego. Pod ciężkimi powiekami nie dostrzegła najmniejszego śladu wesołości. Był śmiertelnie poważny.

– Oczywiście, że cię kocham.

Wyraz jego twarzy, pełen namiętności, ale jednocześnie wymuszony, nie zmienił się.

– To dobrze. A więc mnie poślubisz.

To nie było pytanie. Alatheia westchnęła, usiłując się nie roześmiać. Nie byłby tym zachwycony. Wodze spoczywały w jego rękach.

Nie zachwyciło go również jej westchnienie. Znieruchomiał i spojrzał na nią niemal ponuro.

– Nie wyjdiesz stąd, dopóki się nie zgodzisz. Nawet gdybym miał cię tu trzymać tygodniami.

Pomimo najszerszych wysiłków nie powstrzymała uśmiechu, choć miała świadomość, że jego groźby nie były żartem. Uwięziłby ją, gdyby go do tego sprowokowała.

Miała do czynienia z zakochanym Cynsterem.

Uśmiechnęła się szerzej i odgarnęła pukiel włosów, który opadał mu na czoło.

– W porządku. Kocham cię i wyjdę za ciebie za męża. Czy mam powiedzieć coś jeszcze, żebyś się pospieszył?

Dostrzegła jego zwycięski uśmiech.

A potem doprowadziła ich oboje na skraj szaleństwa.

Ale było warto.

Później, gdy nie śpiąc, leżeli zbyt głęboko nasyceni, żeby się ruszać, Alatheia oparła głowę na ramieniu Gabriela i mgliście zaczęła rozważać przyszłe życie, wypełnione spokojem.

Czuła bowiem spokój, niewypowiedziane poczucie, że odnalazła prawdziwy dom, prawdziwe miejsce dla siebie i

prawdziwą miłość. Nie miała cienia wątpliwości, że otaczała ją miłość Gabriela, tak jak ona otaczała go swoją miłością. Tylko to, tylko głębokie uczucie mogło tak wypełnić jej serce, żeby nie była w stanie wyobrazić sobie większej radości niż leżenie nago w jego ramionach, niż ciężar ręki otaczającej jej talię.

Byli tak podobni do siebie. Będą musieli zmierzać w stronę wspólnej przyszłości bardzo powoli, z szeroko otwartymi oczami, uważając, by nie deptać sobie po nogach. Będą musieli się do siebie dostosować. Ale chociaż ta przyszłość nęciła, w tej chwili było jej zbyt dobrze, czuła się zbyt nasycona, żeby się nią zajmować.

Czuła się bardzo przyjemnie, i to było odkryciem. Nawet teraz, w pełni świadoma ukrytej siły w spoczywającym obok niej mężczyźnie, w muskularnych ramionach, które tak delikatnie ją obejmowały, w stalowych, krzepkich nogach, przywartych na całą długość do jej nóg, czuła się ukojona, odprężona.

I ogromnie szczęśliwa.

Niebiańską szczęśliwością.

Zamknęła oczy i zaczęła się napawać swoim szczęściem.

W końcu Gabriel poruszył się, zacisnął mocniej wokół niej rękę, przyciągnął blisko do siebie i przycisnął usta do jej skroni.

– Nigdy nie pozwolę ci zapomnieć, co powiedziałaś.

Alathea się uśmiechnęła.

– No więc – potrząsnął nią leciutko – kiedy ślub?

Najwyraźniej dotarli już do kościoła.

Otworzyła oczy i posłusznie skupiła myśli na ślubie.

– Cóż, mamy Mary i Eshera oraz Alice i Carstairsa.

Najlepszy byłby wspólny ślub.

Parsknięciem dał wyraz swojej dezaprobacie.

– Twoje przyrodnie siostry są młodziutki, słodkie, niewinne i pełne romantycznych pomysłów. Miesiącami będą podejmować decyzje dotyczące szczegółów. Absolutnie nie zamierzam czekać, aż je podejmą. Pobierzemy się wcześniej. – Objął ją mocniej. – Najszybciej, jak się da.

– Tak jest, milordzie.

W rewanżu za jej kpiący ton dał jej kuksańca w żebra. Jęknęła i szarpnęła się; unieruchomił ją ponownie, a jego dotyk zamienił się w pieśczętę.

– Rozmawiałem już z twoim ojcem.

– Rozmawiałeś? Kiedy?

– Wczoraj. Spotkałem go u White'a. Wtedy kazałem przysłać ci kwiaty.

Jego ręka nie przestawała jej gładzić łagodnymi, uspokajającymi ruchami.

Alathea zapatrzyła się w przyszłość, w którą Gabriel tak zręcznie ją wprowadzał.

– Będzie im mnie brakowało. Nie tylko rodzinie, ale i służbie domowej, Crispowi, pani Figgs i całej reszcie.

Powolne głaskanie nie ustawało.

– Zamieszkamy niedaleko, zaledwie parę mil od nich. Będiesz mogła czuwać nad nimi, dopóki Charlie nie znajdzie sobie żony.

– Pewnie tak. – Po chwili dodała: – Oczywiście zabiorę ze sobą Nellie oraz Folwella. A Figgs jest siostrą twojej gospodyni.

– Siostrą Tweety?

– Aha. Na pewno więc będę wiedziała o wszelkich kłopotach w domu.

– Oboje będziemy wiedzieli. Też chcę wiedzieć.

Uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Chcesz wiedzieć?

Pochwycił jej spojrzenie.

– Chcę dzielić z tobą wszystko, co odtąd wydarzy się w twoim życiu.

Badawczo wpatrywała się w jego oczy, czytając jego myśli o minionych latach i wiecznie nurtujące go pytanie, czy mógł oszczędzić im tych jedenastu lat, gdyby wiedział, gdyby otworzył oczy i przyjrzał jej się naprawdę?

Przeciągnęła się lubieżnie. Uniósł ją i umieścił tak, że jej brzuch przylegał do jego twardego torsu, i wypełnił jej usta pieśczętą, która przeniknęła ją aż do stóp.

Wzburzyło ją, gdy się odsunął. Mruknął:

– Przez wiele tygodni marzyłem, żeby hrabina odsłoniła się przede mną. – Jego dłoń przesunęła się w dół, wzdłuż pleców, żeby spocząć na jej pośladkach, dając jasno do zrozumienia, jakiego odsłonięcia hrabiny pragnął.

– Jesteś rozczarowany?

Zacisnął dłoń w geście posiadacza. Przesunął ją i poruszył biodrami, a jego wzwidziona męskość ucisnęła jej brzuch.

Alathea wstrzymała oddech.

Gabriel się roześmiał.

– To, co dane mi było zobaczyć, przerosło wszelkie moje wyobrażenia. – Uniosła wzrok. Gabriel pochwycił jej spojrzenie. – Kocham cię. – Słowa były proste i jasne. – A ty kochasz mnie. Trudno o większą sensację.

Alathea ukryła głowę w zagłębieniu jego pachy, żeby nie widział jej oczu, bo jego słowa przenikały przez nią i trafiały prosto w serce. Po chwili westchnęła.

– Nadal jeszcze nie bardzo mogę uwierzyć, że mamy za sobą wszystkie kłopoty, że Crowley nie żyje. Nie musimy się już dłużej nim martwić, nie muszę się też więcej martwić o sytuację finansową mojej rodziny.

Gwałtownie znieruchomiała.

– Weksle! Charlie ma nasze, ale cała reszta... zostawiliśmy je w powozie Chillingwortha.

– Odeśle je. Nie przejmuj się. Przestań się zamartwiać. Martwiłaś się przez ostatnich jedenaście lat. Nie musisz się już dłużej o nic kłopotać.

– Wiesz chyba, że nie będzie mi łatwo.

– Jestem pewien, że potrafię ci znaleźć dowolną liczbę spraw, które odciągną twoją uwagę.

– Ale przecież osobiście zarządzasz swoim majątkiem i nie będziesz miał dla mnie żadnego zajęcia przy rachunkach.

– Możesz mi pomagać. Będziemy współnikami.

– Wspólnikami? – Pomysł był tak dziwaczny, że aż podniosła głowę.

Nie przestawał głaskać jej nagich pleców.

– Tak.

Zmarszczyła czoło.

– Myślę... – Odwróciła się i ułożyła wygodnie, oplatając rękę wokół dłoni, którą położył na jej talii. – Oczywiście, będę prowadziła rachunki domowe. A może twoja matka się tym zajmuje?

– Nie. Naturalnie, że możesz to robić.

– I, jeśli chcesz, mogę obliczać podatek. A może zajmuje się tym twój ojciec?

– Tata przekazał mi zarządzanie majątkiem dwa lata temu. Ani on, ani mama już się nim nie zajmują.

– Och. A więc będziemy tylko we dwoje, tak?

– Aha. Możemy podzielić obowiązki, jak nam się żywnie podoba.

– Chciałabym nadal sama inwestować swoje pieniądze. Tak jak to robiłam z pieniędzmi rodziny.

Gabriel wzruszył ramionami.

– Nie widzę powodu, czemu miałybyś tego nie robić.

– Nie widzisz? Sądziłam, że ci się to nie będzie podobało.

– Dlaczego? Z tego, co wiem, jesteś w tym dobra. Nie podobałoby mi się, gdybyś nie umiała prowadzić interesów. Ale jeśli mamy być współnikami, to nie ma powodu, żebyśmy nie byli partnerami również w tej dziedzinie.

Alathea się odprężyła. Po chwili mruknęła:

– Kto wie? Może nawet będziemy przyjaciółmi.

– Kto wie? Może nawet przyjaciółmi. – Była to niezwykle atrakcyjna myśl. – Chyba będzie mi się to podobało.

– Mnie też.

Gabriel się uśmiechnął.

– Biorąc pod uwagę aktualne okoliczności, sugeruję, żebyśmy się skoncentrowali na najśluszniejszym i najpilniejszym aspekcie naszej współpracy.

Wstrzymała oddech, gdy przesunął palce niżej, wsuwając je pomiędzy drobne loczki, aby dotrzeć do miękkiego miejsca, które

osłaniały. Zadygotała.

– Naprawdę uważam, że powinnaś poświęcić więcej uwagi temu zagadnieniu. – Z uśmiechem przetoczył się i uniósł nad nią. Wyciągnęła rękę i odnalazła go.

– Przekonaj mnie.

Słowa były wyzwaniem, dokładnie takie, jakie mogły uradować jego cynsterowską duszę. Zareagował na to wyzwanie całym sobą.

– Gwarantuję, że jeśli będziesz przywiązywać wagę do tego aspektu naszej współpracy, to zanim Jeremy i Augusta dorosną, będziesz miała całą gromadkę własnych dzieci do pilnowania.

Wydawało się, że rozważa jego słowa.

– Gromadkę? – spytała zaintrygowanym tonem.

– Naszą własną gromadkę – wyszeptał bez tchu.

Alathea rozjaśniła się w uśmiechu. Oplotła ramieniem jego szyję i uniosła usta do jego warg.

– Skoro dajesz mi taką twardą, żelazną gwarancję...

Zatrzęśli się od śmiechu i przytulali do siebie jak dzieci.

Nagle śmiech się urwał; coś znacznie potężniejszego zawiroowało wokół nich, zawładnęło nimi i oderwało od ziemi.

W końcu ułożyli się do snu. Wokół spało ciche miasto, przyszłość była ustalona, a w sercach królował spokój.

Alathea wsunęła się w czekające na nią objęcia Gabriela i poczuła, że zaciska wokół niej ręce. Bez względu na to, jaka będzie ich przyszłość, będą ją wspólnie kreować, kształtować i przeżywać. To było o wiele więcej, niż kiedykolwiek się spodziewała.

\* \* \*

Następnego dnia rano Lucyfer stał na frontowych schodach domu przy Brook Street i przyglądał się odjazdowi damy, która, ku swemu własnemu zaskoczeniu, spędziła noc w jego łóżku. Uniósł rękę w pożegnalnym geście, gdy jej powóz potoczył się w dal, po czym zawrócił do domu. Dama okazała się dla niego wyzwaniem, ale był wytrwały i, jak zwykle, zwyciężył.

Sukces miał bardzo słodki smak.

Odtwarzając w pamięci miłe wspomnienia, ruszył w stronę jadalni. Potrzebował śniadania.

Dzięki Chance'owi drzwi do jadalni były uchylone. Lucyfer pchnął je mocno; bezszelestnie otworzyły się na oścież.

Scena, którą ujrzał przed sobą, zmroziła mu krew w żyłach.

Gabriel siedział na swoim zwykłym miejscu u szczytu stołu, popijając kawę. Po jego prawej stronie siedziała Alatheia Morwellan, z rozmarzeniem patrząc prosto przed siebie. W jednej ręce trzymała filiżankę z herbatą, w drugiej zaś odłamany kawałek stygnącej grzanki.

Była promienna. I odrobinę zaróżowiona. Jakby...

Zaskoczony Lucyfer ponownie spojrzął na Gabriela. Brat sprawiał wrażenie zbyt sytego jak na człowieka, który właśnie zaczynał posiłek. Straszliwe podejrzenie, które załęgło się w głowie Lucyfera, stawało się coraz silniejsze, coraz wyraźniejsze. Gabriel poczuł powiew od drzwi i uniósł wzrok. Napotkawszy zdumione spojrzenie brata, w odpowiedzi spojrzął nań z jawną bez troską i unosząc brwi, wskazał na Alatheę.

– Chodź i przywitaj się z twoją przyszłą szwagierką.

Lucyfer przywołał na twarz uśmiech i wszedł do jadalni.

– Moje gratulacje. – Zauważył, że Alatheia nadal wygląda na nieco oszołomioną. – Witaj w rodzinie. – Pochylił się i dał jej braterskiego całusa. Prostując się, nie mógł się powstrzymać, żeby nie mruknąć: – Jesteście pewni, że oboje nie postradaliście zmysłów?

– O ile sobie dobrze przypominam, nigdy nie należeliśmy do ludzi, którzy tracą zmysły – zauważyła Alatheia.

Lucyfer zrezygnował z tego tropu, jednocześnie zegnając się z nadzieją, że kiedykolwiek ich zrozumie. Wykonywał wszystkie właściwe gesty, wypowiadał wszystkie właściwe słowa i ciągle błąkał się, usiłując pojąć sens tego, co się działo. Alatheia i Gabriel? Wiedział, że nie był jedynym człowiekiem, któremu nigdy nie przyszłoby to do głowy.

– Ślub odbędzie się najszybciej, jak to możliwe, zanim nasza



rodzina, Morwellanowie i cała reszta śmietanki towarzyskiej opuści Londyn – poinformował go Gabriel.

– Aha – mruknął w odpowiedzi Lucyfer.

– Będziesz tutaj?

– Oczywiście.

Będzie tutaj, żeby być świadkiem, jak jego brat, ostatni towarzysz wolnego stanu, dobrowolnie nakłada sobie małżeńskie kajdany. Potem wyjedzie.

Zniknie.

Londyn i szeroko pojęte wyższe sfery były zbyt niebezpieczne dla ostatniego kawalera w klanie Cynsterów.

\* \* \*

Sezon balów kończył się, jak zwykle, falą ślubów. Jednak tego roku jeden ślub wyróżniał się, będąc zdecydowanie najważniejszym wydarzeniem sezonu. Historia o tym, jak lady Alatheia Morwellan odwróciła się plecami do swojej przyszłości, żeby pomóc rodzinie na wsi, a po jedenastu latach powróciła, by okiełznać najbardziej powściągliwego członka klanu Cynsterów, rozbudziła romantyczną wyobraźnię śmietanki towarzyskiej Londynu.

W dniu, w którym lady Alatheia składała swoje przyrzeczenie małżeńskie, kościół św. Jerzego przy Hanover Square pękał w szwach. Tłum zgromadzony przed kościołem był równie gęsty, gdyż ci, którzy nie zostali zaproszeni na uroczystość, znaleźli pretekst, żeby przechodzić tamtędy akurat o tej porze. Wszyscy wyciągali szyje, żeby zobaczyć pannę młodą, wyglądającą iście po królewsku w kremowozłotej sukni, z trzema niezwykle kwiatami, zdobiącymi długi welon. Kiedy pojawiła się na szczycie schodów kościoła, wsparta na ramieniu dumnego małżonka, otoczona gromadką reprezentantów rodu Cynsterów i ich ślicznych żon, tłum westchnął głęboko.

Przed ich oczami rozgrywał się bajkowy romans, którym zachwycony był cały Londyn.

O trzeciej po południu, gdy tłumnie zgromadzeni rozeszli się,

żeby przeżywać to, co zobaczyli, i analizować szczegóły, Gabrielowi i Alathej udało się w końcu wyrwać z kręgu składających im życzenia i skierować się na Mount Street, na weselne przyjęcie.

Stojąc przy oknie w salonie Morwellanów, Gabriel wyjrzał zza cienkich zasłon, żeby zbadać, co dzieje się na ulicy. Przed domem czekała na nowożeńców tylko nieduża grupka ludzi.

– Niemal wolni?

Gabriel odwrócił się od okna, słysząc pytanie nadchodzącego Demona. Kuzyn wyglądał na niezwykle zadowolonego z siebie. Gabriel tłumaczył sobie, że Demon jest zbyt krótko żonaty, żeby mieć na twarzy wyraz głębokiego ukontentowania, często ostatnio goszczący na obliczach Diabła i Vane'a. Richarda trudniej było rozszyfrować, ale blask w jego oczach, gdy zwracał spojrzenie na Catrionę, wiele mówił. Gabriel wiedział, że żywi płonną nadzieję, iż jego uczuć nie będzie równie łatwo odczytać.

– Niemal. – Odwrócił się od okna. – Jeśli nie liczyć tłumu gości w domu. Mam jednak nadzieję, że uda nam się stąd wyrwać o rozsądnej porze.

– Dokąd się wybieracie? A może to tajemnica?

– Tylko przed Alatheą. – Gabriel pokrótce streścił swój plan. Zamierzał zabrać Alatheę na krótką wycieczkę po hrabstwach, odwiedzając takie miasta, jak Liverpool i Sheffield, w których nigdy nie była, a które odgrywały znaczącą rolę w prowadzonych przez niego interesach. – Zakończymy wizytą w Somersham, gdzie w lecie nasze mamy zaplanowały zjazd rodzinny.

– Niestawienie się na uroczystości rodzinne grozi utratą życia albo czymś jeszcze gorszym.

Gabriel się uśmiechnął.

– Richard nie podejmuje takiego ryzyka. – Ruchem głowy wskazał w stronę, gdzie czarna głowa kuzyna pochylała się nad ognistymi lokami żony.

– Pod żadnym pozorem – przytaknął Demon. – Powiedział, że ruszają na północ następnego dnia po zakończeniu zjazdu rodzinnego. Wcale nie zapatruje się optymistycznie na

podróżowanie z Catrioną w takim stanie.

– Jestem pewny, że Catriona ma wszystko precyzyjnie zaplanowane. A nawet gdyby nie, to wyda parę rozporządzeń i wszystko potoczy się zgodnie z jej życzeniem.

– Może i tak, ale rozumiem Richarda.

Gabriel zerknął na Demona, zastanawiając się, czy to oznacza... Zanim zdołał sformułować właściwe pytanie, pojawiła się Alatheia.

Gdy „wpłynęła” do pokoju, serce przestało mu bić. Przebrała się w podróżną suknię z jedwabiu w kolorze owoców morwy. Wysoki, stojący kołnierz tworzył obramowanie dla jej włosów, bujnych i błyszczących w promieniach popołudniowego słońca. Jej szyję otaczał sznur pereł po matce, w uszach miała kolczyki z perłami. Nie nosiła żadnych innych ozdób, ulegając naleganiom Gabriela, żeby niczym nie przesłaniać wspaniałości swoich włosów. Zdobily ją więc wyłącznie trzy białe kwiaty, przewiązane delikatną złotą wstążeczką, przypięte na piersiach do sukni.

Były to kwiaty z welonu, kwiaty, które przysłał jej tego ranka, z liścikiem o treści jeszcze prostszej niż w poprzednim bileciku.

*Kocham cię.*

To było wszystko, co chciał powiedzieć, ale wiedział, tak jak mógł wiedzieć tylko Cynster, że do końca życia będzie szukał sposobów, żeby jej to stale powtarzać.

Omiotła wzrokiem pomieszczenie, zobaczyła go i natychmiast rozpromieniła się w uśmiechu. Podeszła do niego z błyszczącymi oczami.

Gdy wsunęła mu rękę pod ramię, Gabriel uniósł pytająco brwi.

– Gotowa?

– Musimy poświęcić jeszcze parę minut Auguście i Jeremy’emu.

Nawet ta wiadomość nie umniejszała jego radości. Znał swoją żonę na tyle, że wiedział, iż młodzi Morwellanowie nie

przedłużą pożegnania ponad miarę. Nade wszystko chciał wyjechać, by znów mieć ją wyłącznie dla siebie.

Felicity, młoda żona Demona, dołączyła do nich w powodzi błękitnych spódnic, z ożywioną twarzą i oczami błyszczącymi wewnętrznym blaskiem. Gabriel nagle uświadomił sobie, że przyzwyczał się już u Alathej do takiego wyrazu oczu, jaki był wspólny wszystkim żonom Cynsterów.

Interesujące.

– Chodź! – Felicity ujęła Demona pod ramię. – Już czas, żeby wyjeżdżali.

– Czemu jesteś taka podniecona? – zapytał Demon. – Przecież nie musisz już łapać bukietu.

– Chcę zobaczyć, kto go złapie. – Felicity szarpała go za rękę. – Na schodach robi się tłoczno.

Demon opierał się nieco, oglądając się na Gabriela.

– Gdzie jest Lucyfer? – wykrzywił twarz w demonicznym uśmiechu. – Przyszło mi do głowy, żeby mu udzielić paru rad.

Gabriel przebiegł wzrokiem tłum, po czym znacząco uniósł brwi.

– Podejrzewam, że już uciekł.

Demon parsknął.

– Głupiec! – Mrugnął do Gabriela. – Chcesz się założyć, że nic mu z tego nie przyjdzie?

Gabriel pokręcił głową.

– Niektóre rzeczy muszą się wydarzyć.

Demon docenił tę uwagę, kwitując ją uśmiechem i skinieniem głowy, po czym ustąpił niecierpliwiejsz Felicity.

Gabriel przeniósł wzrok na Alatheę i się uśmiechnął.

– Gotowa? – zapytał.

Popatrzyła mu w oczy.

– Tak.

– Wreszcie. – Przykrył ręką jej dłoń, opartą na swoim ramieniu.

Wyszli z domu i rozpoczęli podróż, która miała trwać przez całe ich życie.



*Polecamy inne książki*

*Stephanie Laurens*

*cykl „Cynsterowie”*

**Przysięga**

**Czarownica z doliny**

**Oświadczyń Démona**

**Smak niewinności**

*cykl „Czarna Kobra”*

**Niepokorna narzeczona**

**Nieuchwytna narzeczona**

**Zuchwała narzeczona**

**Nierozważna narzeczona**

*cykl „Siostry Cynster”*

**Na ratunek damie**

**W pogoni za Elizą**

**Porywacz i dama**

**Gdy miłość zaskoczy**

**Poskromienie markiza**

**Utalentowany pan Montague**

**Za głosem serca**

**Kuszenie i uległość**

**Na skraju pożądania**

## We władzy miłości

### Kochanica przemytnika

### Kochając Rose





